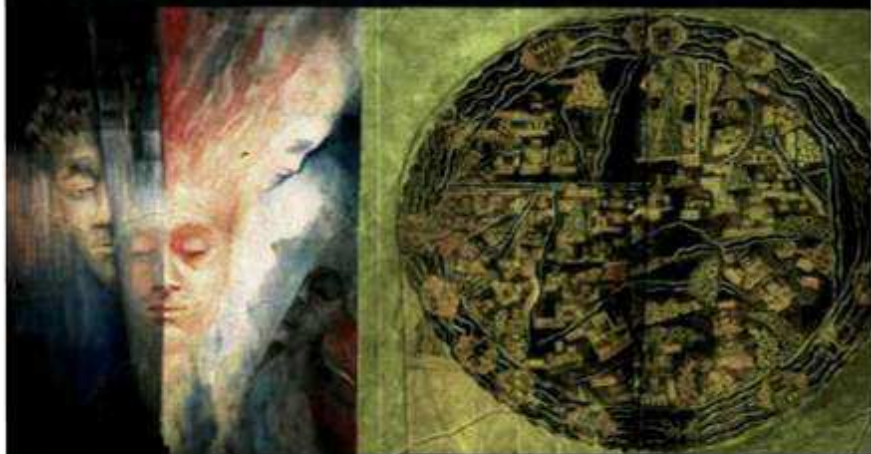



Michael
PHILLIPS

NA KRAWĘDZI CZASU



WYDAWALNIA
PAX

 Feniks

Seria wydawnicza *Z Feniksem* obejmuje znakomite powieści literatury polskiej i obcej, do których wraca się równie chętnie jak do najpiękniejszych wspomnień. Powieści te, nie pozabawione wartkiej akcji i wątków sensacyjnych, mówią o sensie istnienia, o tajemnicy dobra i zła, o bogactwie i zawiłościach natury ludzkiej, o wierności Bogu i własnemu sumieniu. Stawiają wiele ważnych życiowo pytań i zachęcają do poszukiwania własnych na nie odpowiedzi.

Czy Eden istniał naprawdę? Czy Księga Rodzaju jest dosłowną relacją z dzieła stworzenia? Co oznacza, u progu trzeciego tysiąclecia, nadejście szóstej epoki zapowiedzianej w Apokalipsie Świętego Jana?



Szukając odpowiedzi na te pytania, bohater bestsellerowej powieści Michaela Phillipsa, młody angielski archeolog, wyrusza na niebezpieczną wyprawę do Afryki, hipotetycznej kolebki ludzkości. Nie wie, że jego tropem podąża odwieczne Zło...



Michael

PHILLIPS
NA KRAWĘDZI
CZASU

przełożył
Adam Szymanowski

Instytut Wydawniczy Pax
Warszawa 2001

Tytuł oryginału *A Rift in Time*

© Copyright by Michael Phillips 1997

Translated into Polish by permission of Tyndale House Publishers.

© Copyright for the Polish translation by Adam Szymanowski

© Copyright for the Polish edition by Instytut Wydawniczy Pax,

Warszawa 2001

Ilustracja na okładce

Maria Wollenberg-Kluza

Opracowanie graficzne

Beata Kulesza-Damaziak

Ilustracje i mapy

Joan L. Grytness

Redaktor

Karolina Orszulewska

Redaktor techniczny

Ewa Dębicka

ISBN 83-211-1336-2

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX,

WARSZAWA 2001

Wydanie I. Ark, druk. 43/16

Fotoskład: DARTEXT, Warszawa

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.

Kraków, ul. Wadowicka 8

Dedykuję Denverowi C. Phillipsowi (1917-1997),
ojcu na nasze czasy

„A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił. Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła.

Z Edenu zaś wypływała rzeka, aby nawadniać ów ogród, i stamtąd się rozdzielała, dając początek czterem rzekom. Nazwa pierwszej — Pizson; jest to ta, która okrąży cały kraj Chawila, gdzie się znajduje złoto. A złoto owej krainy jest znakomite; tam jest także wonna żywica i kamień czerwony. Nazwa drugiej rzeki — Gichon; okrąży ona cały kraj Kusz. Nazwa rzeki trzeciej — Tygrys; płynie ona na wschód od Aszszuru. Rzeka czwarta — to Eufrat”.

Rdz 2, 8-14*

* Cytaty z Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia, wyd. IV.

PRZEDMOWA

KILKA OSOBISTYCH SŁÓW I KRÓTKI HOŁD OD AUTORA

Każdy mężczyzna, każda kobieta, rozstając się z doczesnym życiem, zostawia za sobą taką czy inną spuściznę. Może być ona rozmaita. Życie trwa w naszych dzieciach, w dziełach, których dokonaliśmy, w słowach, które padły z naszych ust, w przyjaźniach, które pielęgnowaliśmy, w życiu innych, które budowaliśmy. Są spuścizny duże i małe. Są publiczne i bardzo osobiste. Nikt jednak nie opuszcza tej ziemi, nie pozostawiając śladu swoich stóp, choć czasem potrzeba bystrego oka miłości, by dostrzec ich trwałe odcisk.

Fakty z ziemskiej biografii człowieka nie mają w gruncie rzeczy większego znaczenia. To tylko środki, którymi posługuje się Bóg, żeby zbudować osobowość. I tylko osobowość pozostaje, nie zaś dane mówiące, jak człowiek poukładał swoje dni.

W miarę upływu lat właśnie kształt osobowości mojego ojca wywierał subtelny wpływ na mnie, jego syna. Patrzyłem, jak mój ojciec wydaje pieniądze. Obserwowałem, jak pomaga ludziom. Patrzyłem, jak ojciec i matka stale włączają się w życie innych. Patrzyli na życie całościowo i wspólnie — na to życie według Księgi Przysłów, życie polegające na dawaniu, a nie braniu — i musiałem nauczyć się to zauważać, aby potem poczuć szacunek i cześć dla obójga moich rodziców.

Pracowali ciężko — pracowali w biznesie, pracowali własnymi rękami, pracowali w Kościele, pracowali od rana do wieczora — i zawsze ramię w ramię z innymi. I doszli do pomyślności w całkowicie biblijnym znaczeniu tego słowa. Nie zbudowali jednak imperium, gdyż zainwestowali swe życie w ludzi, którzy podążali tą samą drogą.

Mój ojciec unikał teatralnych gestów. Im jestem starszy, tym większą czuję z tego powodu wdzięczność. Wiódł szczere i proste życie według Księgi Przysłów. Jakże pięknie i cudownie jest móc to właśnie o kimś powiedzieć. Tak więc pod koniec życia ojciec miał niewiele rzeczy, które świat uznałby za ważne. Jego bezinteresowność, niechęć do ugania się za korzyścią osobistą, umiejętność dawania siebie tak, by inni mogli spełnić swoje marzenia — to wszystko budowało we mnie najtrwalszą spuściznę po ojcu. Przyglądałem się mu i przeniknęło mnie wiele czynników, które złożyły się na moje wyobrażenie o tym, jakim człowiekiem chcę być.

Ojciec nie mówił zbyt wiele na temat swojej wiary. Ale Bóg mniej dba o dysputy nad sprawami ducha, niż o „wierzącego”, jak to określa Biblia. Bóg wyznaczył zaszczytne miejsce temu właśnie, kto żyje według zasad.

Dzieci łatwo mogą przeoczyć to, jaką rolę w ich rozwoju odegrali rodzice. Szczególnie łatwo uchybić Przysłowiom — a są one naprawdę ważkimi i zaczerpniętymi z Pisma wzorcami życia w wierze. W miarę, jak dochodziłem do wieku męskiego i otwierały się stopniowo moje oczy, coraz lepiej rozumiałem, że mój ojciec to, mówiąc najprościej, człowiek pełen pokory. Nie chodzi o to, że był zwyczajnie dobrym człowiekiem, ale człowiekiem dobrym w sensie biblijnym — takim, dla którego Boże nakazy stanowiły składnik życia. Na ścieżkach tych, którzy go znali, pozostawił ślady swoich stóp: dobroć, bezinteresowność, pokorę, a mnie pomógł w swój cichy sposób ukształtować wizerunek Boga jako mojego Ojca.

Naprawdę rozumiem, dlaczego nasz Pan wybrał relację ojciec-syn jako typ relacji zachodzącej w obrębie spraw Bożych. Tym, którzy pośród człowieczej słabości i kruchości szukają prawdy,

tego żadna inna ludzka istota.

Kiedy pisałem *Na krawędzi czasu*, Denver Phillips przekroczył największą i najbardziej tajemniczą ze wszystkich rozpadlin na świecie — szczelinę oddzielającą życie doczesne od wiecznego. *Na krawędzi czasu* to ostatnia z moich książek, które ten zany człowiek, mój ojciec, mógł przeczytać w postaci egzemplarza korektorskiego (w tym stadium poznał wiele moich książek), a i to tylko mniej więcej trzecią część. Potem bardzo poważnie zachorował i umarł sześć dni przed ukończeniem przeze mnie rękopisu — dzień po Wielkiej Nocy. Jakież to triumfalny moment, by umrzeć!

Przez ostatnie cztery tygodnie życia coraz więcej czasu leżałem w łóżku, przychodziłem więc do mieszkania rodziców i spędzałem z nimi dwie albo trzy godziny dziennie. Ojciec nie miał już siły dużo mówić, ale dla mnie była to okazja, żeby mówić do niego — podając mu wodę albo jedzenie i pomagając matce przy pielęgnacji, by sama mogła wyjść na zakupy albo zająć się sprawami kościelnymi (w wieku 81 lat jest czynnym starszym strażnikiem swojego Kościoła i najmłodszą osiemdziesięcioletką, jaką kiedykolwiek widziałem!)

Podczas tych szczególnych ostatnich tygodni siedziałem przy łóżku ojca i pracowałem nad zapisanymi odręcznie stronami — zawsze w pobliżu na wypadek, gdyby mnie potrzebował, ale poważnie tak, by mnie widział, miał świadomość, że tu jestem i że go kocham. Dlatego właśnie *Na krawędzi czasu* na zawsze pozostanie dla mnie książką szczególną w jakiś niezwykły i pozaczasowy sposób.

Odszedł. Jego śmierć oznacza dla mnie nakaz trzeźwego patrzenia na świat. Matka, siostry i ja będziemy za nim tęsknić. Nasze rodziny będą za nim tęsknić. Był naszym przyjacielem.

Nie pograżyłem się jednak w żal. Ten okres w życiu mojej rodziny stanowi wypełnienie nieprzerwanego cyklu w królestwie Bożym, cyklu, w którym życie ziemskie człowieka ma swój koniec. Nie jest to jednak koniec wszystkiego. Wiara żyje nadal, nieustająco,

choć może niewidocznie, popycha w stronę królestwa Bożego. Niewidzialne ślady stóp Denvera Phillipsa można odkryć w każdej książce, którą napisał i kiedykolwiek napisze jego syn. To dlatego, że jego osobowość odcisnęła ślad w moim sercu i nic go nie zatrze.

Biblia wychwala spuściznę po wierzącym. W jedenastym rozdziale Listu do Hebrajczyków czytamy o przepelnionym wiarą życiu wielu biblijnych bohaterów. Ale jestem przekonany, że w dziejach podobną wiarę miały tysiące, miliony ludzi Bożych, o których ty ni ja nie słyszeliśmy, choć byli najpotężniejszą siłą krzewienia chrześcijaństwa. To niemożliwe, by cicha, niewidzialna wiara umierała, szła tak po prostu do grobu. Wiara zawsze żyje — bez względu na to, czy życie nią wypełnione zostało opisane dla innych w Liście do Hebrajczyków, bez względu na to, czy niesie ze sobą sławę, czy ktokolwiek się o niej dowiaduje.

Życie mojego ojca trwa także. Życie jest przecież wieczne. Jego część może przenieść się do przeszłości, do cienistej doliny, jak nazwał to CS. Lewis. Prawdziwe życie ojca, to życie, do którego przez cały czas przygotowywał go Bóg, właśnie się zaczęło. Już teraz bowiem Ojciec powiedział mu: „Dobra robota, mój wierny synu. Chodź, niejednego jeszcze trzeba dokonać!”

Niech Bóg cię błogosławi, mój ziemski ojczu! Kochałem cię. I wszyscy, którzy znali cię i dzielili z tobą życie, nadal cię kochają.

NA KRAWĘDZI CZASU

Na początku, w dniu pierwszym wraz z brzaskiem,
Dzieło stworzenia niebios rozjaśniało blaskiem.
Nie na chybił trafił atom przez przestworza mknie,
Lecz wedle tego, kędy Bóg, El Szadaj, tchnie.

PROLOG

PUSTYNIA ARABSKA, ROK 1898

Pałące pustyne słońce przytłaczało samotnego pielgrzyma, którego poszukiwania zawiodły w dolne partie zboczy tego poszarpanego grzbietu. Wbrew stuletniej tradycji był pewny, że trafił na miejsce wskazane przez starożytną legendę.

Przystanął, podniósł wzrok.

Pałająca kula ognia osiadła na niebie kilka stopni ponad szczytem, ku któremu zmierzał.

Zmrużył oczy i podniósł rękę do czoła, próbując zasłonić przedwieczny blask i wypatrzeć poszczerbioną grań. Przystanął ledwie na chwilę. Musi się spieszyć. Słońce już dawno rozpoczęło wędrówkę w dół... i pielgrzym czuł, że nie jest sam.

Wierny wielbłąd, który aż tutaj przyniósł go na swoim grzbiecie, będzie czekał bezpiecznie na powrót pielgrzyma. Ten raz jeszcze sprawdził sznur, którym spętał zwierzę, i zarzucił sobie na ramiona plecak. Miał w nim szkice, mapy, różnorodny sprzęt, wystrzępioną Biblię w czarnych skórzanych okładkach i prawie nowy notatnik, w którym tylko kilka stron zapełniały zapiski z kilku dni. Miał nadzieję, że doda dzisiaj ostatni brakujący fragment do układanki, która była treścią całego jego życia.

Wypił łyk ciepłej wody z pustej do połowy menażki i wciągnął głęboko powietrze w płuca. Zamierzał zabrać ze sobą dwa wypełnione zapiskami notatniki — grube, wytarte zeszyty z notatkami o charakterze naukowym i osobistymi obserwacjami. Dwadzieścia

lat pracy. Ale w ostatniej chwili pojawiło się przecucie, że nie powinien mieć przy sobie tego rodzaju pamiętnika. Zawsze kopiował wszystkie dane. Dzięki temu oryginał dziennika spoczywał teraz wygodnie na półce z książkami w jego gabinecie w Petersburgu. Egzemplarz podróżny ukrył w sejfie kairskiego hotelu. Końcowe odkrycia opisze po powrocie.

Jeszcze chwila i stanął na zmęczonych, lecz ochoczych nogach, by wspiąć się z doliny zboczami Dżebel al Lawz.

Kiedy znajdzie się na szczycie tej góry, udowodni światu, że nowa fala bezbożnej nauki nie ma żadnych podstaw. Świat w końcu zobaczy i będzie musiał uznać, że twierdzenia Starego Testamentu to fakty. Jego odkrycie będzie szczytowym momentem stulecia odkryć naukowych i postępu, będzie tryumfalnym kontratakiem archeologii na to wszystko, co w ciągu minionych trzydziestu lat uczyniono, żeby podważyć chrześcijańską wiarę.

Atak na chrześcijaństwo nie zaczął się wcale trzydzieści dziewięć lat temu od opublikowania przez Darwina *O pochodzeniu gatunków*. Zasiew ateizmu kiełkował przez cały wiek dziewiętnasty. Spopularyzowanie teorii ewolucjonistycznej nadało jednak ogromny impet przenikającemu cały świat racjonalizmowi. Z każdego intelektualnego i akademickiego zakątka wypełzały kłamstwa mówiące, że życie pojawiło się dzięki ślepemu trafowi, że człowiek ewoluował od niższych form biologicznych i że podany w Księdze Rodzaju opis dzieła stworzenia to tylko niczym nie poparty mit.

To, co już wkrótce ukaże światu, unicestwi ten fałsz, zmieni go w wszechogarniające objawienie! Udowodni sceptykom i ateistom, filozofom i uczonym, że człowiek nie pochodzi od małpy, lecz jest dzieckiem i dziełem Boga.

Czterdzieści minut później nadal piął się mozolnie i tak szybko, jak pozwalały zmęczone nogi i pokryte pęcherzami stopy. Nie miał przed sobą żadnej ścieżki, ale szedł coraz wyżej bez najmniejszego wahania — pośród niskich zarośli, wokół rozgrzanych szarych głazów, po stromych i zdradliwych skałach — ciężko dysząc z

wyczerpania, ocierając pot z twarzy, osuwając się od czasu do czasu, ale zawsze podnosząc się i uparcie dążąc ku szczytowi. Przygotowując się do owej chwili, przebył w myślach tę drogę wiele razy, ślęcząc nad stosem map, z których niejedną sam nakreślił.

Znowu przystanął, krzywiąc się mimowolnie z bólu. Wąskie paski ciężkiego plecaka wpijały się w barki. Nie pomagało poruszanie ramionami ani próba przesunięcia ciężaru.

Wśliznął się w cień głazu. Zrzucił plecak, oparł się ciężko o kamień i wypuścił powietrze z płuc. Pałące słońce wytopiło z niego całą energię. Minęło już dziesięć godzin od chwili, kiedy rozbił tego ranka obóz. Czuł, jak z jego ciała uchodzą siły. Znowu sięgnął po menażkę, otworzył ją i wypił kilka łyków. Pozwolił, żeby maleńki strumyczek spłynął mu po brodzie na rozpiętą, przepoconą koszulę koloru khaki. Nalał odrobinę wody na dłoń i przetrął nią oczy.

Był całkowicie wyczerpany — to pewne. Nie chodziło o to, że jest za stary na taką wspinaczkę. Słońce i wiatr połączyły swe siły, by nadać jego twarzy wygląd jakby zwietrzałej i dziesięć lat starszej. Ale po roku nieprzerwanej i niebezpiecznej wędrówki, po przebyciu dwustu mil przez pustynię, a wreszcie po pokonaniu kilku wulkanicznych stoków ciało i umysł prawie już zgasty.

Wyjrzał ze swego cienia — tym razem w dół, w stronę miejsca, z którego tu dotarł. Wiedział, że go śledzą. Dopiero niedawno uświadomił sobie kto i dlaczego. Wokół niego zaciskała się złowroga sieć. Nie sposób już temu zaprzeczyć.

Myśl o pościgu przywróciła mu poczucie, że nie ma czasu do stracenia. Z wyschniętych warg dobył się cichy jęk, kiedy wędrowiec zaczął zmagać się z plecakiem i dźwigać na nogi.

Od ponad roku studiował każdą przepaść tej góry. Na zewnątrz jego złane potem ciałem buntowało się przeciwko bezlitosnemu skwarowi. W środku serce drżało, zdawał sobie bowiem sprawę, ku jakiemu celowi zmierza.

Wszchemogący ukazał swoje oblicze, lecz nie nowoczesnemu Mojżeszowi, nie ewangelicznemu świętemu. Mimo to wędrowiec

był głęboko przekonany, że Bóg objawił mu prawdę być może równie wielką dla tego pokolenia jak prawda ukazana wielkim starostamentowym prorokom.

Czy to możliwe? — pytał sam siebie. — Czy to możliwe, żeby sam Mojżesz stawiał stopy na tym zboczach podczas swej wspinaczki na świętą górę, którą zamieszkiwał Jahwe Elohim... Bóg Wszechmogący? Gdzie spał przez te czterdzieści nocy? Czy zmrużył choć na chwilę oczy?

Archeolog piął się coraz wyżej, a przez jego głowę przemykały żywe obrazy dawnych wydarzeń — jakby sam przeżywał je w tej chwili na nowo.

I znowu zamarł bez ruchu. Podniósł wzrok ku niebu. Przyjrzał się strzępowi samotnej chmurki, która zawisała nad szczytem. Przypomniał sobie głos Boga, kiedy Pan zapisywał słowa przykazań. Czy Jego sługa zamieszkiwał jedną z wielu pieczar rozsianych po zboczach — niezdolny znieść Bożą Obecność, *Szechina*, chwałę Adonai, Pana?

A tysiące lat przedtem, stopa...

Nie, nawet nie potrafił zdobyć się na to, żeby dokończyć zdanie. Ta myśl przytłaczała swym ogromem, nie sposób było wypowiedzieć jej na głos. Jeszcze nie.

Całe lata marzył o tym, żeby wykrzyzczeć objawienie całemu światu. I wreszcie ta chwila jest bliska. Jeśli naprawdę stąpał po śladach tamtych stóp, a był wszak tego pewny, to wówczas...

Coś kazało mu spojrzeć w dół.

Na zachodniej równinie zobaczył mały obłok kurzu, który wzbijał się pośród pustkowia. Ciało wędrowca przebiegł dreszcz strachu. Zmrużył oczy, sięgnął po lornetkę. Jedno spojrzenie przez soczewki wystarczyło, żeby potwierdzić przeczucia.

Jak udało im się dotrzeć za nim aż tutaj?

Pozbył się ich w Kairze. Był tego pewny! A jednak są tu, i to konno! Nic dziwnego, że poruszają się tak szybko.

Ani chwili do stracenia!

Ściskając w jednej dłoni lornetkę, archeolog podjął natychmiast mozolną wędrówkę — nie na tyle szybką, by można ją było uznać za bieg, choć pokonywał teraz dystans w tempie dwu-, może nawet

trzykrotnie większym. Musi wdrzeć się gdzieś wyżej i poszukać kryjówki. Pan będzie jego obroną. Jeśli to miejsce jest święte, Bóg z pewnością nie pozwoli, by niegodziwcy przeszkodzili mu w obnażeniu prawdy.

Rychło poczuł ogromny ciężar w nogach zmęczonych wysokogórską wspinaczką. Nagle zaczepił czubkiem buta o coś wystającego z ziemi. Zachwiał się. Lornetka potoczyła się po skale. Wyciągnął ręce, żeby uchronić się przed upadkiem, i rozciął sobie dłonie o ostrą krawędź skalną.

Na poplamionej koszuli ukazało się kilka kropli krwi.

Kiedy dźwignął się na nogi, czerwone krople z dłoni nie spłynęły na spodnie, ale zabarwiły korzeń, o który się potknął. Nie zobaczył jednak tego korzenia, nie odgadł, co oznacza.

Podniósł lornetkę, w której stuknęła się przy upadku jedna soczewka, i pospieszył wyżej.

Dwa kilometry z tyłu trzech jeźdźcy dotarli właśnie do podstawy góry, gdzie skąpany w promieniach słońca samotny wielbłąd przeżuwał coś leniwie, przywiązany do mocnego, twardego krzewu. Nie rosło tu nic, co nadawałoby się na strawę dla zwierzęcia. Było to prawdziwe pustkowie. Czy kiedykolwiek coś tu rosło?

Jadący na czele ściągnął cugle. Skrzypienie skóry i niecierpliwe stąpanie ciężko okutych kopyt zmieszały się z ciężkim oddechem człowieka i zwierzęcia. Mieli za sobą wyczerpującą drogę z Akaby. Wystarczyło pół minuty, by jeźdźcy wypatrzyli przez mocne lornetki miejsce, do którego dotarła ich ofiara.

Przywódca wskazał ręką z boku, skinął na dwóch towarzyszy i ścisnął piętami boki pustynnego rumaka. I znowu ruszyli we trzech w pogoń za wyczerpanym wędrowcem. Póki się da, będą ścigać go konno.

Dwadzieścia minut później zeskoczyli z siodła i ruszyli szybkim krokiem dalej. Mieli wypoczęte nogi, ramiona nieobciążone plecakami ze sprzętem. Prowiant i wyposażenie, które mogą być potrzebne, kiedy będzie już po wszystkim, a także zapas wody, wystarczający na powrotną podróż nad północną Akabę, zostawili na koniach.

Każdy z trójki zabrał tylko lornetkę i strzelbę Enfielda. Mieli przed sobą wyraźnie określony cel, nie mający nic wspólnego z poszukiwaniami archeologicznymi.

Nad nimi, znacznie bliżej niż jeszcze przed chwilą, dyszał coraz ciężej człowiek, którego ścigali. Koniec wydawał się nieunikniony. Oglądał się raz po raz i doskonale wiedział, w jakiej sytuacji się znalazł. Nie miało już znaczenia ustalenie, jak natrafili na jego ślad, ważne było tylko to, żeby znaleźć jakąś kryjówkę — jeśli nie dla siebie, to chociaż dla notatek z ostatnich dni. Skoro nie może obwieścić światu o swoim odkryciu, widać nie było mu to pisane, ale Pan przyprowadzi tu kogoś innego. Musi znaleźć jakieś miejsce...

Zza pleców doszedł go ostry odgłos strzału. Odłamek skalny odprysnął po prawej stronie, niewiele ponad metr od niego. Okruchy granitu poleciały we wszystkie strony.

Odruchowo przywarł brzuchem do ziemi. Zaraz padnie następny strzał. Nasłuchiwał. Echo pierwszego strzału umilkło. Na dawny wulkan spłynęła znowu cisza.

Dźwignął się na kolana, potem wstał ostrożnie i popędził przed siebie. Huk wystrzałów dodał mu nowych sił. Tamci zyskiwali dystans szybciej, niż sobie wyobrażał. Znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacji i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał żadnych możliwości obrony. Wśród sprzętu potrzebnego archeologowi do pracy nie było strzelby.

Wąska perć zakręcała w tym miejscu. Dalej, biegiem!

Jeszcze jeden strzał. W momencie, kiedy się obracał, kula zaryła w zbocze urwiska. Sto metrów za nim rozległo się plugawe przekleństwo; ścigający opuścił strzelbę i podjął pościg.

Po lewej stronie wędrowiec dostrzegł nagle małe, mroczne wejście do pieczary, częściowo zasłonięte sterczącym blokiem skalnym. Wpadł do środka.

Obmacując gorączkowo skałę, archeolog natychmiast zorientował się, że nie znajdzie tu dla siebie kryjówki. Pieczara była płytka i z łatwością go w niej znajdą.

Chwyił za paski plecaka i zrzucił brzemień z ramion. Przynajmniej jego sekret będzie tu bezpieczny. Pochylił się, żeby

umieścić cenny płócienny worek w najdalszym kącie czerni. Odmówił szeptem krótką modlitwę, a potem, zgięty w pół, wyszedł szybko na zewnątrz.

Zrobił trzy kroki i stanął wyprostowany w słońcu. Przez chwilę stał, mrużąc oczy, a potem pobiegł dalej pod górę; pozbył się obciążenia i pędził teraz, jakby miał skrzydła u nóg.

Nic z tego. Trzej spieszeni jeźdźcy byli tuż za nim.

Pokonał ledwie czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów, kiedy w powietrze wzbil się odgłos kolejnego strzału, któremu tym razem towarzyszył krzyk bólu. Archeolog padł na ziemię, z prawej łydki trysnęła krew.

Wstał z trudem i straszliwie kulejąc, spróbował biec. Wiedział, że jego życie dobiega końca. Jeśli była to niegdyś góra Obecności Stwórcy, tym samym pozostała do dzisiaj. Umrze szczęśliwy w tym świętym miejscu. Oddał życie, poszukując prawdy, i niczego nie żałował. Jeśli nie nadszedł jeszcze czas objawienia, z pewnością prędzej czy później nadejdzie.

Musi jednak oddalić się jak najbardziej od pieczary, żeby nie udało się im...

Kolejny ogłuszający wybuch. Tym razem krwią spłynęły jego plecy. Padł twarzą w skalny pył.

Pozostało mu jeszcze kilka sekund świadomości.

„Panie... Panie mój i Boże — szeptał bezgłośnie — chroń... tajemnicę tego miejsca... w czasie, który wskażesz... o Boże... Panie mój...”

Minęło ledwie dwadzieścia sekund i ciężkie kroki ustały. Bucior kopnął bezwładny kształt leżący na ziemi, obracając go na plecy. Krew wsiąkała już w cienką warstwę suchej ziemi okrywającą skałę.

Dwie kolejne postacie w ciężkich butach pojawiły się na miejscu niecnego czynu.

— Nie żyje — powiedział pierwszy ze ścigających.

— Co zrobimy z ciałem? — spytał drugi.

— Dla mnie może tu zgnić. Uciszyliśmy go i tego właśnie mieliśmy dopilnować.

Wypowiadając te słowa, mężczyzna zepchnął kopniakami ciało na pobocze wąskiej perci. Potoczyło się w dół.

— W tym zapomnianym przez Boga miejscu jedynymi żywy-
mi istotami są sępy.

— Zgotują mu odpowiednie powitanie.

Morderca i dwaj wspólnicy odwrócili się i zaczęli schodzić. Piętnaście minut później przeszli nad wystającym z ziemi, pokrytym czerwienią korzeniem. Krew już zakrzepła. Nie mieli pojęcia, że postawili stopy nad dowodem, którego szukała ich ofiara.

Wszystko jednak, co jest ukryte, zostanie odsłonięte. I w czasie wskazanym przez Tego, który przemówił niegdyś na tej górze, objawienie zostanie objawione.

CZEŚĆ PIERWSZA

ARARAT

Chłuba wszelkiego stworzenia wygnana za grzechy
Z raju; i długo trwały czasy oddzielenia,
A człek nie znał godziny, gdy zazna pociechy;
Lecz ona przyjdzie, niosąc ludziom znak zbawienia.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ODKRYCIE STULECIA

1.

Dwie nogi kołysały się niebezpiecznie nad postrzępionym lodowym urwiskiem.

Jeszcze ostatnia próba: szarpnięcie cienkich biegnących do góry lin. Robiły wrażenie za cienkich do tego zadania. Ale tak naprawdę, były dość mocne, żeby zawiesić na nich mamuta.

Potem padła komenda:

— Opuszczać!

Postać w pomarańczowym puchowym kombinezonie zaczęła osuwać się wolniutko z lodowej krawędzi prosto w niczyją krainę bezkresu. Pod ramieniem żurawia, na którym była zawieszona, rozciągało się sto pięćdziesiąt metrów pustki. Gdzieś w dole jak okiem sięgnąć szczyty górskie i lodowce. Dokoła.

Znacznie poniżej śmiałego zdobywcy gór, w lodowcu nad wąwozem Ahora przecinającym północny stok, widać było czarną paszczę — z pozoru małą, ale przecież dość szeroką, by go pochłonąć — paszczę kryjącą tajemnicę, która już wkrótce będzie przedstawiona czekającemu na tę chwilę światu.

Otwór, ku któremu opuszczano go przez pustkę, miał ledwie dwa metry średnicy. Został wytopiony w lodzie dzięki wykorzystaniu

najnowszej zdobyczy techniki, lamp, które spuszczone na dwóch grubych linach przymocowanych do tego samego żurawia. Trzecim przewodem dostarczano do szczeliny podtrzymujący ogień tlen. Jednocześnie wodę powstałą wskutek topienia lodu wysysano gigantyczną dentystyczną rurą, którą podtrzymywała czwarta lina. Na kolejnej linie zawieszono zdalnie kierowaną kamerę telewizyjną, która pozwalała zespołowi ulokowanemu w bezpiecznym obozie powyżej we właściwy sposób reagować na każdą sytuację. Operacja, skoordynowana przez najwyższej klasy, opracowany zgodnie ze wskazówkami Livingstone'a program komputerowy, łączyła w sobie to, co NASA miała najlepszego w dziedzinie inżynierii z najbardziej skomplikowanymi wynalazkami medycznymi. Dzięki temu można było dokonać przestrzenno-czasowej archeologicznej artroskopii jednej z najstarszych lodowcowych pokryw na naszym globie.

Jedynym potencjalnym zagrożeniem, nad którym nie mógł zaprowadzić ani człowiek, ani komputer, był wiatr. Na wysokości prawie pięciu tysięcy metrów nie można go było przewidzieć, a już szczególnie zdradziecki bywał tutaj, na wschodniej tureckiej wyżynie. Kiedy się zerwie, ani żaden astronauta, ani chirurg-kardiolog, choćby mieli do dyspozycji nie wiadomo jakie komputery, nic nie poradzą na gwałtowne rozkołysanie zwisających z żurawia lin.

Na szczęście wiatr zachowywał się zgodnie z optymistyczną prognozą wchodzącego w skład zespołu meteorologa.

Wytapianie prowadzono we wczesnych godzinach porannych przez dwa kolejne spokojne dni. Modlili się wtedy, żeby jakaś nieprzewidziana zawierucha nie nawiała śniegu do utworzonego w ten sposób zagłębienia i żeby pogoda utrzymała się jeszcze przez trzeci dzień.

Dzięki temu można było zamiast lamp do wytapiania spuścić na linach człowieka. Będzie mógł śledzić wzrokiem proces odkrywania, dotknąć tego, co okaże się — wszyscy tu mieli taką nadzieję — tym właśnie, co ujawniły ubiegłej wiosny spektrograficzne badania, a potwierdził i sprecyzował dwa tygodnie temu podpowierzchniowy

sprzężony radar. Na dnie studni o szerokości dwóch metrów przeprowadzi wszelkie możliwe testy, pobierze próbki i będzie mógł wskazać dalsze działania.

Ani śladu zawieruchy. Wiatry trzymały się z dala od tego miejsca. I oto teraz, tuż po siódmej rano trzeciego pięknego dnia, nadszedł długo oczekiwany moment.

Pomarańczowa postać powoli opuszczała się coraz niżej ku otworowi. Co najmniej pięćdziesiąt kamer wideo utrzymywało tę chwilę z rozmaitych miejsc zbrocza nad krawędzią urwiska.

Od stuleci marzyli o tym archeolodzy, historycy i kaznodzieje. To odkrycie będzie najważniejszym punktem szczytowym tysiąclecia technologicznego postępu, oderwie bowiem na chwilę uwagę człowieka od rozważań nad tym, kim się może stać, a skieruje ją na to, skąd się wziął. Jeśli przewidywania okażą się trafne, właśnie tutaj wykiełkowało ziarno, z którego zrodziła się cała ludzkość.

Zapewne niewielu spośród tych marzycieli wyobrażało sobie w najgłębszych zakamarkach duszy, że przyjdzie czas, kiedy ktoś postawi stopę w tym prastarym miejscu — legendarnym i mitycznym zdaniem jednych, a zdaniem innych takim, w którym Bóg rzeczywiście interweniował w sprawę człowiecze.

Dzięki pomysłowości współczesnego człowieka dzieją się rzeczy uznawane dawniej za niemożliwe. Ludzka istota wysiadła ze statku kosmicznego o nazwie „Eagle” i postawiła stopę na powierzchni Księżyca. W tym samym momencie pojęcie rzeczy niemożliwej przeszło do historii.

Teraz nadeszła bardzo podobna chwila. Dla archeologów ten dzień był z pewnością nie mniej ważki niż tamten lipcowy dzień



1969 roku. Nadchodzące dziesięciolecie pokażą, czy nazwisko Adam Livingstone będzie tak samo znane potomności jak nazwisko Neil Armstrong.

Tego ranka, kilkadziesiąt lat po wyczynie amerykańskiego astronauty, zuchwały Anglik, archeolog, odkrywca i śmiałek, z narażeniem życia kołysał się w powietrzu na końcu sznura. Z pewnością skupiał w tej chwili na sobie uwagę całego świata — podobnie jak przedtem Armstrong, kiedy wyszedł na spotkanie z historią.

Adam Livingstone był jednak całkowicie skoncentrowany na tym, co miał do zrobienia. Zbliżał się powoli do celu, który wyznał sobie dziesięć lat temu. Postanowił, że będzie odkrywał miejsca nieznanе dotąd żadnemu śmiertelnikowi i że jako pierwszy do nich dotrze. Marzył o tym, że w dziedzinie archeologii będzie tym, kim Aleksander był na polu podbojów, Kolumb — odkryć geograficznych, Edison — techniki i Einstein — fizyki jądrowej.

W wieku trzydziestu czterech lat dokonał już na tej drodze niejednego. Wczorajsze prace wykopaliskowe — czy raczej „wytapialnicze” — oraz dzisiejsza eksploracja szybu przyniosły sukces, z pewnością więc jego nazwisko poszybuje ku jeszcze bardziej niebotycznym wyżynom międzynarodowej sławy.

Livingstone zerknął w dół. Istotą jego działalności było zawsze drażnienie otworów prowadzących do przeszłości, lecz to, co miał w tej chwili przed sobą, będzie z pewnością największym osiągnięciem, jakie człowiek może sobie wyobrazić w tej dziedzinie. Miał nadzieję, że dotrze do najstarszego ze znanych człowiekowi punktów wyjścia... że dotrze ni mniej, ni więcej tylko do tego, co zostało opisane w szóstym rozdziale Księgi Rodzaju.

Przebył już dwie trzecie drogi w dół... przed nim jeszcze jakieś sześćdziesiąt metrów. Pod sobą widział wszędzie biel — poza parą swoich dyndających pomarańczowych nóg. Niebo nad nim lśniło bładym błękitem w oślepiającym porannym jesiennym słońcu, które wychyliło się właśnie spoza szczytów za jego plecami.

Ani tchnienia wiatru. Cały świat pogrążył się w ciszy i spokoju. Adam nie czuł prawie nic, czasem tylko jakiś leciutki ucisk albo

szarpięcie szelek alpinistycznej uprzęży. I tylko ledwo wyczuwalny prąd powietrza muskającego jego policzki świadczył, że ciągle posuwa się w dół.

Bez pośpiechu obrócił głowę, by spojrzeć na góry lodu i śniegu.

Co za niesamowity spokój — pomyślał. Czuł, jakby wyzbył się ciężaru ciała i swobodnie szybował w powietrzu. Zimno. Powinien był założyć gogle. Nic jednak nie przeszkodzi mu śledzić szeroko otwartymi oczami każdej sekundy tego pamiętnego dnia.

Długo na to czekał.

2.

Zuchwały archeolog nie miał złych przeczuc ani lęków. Przy jego pracy byłyby tylko obciążeniem.

Kiedy jednak spojrzął w pustkę pod nogami, przez jego umysł przemknęła niespokojna myśl: A jeśli coś się nie uda?

A jeśli kusi los o ten jeden raz za dużo? Czy gotów byłby spojrzeć śmierci w oczy? Czy mógłby w tej chwili stanąć, jak powiadają, przed Stwórcą?

Zbył tę myśl śmiechem.

To zbyt piękny moment, zbyt tryumfalny, żeby psuć go takimi myślami. Zresztą nie wierzy w nieśmiertelność, co to więc za różnica? Życie to życie. Tylko ono się liczy. Trzeba przeżyć je najpełniej jak się tylko da. Potem umiera się i już. Tak to jest. Nie warto martwić się zawczasu. Jeśli zaś chodzi o stanięcie przed Stwórcą, Adam Livingstone był za bardzo dziećciem swoich czasów, żeby się nad tym zastanawiać. Nie zamierzał przed nikim stawać, kiedy przyjdzie dla niego ostatnia chwila. Jego życie dokona się całkowicie po tej stronie granicy śmierci i nie ma najmniejszego zamiaru myśleć o tym, co jest po drugiej.

Zresztą — rozmyślał Livingstone — sam zaprojektowałem całą tę uprzęż, na której wiszę. Ufał bezgranicznie sprzętowi, swojemu zespołowi, no i sobie.

27

Jego myśli zwróciły się na moment ku Candace.

Czy w życiu, które sobie zaplanowałem, jest miejsce na małżeństwo i rodzinę? — myślał. Czego pragnę dla siebie w przyszłości — bez względu na to, jak długa się ona okaże?

Dwa tygodnie temu zjedli razem lunch u Harrodsa. Livingstone zjawił się tam, żeby zainaugurować archeologiczną wystawę, która miała upamiętnić zbliżającą się turecką przygodę.

— Jesteś na ustach całego Londynu, Adamie — powiedziała, nachylając się przez najbardziej odosobniony stolik, jaki udało się im znaleźć po zakończonych uroczystościach. — Jaka jestem szczęśliwa, że mam cię wyłącznie dla siebie.

— Mogłabyś mieć każdego mężczyznę w całej Anglii, Candace — odparł i roześmiał się beztrąsko.

— A może ja nie chcę każdego mężczyzny? — Uśmiechnęła się przekornie i zajrzała mu w oczy. — Chodzi tylko o to, żebyś szybko zjawił się w Swanspond — dodała.

— Tato umiera z niecierpliwości, żeby znowu cię zobaczyć.

Livingstone znowu się roześmiał.

— Spróbuję zaraz po powrocie z Turcji.

— Tato będzie rozczarowany, kiedy dowie się, że nie zajrząz przed wyprawą.

— Twój ojciec jest człowiekiem zbyt ważnym, żeby przejmować się moją osobą. Candace, kochanie, czy jesteś pewna, że nie wykorzystujesz go, żeby osiągnąć własne cele?

— A jeśli nawet? — Wydęła leciutko dolną wargę.

— Czy to takie niemądre? Wiesz, Adamie, że kobieta może czekać tylko jakiś czas.

Naprawdę powinienem się z nią ożenić — pomyślał Adam. Ale czy naprawdę chce wciągać kogoś w życie związane z wykonywaniem takiego zawodu? Czy on, Adam, naprawdę chce mieć żonę? Czy ma czas choćby na to, żeby się zakochać?

Te wszystkie myśli przemknęły mu przez umysł w jednej chwili.

Z zamyślenia wyrwał go krótki błysk światła w dole, po jego lewej stronie. Pewnie odbicie światła słonecznego od kryształku lodu.

— Co ja właściwie robię? — powiedział. — Nie czas na rozważania o małżeństwie i śmierci! To czas, żeby zająć się tym, co do niego należy.

3.

Znowu spojrzął w dół. Jeszcze tylko piętnaście metrów. Mroczna plama szybu ciągle się powiększała pod jego nogami. Najpierw była jak kropka, a teraz jawiła się jako tunel wydrążony pośrodku niedostępnego lodowca. Wszystko idzie! zgodnie z planem.

— Teraz wolniej!... Jestem prawie na miejscu — powiedział do małego mikrofonu wszytego w kombinezon tuż pod podbródkiem.

Natychmiast poczuł maleńkie szarpnięcie, wskazujące, że zaczęli opuszczać go wolniej. Potem zawisł nieruchomo w powietrzu.

— Jesteś nad otworem? — przemówił miniaturowy głośnik wmontowany w hełm tuż przy prawym uchu Adama.

— Nieco z boku... Pół metra, może metr.

— W którą stronę?

— Widzicie mnie dobrze. Podciągnijcie trochę do tyłu i w moją prawą stronę.

— Dobra, naprowadzamy żuraw... Powolutku.

Livingstone zakołysał się lekko, kiedy przesunięto miejsce zaczepienia liny.

— Dobrze, w porządku. Jestem nad otworem. Poczekajcie, aż przestanę się kołysać...

Chwila milczenia.

— ...A potem opuście mnie. Powoli! Znowu zaczął się obniżać.

— Doskonale... osiem metrów... sześć... pięć... Lina zaczęła się zsuwać jeszcze wolniej.

— Trzy metry... dwa i pół... dwa... półtora... jeden... Stop! Zawisł bez ruchu.

— Gdzie jesteś? — usłyszał pytanie.

— Chyba patrzycie na mnie! — odparł Adam. — Co to za pytanie?

— Widzimy cię dobrze — odparł Scott Jordan, najbliższy przyjaciel Livingstone'a, Amerykanin, który był dla niego liną ratunkową i powiernikiem w tylu przygodach, że żaden z nich dwóch nie potrafiłby ich zliczyć. — Chcemy się dowiedzieć, jak to wygląda z miejsca, w którym jesteś.

— Jestem dokładnie na wysokości otworu. Mogę dotknąć stopami krawędzi.

— Co widzisz w środku?

— Ciemność. Zaraz... zapalę latarkę.

Sięgnął po przytroczoną do boku halogenową latarkę, włączył ją i skierował prosto w dół mocny strumień światła.

— Nic — powiedział. — Głęboko — dodał i roześmiał się.

— Masz pietra, Adam?

— Powiedziałem coś takiego? Daj spokój, Scott... Eagle 2 do Zespołu Kontroli... zaczynamy widowisko. Opuszczają! Chcę zobaczyć, co jest tam w dole!

— W porządku, ty tu rozkazujesz! Dalej, dawać luz!

4.

W momencie, kiedy zaczęli znowu opuszczać archeologa, w namiocie Jordana rozległ się dzwonek osobistego telefonu satelitarne-go.

— Odbierz, Jen, dobrze? — rzucił, nie odrywając wzroku od monitora.

— To Waszyngton, Scott — oznajmiła z melodyjnym, skandynawskim akcentem dziewczyna, która pełniła rolę drugiego zaufanego asystenta Livingstone'a.

— Czyżby Stuart?

— Tak. Co mam mu powiedzieć? Z pewnością nie chcesz...

— Najlepiej będzie, jeśli jednak z nim porozmawiam — przerwał przystojny czarnoskóry mężczyzna, odsłaniając w uśmiechu wspaniałe uzębienie. — Ten facet zostanie któregoś dnia prezydentem. Chcę, żeby był po naszej stronie, kiedy przyjdzie nam rozejrzeć

się za sponsorem. Prosiłem, żeby zatelefonował. Przyłóż mi telefon do ucha. Nie mogę puścić sterowników.

Jen wykonała polecenie.

— Marcos?... To ty? — powiedział Jordan, nadal wpatrując się uważnie w monitor.

Przez chwilę słuchał w milczeniu.

— Jasne, stary, niewiele brakowało, a przeszłoby ci koło nosa. Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w samym środku prac przy największym odkryciu wszechczasów. Poproszę Jen, żeby cię nie rozłączała. Nie będziesz mógł nic nam powiedzieć, ale przynajmniej będziesz słyszał Adama i mnie... No właśnie... W porządku, wkrótce pogadamy.

Jordan skinął głową. Jen cofnęła rękę z telefonem, ale nie przewała połączenia, a Scott z powrotem skupił całą uwagę na swoich obowiązkach.

Stopy Livingstone'a powoli weszły w obręb cylindrycznej lodowej studni. Potem kolana... ramiona... a wreszcie całe ciało znalazło się w środku i ci z góry nic już nie widzieli.

— Zniknąłeś z ekranu — usłyszał Adam głos Jordana.

— Ale nadal tu jestem — odparł.

— Masz dość miejsca, żeby się poruszać?

— Chyba tak.

— Jak tam głęboko?

— Bo ja wiem... ciągle nie widzę dna. Latarka oświetla tylko lodowe ściany. Jestem w pionowej lodowej rurze... Lekko niebieskie zabarwienie brzegów obszaru oświetlonego.

— Włączam kamerę na hełmie.

Przez chwilę nie rozmawiali. Livingstone zagłębiał się coraz bardziej w mroźną ciemność. Panował tu niesamowity spokój. Jeśli coś teraz zawiedzie, po nim. Ale nic nie może zawieść. To właśnie ta chwila, chwila tryumfu.

Odchylił głowę, żeby spojrzeć tam, gdzie znajdował się dwumetrowy okrągły otwór, i zobaczył malejący krążek błękitnego światła.

Na chwilę zgasił latarkę. Wessała go ciemność. Spokój panujący w lodowym szybie był zupełnie inny niż spokój na powierzchni.

Powietrze wydawało się martwe — zimne, jakby puste. Ile lat mogą mieć te zamrożone ściany? — zadał sobie w myślach pytanie.

W swoim życiu był już dziesiątki razy w ciasnych, niezwykłych i niebezpiecznych miejscach. Zbadał mnóstwo lodu z otworów wywierconych w lodowcach. A teraz sam znalazł się w środku lodowca. To zupełnie nowe doznanie... niesamowite, poczucie tajemnicy.

— Hej, tam na dole! Co u ciebie? Zgasło światło!

— Nie przejmuj się, Scott. Chciałem zobaczyć, do jakiego stopnia jest tu ciemno.

Livingstone zapalił z powrotem latarkę, potem podniósł rękę, żeby ustawić umieszczoną na hełmie lampę czołową. Pochylił głowę, kierując światło i spojrzenie prosto w głąbię. Gdzieś w dole jest dno. Widział je wczoraj na monitorze. Mimo to nie mógł powstrzymać dreszczu na myśl, że jego oczy jako pierwsze zobaczą je naprawdę.

Pozostawało jednak ciągle to samo, niezmiennie pytanie: Czy to, co zobaczyli po wyłączeniu lamp grzewczych i usunięciu wody z dna studni... czy mogło to być po prostu poziomym spłachciem skały? A może pniem prehistorycznego drzewa? Jedynym sposobem znalezienia odpowiedzi było posłanie kogoś, żeby to sprawdził.

— Czekaj!... Zdaje się, że coś widzę! — wykrzyknął Livingstone.

Zaskoczyło go echo własnego głosu, dudniące głucho w szybie. Znalazł się jakieś sześćdziesiąt metrów poniżej powierzchni lodowca. Pod sobą... tak, pod sobą zdołał wreszcie wypatrzeć dno studni, w którą go opuszczano.

— Mam dno... Jeszcze jakieś dwadzieścia pięć metrów.

— Zwolnimy opuszczanie — powiedział Jordan.

— Jeszcze nie. Dawajcie w dół!

— Musisz więc odliczać. Nie chcę, żebyś się rozbił.

— Dziesięć-cztery, Zespół Kontroli Lotów — zaczął Livingstone podnieconym głosem, starając się naśladować styl meldunków NASA. — Około piętnastu metrów.

Cisza.

— Dziesięć...

Spowolniono wypuszczanie liny. Czy to samo czuł Armstrong,

kiedy schodził drabinką z „Eagle'a” i zastanawiał się, czy utrzyma go księżycowy pył? Co napotkają jego stopy, kiedy zetkną się z powierzchnią na samym dole studni?

— Sześć metrów... pięć... trzy...

Adam Livingstone czekał z bijącym sercem na rozstrzygającą chwilę.

Latarka ukazała już wyraźnie drewno, stare drewno, na którym postawi za chwilę stopę. Jako pierwsza ludzka istota od czasów Noego stanie na tych w cudowny sposób ocalałych deskach — taką miał w każdym razie nadzieję.

— Zatrzymaj na chwilę, Scott... muszę poprawić jedną z taśm.

5.

Osiem godzin drogi na zachód od tego miejsca nadal trwała noc.

Słońce roziskrzające lodową pokrywę, w którą Adam Livingstone wwiercał się niby człowiek-kret, zaszło ledwie kilka godzin temu. Senator Stanów Zjednoczonych Ameryki, Marcos Stuart, siedział w swoim waszyngtońskim gabinecie przed telewizorem jak przykuty do fotela. Z leżącego na biurku przed nim telefonu, przełączonego na urządzenie głośno mówiące, płynęła puszczona na pełny regulator historyczna i pełna dramatycznego napięcia rozmowa między przyjacielem senatora i archeologiem.

Ktoś zastukał do zewnętrznych drzwi.

— Proszę! — wykrzyknął, nie odwracając głowy, Marcos Stuart.

Drzwi za jego plecami otworzyły się. Stuart usłyszał kroki — najpierw w pokoju sekretarza, a potem przekraczające próg gabinetu, otwartego na oścież. Senator wiedział, kto to może być. Wolałby przez resztę wieczoru rozkoszować się samotnością. Ale od tego gościa bardziej niż od kogokolwiek zależało umocnienie jego pozycji, nie mógł się więc go pozbyć... o żadnej porze dnia i nocy.

— Pracujesz do późna, senatorze? — spytał przybysz.

— Siedzę tylko wydarzenia w Turcji.

- Kryzys o charakterze militarnym?
- Bynajmniej — roześmiał się Stuart. — Chodzi o archeologię.
- A prawda!... Zupełnie zapomniałem o twoim zamiłowaniu do nauki. Co się dzieje? — spytał natręt.
- Zerknął na monitor, ale nie mógł wyłowić żadnego sensu z tego, co pokazywała kamera. Raz kierowała się gdzieś w górę, raz na ziemię.
- Adam Livingstone jest bliski udowodnienia, że potop i Noe to nie bajka — rzucił żartobliwym tonem senator.
- Jego gość milczał. Stuart nie widział, jak po tych słowach zmarszczyło się jego czoło.
- A co to może cię obchodzić?
- Ten facet, Jordan... ten przy tablicy kontrolnej... Razem przeszliśmy szmat drogi.
- I co z tego?
- Kończyliśmy geologię w Colorado. Za nic w świecie nie przepuściłbym tej relacji.
- A Livingstone?
- Co Livingstone?
- Też dobrze go znasz?
- Chyba dość dobrze. Proszę tylko spojrzeć... To zdumiewające!
- Jak go poznałeś?
- Kiedy razem z Jordanem przenieśliśmy się na rok do Cambridge.
- Studiować tę samą dziedzinę?
- Senator potrząsnął głową.
- Livingstone robił specjalizację z archeologii. Napisał pracę, którą Scott mi kiedyś pokazał. Poza tym nie zajmowałem się nim, miałem dość roboty z własnymi studiami.
- A teraz?
- Podtrzymujemy kontakt przez Scotta.
- Bliski?
- Niezbyt. Obaj przyjaźnimy się ze Scottem, to wszystko. Tamten przetrwał w myślach usłyszane informacje.
- Nieważne, Marcos — powiedział. — To przeszłość. Jesteś teraz kimś. A twoja gwiazda dopiero wschodzi. Masz moje słowo.

Moi przyjaciele są w końcu skłonni spotkać się z tobą.

— Nie możesz zadzwonić jutro do mojej sekretarki, żeby umówić spotkanie? — spytał senator Stuart.

W jego głosie zabrzmiała wyraźna nutka zniecierpliwienia. Starał się skupić całą uwagę na ekranie telewizora. Ten człowiek nie mógł wybrać gorszego momentu na takie rozmowy.

— Chyba nie muszę przypominać ci, Marcos, że nie możemy porozumiewać się kanałami łączności publicznej.

Stuart skinął głową i mruknął coś pod nosem. W tym momencie z głośnika telewizora rozległ się głos oddalonego przyjaciela.

— Czy to nie może poczekać? — spytał z irytacją Stuart, wskazując głową ekran. — Patrz, znowu ruszył.

Gość nie odpowiedział od razu. Przez chwilę słucał, zaintrygowany przerywaną trzaskami rozmową, płynącą z telefonu.

— Doskonale, trzy metry... dwa... jeden...

W gabinecie zapadła cisza. Jedynymi dźwiękami były zakłócenia łączności telefonicznej.

— Będę w kontakcie — powiedział po chwili mężczyzna. Odwrócił się szybko i ruszył w stronę drzwi.

— Jeszcze jedno, senatorze — rzucił. Zatrzymał się na chwilę i spojrział zwięzionymi oczami przez ramię. — Moim zdaniem warto poświęcić moim ludziom więcej uwagi, kiedy uznają, że nadszedł odpowiedni moment na spotkanie.

W odpowiedzi Stuart mruknął coś niewyraźnie pod nosem. Ale jego gość był już za drzwiami.

6.

Odległy zakątek, na którym skupiła się na chwilę uwaga całego świata, przycupnął swym kanciastym konturem w samym środku przypominającego kształtem nos wybrzuszenia we wschodnio-środkowej Turcji, trzydzieści kilometrów od granicy armeńskiej,



dwadzieścia na północny zachód od Iranu. Szczyt górski, cel wyprawy, wznosił się ledwie kilka kilometrów od Gruzji, Azerbejdżanu i Iraku. Trudno byłoby znaleźć na całym świecie miejsce, gdzie skupiałyby się więcej sił dążących do zmian i ogniskowało więcej odwiecznych konfliktów niż tutaj, w tym sworzniu Europy, Azji i Bliskiego Wschodu.

Całe lata region ten przeszukiwało tysiące łowców sławy i biblijnych świadectw, ale w ostatnich dziesięcioleciach stał się trudno dostępny dla archeologów i amatorów przygód.

W tym czasie pojawiały się oczywiście pogłoski i legendy związane z obserwacjami terenu.

Podobno w 1905 roku pewien pastuszek o imieniu Jakub natknął się na arkę, szukając zaginionych kóz. Narysował potem przypominającą skrzynię łódź, która sterczała z lodu tuż przy krawędzi

stromego urwiska. Inny młody turecki pasterz, o imieniu Georgie, miał dwukrotnie wspiąć się na górę kilka lat później, dotrzeć do arki i nawet zajrzeć przez okna do środka.

W 1916 i 1917 roku rosyjscy żołnierze i naukowcy wyruszyli na pierwszą udokumentowaną wyprawę, której celem było odnalezienie arki. Ponoć weszli do środka ogromnego legendarnego statku, widzieli przegrody dla zwierząt, sfotografowali swoje znalezisko i sporządzili dokładną mapę terenu. Po powrocie do kraju pochłonęła ich jednak rewolucja. Wszystkie zdjęcia przepadły.

Wielokrotnie pojawiały się potem tego rodzaju opowieści, do których trzeba dodać zdjęcia wykonane przez samolot amerykańskiej marynarki i wiele relacji „naocznych” świadków. Fotografie wykonane przez lotnictwo marynarki nigdy nie zostały opublikowane — podobnie jak kilka dziesięcioleci wcześniej zrobione przez Rosjan.

Dziwnym trafem zdjęcia zawsze ginęły, co znacznie podważało wiarę w ich autentyczność. Dlatego nigdy nie wskazano precyzyjnie miejsca, gdzie dokonano obserwacji.

Wydawało się, że w końcu nadejdzie kres tej niepewności. Znacznie ulepszono metody fotografii podczerwonej i multispektralnej, dzięki czemu natrafiono na obiecujące tropy, których nie można było zlekceważyć. Rząd turecki, pod wpływem wysoko postawionych politycznych przyjaciół oraz rokowań finansowych prowadzonych osobiście przez Livingstone'a, wyraził dwa lata temu zgodę na realizację projektu, który teraz wszedł w fazę rozstrzygającą. Chodziło o plan dużo rozleglejszy niż wszystko, czego próbowano dotychczas. Doszło do zawarcia zgodnej z interesami wszystkich stron umowy między kilkoma zachodnimi rządami, trzema nie wymienionymi z nazwy amerykańskimi firmami, francuskim profesjonalnym konsorcjum i czterema ministrami brytyjskiego gabinetu, których nazwisk także nie podano.

Nie ujawniono żadnych szczegółów finansowych. Mimo to osobistości tureckiego życia politycznego oczekiwały, że będzie to nie lada gratka dla podupadłej gospodarki ich kraju — nękaną konfliktami frakcyjnymi, osłabioną wskutek problemów z kurdyjskimi

uchodźcami i z trudem odnajdującej się w nowym, postsowieckim porządku międzynarodowym. Spodziewano się przynajmniej takiej korzyści, jaką Plan Marshalla był dla powojennych Niemiec. Skoro wydanie pozwolenia na to, by międzynarodowy zespół poszukiwaczy pogrzebał w lodzie, wzbogaci narodowy skarbiec i jednocześnie napełni kieszenie paru wysokich urzędników, czemu odmawiać? Także nikt z Kartelu Livingstone'a, jak nieoficjalnie określano wyprawę, nie miał zamiaru przyglądać się zbyt dokładnie, kto obłowi się na całej sprawie. W tej części świata zadawanie zbyt wielu pytań zawsze uważano za niemądrą ciekawość. Póki więc mieli zapewniony dostęp do gór, uważali, że ich inwestycja jest bezpieczna. Nie zamierzali wnikać w szczegóły ani w to, jakie skutki wywrze na miejscowych układach politycznych.



Mieli pięć lat na prowadzenie badań. Po tym czasie umowę trzeba renegotjować. Zapewniała ona w pewnym sensie wynajęcie na pięć lat mierzącego ponad 4250 metrów wysokości szczytu, znanego Turkom pod nazwą Bu Agri Dagı. Opowiadano, że kilka lat temu Living-

stone brał udział w śmiałej akcji wywiezienia z Bagdadu paru wysoko postawionych tureckich osobistości, które znalazły się w opałach. Informacje o szczegółach incydentu miały charakter poufny i na zewnątrz przeniknęły tylko ogólności; nie ulegało jednak wątpliwości, że zachodzi jakiś związek między tą akcją i niespodziewanym złączeniem polityki w sprawie badań na Araracie. Rzeczone osobistości zawdzięczały Livingstone'owi życie, on zaś mógł uznać, że został wynagrodzony z nadwyżką za swój śmiały czyn.

Powołano rządowy komitet siedmiu, który miał nadzorować sprawę kartelu. Ale Livingstone, pozornie pozbawiony prawa głosu ósmy jego członek, był uznawany za osobę, która ma najwięcej do powiedzenia.

Wszystko było jego zasługą. Bez jego prestiżu, wiedzy, doświadczenia i reputacji wyprawa miałaby niewielkie szanse powodzenia. Obecność i charyzma Livingstone'a stanowiły najistotniejszy czynnik. Dzięki nim można było liczyć, że przedsięwzięcie zakończy się korzystnie dla wszystkich.

Jeśli chce się zawiązać zbiorową wyobraźnię, trzeba wprowadzić wątek osobisty. Osoby nadzorujące fundusze, jakie wpływały do tego kartelu, uznały, że tym wątkiem będzie sam Livingstone — przystojny, sławny, bogaty, uznawany za jedną z najlepszych partii w Anglii; według wszelkich kryteriów człowiek wybitny i stawiający przed sobą dalekosiężne cele. Ostatnio prasa poświęcała mu nie mniej miejsca niż księżnej Dianie.

Sprytni spece z amerykańskiej telewizji, walcząc o entuzjastyczne poparcie przedsięwzięcia w swoim kraju, wynieśli na prawie takie same wyżyny człowieka, który był prawą ręką Livingstone'a. Większość obywateli USA nie miała pojęcia, że projekt ma zasięg międzynarodowy. Sądząc, że chodzi tu o inicjatywę czysto amerykańską, śledzili ją z takim samym zapałem jak niegdyś lądowanie na Księżycu. Bez wątpienia w Stanach bardziej znany niż Livingstone był Scott Jordan i zapowiadało się, że to on zbierze całą śmietankę cały wiatr w swoje żagle.

Jego pochodzenie stało się przedmiotem zainteresowania afro—amerykańskiej grupy etnicznej, pełniąc rolę dobroczynnego antidotum na wzrastające ostatnio napięcia w stosunkach pomiędzy białymi i czarnymi, ponieważ Jordan zrobił dla archeologii to, co Tiger Woods dla golfa. A jeśli dodamy do nich drobną jasnowłosą, błękitnooką Szwedkę, Jennifer Swaner — wokół której unosiła się delikatna aura kontrkultury zaszczerpiona przez lata studiów w Północnej Karolinie — będziemy musieli przyznać, że główne role zostały obsadzone lepiej, niż uczyniłby to najlepszy hollywoodzki scenarzysta.

Jeżeli Livingstone wróci do Anglii z rękami pełnymi starożytnych znalezisk, jak oczekują jego zwolennicy, jego sława przyćmi szkockiego imiennika, który sto lat temu wyprawił się w głąb Afryki. Co więcej, drewniane skarby wydobyte z ziemi (albo raczej z lodu)

będą dla nauki równie cenne jak skały księżycowe. A zdaniem nie-licznych pośród ludzi nauki metafizyków drewno to odegra jeszcze większą rolę w krzewieniu ich właśnie dziedziny.

W projekcie badawczym nie były jedynie reprezentowane, i rzucało się to w oczy, interesy żydów i ewangelików, choć i jedni, i drudzy powinni, mogłoby się zdawać, mieć znaczny udział w przedsięwzięciu. Gdy tylko wieść o projekcie została ogłoszona w sieci CNN, wielu ewangelików podniosło krzyk, że trzeba się przyłączyć. Ale kilku z najważniejszych finansistów otwarcie się temu sprzeciwiło. Nie pozwolą, by ta ekspedycja miała coś wspólnego z wiarą. A zwłaszcza nie otworzą furtki chrześcijańskim fundamentalistom, których program trudno zaiste uznać za naukowy. Tego, czy uczestnictwo żydów i Izraelczyków zostało rozważone albo odrzucone, nie wiadomo.

Wszyscy poza samym Livingstone'em kierowali się względami finansowymi. Odkąd upadł Związek Radziecki, wydawało się, że żadna przygoda nie przydarzy się już na tym świecie. Od lat nie było porządnego kryzysu, w który można by się wgryźć z całym apetytem. Większość przestała specjalnie interesować stacje kosmiczne, a Mars to w najlepszym razie pieśń przyszłości.

Natomiast arka Noego!

Tak, to jest coś, co może przyciągnąć uwagę całego świata. I nadzieja na wysoką dywidendę dla tych, którzy będą umieli dostrzec biznes ukryty w archeologii. To sprawa dla każdego, odpowiednia do wykorzystania w telewizji i jakby skrojona na czasy wzrostu zainteresowań duchowych. Kolumb napełnił hiszpańskie i portugalskie kufry złotem. Dlaczegoż odkrycie stulecia nie miałoby przynieść podobnie hojnej rekompensaty?

Jako odkrycie historyczne przewyższy grób Tutenchamona. Byłoby czymś większym niż arka przymierza albo kielich z Ostatniej Wieczerzy — jeśli któraś z tych rzeczy zostanie kiedykolwiek odnaleziona.

Pojawi się masa książek, zdjęć, specjalnych programów telewizyjnych, filmów, odczytów i nie wiadomo ile tandetnych produktów.

A kartel będzie miał do wszystkiego prawa.

Jeśli tylko odkrycie będzie autentyczne, a zainteresowanie opinii światowej takie, jakiego się spodziewają sponsorzy, inwestycja — niektóre źródła oceniały, że samo „wynajęcie” góry kosztowało miliard dolarów, a przecież dochodzą do tego koszty najnowszej generacji sprzętu, w jaki wyposażono ekspedycję — zwróci się z nawiązką.

Podczas gdy reputacja Livingstone'a oraz kilka osobistych i firmowych fortun wisiało właśnie na linie razem ze stoma kilogramami wagi badacza i sprzętu, siedmiu członków komitetu i tuzin albo więcej inwestorów patrzyło z zapartym tchem w kilka monitorów telewizyjnych zainstalowanych w kosztownym namiocie sztabu głównego ekspedycji. Część dotarła tu wcześniej ogromnymi wojskowymi helikopterami z Dogubajazit, gdy tylko poranne światło pozwoliło na loty. Na ekranach przed ich oczami przesuwała się dość nijaka lodowa ściana, której obraz przekazywała miniaturowa kamera umieszczona na hełmie Livingstone'a.

Lada chwila zobaczą to, co da im bogactwo i być może wyrwie ich nazwiska na tablicy dziejowej w postaci przypisów do nazwiska Livingstone'a, albo nim minie miesiąc postawi jednego czy drugiego z nich przed sądem, który ogłosi bankructwo.

7.

W oddali wspinacz wysokogórski opuścił lornetkę i przyspieszył kroku. Słońce świeciło mu prosto w twarz i odbijało się w soczewkach lornetki, tak że z tego miejsca lic nie można było zobaczyć.

Trzeba podejść bliżej. Musi mieć słońce za plecami i zobaczyć, co się właściwie dzieje. Musi też dokładnie ustalić współrzędne geograficzne.

Dysząc ciężko ze zmęczenia, ale szybkim mimo ciężkiej budowy ciała krokiem, nie zważając na chłód i wysokość, wspinacz ruszył stromą skalną ścieżką, pokonując łafozy i omijając lodowe trabanty na swojej osobistej Górze Zła. On też został odsunięty od

wydarzenia, w którym miał wszelkie prawo uczestniczyć. Podobnie jak owa góra znajdzie sposób, żeby zmusić ich do zapłacenia za to przeoczenie.

Na strój koloru khaki założył białe spodnie wspinaczkowe i równie białą parkę, tak że nikt go nie zauważył na śnieżnym tle. W zimnym porannym powietrzu widać było buchającą z jego ust i natychmiast zamarzającą parę. W jednej ręce miał czekan, w drugiej lornetkę. U pasa pobrzękiwał zestaw śrub lodowych, klinów, haków, karabinków, uprząży, a także młotek i inne przybory wysokogórskiego rzemiosła.

Zapewne nie będzie potrzebował żadnego sprzętu. Nie zamierzał dzisiaj wspinać się na lodowe iglice, ale dotrzeć do miejsca, z którego miałyby widok na to, co dzieje się na przeciwnym stoku.

Tłąca się nieustannie uraza rozgrzewała jego krew. Czy naprawdę myślał, że tak łatwo się go pozbędą?

Udowodni, że on też ma do pokazania światu niejedno odkrycie! Był już tutaj, raz w latach sześćdziesiątych z wyprawą lorda Bode i jeszcze potem, podczas jednej z ostatnich wypraw, jakie Morris poprowadził do Kanionu Davisa. Zna Ararat lepiej niż którykolwiek z nich. Ustali precyzyjnie miejsce, gdzie pracują, i jeszcze tu wróci.

Nie da się tak łatwo zepchnąć w cień temu nieopierzonemu parwieniuszowi.

Jakieś pół godziny później na zdradliwym zboczu Araratu samotna potężna postać zajęła stanowisko na wąskiej skalnej listwie, pod którą otwierała się przepaść. Od widowiska rozgrywającego się na oczach świata dzieliło go półtora kilometra i rozległe lodowcowe pole, które tylko orzeł mógłby pokonać. Stojąc trzysta metrów poniżej swoich sławnych przeciwników, patrzył przez potężną lunetę, którą przymocował do ustawionego na półeczce trójnogu. Ku jego zadowoleniu zwykła w tych stronach warstwa chmur rozproszyła się i widoczność była bez zarzutu.

Widok był dokładnie taki jak na wielu szkicach: inkrustowany lodem nawis ciągnący się pod stromym skalnym urwiskiem,

opadającym spod szczytu co najmniej trzystumetrową ścianą.

Z tego miejsca nie mógł zobaczyć znaleziska. Jeśli jednak jest tam naprawdę, Livingstone zbliża się doń jedynym możliwym sposobem. To, co ukazało się mniej więcej rok temu po dwóch latach topienia się lodu, jest bez wątpienia sterzącym końcem łodzi, aczkolwiek pokrytym grubą warstwą śniegu z ubiegłej zimy. Przyznawał to z obrzydzeniem, ale nie ulegało wątpliwości, że Livingstone jest bliski odkrycia wszechczasów. Na tę myśl poczuł przypływ niemej wściekłości.

Nadal ciężko dyszał. Lepiej nadawał się do tego rodzaju wypraw niż wskazywałaby budowa jego ciała. Jeszcze niedawno uważany był za najwybitniejszego archeologa na świecie. Świadomość, że ta opinia była w tej chwili narażona na erozję, mimo odkrycia, jakiego dokonał w Dolinie Rowu Wschodnioafrykańskiego, przepajała goryczą ego prawie tak potężną jak ciało. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął to zmienić.

Czekając na sposobność, śledził nieznużenie ekspedycję Livingstone'a od chwili, kiedy dowiedział się, co jest jej celem.

Nie był wcale jedynym człowiekiem podążającym krok w krok za Livingstone'em. Wyższe siły od lat niezauważalnie obserwowały Anglika. Wymiar zlekceważył jednak zagrożenie, jakie niesie ta ekspedycja. Ale teraz otworzy oczy. A wtedy zarówno moce światła, jak i ciemności ruszą do boju, który jest coraz bliższy.

8.

— Trzy metry... — Głos Livingstone'a rozległ się w namiocie sztabu.

Scott Jordan, który siedział przy układzie sterowniczym skomplikowanego systemu kół, sznurów, kabli, żurawi i wielokrążków odpowiedzialnego za to, co dzieje się na końcu trzystumetrowej liny, zredukował szybkość opuszczania Livingstone'a, tak że lina przesuwała się teraz w ślimaczym tempie. Odtąd trzeba będzie wypuszczać

ją centymetr po centymetrze.

Nikt nie odrywał wzroku od ekranu. Panowała całkowita cisza, przerywana tylko od czasu do czasu jakimś wymamrotanym pod nosem komentarzem.

— Spójrz w dół, Adam!... My też chcemy to zobaczyć! — rozległ się czyjś szept.

I chociaż główny inżynier przedsięwzięcia nie powiedział nic do mikrofonu, można by mieć wrażenie, że Livingstone usłyszał te słowa, gdyż kamera przymocowana do jego hełmu skierowała się w dół i ukazała dno lodowej komory.

Kilka osób zachłysnęło się powietrzem, rozległy się okrzyki zdumienia.

— W porządku dwa i pół metra... dwa... jeden... — ozwał się znowu głos Adama.

W namiocie natychmiast zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się bez słowa w monitory.

— Pół!... Powoli!... Dobrze. Tak trzymać!

— Co się dzieje, Adam? — spytał Jordan.

— Scott, jestem na dole! Dotykam stopami dna. Chcę upewnić się, że utrzyma mój ciężar... Chyba nie ma powodów do obaw... Wszystko zmrożone... Daj jeszcze trochę liny... Doskonale... Dobrze, stoję na dnie.

W namiocie rozległy się wreszcie okrzyki radości.

— Słyszę wszystko! — wykrzyknął Livingstone.

— Adam, jesteśmy z ciebie dumni. Cały świat patrzy na ciebie. Musisz jednak wiedzieć, że wszyscy zadają sobie pytanie...

— Jakie historyczne słowa wypowiem dla potomności. Zaraz, niech pomyślę. To mały krok dla archeologa, ale...

— Daj spokój — roześmiał się Jordan. — Jakie masz tam podłóżę?

— Znalazłem się tutaj, żeby to zbadać — odparł Livingstone.

— No dobrze, bierzmy się do dzieła! Daj jeszcze trochę liny, żebym mógł się swobodnie poruszać.

Wpatrzeni w monitory ludzie z zespołu i inwestorzy zobaczyli, jak Adam przykłęka.

— Powierzchnia jest brunatno-szara — powiedział. — Z pewnością wszyscy widzą, że na pierwszy rzut oka nie wygląda to na

granit, w każdym razie na żaden, który bym znał. Jest nierówna, ale nie dziobata jak kamień. Widzę wydłużone zagłębienia, lecz żadnej ziarnistości. Jak drewno. Wygląda na drewno... twarde, zamrożnięte.... I powiedziałbym, że nie jest to drewno nieobrobione. Jest gładkie, jakby ociosane.

Zobaczyli, jak Adam rozgląda się po ciasnej komorze.

— Zdejmuję rękawice...

Czekali w milczeniu i napięciu. Patrzyli, jak Livingstone przesuwa dłońią po dnie.

— Trudno powiedzieć... — dał się słyszeć po chwili jego głos.

— W dotyku nie różni się od lodu. Jest pokryte cienką warstwą zamrożonej wody z wczorajszego wytapiania. Powierzchnia nie jest całkowicie pozioma. Przy jednym końcu ładnie wyczyszczona, przy drugim lód jest grubszy, bo tam osiadły resztki wody.

Na chwilę zamilkł.

— To dziwne — dodał. — Spójrzcie. Widzicie to?...

Wskazał palcem tak, żeby kamera uchwyciła jego gest.

— Kilka czarnych plam. Wygląda prawie... ale trudno w to uwierzyć... Chciałem powiedzieć, że wygląda to tak, jakby nasze lampy przysmoliły tu i ówdzie drewno.

— Spróbuj z ręczną wypalarką.

— Masz rację.

Livingstone wyprostował się, odpiął małą wypalarkę na propan, którą miał przy pasie, zapalił ją i z powrotem przyklęknął. Ostrożnie przemknął płomieniem po małym wycinku powierzchni. Przerwał, żeby pomacać podgrzane miejsce, a potem znowu skierował wypalarkę na lód. Po dwóch minutach zgasił ją i odłożył. Ze sprzętu przypiętego do pasa wybrał mały młotek i dłuto i przystąpił do odłupywania próbki w wytopionym przed chwilą miejscu. Obserwatorzy zobaczyli, jak bierze coś w okryte rękawicami dłonie i ogląda uważnie. Obrócił przedmiot kilka razy w palcach.

— Scott, nie uwierzysz! — wykrzyknął. Po raz pierwszy Jego głos zdradzał nieklamane podniecenie. — Nie doszło do całkowitej petryfikacji! To naprawdę drewno... realne, autentyczne drewno... czarne plamy to ślady ognia... Nasze lampy wypaliły je na drewnianej powierzchni!

Pełne zdumienia okrzyki prawie uniosły w powietrze dach sztabowego namiotu.

— Adam!... Adam, słyszysz mnie w tym zgiełku? Wszyscy wrzeszczą, wszyscy pytają o jedno... To arka?

W namiocie znowu zapadła cisza. Na ekranach Adam przyklekał raz jeszcze i oglądał starannie dno pieczary.

— Trzeba będzie przeprowadzić więcej testów — zaczął w końcu. — To drewno, nie ma wątpliwości. Jedno z dwojga. Pierwsza możliwość jest taka: jakieś ogromne drzewo, z pewnością nie pochodzące z tego regionu, w jakiś sposób znalazło się na tej wysokości. Fakt, że jesteśmy półtora tysiąca, może nawet dwa tysiące metrów powyżej regła drzew na Araracie, całkowicie coś takiego wyklucza... chyba że doszło tu kiedyś do katastrofalnej, wprost niewyobrażalnej powodzi. Jeśli więc nawet jest to tylko pień drzewa, mielibyśmy potwierdzenie teorii powodzi. Ale bardziej prawdopodobna wydaje się druga możliwość.

— Jaka? — zapytał z podnieceniem głos z namiotu.

— Stoję na płaskiej powierzchni, a nie na zaokrąglonej. To nie może być po prostu pień. Być może nie mam racji, ale wydaje mi się, że są tu wyraźne ślady, poczynając od różnicy w ziarnistości, wskazujące, że nie jestem pierwszym człowiekiem, który dotykał tego drewna.

— Jakie ślady?

Adam pochylił się nisko i znowu skierował palec ku podłożu.

— Takie, które pozostawia prymitywne narzędzie ciesielskie, piła albo siekiera, nie jestem pewny. Nie wiem, czy widać to, co pokazuję, ale moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że ktoś pociął drewno na płaskie deski, na których stoję. A nieregularna ziarnistość świadczy, jak się zdaje, że drewno rozłupywano. Innymi słowy, nie jest to po prostu jedna wielka deska. Nie potrafię powiedzieć, czy stoję na arce... ale mamy tutaj deski wyciosane przez człowieka i gotów jestem postawić na to moją reputację archeologa.

Okrzyki radości, które rozległy się w namiocie, trwały tym razem dwie albo trzy minuty.

Połowa z obecnych sięgnęła natychmiast po telefony satelitarne. Po niecałej godzinie w oknach redakcji co najmniej pięciu setek gazet z całego świata, od Tokio do Moskwy, od Londynu do Nowego Jorku, ukazały się ogromne litery nagłówków, które wieściły wszystkim: „Odnaleziono arkę Noego!”

9.

W tym czasie Adam Livingstone był zaprzątnięty badaniami i eksperymentami, jakie tylko dało się przeprowadzić w ciasnym, mierzącym dwa metry średnicy laboratorium.

— Czy macie jakiś sposób, żeby opuścić tu wielkie wypalarki i przewody odsysające wodę? — spytał głównego inżyniera. — Jaką pogodę macie na górze?

— Nadal bezwietrznie — odparł Jordan. — Co chcesz zrobić?

— Gdyby udało się pogłębić otwór... wytopić jeszcze trochę lodu. Wystarczy niecałe pół metra, żebym miał w ręku dowód, którego szukamy.

— Naradzę się z resztą. W tym czasie pobierz jak najwięcej próbek.

Pół godziny później lampa, tlen i przewód ssący wędrowały w dół, przymocowane do liny głównej, która godzinę temu na dno otworu opuściła lodowcowego astronauce.

— Musisz zachować ostrożność, Adam — ostrzegł Jordan. — To potężna lampa. Nie możesz zbyt poszerzyć komory, bo grozi to zawaleniem.

— Jest tu co najmniej ze sto metrów lodu w każdym kierunku. Nie ma możliwości przemieszczenia.

— Mogą nastąpić pęknięcia.

— Będę ostrożny, Scott. Ale to życiowa szansa. Muszę odślonić tyle powierzchni, ile tylko się da.

— Jeśli zerwie się wiatr, będziemy musieli cię wyciągnąć.

— Spokojnie — roześmiał się Livingstone. — Tu na dole żaden wiatr nic mi nie zrobi.

47

— W razie zawieruchy...
— Zostanę tu, dopóki nie zrobię tego, co mam do zrobienia — przerwał mu Livingstone. — A jeśli spróbujesz wyrwać mnie na siłę, odcepię linę!

— Twój komitet może mieć coś do powiedzenia w tej sprawie — odparł ze śmiechem przyjaciół.

Jordan nie szczędził ostrzeżeń, ale wierzył w trafność ocen Adama i gotów byłby postawić na nie własne życie. Zresztą tak właśnie było, i to nieraz.

— Powiedz mojemu komitetowi, że zamierzam spędzić tu dzień albo dwa.

— Co takiego?

— Prawdę mówiąc, dosyć tu przytulnie. Przyślecie mi na dół jedzenie i wodę.

— Jedzenie i woda to nie wszystko.

— Co jeszcze?

— Po pierwsze powietrze... i ciepło.

— Sam powiedziałeś, że przewód z tlenem wędruje już w dół. Jeśli zmarznę, przyślecie mi jeszcze jedną parkę.

— Niejeden powiedziałby, że postradałeś zmysły! — rzucił wesołym głosem Jordan.

— Nie przejmuj się. Jeśli pogoda się popsuje, wyciągniecie mnie. W końcu minęło parę dobrych tysiącleci, zanim komuś udało się znaleźć to miejsce... musimy więc wszystko zbadać. Im większą powierzchnię odmrozę, tym większe będą nasze szanse.

Jordan przestał się spierać. Wszyscy chcą tego samego — dowiedzieć się jak najwięcej w czasie, jaki będzie im dany. Jeśli warunki ulegną pogorszeniu, będą musieli zacząć wszystko od początku.

— A właściwie, Scott, czemu nie miałbyś do mnie dołączyć? Najgorsze już za nami. Teraz, kiedy dysponujemy bezpiecznym połączeniem między żurawiem i szybem, możemy stosunkowo łatwo wysłać ludzi i sprzęt z góry na dół i odwrotnie.

— Nie mogę powierzyć nikomu sterowania.

— A Figg? Może poprosisz go, żeby zaczął się przygotowywać? Jen tylko marzy o tym, żeby stanąć tu jako pierwsza kobieta od czasów żony Noego. Co ty na to, Jen?... Jeśli mnie słuchasz.

— Już lecę! — krzyknęła młoda dama, próbując wyrwać mikrofon z ręki Jordana.

— Będziesz musiała się jednak obejść bez brzoszowych różeg — roześmiał się Adam. — Dosyć tu chłodno w porównaniu ze szwedzką sauną.

— Zobaczmy najpierw, jak idzie robota z lampą grzewczą — powiedział Jordan, odbierając mikrofon Jen. — Jeśli wytopisz dość obszerną kamerę, żeby mogły tam pracować dwie albo trzy osoby, i jeśli pogoda nie zawiedzie, zobaczymy. Figg zakłada już parkę.

Pół godziny później dwa przewody dotarły do Livingstone'a i pompa ssąca zaczęła działać. Adam włączył lampę na najmniejszy płomień i przystąpił do powiększania podobnej do igloo pieczary. Parę razy płomień przypadkowo gasł, parę razy trzeba było regulować przepływ tlenu z góry na dół, zanim udało się wytopić trochę lodu. W końcu jednak płomień, tlen i ssanie zostały odpowiednio ustawione i Livingstone robił szybko postępy.

Pryskająca woda utrudniała pracę, ale po dwóch godzinach archeolog powiększył trzykrotnie powierzchnię odsłoniętego drewna, a w jednym miejscu sięgnął nawet jakieś pięć metrów w poprzek włókna. Płaska powierzchnia była wyraźnie rozleglejsza niż obwód najpotężniejszego z prehistorycznych drzew, tak więc nie ulegało wątpliwości, że ma przed sobą dzieło rąk ludzkich, nie zaś twór natury.



W południe odsłonił już dość desek, by ustalić porządek ich zestawienia i wydobyć spomiędzy nich próbki krystalicznej, przypominającej żywicę substancji koloru bursztynu. Chociaż kamera telewizyjna na jego hełmie wychwytywała każdy jego ruch i rejestrowała postępy prac, archeolog prowadził dokumentację fotograficzną każdego kolejnego odsłoniętego centymetra powierzchni. Kolorowe powiększenia ujawniały znacznie więcej szczegółów niż przekaz wideokamery.

Dopiero około drugiej po południu odkrycie, którego dokonał Adam Livingstone, kiedy pogłębiał wąski tunel w lodowej ścianie,

zapewniło mu miejsce w historii. Pełni wyczekiwania wydawcy gazet na całym świecie mieli w końcu dowód, że stoją na pewnym gruncie i mogą wydrukować tytuły obmyślane tego ranka w redakcjach.

ROZDZIAŁ DRUGI

INTRYGNA NA SKALĘ GLOBALNĄ

1.

Odkrycie, jakiego dokonał na górze Ararat Adam Livingstone, wywołało najrozmaitsze, ale zawsze gwałtowne reakcje na całym świecie.

Po zachodniej stronie oceanu o frontowe drzwi piętrowego klasycznego nowoangielskiego domku pacnęła gazeta. Odgłos odbił się od ścian skromnie urządzonego salonu i przeniknął przez otwarte drzwi do sypialni. Niespodziewany dźwięk rozbudził drzemiącego w niej mężczyznę.

Jęknęły sprężyny łóżka. Mocno zbudowany mężczyzna przekreślił się kilka razy z boku na bok i spojrzał na zegar stojący na nocnym stoliku. Siódma dwadzieścia.

Jego nozdrza wychwyciły zapach świeżej kawy yukon blend, która parzyła się już w automatycznym ekspresie marki Braun. Aromat kawy skuteczniej rozbudził jego zmysły niż światło wpadające przez okna albo odgłos upadającej na gank gazety.

Wciągnął głęboko powietrze w płuca, potem wypuścił je, jakby pomagał w ten sposób swemu ciału wyjść ze stanu sennej ociążałości, która przenikała każdy mięsień. Na niewiele się to zdało.

Leżał jeszcze kilka minut, stopniowo dochodząc do siebie. W końcu przerzucił nogi przez krawędź łóżka i dźwignął się do pozycji siedzącej.

Powoli wstał i, ledwie, ledwie podniósłszy powieki, poszedł do łazienki. Raczej odruchowo niż w wyniku świadomej decyzji puścił największym strumieniem zimną wodę i bez zwłoki wszedł pod prysznic. Nie miałym wysiłkiem ciągle jeszcze rozespanej woli zmusił się do wejścia w strumień wody. Stał w lodowatej, zatykającej dech w piersi ulewie, przeżywając coś w rodzaju dobrowolnej tortury. Codziennie rano powtarzał ten rytuał, choć trudno byłoby powiedzieć, że sprawiał mu przyjemność. Ale rozbudzał szybciej niż Starbucks i kilka minut później, kiedy drżący na całym ciele, ale pełen energii i gotów podjąć wyzwania czekającego dnia, stawał na łazienkowej macie, wiedział, że warto było zdecydować się na tę chwilę męki.

Ogolił się pospiesznie, nie dlatego, że czas naglił, ale ponieważ ta czynność go nudziła. Nie miał nikogo, komu chciałby się podobać. Nie zawracał też sobie głowy czesaniem rozczochranych siwiejących włosów. Wrócił do sypialni, żeby się ubrać.

Jego wzrok padł na poświęconą końcowi czasów książkę, którą pożyczył mu pastor i która nadal leżała na nocnym stoliku. Zanim górę wzięła senność, zdołał przeczytać półtora rozdziału. Musiał przyznać, że rzecz jest fascynująca. Rozmawiał z pastorem Markiem o tym podczas trzech ostatnich spotkań, kiedy czytali Biblię. Jego spojrzenie na niejedną kwestię zmieniało się szybko po rozmowach i modlitwach z Markiem i jego żoną, Laurene.

Dziesięć minut później rozsiadł się na ulubionym miękko wyścielonym fotelu. Zacisnął palce na dużym kubku mocnej czarnej kawy i otworzył poranne wydanie „Boston Globe”, które dzisiaj znalazło się pod drzwiami wcześniej, tak że rozpoczął dzień kwadrans przed terminem.

Rocky McCondy, wdowiec nie mający dzieci, tylko kilku przyjaciół, a za to mnóstwo znajomości, nie kierował się w swym życiu żadnymi nawykami — poza paroma drobnymi porannymi przyjemnościami. Po wypiciu dwóch kubków mocnej kawy i wlaniu

pozostałego płynu do termosu, po przeczytaniu „Globe” przez dwadzieścia, trzydzieści minut przeglądał papiery i dokumenty leżące na biurku. Potem zbierał notatki, remitendy, rachunki i dokumenty, które mogą być potrzebne podczas dnia pracy.

Śniadanie zjadał w jednym z kilkunastu małych barów między swoim domem a Nashua, Manchester albo Concorde — zależnie od tego, dokąd kierowały go tego dnia interesy. O dziewiątej albo dziesiątej zaczynał krążyć po ulicach i robić to, co umiał najlepiej: odkrywać to, czego ludzie chcą się dowiedzieć.

Wiele lat temu rzucił pracę, ale po śmierci żony potrzebował zmiany. Przyjaciół z bostońskiej policji namówił go do wykonywania najosobliwszego zawodu, który czasem oznaczał samotność, choć pozwalał poznawać wielu interesujących ludzi. Miał dużo rozmaitych propozycji pracy, ale nigdy nie kuślił go powrót do tego, co niektórzy nazwaliby normalnym życiem.

Dzisiaj rano spokój zakłóciła mu lektura umieszczonego na pierwszej stronie gazety sprawozdania z historycznego odkrycia, którego dokonano w Turcji, kiedy on, McCondy, był pogrążony we śnie.

Niewiele wiedział o ekspedycji. Natknął się tylko przelotnie na nazwisko Adama Livingstone'a. Ale w tym momencie jedno ze zdań w artykule wpadło mu do głowy niby pociąg towarowy z odległej przeszłości na stację.

Odstawił kubek, rzucił gazetę i zerwał się na równe nogi. Ruszył ciężkim krokiem w stronę skrzypiących pod jego ciężarem schodów, kiedy szedł na piętro studwudziestoletniego domu o drewnianym szkielecie.

Pięć minut później szperał po strychu, szukając czegoś w przyćmionym świetle. Samotna dwudziestopięciowatowa żarówka nie na wiele się zdała przy przetrząsaniu odziedziczonej zawartości zapomnianej dawno komody.

Po jakimś czasie usiadł z powrotem w fotelu z paroma plikami papierów i starych pożółkłych fotografii, z kilkoma wycinkami gazetowymi, książką w zniszczonej skórzanej oprawie i kilkoma innymi skarbami. Wziął do ręki kubek i pogrążony w głębokim zamyśleniu,

ze zmarszczonym czołem sączył resztki kawy.

Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego osobliwego uczucia. Ten człowiek był mu zupełnie obcy — choć sławny. Nie, nigdy mi się nie uda! — pomyślał.

Musi... musi jednak spróbować.

Lata życia nauczyły go, że powinien ufać swoim przecuciom. Niektóre z nich, rzecz jasna, wywiodły go w ślepy zaułek. Ale tym razem ma zbyt mało czasu, żeby pozwolić sobie na ryzyko. Przeczucie czy nie... ślepy zaułek czy nie... tutaj chodzi, być może, o ludzkie życie.

Nie może ryzykować, nie może milczeć.

2.

Tego samego ranka, który wstał po odkryciu na górze Ararat, tyle że kilka godzin później, senator Marcos Stuart piął się po schodach Kapitolu. Czuł się w jakiś nieokreślony sposób nieswojo.

Wielkie nagłówki gazetowe i specjalne wydania dzienników radiowych zdążyły roznieść wszędzie nowinę. Odkąd wyszedł z domu, już dwa razy dopadli go rozgorączkowani reporterzy spragnieni paru słów komentarza z ust przyjaciela człowieka, który jest partnerem Livingstone'a.

Powinien być w siódmym niebie. Dla Scotta to chwila tryumfu. W zeszłym roku w listopadzie Jordan świętował z senatorem jego zwycięstwo.

Od zeszłego wieczoru coś go jednak gryzło. W głosie Mitcha Cutiera pobrzmiwał jakiś ton inny niż zwykle... i senator wcale nie był pewny, czy się mu to podoba.

Wtedy, w biurze, ledwie dotarło to do jego świadomości, bo całą uwagę skupił na transmisji z Araratu. Ale teraz, kiedy odtwarzał w myślach ich krótką rozmowę, uświadamiał sobie, że gdzieś na obrzeżu słów Mitcha, czaiła się groźba. Szereg dociekliwych pytań także nie sprzyjał uśmierzeniu niepokoju. Nie powiedział niczego, co nie byłoby publicznie znane. Ale coś tutaj było nie w porządku.

Dlaczego Cutter tak się interesował Livingstone'em, skoro najwyraźniej ledwo się orientuje, o co w tej ekspedycji chodzi?

Dwa słowa pojawiały się raz po raz w głowie Stuarta: „Moi przyjaciele... moi przyjaciele... moi przyjaciele”.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jest zdenerwowany, i to bardzo. Kim są ci „przyjaciele”?

Wiedział, oczywiście, że przyjdzie dzień wyrównania rachunków. Kiedy ludzie, których Cutter reprezentował, rzucili na szalę swoje decydujące poparcie dla kandydata kalibru Stuarta — kogoś z potencjałem na skalę ogólnokrajową, towarzyszyły temu pewne oczekiwania. Dostatecznie długo tkwił w grze politycznej, żeby ludzić się co do jej reguł. Próbował wmówić samemu sobie, że właściwie nie ma wielkiej różnicy między tymi ludźmi a dowolnym innym komitetem podejmującym działanie na polu polityki. W głębi duszy Stuart wiedział — a może wczorajsza rozmowa pozwoliła mu uświadomić to sobie w pełni — że Cutter nie reprezentuje po prostu takiego komitetu... lecz siłę, która kontroluje wszystkie komitety.

Zaciągnięcie wobec niej długu oznacza, że najdrobniejsza cząstka twojego życia nie należy już do ciebie. Jesteś ich własnością. Wtedy wydawało się, że to niewielka cena — przecież nie było mowy o zobowiązaniach.

A teraz Marcos Stuart zaczął się zastanawiać.

Kiedy senator próbował usunąć z głowy tego rodzaju zmartwienia, człowiek, wokół którego krążyły jego myśli, siedział już w kabynie pierwszej klasy samolotu odbywającego bez międzylądowania rejs z Dulles do Zurychu.

3.

W tym samym czasie daleko — jakieś pięćset kilometrów na wschód od stanowiska archeologicznego — mężczyzna o dystyngowanej prezencji, frapujących rysach twarzy i ruchach świadczących o wielkiej pewności siebie przeszedł przez hol ultranowoczesnego biurowego kompleksu całego ze szkła i stali.

Miał za sobą pracowity dzień. Większość nowych rządowych urzędników zakończyła pracę. Ale nie człowiek uważany za jedną z najpotężniejszych osobistości w nowej republice, ustępujący wpływami tylko prezydentowi.

Czekała go nie lada praca. Przez cały dzień trzymał na wodzy tłący się w nim gniew, ale kosztowało go to coraz więcej wysiłku. Wydarzyły się dzisiaj rzeczy gorsze, niż wyobrażał sobie w najczarniejszych przewidywaniach. Wystarczyłby już fakt, że tak blisko jego ojczyzny ktoś prowadzi prace eksploracyjne. Ale nie śniło mu się, że mogą coś znaleźć. Odkrycie oznacza dla niego kłopoty, dokładnie tak jak się tego spodziewał, aczkolwiek ciągle jeszcze mógł zapobiec większości spośród wiszących nad nim zagrożeń.

Szybka winda zawiozła go na siódme piętro, gdzie przemierzył pospiesznie pusty korytarz i znalazł się w swoim luksusowym biurze. W Nowym Jorku, Londynie czy Rzymie trudno byłoby uznać ten budynek za drapacz chmur, ale w tym rejonie świata rzadko spotykało się tak wysokie gmachy. Była to najwyższa budowla w Baku, stolicy nowego suwerennego państwa, Azerbejdżanu.

Mało kto na świecie słyszał o tym mieście. Rychło jednak opuści miejsce na tyłach światowej sceny. Nadchodzą czasy, kiedy kontury tego miasta będą rywalizowały z Nowym Jorkiem — jeśli nie zasięgiem, to przynajmniej dostojnością.

Tabliczka na drzwiach, przez które przed chwilą wszedł, nie była zbyt imponująca: Minister Prac Publicznych. Ale decyzje podejmowane w tym pokoju miały większy wpływ na codzienne życie małego kraju — utworzonego krótko po rozpadzie Związku Radzieckiego — niż decyzje podejmowane gdzie indziej, nawet przez prezydenta Woroszyłowa.

A jego dzisiejsza pozycja jest tylko odskocznią. Nie potrwa to długo. Na horyzoncie rysują się już doniosłe wydarzenia. Ministerstwo Pracy jest zaledwie środkiem prowadzącym do celu.

Wczesnym rankiem śledził w swojej willi, położonej nad zatoką na południe od miasta, telewizyjną relację z sukcesu na górze

Ararat. Dopóki mógł sobie na to pozwolić, nie odrywał wzroku od ekranu. Miał dzisiaj wizytować place budowy. Kiedy dzień dobiegał końca, zarzewie gniewu rozpalilo się w nim do czerwoności.

Rok temu, może nawet dawniej, zdał sobie sprawę, że każde większe odkrycie na górze Ararat zwróci przedwcześnie uwagę świata na jego działania. Tak więc przez jakiś czas miał na oku angielskich archeologów i robił, co mógł, żeby zapobiec jakimkolwiek wyprawom badawczym w rejon Araratu. Daremny trud. Ten człowiek jest ulubieńcem całego świata i jak kot spada zawsze na cztery łapy.

Skoro już skupiła się na nich uwaga kamer, reflektorów, tłuszczy i dziennikarzy, nie uniknie się pytań — choć lepiej byłoby dla świata, gdyby tych pytań nie zadawał. Międzynarodowa prasa jest dociekliwsza niż naród azerbejdżański.

I świat dowie się o samym sobie, zrozumie, w jak krytycznej sytuacji się znalazł. Chwila prawdy nadciąga i będzie to także chwila przeznaczenia — dla niego.

Jeszcze nie teraz. Trzeba powstrzymać Livingstone'a, zanim wszystko zniszczy!

Szybkim krokiem podszedł do barku, nalał sobie drinka i pogrążony w głębokim zamyśleniu stanął przy dużym jednoszybowym oknie. Stał patrząc na miasto i port, gdzie trwała większość z podjętych przez niego prac modernizacyjnych. Odetchnął kilka razy głęboko, żeby się uspokoić.

Livingstone znalazł się za blisko. Po drugiej stronie Stepu Muğańskiego, wyżej niż Zangezurski Chrebet przy granicy z Armenią... prawie na rzut kamieniem.

Bliska, przyciągająca spojrzenia obecność Anglika jest nie do uniknięcia. Już teraz armia dziennikarzy rezerwuje miejsca w hotelach Erewanu i Kirowabadu, przygotowując sobie bazę do wymagającego nie lada wysiłku wypadu w tureckie góry. Jeśli tak dalej pójdzie, wcześniej czy później ci ludzie trafią także do Baku.

Nie może pozwolić sobie na wścibskie spojrzenia przedstawicieli światowej prasy. Skupienie uwagi na tym rejonie świata może doprowadzić do katastrofy. Powodzenie zależy od tego, czy zamiary



pozostaną tajemnicą. Światło oznacza zgubę.

Już dwa lata temu dostrzegł zagrożenie. Pchnął wtedy kogoś w ślad za Livingstone'em i najrozmaitszymi subtelnymi sposobami próbował doprowadzić jego kartel do ruiny — podobnie jak robił to wielokrotnie, i z powodzeniem, w przypadku innych ekspedycji. Próbował nawet namówić swojego starego druha Saddama, żeby ten wywarł nacisk — posuwając się w razie potrzeby do groźby — na rząd turecki. Ale na przekór tym wszystkim wysiłkom Anglik realizował swoje plany. Okazało się, że Livingstone to przeciwnik utalentowany i potężny.

Trzeba spróbować innej sztuczki. Musi przecież położyć temu wszystkiemu kres. Musi zadać cios, zanim sprawy wymkną się mu z rąk. Teraz zajmie się wszystkim osobiście.

Jego dwaj koledzy, jeden w Szwajcarii, drugi w Holandii, z pewnością nie będą zachwyceni. Ale oni nie mają tyle do stracenia. Jeden z ich symboli to oko. Nie spuszczały wzroku z nikogo, kto miał jakieś znaczenie na scenie międzynarodowej. Nadeszła chwila, żeby skupić spojrzenie na Livingstone'ie.

Stał jeszcze jakiś czas, wyglądając przez wielkie okno, a potem obrócił się i sięgnął po telefon.

Wystarczyły mu dwie krótkie rozmowy. Za trzecim razem połączył się z lotniskiem, gdzie jego prywatny odrzutowiec czekał w gotowości dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzisiaj wieczorem poleci do Bagdadu, jutro z rana do Londynu.

4.

Na kontynencie europejskim inne oczy także przypatrywały się uważnie rozwojowi wydarzeń.

Były to oczy dwóch czołowych członków doskonale zakonspirowanej Rady Dwunastu, której powierzono indoktrynowanie rodzaju ludzkiego, żeby przygotować go do nowego ładu. Ci dwaj byli potężni nie tylko w tym niewidzialnym imperium, lecz także wśród najbardziej wpływowych gigantów finansjery i mediów; mogli jednym pociągnięciem pióra zmienić sytuację w światowej gospodarce i łączności.

Przyglądali się od lat... a ich poprzednicy od stuleci.

Osoby z ich zakonu nie trwożyły się chwilowymi upadkami rozległego zamysłu Mistrza. W przeciwieństwie do swoich ambitnych kolegów nie przejmowali się tego dnia tym, że uwaga całego świata zwróciła się ku górze Ararat. Masy są zmienne i małostkowe, łatwo pchnąć je w kierunku, który okaże się korzystny. Nieprzyjaciel może pojawić się na całym świecie w tysiącu postaci jednocześnie, lecz to nie umocni wiary w Niego ani nie zagrozi w jakimś znaczącym stopniu ich sprawie.

W grę wchodziły rzeczy głębsze, o znacznie większym zasięgu. Stanowią część planu ponadczasowego. Mijanie lat nie ma

większego znaczenia, bo ostateczny sukces Planu jest pewnikiem. Z drugiej strony nadciąga moment zwrotny, do którego tak długo trwały przygotowania. Era ich milenium jest na wyciągnięcie ręki i nic nie zgrozi obietnicy jej brzasku.

— Czułam dziwne dudnienie w Wymiarze — rzekła wysoka, majestatyczna kobieta, której oczy rozświetlała wizja nie mająca nic wspólnego z codzienną rzeczywistością.

Była w średnim wieku. Powiedzieć, że była atrakcyjna, byłoby niestosowne, ponieważ rysy jej twarzy i sposób bycia promieniowały raczej wyważoną mocą i nietykalnością niż urodą. Potrafiła hipnotyzować umysły, nie spojrzenia.

— Obudziłem się w ciemności — oznajmił jej męski odpowiednik, siwiejący, pełen godności. Miał sześćdziesiąt dwa lata i trzymał się bardzo dobrze. Jego twarz zdradzała skłonność do rozkazywania. — Wzywał mnie mój Mędrzec — dodał.

— Także mój Duchowy Przewodnik przemówił wczesnym rankiem — odparła kobieta. — Miał mi do przekazania tylko jedno słowo. „Bacność... bacność!”

— Mój Mędrzec ostrzegął: Nie można otwierać drzwi! — Jego twarz przybrała wyraz pełen powagi. — Spłynęła na mnie wizja, ale podobnej nigdy dotąd nie widziałem.

Kobieta skinęła głową. Jej Przewodnik także ukazał się w niezwykłej postaci.

Jakby kierowani jedną myślą obrócili się ku sobie, wyciągnęli przed siebie ręce, aż ich palce leciutko się zetknęły, i zamknęły oczy. Potrzebowali większego oświecenia od tych, którzy odeszli przedtem i którzy pojmowali głębsze poziomy Wymiaru, niż ziemskie oczy tych dwojga.

Kobieta zaczęła nucić cicho dziwną melodię z innego świata. Wargi mężczyzny poruszały się w niemym, powtarzającym się rytmie, który otwierał drogę ku jego Mędrce.

Dźwięki dające się słyszeć kilka minut później brzmiały dziwnie inaczej niż głosy osób, z których ust padały.

— Drzwi mocno zawarte przez całe eony — mówił dziwny głos dobywający się z ust kobiety. — Nie możesz pozwolić, by

została odnaleziona szczelina... grozi rozbudzeniem tajemnic mocy trzymanyh w ukryciu od zarania czasów. Trzymaj drzwi tej prawdy zaryglowane. Znajdź... odkryj źródło i zniszcz.

Na myśl, że taka tajemnica mogłaby wyjść na jaw, zastępy Lucyfera powstały i wzmożyły czujność. Nie tylko tych dwoje zostało wezwanych. Tajemnica oznacza prawdziwe światło — światło Prawdy, z której zrodziło się dobro i zło — nie zaś mrok, który tacy jak ci dwoje nazywali „światłem”. Nie był to tylko przelotny kaprys ze strony ludu Nieprzyjaciela, albowiem tamci dotarli do samego fundamentu człowieczego bytu.

Oczy ludzkie nie mogą odkryć bramy prowadzącej do prawdy!

W obliczu możliwości, że ujrzy ona światło dzienne, Mroczny Wymiar poczuł nie tylko niepokój — odkrycie Livingstone'a wprawiło imperium ducha w drżenie!

To, czego ludzie dokonali na górze Ararat, może doprowadzić do ujawnienia faktu, że przez całe stulecia trwały pieczołowicie przemyślane działania, których celem było zdyskredytowanie władzy Nieprzyjaciela nad samym życiem. Jądro ich planu stanowiła ewolucja człowieka ku wyższemu rodzajowi świadomości własnego podobieństwa do Boga. Nie można pozwolić, by kamień węgielny ich budowli, którą była władza nad światem, został wydarty powszechnej świadomości.

A przecież to, co może jeszcze odkryć Livingstone, stanowi zagrożenie ostateczne, rozciągające się nie na stulecie... ale po sam początek czasów dominacji ich Mistrza.

— Kilka rzeczy stoi na drodze naszego całkowitego zwycięstwa — mówił teraz głos mężczyzny, cicho, jakby z wielkiej odległości. — To, ku czemu zwróci się wkrótce jego wzrok, przedstawia największe zagrożenie. Dawno już Mistrz się tego lękał.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Przybysze z tamtego świata powoli wycofywali się. Przesłanie na dzień dzisiejszy było teraz pełne. Kobieta i mężczyzna opuścili dłonie, opadli na krzesła i otworzyli oczy.

— Czyżby sama arka... czy o to zagrożenie chodzi? — spytała własnym już głosem kobieta, zwracając się jakby sama do siebie. —

Wiedzieliśmy, że może do tego dojść. Uważam te ostrzeżenia za coś nieoczekiwanego. Wiedzieliśmy o planach Livingstone'a. Jeden z naszych ludzi jest w jego kartelu.

— Może zlekceważyliśmy oddziaływanie duchowe — odparł mężczyzna, także pograżony w myślach. Oboje zdawali sobie sprawę, że nie potrafili zrozumieć drgnień ludzkiej duszy. — Znalezienie arki dowiedzie prawdy Księgi Nieprzyjaciela.

— Ma to jednak niewielkie znaczenie. Prawd Księgi dowiedziono wszak wielokroć.

— Co jednak może uczynić z tą wiedzą Livingstone? Gdyby odkrycia dokonał któryś z ewangelików, nie mielibyśmy powodu do troski. Niewykluczone, że w rękach Livingstone'a okaże się ono niebezpiecznym objawieniem.

— Może to właśnie chcieli powiedzieć nam Przewodnicy: że następny krok poprowadzi Livingstone'a w stronę drzwi, których nie wolno otwierać.

— Sądziłam, że Livingstone należy do nas.

— Mój Mędrzec mówi, że nie możemy już być pewni wierności tego człowieka, że Nieprzyjaciel nie spoczywa, że dołączyli do Niego inni.

— Może zbyt pochopnie uznaliśmy lojalność Livingstone'a za pewnik. Musimy zawiadomić barona.

— Nadal ufam, że dziewczynie uda się pchnąć go we właściwym kierunku.

— Miejmy nadzieję, że obejdzie się bez tego. Wystarczy, że powstrzyma go przed zwróceniem się ku Nieprzyjacielowi i stopniowo będzie popychać go ku nam.

— Po ślubie Livingstone stanie się jednym z nas. Nie obawiam się w ostatecznym rozrachunku o jego lojalność.

— Zakon szkocki będzie najlepszą drogą wtajemniczenia, logicznym krokiem w rozwoju jego kariery.

— Może czas już, by wezwać Dwunastu — powiedziała kobieta. — Wyczuwam poruszenie także w łonie Rady.

— Mój Mędrzec mówi, że ktoś z nas zszedł być może na manowce.

— Czy podano tożsamość? — spytała kobieta.

— Tylko ostrzeżono, byśmy przyjrzeni się swoim. Mędrzec powiedział, że nikt nie może zdradzić sprawy Mistrza.

— Zdrada zawsze jest dziełem najbliższych.

— Musimy być czujni.

Znowu zapadło milczenie. Po jakimś czasie oboje wstali i oddzielnie opuścili pokój bez okien.

Od tego dnia będą jeszcze pilniej czuwać nad rozwojem wydarzeń. I sięgną po wszystkie tajemnice starożytnego Babilonu, żeby jako pierwsi odkryć punkt, gdzie ich moc jest narażona na uszczerbek... i usuną zagrożenie.

Lud Nieprzyjaciela zapuszczał się czasem zbyt blisko. Straszliwa groźba pojawiła się sto lat temu. Wyrwali ją z korzeniami. Nie potrafili jednak odkryć tajemnicy tamtego człowieka. Błądził to tu, to tam po pustyni i donikąd ich nie doprowadził. Teraz, kiedy milenium jest tuż tuż, nie mogą pozwolić na dalsze przybliżanie się do tego, co wówczas prawie ujawniono.

Całe wieki czekali na chwilę, w której przystąpią do realizacji swych planów strategicznych. Teraz nieubłaganie zbliżał się czas, kiedy objawi się Namaszczony przez Mistrza. Nic, co może zagrozić ich niezwykłonej mocy, nie znajdzie najmniejszego punktu zaczepienia.

Adam Livingstone nie może dotrzeć do ich słabego punktu — gdziekolwiek się on znajduje.

ROZDZIAŁ TRZECI

TO WCALE NIE BAJKA

1.

Ranek wstał jasny i ciepły.

Wspaniały dzień na wyprawę do miasta. Królewski Turniej w Earl's Court Centre będzie gwoździem programu rodzinnych wakacji.

Kiedy dobiegły końca rycerskie pokazy z udziałem jezdnych, matka, ojciec, córka i syn pobiegli najszybciej jak potrafili do czekającego na nich wypożyczonego auta. Usadowili się w nim wśród wybuchów śmiechu. Hałaśliwie zachowujący się ojciec uruchomił silnik i samochód ruszył w stronę Green Park. Chcieli zdążyć przed jezdny, którzy mieli zakończyć dla nich ten dzień specjalnym ceremonialnym pozdrowieniem królowej, a także honorowych gości zaproszonych na popołudniowe garden party w prywatnych zacisznych ogrodach pałacu Buckingham.

Może uda się im zobaczyć, choćby przelotnie, królową!

Wszędzie śmiech, wszędzie rozpromienione radością twarze. Wydawało się, że jasny obraz szczęścia należy do dawno minionych czasów. Jakby opowieść z odległej baśniowej krainy.

Zaparkowali najbliżej jak to możliwe pałacu. Pobiegli w stronę tłumu, a potem przepychali się między ludźmi, zbliżając się kawałek po kawałek do wielkiej frontowej bramy. Przodem szedł ojciec,

zachowując się jak rozbawiony dzieciak. Cała czwórka wyteżała wzrok z nadzieją, że zobaczy, co się dzieje za ozdobną złoto-czarną kratą.

Za ich plecami coraz głośniejsz rozbrzmiewała muzyka maszerującej orkiestry. Wyrównany szereg jeźdźców zbliżał się już, wjeżdżał w parkową aleję Mall od strony Constitution Hill.

— Tato, kiedy przybędzie królowa?

— Nie wiem, synku. Patrz na front pałacu.

W marzycielskim umyśle córki — miała dwadzieścia trzy lata, ale sercem była o wiele młodsza — cały ten dzień był jak bajka. Jaka porywająca muzyka! Jaki odświętny nastrój! Tato jest taki zabawny! Mama mówi, że nigdy jeszcze nie widziała, żeby był tak wesoły.

— Chodźcie!... Za mną! — rozkazał, przepychając się do pierwszych szeregów tłumu. — Przebiegnijmy przez ulicę, bo tam...

Zbliżające się trąby, puzony i bębny uciszyły nagle zgiełk tłumu.

Krzyki... ryk silnika pędzącego w ich stronę samochodu... jakieś wrzaski...

Tłum rozbiegł się. Samochód pędził prosto przed siebie.

Rozległy się gwizdki przemieszane z komendami policyjnymi. I znowu głośne rozkazy... i znowu krzyki.

Muzyka zamilkła... Konie cofają się, rżą... strzały... wrzask przerażonych ludzi.

— Śmierć królom i tyranom! — zawołał ktoś z rozpedzonego czarnego auta. Człowiek z zakrytą twarzą wychylił się przez okno. Trzymał coś w ręku.

— Uciekajcie, dzieci! — krzyknął ojciec. — Do samochodu!

Piski, istne pandemonium... wszyscy biegają... to tu, to tam ktoś wali się na ziemię... gwizdki policyjne... wycie syren...

Teraz cała czwórka pędzi co sił w nogach... uciekają. Ale tłum jest tuż, tuż. Auto cioci... za chwilę będą bezpieczni...

Panika, zamieszanie... odgłosy czegoś złego, co dzieje się za ich plecami...

Nagle ogłuszający wybuch i zaraz potem krzyki przerażenia... jeszcze jeden wybuch... coś upadło na ziemię tuż przed dziewczyną... potknęła się.

Obraz zasnęła mgłą. Rzeczywistość przybrała postać niewyraźnego, rozmazanego ruchu. Dźwięki się oddaliły.

Opuściła wzrok. Z jej rąk płynęła krew! Wszędzie ta straszna czerwień... ale nie czuła bólu... tylko to odrętwienie.

Nad zgiełk tłumy wzbił się jej głos... krzyk, krzyk przerażenia.

Policjanci biegali na wszystkie strony, kogoś ścigali, przeskakując leżące na bruku ciała, ale nie było słychać ich kroków. Jej umysł wypełniły groteskowe twarze, ale zaraz wszystko ogarnęła cisza.

Otworzyła szeroko usta, żeby krzyknąć... Wielkie łzy spływały jej po twarzy.

„Tato!... Tato!...” — chciała zawołać, ale z jej ust nie dobył się żaden dźwięk.

Dlaczego tatuś nie otwiera oczu? Dlaczego wszystko dokoła pokrywają krwawe plamy?

W końcu odzyskała głos.

— Tato, tatusiu, obudź się, błagam! — zawodziła i jej żałobny lament odbijał się echem od ciszy.

— Juliet... Juliet, kochanie — usłyszała natarczywy i zarazem kojący głos.

Czyjeś ręce podniosły ją łagodnie.

— Juliet... kochanie, obudź się!... To tylko zły sen...

Otworzyła oczy. Wątkę światła nocnej lampki ukazało sypialnię, która wydała się jej jakimś nieznanym miejscem. Rzeczywistość snu nakładała się na wracającą świadomość. Młoda kobieta, dorosła, ale przeniknięta w tej chwili dziecięcym uczuciem samotności, wybuchnęła gwałtownym, pełnym trwogi łkaniem.

Przepełniona miłością kobieta, która siedziała na brzegu jej łóżka, pochyliła się. Wzięła dziewczynę w ramiona, łagodnie pogładziła ją po włosach. Niech się wypłacz.

Minęło kilka minut.

— Przepraszam, ciociu — powiedziała w końcu Juliet, z której oczu nadal płynęły łzy. Senność zniknęła jednak bez śladu. — Przepraszam. Obudziłam cię.

— Nie myśl o tym, kochanie.
— Czuję się, jakbym znowu była małą dziewczynką.
— Czasem człowiek ma prawo poczuć się znowu dzieckiem. Nigdy nie rozstajemy się do końca z dzieciństwem. Masz za sobą okropne przeżycie. Potrzebujesz czasu.

— Czy kiedyś skończą się te sny?
— Minęło pięćdziesiąt lat, a ja nadal pamiętam przerażenie, które ogarniało mnie podczas bombardowań. Przystało mi się to jednak śnić. Nigdy nie zapomnisz... ale sny prędzej czy później przestaną powracać.

— Och, ciociu, co ze mną będzie? — jęknęła nieszczęsna dziewczyna.

— Na razie zostaniesz, kochanie, ze mną.
— Nie chcę być ci ciężarem.
— Musisz porzucić myśli o przyszłości. Już ona sama o siebie zadba. Do tego czasu będzie mi miło, jeśli zostaniesz u mnie. A teraz powiedz, czy masz ochotę na herbatę?

Juliet chlipnęła jeszcze raz, wzięła ze stolika papierową chusteczkę i wytarła nos.

— Tak, tak, proszę. — Skinęła głową. — Zimno mi. Od tamtego dnia bez przerwy marznę. Chętnie napiję się herbaty. Wolalabym jeszcze nie zasypiać, chociaż to środek nocy.

— Zejdę do kuchni i nastawię wodę.
— Nie musisz siedzieć przy mnie, ciociu. Zostawię na chwilę zapalone światło.

— Ale ja chcę z tobą zostać, kochanie. Jutro obie utniemy sobie drzemkę.

Rozmowę przerwał im dobiegający z innego pokoju słaby dzwonek telefonu.

— Kto może dzwonić o tej porze? — zdziwiła się ciocia Juliet.

Starsza pani wstała i wyszła pospiesznie z sypialni, zostawiając siostrzenicę, która siedziała wyprostowana na łóżku i oddychała głęboko, żeby przywrócić sobie spokój. Ciocia zeszła na dół i choć podniosła słuchawkę dopiero po dwunastym albo trzynastym dzwonku, uparty rozmówca nie rozłączył się.

— Przykro mi, ale go nie ma — odpowiedziała na pytanie. — Skąd ma pan ten numer?

Wyjaśnienie, które uzyskała, wcale jej nie zadowoliło.

— Naprawdę nie mam pojęcia — oznajmiła, wysłuchawszy rozmówcę. — Będzie pan musiał skontaktować się w zwykły sposób. Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę i wzruszyła ramionami, bo ani trochę nie spodobały się jej manieri tego pana — aczkolwiek akcent w znacznej mierze wyjaśniał, skąd się wzięły — i poszła zaparzyć herbatę.

2.

Sukces wyprawy Livingstone'a na Ararat, jak nazwały ją środki masowego przekazu, zelektryzował Londyn na jakieś dziesięć dni. Także amerykańskie sieci telewizyjne wysłały zespoły dziennikarzy, którzy dniem i nocą śledzili wydarzenia, dostarczając co wieczór porcję bieżących informacji. Natomiast archeolog i łowca przygód w jednej osobie, czyli sam Livingstone, nie pokazał się w swojej ojczyźnie ani nigdzie indziej.

Byli tacy, którzy tydzień niemal bezwietrznej i słonecznej pogody nazywali Boskim cudem porównywalnym z tym, jakiego dokonał Wszechmogący w rozdziale dziesiątym Jozuego, kiedy to zatrzymał bieg słońca. Czy też, gdyby starożytni lepiej znali fizykę nieboskłonu, kiedy wstrzymał ruchy Ziemi.

Większość osób, które znalazły się na górskim zboczu, nazywała to po prostu szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Jakkolwiek by to oceniać, faktem jest, że piękna pogoda pozwoliła Adamowi Livingstone'owi, wspieranemu przez dwóch pomocników, pozostać w lodowym szybie prawie trzy dni i dwie noce i zobaczyć rzeczy, jakich współczesny człowiek nigdy dotąd nie oglądał.

Od chwili ustalenia lokalizacji i położenia ogromnego, uwięzionego w lodzie dzieła rąk ludzkich, nic nie mogło powstrzymać zespołu, którym kierował Livingstone, przed dokończeniem tak po-myślnie rozpoczętych prac. Nie ulegało już wątpliwości, że jest to

ogromny i bardzo stary statek żaglowy zadziwiająco podobny do tego, który opisuje Biblia. Zaczęto już mówić o umieszczeniu w odpowiednich miejscach ładunków wybuchowych, które usuną lodową pokrywę i ułatwią dostęp do znaleziska. Rozważano także przeniesienie obozu-bazy gdzieś bliżej, może nawet na lodowiec. Łatwiej byłoby wtedy koordynować dalsze prace badawcze. Oba te kontrowersyjne i ryzykowne przedsięwzięcia nie wyszły poza etap planów i musiały poczekać do następnego roku, aż ucichną zimowe zawieruchy.

Jedno nie ulegało wątpliwości: chodzi tu o odkrycia archeologiczne na najwyższym poziomie, o sprawy przykuwające uwagę całego świata.

Zgodnie z oczekiwaniami pogoda w końcu się zepsuła. Wycofano zespół badawczy. Zwinięto obóz, którego celem było wykonanie szybu. Cały personel i sprzęt przewieziono helikopterem do stałej bazy w Dogubajazit. Gwałtowne wichry przygnały chmury, które pochłonęły Ararat.

Przystąpiono z zapałem do układania planów związanych z drugą, być może wieloletnią, fazą niewiarygodnej przygody. Chodziło o próbę wydobycia arki z lodowych okowów tak, żeby nie uszkodzić jej częściowo skamieniałej, ale bardzo kruchej struktury. Same prace w lodowym podłożu wypełnią miesiące oczekiwania na przyjście lata. Jednocześnie Livingstone zastanawiał się już nad od dawna planowanymi wykopaliskami w Afryce, które potrwałyby kilka zim i wypełniłyby szczerlnie rozkład jego zajęć.

Chciał jak najszybciej spotkać się z całym zespołem oraz komite-tem zarządzającym kartelem. Był realistą, zdawał więc sobie sprawę, że przez cały czas będą mu deptać po piętach ludzie pragnący zaspokoić ciekawość opinii publicznej. Z tym raczej sobie poradzi. Miał już za sobą niejedno wybitne dokonanie i przywykł do skierowanych na siebie światła reflektorów.

Wiedząc doskonale, że sfory dziennikarzy rychło wtargną do małego tureckiego miasta, Livingstone i Jordan wymknęli się nocą z

Dogubajazit do Ankary. Ze stolicy tureckiej polecili do Rzymu na pospiesznie zwołane spotkanie zwierzchników kartelu. Zanim przedstawiciele prasy zdążyli wytropić miejsce ich pobytu, dwaj archeolodzy znowu zniknęli.

Rozeszła się pogłoska, że Livingstone i Jordan polecili incognito do Prestwick, potem zawieziono ich autostradami M6 i M40 do miasta i w tym momencie przebywają w Londynie. Po historycznym opuszczeniu się na dno lodowego szybu już następnego dnia ulice wokół domu Livingstone'a wypełnili szczerlnie reporterzy, którzy koczowali tam, licząc na jego przybycie.

Minęło jednak dziesięć dni, a archeolog się nie pokazał. Jeśli rzeczywiście był w Londynie, udało mu się pozostać w ukryciu. Gdziekolwiek i kiedykolwiek ukaże się w końcu publicznie, będzie to z pewnością z największą niecierpliwością oczekiwany powrót Anglika do kraju — od czasu, kiedy czwórka młodych Liwerpudli o głosach jak mop wzięła szturmem Nowy Jork w 1964 roku.

3.

Wyprawa Mitcha Cutiera do Zurychu trwała niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Ze szwajcarską przedstawicielką zawsze spotykał się w rozmaitych, wyznaczonych przez nią miejscach. Kiedy dzwonił pod prywatny numer, słyszał jedynie buczenie. Wystukiwał swój kod numeryczny na klawiaturze telefonu. To wszystko.

Po dwóch godzinach otrzymał instrukcję przez Internet. Komuś niewtajemniczonemu komunikat wydałby się niczym więcej niż zwykła e-mailowa sieczka. On jednak odczytał z tych słów datę, godzinę i nazwę ulicy. Zawsze w szwajcarskiej metropolii. Jeśli ocenił, że sprawa jest pilna, dwie dodatkowe cyfry wystukane po kodzie wyznaczały termin spotkania na najbliższe popołudnie.

Nawet najprostsze kwestie omawiano twarzą w twarz. Przekaz telefoniczny czy komputerowy zbyt łatwo można przechwycić. Koszty podróży nie mają znaczenia. Pieniądze się nie liczą.

Najważniejsze jest utrzymanie tajemnicy.

Także Cutter mógł być w każdej chwili wezwany przez Internet do Europy. Każdego ranka zaraz po przebudzeniu zaglądał do internetowej poczty.

Osoba w Szwajcarii była jego skrzynką kontaktową. Oni wszyscy mają swoje skrzynki kontaktowe. Nie wiedział, jak wysoko stoi jego łącznik w hierarchii tajnego stowarzyszenia, aczkolwiek miał w tej sprawie własne podejrzenia, podobnie domyślał się, jak wysoko jest on sam. Miał świadomość, że znacznie niżej niż ona.

Podczas tego spotkania Cutter zdał sprawę ze swojej niedawnej rozmowy z senatorem.

— Słusznie pan postąpił, kontaktując się ze mną — rzekła dama, której zachowanie świadczyło, że nawykła do wydawania rozkazów. — Uważnie śledziliśmy rozwój wydarzeń.

— Czy interesuje panią, co powiedział o potopie?

— Te kwestie są interesujące, ale nie mają zbyt wielkiego znaczenia.

— Nie mają zbyt wielkiego znaczenia?

— Nie są priorytetowe.

— Cóż więc jest priorytetem?

— To nie pańska sprawa. Ale postąpił pan słusznie... Pozwala to na infiltrację i może przynieść pewne korzyści.

— Co mam robić?

— Myślę o osobie, której sztuczki mogą okazać się dla nas przyteczne. Umówię z nią pana na jutrzejsze przedpołudnie. Wyjaśnię jej wówczas, jakie mamy zamiary wobec naszego waszyngtońskiego przyjaciela. Poza tym, być może nadszedł już czas, żebym poznała pańskiego znajomego.

4.

Pani Andrea Graves i jej siostrzenica, Juliet Halsay, siedziały przy śniadaniu w posiadłości, w której pani Graves była zatrudniona

dożywno jako gospodyni. Młoda kobieta mieszkała już z nią prawie od tygodnia.

— Och, ciociu, co ja ze sobą pocznę? — westchnęła Juliet. — Nie mogę przez całe życie siedzieć w pokoju albo spacerować po ogrodzie.

— W tej chwili, kochanie, najbardziej potrzebujesz odpoczynku — odparła ciocia.

— Może powinnam rozejrzeć się za pracą.

— Po co ten pośpiech?

— Nie mam pieniędzy.

Dziewczyna zadrżała i szczerzej otuliła się rozpinanym swetrem.

— Myślałam, że wszystko już omówiliśmy. Zostaniesz u mnie. O pieniądze możesz się nie martwić.

— Muszę mieć jakąś odmianę, choćbym musiała stanąć za ladą i sprzedawać smażoną rybę z frytkami.

— Nie po to chodziłaś do college'u.

— Zrobiłabym wszystko, żeby tylko nie myśleć... nie rozpałmiętywać — jęknęła dziewczyna.

— Musi minąć jakiś czas, zanim dojdiesz do siebie.

— To właśnie mówi psycholog. Ale coraz to nowe myśli napływają mi do głowy... i pojawiają się nowe koszmary senne. Zastanawiam się, czy praca nie byłaby dla mnie lepszym lekarstwem niż wizyty u psychologa i terapia grupowa.

Pani Graves zauważyła, że jej siostrzenica znowu drapie się po rękach. Od dnia wypadku powracał jej czasami ten odruch, któremu towarzyszył wyraz przerażenia w oczach. Po kilku godzinach przychodził straszliwy ból głowy.

— Z drugiej strony — westchnęła Juliet — wszystko przestało mnie interesować. Może nadaję się właśnie do tego, żeby sprzedawać smażone ryby i frytki. Czego nauczyłam się w college'u poza czytaniem map i zbieraniem skalnych okazów?

— Dawniej interesowałaś się trzęsieniami ziemi — przypomniała jej ciocia, próbując znaleźć jakiś temat, na którym Juliet mogłaby skupić uwagę.

— Chyba tak — przyznała apatycznym głosem dziewczyna.

— Myślałam też, że chciałaś na ten temat pisać, jeślibyś nie mogła zająć się pracą naukową.

— Brałam taką możliwość pod uwagę. Ale nie miałabym szans na wybitcie się.

— A co mówi psycholog?

— Że nie powinnam troszczyć się o przyszłość, że rząd przygotował programy pomocy ofiarom tragedii.

— Anglicy dbają o swoich, to pewne.

— Psycholog powiedziała mi też, że nie powinnam uciekać od żalu. Cokolwiek to znaczy.

— Może ma rację, kochanie.

Juliet odwróciła wzrok i westchnęła.

— Tatuś nie pochwałał życia na czyjś koszt, jeśli tylko ma się jakiś wybór — ciągnęła po chwili. — Powiedział, że to wyjaławia człowiekowi duszę. Ale psycholog powtarza ciągle, że ofiary muszą przywyknąć do myśli, że być może ich życie nigdy już nie wróci do normy.

Znowu zaczęła pocierać nerwowo dłońią o dłoń.

— Może byś porozmawiała z ludźmi zajmującymi się w college'u doradztwem zawodowym. Zorientujesz się, co mogą dla ciebie zrobić.

— W zeszłym roku rozmawiałam z nimi kilka razy.

— I co?

— Interesująca praca jest dla tych, którzy uzyskali stopień uniwersytecki. Ludzie tacy jak ja myją probówki, a nie prowadzą badań, wypełniają formularze, ale ich nie przygotowują. Nie ma nadziei, żeby wysłano mnie w teren i żeby robiła coś, co się liczy. I nikt nie wynajmie mnie do pisania sprawozdań z naprawdę ważnych badań.

— Tak było rok temu. Możesz spróbować jeszcze raz.

Juliet skinęła bez entuzjazmu głową, a po chwili wstała i wyszła z kuchni.

Pół godziny później opuściła dom tylnymi drzwiami i krokiem tak zrezygnowanym, jakby nie wiedziała, co ze sobą zrobić, ruszyła do ogrodu. Nadal drżała z zimna, choć słońce było już wysoko. Ale ona nie podnosiła wzroku, nie widziała błękitnego nieba, nie czuła ciepła.

Może psycholog ma rację, spotkała ją straszliwa niesprawiedliwość. Może powinna pogodzić się z tym faktem i porzucić myśl o pracy.

5.

Gospodyni Adama Livingstone'a krzątała się w kuchni w Sevenoaks, kiedy młoda, ledwie dwudziestoparoletnia kobieta — dość krępa, ale o ładnej buzi i czarnych kręconych włosach — wbiegła po schodach z przyziemia.

— Pani Graves, oczekuję gościa — oznajmiła. — Czy zechce pani zadzwonić, kiedy się zjawi?

— Pani przyjaciel elektronik?

— Tak. — Dziewczyna uśmiechnęła się. — Pracuje niedaleko stąd jako technik komputerowy. Przyjdzie na lunch.

— A gdzie pani będzie, panno Wagner?

— Będę pracować na dole.

Na twarzy gospodyni pojawił się na chwilę wyraz zatroskania.

— Proszę się nie martwić — ciągnęła dziewczyna. Powiedziała to głosem zbyt ozywionym, żeby usmierzyć niepokój pani Graves. — Wiem, że do laboratorium nikt nie ma wstępu. Nie ośmieliłabym się go tam wprowadzić. Zjemy lunch w gabinecie albo na zewnątrz.

Pani Graves skinęła głową. Asystentka Adama wróciła do pracy.

Godzinę później zjawił się zapowiedziany gość. Dziewczyna przybiegła na górę, gdy tylko gospodyni zawiadomiła ją o jego przyjeździe. Zastała go w drzwiach; czekał w towarzystwie czujnej pani Graves.

— Cześć, Dexter. Przyniosłeś lunch? — spytała.

— Mam go tutaj — odparł młodzieniec.

— Chodźmy na górę, do gabinetu. Będziemy mogli pogadać.

Poszła przodem w stronę schodów. Przybysz nie próbował nawet zniżyć głosu, aby jego komentarz nie doszedł uszu pani Graves.

— Ta kobieta pilnuje domu jak jastrząb.

— Pst, Dexter... ciszej! Robi, co do niej należy.

Ich głosy zanikły, gdyż dotarli na półpiętro i weszli do gabinetu. Pani Graves popatrzyła za nimi, potem potrząsnęła nieznacznie głową i wróciła do saloniku. Lubiała asystentkę swojego chlebodawcy,

ale dziewczyna sama siebie krzywdziła, poświęcając tyle uwagi mężczyznom — w dodatku nie znała się na ludziach. Ten chłopak nie podobał się pani Graves. Wiedziała, że matka dziewczyny też go nie akceptowała. Ale asystentka jeżyła się, gdy tylko ktoś wspomniał o matce. Jeśli chodzi o dobór przyjaciół, rodzicielska aprobata niewiele ją obchodziła.

Gospodyni uważała, że znajomość Erin z tym młodzieńcem może przynieść tylko kłopoty. Dziewczyna pracowała tu od niespełna roku i pani Graves miała poważne wątpliwości, czy uda się jej zostać dłużej. Czuła się za całą tę sytuację odpowiedzialna, bo to ona poleciła Erin.

Kiedy wchodziła do saloniku, rozległ się dzwonek telefonu. Natychmiast rozpoznała głos, gdyż mężczyzna telefonował już trzeci raz.

— Proszę pana, muszę panu raz jeszcze powtórzyć — powiedziała pani Graves, starając się zachować uprzejmy ton — że nie wiem, kiedy wróci. Tak, mam pana numer telefonu. Nie mogę jednak obiecać, że...

Słuchała raz jeszcze zapewnień rozmówcy, że jego sprawa jest bardzo ważna.

— Być może chodzi o sprawę niezwykle dla pana pilną — oznajmiła z odrobiną irytacji w głosie. — Ale pan Livingstone jest człowiekiem bardzo zajęтым. Mogę tylko zapewnić, że przekażę wiadomość od pana. Do widzenia.

— Niektórzy nie potrafią pogodzić się z tym, że nie mogą postawić na swoim — mruknęła pod nosem, odchodząc od telefonu.

Ledwie zrobiła trzy, może cztery kroki, telefon znowu zadzwonił.

Czy ten człowiek nigdy się nie podda?

Z ulgą patrzyła na migotanie światełka, które wskazywało, że ktoś odebrał telefon na górze.

Pół minuty później asystentka zeszła na dół. Pani Graves podniosła na nią wzrok.

— Jakiś mężczyzna twierdzi, że obiecała mu pani wywiad dzisiaj po południu. Chciał potwierdzić godzinę.

Pani Graves spojrzała na nią z osłupieniem.

— Ja?

— Mówi, że już z panią rozmawiał. Prosił o potwierdzenie, że trzecia nadal pani odpowiada.

— Ależ nie rozmawiałam z nikim o żadnym wywiadzie — zapewniła pani Graves, podchodząc z zaniepokojoną miną do telefonu. Podniosła słuchawkę i przycisnęła guzik, żeby przełączyć rozmowę.

— Halo, słucham pana... Nazywam się Graves...

Zamilkła.

— Dziwne — powiedziała, odkładając powoli słuchawkę. — Nie ma połączenia, panno Wagner.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zdumienia.

— Sprawdzę telefon na górze — oznajmiła i odwróciła się.

Gospodyni spojrzała na telefon. Nie świeciło światelko żadnej linii.

Czterdzieści minut później usłyszała, jak dwoje młodych schodzi po schodach. Panna Wagner odprowadziła gościa do drzwi. Chwilę później zajrzała do saloniku i oznajmiła gospodyni, że telefon na górze też milczał. Ktokolwiek to był, już nie zadzwonił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

TRYUMFALNY POWRÓT

1.

Wbrew pogłoskom Adam Livingstone wcale nie dotarł jeszcze do Londynu.

W doniesieniach, które przedostały się do opinii publicznej, wszystko było prawdą poza miejscem pobytu — on i Jordan zatrzymali się na noc w High Wycombe. Kiedy tylko się rozpakowali i wypili filiżankę herbaty, Jordan wyszedł, żeby zabrać zamówioną rybę z frytkami i zajrzeć do kiosku gazetowego. Być może dla Livingstone'a był to ostatni na jakiś czas niczym niezakłócony wieczór, który spędzili w atmosferze spokoju i samotności, panującej w domu jednego z członków kartelu.

Ostrzeżeniem dla nich była informacja, że „Time” zamierza w bezprecedensowy sposób poświęcić ich odkryciu pełne dwadzieścia stron cotygodniowego wydania. Właśnie dzisiaj miał ukazać się ten numer tygodnika.

Jordan nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy płacił za egzemplarz. Na okładce zobaczył zbliżenie Adama Livingstone'a nałożone na rozległą panoramę Araratu. W ramkach umieszczono zdjęcie z wnętrza szybu.

— Cały świat może cię sobie obejrzeć! — oznajmił, rzucając tygodnik Livingstone'owi na kolana.

Adam spojrział przelotnie na okładkę i zachichotał.

— Nie przejmuj się tym — powiedział. — Lepiej podaj torebkę... konam z głodu. Czuję zapach frytek!

- No to wcinaj. Nie przeczytasz artykułu?
- Najpierw ty. Pokażesz mi, które nieprzyjemne kawałki powinienem opuścić.
- Ktoś śmiałby krytykować Adama Livingstone'a?! — wykrzyknął Jordan. — Nie wiesz, człowieku, że jesteś teraz bohaterem narodowym?
- Przeczytaj jednak pierwszy — roześmiał się Adam.

Jordan, przeglądając tygodnik, rozpakował wielki płat dorsza. Wziął do ust duży kęs ryby i zaczął czytać relację z historycznego dramatu, w którym on sam odgrywał jedną z głównych ról.

„W ostatnich stu pięćdziesięciu latach relacje między nauką a religią miały burzliwy charakter. Trwała bezlitosna wojna o supremację. Pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy nauka dokonywała szybkich postępów we wszystkich dziedzinach, od astronomii do zoologii, racjoniści oświadczyli zuchwale: «Nauka zaprzecza Biblii».

W następnych dziesięcioleciach wszystkim poza garstką chrześcijańskich fundamentalistów wydawało się, że twierdzenie to nabiera coraz większej mocy. Za życia ostatnich trzech pokoleń nauka przekonała prawie wszystkich myślicieli o swojej przewadze nad starą świętą Księgą. Prawie sto czterdzieści lat po opublikowaniu przez Darwina, w 1859 roku, *O pochodzeniu gatunków* ewolucję uznaje się za fakt, natomiast o dziele stworzenia pisze się w podręcznikach jako o micie.

Zaraz, zaraz — mówią ci, którzy nauczają, że świat nie został stworzony przez ślepy traf, lecz przez nadprzyrodzoną Obecność. Ci rzecznicy kreacjonizmu utrzymują, że Bóg chrześcijan jest obecny jako Osoba i że przemawiał do praludzi, których ulepił z gliny, a nawet interweniował bezpośrednio w ich sprawę.

Wyrok wcale jeszcze nie zapadł — mówią. — Być może Biblia rzuci światło na nasze początki.

Czyżby odwróciła się karta w długim procesie erozji religijnej wiarygodności? Czyżby za sprawą boskiej przemiany skończył się monopol modernizmu na prawdę? Czyżby nauka została ni z tego, ni z owego rzucona na matę i poczuła się unieruchomiona przez niespodziewanie potężną siłę swego religijnego przeciwnika, którego

mięśnie nabrały nagle tężyzny?

Na to wygląda.

I to właśnie nauka pobiegła nieoczekiwanie na ratunek naruszonej reputacji wiary! Na całym świecie zmieniono tytuły prasowe, które mówią teraz: «Nauka potwierdza Biblię»!

I trudno obalić tę tezę w sytuacji, kiedy jakieś pięćdziesiąt metrów pod szczytem tureckiej góry Ararat dokonano tydzień temu odkrycia, którego z niczym nie da się porównać. Znany brytyjski archeolog Adam Livingstone (na okładce) poprowadził zespół reprezentujący najnowocześnie wyposażoną ekspedycję do odnalezienia ni mniej, ni więcej tylko ogromnej arki opisanej w rozdziałach szóstym i siódmym Księgi Rodzaju.

Opuszczony na linie przymocowanej do żurawia ustawionego w rozbitym znacznie wyżej obozie, dzięki sprzyjającej pogodzie Livingstone, weteran archeologii, który po ukończeniu studiów w Cambridge pracował w ostatnim dziesięcioleciu na dobrej setce wykopaliskowych stanowisk, znalazł się w szerokim na dwa metry wytopionym w lodowcu szybie, (patrz także artykuł na s. 47: *Eksploatacja z wykorzystaniem najnowszej technologii: Archeologia wkracza w wiek komputerowy*). Stało się to możliwe dzięki znanej z teorii, ale nigdy dotąd nie stosowanej metodzie wymagającej użycia zestawu skomplikowanych lamp grzewczych.

«Przewidzieliśmy wszystkie ewentualności i zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby poradzić sobie w razie kłopotów — powiedział w sztabie wyprawy w Dogubajazit, miejscowości położonej w cieniu Araratu, dwadzieścia cztery kilometry na południowy-zachód od szczytu, Richard Dewhurst, przewodniczący kartelu Livingstone'a, człowiek, który przygotował i zorganizował ekspedycję.

— Nikt z nas nie spodziewał się jednak, że przedsięwzięcie zakończy się takim sukcesem. Wystarczy, jeśli powiem, że jesteście bardzo, ale to bardzo zadowoleni.»

— Musisz to przeczytać — roześmiał się Jordan. — Cytują Dewhursta. Sugerują w ten sposób, że wszystko jest jego dziełem.

- A ty uważasz, że nie? — spytał z rozbawieniem przyjaciel.
- Wiesz równie dobrze jak ja, że cała wiedza Richarda Dewhursta o archeologii zmieściłaby się w główce szpilki.
- Nie można zaprzeczyć, że jeśli chodzi o kontakty z prasą, jest po prostu niezastąpiony — odparł z wymuszonym uśmiechem Livingstone.

Jordan wrócił do lektury.

„Scenerię bezprecedensowego wyczynu z zeszłego tygodnia ukażała seria zdjęć lotniczych wykonanych zeszłej wiosny. Na ich podstawie udało się dzięki zaawansowanej technologii, wykorzystującej promieniowanie rentgenowskie, zlokalizować — głęboko pod lodem, zaklinowany na występie między dwiema depresjami w surowym granicie — zarys, który mgliście przypominał wielką łódź (patrz zdjęcie na następnej stronie).

Zanim doszło do niewiarygodnych wydarzeń z zeszłego tygodnia, można było jedynie snuć domysły na temat tego kształtu... aż wreszcie Adam Livingstone postawił stopę na dnie wytopionego szybu. Czy dotknął w ten sposób najstarszego odnalezionego ogniwa, jakie łączy nas z wydarzeniami opisanymi w Pismach żydowskich i chrześcijańskich? (Na ten temat czytaj: *Egipt, Babilon i arka. Jak archeologia weryfikuje Biblię?*)

Małe próbki znaleziska przewieziono natychmiast drogą lotniczą do niezależnych laboratoriów w sześciu krajach. Wszystkie te laboratoria stwierdziły, że badane metodą węgla C-14 próbki — zarówno spetryfikowane, jak i niespetryfikowane — pochodzą sprzed 6200 do 8100 lat. Według kryteriów archeologicznych odkryta konstrukcja nie może być uważana za prehistoryczną, ponieważ do wynalezienia narzędzi i koła garncarskiego doszło dwa razy dawniej. Trudno jednak rozbite fragmenty naczyń na wodę porównywać z jednostką pływającą o długości półtora raza większej niż boisko futbolowe, same te rozmiary sprawiają bowiem, że znalezisko wypada zaliczyć do całkiem odrębnej kategorii archeologicznej.

Według opowieści z Księgi Rodzaju, rozdział 6, Bóg rozkazał Noemu, który dawno już przekroczył połowę życia, gdyż miał

pięćset do sześciuset lat: «Zbuduj sobie arkę z drzewa żywicznego». I dalej Wszechmogący tak pouczał: «A oto, jak masz ją wykonać: długość arki — trzysta łokci, pięćdziesiąt łokci jej szerokość i wysokość jej — trzydzieści łokci. Okno arki przepuszczające światło sporządzisz na łokieć wysokie i zrobisz wejście do arki w jej bocznej ścianie; uczyni przegrody: dolną, drugą i trzecią».

W wydaniu Towarzystwa Biblijnego arka opisana jest nieco inaczej:

«Zbuduj sobie arkę z drzewa żywicznego. Zrób komory w arce, i powlecz ją wewnątrz i na zewnątrz smołą. A zrobisz ją tak: Długość arki niech wynosi trzysta łokci, szerokość jej pięćdziesiąt łokci, a wysokość jej trzydzieści łokci. Zrobisz w arce okno i zakończysz je na łokieć od góry. Z boku arki umieścisz drzwi. Uczynisz w niej dolne, wyższe i najwyższe komory.»

Okręt, na którym Kolumb przepłynął po raz pierwszy Atlantyck, był ponad trzy razy krótszy.

Dokładne znaczenie hebrajskich terminów przełożonych jako «drzewo żywiczne» czy «cyprys» nie jest znane. Wszystkie laboratoria ustaliły, że próbek z Araratu nie da się powiązać w sposób pewny z żadnym współczesnym gatunkiem drzewa rosnącego na Bliskim Wschodzie, aczkolwiek testy DNA ujawniły podobieństwo do dawnej odmiany *pinaceae sempervirens*, czasem utożsamianej z *cupressus sempervirens*, czyli śródziemnomorskim cyprysem, którego dwa główne gatunki znaleziono na Bliskim Wschodzie. Aleksander Wielki budował swoje okręty właśnie z tego wonnego drzewa, tradycyjnie używanego do konstrukcji jednostek żaglowych. Podobnie testy, którym poddano żywiczną substancję wydłubaną przez Livingstone'a spośród desek, ujawniły, że chodzi o rodzaj smoły. Jest to zgodne z Biblią i najprawdopodobniej substancja ta pochodzi z jakiegoś drzewa iglastego, być może lokalnej odmiany sosny.”

Jordan podniósł wzrok znad tygodnika.

— Czy wiesz coś pewnego o wynikach analizy drewna? — spytał. — Nie wiedziałem, że podano już rezultaty.

— Nie podano. Kiedy byliśmy w Rzymie, przysłano nam tylko wstępne sprawozdanie.

— Czytając artykuł, ma się wrażenie, że zakończono już badania.

— Jak to określili? Cyprys śródziemnomorski?

Jordan skinął potakująco głową.

— Jestem pewny, że wiedzą, co piszą. Może dotarli jakoś do jednego z laboratoriów. Powstrzymam się z oceną, póki nie uda się nam wykonać prób u siebie. Chciałbym jak najszybciej powierzyć to Erin.

— Czy spodziewa się nas?

— Zadzwoiłem z Prestwick. Nie może się doczekać, kiedy dostanie do ręki naszą walizkę z próbkami.

— To dla niej wielka chwila. Marzenie archeologa: lód, skała i drewno z grobowca arki Noego! Myślisz, że sobie poradzi?

— Jest młoda i czasem trudno się jej skupić na pracy z powodu konfliktów z matką. Ale mam do niej słabość. I sądzę, że zna się na swojej robocie. Nasze próbki to najlepszy sposób, żeby się o tym przekonać.

Jordan wrócił do artykułu.

„Oprócz tych ważkich dowodów, w chwili, kiedy Adam Livingstone uklęknął na wygładzonych deskach, ociosanych przypuszczalnie przez Noego i jego trzech synów, ściana lodu zakrywała jeszcze jedno, dodatkowe świadectwo. Mianowicie kilka godzin później, powiększając komorę za pomocą spuszczonej z góry wielkiej lampy grzewczej, Livingstone wytopił tunel w poprzek starych desek, żeby upewnić się, że to, co odsłonił, nie jest po prostu ogromnym przekrojem pnia.

Późnym rankiem dotarł do otworu w dolnej części konstrukcji z desek — nie wiadomo, czy wykonanego przez człowieka, czy też powstałego wskutek butwienia drewna. Wezwał do pomocy na dole dwóch kolegów, sam zaś zajął się badaniem dopiero co odkrytego otworu.

Wytapianie lodu i odprowadzanie wody przewodem ssącym tak, by nie zniszczyć przy tym konstrukcji, było pracą trudną i wymagającą cierpliwości. Pod koniec dnia Livingstone na tyle odsłonił otwór w dolnej części statku, by ujrzeć rząd prostopadłych drewnianych

belek — prawdopodobnie gałęzi drzew — między deskami znajdującymi się wyżej i drugim poziomem desek, na które natrafił poniżej. (Patrz rysunek przedstawiający przekrój odsłoniętego obszaru.)

Livingstone i jego dwaj koledzy, wierząc, że pogoda się utrzyma, pozostali we wnętrzu lodowca i pracowali przez całą noc i następny dzień, z niezbędnymi przerwami na krótki sen. W końcu stwierdzili z satysfakcją, że odkryli ni mniej, ni więcej tylko szkielety klatek dla zwierząt. Dokonano także analizy paru próbek substancji, która może być zwierzęcymi odchodami. W chwili oddawania tego tekstu do druku nie były jeszcze znane wyniki tych analiz.

«Nareszcie! — oświadczył Livingstone. — Mamy potwierdzenie, że to arka Noego!»

— Powiedziacieś: „Mamy potwierdzenie, że to arka Noego?”
— spytał Jordan.

— Niczego takiego sobie nie przypominam — odparł Livingstone.

— Ani ja.

„Livingstone i jego koledzy przez trzy dni i dwie noce nie opuszczali komory, oczyszczając z lodu i fotografując obszar, który archeolog uznał za najważniejsze fragmenty górnego i środkowego pokładu statku. Przewiduje się dalsze ekspedycje, chociaż ich rozplanowanie jest bardzo trudne ze względu na zmienność pogody, jaka panuje w tych górach. Na razie wiadomo tylko, że zespół Livingstone'a zamierza wrócić tu następnego lata. Należy wątpić, żeby udało się podjąć prace jeszcze w tym roku.

Czytaj także na ten temat: *Uwolnić Ararat spod władzy tureckiej biurokracji: Domysły związane z finansowym aspektem ekspedycji Livingstone'a* oraz *Reakcje świata chrześcijańskiego na odnalezienie arki. «Obroniona prawda Biblii» — wykrzykują przywódcy amerykańskich fundamentalistów.*

Brytyjska korona, zgnębiona latami niepowodzeń, traeca prestiż i zaszokowana po tajemniczym zamachu bombowym, którego dokonano w zeszłym miesiącu Przed pałacem Buckingham i w którym straciło życie siedem osób, z radością uchwyciła się tego odkrycia,

traktując je jako szansę podbudowania dumy narodowej. Królowa, bez wątpienia pragnąc poprawić wizerunek rodziny królewskiej, okrzyknęła Livingstone'a bohaterem narodowym. Rzecznik Jej Królewskiej Mości oświadczył, że królowa zamierza przyjąć archeologa na specjalnej audyencji.

Spekuluje się na temat...”

Znużony relacją Jordan przeskoczył do ostatniego akapitu.

„Sylwetkę Adama Livingstone'a oraz przebieg jego kariery naukowej przedstawiamy na stronie 53 w artykule *Człowiek, który być może wprowadzi termin archeologia do słownika potocznego*.

Jordan odłożył tygodnik i zachichotał.

— Jeśli jest coś, czego nie muszę czytać — rzucił w stronę Adama — to z pewnością będzie to twój życiorys.

Połowę przeżyłem razem z tobą.

— Pokaż, muszę to zobaczyć — powiedział Adam. — W końcu udało ci się rozbudzić moją ciekawość. Chcę przeczytać, co o mnie nawypisywali. Powinienem zapoznawać się na bieżąco z własnym życiem. Ale idę o zakład, że w wydaniu amerykańskim poświęcili ci całą wkładkę.

2.

Następnego ranka Adam Livingstone i Scott Jordan wsiedli do samochodu, żeby pokonać ostatni odcinek drogi do domu. Czekali ich niecałe dwie godziny jazdy.

Jordan, który prowadził wóz wąską uliczką prowadzącą do domu Livingstone'a pod Sevenoaks, odkrył, że droga jest prawie nieprzejezdna. Samochody — zaparkowane po obu stronach jezdni, na trawnikach i wzdłuż parkanów, wszędzie, gdzie się mogły wcisnąć, czasem nawet na samym środku ulicy — blokowały przejazd.

Jadąc powolutku między samochodami i ludźmi, dotarł w końcu do podjazdu i skręcił w stronę otoczonego wysokim ogrodzeniem domu. W tej samej chwili rozpoznał go któryś z reporterów telewizji BBC.

— To Scott Jordan! — wykrzyknął.

Natychmiast włączono kamery. Po kilku sekundach wokół samochodu zaroilo się od dziennikarzy obojga płci, tak że samochód musiał się zatrzymać.

— Dajże pan spokój, Glendenning — powiedział Jordan przez opuszczone odrobinę okno. Reporter starał się podsunąć mikrofon jak najbliżej; po piętach deptał mu kamerzysta z BBC.

— Żadnych wywiadów. Przepuście mnie.

— Czy w samochodzie jest pan Livingstone?

— Skądże! Sam może się pan przekonać, że w samochodzie nie ma nikogo.

— A w bagażniku?

Jordan roześmiał się.

— Myślę, że to pytanie nieźle by Adama ubawiło. Proszę mi wierzyć, nie ma go w bagażniku mojego samochodu.

— Kiedy go więc zobaczymy?

— Już wkrótce, Alex, proszę mi wierzyć, już wkrótce. Niech mi pan pomoże usunąć tych ludzi sprzed samochodu, a może szepnę Adamowi słówko o panu.

Reporter zrobił krok do tyłu i zaczął, choć bez większego przekonania, prosić kolegów, żeby się rozstąpili.

— I niech pan powie wszystkim, Glendenning — zawołał przez okno Jordan — że jeśli ktoś spróbuje wtargnąć do środka, kiedy otworzę bramę, nie zostanie wpuszczony na konferencję prasową.

— Konferencja prasowa!... Tak, oczywiście... Dopilnuję, panie Jordan! — zapewnił Glendenning, którego poderwała do czynu perspektywa korzyści, jakie może mu przynieść to, że pójdzie Jordano wi na rękę. Gotów był na wszystko, byle zyskać w jego oczach. — Słyszeliście, co powiedział pan Jordan! — wykrzyknął. — Z drogi!... Cofnąć się!... Przepuścić samochód!... I trzymajcie się z daleka od domu!

Jordan wykorzystał chwilowe zamieszanie, żeby wystukać zakodowany numer otwierającego bramę mechanizmu ukrytego w skrzyneczce, która stała przy drodze na wysokości samochodowego okna.

Czarna żelazna krata powoli się odsunęła. Wjechał ostrożnie, zdziwiony, że nikt nie próbuje wśliznąć się obok samochodu. Kiedy znalazł się w środku, zgasił silnik i wysiadł. Mechanizm automatycznie zamknął wjazd.

Powoli podszedł do bramy. Dwudziestu, może trzydziestu reporterów przywarło do niej po drugiej stronie.

— No dobrze — powiedział w zamyśleniu, jakby nawiązując do poprzedniej rozmowy. — Jeśli będziecie mieli oczy szeroko otwarte, być może lada chwila zobaczycie Adama Livingstone'a.

— Patrzcie! — krzyknął ktoś z tylnych szeregów. — Patrzcie! Tam w górze! — dodał wskazując niebo. — To on!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku górze. Ujrzano jaskrawe kolory paralogni, która przelatowała nad nimi obszernym łukiem. W oddali zamierał warkot samolotowego silnika.

Lotnia pochyliła się raz i drugi do przodu, zakołysała i dwadzieścia sekund później wytęskniona sylwetka Adama Livingstone'a wylądowała miękko na równej powierzchni trawnika, doskonale widoczna dla dwudziestu kamer, które przekazywały na żywo spektakularny powrót archeologa do domu.

3.

Adam uwolnił się od spadochronowej czaszy i podbiegł do przyjaciela.

— Dobra robota! — roześmiał się Jordan. — Doskonała synchronizacja, bezbłędne lądowanie.

— Dziękuję, zacy człowieku — odparł Livingstone. — Co to za ludzie? Czyżbyśmy mieli gości?

Dziennikarska sfera nie myślała dłużej milczeć. Nagle rozległo się naraz pięćdziesiąt głosów. Prawie tyle samo mikrofonów wysunęło się przez kratę w stronę archeologa.

— Masz dług wdzięczności wobec Glendenninga — powiedział Jordan. — Pomógł mi dostać się bez szwanku do środka.

— No dobrze, Alex — rzekł Adam, idąc w stronę tłumu. — O co panu chodzi?

— O to samo, co wszystkim, panie Livingstone — odparł dziennikarz. — Jak tam było?

— Nie jestem człowiekiem religijnym — odpowiedział Adam — ale muszę przyznać, że przeżyłem coś niesamowitego.

— Co ma pan na myśli?

— Głębokie poczucie grozy. Nie potrafię tego inaczej określić.

— Czy odkryta konstrukcja jest arką?

— Chyba nie spodziewa się pan, że człowiek nauki będzie wyciągał pochopne wnioski w takiej doniosłej sprawie — uśmiechnął się Livingstone.

— Ani w jedną, ani w drugą stronę?

— Sprawy na tym świecie nigdy nie są takie proste, panie Glendenning.

— Jakie jest więc pańskie zdanie?

— Wstrzymuję się od sądu.

— Jeśli nie jest to arka Noego, jaką jeszcze wiarygodną teorię można by wysunąć? — spytał inny głos. Głos należał do człowieka, którego zdecydowanie chrześcijańskie spojrzenie na świat było znane wśród całej dziennikarskiej braci w Londynie.

— Nie wysuwam żadnej teorii, panie Halliday — odpowiedział Adam. — Jako naukowiec muszę poczekać, aż będę dysponował większą liczbą danych.

— Jakich jeszcze danych tu trzeba? Był pan tam. Widział na własne oczy wielkość tego statku. Widział zagrody dla zwierząt. Wnioski są jednoznaczne, a nawet zniewalające.

— Jakie wnioski, panie Halliday?

— Właśnie takie, panie Livingstone — odparł dziennikarz i zrobił krótką przerwę. — Czy mogę zadać najpierw pewne pytanie?

— Oczywiście.

— Jakie są rozmiary statku, który pan odkrył? Proszę o tym opowiedzieć.

— Jest ogromny. Przewyższa wszystko, co konstruktorzy statków zbudowali w całych ludzkich dziejach. Aż do naszego stulecia, i to wcale nie do jego początku. W każdym razie szesnasto- i

siedemnastowieczne okręty hiszpańskie, holenderskie czy portugalskie wyglądają przy nim jak karły.

— Mimo że w tych krajach nie brakowało sprawnych budowniczych, chyba się pan z tym zgodzi.

— Bez wątpienia.

— Otóż to! Dochodzimy w ten sposób do wniosków, które miałem na myśli — ciągnął dziennikarz. — Jak to możliwe, by zwykły śmiertelnik zbudował tak dawno temu tak olbrzymi okręt? Pojmuje pan, co mam na myśli? Jak człowiek, który nie dysponował nowoczesnymi narzędziami, naszą zaawansowaną techniką obróbki metali ani żadną właściwie technologią, człowiek, który miał do pomocy tylko swoich trzech synów, mógł zbudować okręt tych rozmiarów?

Na chwilę zapadła cisza. Ani archeolog, ani koledzy Hallidaya, dziennikarze, nie mieli gotowej odpowiedzi na to pytanie.

— A kto powiedział, że zbudowało go czterech ludzi? — spytał po chwili Adam. — Nawet jeśli uznamy, że opowieść o Noem jest prawdziwa, nie wynika z niej, że nie wynajął sobie pomocników! Kto wie, czy w pracach nie uczestniczyła cała wspólnota.

— Nie wydaje mi się, by opowieść biblijna dopuszczała taki pogląd — rzekł Halliday. — Ale gotów jestem w tym punkcie ustąpić. Ta kwestia nie ma większego znaczenia. Nie to przecież jest najbardziej w pańskim odkryciu zdumiewające.

— A co, jeśli mogę spytać?

— Pytanie „po co?” — odparł Halliday.

Mówił teraz przyciszonym głosem. Słuchacze czuli nieopisaną grozę bijącą z tych słów. Zapadła grobowa cisza. Większość obecnych zwróciła się w stronę stojącego przed nimi mężczyzny, od niego oczekując rozstrzygnięcia. Ale Adam Livingstone nie znał odpowiedzi na to kluczowe pytanie.

— Dlaczego uważa pan, że to pytanie jest najważniejszym rezultatem odkrycia? — spytał po chwili.

— Po co zbudowali okręt? — powtórzył retorycznie Halliday, zadowolony, że znalazł się w świetłach reflektorów. — Jak to się

stało, że zgłębili wiedzę potrzebną do zbudowania dalekomorskiej jednostki pływającej, i to tej wielkości... no i po co ją budowali? Skąd wiedzieli, że spadnie tak przerażająco obfity i długotrwały deszcz, który wyniesie ich okręt pod szczyt góry mierzącej sobie dobrze ponad cztery tysiące metrów? Czy rozumie pan, panie Livingstone, do czego zmierzam? Z pańskim odkryciem wiąże się ogromnej doniosłości pytania i konsekwencje.

— Wygląda na to, że wskutek naszych prac pojawiło się więcej zagadek niż odpowiedzi! — roześmiał się Adam.

— Czy może pan, panie Livingstone, wskazać chociaż jedno pytanie, które najbardziej nurtuje pana? — spytał inny reporter.

Adam uśmiechnął się, ale z jego twarzy nie zniknął wyraz zadumy.

— Wali pan prosto z mostu, panie Stokes — odparł. — Sam nie wiem, czy wiem. Nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby przystanąć i pomyśleć. Chyba jednak wcześniej czy później przyjdzie na to czas — dodał chichocząc. Potem przez chwilę myślał. — Archeologia to nie tylko odkrycia — ciągnął po paru sekundach. — Gdyby tak było, moglibyśmy wyprodukować roboty, które umiałyby posłużyć się łopatą.

Przez tłumek przemknęła fala śmiechu.

— Tu nie chodzi tylko o kopanie dziur w ziemi czy lodzie, żeby coś znaleźć. Kiedy coś znajdujemy, zaczynamy, jak słusznie powiedział pan Halliday, pytać, cóż to coś właściwie znaczy. Kim byli ludzie, którzy mieli z tym a tym obiektem do czynienia, i dlaczego zachowywali się tak, a nie inaczej? W ten sposób wracamy do pytania, które postawił pan Halliday. Jeśli chodzi o arkę, myślę, że wiąże się z nią mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Na razie nie potrafię wytłumaczyć, co oznacza znalezisko. Nie jestem jednak pewien, czy musi, jak sugeruje pan Halliday, mieć taką czy inną wymowę duchową. Egipskie piramidy są z pewnością czymś niezwykłym, a przecież nikt nie twierdzi, że faraonowie porozumiewali się z Bogiem.

— To coś zupełnie innego — odezwał się znowu Halliday.

- Dlaczego? — spytał Livingstone.
- Budowniczy arki musiał korzystać z pomocy, która wykracza poza ludzkie możliwości.
- Na jakiej podstawie wysuwa pan taką tezę? Ja nie widzę szczególnej różnicy między arką a piramidami. Także faraonowie nie wznosili swoich budowli sami. Potrzebna była praca niewolników.
- Mam na myśli pomoc ponad ludzkie siły, pomoc nadprzyrodzoną, jeśli pan woli.
- A dlaczego była niezbędna?
- Ponieważ musiał być jakiś powód podjęcia takiej pracy. Skąd Noe wiedział, że zbliża się deszcz i że musi zbudować arkę? Nie ma zbyt wielu odpowiedzi na to pytanie. A dalej: jak ją zbudował? Skąd znał wymiary i kształt pełnomorskiego trzypokładowego statku wielkości małego stadionu, choć wokół siebie widział przecież same nieduże łodzie, niewiele większe od czółna wydrążonego z jednego pnia? Plan konstrukcji przekracza wszelką wyobraźnię. Przecież ten okręt musiał pływać przez rok! Trzeba chyba uznać, że w grę wchodziła technologia przewyższająca umiejętności budowniczych piramid. Jak to osiągnął... powtarzam... jak to osiągnął bez żadnej pomocy? I powraca pytanie: skąd wiedział o straszliwym deszczu? Z ludzkiego punktu widzenia musimy przyznać, że stoimy w obliczu wielkiej tajemnicy. Na te pytania nie ma prostych odpowiedzi wysnutych czysto racjonalistycznymi metodami.

Halliday zamilkł.

— Jest tylko jeden sposób, aby na nie odpowiedzieć — dodał po chwili — i oznacza on wykluczenie wszelkich racjonalnych wyjaśnień.

— Ma pan na myśli to, że przemówił do niego Bóg?... Czy to właśnie pan sugeruje? — spytał Livingstone.

— Wnioski pozostawiam panu — odparł Halliday.

— A jak by pan odpowiedział, gdybym to ja zadał takie pytanie?

— Z pewnością nie twierdziłbym, że przemówił do niego Bóg — odparował natychmiast lekko rozdrażnionym tonem Livingstone. Ta konferencja wkroczyła na tereny, na których nie czuł się pewnie.

Nagle zapragnął skończyć z tymi pytaniami. — Wiązałoby się to z założeniem, że istnieje Najwyższa Istota... i to taka, która przemawia do człowieka. To zbyt pochopna teza. Nie jestem przygotowany, i to w najmniejszym stopniu, do tego, żeby przyjmować taką interpretację znaleziska. Drodzy państwo, myślę, że na dzisiaj wystarczy. Wkrótce spotkamy się znowu.

Livingstone odwrócił się i oddalił razem ze Scottem Jordanem od bramy. Wydobył parę rzeczy z bagażnika i ruszył w stronę zwartej bryły kamiennego domu.

4.

— Zniosę walizkę z próbkami na dół, do Erin — powiedział Adam, kiedy znaleźli się w środku, nadal wzburzeni obrotem, jaki przyjęło spotkanie z prasą. — Jestem pewien, że Crystal widziała wszystko przez okno. Zaraz wracam.

Jordan skinął głową. Adam ruszył w lewo szerokim korytarzem i po paru krokach szybko skręcił w prawo. Zszedł do przyziemia, gdzie znajdowało się jego prywatne laboratorium, którym władała jego laborantka, Erin Wagner.

Ledwie znalazł się w korytarzu na dole i zrobił kilka długich kroków, kiedy otworzyły się drzwi laboratorium. Wyszła nimi dziewczyna, której Adam nigdy w życiu nie widział. Była mocno zbudowana, miała jasnokasztanowe włosy, jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu i regularne ładne rysy twarzy.

Zamarł ze zdumienia — podobnie jak ona. Przez krótką jak mgnienie oka chwilę patrzyli na siebie.

Twarz młodej kobiety oblała się rumieńcem, jej zielone oczy otworzyły się szerzej. Wiedziała, kto przed nią stoi — ona też miała w ręku numer „Time'a”. On natomiast nie miał pojęcia, kim jest ten intruz, który wtargnął do jego nowoczesnego laboratorium. Pierwszy odzyskał mowę Livingstone.

— Co pani tu robi? — spytał, idąc powoli w jej stronę.

Wyraźnie rozbrzmiewał w jego głosie ton władcy. Nie był to z pewnością głos przyjazny.

Wiedząc, że przyłapano ją w miejscu, w którym nie powinna się była znaleźć, przerażona nieoczekiwanym widokiem tak wielkiego człowieka, daremnie próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

— Kim pani jest? — powtórzył pytanie. — Proszę powiedzieć, co tu pani robi?

— Ja... ja... — I to było wszystko, co zdołała wyjąkać.

Nie spuszczać z niej wzroku, uchylił drzwi i zajrzał do środka, jakby oczekiwał, że laborantka wyjaśni zagadkową obecność małomówniej dziewczyny. Zaraz jednak obrócił się z powrotem.

— Gdzie Erin? — spytał.

Potrząsnęła głową. Zeszła na dół z wiadomością dla laborantki, nie zastała jej i nie mogła się powstrzymać, żeby nie rozejrzeć się po pomieszczeniu.

— Nie wiem, kim pani jest i co tu robi, ale muszę zanieść to do środka. Proszę wracać tam, skąd pani przyszła... Zakładam, że miała pani jakiś powód, żeby tu przyjść. W przyszłości proszę trzymać się z daleka od laboratorium. Czy rozumie pani?

W odpowiedzi zdobyła się tylko na nieśmiałe skiniecie głową.

Livingstone wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, nie patrząc w jej szeroko otwarte przestraszone oczy, z których lada chwila mogły trysnąć łzy.

Dziesięć minut później wyszedł i zamknął laboratorium. Szybko wspiął się na parter, a potem na pierwsze piętro tego samego skrzydła, w którym znajdowało się laboratorium. Zastał tam Jordana, Erin Wagner i swoją sekretarkę, Crystal Johnson. Śmiali się, bo Scott opowiadał o wydarzeniach związanych z ekspedycją.

— Powrót zdobywcy! Witaj w domu, Adamie! — powiedziała serdecznym tonem Crystal.

— Masz próbki? — spytała Erin.

— A jakże. Zniosłem je już na dół. A przy okazji. Co to za dziewczyna weszła w laboratorium? Mam nadzieję, że ma jakiś związek z wami i nie jest szpiegiem sir Gilberta.

Crystal i Erin spojrzały ze zdumieniem jedna na drugą.

— Raczej mocno zbudowana, brązowawe włosy, średni wzrost, okulary, osiemnaście, dziewiętnaście lat — dodał Livingstone. — I tak nieśmiała, że nie udało mi się wydobyć z niej ani słowa.

Twarz Erin pojaśniała.

— To moja wina... Przepraszam, Adamie. Poszłam na górę kilka minut przed pojawieniem się Scotta. Zostawiłam drzwi otwarte. Nie pomyślałam.

— Co to za dziewczyna?

— Nieszkodliwa — wyjaśniła Crystal. — Ale najlepiej wyjaśni ci to pani Graves.

Nadal zbity nieco z tropu Adam skinął z wahaniem głową, ale nie nalegał.

— Pierwsze próbki są w walizce na blacie, na lewo od komory chłodniczej — powiedział. — Scott i ja przejrzymy je z tobą... — Przerwał, żeby zerknąć na zegarek. — ... mniej więcej za godzinę. Co ty na to, Scott?

— Świetnie.

— W porządku. W ten sposób Crystal będzie miała dość czasu, żeby zreferować nam, co się tu działo. Czy Jen już telefonowała?

— Parę dni temu — odparła Crystal — ale nie wróciła jeszcze do miasta.

— Pozwolisz, że spojrzę, co przywiozłeś? — spytała Erin.

— Jasne — odparł Livingstone. — My też wkrótce zejdziemy.

Erin wyszła.

— No więc, Crystal... Co tu mamy? Wiadomości, listy, fakсы... Jest coś pilnego?

— Pilnych spraw jest jakieś pięćdziesiąt, a może sto... tych, które mogą zaczekać dzień, dwa, zapewne z tysiąc!

Livingstone roześmiał się.

— No dobrze. Na razie zajmijmy się najpilniejszymi z pilnych.

— Zaproszeń i próśb o wywiad przyszło więcej niż w ciągu ostatnich pięciu lat. Jest jednak jedno, które położyłam na samej górze.

- A to dlaczego?
 - Ponieważ zostało opatrzone królewską pieczęcią. Przekazał je osobisty posłaniec z pałacu.
 - Ho, ho... To brzmi intrygująco! Otwórzmy i zobaczymy, co królowa ma nam do powiedzenia. Potem zabierzemy się do pozostałej pięćdziesiątki.
- Livingstone zamilkł na chwilę.
- Właściwie — powiedział — może zacznę od rozmowy z panią Graves. Musi wiedzieć, że zamierzam zjeść kolację w domu. Odkurz ten plik papierów i zaparz herbatę. Wróć za parę minut.

5.

Adam Livingstone zastał swoją gospodynię w mieszkaniu, które zajmowała na pierwszym piętrze w południowym skrzydle domu.

- Dzień dobry panu — powiedziała. — Witamy w Sevenoaks.

- Dzień dobry, pani Graves. Nie wątpię, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Gospodyni potwierdziła skinieniem głowy.

- Na dole natknąłem się na jakąś dziewczynę. Crystal powiedziała, że pani mi wszystko wyjaśni. Dziewczyna rozglądała się po laboratorium.

Na twarzy pani Graves pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Proszę mi wybaczyć, panie Livingstone — powiedziała z przejęciem. — Jestem pewna, że nie miała żadnych złych zamiarów. Posłałam ją na dół z wiadomością dla panny Wagner. Nie wiedziałam, że wynikną z tego jakieś kłopoty.

- Kto to taki? Co ona tu robi?

- To moja siostrzenica, proszę pana... z Brighton.

- Ach tak... rozumiem — powiedział jej chlebodawca. Jego rozdrażnienie opadało. — Przyjechała... z krótką wizytą?

- Tak — skinęła głową pani Graves. — To znaczy, może na odrobinę dłużej, jeśli nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

Przykro mi, że pozwoliłam sobie przyjąć ją tutaj podczas pana nieobecności i zaproponować, żeby jakiś czas pomieszkała ze mną. Chodzi o to, proszę pana, że chwilowo nie ma żadnych środków do życia.

— Nie wygląda na osobę ubogą, pani Graves.

— Ale jest, proszę pana... albo niewiele do tego brakuje. A z pewnością w swym sercu jest tak uboga jak to tylko możliwe. Kiedy ma się złamane serce, największe konto w banku na nic się zda człowiekowi, prawda, proszę pana? A moja biedna Juliet jest uboga pod jednym i drugim względem, to znaczy ma pustkę w sercu i w banku. Dlatego ją tu zatrzymałam.

— Oczywiście bardzo mi przykro z powodu kłopotów, w jakie popadła pani siostrzenica, pani Graves. Muszę jednak stwierdzić, że niewiele pani zrobiła, by wyjaśnić mi, o co tu chodzi, i odpowiedzieć na pytanie, które zadałem na początku rozmowy. Juliet, tak ma na imię?

— Tak, proszę pana. Juliet Halsay.

— I ma... ma mniej więcej osiemnaście lat?

— Dwadzieścia trzy, proszę pana. Czy doszła do pana wiadomość o zamachu bombowym pod pałacem?

— W lipcu?... Tak, oczywiście. Okoliczności tego wydarzenia nie zostały dotychczas wyjaśnione i do zamachu nie przyznała się żadna organizacja terrorystyczna.

— Byli tam wtedy... Juliet z całą rodziną. Na wakacjach...

Głos pani Graves drżał. Adam Livingstone zaczął się w końcu domyślać, co się stało.

— Byli w tłumie, proszę pana. — Oczy gospodni napełniły się łzami. — Ojciec Juliet i jej młodszy brat znaleźli się na samym przedzie. Biegli, chcieli uciec... i wtedy nastąpił wybuch...

Odwróciła wzrok. Sięgnęła po chusteczkę, słowa uwięzły jej w gardle.

— Obaj...

Kobieta skinęła potakująco.

— ...Zostali zabici? — dokończył po chwili Adam.

Gospodni potakiwała tylko głową, łkając cichutko.

— A matka?

— Moja siostra i Juliet wyszły z tego cało — odpowiedziała pani Graves głosem łamiącym się od łkania, cały czas próbując się opanować. — Ale były długi, o których żadna z nich nie wiedziała, i nie mieli ubezpieczenia na życie. Trzeba było sprzedać dom. Zostały z pustymi rękami. Matka Juliet mieszka u mojej drugiej siostry, w Bedford. Ale mieszkanie jest tam maleńkie, ledwie dość miejsca dla dwóch. Jak pan wie, jesteśmy ludźmi pracy i nie mamy żadnego majątku. Kiedy wszystkie sprawy zostały załatwione, poprosiłam Juliet, żeby zamieszkała ze mną... Pomyślałam, że tak będzie dobrze... na jakiś czas. Ona czuje się... czuje się taka zagrożona, tak brak jej pewności siebie.

— Postąpiła pani właściwie, pani Graves — rzekł Adam szczerze. — To dobrze, że uznała pani, że może właśnie tak postąpić. Gdzie znajduje dziewczynę?

— Nie wiem, proszę pana. Póki się z panem nie rozmówiłam, dałam jej pokój gościnny po drugiej stronie holu.

— Niech tak zostanie, pani Graves. Dziękuję za wyjaśnienie sytuacji. Przepraszam, że zacząłem tak ostro.

Odwrócił się, żeby odejść.

— Proszę pana, jeszcze chwileczkę. Powinna powiedzieć, że telefonował do pana jakiś mężczyzna... na prywatną linię i był bardzo natarczywy. Robiłam, co mogłam, żeby go zbyć, ale z pewnością znowu się odezwie.

— O co chodziło, pani Graves? Jakiś reporter?

— Nie wiem, proszę pana. Nie chciał powiedzieć. Telefonował pod prywatny numer.

— Skąd mógł go wziąć?

— To chyba Amerykanin — dodała pani Graves, kładąc nacisk na to ostatnie słowo, jakby wyjaśniało wszystko.

— No cóż, niedługo dowiemy się, czy chodziło o coś ważnego.

6.

Adam Livingstone poszedł korytarzem skrzydła dla pracowników. Opuścił go bojowy nastrój. Przez ostatnie dwa tygodnie

przebywał na szczycie świata i rzadko miał czas na rozmyślanie o tych, którzy być może stracili ostatnio cały swój świat.

Cicho podszedł do gościnnego pokoju, o którym wspomniała pani Graves. Zapukał lekko do drzwi. Żadnej odpowiedzi.

Rozejrzał się. Drzwi prowadzące do sąsiedniego saloniku były uchylone. Pchnął je lekko. Zobaczył kobiecą postać skuloną na kanapie. Odwróciła głowę, najwyraźniej płakała.

Przez chwilę stał na progu, a potem powiedział cicho:

— Panno Halsay?

Postać na kanapie drgnęła. Nie słyszała ani jego kroków, ani otwierania drzwi. Obróciła się gwałtownie i spojrzała w jego stronę spuchniętymi od płaczu oczami. Miała zaczerwioną twarz, po omacku próbowała założyć okulary. Kiedy zobaczyła Adama, w jej spojrzeniu pojawił się lęk. Spozrzegł to i poczuł się nieswojo.

— Proszę się nie bać — powiedział szybko. — Nie zamierzam znowu pani karcić. Rozmawiałem z panią Graves. Wytłumaczyła mi wszystko. Przykro mi, że tam, na dole, potraktowałem panią tak obcesowo. Chyba byłem nieco wytrącony z równowagi po rozmowie z dziennikarzami. Proszę mi wybaczyć. Przykro mi też z powodu tego, co przydarzyło się pani ojcu i bratu. Chcę pani powiedzieć, że jest pani miłym gościem w Sevenoaks, tak długo, jak będziemy pani potrzebni.

Adam wiedział, że dziewczyna zapewne jeszcze przez chwilę nie odzyska głosu, i skinął z uśmiechem głową, żeby dodać wagi swoim słowom.

Odwrócił się, żeby wyjść. Z kanapy za jego plecami rozległo się ledwie słyszalne „dziękuję”.

7.

Bardzo szybko okazało się, że przepowiednia pani Graves była trafna.

Wieczorem rozległ się dzwonek telefonu. Od razu rozpoznała głos. Nie dopuścił do przerwania rozmowy.

— Wiem, proszę pani, że pan Livingstone jest u siebie — powiedział od razu. — Mam kogoś, kto nie spuszcza domu z oka. Wszyscy trąbią o jego powrocie. Proszę więc nie mówić, że nie może rozmawiać. Wiem, że jest w domu, i proszę, żeby oddała mu pani słuchawkę.

Pani Graves sapnęła gniewnie, ale zrobiła, o co ją proszono. Drażniły ją maniery tego człowieka. Czego jednak można się spodziewać? Dobrze chociaż, że w końcu się go pozbędzie.

Znalazła chlebodawcę w prywatnej części domu, zajętego przeglądaniem artykułów o swojej wyprawie.

— Znowu dzwoni ten człowiek, o którym mówiłam, proszę pana — oznajmiła, kiedy Adam poprosił, żeby weszła.

— Dziękuję, pani Graves. W końcu dowiemy się, o co tu chodzi.

Podszedł do telefonu.

— Słucham, Adam Livingstone.

— Panie Livingstone — ozwał się głos w słuchawce — nie wie pan, kim jestem. Dzwonię ze Stanów. Proszę w moim imieniu przeprosić panią, z którą rozmawiałem. Przykro mi, że w zeszłym tygodniu byłem taki natarczywy. Ale zależało mi na rozmowie z panem.

— I udało się panu. O co chodzi, panie?...

— Na razie nie zdradzę nazwiska — odparł rozmówca Livingstone'a. — Nie mogę też wyjawić panu żadnych szczegółów dotyczących sprawy, o której chciałem z panem porozmawiać. Byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że pański telefon nie jest na podsłuchu, powiem więc najkrócej, jak potrafię. Chodzi o to, proszę pana.... natknąłem się ostatnio na pewną informację, i znowu nie mogę, niestety, powiedzieć, na jaką, gdyż zapewne ktoś słyszy, co mówię...

— Mogę pana zapewnić, że nie — przerwał Adam. — To linia prywatna. Bezpieczna. — Zamilkł, a po chwili spytał ze zdziwieniem: — Ale właściwie... właściwie, skąd ma pan ten numer?

— Nieważne — odparł Amerykanin. — Mam swoje sposoby. Ważne jest natomiast to, że pańskie życie jest w niebezpieczeństwie.

— Tylko tyle? — roześmiał się Adam. — Moje życie jest ciągle w niebezpieczeństwie.

— Mówię poważnie, panie Livingstone.

— Sedno sprawy w tym, że żyję niebezpiecznie.

— Nie mówię o tym, że można wpaść do wykopu albo pośliznąć się na lodowcu.

— O czym więc?

— Są możni tego świata, którzy pragną pańskiej śmierci, zwłaszcza teraz...

— Teraz?... Dlaczego akurat teraz?

— Pańskie odkrycie wszystko zmienia. Jeśli powiem więcej, nad panem i nade mną zawiśnie jeszcze większe niebezpieczeństwo. Musi pan uwierzyć, że nie jestem stuknięty. To szczerza prawda.

— Brzmi to jednak nieco dziwacznie. Jeśli pan wybaczy. Ktoś taki jak ja zawsze jest narażony...

— Chodzi o coś więcej, panie Livingstone, proszę mi wierzyć. Pewnie spróbują pana zabić.

— Trudno. Będę uważać. Ale te skąpe informacje nie pozwalają na nic więcej.

— Prawdę mówiąc, niewiele mam panu do powiedzenia ponad to, co już pan ode mnie usłyszał. A chciałbym przekazać panu jak najwięcej. Proszę tylko, panie Livingstone, niech pan będzie ostrożny. Bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Rozmówca przerwał połączenie i Adam, wracając do stosu tygodników leżących obok fotela, został sam na sam z myślami o tajemniczym telefonie.

8.

Trzy dni później, wieczorem, Adam siedział u siebie i czytał o potopie z książek, które wzięł z biblioteki. Przedstawiono w nich teorie chrześcijańskie, żydowskie i laickie. Zajmował się już dawniej tą sprawą. Nagle zapragnął pogłębić swoją wiedzę.

Od czasu telefonu ze Stanów nie mógł zapomnieć o tym, co powiedział mu tajemniczy facet. „Pańskie odkrycie wszystko zmienia.”

Przyszłość pokaże, ile prawdy jest w tych słowach. Adam nie przewidział jednak, że największa zmiana zajdzie w nim samym. Słowa Amerykanina — w połączeniu z uporczywie powtarzaniem przez Hallidaya pytaniem „Dlaczego?” — sprawiały, że nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Rozmowa z dziennikarzami przed domem pomogła mu dostrzec całkowicie nowy kierunek badań, którego nie przewidywał zgoła, planując wyprawę na Ararat.

Co oznacza znalezienie arki?

Dotychczas Adam Livingstone uważał, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. Jego wiedza filozoficzna wykluczała możliwość wyjaśnienia tego zagadnienia.

Nie zmieniało to jednak faktu, że miał przed sobą rzecz ogromnej wagi. Znalazł coś, nad czym nie da się ot tak po prostu przejść do porządku dziennego. Jeśli Halliday ma rację, mówiąc o tych wszystkich konsekwencjach, Adam Livingstone będzie musiał dokonać rewizji filozoficznych podstaw, na których zbudował swoje poglądy.

Po pierwsze pojawia się pytanie, dlaczego w ogóle wyruszył na poszukiwanie arki?

Nie ulega wątpliwości, że ta sprawa go intrygowała. Ale czy teraz, kiedy przestał zastanawiać się nad tym, co myślał niegdyś, nie jest jak wielu innych, którzy przyparci do muru, przyznaliby, że takie poszukiwania są pozbawione sensu? Stykał się z ludźmi, którzy śmiali się mu w twarz, gdy tylko wspomniał o konkretnej, namacalnej arce. Dlaczego uznał, że naprawdę ma szansę ją odnaleźć?

Dla takich przeczących wszystkiemu ludzi miał przygotowany kontrargument. „Pomyśl — mówił w takich sytuacjach — znaleźliśmy najrozmaitsze kopaliny, kości, narzędzia i wytwory rąk ludzkich z czasów znacznie dawniejszych niż te, w których żył Noe. Geologia potwierdza, że w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat doszło do ogromnej powodzi, być może o zasięgu globalnym. Legendy mówią o osiemnastu osobach, które ją przeżyły. Skoro więc przetrwały do naszych czasów inne artefakty, cóż dziwnego byłoby w tym, że przetrwała arka z mitów i legend, zwłaszcza w lodowych okowach pod górskim szczytem?”

Brzmiało to dość przekonująco. Ale wtedy zawieszał swoje niejasne filozoficzne poglądy w próżni domysłów. I nagle ma do czynienia z faktami. Co z nimi począć?

A na horyzoncie rysowała się już znacznie szersza kwestia. Odpowiedź zależała tu bowiem w sposób zasadniczy od tego, w jakim stopniu wierzy się w relację biblijną. Rozmowa z Hallidayem uświadomiła mu, że on wierzył niezbyt mocno. Czyżby on, człowiek nauki, ścigał widmo legendy? Cóż to za gałąź nauki?

I nagle stanął mu przed oczyma cały szereg konsekwencji. Po pierwsze, trzeba zdać sobie sprawę, czy wierzy się w istnienie czegoś takiego jak arka Noego? W tym sedno sprawy. Jeśli istniała, prędzej czy później mogło dojść do jej odnalezienia. A jeśli nie? Jeśli cała opowieść o arce jest mitem?

Musiał teraz przyznać, że być może nigdy naprawdę nie wierzył w istnienie arki. Wyruszył na jej poszukiwanie... ale tym, co odkrył pod lodem, zdumiał się prawie tak samo jak reszta świata. Był sceptykiem, choć sam o tym nie wiedział! Czy jednak jego dzisiejsza reakcja — niechętnie zaprzeczenie, gdyż za późno już na sceptycyzm — nie świadczy, że w istocie nie wierzył od samego początku?

Co więc oznacza arka?

Wrócił do punktu wyjścia. Odkrycie niesie ze sobą konsekwencje — jak powiedział Halliday.

Tyle pytań cisnęło mu się do głowy, że poczuł się nieswojo. Wiedział jednak, że nie spocznie, póki nie znajdzie satysfakcjonującej odpowiedzi — jeśli nie dla świata, to dla siebie samego.

CZEŚĆ DRUGA

LONDYN

Ta nauka dla człeka nowych czasów płynie:
Przez potop z grzechu Bóg ludzi uwolnił;
W świętym miejscu objawił się w ogniu i dymie
I że powtórnie przyjdzie, rzekł ich potomkowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

LONDYŃSKI TOAST

Andrea Graves popijała spokojnie gorącą herbatę. Z okna prywatnego apartamentu na pierwszym piętrze patrzyła na tereny posiadłości Livingstone'a ciągnące się na tyłach domu. Tę porę dnia lubiła najbardziej — wkrótce po śniadaniu, kiedy miała już za sobą wszystkie prace w kuchni. Zawsze szła wtedy do siebie, żeby posiedzieć sama z kubeczkim herbaty i gazetą.

Tego dnia jednak jej umysł zaprzętały bolesne sprawy i codzienne wiadomości nie wzbudzały jej zainteresowania.

Różne rzeczy zdarzają się na tym świecie. Wiedziała o tym. Nawet najmocniejsza wiara nie chroni przed nieszczęściem i niepewnością, która rządzi światem. Kiedy jednak wybija godzina próby, świadomość, że serca milionów ludzi pękają z bólu, przynosi niewielką pociechę.

Tego ranka pani Graves mocniej niż zwykle odczuwała stratę, jaką poniosła jej siostrzenica.

Ona też doznała żalu po utracie bliskich. Odszedł jej szwagier i siostrzeniec. I dobrze wiedziała, co przeżywa jej siostra. Sama straciła dziesięć lat temu męża. Miała też do siebie pretensję z powodu wymówek, jakie usłyszała Juliet od pana Livingstone'a.



Sama w sobie żadna z tych spraw nie tłumaczyła tego, co czuła gospodyni, patrząc na przystrzyżone żywopłoty, wyłożone kamieniami ścieżki i klomby z kwiatami. Najbardziej ciążyło jej proste pytanie: Dlaczego nie zginęła ona?

Była bezdzietną wdową. Trudno byłoby uznać ją za starą, ale większość życia miała już za sobą. Dlaczego nie przytrafiło się to jej? Przelano by kilka łez, lecz niewielu odczułoby jej brak. Pan Livingstone znalazłby kogoś odpowiedniego na jej miejsce.

Dlaczego połowa szczęśliwej młodej rodziny została tak okrutnie i nagle zabrana z tego świata?

To nie przeznaczenie. Bo przecież taki los powinien stać się jej udziałem, nikogo innego!

Zamierzali wszyscy razem wybrać się do Earl's Court i Green Palace. Rodzina siostry przyjechała do Sevenoaks z Brighton. Pani

Graves złapała tego ranka okropne przeziębienie i położyła się do łóżka, więc rodzina wyjechała bez niej. Jej samochodem, zniszczonym teraz wskutek wybuchu. Scotland Yard zabrał go, żeby przeprowadzić różne testy, jak jej powiedziano.

Oczy pani Graves napełniały się powoli łzami.

Jakie to przygnębiające dla Juliet! Była tam, wybuch rzucił ją na ziemię. Ileż musiała przejść, biedactwo! Policja potrafi być taka nieczuła, kiedy prowadzi śledztwo i zadaje pytania.

Ona też musiała odpowiedzieć na niejedno pytanie. Policja napomknęła — choć wydawało się to zupełnie niemożliwe — że celem ataku terrorystów był jej samochód.

Prawie natychmiast Juliet i jej matką zajęli się ludzie z opieki społecznej. Kiedy okazało się, że ojciec Juliet był jedynym żywicielem rodziny, a ich mały dom tylko wynajmowali, rozmaite instytucje pospieszyły im na pomoc. Teraz Juliet należała do dwóch grup terapeutycznych i brała lekarstwa na depresję, a poza tym raz w tygodniu chodziła do psychologa.

Pani Graves usłyszała ciche kroki za swoimi plecami. Odwróciła się i zobaczyła stojącą w otwartych drzwiach Juliet. Dziewczyna narzuciła na ramiona rozpinany sweter. Był ciepły dzień, ale ona ciągle marzła.

— Dzień dobry, kochanie.

— Nie mogę być sama, ciociu — powiedziała Juliet. — Nie przeszkadzam ci?

Spojrzenie pani Graves natychmiast przeniosło się na niespokojne dłonie siostrzenicy.

— Skądże — odpowiedziała z uśmiechem. — Napijesz się herbaty?

— Chyba tak — westchnęła Juliet, opadając na najbliższe krzesło — choć właściwie na nic nie mam ochoty.

Gospodyni naląła do filiżanki świeżo zaparzonej herbaty.

— Dobrze się czujesz, Juliet?

— Nie wiem. Boję się, że nigdy się tego nie pozbędę.

— Ciągle dręczy cię wczorajszy incydent z panem Livingstone'em?

— Och, nie. Rozmawiał ze mną bardzo miło. Robi wrażenie człowieka wyrozumiałego. Ale... robię to czy tamto, a uczucie przeżycia nie opuszcza mnie ani na chwilę. Kiedy nie śpię, nie mogę pozbyć się myśli o tamtym dniu, kiedy zasypiam, śnię o nim. I ciągle ciśnie mi się do głowy ta myśl, że nie powinnam tu być, że zawsze już będę taka i że ludzie będą nastawieni do mnie niechętnie.

— Proszę cię, kochanie... Nie powinnaś tak mówić. Czy wizyty u psychologa pomagają ci choć trochę?

— Nie wiem, ciociu. Mówi, że tak jest dobrze, że moje uczucia, nawet gniew, muszą znaleźć sobie ujście. Ale ja patrzę tylko godzinami przez okno albo próbuję czytać. Nie mogę się jednak skupić na lekturze. Czasem chciałabym umrzeć.

— Czy dzielisz się tymi myślami na spotkaniach swojej grupy?

— O tak — westchnęła Juliet. — Wszyscy musimy mówić. Ale to, że czuję się nieszczęśliwa i opowiadam o tym, nie zwróci mi taty ani Josepha. A jednocześnie, kiedy idę na spotkanie, boję się, że nie będę się czuła nieszczęśliwa. Tego przecież się ode mnie oczekuje. Czasem zapominam o tym i na chwilkę przebija się promyk światła. Myślę wtedy, że znowu zrobi mi się ciepło w środku. Ale zaraz przypominam sobie o wszystkim i z powrotem przenika mnie chłód.

— Czas to ukoi.

— Czy przestanie mi być zimno?

— Tak, kochanie, jestem pewna.

2.

Dla brytyjskich poddanych nie było wznioślejszego marzenia, niż otrzymać zaproszenie na garden party z udziałem królowej.

Wielu polityków i arystokratów żyło nadzieją, że pewnego dnia zostaną zaproszeni choćby do prywatnych ogrodów królewskich

pałacu Buckingham. Ale w całym królestwie nie istniało nic szczytniejszego niżli uczestnictwo w przyjęciu wydanym przez królową.

Można by więc sądzić, że ośrodkiem zainteresowania honorowego gościa na galowym przyjęciu, które odbywało się tego ciepłego wrześniowego popołudnia, winna stać się sama monarchini. Tak jednak nie było. Gdyby śmiałemu archeologowi Adamowi Livingstone'owi, otoczonemu przez zaciekawiony i pełen podziwu tłum krążący po ogrodzie, w głowie było małżeństwo, mógłby pojąć córkę każdego z arystokratycznych brytyjskich rodów. Z taką samą łatwością ten przystojny, dowcipny i inteligentny młody mężczyzna zdobyłby mandat w Izbie Gmin z dowolnego okręgu w państwie.

Na liście celów, do których zamierzał dążyć, nie było jednak na pierwszym miejscu ani żony, ani kariery politycznej.

Wielki odkrywca czasów nowożytnych założył na tę okazję biały frak i szary cylinder. W kłapę wetknął czerwoną różę. Spod kapelusza wymykały się długie, sięgające uszu, gęste piaskowego koloru włosy, które lśniły czasem w promieniach słońca.

Adam miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ważył osiemdziesiąt pięć kilogramów, był atletycznie i proporcjonalnie zbudowany, nic więc dziwnego, że rzucał się w oczy. Rysy jego twarzy nie przykuwały uwagi, lecz wcale nie dlatego, że były nieregularne. Może, przeciwnie, były zbyt bliskie doskonałości. Głęboki błękit oczu, kształtny nos, mocno zarysowane, starannie wygolone policzki, ogorzała wskutek obcowania z żywiołami cera. Wydatna szczęka i wystające kości policzkowe wskazywały, że temu człowiekowi nie brak siły charakteru. Równa linia ust wywierała miłe wrażenie zarówno kiedy Adam milczał, jak i kiedy mówił. W uśmiechu tych ust ukrywających zdrowe zęby był jakiś ledwie uchwytny odcień tajemniczości — akurat tyle, żeby roztopić kobiece serce jak wosk.

Ktoś, kto widział Livingstone'a po raz pierwszy, mógłby wziąć go za gwiazdora filmowego, a nie człowieka nauki, aczkolwiek

rosnąca sława tego człowieka powoli zacierała już w świadomości społecznej różnicę między tymi dwoma sposobami życia.

Nie byłoby jednak mądre stwierdzenie, że arystokratyczna preżencja Adama świadczyła o mniejszej miłości do pracy. Jego pasją była starożytność, a nie sława, a ponieważ uważał się za pragmatyka, doceniał fakt, że czasem obie te rzeczy idą w parze, a nawet że takie połączenie bywa konieczne. Czuł się dobrze i pewnie wśród królów i prezydentów, premierów i finansistów, obce mu było wszelkie skrepowanie. Ale gdyby mógł wybierać, bez zwłoki wyruszyłby w teren, do dżungli albo na pustynię, i mając u boku Jen, Scotta i Figga, chwyciłby w jedną rękę łopatę, w drugą pędzelek i przystąpił do pracy, której poświęcił życie — wędrowałby pod prąd strumienia czasu... by dokończyć się do przeszłości.

Po raz pierwszy pokazał się publicznie od powrotu z Araratu. Na przyjęcie stawili się wszyscy, którzy liczyli się w Londynie, a także paru, którzy się nie liczyli: lordowie i damy, członkowie parlamentu, bankierzy i baronowie, hrabiowie i diukowie, wielkie damy i diuszesy — a wszyscy z małżonkami. Poza tym było tu paru sławnych sportowców, wielu przedstawicieli elity finansowej, międzynarodowego bractwa dziennikarskiego — ci ostatni nieliczni, ale wpływowi — i ludzie z najróżniejszych grup brytyjskiego społeczeństwa. Ponieważ uroczystość miała związek z nauką, znalazła się na niej także mocna reprezentacja Oxfordu i Cambridge.

Nie zapomniano też umieścić na liście gości osób z krajów zaangażowanych w realizację projektu Livingstone'a. Zjawilo się więc niemało Amerykanów, Rosjan, Francuzów i Włochów, a także paru wysoko postawionych tureckich dyplomatów i urzędników państwowych. Oczywiście przybyli też uczestnicy wyprawy i naukowcy, jak również wszyscy członkowie kartelu — poza tymi, którzy woleli zachować anonimowość.

Na tyłach ogrodu ośmioosobowy zespół wykonywał porywająco *Muzykę na wodzie* Haendla, ponoć jeden z ulubionych utworów Livingstone'a. Uchwycenie niuansów skomplikowanej kompozycji

było nie lada wyczynem w przypadku tak małej orkiestry, ten dzień jednak poświęcono śmiałym przedsięwzięciom i wyglądało na to, że muzycy, przynajmniej jak na razie, zwycięsko wychodzili z próby.

Szczytowym momentem uroczystości miało być przyjęcie Livingstone'a przez królową na prywatnej audiencji, po której oboje mieli przemówić do zgromadzonych.

Nikt nie widział jeszcze Jej Królewskiej Mości. Za całą rozrywkę musiało wystarczyć to dość nudne zajęcie, które nazywa się „dreptaniem w kółko”. Jednak tego dnia wszyscy, którzy znaleźli się w samym środku królestwa, wśród elity elit, uznali tę czynność za ekscytującą. Takie w każdym razie wrażenie starali się robić. Dla tych, których nie obchodził naukowy i duchowy wymiar tematu dnia, zawsze pozostawał bogaty wybór najnowszych plotek towarzyskich.

— Cześć, Adam — rozległ się miły, uwodzicielski głos.

Niezaprzeczalnie chodziło o zwrócenie na siebie uwagi, choć z czerwonych błyszczących warg padły tylko te dwa słowa.

Gość honorowy odwrócił się i zobaczył wysoką, szczupłą i efektowną, mniej więcej dwudziestosiedmioletnią kobietę, która szła w jego kierunku z promiennym uśmiechem tak samo zniewalającym jak jej głos. Przywykła do tego, że jest w centrum uwagi, i bez cienia niepewności podeszła do Adama. Mały tłumek wokół archeologa rozstał się, żeby ją przepuścić. Poufały sposób, w jaki zwróciła się do Livingstone'a wskazywał wyraźnie, że nie potrzebuje zaproszenia, by stanąć obok niego.

— Ach, Candace! — wykrzyknął Adam. — Jak to dobrze widzieć cię znowu!... I jak pięknie wyglądasz!

Ujął jej dłoń i skłoniwszy się lekko, pocałował.

— Miałam nadzieję, że się odezwiesz — powiedziała.

Cofnęła zgrabnie rękę, robiąc odrobinę nadąsaną minę, dobrze znaną wszystkim uwodzicielskim kobietom.

— Chciałem, kochanie — odparł Livingstone, nie tracąc pewności siebie. — Niestety od czasu powrotu do miasta miałem wypełnioną szczelnie każdą chwilę.

— I co to był za powrót! Widziałam powtórkę w telewizji — powiedziała i stanęła u boku Adama w sposób naturalny i świadczący o zażyłości.

Lady Candace Montreux, córkę lorda Harrimana Montreux, członka Izby Lordów i bogatego finansisty z bardzo starej angielskiej rodziny o normańskich korzeniach, znała większość obecnych. Candace, jedna z najbardziej oszałamiających niezamężnych kobiet w Londynie, miała więcej propozycji małżeńskich, niż to stosowne. Ale ona była wpatrzona w Adama Livingstone'a, z którym od czterech lat łączyły ją więzy przyjaźni — nie tak jednak ściśle, jak by sobie życzyła. Jej ojciec z początku nie chciał słyszeć o tym związku. Powtarzał, że w przypadku jego córki nie wchodzi w grę nikt, kto nie miałby przynajmniej tytułu wicehrabiego, a najlepiej żeby był to hrabia albo markiz. Ostatnio jednak zaczął przychylniej patrzeć na archeologa, który bez wątpienia zyskał w jego oczach, od kąd zaczęła wzrastać jego sława.

— Powiedz mi, Adamie — ciągnęła Candace — kiedy zatelefonujesz do Swanspond? Ojciec powiedział parę dni temu, że nie widział cię całe wieki.

— Chyba jest tu dzisiaj? — Adam rozejrzał się dokoła.

— Naturalnie. Właśnie z kimś rozmawia.

— W takim razie przywitam się z nim później.

— Musisz jednak zatelefonować, Adamie. Ojciec czuje się prawie tak samo urażony jak ja — dodała, podnosząc nieśmiało wzrok, żeby spojrzeć na jego twarz.

— Wątpię, żeby można było tak łatwo cię urazić, Candace — uśmiechnął się Livingstone. — Z tego, co słyszałem, otacza cię stale tłum wielbicieli.

— Och, Adamie, zawsze musisz żartować! — roześmiała się i podeszła jeszcze bliżej do niego, żeby wziąć go pod rękę. — Niestety, żaden z nich nie ma tyle uroku co ty i żaden nie cieszy się taką aprobatą papy.

— Szacunek twojego ojca to dla mnie zaszczyt — powiedział Adam, wykorzystując chwilę milczenia, jakie teraz zapadło, żeby rzucić jakąś uwagę w stronę stojących najbliżej.

3.

Na cienistej, pokrytej kurzem bagdadzkiej ulicy jakaś postać wśliznęła się ukradkiem do nijakiego budynku w kolorze gliny i pospiesznie zeszła dwa piętra w głąb podziemi. Otworzyła grube stalowe drzwi i weszła do małego, ale wyposażonego zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki pomieszczenia. Komputery, drukarki, telefony i faksy zajmowały kilka biurka.

Młody brodaty mężczyzna podniósł głowę.

— Masz? — spytał.

Posłaniec podszedł bliżej, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął niewielki plik złożonych kilkakrotnie papierów. Po-dał je pytającemu. Ten ostatni rozłożył je szybko i przebiegł wzrokiem.

Obaj mieli brody i nakrycia głowy. W ich oczach płonął ogień muzułmańskiego fundamentalizmu. W tym jednak momencie nie prowadzili dżihadu, świętej wojny przeciwko szatanowi, to jest Ameryce, ale z powodu zbezczeszczenia góry, która nagle stała się w ich oczach święta. Terrorystyczna organizacja II Chakim nigdy nie interesowała się dotąd Araratem. W gruncie rzeczy ta turecka góra nie była dla nich świętsza niż komputery. Używali ich, chociaż nienawidzili społeczeństwa, które rozwinęło technologię pozwalającą na ich tworzenie. Konsekwencja nie należała do niezbędnych elementów ich przekonań.

Nagle pojawiło się coś, co żywo obchodziło światową opinię, co było wszędzie znane i szanowane. Jeśliby udało się to coś zniszczyć, osiągnęliby swój cel i mieli z tego chorobliwą, niegodziwą satysfakcję. Kierowali się żądzą mszczenia, nie liczyło się znaczenie ich czynów. Fakt, że ta wielka konstrukcja była skarbem dla chrześcijan i żydów, których nienawidzili nade wszystko, czynił z arki cel bardzo pociągający.

Sąsiad z północy zaproponował im ogromną sumę za dokonanie zamachu i to z pewnością jeszcze wzmogło ich zapał. Mogli kupić broń, bomby, mnóstwo amunicji i być może dać wolność kilku

swoim przetrzymywanym w europejskich i izraelskich więzieniach. Byli idealistami, jeśli chodzi o gotowość oddania życia, ale pragmatykami w kwestiach finansowych. A ktoś można chciał dobrze zapłacić. Nie po raz pierwszy prowadzili z nim interesy. Wiedzieli, że wywiąże się ze swoich zobowiązań.

— To wszystko? — spytał tylko mężczyzna. — Nie jest to mapa zbyt dokładna.

— Zapewniają, że wystarczy. Miejscowi, którzy zaprowadzili wielkiego człowieka w góry, o tutaj — wskazał rysunek na jednej z kartek — zaprowadzą także nas, jeśli im odpowiednio zapłacimy.

— Nie musimy wspinać się na tę górę, ale na tę naprzeciwko.

— Mówią, że z dobrym przewodnikiem dotrzemy do dowolnego miejsca na Araracie.

— Ze sprzętem?

Tamten skinął potakująco.

— I wydostaniemy się stamtąd, zanim zostaniemy zasypani.

Znowu skiniecie.

— Dobrze... Zaczynaj przygotowania.

4.

Gości drepzczących po ogrodach Pałacu Buckingham w jakiś subtelny sposób ciągnęło w stronę kręgu tłoczącego się wokół Adama Livingstone'a, jego przyjaciół oraz olśniewającej lady Montreux, która przeniknęła do doborowej gromadki.

Jeden z gości przyglądał się jednak Adamowi z daleka, nie próbując się do niego zbliżyć. Trzymał się przeważnie jednej strony zgromadzenia, wymieniając od czasu do czasu kilka zdawkowych uwag to z tym, to z tamtym dyplomatą, którego poznał dzięki pozycji, jaką zajmował w jednym z państw powstałych po rozpadzie ZSRR. Ale śledził jednocześnie wszystkie ruchy Livingstone'a. Nie przyszedł tu jednak po to, żeby zabiegać o jego względy. Miał zupełnie inne zamiary.

Jeśli chodzi o pozostałych gości, nawet ci, którzy nie mieli zielonego pojęcia o archeologii i niewiele ich ona obchodziła, pragnęli pochwalić się tym, że osobiście rozmawiali z odkrywcą arki. Takie strzępki rozmowy to trofea, które warto zdobyć, aczkolwiek nie należy przy tym okazać, jak bardzo człowiekowi na tym zależy.

— Muszę powiedzieć, panie Livingstone — odezwał się książę Arundel, który przedtem prowadził z Adamem rozmowy w imieniu królowej, ale teraz ledwo przeniknął do wewnętrznego kręgu otaczającego honorowego gościa — że kiedy przeczytałem, co powiedział pan o tym, jak Bóg polecił Noemu zbudować arkę, nie wiedziałem, że jest pan jednym z nich.

— Jednym z nich, książę? — spytał Adam.

— Z tych, którzy dopatrują się Boga w każdym prehistorycznym znalezisku.

— Chyba się pan myli. Gdzie pan to przeczytał?

— Nie pamiętam. Może w „Mirror”.

— To by wszystko tłumaczyło — roześmiał się Adam.

— Czyżby cytat był zniekształcony?

— W ogóle nie składałem tego rodzaju oświadczenia.

— Skąd więc to wzięli?

— Zaraz po przyjeździe do Londynu doszło przed moim domem do burzliwej dyskusji na temat duchowego wymiaru arki. Musiałem powiedzieć, tak mi się w każdym razie zdaje, że odkrycie arki pociąga za sobą więcej pytań niż odpowiedzi, albo coś podobnego.

— Niech pan da spokój, Livingstone. Co to ma wspólnego ze sprawami ducha?

— Jeśli jest to arka Noego, być może całkiem sporo.

— Co jeszcze miał pan im do powiedzenia?

— To nie ja zadawałem wtedy najczęściej pytań. Kelley Halliday zaczął zastanawiać się, jak to możliwe, że Noe wiedział, jak zbudować arkę, no i jak ją zbudował. Muszę przyznać, że nagle zacząłem zdawać sobie niejasno sprawę, jakie mogą być konsekwencje odkrycia.

— Ach tak... Halliday. To się zgadza. Ten człowiek wszędzie widzi Boga.

— Z początku ja też byłem nieco zirytowany — powiedział Adam. — Po zastanowieniu uznałem jednak, że pytania, które

postawił pan Halliday, są ważkie i zasługują na rozważenie.

— Oznajmił im więc pan, że to Bóg wyjaśnił Noemu, jak się rzeczy mają? — spytał Fred Marks, producent programów dokumentalnych w BBC.

Reporter Glendenning zdał mu dokładną relację z rozmowy przed domem Livingstone'a.

— Powstrzymam się na razie od oceny — Adam powtórzył to, co usłyszał już od niego Halliday.

— To się nazywa wybrnąć z kłopotów — rzucił Stanbridge Dunbar, arystokrata i wydawca awangardowego periodyku poświęconego nauce. Przyszedł tu, żeby umówić się z archeologiem na wywiad.

— Ale taka jest prawda, baronie — zapewnił go Adam. — Nie wiem. Halliday słusznie mówi, że z odkryciem wiążą się poważne konsekwencje. Proszę mi wierzyć, zadałem sobie wiele pytań, które przedtem nie przychodziły mi do głowy.

— I do jakich wniosków pan doszedł?

— Jak dotąd do żadnych. Czy jednak nauka może się przed nimi uchylać? Ja po prostu odsunąłem od siebie tego rodzaju kwestie.

— Nauka ma zająć się tym, co jest w pierwszym rzędzie sprawą wiary?

— W gruncie rzeczy być może wszystko jest sprawą wiary. — odparł Adam. — Dotknął pan jednego z budzących wielkie nieporozumienia punktów sporu między, jak pan to ujął, nauką i wiarą. Przecież my, naukowcy, wierzymy w naukę. Nauka, tak samo jak chrześcijaństwo, przechodzi do porządku dziennego nad lukami w dowodach. A poza tym Darwin wcale nie wyjaśnił wszystkiego. Nie można wykluczyć, że jego książka nosi zupełnie niewłaściwy tytuł, gdyż nie zastanawiał się nad prawdziwym pochodzeniem... nad tym, skąd się wzięliśmy... pierwotnie.

— Co to ma wspólnego z arką?

— Ależ bardzo dużo! Skąd się wzięła arka, cała reszta? Czy teraz, kiedy znaleźliśmy arkę, mamy prawo ograniczyć zasięg naszych poszukiwań, nie dociekać, dlaczego się tam znalazła? Sądzę, że nie.

— A przy okazji, Livingstone — rzucił Marks, który chciał wykorzystać to, że skupił na sobie uwagę Adama — jakie dalsze plany?

— Mój zespół wybiera się na małą wycieczkę do Afryki, zanim zacznie się lato w Turcji.

— Czego będziecie szukać?

— Och, panie Marks — uśmiechnął się Adam — przecież archeolog nigdy nie zna odpowiedzi na to pytanie, póki czegoś nie znajdzie.

— Czego się pan jednak spodziewa.

— Powiedzmy, że od szeregu lat rozważałem pewne hipotezy, które bardzo chciałbym sprawdzić w terenie.

— O ile wiem, czeka na pana zaproszenie do Białego Domu — powiedział Marks.

— Rozmowy na ten temat prowadzi Scott Jordan razem z tamtejszymi uczonymi, którzy z nami pracowali. Był to naprawdę wspólny wysiłek, i to nie tylko brytyjsko-amerykański, ale także wielu innych krajów. Ja zaś, tak się złożyło, pełniłem rolę koordynatora.

— Jest więc pan przekonany, że konstrukcja znaleziona na Araracie to naprawdę arka Noego? — spytała kobieta, która najwyraźniej nie chciała, żeby rozmowa odbiegała od tematu będącego okazją do tego spotkania.

Adam nie rozpoznał jej, ale widać było, że kobieta interesuje się żywo dyskusją.

— Tak, chyba tak — odpowiedział.

— Słowo „chyba” nie zabrzmiało zbyt przekonująco — uśmiechnęła się.

Adam skinął głową.

— Podobnie jak wielu racjonalistów uważam, że trzeba czasu, byśmy się przyzwyczaili do konsekwencji, jakie pociąga za sobą odkrycie. Jestem przekonany, że na Araracie spoczywa arka opisana w żydowskich Pismach. Skoro jednak nie wiem, co naprawdę oznacza obecność w tym miejscu arki Noego, skoro nie mam odpowiedzi na szereg pytań, skoro nie rozumiem, jaką rolę odegrała jakaś Wyższa Istota w wydarzeniach, które zaszły przed potopem, te nierozstrzygnięte problemy zmuszają mnie do udzielania odpowiedzi niejednoznacznych... sądzę, że dobrze pani to rozumie. Przykro mi, ale

to wszystko, co potrafię w tej chwili powiedzieć. Sam nadal zmagam się z wieloma wątpliwościami.

— Z pewnością już wcześniej brał pan to wszystko pod uwagę. Po cóż miałby pan wyruszać na poszukiwanie arki Noego, gdyby przedtem nie zastanawiał się pan nad relacją podaną w Księdze Rodzaju? — zapytał wielbny biskup Felix Holderness, jedna z czołowych postaci Kościoła anglikańskiego i jeden z duchowych doradców królowej.

— To bardzo ważne pytanie, księżę biskupie — odpowiedział Adam głosem, który zdradzał głębokie zamyślenie. — Sądzę, że arka Noego zawsze była dla archeologii czymś w rodzaju Świętego Graala. Chodzi o coś jedyne i nieporównywalne z niczym innym. Oczywiście są inne potencjalnie wielkie odkrycia. Wykopanie przez Johansona w siedemdziesiątym czwartym kości istoty nazwanej Lucy było z pewnością momentem przełomowym, ale kilka kości to tylko kilka kości.

— Wcale nie było ich tak mało! Jeśli się nie mylę, na stanowisku wykopaliskowym znaleziono ponad dwieście okazów!

— Widzę, że ksiądz biskup zna kwestię na wylot! — roześmiał się Livingstone. — Jeśli jednak chodzi o sprawę, którą ksiądz poruszył... przejdźmy na teren religii. Jeśli znajdziemy kamienne tablice zapisane ponoć palcem Bożym albo jeśli ktoś obwieści, że znalazł Świętego Graala, nigdy nie będziemy mieli niepodważalnego dowodu, który przekona wszystkich na świecie, że są to przedmioty autentyczne. Zawsze znajdzie się jakiś sceptyk. Nawet w przypadku Lucy nie brak wątpiących...

— Gdyby jednak nie wchodził w grę artefakt o charakterze religijnym, jak na przykład tablice Mojżeszowe — przerwał biskup — nauka zbyłaby wątpiących wzruszeniem ramion. Naukowcy mają skłonność do wyciągania ważkich wniosków z bardzo czasem skąpych danych. Kiedy zaś człowiek wierzący wystąpi z bardziej przekonującym dowodem, najchętniej go ignorują.

— Czy to znaczy, że wspólnota naukowa nie jest obiektywna? — spytał Dunbar.

— Myślę, że nauka chce być ślepa na potencjalną prawdę, jeśli ma ona coś wspólnego z religią — odparł wielebny Holderness. — Skutek jest taki, że sama wyrzeka się obiektywizmu. Ale kiedy naukowcy patrzą na coś, co chcą naprawdę zobaczyć albo odkryć, w taki czy inny sposób znajdują dowody, choć dane są zaiste skromne.

Tak jest w przypadku Lucy.

Livingstone słuchał w skupieniu i jego twarz rozjaśniła się, kiedy powiódł spojrzeniem po obecnych.

— Otóż to. Właśnie dlatego to znalezisko jest tak wyjątkowe — oświadczył, podsumowując dialog. — Mocniej niż cokolwiek wiąże naukę z wiarą. Proszę sobie tylko wyobrazić: okręt o długości prawie stu pięćdziesięciu metrów wyładowany klatkami dla zwierząt i pochodzący sprzed siedmiu do piętnastu tysięcy lat — ciągnął z werwą. Oczy błyszczały mu z ożywienia. — Niełatwo coś takiego podrobić. Byłem tam. Widziałem. Dotykałem. Nigdy jeszcze nie znaleziono niczego tak starego i wielkiego, i to wysoko na trudno dostępnym szczycie, a tego faktu nie da się żadną miarą wyjaśnić w zgodzie z logiką, chyba że jakimś kataklizmem w rodzaju gigantycznej powodzi. To coś zdumiewającego. Świadcstwo tak mocne, że prawie nie do podważenia. Stanowi klasę samo dla siebie. Jest w archeologii osiągnięciem absolutnie wyjątkowym, nieporównywalnym z niczym. Niczego podobnego nigdy nie odkryto.

Znowu zamilkł i zaczerpnął powietrza w płuca. Na jego spokojnej z powrotem twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

— Te wszystkie czynniki nadają taką wysoką rangę naszemu przedsięwzięciu — ciągnął. — Jest rzeczą całkowicie naturalną, że arka zawsze pociągała każdego, kto zajmuje się archeologią. Przy tym, jak już powiedziałem, nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad jej wymiarem duchowym. Nie wiem dlaczego. Ksiądz biskup ma rację, teraz wydaje mi się to niedorzeczne. Nagle ten wymiar okazał się zupełnie oczywisty. Dotychczas całą energię poświęcałem tropieniu, podróży, poszukiwaniom, no i aspektowi naukowemu. I nagle zauważyłem, że zastanawiam się, jak to ujął Halliday, dlaczego arka tam jest?... Co oznacza?

— Wiąże pan z tym odkryciem wielkie nadzieje, to oczywiście — zauważył Dunbar. — Może arka stanie się dla pana czymś w rodzaju Lucy, może przestani wszystkie inne pańskie osiągnięcia.

Archeolog nie zdołał udzielić odpowiedzi, gdyż w tym momencie do rozmowy włączył się zrzędnym głosem ktoś nowy:

— Daj pan spokój, Livingstone. Co ludzie pomyślą o naszym fachu, jeśli będzie pan plótł takie filozoficzne koszałki opałki? Nie możemy sprawiać wrażenia, że jesteśmy gromadą obłudnych zwolenników spirytualizmu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na ciężko zbudowanego mężczyznę, który podszedł do nich zamaszystym krokiem. Na głowie miał markową szarą panamę przechyloną na bakier, poza tym był ubrany w koszulę i spodnie koloru khaki oraz zdarte buty. W rękę trzymał szklaneczkę z trunkiem, wyglądał, jakby przybył prosto z afrykańskiego safari i zupełnie nie pasował do garden party w pałacu Buckingham. Długie piaskowe włosy, które wiązał z tyłu w mały kucyk, dopełniały oryginalnego obrazu, a artystyczny kolczyk w kształcie węża kołyszący się w lewym uchu stanowił ostatnie dotknięcie pędzla.

Krąg wokół Adama znowu się rozstał, ale tym razem nie pod wrażeniem elegancji lady Montreux, lecz raczej podświadomie przyjmując pozycję obronną. Gdyby nie zrobiono mu przejścia, rzuciłby się na ludzi niby szarżujący nosorożec, do którego upodobała go ciężkie i niezdarne ruchy.

— O panu z pewnością nikt nic takiego nie powie, sir Gilbertcie! — odparł ze śmiechem Adam, obracając się w stronę nowo przybyłego.

Kiedy sir Gilbert dołączył do grupki, Candace Montreux skorzystała z okazji, żeby się niepostrzeżenie wymknąć. Obserwujący zebranych cudzoziemiec przyciągnął jej spojrzenie, a ona poszła jakby przypadkiem w jego stronę. Była pewna, że się jej przyglądał, i poczuła się zaintrygowana, choć pomyślała jednocześnie, że lepiej nie zawierać z tym człowiekiem znajomości. Podeszła na tyle blisko, że słyszała jego głos i mogła czegoś się dowiedzieć. Mówił nieskazitelną

angielszczyzną, to zauważyła od razu — aczkolwiek w jego akcencie była prawie niedostrzegalna naleciałość świadcząca o irańsko-amerykańskim pochodzeniu. Co łączy tego człowieka z ekspedycją na Ararat? — zaczęła się zastanawiać.

W tym czasie Adam witał tęgiego mężczyznę, który dołączył przed chwilą do rozmowy.

— Miło mi widzieć pana, sir Gilbercie — oznajmił, ściskając dłoń tamtego. — Parę ładnych lat minęło.

Kolega w ubraniu koloru khaki nie odpowiedział bezpośrednio na powitanie. Wydawało się, że ściska dłoń Adama z większym entuzjazmem, niż w istocie czuje. Badawcze spojrzenie jego wyrazistych czarnych oczu ujawniało mniej sympatii, niżli wyraz twarzy przybrany z rozmysłem na użytek tych, którzy byli świadkami ważkiej wymiany zdań między rywalizującymi archeologami.

— Nadal lubisz przyłożyć chrześcijanom, Bowles? — spytał Dunbar.

— Tylko kiedy na to zasługują.

— Czyli zawsze. Jeśli się nie myłę — rzucił dobrodusznym tonem biskup Holderness.

— Do tego się nie posuwam — roześmiał się Bowles. — Zawsze dbam o to, żeby uczynić wyjątek w przypadku duchownych o otwartych umysłach, a już szczególnie, kiedy są porządnymi facetami, jak ksiądz biskup. Ale przede wszystkim jestem człowiekiem nauki. Biorę pod uwagę tylko niepodważalne fakty. Kiedy ludzie o nastawieniu fundamentalistycznym uparcie je ignorują i wynajdują żałosne teorie, które tym faktom próbują zaprzeczyć, moim obowiązkiem jest przywołanie ich do porządku.

— Co więc pan myśli o arce Noego? — spytał Marks z BBC. — Zanim pan do nas podszedł, rozmawialiśmy o konsekwencjach tego odkrycia. Pański kolega, Livingstone, oznajmił, że nie bardzo wie, co z tym faktem począć. A co pan myśli?

Bowles nie od razu odpowiedział. Nadal był poirytowany tym, że tak szybko jego własne odkrycie zeszło na dalszy plan. Musi pieczołowicie dobierać słowa. Ale podczas swojej osobistej małej wyprawy znalazł to, czego potrzebował. I znajdzie więcej, to pewne.

— Sądzę, że nieprędko odpowiemy na to pytanie. My wszyscy — odparł po chwili.

Ta odpowiedź nikogo nie zadowoliła, ale ton głosu sir Gilberta wskazywał jasno, że nie należy spodziewać się bardziej szczegółowej opinii na ten temat.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

WYŁOM W SYSTEMIE BEZPIECZEŃSTWA

1.

Sir Gilbert Bowles obrócił w dłoniach starą ludzką czaszkę i wyglądało to prawie tak, jakby chciał zajrzeć w niesamowicie puste oczodoły, żeby zasięgnąć rady dawno zmarłego przodka.

Cóż w tej chwili znaczy moje znalezisko? — zadał sam sobie pytanie.

Czyżby znaczenie tego przedmiotu, który osobiście wykopał z ziemi, a teraz trzymał w dłoni, przedmiotu, na którym budował swoją świeżej daty sławę... czyżby to znaczenie miało nagle zniknąć? Czy on, sir Gilbert, jest skazany na drugorzędną rolę w świecie prehistorycznych badań?

Ubiegły miesiąc był szczególnie irytujący dla czterdziestoosmioletniego paleoantropologa. Nie chodziło o pytanie, które Marks zadał podczas przyjęcia u królowej. Sedno sprawy w tym, że nagle cały jego świat wywrócił się do góry nogami.

Kiedy wydawało się, że nic nie może zagrozić jego reputacji najwybitniejszego angielskiego autorytetu w zakresie prehistorii — przecież trzy lata temu sama królowa nadała



mu szlachecki tytuł za rewolucyjne dokonania — ten młody parweniusz z Cambridge, Livingstone, przebił jego i jego teorie. Wprawdzie zaproszono go w zeszłym miesiącu na przyjęcie w pałacu, ale nie ulegało wątpliwości, że nikt nie chce z nim rozmawiać. Nawet królowa potraktowała go lekceważąco. A przecież tak niedawno nazywała go dumą Korony Brytyjskiej. Bez względu na to, jak wysoko wspiął się po szczeblach kariery zawodowej, nie potrafił zapomnieć o swoim pospolitym pochodzeniu. Zawsze wydawało mu się, że ludzie patrzą na niego jak na kogoś z innego środowiska niż oni, i przyjęcie w ogrodach chyba potwierdziło jego obawy.

Livingstone, Livingstone, Livingstone!

Kiedy padało to nazwisko, ogarniały go mdłości. Było na ustach wszystkich, o niczym innym się nie mówiło. Ciągle tylko Livingstone i jego arka!

Arka, to nie do wiary!

To zakrawa na kpiny! Chciałby dostać w swoje ręce którąś z tak zwanych „próbek”. W jednej chwili dowiódłby, że to zwykła błaga!

I dostanie próbki w swoje ręce, bo wie, gdzie jest arka. Wyprowadzono go w pole, ale coś takiego udało się Livingstone'owi po raz pierwszy i ostatni. Od tej chwili będzie bacznie śledził każdy ruch przeciwnika.

Tlił się w nim gniew. Spojrzenie Bowlesa padło na drugą stronę pokoju, gdzie spoczywał stos egzemplarzy jego bestsellera, *Homopithecus: odnalezione ogniwo*. To być może najważniejsze dzieło z zakresu badań nad ewolucją od czasu *O pochodzeniu gatunków* Darwina nie było nudnym sprawozdaniem z badań archeologicznych. Udało mu się napisać zajmującą i zabawną opowieść o tym, jak znalazł dowód na nieistnienie Najwyższej Istoty, otulając wszystko zwiewnym płaszczem naukowych wniosków opartych na jego afrykańskiej ekspedycji.

Sukces książki wprowadził w osłupienie cały światek wydawniczy. Sprzedano dwa miliony egzemplarzy w twardej oprawie i osiem w miękkiej. Konsekwencją tego sukcesu był hollywoodzki film, trzy specjalne programy w telewizji BBC i dwa filmy dokumentalne

amerykańskiej sieci Public Broadcasting Company. W rezultacie Bowles prawie z dnia na dzień został jednym z najbogatszych Anglików i najchętniej słuchanym na całym świecie rzecznikiem tych, którzy zwalczali religię na gruncie ewolucjonizmu i zasady doboru naturalnego.

Był we własnym przekonaniu pierwszorzędnym archeologiem i przez wiele lat górował nad innymi liczbą ważnych odkryć. Ale kiedy jego zespół odkopał w Tanzanii ogromne cmentarzysko na sawannie w kraterze Ngorongoro — kilka nietkniętych szkieletów istot z gatunku *homo*, a właściwie nie całkiem *homo* i nie całkiem *australopithecines*, raczej połączenie wielu cech *a. boisei*, *h. habilis* i *ergaster*, oraz setki rozmaitych kości i co najmniej dwadzieścia czaszek z różnych czasów — przygotował najwłaściwszą scenerię do tego, żeby ludzkość dokonała wielkiego kroku naprzód w badaniach nad ewolucją i teorią migracji.

Ledwie rok później Bowles, tym razem w afrykańskiej dolinie Wielkiego Rowu, na północ od jeziora Rukua, dokonał następnego odkrycia. Dokonał największego odkrycia od wykopania Lucy i okrzyknięto go geniuszem. Nie dorównywało ono poprzedniemu wielkością, ale było bardzo istotne i dowiodło, że niegdyś istniały jeszcze inne podgatunki *homo*. Bowles nazwał je *erectus sapiens*. Uznał, że szczątki pochodzą sprzed 195 do 215 tysięcy lat, i zadziwił świat naukowy, odrzucając obie powszechnie uznane teorie dotyczące wczesnego *homo sapiens* — zarówno tę, która mówiła, iż współczesny człowiek pochodzi od gatunku *homo erectus* i rozwijał się rozmaicie w rozmaitych częściach świata, jak i tę, która utrzymywała, iż jakieś 100, może 200 tysięcy lat temu *homo sapiens* pojawił się w Afryce w miejsce *homo erectus*, a potem rozprzestrzenił się i zaludnił cały glob. Te dwa poglądy są znane jako teoria multiregionalna i pozaafrykańska. Spekulowano na temat jakiegoś nieznanego dotąd pośredniego gatunku. Inni podkreślali podobieństwo rozmaitych gatunków mieszczących się między *homo erectus* i *homo sapiens* i czasem nadawali im miano „wczesny *homo sapiens*”. Póki jednak Bowles nie dokonał swojego olśniewającego odkrycia, uczeni

nie dysponowali żadnymi dowodami na poparcie tej tezy.

W gruncie rzeczy ani jedno, ani drugie odkrycie Bowlesa, podobnie jak wynikające z nich teorie, nie było tak rewolucyjne, jak on sam dawał do zrozumienia. Jak dotąd terminy *homopithecus* (człowiek-małpa) i *erectus sapiens* nie weszły do słownictwa naukowego. Nikt nie twierdził, że chodzi tu o jakieś fałszerstwo w rodzaju człowieka z Piltdown, którego rzekomo odkryto w 1911 roku, i wielu wierzyło, że teoria migracyjna jest trafna. Ale nie brakowało też takich, którzy mówili, że jego znaleziska to kolejne okazy pradawnego *homo sapiens*. A słowo „ogniwo”, użyte przez Bowlesa w tytule książki, sugerowało — zgodnie z zamiarem autora — więcej, niż dało się wywnioskować z faktów. Tak zwane „brakujące ogniwo” między hominoidami czy małpami, a hominidami, powszechnie znanymi jako ludzie-małpy, wśród których najbardziej rozstawionym, aczkolwiek od jakiegoś czasu wcale nie jedynym, był *australopithecus afarensis*, Lucy — nadal czekało na odkrycie.

Tak więc wcale nie wiedza płynąca z odkryć i zawarta w książce zapewniła Bowlesowi sławę, a publikacji powodzenie. Swój rozgłos zawdzięczał autorytarnej pozycji, jaką przybierał, głosząc swój zgrzybliwy i zarazem komiczny ateizm, który wspierał uczonymi cytatami i danymi.

Bowles był jak Carl Sagan, postać wymyślona przez Willa Rogersa: przedstawiał teorię ewolucji jako coś zabawnego i łatwego do zrozumienia. Na chrześcijańskich fundamentalistów powoływał się za każdym razem, kiedy chciał wyszydzić małostkowy i zacofany sposób myślenia. Wiele z tego, co mówił, ludzie nauki przyjmowali z przymrużeniem oka, choć bez wątpienia jego odkrycia archeologiczne miały swoją wartość. A poza tym nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Bowles wprowadził archeologię na pierwsze strony gazet, a to miało swoje znaczenie, kiedy chodziło o zdobycie funduszy na badania.

Humaniści i liberałowie otaczali go czciami, natomiast chrześcijańscy konserwatyści — nienawiścią. Oczywiście na tyle, na ile pozwalała

ich naciągana interpretacja Ewangelii.

Na barwną reputację Bowlesa składała się w znacznym stopniu jego powierzchowność. Zawsze wyglądał tak samo, bez względu na to, czy chodził w koszuli przepoconej pod afrykańskim słońcem, czy w czystej — bo właśnie miał wygłosić wykład w Oxfordzie. Sir Gilbert Bowles był archetypem archeologa — jeśli tego rodzaju stereotyp istniał w zbiorowej wyobraźni. W jego wyglądzie zmieniało się powoli tylko to, że masywna sylwetka stawała się jeszcze masywniejsza wskutek tego, że w ostatnich latach częściej wygłaszał przemówienia podczas bankietów, co było ceną, jaką przyszło płacić za sławę.

Bowles nabrał w usta dymu z cygara, a potem dmuchnął prosto w czaszka, patrząc, jak dym wije się wokół niej i wnika w otwory, które niegdyś były oczami i nosem.

Odkrycie Livingstone'a może podważyć wszystko, co starał się przez całe życie udowodnić, to znaczy to, że nie ma Boga, są tylko atomy, które zachowują się zgodnie z zasadami nauki.

Nie zamierzał dopuścić do takiej klęski.

2.

Adam Livingstone odchylił się do tyłu na krześle, wypił łyżeczek gorącej herbaty i zerknął na poranne wydanie „Timesa”.

Ledwie rozsiadł się wygodnie, przeczytał coś, co sprawiło, że zerwał się na równe nogi.

— Co?! — wykrzyknął. — To nie do wiary!

Wybiegł z gabinetu i pognął do pomieszczeń, które zajmował jego zespół.

— Scott! Widziałeś, co napisali na drugiej stronie „Timesa”?

Nie czekając na odpowiedź, rzucił przyjacielowi gazetę na biurko i dźgnął palcem odpowiedni fragment tekstu.

— Wybuch wywołał lawinę i wstrząsnął Araratem — przeczytał Scott.

— Wiedziałeś o tym?

Zdumiony i zatroskany wyraz twarzy Scotta wystarczył za odpowiedź.

— Crystal! — powiedział Adam, odwracając się do sekretarki. — Połącz mnie z Kate Cody z sekretariatu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Crystal usiłowała uzyskać połączenie, a przez ten czas Adam krążył nerwowo po pokoju.

— Nasi ludzie z Dogubajazit powinni natychmiast nas zawiadomić! Nie lubię dowiadywać się o czymś takim z gazety! I dlaczego „Times” nie zadzwonił w tej sprawie?

— No nie! — wykrzyknęła sekretarka. — Dzwonili, ale myślałam, że chcą jeszcze jednego wywiadu. Zapomniałam ci o tym powiedzieć. Przepraszam.

— Trudno, stało się. Najlepiej zrobisz, jeśli połączysz mnie teraz z Cody.

Pół minuty później podała mu słuchawkę.

— Kate... tu Adam Livingstone. W porannym wydaniu „Time-sa” jest artykuł... Chodzi o wybuch na Araracie. Wiesz coś o tym?

Przez dłuższą chwilę słuchał uważnie.

— Uhhh... no dobrze... tak, w porządku. Rozumiem... Tak, tak. Interesuje, i to bardzo. Przekażesz najnowsze wiadomości? Doskonale... świetnie. Dziękuję, Kate.

Podał słuchawkę Crystal i odetchnął z wyraźną ulgą.

— Fałszywy alarm. No, niezupełnie... Coś się stało, ale żadnych szkód. Wybuch nastąpił niżej i na innym stoku.

— Jak do niego doszło? — spytał Scott.

— Nikt nie wie. Tajemnicza sprawa. Pasterze twierdzą, że usłyszeli jakby wybuch. Zeszła lawina pyłowa. Śnieg po opadzie z zeszłego tygodnia. To wszystko. Żadnych ofiar, żadnego wytłumaczenia.

Scott zainteresował się tą informacją.

— Spróbuj połączyć się z Dogubajazit, Crystal. Niech podej-dzie Figgy. Może on ma coś do powiedzenia.

Crystal wzięła już słuchawkę do ręki.

— Właśnie zamierzałem napić się herbaty i skłonić do pracy moje szare komórki. Zobaczymy, czy po tym całym zamieszaniu uda mi się odzyskać nastrój.

3.

Adam znów zasiadł w swoim gabinecie. Herbata nie parowała już, ale nadawała się jeszcze do picia. Wypił tyk i pozwolił myślom swobodnie błądzić.

Minęło sześć tygodni od wyprawy na Ararat. Modrzewie rosnące wzdłuż podjazdu w posiadłości Livingstone'a okryły się złotem, od czasu do czasu igły fruwały z wdziękiem na ziemię. Wieczory były chłodne. Zmienił się zapach powietrza. Wydawało się nawet, że ptaki zapowiadają swoim śpiewem nadejście innej pory roku.

Zima nadciągała w stronę Londynu i wkrótce zawiadnie całą północną hemisferą, także Turcją. Co najmniej przez najbliższe trzy kwartały nie będzie mowy o wyprawie w góry. Na szczęście w tym okresie raczej nie powinny schodzić lawiny. Myśli Livingstone'a, jak zwykle po archeologicznym tryumfie, skierowały się ku nowym wyzwaniom, jakie przed sobą postawił.

Spojrzał na ogromną plastyczną mapę świata, która zajmowała całą ścianę luksusowego gabinetu. Oto miejsce jego pracy: planeta Ziemia.

Zbliżał się termin wyprawy do Afryki i Livingstone mógł więcej czasu poświęcić na rozmyślania o swojej teorii związanej z pęknięciem skorupy ziemskiej. Poczul przypływ zapału do pracy.

Druga tak wielka ekspedycja pociągała za sobą jednak dodatkowe komplikacje. I nie chodziło tu o sprawy naukowe.

Obraz tych komplikacji stanął mu przed oczyma i Adam uśmiechnął się.

Odwrocił wzrok od mapy i spojrzał w stronę stojącej na biurku fotografii. Musi wymyślić, jak dopasować Candace do swego wyobrażenia o przyszłości. Musi też wymyślić, gdzie w tej przyszłości

umieścić afrykański region Wielkiego Rowu. Od czasu przyjęcia w ogrodach pałacu Buckingham spotkał się kilka razy z córką lorda Montreux. Nie ma najmniejszej wątpliwości, jakie są jej plany na przyszłość.

I znowu pojawiło się pytanie, które zaczęło go nękać, kiedy opuszczał się w głąb lodowca. Czy chce dzielić swą pracę z żoną?

Zdawał sobie sprawę, że jeśli mają wziąć ślub na jesieni, wkrótce, najpóźniej na wiosnę, musi się oficjalnie oświadczyć. Tego właśnie oczekuje Candace. Dobrze więc byłoby, żeby wiedział, czego sam chce.

Usiadł z powrotem, wypił łyk herbaty i pogрузzył się w zadumie. Szczęście mu sprzyja. Ogarnęło go poczucie wdzięczności za życie, które prowadził, i za możliwości, jakie ono przed nim roztaczało. Zwiedził spory kawałek globu. Gdybyż tylko mógł zajrzeć w głąb ziemi i zobaczyć przeszłość tak wyraźnie jak widzi w tej chwili kontury lądów na mapie!

Jego pasją była starożytność. Lubił wszystko, co stare. Podczas studiów w Cambridge specjalizował się w historii i archeologii: zgłębiał wszystkie dziedziny historii, od starożytnego Egiptu i judaizmu po Grecję, Chiny, plemiona indiańskie i cesarstwo rzymskie. Miał już kilka dyplomów uniwersyteckich i pracował nad doktoratem, kiedy uświadomił sobie, że życie akademickie straszliwie go nudzi.

Nie oglądając się za siebie, rzucił Cambridge dla pracy w terenie. I nigdy tego nie żałował. Na ścianie za jego plecami wisiało kilka doktoratów *honoris causa*. Po odejściu z uniwersytetu wiele razy przemierzał świat. Jego ambicją i pragnieniem było poznać początki rodzaju ludzkiego.

Przez głowę przemykał mu tuzin teorii dotyczących wędrówki ludów, języków, ewolucji człowieka i mieszania się ludów i ras.

W bibliotece na trzecim piętrze domu miał nie tylko ogromny wybór książek, ale także własne notatki, rękopisy i dzienniki prac badawczych. Prędzej czy później napisze swoją książkę. Na razie jednak jego hipoteza nie była dostatecznie podbudowana dowodami. Był też zbyt zajęty, żeby zasiać do pisania. Ale nadejdzie dzień,



kiedy opracuje syntezę swoich dokonań. W tej chwili pragnął tylko szukać.

Adam wygłaszał czasem wykłady na brytyjskich i amerykańskich uniwersytetach, ale więcej zaproszeń odrzucał, niż przyjmował. Jego arystokratyczna, charyzmatyczna prezencja oraz umiejętność fascynującego wykładania przyczyniały się do tego, że uważano go za autorytet w kilku dziedzinach. Ponieważ studiował antropologię i paleontologię, zapoznał się także z biologią i teorią ewolucji. Z zainteresowaniem śledził poczynania sir Gilberta Bowlesa. Studiował również fizykę, astronomię i meteorologię i osiągnął w tych zagadnieniach wystarczającą biegłość, by mówić przekonująco o teorii wielkiego wybuchu i narodzin wszechświata. Dzięki wsparciu Scotta, który specjalizował się na Uniwersytecie Colorado w geologii, miał także wiedzę z zakresu formacji geologicznych, jakie

pojawiwały się na przestrzeni dziejów Ziemi.

Prestiż, jakim się cieszył, i wiedza, jaką zdobył, bez trudu zapewniłyby mu katedrę na każdym uniwersytecie. Gdyby miał taką ambicję, wiele zespołów teoretycznych i poszukiwawczych, a także niejeden europejski rząd, chętnie wypłacałoby mu sześciocyfrową pensję w funtach szterlingach, żeby tylko mieć go za konsultanta.

Zdarzało się, że opracowywał ekspertyzy i otrzymywał za nie całkiem przyzwoite wynagrodzenie — jednak o wiele za mało, żeby zorganizować własną ekspedycję i wyruszyć na naukową przygodę. Jego wyprawy — poza Araratem — były finansowane przeważnie przez prywatnych darczyńców. Swoboda działania miała dla niego większe znaczenie niż fortuna. Nie zniósłby wędzidła czyjejś kontroli. Jeśliby któregoś dnia nie mógł zdobyć funduszy na projekt, który pieścił w sercu, zastanowiłby się nad innymi rozwiązaniami. Miał jednak nadzieję, że nigdy do czegoś takiego nie dojdzie. W tej chwili czuł się szczęśliwy i zadowolony z tego, co ofiarowało mu życie.

Co więcej, że lord Montreux uważany był za jednego z najbogatszych ludzi w Anglii, a Candace to jego jedyne dziecko. Adam trzymał się żelaznych zasad i nigdy nie ożeniłby się dla pieniędzy. Nie mógł jednak lekceważyć faktu, że zięć lorda Montreux nie będzie musiał szukać pieniędzy, kiedy zechce zorganizować wyprawę.

Naukowe zainteresowania Adama zogniskowały się stopniowo: pragnął z całego serca dotrzeć do początków historii człowieka, dokonać syntezy całej zdobytej przez uczonych wiedzy i opracować jednolitą teorię w tym zakresie. Miał nadzieję, że uda mu się zspolic w swej teorii historię, archeologię, geologię, antropologię i paleontologię, podobnie jak Einstein zespolił teorie światła, masy i energii.

Marzył, że znajdzie tę prawdę o istnieniu człowieka, która wymykała się jego poprzednikom, że odkryje, zrozumie i wydobędzie na światło dnia dotąd nie znane fakty. I być może, kiedy będzie już miał za sobą takie odkrycia, usiądzie i napisze wspólną kronikę

początków ziemi, a ludzkość postawi to dzieło na równi z teorią Einsteina.

Dla Adama najdawniejsze dzieje to jeden procent udokumentowanych faktów i dziewięćdziesiąt dziewięć procent luk. Jego marzeniem było zmienić ten stan i opracować obszerną teorię, która umieściłaby jego znaleziska w szerokiej perspektywie historycznej.

Na razie jednak paleontologiczne równanie $E = mc^2$ wymykało się Adamowi Livingstone'owi.

Zawsze gotów był opowiadać każdemu, kto chciał go słuchać, o jakiejś nowej teorii czy nowym pomysłe, stąd niektórzy widzieli w nim człowieka renesansu, kogoś w rodzaju Leonarda da Vinci czy Einsteina.

Jego tylko to śmieszyło.

4.

Godzinę czy dwie później Adam wracał z pełnej rozmyślań przechadzki i zaszedł do ogrodu na tyłach domu. Z balkonu gabinetu zawołała go Crystal.

— Adam, twoja matka przy telefonie.

Adam uśmiechnął się, machnął w odpowiedzi ręką i ruszył truchtem przez trawnik. Odebrał telefon w jadalni.

— Nie wiedziałem, mam, że jesteś w kraju!

— Przyleciałam dwa dni temu — odparła matka.

— Gdzie jesteś? W Londynie?

— Dzwonię z Birmingham, od lady Percival. Właśnie wróciliśmy z Alaski. Zaprosiła mnie na parę dni do siebie.

— Kiedy wracasz do siebie? Pojadę i przywiozę cię na miejsce.

— Nie zrobisz tego, Adamie. Zatelefonuję, kiedy tam dotrę.

— Może przyjedziesz na kilka dni tutaj? Pani Graves bardzo by się ucieszyła. Podobnie jak my wszyscy.

— Doskonale czuję się w swoim miejskim mieszkaniu. Zmieniłeś Sevenoaks w cyrk. Nic tam po mnie.

- Co masz na myśli? — roześmiał się Adam.
- Te twoje popisy. To właśnie! Na Boga, nie jesteś ptakiem! Kiedy wróciłeś, przebywałyśmy akurat w Vancouver. Było cię pełno w telewizji. Gdziekolwiek poszłam, kiedy tylko podawałam swoje nazwisko, pytali, czy cię znam. Musiałam się przyznawać, że jestem twoją matką, chociaż paliłam się ze wstydu. Co za wrzawa! Można by pomyśleć, że jesteś amerykańskim gwiazdorem!
- Adam roześmiał się z wyraźnym zadowoleniem.
- Czy to naprawdę takie kłopotliwe być moją matką?
- Jakoś się przyzwyczyłam. Ale co powiedziała by twój ojciec? Zawsze był taki dystygowany.
- Chyba nie powinnaś się skarżyć. Skąd twoim zdaniem wzięło się moje awanturnicze usposobienie? Więcej włączysz się po świecie niż ja! Wcale bym się nie zdziwił, mamó, gdybym dowiedział się, że skaczesz ze spadochronem albo latasz na paralotni. Mnie nigdy nie zaniósł na Matterhorn.
- Rozmawiałam z panią Ludgate o tym, że warto by spróbować skoku na linie.
- No tak! Sama widzisz! Oto Frances Livingstone, łowczyni przygód — zachichotał Adam. — Ale powiedz, mamó — ciągnął poważniejszym tonem — jak się miewasz? Jak było na Alasce?
- Przepysznie!... Niewiarygodnie!
- Musisz mi opowiedzieć. Przyjedź któregoś dnia na kolację, kiedy wrócisz już do Londynu.
- Będę bardzo zajęta, Adamie.
- Może więc na śniadanie.
- Prowadzę zbórkę odzieży i muszę pracować dzień i noc. Z pewnością ci o tym mówiłam.
- Mamó, nie widzieliśmy się kilka miesięcy!
- Za trzy tygodnie płyniemy do Indii statkiem wypełnionym po brzegi odzieżą i artykułami codziennego użytku, jak tylko dojdę do siebie po podróży, będę musiała się tym zająć.
- To cena, jaką się płaci za działalność charytatywną.
- Ludzie doprowadzają mnie czasem do rozpacz! Czy wiesz, że ta głupia lady Bathman podarowała nam etolę z cekinami? Dla dzieci z Kalkuty!

Adam znowu nie mógł powstrzymać się od śmiechu, choć jego matka najwyraźniej nie widziała w tym nic wesołego.

— Jak długo tam będziesz? — spytał.

— Nie wiem. Tydzień, może dwa.

— Wrócisz więc na Boże Narodzenie?

— Umówiłam się na małą wycieczkę w góry. Mamy zatrzymać się w niezwykłych miejscach: w klasztorach na granicy między Nepalem i Tybetem.

— Nie wiedziałem, że interesujesz się życiem religijnym.

— Bo nie. Od pogrzebu twojego ojca, to jest od osiemnastu lat, moja noga nie stanęła w kościele. Ale ci mnisi mają wielkie wpływy. Spodziewam się, że pomogą nam w pracy w indyjskich sierocińcach.

— Jeśli ktoś potrafi pozyskać sobie ich współpracę, to tylko ty, mamó.

— Widziałeś się z Clarestą? — spytała pani Livingstone.

— Nie. Nie mam pojęcia, co u niej. Nadal jest w Niemczech?

— Od trzech lat nie mam żadnej wiadomości od twojej siostry.

— W głosie pani Livingstone zabrzmiała bolesna nutka. — Miałam nadzieję, że skontaktowała się z tobą.

— Przykro mi, mamó. Wiem tyle co ty. Zrobiłbym wszystko, mamó... co tylko w mojej mocy.

— Jestem pewna, Adamie.

Na chwilę zapadło milczenie.

— Słyszałam, że wybierasz się do Afryki? — spytała pani Livingstone, wracając do poprzedniego beztroskiego tonu.

— Chciałbym sprawdzić pewne hipotezy, które rozważałem dotąd teoretycznie.

— Daj pokój, Adam. Nie jestem dziennikarką, nie musisz opowiadać mi koszałków opałków.

— A powinnaś być dziennikarką, mamó — uśmiechnął się Adam.

— My nie podajemy wiadomości, my je tworzymy. Czy nie tak mówił twój ojciec?

— Mniej więcej.
— O co więc chodzi?
— Powiedziałem ci o mojej teorii. Nadszedł czas, by przyjrzeć się jej dokładniej.

— Dla mnie to nuda, flaki z olejem. Powinieneś skierować swoją energię na coś, co przyniesie korzyść ludzkości. Ale z tego grzebania w ziemi nie ma żadnego pożytku.

— A wzbogacanie wiedzy?

— Nie brak na świecie pustych brzuchów, które trzeba zapełnić. Wiedza jest w tej sprawie bezużyteczna.

— Wiedza pomaga produkować żywność, mamó.

— Archeologiczna? Śmiem wątpić. Nie zamierzam jednak krytykować zawodu, który sobie obrałeś, aczkolwiek uważam, że to czysta strata czasu. Muszę jednak kończyć. Lady Percival zaprasza mnie na herbatę.

— Przekaż jej, proszę, ukłony ode mnie. A co powiesz na śniadanie albo przynajmniej herbatę w mieście?

— Dam ci znać, jak wrócę. Obiecuję, że spotkamy się jeszcze przed moim wyjazdem do Indii. Uważaj na siebie, Adamie.

— Ty też, mamó.

Adam uśmiechnął się, odłożył słuchawkę i westchnął głęboko.

Jego matka to istne tornado. Od śmierci ojca ani na chwilę nie przystanęła, żeby wytchnąć. Często powtarzała, że wkroczyła w trzeci etap życia. W pierwszym żyła tylko dla siebie. W drugim — dla rodziny. Teraz żyje dla wszystkich ludzi. Adam zaczął się zastanawiać, czy będzie jakiś czwarty etap.

Rozmyślając o rozmowie z matką, poszedł na górę do swojego gabinetu.

5.

Juliet Halsay przeszła korytarzem i zastukała do drzwi pokoju gospodarczego.

— Chciałaś mnie widzieć, ciociu? — spytała wchodząc.

136

— Tak, kochanie — odparła pani Graves, podnosząc wzrok.
— Czy mogłabyś zanieść te wyprasowane rzeczy na drugie piętro?

— Do komody w dużym składziku?

Pani Graves skinęła głową. Nałożyła na ręce Juliet tyle, ile dziewczyna mogła bez trudu unieść. Juliet odwróciła się, żeby wyjść.

Pani Graves patrzyła za nią. Wygląda trochę lepiej — pomyślała. Starła się, żeby jej siostrzenica była stale czymś zajęta. Ale Juliet nadal chodziła w dwóch swetrach — nawet w najcieplejsze dni. I nadal tarła dłonie. Pani Graves zaczęła powątpiewać w dobroczynne skutki psychoterapii.

Wchodząc do zachodniego skrzydła i kierując się ku schodom, Juliet musiała przejść obok pokoju administracyjnego i sekretariatu, gdzie Adam i jego stały zespół współpracowników zbierali się, by w swobodnej atmosferze porozmawiać o pracy, którą zakończyli, i tej, która czeka ich w najbliższej przyszłości.

Drzwi były uchylone. Przechodząc Juliet usłyszała dochodzące ze środka głosy. Wspięła się na drugie piętro i ułożyła wyprasowane rzeczy w komodzie.

Kiedy schodziła dwie albo trzy minuty później, głosy w biurze rozbrzmiewały donośniej. Juliet chcąc, nie chcąc podchwyciła kilka wątków rozmowy.

— ... Nic nie da się zrobić przed latem... Ararat przykryło z pół kilometra śniegu!... — powiedział Scott Jordan.

— ... Na razie ta przygoda jest dla nas zamknięta.

— ... Do letnich roztopów?

— ... Nic nie powstrzyma mnie od wyprawy na tę górę, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila!

Głos zabrała któraś z kobiet, ale Juliet nie mogła wyłowić słów.

Po chwili korytarzem poniósł się głos Adama:

— ... Upewnij się, że kiedy my będziemy w Afryce, przygotowania na następny rok nie zostaną przerwane.

— Figg i ludzie z kartelu przypilnują wszystkiego.

Juliet zwolniła kroku. Była tak zafascynowana tym, co słyszała, że nieświadomie zatrzymała się i usiadła na schodku.

— ... Chcę wreszcie sprawdzić, czy moja teoria pęknięcia ma ręce i nogi.

— Kiedy wyjazd? — spytała podekscytowana Jen.

— Zdążymy w ciągu miesiąca?

— Naprawdę sądzisz, że tam jest? — odezwał się głos Crystal.

— Skąd mam wiedzieć? — roześmiał się Adam. — Dręcząca myśl... dawna flora, nie tylko fauna... pierwsze relikty ludzkości... muszę znaleźć brakujące fragmenty układanki...

— Dlaczego nie weźmiemy Bowlesa?

— Tego tylko brakowało!

Obecni wybuchnęli śmiechem.

— Jego zainteresowanie Księżą Rodzaju jest tego rodzaju, że myśli tylko o tym, żeby zdemaskować mnie jako wariata.

— ... Zna lepiej niż ktokolwiek krater Ngorongoro i wąż Oldoway...

— Masz rację, Crystal... dobrze byłoby mieć jego ekspertyzę.

— ... Nie mogę mu zaufać — oznajmiła asystentka Adama.

— Jestem takiego zdania jak Jen — dodał Jordan.

— Zawdzięczamy mu znaczną część osiągnięć od czasu odkrycia Lucy — ozwał się znowu głos Adama. — Ale Eden?... Roześmiałby się na sam dźwięk tego słowa.

— Są przecież inni — powiedziała sekretarka. — ... Cały świat naukowy wpadnie w furję, kiedy dowie się, czego szukamy w Afryce.

— ... Mówią, co chcą. Zresztą, Scott, nikt się o niczym nie dowie, póki nie będziemy mieli stuprocentowych dowodów... Nie chcę, żeby słowo „Eden” padło choć raz poza tymi czterema ścianami... Czy to jasne?

Znowu zapadło na chwilę milczenie.

— ... Nikomu ani słowa! Cel naszej wyprawy musi pozostać tajemnicą... Słyszysz, Erin? — dodał Livingstone. — Ten twój chłopak za bardzo lubi wtykać nos w cudze sprawy. Kiedy tylko mnie widzi, nęka pytaniami... Gdybym nie wiedział, kim jest, pomyślałbym, że przysłała go jakaś gazeta.

Juliet usłyszała, jak Erin roześmiała się i odpowiedziała:

— ... Zna na wylot komputery....

Jakie to wszystko ciekawe. Juliet najchętniej stanęłaby pod drzwiami, żeby nie uронić ani słowa.

Dalszego ciągu rozmowy nie słyszała. Po jakimś czasie odezwał się znowu Livingstone:

— ... Model komputerowy...

— ... Jeszcze wymaga udoskonaleń — odparła Crystal.

— ... Chyba jestem już blisko tego, czego ode mnie oczekujesz.

— Nie rezygnuj... podstawowe dla całej teorii... Klimat... dramatycznie zmieniał się w ciągu stuleci... Sami wiecie, syndrom Sahary... Nigdy nie było dokładnej lokalizacji, ale i tak wskazanie związku byłoby niewiarygodnym osiągnięciem.

— Crystal... sfinalizuj plany z naszymi ludźmi w Afryce... musimy złapać doktora Cissnę... w kontakcie ze Scottem w Oldoway.

Nagle Juliet usłyszała odgłos odsuwanych krzeseł, wszyscy zaczęli wstawać. Uświadomiła sobie, co robi. Zerwała się na równe nogi i z bijącym sercem bezszelestnie pobiegła na dół, a potem do wschodniego skrzydła, po następny ładunek wyprasowanej białizny.

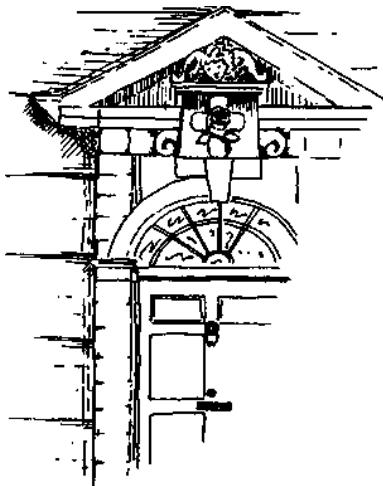
6.

Adam Livingstone od pół roku nie widział lorda Harrimana Montreux, jeśli nie liczyć uścisku dłoni i paru zdawkowych słów, które wymienili podczas garden party.

Pokonując swoim ciemnozielonym mercedesem kabrioletem ostatnie dwieście metrów krętego szerokiego podjazdu do posiadłości lorda Montreux w Swanspond, przypominał sobie poprzednią wizytę. Po oficjalnej kolacji rozmawiali w cztery oczy przy brandy napoleon.

Adam wyszedł wtedy ze świadomością, że ojciec Candace po raz pierwszy patrzył na niego jak na potencjalnego zięcia.

Wspomnienie rozbawiło go. Uśmiechał się, kiedy przypominał sobie pytania, które zadawał mu lord Montreux — jak z formularza dla kandydatów do pracy w firmie. Zastanawiał się, czy podczas dzisiejszego obiadu nastąpi dalszy ciąg tych dociekań. Temat małżeństwa wypłynął oczywiście w rozmowie z Candace, gdyż była to nowoczesna młoda dama, która wiedziała dobrze, czego chce, i nie bała się po to sięgać. Dotychczas praca Adama uniemożliwiała poważne rozważenie tego rodzaju posunięcia. Nie da się jednak zwlekać bez końca z decyzją.



Szedł w stronę domu, przyglądając się zagadkowemu wzorowi wyrytemu w kamieniu nadproża. Zadzwoił do drzwi. Chwilę później na progu stanął lokaj, smukły, siwiejący mężczyzna, który wyglądał, jakby musiał bezustannie zmagać się ze sobą, żeby nie zasnąć na stojąco.

— Panna Montreux jest w ogrodzie, proszę pana — wyjaśnił sennie. — Prosiła, bym tam pana skierował.

— Doskonale, Phelps. Znajdę ją.

Phelps, który poczuł najwyraźniej ulgę, gdyż oszczędzono mu długiej wędrówki do tylnego wejścia, wycofał się w kierunku swojej kwatery. Adam uśmiechnął się sam do siebie i szerokim korytarzem przeszedł przez środek ogromnego domu.

Po jakimś czasie dotarł do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących na otoczony wysokim ogrodzeniem wypielęgnowany trawnik, który otwierał się na tradycyjnie zaprojektowany ogród pełen kwiatów i niskopiennych krzewów. Córka lorda Montreux czekała na

Adama, stojąc pośrodku trawnika. Szaro-fioletowa jedwabna suknia w kwiaty podkreślała — zgodnie z intencjami Candace — kształty ciała. W rękach trzymała wielki żółty kapelusz przeciwśłoneczny.

Kiedy usłyszała dochodzący zza pleców odgłos otwierania drzwi, obróciła się, podeszła do gościa i obdarzyła go zniewalającym uśmiechem. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Adam odwzajemnił uścisk. Bez nadmiernej skwapliwości. Stali tak chwilę w milczeniu. Potem wsunęła rękę pod jego ramię i wolnym krokiem poprowadziła przyszłego narzeczonego w stronę ogrodu.

— Cieszę się, że przyszedłeś — szepnęła.

— Czy choć raz odrzuciłem zaproszenie na lunch?

— Zastanawiam się tylko, jak byś postąpił, gdyby w zaproszeniu nie przewidziano lunchu.

Livingstone roześmiał się.

— Prawie cię nie widuję, Adamie.

— To przez tę arkę — odparł, udając, że jest zmartwiony. — Ni z tego, ni z owego wypełniła mi całe życie. Zdajesz sobie sprawę? W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeżyłem dziesięć wywiadów. To stanowczo podkopuje siły. Pozostało niewiele czasu na pracę laboratoryjną, no i na to, żeby usiąść i uporządkować notatki.

— Chyba mimo to mógłbyś znaleźć chwilę dla biednej małej istoty.

— Znajdę, obiecuję. Już teraz rozkład dnia mam odrobinę mniej napięty.

— A potem wyjedziesz nie wiadomo dokąd! Dowiedziałam się z gazet, że wkrótce wylatujesz do Afryki.

— Niestety. Takie jest życie archeologa.

— Doprawdy, Adamie. Czy muszę dowiadywać się o tym z prasy?

— Archeolog jedzie tam, gdzie jest praca. Nie ma innego wyjścia.

— Nie wiem, czy potrafię być żoną uczonego — powiedziała Candace z miną, jakby pierwszy raz o czymś takim słyszała.

— Nie wiedziałem, że w ogóle bierzesz tego rodzaju możliwość pod uwagę.

— Och, Adamie, przestań ze mną igrać! — Odsunęła się i żartobliwie poklepała go po plecach.

— Miałbym igrać z tobą, Candace? Czy mogłoby mi przyjść do głowy coś równie niebezpiecznego? Nie chciałbym mieć wroga w takiej kobiecie jak ty.

Spojrzała mu prosto w oczy, a potem uniosła brew i uśmiechnęła się złośliwie. Jej wyraz twarzy był potwierdzeniem każdego słowa i oboje o tym wiedzieli. Była nie tylko kobietą piękną, ale także zdecydowaną; Adam Livingstone napotkał w niej osobowość dorównującą mu charyzmą, może nawet kogoś, kto go pod tym względem przewyższał.

Spacerowali jeszcze przez chwilę, rozmawiając o błahostkach, ale Candace robiła co mogła, by jak najściślej omotać swoim urokiem Adama, tę zdobycz, której za nic w świecie nie chciała utracić.

7.

Usłyszeli dźwięk gongu, oznajmujący, że podano do stołu, zawrócili więc w stronę domu.

Lord i lady Montreux oczekiwali ich na oszklonym tarasie przy południowej ścianie budynku.

— Cieszę się, Adamie, że znowu cię widzę — powiedziała lady Montreux, wysoka i przystojna kobieta o pełnych godności ruchach. Siwiejące włosy nadawały jej raczej wygląd królowej niż osoby posuniętej w latach.

Adam uściśnął ją lekko, a potem wymienił uścisk dłoni z ojcem Candace, mężczyzną niższym prawie dziesięć centymetrów od swojej małżonki. Jego korpus rozbudowywał się proporcjonalnie do sukcesów finansowych. Głowa straciła niemal tyle z bujnej niegdyś czupryny, ile brzuch zyskał objętości.

— Lordzie Montreux, wygląda pan jak zwykle wyśmienicie — powiedział Adam.

— Jesteś, młodzieńcze, straszliwym łgarzem. Czuję się dzisiaj marnie. Diabelnie marnie.

— Przykro mi to słyszeć.

Cała czwórka zasiadła do stołu.

Służąca postawiła przed nimi talerze. Przystąpili do skubania lekkiej ryby z sałatą, podanej z odrobinę schłodzonym chardonnay z doliny Mozeli.

— Od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatnio, zyskałeś ogromną sławę — powiedziała lady Montreux.

— Skoro tak pani mówi, lady Montreux... — roześmiał się Adam. — Nie czuję, żeby mnie to jakoś odmieniło choć przyznaję, że coraz trudniej mi uciec przed prasą.

— Jakie masz plany na najbliższą przyszłość, Livingstone? — spytał lord Montreux.

To pytanie mogło mieć wiele warstw znaczeniowych. Candace znowu uniosła brew i z miną wyrażającą jej jednoznaczne zrozumienie, spojrzała na gościa.

— Prawdę mówiąc, lordzie Montreux, miałem nadzieję, że moja wizyta będzie odpowiednią okazją, żeby porozmawiać o mojej przyszłości. Ale Candace — dodał po krótkiej pauzie — powiedziała, że wątpi, by nadawała się na żonę naukowca, chyba więc nic z tego.

— Och, Adamie! — wykrzyknęła żartobliwym tonem Candace. — Niczego takiego nie powiedziałam!

— Powtórzyłem dokładnie twoje słowa — zapewnił Adam i obrócił się do niej, udając, że jest zaskoczony.

— Ale wcale nie miałam tego na myśli!

— Aha!... — Skinął głową, jakby w końcu dotarło do niego, co oznaczała tamta rozmowa. — Widzi pan lordzie, skąd się bierze moja niepewność. Kiedy zastanawiam się nad swoją przyszłością i mam przed oczyma piękną twarz pańskiej córki, mąci mi się w głowie.

— Adam! Jesteś nieznośny! — wykrzyknęła Candace.

Spojrzał na nią ponad stołem. W kącikach ust pojawił się wreszcie ten jego zniewalający uśmiech.

— Mówiąc serio, lordzie Montreux — ciągnął, zwracając się znów do ojca Candace — jak pan wie, moja praca jest bardzo absorbująca i związana z podróżami po całym świecie. W lecie czekają nas oczywiście rozległe prace na Araracie, bo chcemy usunąć jak największą pokrywę lodową. Do tego czasu zajmiemy się projektowaniem i sporządzaniem odpowiednich narzędzi. Mamy nadzieję,

że uda się nam wydobyć całą arkę. W ciągu najbliższego roku sporo czasu spędzę poza Londynem, przeważnie w Afryce, z którą wiąże moje plany naukowe. Wylatuję za dwa tygodnie. Sądzę więc, że w takich okolicznościach mocniejsze wiązanie się z kimś byłoby rzeczą przedwczesną i niestosowną.

Lord Montreux uniósł prawie niedostrzegalnie brwi. — Uwzględniając to wszystko — ciągnął Adam — mam nadzieję, że kiedy zmniejszy się natężenie bieżących prac, a nastąpi to zapewne późną jesienią przyszłego roku, będę mógł odpowiedzialnie zająć się moim życiem osobistym.

Candace uśmiechnęła się w myślach. To właśnie pragnęła usłyszeć. Wreszcie udało się, wreszcie jej cierpliwość zostanie nagrodzona.

Gdzieś w głębi domu rozległ się dzwonek telefonu. Po chwili pojawił się Phelps z aparatem bezprzewodowym.

— Proszę mi wybaczyć, lordzie. To Eric Frome.

— Frome! Ostatni człowiek, z którym chciałbym rozmawiać! Powiedz mu, Phelps, że jestem zajęty.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział lokaj — ale myślałem, że w tych okolicznościach zechce pan odebrać telefon.

— O jakich okolicznościach, do diabła, mówisz?

— Chyba powinien pan usłyszeć to od niego.

Lord Montreux z irytacją wziął telefon do ręki.

— Co tam, Frome? Właśnie siedzę przy stole i...

Zamilkł. Słuchał przez chwilę z wielką uwagą i wyraz jego twarzy szybko się zmienił. Nikt nic nie mówił. Lord Montreux zwrócił twarz do swoich gości, unosząc przy tym coraz bardziej swoje czarne brwi.

— Nie, hmm... Nic o nim nie wiem. Słuchał w milczeniu rozmówcy.

— Nie... nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

Wyłączył telefon i odłożył go na stół. Wszyscy czekali, patrząc, jak lord Montreux bierze do ust spory łyk wytrawnego chardonnay.

— Musiałem skłamać, Livingstone — oznajmił, odstawiając kieliszek. — W przeciwnym razie nie wymknąłbyś się im.

— Skłamał pan?... Dlaczego?
— O co chodzi, tato? — spytała Candace.
— Zdaje się, że nasz miły pan Livingstone znowu trafił na pierwsze strony gazet.

Adam patrzył z osłupieniem na ojca Candace.

— To Frome z „Daily Mail”.

— Prawdziwy pies gończy — powiedział nieco cynicznie Adam. — Parę razy miałem już z nim do czynienia.

— W wydaniu popołudniowym poświęcili Adamowi artykuł na pierwszej stronie — ciągnął ojciec Candace.

— Wywęszyli, czym się będziesz zajmował w Afryce. — Lord Montreux ani na chwilę nie spuszczał badawczego spojrzenia z Adama. Miał więcej powodów, niż przyznawał, żeby zainteresować się rozwojem sytuacji. — Wie, że jesz ze mną lunch, i zadzwonił z prośbą, żeby poprosić mnie o komentarz. Słyszałeś: powiedziałem mu, że nie mam nic do powiedzenia.

Adam uniósł się już na krześle.

— Czy pozwoli pan, lordzie? — spytał, patrząc na ojca Candace.

— Oczywiście, ale...

— Bardzo dziękuję za zaproszenie. Ryba była wspaniała, ale muszę coś zrobić, żeby im przeszkodzić. Zadzwonię, Candace.

Po chwili zniknął za rogiem domu i ruszył biegiem.

Zaraz potem jego mercedes jechał zwirowym podjazdem. Kiedy Adam, prawie nie zwalniając, skręcił z piskiem opon na szosę, wciśnął pedał gazu i pomknął w stronę Londynu.

8.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem Frome'a.

Zanim Adam dotarł do biura „Daily Mail”, wydanie znalazło się już w kioskach, a sprzedawcy uliczni wykrzykiwali nazwisko „Livingstone”, żeby jak najszybciej sprzedać towar.

Odwracając głowę, żeby go nie poznano, kupił gazetę ze swoim okazałym portretem na pierwszej stronie. Już sam tytuł przyprawił go o mdłości. Trzeba pożegnać się z nadzieją, że nikt nie dowie się o celu ich wyprawy.

Z pewnością bardzo by się to spodobało Gilbertowi Bowlesowi. Adam Livingstone spadnie ze szczytu Araratu w otchłań śmieszności. Bowles już się o to postara. Wszyscy uznają, że ma bzika na punkcie religii i że stara się dowieść, iż Biblia mówi prawdę.

Nie czytając artykułu, ruszył pospiesznie do Sevenoaks. Miał nadzieje, że uda się mu wyprzedzić resztę londyńskiej prasy.

Nic z tego.

Przed jego domem stało mnóstwo samochodów osobowych, furgonetek, roilo się od ludzi z telewizji i gazet. Tym razem nie miał do dyspozycji samolotu i lotni.

Nie zdejmując dłoni z klaksonu, jechał wolno w stronę frontowej bramy, która zamknęła się przed chwilą za samochodem Erin Wagner.

- Przepuście mnie... proszę... odsuńcie się!
- Pan Livingstone!... Pan Livingstone!
- Nie mam nic do powiedzenia... proszę mnie przepuścić!
- Tylko kilka pytań!
- Żadnych wywiadów!

Ze wszystkich stron posypały się pytania.

- Czy to prawda, że wie pan, gdzie był Eden?
- Co!?! — Adam obrócił się w stronę dziennikarza, który zadał to pytanie. — Skąd przyszło to panu do głowy?
- „Daily Mail” przytacza pańskie słowa.
- Bzdura. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.
- Zaprzecza więc pan, że to właśnie jest celem wyprawy do Afryki?
- Niczemu nie zaprzeczam, niczego nie potwierdzam.
- Proszę tylko powiedzieć, czy dysponuje pan jakimiś wskazówkami dotyczącymi położenia ogrodu rajskiego?
- Nie mam nic do dodania.

Adam zdołał jakoś otworzyć bramę. Powoli wjeżdżał na teren posiadłości. Gdy tylko brama zamknęła się za nim, doszedł zza niej zgiełk głosów. Podjechał pod dom, wyskoczył z samochodu i wbiegł do środka z gazetą w rękę.

Przeskakując po dwa stopnie, popędził na górę i prawie depcząc Erin po piętach, wpadł do biura. Jedno szybkie spojrzenie na twarze współpracowników powiedziało mu, że wiedzą już, co się stało.

Rzucił gazetę na jedno z biur. Wielkie litery nagłówka obwieszczały: „Livingstone odkrywca ogrodu rajskiego!” Adam był wściekły, nikt nie miał co do tego wątpliwości.

— Wierz mi, Adamie, jesteśmy tak samo wściekli jak ty — powiedział Scott. — Wałkowaliśmy to przez ostatnią godzinę, starając się dojść, gdzie nastąpił przeciek. Nikt z nas nie pisał nikomu ani słowa.

— Skąd więc Frome wziął materiał?

Adam opadł na krzesło i wziął niechętnie gazetę do ręki, żeby zapoznać się szczegółowo z treścią.

— Patrzcie! Coś takiego! — wykrzyknął z niedowierzaniem. — Wiedzieli, co każdy z nas powiedział. Nawet ja! Choć wiem, że z nikim nie rozmawiałem! — Spojrzał na laborantkę, która nie usiadła jeszcze i zajęta była czytaniem artykułu. — Erin, czy jesteś całkowicie pewna, że...

— Od tygodnia nie widziałam się z Dexterem — zapewniła pospiesznie. — I nigdy nie rozmawiałam z nim o pracy. Przysięgam!

— Wypytywał cię?

— Właściwie nie. Zawsze najbardziej interesowało go to, jakiego programu komputerowego używasz, i to wszystko. Jest zakochany w komputerach, ale z pewnością nie w archeologii.

— „Trzeba odnaleźć pierwsze relikty ludzkości... — zaczął czytać. — ... Cały świat naukowy wpadnie w furję, kiedy dowie się, że mamy niepodważalne dowody, które pozwolą wskazać lokalizację ogrodu rajskiego. Skąd to mają? Przecież to cytaty!

— Ale niedokładne! — powiedziała Jen. Przez obcy akcent przebiegał jej gniew.

— Czy kiedykolwiek powstrzymało to prasę? — spytał Scott.
— Wygląda na to, że tutejsi dziennikarze są jeszcze gorsi niż amerykańscy. A to z pewnością nie lada osiągnięcie!

— Najbardziej martwi mnie to, że są tak blisko — powiedział Adam. — Bez wątpienia wokół tych właśnie spraw toczyła się nasza rozmowa, chociaż Frome wszystko trochę przekreślił. Wiedzą nawet, gdzie założymy bazę. Niesamowite! Te wściekłe psy zjawiają się tam przed nami!

— To tak, jakby ktoś nas przez cały czas podsłuchiwał — rzekła Crystal.

Przygnębiony Adam westchnął ciężko i odłożył gazetę. Nie chciał czytać dalej. Nic już nie naprawi szkód, jakie ponieśli.

— Co zrobimy? — spytał po jakimś czasie Scott.

— Nie widzę innego wyjścia, jak robić swoje i przeczekać burzę. Możemy mieć tylko nadzieję, że prasa nie przeszkodzi nam w pracy.

— A gdyby tak przesunąć prace na późniejszy termin?

— Przygotowania są zbyt zaawansowane. Wszystko toczy się swoim torem. A zresztą... Nie pozwolę, żeby niedokładne i niewczesne artykuły prasowe dyktowały nam, co mamy robić. Nie, będziemy realizować nasze plany.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

NOWA WIZJA

1.

Miesiące, które minęły po odkryciu na Araracie, były dla Adama Livingstone'a okresem trosk i kłopotów. Nie przywykł do rozwikływania tajemniczych spraw. Jego umysł radził sobie sprawnie ze złożonymi kwestiami intelektualnymi: im rozwiązanie mniej prawdopodobne, tym lepsze.

Ta sytuacja była jednak całkowicie odmienna. Ni z tego, ni z owego znalazł się w samym środku duchowej i emocjonalnej zawieruchy. Patrzył badawczo przez mikroskop na człowieka o nazwisku Adam Livingstone, zamiast roztrząsać jakąś abstrakcyjną teorię.

Amerikanina, który ostrzegł go przez telefon o wiszącym niebezpieczeństwie, z pewnością natchnął duch proroczy, kiedy twierdził, że Ararat wszystko odmieni. Nie można już ignorować tego, co Kelley mówił o konsekwencjach odkrycia.

Co oznacza arka?... Czy Bóg naprawdę przemówił do Noego?

Z tych pytań biorą się wszystkie inne. A tuż za nimi kryje się bardzo osobista kwestia: Skoro on sam nie wierzy, czemu szukał arki Noego i rajskiego ogrodu? Nagle utracił pewność i jasne rozeznanie własnych motywów.

Z drugiej strony, jeśli jednak wierzy...

To... co?

Nie wiedział nawet, jak dokończyć to pytanie. Co jest po drugiej stronie bariery oddzielającej wiarę od niewiary?

Wszystko szło mu w życiu jak z płatka, póki nie postawił stopy na arce. Dlaczego to wydarzenie do tego stopnia skomplikowało jego życie? I znowu pojawiło się pytanie: Skąd wzięło się zainteresowanie czymś, w co być może nawet nie wierzył? Co skłoniło go do szukania faktów ukrytych w mitach?

Może powinien dać temu spokój? Zapomnieć o ogrodzie rajskim? Przecież dziewięćdziesięciu pięciu ludzi na stu parsknęłoby śmiechem na samą wzmiankę o możliwości istnienia rajskiego ogrodu. Skoro sam nie wierzył, jaki przemożny i narzucający swe prawa impuls każe mu myśleć, że takie miejsce istnieje? Równie dobrze mógłby oświadczyć, że udaje się na wyprawę archeologiczną do Kansas, żeby odnaleźć krainę Oz! Sama koncepcja Edenu jest tak niewiarygodna, że nie sposób brać jej poważnie.

Niewiarygodna?

Jeśli nie ma nad czym łamać sobie głowy, dlaczego ta sprawa zawsze go tak fascynowała — i to wcale nie jako mit, ale jako potencjalna rzeczywistość? Nie mógł się od niej uwolnić.

Czy może w takim razie powiedzieć, że wierzy w Eden?

Nie, tak daleko nie powinien się posunąć. Jeszcze nie. Poczł zamęt w głowie. Wiara... przekonanie... Nigdy się nad tym zbyt poważnie nie zastanawiał. I nagle to właśnie nabrało dla niego ogromnego znaczenia.

Wielu archeologów podchodziło do swojego zawodu jak Gilbert Bowles: przeciwstawiali naukę wierze, przyjmując tym samym postawę agnostyczną w kwestiach nadprzyrodzonych. Większość jego kolegów wybrała jako religię ateizm, a w najlepszym razie agnostycyzm.

On sam jednak nie widział w wierze niczego absurdalnego z racjonalistycznego punktu widzenia. Jeśliby się okazało, że Biblia zawiera prawdę, wygłaszanie tyrad i złorzeczenie byłoby czymś po

prostu śmiesznym. Liczy się tylko prawda. Nie można najpierw przyjmować określonych wniosków, a potem mówić o poważnym dążeniu do prawdy.

Tydzień temu gotów był zrezygnować z afrykańskiej wyprawy. Byłoby intelektualną nieuczciwością — rozmyślał — szukać czegoś, w co się nie wierzy.

W ciągu tego tygodnia złagodził jednak swój sąd. Może poszukiwania wskażą jakiś trop wiodący do prawdy? Czyż nie jest to dostateczne uzasadnienie badań?

No dobrze — powiedział sobie — nie rozumiem wszystkiego... nie znam odpowiedzi na każde pytanie wynikające z mojej niewiedzy albo padające z ust tego czy innego dziennikarza. Dlaczego jednak miałyby to zatrzymać mnie w marszu?

I będzie szedł ciągle do przodu, zachowując naukową i duchową prawość. Jeśli ma być uczciwy względem samego siebie, musi zbadać wszystkie możliwości. Będzie dążył do zrozumienia i prawdy w obu tych zakresach jednocześnie, a co to przyniesie, pokaże życie.

Nie bał się przyznać, że pewnych rzeczy nie wie. Nadal będzie wytrwale zadawał pytania i nadal szukał odpowiedzi.

A zresztą czeka go fascynująca wyprawa. Z zapałem przystąpi do poszukiwań w obu tych dziedzinach. Czemu poszukiwania w zakresie ducha miałyby się okazać mniej ambitne i ekscytujące niż naukowe?

To, co jest przed nim, sprawi mu nie mniejszą przyjemność niż jego dawne, czysto naukowe przedsięwzięcia.

2.

Angielski archeolog nie był jedynym człowiekiem, którego rozłożył artykuł Frome'a w „Daily Mail”. Inni mogli stracić tyle samo na tym, co dziennikarz ujawnił ... może nawet więcej.

W Radzie Dwunastu istniały rozmaite powiązania. Okoliczności sprawiały, że dwóch, trzech czy czterech członków jednoczyły siły, żeby udoskonalić któryś z elementów globalnej strategii, przy czym

każdy z nich wracał do swoich obowiązków związanych z wypełnianiem Powszechnej Woli — tak jak jemu i pozostałym nakazano.

Dwaj mężczyźni, których łączyły wielopokoleniowe więzi rodzinne, znali się od dawna. Swój zamysł opracowywali od blisko dziesięciu lat. I oto teraz sytuacja stała się nagłą, a realizacja zamysłu — koniecznością.

Jeden z nich pochodził z rodziny Mayerów, którzy pod koniec osiemnastego wieku przenieśli z Kontynentu na grunt angielski starodawny Zakon Różokrzyżowców. Ta gałąź rodu, z której on się wywodził, a której początek dała jego babka, nie nosiła już nazwiska Mayer i miało to swoją dobrą stronę, pozwalało mu bowiem zachować bezpieczną anonimowość. Ale krew Rothschilda płynęła w jego żyłach tak samo jak w żyłach każdego z potomków Czerwonej Tarczy, zapewniając wierność wiążącej wszystkich członków Stowarzyszenia przysiędze dochowania tajemnicy. Podczas posiedzeń najważniejszych osobistości zakonu nadal tytułowano go baronem, składając w ten sposób hołd austriackiemu przodkowi.

Najwyższą wiarą była tajemnica. Zakon sączył w narody, kultury i społeczeństwa okultystyczny mistycyzm, wykorzystując różne odłamy różokrzyżowców, alchemię, masonerię, perfektblisten i rycerski obrządek szkocki. Potężną niewidzialną sieć utrwał złudny mistycyzm, okrywający rzekomą mądrość zakonu. Wszystkie jego macki — przewidująco ukryte pod postaciami proroków światłości — szczególnie w ostatnich czasach stały się przydatne przy wypełnianiu Woli Mrocznego Wymiaru, głosząc brzask nowej epoki pokoju.

Chociaż jednak to wieszczanie nowych czasów było kojące i mamiące, wszystkim, co czynili, rządziła tajemnica. Ich zwodnicze posłannictwo miało swój początek w otchłani ciemności zamieszkałej przez to Wielkie Kłamstwo świata, które u stóp rajskiego drzewa wykradło rodzajowi ludzkiemu Życie.

Partner angielskiego lorda, mówiący po niemiecku mężczyzna, w którego nazwisku zachowało się wspomnienie rozbudowanej kontynentalnej gałęzi, przyleciał z Amsterdamu i godzinę temu dotarł na miejsce.

Dwaj mężczyźni siedzieli jakiś czas naprzeciwko siebie w małym mrocznym pokoju — z zamkniętymi oczami, dotykając się lekko końcami palców. Poruszali wargami i spłynęło na nich doznanie, ale nie pojawiło się żadne przesłanie z Wymiaru. Po pewnym czasie odchyłili się do tyłu na swoich krzesłach.

— Czy artykuł ma jeszcze jakieś implikacje? — spytał Holender.

— Nie. Natomiast Livingstone w sposób bardziej bezpośredni napomknął o małżeństwie.

— To dobra nowina. Musi do niego dojść bezzwłocznie.

— Obawiam się, że nie wcześniej niż za rok.

— To odległy termin, baronie. Moce robią, co mogą, żeby go od nas odciągnąć.

— Wyczułem to.

— Przez dłuższy czas śledziliśmy jego prace, szukając jakichś niepokojących znaków. Zbyt długo pracowaliśmy nad tym przymierzem, żeby się nam teraz wysliznął. A twoja córka?

— Ona też coraz bardziej się niecierpliwi.

— Musi więc użyć swojego czaru. Ty zaś przekonuj.

— Zajmę się tym.

— To człowiek wpływowy. Jeśli sprzymierzy się z Nieprzyjacielem, może zrobić wiele złego.

— Trzeba tego uniknąć. Wciągniemy go do naszego kręgu.

— Czas nagli. Wiele spraw się spiętrza wraz z nadciąganiem Brzasku. Nie dopuścimy, żeby człowiek, którego głosu cały świat tak uważnie słucha, wpadł w ręce Nieprzyjaciela.

— Będzie nasz.

— Musi być nasz albo... niczyj!

3.

Adam wstał jak zwykle wcześnie. Był rześki wczesnolistopadowy ranek. Liście opadały teraz chmarami.

Usiadł w swoim gabinecie, żeby opracować ostateczną wersję programu afrykańskiej ekspedycji. Czas już zapomnieć o całej wrzawie związanej z artykułem w „Daily Mail” i odłożyć na później swoje osobiste wątpliwości. Teraz najważniejszą rzeczą jest przygotowanie szczegółowej strategii na zimę.

Razem ze Scottem Jordanem i Jen Swaner, swoim zespołem terenowym, pracował zawsze według starannie rozpisanego harmonogramu zadań. Dzięki temu nie tracili z oczu głównego celu, a ich pomocnicy zawsze wiedzieli, co mają robić i jakie prace wyznaczyć wynajętym robotnikom. W tym zawodzie zawsze można się spodziewać, że dokona się nieoczekiwanego odkrycia. Byli więc na to przygotowani. Bez dobrze opracowanej marszruty powstaje niebezpieczeństwo sytuacji, w której prace zaczynają być prowadzone na chybił trafił albo zbacza się z wyznaczonego kierunku. Jeszcze przed południem wezwie dwóch najbliższych współpracowników. Jeszcze raz przejrzą i uporządkują plan na najbliższe trzy miesiące. Potem odda materiał Crystal, żeby wpisała wszystko w komputer. Musi też podać Erin na czas ich nieobecności kolejność i terminy badania drewnianych, skalnych i lodowych próbek. Wyniki będą potrzebne przy uzupełnianiu luk w teorii Edenu.

Obok niego leżał opasy notatnik, który zapełniał od wielu lat, ze skromnym tytułem na okładce „Wielki owal. Teoria Edenu”. Niektóre notatki wpisał do komputerowych plików. Ale dużo powstało, zanim zaczął używać komputera, tak więc były tylko tutaj, wśród jego osobistych papierów: dziesiątki odręcznie rysowanych map, kilka pospiesznych szkiców trudnych do wskazania fragmentów ziemi, setki pytań, jakie sobie stawiał, parę jego artykułów, liczne odnośniki historyczne i bibliograficzne oraz streszczenie najważniejszych odkryć archeologicznych z ubiegłych lat — od dziecka z Taung do tego, co ostatnio wydobył z ziemi sir Gilbert Bowles. Na mapie całego systemu Rowu Wschodnioafrykańskiego znalazły się wszystkie wykopaliska archeologiczne z minionych siedemdziesięciu lat.

Adama Livingstone'a od lat fascynowała biblijna opowieść rozpoczynająca Księgę Rodzaju. Nie zastanawiał się, skąd wzięło się to zainteresowanie. Nie miał za sobą żadnego przygotowania religijnego. Ponieważ jednak fascynowały go początki świata, opowieść o dziele stworzenia zawsze miała swoje miejsce w jego świadomości — choćby jako przeciwwaga dla teorii Darwina i dodatkowo źródło pisane, które warto rozważyć.

Dotychczas wydawało mu się, że jego osobista wiara nie ma tu nic do rzeczy. Polem jego działania była historia, a nie teologia. Nie brakowało jednak dowodów świadczących, że w opowieści biblijnej kryją się wskazówki prowadzące we właściwym kierunku. Uważał, że uczciwy uczonec nie ma prawa ich ignorować.

Większość ustępów czysto religijnych uznawał za legendarne ślady po przesądnym nomadzkim ludzie, któremu udało się przekazać swoją historię potomności. Czy oznacza to jednak, że powinien lekceważyć użyteczne aspekty opowieści?

Wielu członków naukowej społeczności tak właśnie postępowało: odrzucali Biblię w całości — właśnie dlatego, że była Biblią. Odsuwanie na bok tak wielkiego dzieła zawsze uważał za przejaw tandetnego racjonalizmu. On sam tego nie robił. Biblia to dokument historyczny. Każdy, kto myśli racjonalnie, musi brać pod uwagę zarówno sam fakt jej istnienia, jak i zawartość.

Teraz jednak, po odkryciu dokonany na Araracie, pojawiły się nowe myśli, które nękały go coraz natrętniej. Zadawał sobie pytanie, gdzie był początek człowieka. Wątpliwości, jakie pojawiły się wśród czekających przed jego domem reporterów, a potem podczas przyjęcia w ogrodach pałacu Buckingham, budziły poważne zaniepokojenie, ilekroć zastanawiał się nad swoją przyszłością naukowca i archeologa.

Kto dał początek wszystkiemu? Jak się to zaczęło? Gdzie?

Teoria wielkiego wybuchu niczego nie wyjaśniała. Większość najzagorzalszych zwolenników ewolucjonizmu uznawała, że na ziemi powstały tak zwane „warunki”, które pozwoliły ukształtować

się życiu. Dzięki tym warunkom nieożywiona materia krzepła przez miliardy lat i pewnego dnia w cudowny sposób (oni sami nie użyliby oczywiście tego określenia) zaczęła oddychać.

Było to jednak stanowisko z naukowego punktu widzenia niedorzeczne, gwałciło bowiem podstawową zasadę wynikającą z drugiego prawa termodynamiki. Nie mógł pojąć, jak społeczność naukowa mogła uważać taki nonsens za prawdę.

A poza tym, skąd właściwie wzięła się materia nieożywiona? To pytanie nadal pozostaje bez odpowiedzi.

Chociaż rozważał tego rodzaju niekonsekwencje, sens pytań „Kto? Gdzie? Jak?” nie zakorzenił się w jego duszy. Na razie pozostały abstrakcją. Miał świadomość, że teoria życia, któremu początek dała materia nieożywiona, jest pełnym szaleństwem. Nie brał jednak pod uwagę jedynej w tej sytuacji alternatywy.

Jego sposób myślenia odmienił się — temu nie można zaprzeczyć. Ale nie zastanawiał się, dokąd tego rodzaju podświadome wątpliwości mogą go zaprowadzić.

4.

Wszystko mu się wydawało nowe i inne.

Zagadnienie Bytu, jako fundamentu całej nauki, historii i wszelkiego początku — a więc zagadnienie Żywego Stwórcy — nie może mieć wiecznie charakteru bezosobowego. Adam nie potrafił przewidzieć, do jakiego stopnia jego życie zmieni się w nadchodzących miesiącach.

Już sam fakt, że punktem wyjścia żydowskiej kroniki było to, co określała jako początek, miał ogromne znaczenie dla człowieka nauki. Pierwszy rozdział Księgi Rodzaju, opisujący sześć dni stworzenia, Adam zawsze uważał za mit. Taki sam był jego stosunek do stworzenia pierwszych ludzi z prochu ziemi czy też żebra, rozmowy Boga z Adamem i Ewą, a także opisaną w trzecim rozdziale historii o wężu i kuszeniu.

Nawet to, że nosił imię po pierwszym człowieku, nie skłoniło go

do uwierzenia, iż ktoś taki naprawdę istniał. Zawsze przyjmował, że Adam z drugiego rozdziału Księgi Rodzaju to zapewne symboliczny wizerunek człowieka. Na to wskazywał zresztą źródłosłów imienia.

Całe lata nękało go pytanie: Czy ta zdumiewająca opowieść może mieć coś wspólnego z rzeczywistością?

Znał na pamięć każde jej słowo.

Zapisał ten tekst własnoręcznie na pierwszej stronie swojego notatnika — w swoim tłumaczeniu, kiedy był jeszcze na studiach doktoranckich w Cambridge. Bez względu na to, czy wierzył, czy nie w dosłownego „Adama” ulepionego z prochu ziemi, te słowa nękały umysł i rozgrzewały krew w żyłach każdego szanującego się historyka i archeologa.

„Teraz Bóg urządził ogród na wschodzie, w Edenie, i umieścił tam człowieka, którego uformował. I sprawił Bóg, żeby z ziemi wyrosły wszelkie gatunki drzew miłych dla oka i dających pożywienie. Pośrodku ogrodu rośnie drzewo życia i drzewo poznania dobra i zła.

Z Edenu wypływała rzeka, która nawadniała ogród, i tam się rozdzielała na cztery rzeki. Nazwa pierwszej brzmi Pizon; płynie ona przez całą krainę Chawila, która obfituje w złoto... Nazwa drugiej rzeki brzmi Gichon i płynie ona przez całą krainę Kusz. Nazwa trzeciej rzeki brzmi Tygrys i przepływa od wschodu wzdłuż Aszszuru. A rzeka czwarta to Eufkrat.”

Wyprawa w tamte strony była coraz bliższa i serce Adama tłukło się z podniecenia na myśl o możliwości odnalezienia choćby cząstki miejsca, o którym jest mowa w tej opowieści.

5.

Także Juliet Halsay obudziła się wcześniej.

Podobnie jak Adam leżała z szeroko otwartymi oczami, ale jej myśli krążyły w innych rejonach — nie zajmowała się, jak Adam, historią świata, lecz tylko własną historią, własną duszą... i własną przyszłością.

Od wypadku upłynęły prawie cztery miesiące. Cztery miesiące od śmierci ojca i brata. Nic nie przywróci im życia. Musiała na jakiś czas rozstać się z matką. Tego też nie można odmienić. I nic już nie będzie takie jak dawniej. Stopniowo wydobywała się z odrętwienia i coraz więcej czasu poświęcała pomaganiu ciotce.

Niejeden z jej szkolnych kolegów żalił się na swoich rodziców, na okoliczności, na system albo na to, co nazywali „cholernym pechem”, który wyznaczał im miejsce w życiu, a przecież tylko siebie mogli winić za to, że nie odnoszą sukcesów, że nie mają żadnej wizji własnego jutra. Jeśli ktokolwiek ma prawo poddać się posępnym myślom, to z pewnością ona. Nikt nie będzie jej tego wyrzucał. Ma powody. Świat zaiste obszedł się z nią okrutnie.

Tego szczególnego ranka, kiedy rozbudziła się już i słońce, wznoszące się nad horyzont, zajrzało do okna, w sercu Juliet nie pojawił się jednak gniew, przygnębienie czy poczucie klęski. Doszło w nim raczej do wybuchu nieoczekiwanej radości.

Jednocześnie stanęło przed nią pytanie: Jak długo chce być ofiarą tragedii? Czy to możliwe, żeby w życiu nie było już niczego dobrego, niczego, co warto uczcić?

Wyjrzała przez okno. Zobaczyła jasny i radosny ranek. Ten promyk światła oznacza przecież, że słońce nadal świeci... zupełnie tak samo jak dawniej!

Jej sytuacja zmieniła się, ale świat — nie. Słońce nadal wschodzi — jak co dzień. Jego promienie nadal grzeją ziemię. Nadal dają światło. Kwiaty nadal rozkwitają. I ptaki śpiewają — nie zważając na to, że nadciąga zima. Słyszała, jak krzątają się przy swoich porannych sprawach.

Czy życie nie może być znowu czymś dobrym i cennym — wbrew temu, co przeszła?

Stopniowo spływał na nią spokój niby niewidzialny pled, który osłania duszę przed zamętem i wrzeniem. Parę razy odetchnęła głęboko, nie odrywając wzroku od świetlnego promyka. I pozwoliła, by na jej wargach pojawił się uśmiech.

Dotychczas Juliet Halsay nie myślała o Bogu w sposób, który można by nazwać osobistym. Jej najbliższa rodzina uczęszczała,

podobnie jak ciotka, na niedzielne nabożeństwo poranne. Wierzyła w Kościół anglikański i w chrześcijańską doktrynę, której uczył swych wiernych. Nauczyła się na pamięć artykułów wiary i zawsze robiła, co mogła, żeby zgodnie z nimi żyć. Ale to niezbyt wyraziste poczucie rzadko wznosiło się ponad poziom intelektu, tradycji kościelnych, obyczajów rodzinnych i rozróżniania dobra od zła.

A tego dnia poczuła nieoczekiwanie coś... instykt zaś podszeptał jej, że spłynął na nią pokój Boży i że skończył się dla niej okres żałoby.

Leżała w łóżku i narastało w niej poczucie pokoju i zadowolenia. Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, że pokój Boży nie spłynął ot tak, ogólnie, na cały dom, lecz że jest przeznaczony... właśnie dla niej. To ona ma zaznać ukojenia. Bóg pamięta o Juliet Halsay, jakby była jedyną osobą na całej ziemi. Kocha osobiście ją.

Nadal leżała, pozwalając, żeby to poczucie wypełniło wszystkie zakamarki jej świadomości. Nie próbowała tego zrozumieć ani uzasadnić. Wystarczyło jej, że się nim upaja. Nie umiałaby wytłumaczyć, co czuje, i nie dbała o to. Zadowalała się tym, że pled pokoju otulił jej serce.

I ze świadomością, że słowa napływają z jakiegoś głębokiego i prawie nieznanego zakamarka jej jestestwa, wyszeptwała: „Dziękuję!”

Po raz pierwszy przemówiła do Boga tak, jakby poza Nim i nią nie było nikogo w całym Wszechświecie. I wiedziała z całą pewnością, że Bóg ją słyszy.

6.

Przez kilka długich minut Juliet przyglądała się, jak promyk słońca nabiera intensywności i pogodnie rozprawia w jej sercu o nowych możliwościach, które otworzą się przed nią w miejsce cierpień; wystarczy, żeby wstała i wyszła im na spotkanie.

Może nadal patrzeć wstecz, ale wtedy je zmarnuje. Lepiej patrzeć na wschodzące bezustannie słońce przyszłości, mieć przed

oczyna cuda, jakie ono podsuwa — lepiej zrobić coś ze swoim życiem.

Tak, musi o tym pamiętać. Przed nią nowy dzień. Skoro Bóg nappełnił ją pokojem, widać nie jest Mu obojętna. Trzeba wstać i z nowym optymizmem spojrzeć życiu prosto w twarz.

Juliet wstała, otuliła się szlafrokiem, założyła okulary i usiadła przy małej toalecie. Uważnie i z powagą przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, a potem głosem zdecydowanym i pełnym ufności przemówiła do tego wizerunku.

„Juliet Halsay, czas już odpowiedzialność za siebie wziąć na własne barki — mówiła, siedząc wyprostowana i patrząc z pewnym dystansem na młodą damę, którą miała przed oczami. — Dałaś już sobie dość czasu i miejsca. Przeżyłaś swój żal. Przełknęłaś łyż. Nadal brak ci taty i Josepha.”

Spojrzała sama sobie prosto w oczy.

„Popatrz jednak na siebie — ciągnęła. — Nie wszystko na tym świecie jest mroczne i przygnębiające. Na zewnątrz świeci słońce, w środku czujesz radość życia. Jesteś zdrową młodą kobietą. Nie brak ci rozumu. Co nieco umiesz. Możesz zająć się sobą, nawet jeśli oznaczałoby to pracę w smaźalni. A nikt przecież nie wie, jakie szanse się przed tobą pojawiają.”

Przyjrzała się nieco baczniej swojej twarzy i spróbowała odgarnąć z niej kilka prostych ciemnoblonde kosmyków. Jedynym wynikiem był uśmiech.

„I chociaż w tej chwili twoje włosy nie wyglądają najlepiej, nie jesteś wcale najbrzydsza. No dobrze, od tej chwili będziesz ciągle przypominać sobie lepsze czasy. Przypomnisz sobie uśmiech i radość taty. Tak, masz za sobą paskudne miesiące. Ale dzięki cioci Andrei spadłaś na cztery łapy. Pomyśl tylko, gdzie się znalazłaś: w angielskiej posiadłości, której właścicielem jest jeden z najważniejszych ludzi w Anglii.”

„A w dodatku bardzo przystojny!”

Wzięła szczotkę i zaczęła czesać sięgające ramion włosy.

„Dzisiaj zastanowię się, co dalej. — Przemawiała teraz do samej siebie, nie zaś do *alter ego* w lustrze. — Wezmę się energicznie do

szukania pracy. Kiedy tylko będzie to możliwe, znajdę sobie mieszkanie. Po jakimś czasie sprowadzę tam mamę. I nigdy nie zapomnę, że Bogu na mnie zależy.”

Wstała i podeszła do dębowej szafy, otworzyła oba skrzydła i ogarnęła wzrokiem zawartość. Wybrała zieloną sztruksową spódniczkę i białą bluzkę. Wyjęła też czerwony sweterek. Wyjdzie zaraz na krótki poranny spacer po ogrodzie. Słoneczny ranek rozbudził ją nie tylko z nocnego snu. Czuła, że przenikają spokój, że Bóg jest blisko Wyjdzie, żeby nacieszyć się pięknem budzącego się dnia

Odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, ale przedtem raz jeszcze zerknęła do lustra.

Wyprostowała się, ściągnęła do tyłu ramiona, uśmiechnęła się z determinacją i stanowczym, szybkim gestem pozdrowiła dziewczynę w lustrze. Potem zeszła na dół i tylnymi drzwiami wydostała się z domu.

Pokój dany od Boga połączył się w jej duszy z mocnym postanowieniem, które odróżnia człowieka od innych żywych istot: będzie wzrastać i stawać się.

Dialog, jaki toczył się w jej sercu między ludzką i Boską cząstką jej jestestwa, stanie się punktem zwrotnym w jej życiu. Od tego dnia wszystko będzie inaczej.

Juliet Halsay postanowiła żyć.

7.

Pół godziny później zakończyła poranny spacer i z uczuciem zadowolenia weszła do kuchni, gdzie zastanie z pewnością ciotkę.

Kiedy przekroczyła próg, usłyszała głosy Adama Livingstone'a i Scotta Jordana, którzy byli pogrążeni w ożywionej rozmowie na temat coraz bliższej wyprawy. Kiedy ich zobaczyła, próbowała się wycofać, ale już ją spostrzegli.

— Dzień dobry. Wygląda pani dzisiaj pogodnie i radośnie, panno Halsay — powiedział ożywionym głosem Adam, który czuł się rześki i odmłodzony, odkąd wyprawa weszła w stadium poważnego planowania.

- Dziękuję, rzeczywiście czuję się doskonale.
 - Proszę do nas dołączyć.
 - To miło z pana strony, panie Livingstone.
- Z wahaniem, ale odwzajemniając uśmiech, podeszła bliżej.
- To nie potrwa długo — zapewnił Adam. — Scott i ja mamy wiele spraw do omówienia, ale nigdy nie przynosimy tu naszych materiałów.
 - Napijesz się herbaty, Juliet? — spytała ciotka, odwracając się od kuchenki.
 - Proszę, ciociu. A znajdzie się coś do jedzenia? Prawdę mówiąc, jestem głodna jak wilk.
- I nagle jej twarz pojaśniała.
- Ciociu! Przecież... przecież wrócił mi apetyt!... I nie założyłam swetra!
 - Jak tylko weszłaś, zauważyłam, że masz go w ręku.
- Scott i Adam zajęli się z powrotem rozmową. Juliet usiadła cicho przy końcu stołu i wkrótce zaczęła się uważnie przysłuchiwać.
- Wśród historyków biblijnych panuje tradycyjny pogląd, że pierwszy człowiek pojawił się na obszarze „żyznego półksiężyca” — powiedział Scott Jordan. — Jeśli ogłosisz swoją teorię, ewangelicy skoczą ci natychmiast do gardła.
- Adam roześmiał się.
- Mówię poważnie — ciągnął Scott. — Jeżeli zawierzysz do tego stopnia wykopaliskom afrykańskim, ogłoszą, że jesteś ewolucjonistą.
 - Nic nowego. Zresztą większość dzisiejszych badaczy początków człowieka uważa, że lokalizacja mezopotamska to uproszczenie — odparł Adam. — Sir Gilbert zgłosiłby z całą pewnością stanowczy protest!
 - Protestowałyby stanowczo przeciwko wszystkiemu, co ma związek z Biblią.
 - W tym przypadku, ma jednak moim zdaniem rację, choć tylko częściowo. Żywny półksiężyc to tylko jedna strona medalu. Najlepiej zachowane szczątki poprzednika *homo sapiens* wykopano we wschodniej Afryce, nie na Bliskim Wschodzie. Nie sposób uznać, że chodzi tu wyłącznie o przypadek.

— Któremu sprzyja klimat, jaki panuje w strefie podrównikowej.

— Otóż to. Kluczem do wszystkiego jest klimat.

— Czy mogę o coś zapytać, panie Livingstone? — odezwała się w tym momencie Juliet, która popijała podaną przez ciotkę herbatę.

Obaj mężczyźni, a także pani Graves spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

— Oczywiście — odparł Adam. — Proszę pytać.

— Co ma wspólnego klimat z kopalinami?

— Bardzo dużo. Na równiku przez okrągły rok panuje mniej więcej taka sama temperatura. Jest to idealne miejsce do życia dla wczesnych form gatunku tak wątlego jak człowiek i istoty, od których pochodzi: jest nagi, nie ma naturalnego okrycia, które zapewnia ciepło prawie wszystkim przedstawicielom królestwa zwierząt. Jeśli istniał Eden, musiał być położony gdzieś w pobliżu równika.

— Jeśli istniał... — powtórzyła. — Czyżby pan w to wątpił?

— Nie wątpię, ale też niekoniecznie wierzę. Po prostu jestem ciekawy. Mam nadzieję, że znajdę jakiś trop, który pozwoli na dalsze, ostateczne ustalenia.

— Ale ciocia pokazała mi artykuł. Myślałam, że...

— Że znaleźliśmy ogród rajski? — roześmiał się Adam. —

Niestety nie.

— Ale będzie go pan szukał?

— Zobaczymy, co da się zrobić. Tylko tyle mogę powiedzieć.

— Jeśli się nie wierzy, po co szukać?

— Z ciekawości.

— Po co?

— To intrygujące. W pasie podrównikowym panują doskonałe warunki do życia, i to nie tylko z klimatycznego punktu widzenia, ale także ze względu na możliwość zdobycia pożywienia. Roślinność jest bujna jak nigdzie indziej. Sprawą dyskusyjną jest, kiedy spadł na ziemi pierwszy deszcz, ale czy w raju padało, czy nie, tam z pewnością było dość i wilgoci, i słońca. Pozostałości tego faktu widzimy jeszcze dzisiaj w dżungli i tropikalnym lesie deszczowym,

których nadal najwięcej przy równiku, aczkolwiek wiele się od tamtych, pradawnych czasów zmieniło. Jeśli zatem w opowieści z Księgi Rodzaju tkwi ziarno prawdy albo jeśli chodzi tylko o mit, który przechowuje pamięć o przodkach człowieka, jakież miejsce byłoby stosowniejsze niż strefa równika?

— Chyba... chyba rozumiem, co ma pan na myśli.

— Dodam, jeśli pani pozwoli, że mam jeszcze inne powody, by podejrzewać, iż może istnieć coś, co potwierdzi opowieść biblijną. Muszę to po prostu sprawdzić.

— Z pewnością nie zamierza pan prowadzić poszukiwań wzdłuż całego równika. To czterdzieści tysięcy kilometrów!

Adam znowu się roześmiał.

— Na szczęście nie musimy szukać po omacku.

— Powiedz o rzekach — wtrącił się do rozmowy Scott.

— Słusznie. Właśnie rzeki sprawiają, że to miejsce jest tak intrygujące. Nie mówiąc o tym, co już wykopano.

— Które rzeki?

— Cztery rzeki z Księgi Rodzaju. Zawsze wprawiały w zakłopotanie biblijnych badaczy, bo tylko dwie z nich, Tygrys i Eufrat, są znane od zarania dziejów. Dwie pozostałe stanowią zagadkę. Otóż zbadałem i przeszukałem cały ten region i wysunąłem hipotezę zbudowaną na historii zmian klimatycznych i na geologicznej strukturze podłoża.

— I co mówi pana hipoteza?

— Że istniał niegdyś ogromny Eden o owalnym kształcie i że obejmował swym zasięgiem nie tylko ogród w Mezopotamii, ale również strefę równikową.

— Jak bym chciała dowiedzieć się czegoś więcej! — wykrzyknęła z zapałem Juliet, pochylając się na swoim krześle.

Pani Graves zauważyła, że w jej siostrzenicy zaszła zmiana. Kiedy po raz ostatni widziała, żeby Juliet tak się czymś zaciekawiła?

— Być może pierwotny ogród był większy niż się komukolwiek śniło — odparł Adam i jego oczy rozszerzyły się z przejęcia, bo mógł opowiedzieć o swojej teorii komuś, kto przedtem nigdy o niej nie słyszał. — Może pierwotnie rozciągał się od rejonu Tygrysu

i Eufratu aż po równik.

— Rzeczywiście byłby ogromny.

— Właściwie czemu nie? Jeśli Stwórca umieścił w nim, jak przecież powiedziano, nie tylko człowieka, ale również zwierzęta? Musiałby być naprawdę gigantyczny, choćby ze względu na to, że miał dostarczać pożywienia i pastwisk!

— Ale...

— Wiem, co ma pani na myśli. Chodzi o pustynie?

Juliet skinęła głową.

— Być może cały ogród miał pięć albo sześć tysięcy kilometrów długości i trzy, cztery szerokości. Może był w całości porośnięty bujną roślinnością i pełen żywych istot, podobnie jak dzisiejsze lasy deszczowe. Wyobraźmy sobie: mnóstwo słodkowodnych jezior, wszędzie zieleń, wszędzie życie. Może więc, krótko mówiąc, było tam wszystko, co potrzebne do podtrzymania życia wielu tysięcy, a potem milionów stworzeń.

— Nigdy tak na to nie patrzyłam.

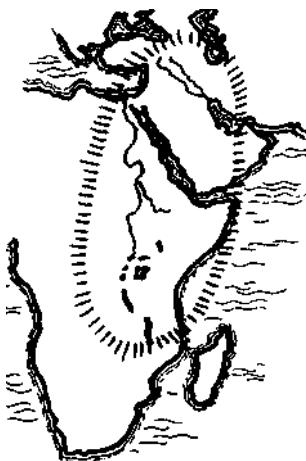
— Może więc pustynie pojawiły się wskutek zmian klimatycznych, tego, co nazywam syndromem saharijskim, i stopniowo pochłonęły znaczne obszary dawnego Edenu, w tym Półwysep Arabski. Jeśli tak, cały ten teren zmienił się nie do poznania.

— Mówił pan o rzekach...

— No tak... rzeki... To klucz do wszystkiego. Gdzie są dwie brakujące?

— Mam wrażenie, że ma pan na to swój pogląd — roześmiała się Juliet.

— To nic pewnego, ale jeśli moja teoria ma ręce i nogi, pierwotny ogród zajmował fragmenty dwóch kontynentów. Mógł mieć pięć do ośmiu milionów kilometrów kwadratowych. To w przybliżeniu



wielkość Grenlandii albo nawet Australii. Jeśli tak, trzeba szukać rzek na znacznie większym obszarze. Innymi słowy, ci, którzy szukają ich w bezpośrednim sąsiedztwie Tygrysu i Eufratu, niczego nie znajdują. Po prostu dlatego, że ich tam nie ma. O tak, ogród był znacznie rozleglejszy.

— Gdzież więc są?

— Uważam, że jedną z nich musi być Nil. Wypływa z kenijskiego płaskowyżu i Jeziora Wiktorii i wpada do Morza Śródziemnego. Pod wieloma względami spełnia warunki opisu biblijnego. W Księdze Rodzaju 2.13 mówi się, że rzeka Gichon płynie przez całą krainę Kusz, czyli Etiopię. Na moje wyczucie ta wzmianka odnosi się do północno-wschodniej ćwiartki afrykańskiego kontynentu, do terenów należących dzisiaj do Kenii, Etiopii, Sudanu i Egiptu, a zatem właśnie tych obszarów, przez które przepływa Nil.

— Widzi pani, jak wspaniale wszystko tu się zgadza? — spytał z entuzjazmem Scott.

— Gorszy kłopot jest z rzeką Piszon, wspomnianą w wersie 11 — ciągnął Adam. — Są jednak wskazówki pozwalające ustalić jej bieg.

— Wskazówki?

— Badania nad starożytnymi złożami złota pokazują, że w jednym z najbogatszych w złoto regionów był prekambryjski granitowy zespół Akaby na obu wybrzeżach Morza Czerwonego.

— Słusznie! — wykrzyknęła Juliet. — Stąd wzięły się w Egipcie skały osadowe. To jasne, właśnie stamtąd faraonowie brali złoto...

Nagle zamilkła i spojrzała z zakłopotaniem na Adama. Po chwili jednak uśmiechnęła się, a Adam odwzajemnił jej uśmiech.

— To nie może być po prostu trafny domysł! — zawołał Adam. — Co pani wie o granitowym zespole Akaby?

— Juliet studiowała w college'u geologię i geografę — wyjaśniła panie Graves.

— Naprawdę? — wykrzyknął Scott. — Geologia to moja dziedzina!

— Ma pani całkowitą rację, jeśli chodzi o formacje osadowe w

Egipcie. I ten sam rodzaj skały znaleziono bardziej na północ, w Palestynie. Ale złoto ma jeszcze ściślejszy związek z opowieścią o Edenie — rzekł Adam. — Czy wie pani, gdzie moim zdaniem leżała Chawila z drugiego rozdziału Księgi Rodzaju?

Juliet potrząsnęła przecząco głową.

— Tajemnicza kraina o nazwie Chawila ma odwieczne związki z zachodnią częścią Arabii, czyli z rejonami na północny-zachód od Jemenu.

— Nad Morzem Czerwonym! — wykrzyknęła Juliet.

— Otóż to — potwierdził Scott. — Nie mogłem uwierzyć, kiedy Adam mi o tym opowiedział.

— Tak więc pierwsza z czterech rzek, Pizson, jest być może największa — powiedział Adam — i być może płynęła pierwotnie łożyskiem wypełnionym dzisiaj przez Morze Czerwone. Niedawno odkryto pośrodku Morza Czerwonego złoto w Atlantis Deep. Nadal tam jest złoto!

— Ale historia!... Tego nas na wykładach z geografii nie uczyli!

— Pochodzenie obu słów, Pizson i Chawila tak się właśnie kojarzy, a zwłaszcza jeśli się pomyśli, że miliony lat temu Morze Czerwone wcale nie było morzem.

— Jak to wtedy wyglądało?

— Półwysep Arabski stanowił jedno z afrykańskim kontynentem. Pierwotnie Morze Czerwone było rzeką, która coraz bardziej się rozszerzała i w końcu oddzieliła prawie całkowicie Afrykę od Arabii. Pozostało tylko połączenie w Suezie. Mamy więc ostatnią z wymienionych w Księdze Rodzaju rzek. Płynęła przez krainę, gdzie znajdowało się, i nadal znajduje, złoto.

8.

Wszyscy popadli w zadumę.

— Wymyślił pan teorię wielkiego Edenu — odezwała się po jakimś czasie Juliet. — Zrozumiałam to, co powiedział pan o równiku i czterech rzekach. Jak do tego pasuje fakt, że starożytne

cywilizacje rozwijały się w żyznym półksiężycu? Dwie z rzek płyną właśnie przez tamte obszary.

— Z nimi wiąże się druga część mojej teorii — odparł Livingstone. — Nazywam ją teorią wielkiego owalu. Egipt i Mezopotamia to bardzo interesujące miejsca. Podobnie jak okolice niedaleko równika. Ma pani całkowitą rację. Na tym obszarze rozkwitały i upadały najbardziej rozwinięte cywilizacje starożytne. Babilonia, pobliski współczesny Bagdad oraz zarówno Tygrys, jak Eufkrat zostały bardzo wcześnie skojarzone z opowieścią z Księgi Rodzaju. Ur Abrahama leżało w dzisiejszym Iraku. A arka Noego, jak już wiemy, osiadła w Turcji na górze Ararat.

— Jak doszedł więc pan do zespolenia tych dwóch obszarów? Są od siebie bardzo odległe.

— Właśnie dlatego uważam, że pierwotny ogród był taki ogromny. Moim zdaniem rozważając kwestię początków człowieka, trzeba brać pod uwagę oba te miejsca, obszar trzech może nawet pięciu tysięcy kilometrów, od Jeziora Wiktorii we Wschodniej Afryce po dorzecze Tygrysu i Eufratu na północy Arabii. I nie należy myśleć o tym jako o dwóch oddzielonych obszarach, ale jako o gigantycznej całości. Oczywiście było w ogrodzie miejsce centralne, gdzie zaczęło się być może życie. Ale potem to życie rozprzestrzeniło się i wypełniło ogród trochę większy i nieco inny niż ogródek za domem.

— Tak więc wygląda pańska teoria?

— Tak, w najogólniejszych zarysach. Uważam, że jeśli ogród taki jak Eden istniał, zajmował ogromny owal ciągnący się na południowy—zachód od żyznego półksiężyca na północy (rejon Tygrysu i Eufratu), przez Półwysep Arabski, w tym krainę Chawila i rzekę Pizson (Arabia i dzisiejsze Morze Czerwone), aż do żyznej równinowej okolicy nad Nilem (rzeka Gichon), czyli do dzisiejszego bujnego podrównikowego pasa w Afryce Środkowej. To gigantyczna cieplarnia. Tam właśnie ukształtowały się wszystkie gatunki, które potem rozpowszechniły się i zasiedliły całą ziemię.

— I ma pan dowody na poparcie tej tezy?

— Jak najbardziej.

Adam zerwał się nagle na równe nogi.

— Proszę poczekać.

Wybiegł z pokoju i po chwili wrócił z globusem, który postawił na stole.

— Proszę tylko spojrzeć! — mówił z ożywieniem.

— Zgodnie z danymi archeologii najdawniejszy człowiek trzymał się, co ciekawe, linii biegnącej mniej więcej wzdłuż Wielkiego Rowu Wschodnioafrykańskiego i stopniowo przemieszczał się na północ. Niech pani spojrzy tutaj.... Od Jeziora Wiktorii w Tanzanii, a właściwie od rejonów położonych poniżej, w Afryce Południowej, na północ przez Kenię i Etiopię aż do cieśniny Bab elMendeb.

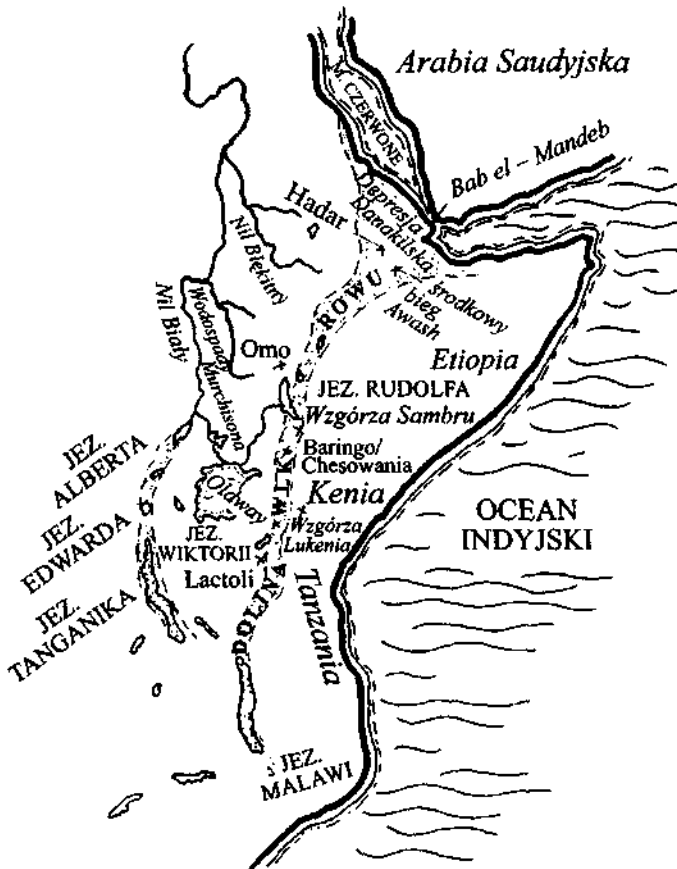
Jego palce przemykały szybko po kontynencie afrykańskim.

— Tutaj dokonywano odkryć: Taung, a dalej Wąwóz Oldoway w Tanzanii, wzgórze Lukenia, wyspa Rusinga, wzgórze Samburu na zniszczonych wskutek erozji terenach kenijskich, gdzie można zobaczyć stratyfikację z miocenu... Baringo/Chesowanya, Laetoli, rzeka Orno... po Mąka i Belohdelie w etiopskiej Kotlinie Danakijskiej, nieopodal Hadar, gdzie znaleziono Lucy. W całym tym rejonie dokonano mnóstwa odkryć! Najstarsze skupiska kości i szczątki hominidów i *homo sapiens* znaleziono w okolicy pęknięcia w skorupie ziemskiej. Jestem przekonany, że Księga Rodzaju 2.10 wyjaśnia, czemu wszystkie bez wyjątku najstarsze kości *australopithecusa afarensisa* oraz późniejszego *homo habilis* i *homo erectus*, podobnie jak *homopithecusa* i *erectusa sapiens* Bowlesa pochodzą właśnie stamtąd. Nie ulega wątpliwości, że pierwsi ludzie pojawili się w równikowym rowie wschodniej Afryki.

— Myślałam, że szczątki kopalne znajdowano wszędzie na ziemi.

— To prawda. W końcu człowiek rozprzestrzenił się po całej ziemi, podobnie jak inne stworzenia. Księga Rodzaju i wykopaliska wzajemnie się pod tym względem potwierdzają. Ale najstarsze kości dwunożnych hominidów znaleziono w Afryce, w większości w Tanzanii, Kenii i Etiopii, właśnie tutaj!

Adam przesunął z ożywieniem palcem w okolice trzydziestego piątego południka — od Tanzanii do Etiopii.



— I proszę spojrzeć tutaj — ciągnął kreśląc palcem koło. — Wszędzie w Rowie Wschodnioafrykańskim jeziora pozostały wysokie. To pozostałość po prehistorycznych czasach. I nawet ten prosty fakt, że równoleżnik zerowy przebiega przez ogromne Jezioro Wiktorii — dodał, przesuwając poziomo palcem po mapie — wskazuje, że było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie panowała wystarczająca temperatura, żeby rozwinęło się życie.

— Znaczenie ma także różnorodność gatunków zwierzęcych, które żyją w Afryce — dorzucił Scott. — Afryka Środkowa jest

najstarszym ogrodem zoologicznym na świecie. To jakby okno na przeszłość, pozwalające sięgnąć wzrokiem do początków. Gatunki przetrwały tu jak nigdzie indziej.

— Otóż to! — potwierdził Adam. — Jestem przekonany, że tu właśnie znajdował się najdalej wysunięty na południe kraniec ogrodu.

— Nadal jednak nie rozumiem, skąd powiązanie z rejonem Tygrysu i Eufratu.

— Mój ogromny owal obejmuje oba te miejsca. Mamy część południową. — Nakreślił palcem krąg wokół Rowu Wschodnioafrykańskiego. — I część północną. — Wskazał w podobny sposób mezopotamski żyzny półksiężyc.

— Wszystkie najstarsze cywilizacje na Ziemi znaleziono przy północnym skraju mojego owalu, w dawnej Mezopotamii: Sumerów, Egipcjan, Kananejczyków, a dalej Niniwa, Akkad, wielkie imperium babilońskie, Fenicja i Persja. A Eden wypełniał cały owal.

— Ale przecież cała środkowa część to pustynia.

— Słusznie. Sedno sprawy w tym, że zmienił się klimat. Człowiek stopniowo opanowywał wszystkie obszary globu. W tym czasie Ziemia ulegała zmianom. Oceany stygły, kontynenty powoli się przemieszczały, wiele gorących i wilgotnych terenów leśnych skurczyło się. Coraz większe znaczenie miały pory roku. Pokrywa drzew stała się mniej szczelna. W miejsce wysoko sklepionych tropikalnych lasów deszczowych pojawiły się otwarte sawanny i zwykłe lasy. Te wszystkie czynniki w połączeniu ze zmianami klimatycznymi na skalę globu doprowadziły stopniowo do powstania pustyń na północy kontynentu afrykańskiego. To Sahara, Pustynia Libijska, Nubijska i Arabska. Niektórzy sądzą, że właśnie wtedy wypiętrzył się Przesmyk Panamski, który oddzielił Atlantyk od Pacyfiku.

— Ma pan na myśli rozmaity poziom zasolenia oceanów? — spytała Juliet.

— Strzał w dziesiątkę! — Adam spojrzał na Juliet z mieszaniną rozbawienia i podziwu. — Osłabnięcie prądu północnoatlantyckiego spowodowało powstanie arktycznej pokrywy lodowej i ochłodzenie klimatu w Afryce. Sporo pani wie, panno Halsay. Jestem

pewny, że wcale nie musiała pani tego zgadywać.

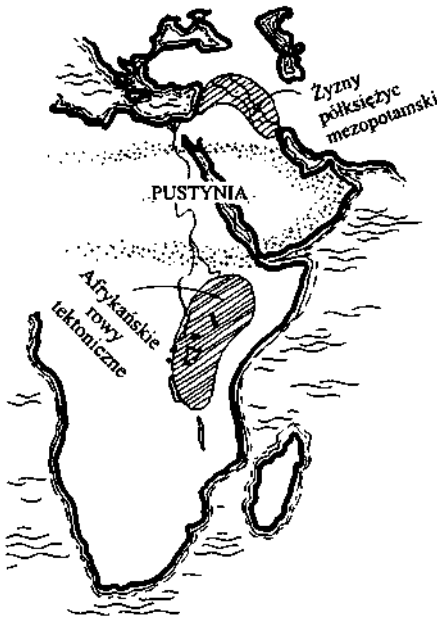
— Chodziłam też trochę na wykłady z meteorologii — rozśmiała się Juliet, sama zaskoczona tym, że czuje się tak swobodnie. — Proszę jednak mówić dalej.

— Te zmiany usunęły ze środkowej połowy dawnego Edenu wszelki ślad roślinności i warunków sprzyjających życiu. Właśnie dlatego nie znajdujemy tam żadnych wykopalisk. Wszystko przykrył piasek, pył, pustynna roślinność i skała. Jestem pewny, że w tych jałowych okolicach jest pełno kości ludzi pierwotnych. W Depresji Fajumskiej na egipskiej Saharze usunięto dostatecznie grubą warstwę piasku i znaleziono egiptopiteka. Ale to był wyjątek. W Arabii i Mezopotamii szczątki są zbyt głęboko, żeby dało się je wykryć.

Ta rozległa pustynia oraz fakt, że Piszon zmienił się w Morze Czerwone, doprowadziły do przedzielenia Edenu na pół. Wszystko, co może naprowadzić nas na ślady początków człowieka, znalazło się w żyznych dolinach Eufratu i Tygrysu, a więc na północy, w

miejscu rozkwitu cywilizacji. Natomiast na południu, w rejonie afrykańskich rowów tektonicznych, zachowały się warunki sprzyjające przetrwaniu rozmaitych form życia zwierzęcego z najdawniejszych czasów.

Wypiętrzenie się systemu afrykańskich rowów tektonicznych i napieranie na siebie dwóch części kontynentu stopniowo wydołyło na wierzch głębsze warstwy podłoża, a to umożliwiło wgląd w najdawniejsze



dzieje człowieka. Tam też wykopano większość świadectw obecności na tych terenach człowieka prehistorycznego. Nie oznacza to wcale, że wszystko odbyło się w rejonie rowów. Po prostu tam potrafimy wyrwać ziemi najwięcej szczątków. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie należy szukać, równie interesujące i stare szczątki znaleźlibyśmy na całym obszarze od Jeziora Wiktorii po Ararat.

Innymi słowy, dysponujemy południową i północną częstką pierwotnego Edenu. W każdej z nich wykrywamy różne ogniwa łączące nas z najstarszymi dziejami człowieka, ale większość obszaru północnego, podobnie jak cały środkowy, obróciła się w pustynię. W pewnym sensie być może ten jeden fakt jest najbardziej intrygujący.

— Jaki fakt?

— Że najlepiej ukryty przed naszymi oczami jest środek ogrodu, jego serce. Obszar południowy zdradza nam swoje tajemnice, natomiast środkowy je ukrywa. Kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje to mi się doprawdy zadziwiające.

— Po co jednak człowiek migrował do północnych regionów obszaru i tam budował miasta i cywilizację? — spytała Juliet. — Dlaczego podobna cywilizacja nie rozkwitła w części południowej?

— Przykro mi, ale nie mam pojęcia — odparł Adam. — Nie przychodzi mi do głowy żadna teoria. Słusznie powiedziała pani, że starożytna cywilizacja rozwinęła się wzdłuż linii łączącej Egipt z Babilonem. Nie zmienia to mojego przekonania, że Eden obejmował cały obszar, o którym mówiłem. Jeśli chodzi o pytanie, czy człowiek umieściła w nim jakaś Boska siła, a jeśli nie, skąd się wziął, trudno mi snuć domysły. Tak czy inaczej, jeśli weźmie się pod uwagę starożytną cywilizację na północy i wykopaliska na południu, staje się rzeczą oczywistą, że tam właśnie się po raz pierwszy pojawił.

W kuchni zapadło milczenie. Nawet pani Graves była zafascynowana tym, co usłyszała, w każdym razie na tyle, na ile mogła pojąć wywody pana Livingstone'a.

— Co zamierza pan osiągnąć dzięki swojej ekspedycji? — spytała po jakimś czasie Juliet.

— Zanim weźmiemy się do dalszych badań, powinniśmy skupić uwagę na południu, na strefie równikowej. Tam znaleziono najstarsze szczątki. Wydaje się, że tamten obszar rokuje większe nadzieje niż Mezopotamia, która podobnie jak obszar Sahary zmieniła się w pustynię. Wątpię, żeby dokonano jakichś ważnych odkryć w Iranie albo Iraku. Natomiast w obszarze wypiętrzenia związanego z rowem tektonicznym, na wyżynie kenijskiej, w Tanzanii i nad Jeziorem Wiktorii zjawiska zachodzące w skorupie ziemskiej sprawiły, że można oczekiwać znalezienia tam jakichś świadectw najdawniejszych dziejów. I aktywność tektoniczna trwa tam ciągle. Jestem przekonany, że właśnie tam należy prowadzić poszukiwania.

— Rozumiem.

— Być może jest to tylko niewielka częśćka pierwotnego Edenu, ale moim zdaniem tamten obszar można powiązać z opisem z Księgi Rodzaju.

— Jak zamierza pan prowadzić poszukiwania?

— Słyszała pani o sośnie szczeciniastoszyszkowej, *pinus aristata*? — spytał Scott.

— Chodzi o najstarszą ze znanych roślin?

— To fascynująca roślina — powiedział Adam. — Okazy flory sprzed prawie pięciu tysięcy lat! Wyobraża sobie pani? Uczni pobrali próbki rdzenia i policzyli słoje. I te drzewa nadal żyją! Oszałamiające! Kilka lat temu polecałem do Kalifornii, żeby zobaczyć na własne oczy najstarszą żyjącą roślinę. Miejsce, gdzie rośnie ich najwięcej nazwano Methuselah Walk, czyli Aleją Matuzalema.

— Czyżby *pinus aristata* rosły także w okolicach rowów tektonicznych?

— Nie sosny. Może coś jeszcze od nich lepszego.

— Co?

— Na razie nie wiem. Dlaczego jednak taki gatunek nie miałby przetrwać również na terenie rowów? Jeśli znajdziemy okazy dawnej flory, równie stare, a może starsze niż *pinus aristata*, to łącznie z odkrytymi już szczątkami ludzkimi będzie to argument mocno przemawiający za tezą, że tamten obszar stanowił rzeczywiście fragment porośniętego lasem Edenu. Zgadzałoby się to przecież z

danymi biblijnymi. „Wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzaje.” Drzewa są wszędzie. Jeśli mamy zająć się tym, co podaje Księga Rodzaju, powinniśmy szukać raczej drzew niż kości. Może właściwszą byłaby nazwa „puszcza rajska”, nie zaś ogród.

— Nigdy nie zwróciłam na to uwagi — przyznała Juliet. — Ogród rajski rzeczywiście mógłby być lasem.

— Tak jest. Równikowym, tropikalnym lasem deszczowym.

Adam zakręcił globusem, a potem usiadł z powrotem przy stole.

— No więc tak to wygląda, panno Halsay. Naszym celem jest znalezienie afrykańskiego odpowiednika *pinus aristata*, a może gatunku jeszcze starszego, który stanowiłby ogniwo łączące z tamtymi światami, może gatunku, który rósł w Edenie. Jednym słowem chodzi o brakujące ogniwo flory, podobnie jak antropolodzy szukali brakującego ogniwa w ewolucji świata zwierzęcego.

— Tak więc nie będzie pan szukał w Afryce kości i kopalin, ale roślin?

— Otóż to. Sądzimy, że będziemy raczej botanikami niż paleoantropologami, prawda, Scott? Mam nadzieję, że dzięki temu pozbędziemy się sir Bowlesa — dodał Adam, uśmiechając się do przyjaciela.

— Wywęszy to i pomyśli, że zostałeś miłośnikiem przyrody.

— Czy pisał pan gdzieś o tym? — spytała Juliet.

— Nie dla publikacji. Mam oczywiście obszerne notatki. Kiedy znajdę jakieś wiarygodne powiązanie z pradziejami, przedstawię publicznie moją teorię owalnego, podzielonego Edenu. Nie wcześniej.

— Chyba nie w „Daily Mail”! — powiedział Scott.

— Stanowczo nie.

— Jeśli Eden był pierwotnie tak duży, jak myślę — ciągnął Adam — nikt nie zdoła wskazać jednego miejsca i powiedzieć: tu był ogród rajski. Ale nie to jest naszym celem.

— Pomyśleć, że ktoś może postawić stopę w samym jego środku — szepnęła Juliet.

W kuchni zapadła na chwilę niesamowita cisza.

— Byłby to tryumf nie mniejszy niż odkrycie arki Noego — mruknął w zamyśleniu Adam.

Zamilkł i uśmiechnął się.

— W każdym razie moim celem jest teraz Eden, a może sam jego środek.

— Dziękuję, że mi pan o tym wszystkim powiedział — wyszeptała Juliet.

Adam nagle uświadomił sobie, że mełł językiem przez całą godzinę, ujawniając swoje plany i teorie.

— Nikomu ani słowa o tym wszystkim, panno Halsay — powiedział. — Jest pani tutaj od jakiegoś czasu, rozumie więc pani, że to konieczność.

— Tak, oczywiście.

Scott wstał.

— Idę na górę.

— Za chwilę też tam pójde — zapewnił go Adam. — Chyba wypiję jeszcze filiżankę herbaty. Pani Graves, czy mogłaby pani zaparzyć mi świeżej?

9.

Scott wyszedł z kuchni.

Wszyscy milczeli, czekając, aż herbata się zaparzy. Adam podniósł spojrzenie na Juliet.

— Zdziwiłem się, że tak zainteresowała się pani naszymi pracami — powiedział po dłuższej chwili. — Ale cieszę się. Zdaje się, że sporo pani wie na ten temat.

— Chyba w tej chwili wszystko zaczęło mnie interesować bardziej niż przedtem. I jestem zadowolona, że nie czuję już potrzeby noszenia swetra.

— Czemu można przypisać ten przypływ entuzjazmu — roześmiał się Adam — jeśli nie temu, że ranek jest za ciepły na swetry?

Spojrzał wyczekująco na dziewczynę goszczącą w jego w domu.

— Naprawdę chce pan wiedzieć? — spytała Juliet.

— Oczywiście. Bezustannie poszukuję nowych znaczeń, tych ukrytych w skorupie Ziemi i tych zamkniętych w ludzkim sercu. Proszę mi powiedzieć... Tak, to mnie interesuje.

Juliet zamyśliła się na chwilę.

— Sądzę, że nie jest to takie skomplikowane. Po prostu doszłam do wniosku, że czas już spojrzeć przed siebie.

— Rozumny wniosek. A skąd się wzięł?

— Z promyka słońca, który wpadł przez moje okno.

— Z promyka słońca?

— Tak, to było godzinę temu — roześmiała się Juliet.

— Co tu ma do rzeczy promyk słońca?

— Nie chodzi o sam promyk, ale o poczucie spokoju, jakie spłynęło do mojego serca. Czułam obecność Boga i wypełniło mnie poczucie spokoju.

— Aha... rozumiem.

Niezupełnie takiej odpowiedzi oczekiwał Adam.

— I jeszcze coś — ciągnęła Juliet. — Czułam, że Bóg zesłał na mnie pokój po to, żebym znowu stanęła na nogi. Uświadomiłam sobie, że Bóg jest dobry. Uświadomiłam sobie, że zależy Mu na mnie i że życie nie musi być złe. Może nawet potrafię być znowu szczęśliwa.

Adam zadumał się nad tymi słowami. To wszystko wydało się zbyt proste. Gospodyni nalała mu herbaty i postawiła przed nim filiżankę. Cieszyła się, że jej siostrzenica wraca do siebie. Niepokoiła się jednak tym, że Juliet siedzi przy stole i rozmawia tak swobodnie z jej chlebodawcą.

— A zatem, Bogu na pani zależy? Zabrzmiało to bardzo osobście — zauważył Adam.

— Dotychczas niewiele się nad takimi sprawami zastanawiałam. Ale ma pan rację. Spokój, który poczułam, miał w sobie coś bardzo osobistego. A w tej chwili wydaje mi się, że gdyby Bóg nie zwracał się do mnie osobście, nie mógłby chyba być naprawdę Bogiem.

— Mam wrażenie, że nie nadażam za panią.

— Jak mógłby być Bogiem, gdyby nie interesował się, i to czynnie, naszym życiem?

Skinął powoli głową, rozważając jej słowa.

— Muszę przyznać, panie Livingstone, że jest to dla mnie coś zupełnie nowego — ciągnęła Juliet. — Ale wiem, że Bogu na mnie zależy. I zależało nawet, kiedy spotykały mnie złe rzeczy. Gdy już sobie to uświadomiłam, spostrzegłam, że życie może być dobre i że

pora, bym się z tego cieszyła. Z pewnością za każdym razem, gdy przypomnę sobie brata i ojca, powróci smutek. Nie można z dnia na dzień uporać się z czymś takim. Będę jednak robić co w mojej mocy, żeby nie zapominać, że Bóg jest dobry. Także kiedy jest mi smutno. I bez względu na to, co się dzieje.

— To robi wielkie wrażenie, panno Halsay. Choć, muszę wyznać, przekracza moje zrozumienie. Chyba nikt dotąd nie powiedział mi czegoś takiego... że albo Bóg jest osobowy, albo Go nie ma.

— Przecież to oczywiste, panie Livingstone. Dowodzi tego pańskie odkrycie.

— Moje odkrycie?... W jaki sposób?!

— Bóg powiedział Noemu, że zamierza zesłać na ziemię potop i co trzeba zrobić, by ocalić dzieło stworzenia. Czy może być coś bardziej osobistego? Bóg rozmawia z człowiekiem i mówi mu, jak zbudować okręt. Przecież pan sam dowiódł, że Bóg ma do nas stosunek osobisty. A jeśli znajdzie pan Eden, choćby, jak sam pan powiedział, małą jego częśćkę, proszę sobie wyobrazić, jak bardzo będzie to osobiste! Bóg w tym właśnie ogrodzie przechadzał się i rozmawiał z Adamem! Proszę tylko pomyśleć, panie Livingstone: Bóg przechadzał się po ogrodzie rajskim i rozmawiał z człowiekiem, który nosił to samo imię co pan! I właśnie pan wyrusza na poszukiwanie tego miejsca!

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Adam usłyszał, że ktoś otwiera frontowe drzwi.

— Och, to Jane! — wykrzyknął.

Poczuł ulgę, bo nie musiał już komentować faktu, że dowiódł czegoś, co ma związek z istnieniem Boga. Przecież nawet nie wie, czy wierzy w Boga! A siostrzenica pani Graves mówi mu, że dowiódł Jego istnienia! Musi się kiedyś nad tym zastanowić.

Wypił jednym haustem pół filiżanki herbaty, a potem zerwał się i pobiegł w stronę drzwi.

— Dziękuję za śniadanie, pani Graves. Jen!... Jen, jestem tutaj! Wybiegł z kuchni.

— Pójdę z tobą na górę. Musimy pogadać w trójkę o ostatecznym kształcie planu działania. Pracowałem nad tym cały ranek.

Dwa głosy oddaliły się i zanikły. Juliet nasłuchiwała przez chwilę. Jakąś częścią siebie samej pragnęła biec za nimi. Chciałaby usłyszeć więcej o poszukiwaniach, które będą prowadzić w Afryce.

Wstała i podeszła do globusa. Kilka minut wpatrywała się w zadumie w wielki owal, który Adam nakreślił palcem na mapie.

Jakie tajemnice skrywa ten obszar? Jakie ujawni wkrótce Adamowi Livingstone'owi?

ROZDZIAŁ ÓSMY

BRAKUJĄCE OGNIWO

1.

Odlot do Nairobi miał nastąpić za dwa tygodnie.

Adam położył się na łóżku i podparł głowę paroma poduszkami. Nie był na tyle senny, żeby uznać dzień za miniony. Otworzył nadesłany rano numer „National Geographic”.

Kiedy tylko zaczął przeglądać pismo, jego uwagę zwrócił krótki artykuł poświęcony dziwnemu botanicznemu zjawisku, jakie zaobserwowano na pustyni w najbardziej na zachód wysuniętym rejonie Arabii Saudyjskiej. U stóp dawno wygasłego wulkanu, w miejscu całkowicie pozbawionym wody wykiełkowała z pustynnego podłoża nieznana roślina. Kiedy ją zauważono, była już sporym drzewkiem, które rozwinęło się jak w cieplarni.

Zdarzyło się to trzy lata temu. Od tego czasu drzewko wypuściło gałęzie i okryło się obfitym listowiem. Było przez cały rok zielone i mierzyło sto dziesięć centymetrów wysokości, a pień gruby i mocny jak na okaz flory rosnący tak szybko. Najbardziej zdumiewające było to, że drzewko miało w sobie jakąś leśną moc, gdyż wokół niego pustynia zazieleniła się w promieniu jakichś stu metrów trawą, krzewami i innymi niezwykłymi gatunkami roślin.

Adama ogarnęło dziwne uczucie. Było w tym coś sprzecznego z rozumem. Kiedy czytał niewiarygodną relację, jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, że pewnego dnia będzie musiał zająć się tą sprawą.

Nadal nie płynął tamtędy żaden strumyk. Nikt nie wiedział o żadnym podziemnym źródle czy studni. W ciągu dwóch lat nie spadła ani kropla deszczu. A drzewo, które wyrosło w takich niecodziennych warunkach, na podłożu ze skały i piasku, nie należało do żadnego znanego gatunku. Z uniwersytetów w Kairze, Ammanie i Rijadzie sprowadzono botaników i historyków ogrodnictwa, ale daremnie. Wszystkie teorie zawodziły, żadna nie umiała wyjaśnić, skąd wzięła się nagle ta oaza pośród pustyni. Dokonano analiz, które nie doprowadziły jednak do niczego. Kwestia, w jaki sposób skalista i piaszczysta gleba mogła wydać tak zielone życie, pozostała tajemnicą.

Każdego dnia kielkują nowe rośliny, drzewka i krzewy — podano w artykule. Oaza stawała się coraz większa.

Wyrosło wiele drzew najrozmaitszych gatunków, żadne jednak nie było spokrewnione z tym pierwszym. Za parę lat — twierdził autor — jeśli wszystko będzie szło jak dotychczas, to miejsce zmieni się w puszcę.

Całą stronę zajmowało zdjęcie z podpisem: „Arabia — starożytne drzewo tajemnicy”. Drzewo nie przypominało żadnego znanego Adamowi gatunku.

Przez jego ciało przebiegł jakiś dziwny dreszcz. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zdjęcie. Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. „Jaka szkoda, że nie zobaczył tego stary Harry Mac!” — przyszło mu do głowy. Od paru lat nie myślał o Harrym Macu, od czasu, kiedy pracował na uniwersytecie nad artykułem poświęconym staremu archeologowi. Nagle napłynęły wspomnienia.

Może dlatego, że wszystko zdarzyło się w tym, a nie innym miejscu? Może dlatego, że wspomina się przy tej okazji o sprawach nadprzyrodzonych? W artykule podano, że zamieszkujący pustynię nomadowie ogłosili, że to miejsce jest święte, i przypisali drzewu Boską moc. Podobno zawdzięczano mu już kilka uzdrowień, a dwie osoby miały wizje.

Nowa oaza pojawiła się, jakby wskutek niewiarygodnego zbiegu okoliczności, za ogrodzeniem, które otaczało teren uznany za interesujący z archeologicznego punktu widzenia. Na razie cały pokryty

roślinnością obszar znajdował się wewnątrz ogrodzenia i dzięki temu rosnące pośrodku drzewo było zabezpieczone przed pielgrzymami, turystami i złoczyńcami. Żadne ogrodzenie nie powstrzyma jednak rozrastającej się plamy zieleni, która nie zdradza najmniejszej chęci do zahamowania swej ekspansji.

Zafascynowany artykułem Adam odłożył czasopismo i zgasił nocną lampkę.

2.

Nagle obudził się i spojrzął na zegarek. Trzecia trzydzieści sześć! Od razu wiedział, że już nie uśnie. Wstał i zaczął się pośpiesznie ubierać.

Poszedł do biura.

Dwie godziny później nadal siedział wpatrzony w monitor komputera.

Światło z zewnątrz wpadało przez okno, natomiast reszta domu i całego miasta spała. Tylko Adam Livingstone nie mógł zasnąć, gdyż w jego umyśle rozpętała się historyczna i archeologiczna zawierucha. Całe ciało miał jak naładowane elektrycznością, naukowa wizja rozgrzewała mu krew.

Ciągle powracały mu do głowy trzy zdania.

O pół do czwartej nad ranem wszystkie trzy wypełzły nagle z otchłani snu, niosąc ze sobą nowe, oszałamiające implikacje odkrycia, którego dokonał na Araracie.

Słowa, które usłyszał w ogrodach królowej, zapadły głęboko w jego podświadomość. I dzisiejszej nocy wypłynęły na powierzchnię. „Może arka stanie się dla pana czymś w rodzaju Lucy.”

I jeszcze to, co powiedziała ta dziewczyna. On miałby dowodzić, że Bóg jest osobowy! To naprawdę irytujące! Jej słowa przełamywały wszystkie jego duchowe uprzedzenia. „Jeśli znajdzie pan Eden... proszę sobie wyobrazić, jak bardzo będzie to osobiste!”

Największa jednak moc biła z wiadomości o drzewie w Arabii. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. „To cud! — głoszą tubylcy z pustyni.”

Cud!... cud!...

Słowa raz po raz powracały w jego myślach.

Cud... Co wynika z tego słowa?

Czy Eden to cud?

Czy arka to cud?

Czy życie to cud?

I nagle wydało mu się, że wszystko przeniknął jakiś sens wyższego rzędu — nie mający nic wspólnego z rozumem i logiką.

Siedział przy komputerze w świetnie wyposażonym pokoju do pracy, gdzie mieli swoje biurka Scott, Crystal i Jen. Minęły już dwie godziny, a on siedział tam prawie bez ruchu.

Tylko jego palce biegały po klawiaturze gwałtownie, jakby biorąc za coś odwet.

Obok leżały na stole teczki i notatniki, a wśród nich wszystko, co wiązało się z poszukiwaniem Edenu. W ciągu tych dwóch godzin wprowadził do pamięci komputera wiele notatek, między innymi całą dokumentację związaną z odkryciem na Araracie. Sprawdził mnóstwo naukowych danych, które zgromadził w roku poprzedzającym wyprawę.

Jego oczy płonęły żarem, jak komuś, kto stoi na progu wielkiego odkrycia. Przed oczyma duszy miał bezustannie obraz tamtego drzewa.

Myśli, które przemykały mu przez głowę, były oszałamiające, wprost nie do wiary. Przenikała go świadomość, że nad jego teorią wisi więcej gróźb, niż sobie wyobrażał. Nigdy nie miał przed sobą potężniejszej wizji... nigdy dotąd.

Tego ranka w jego umyśle otworzyło się okno na jakiś nowy wymiar. Z wielkim trudem udało mu się skupić na tyle, by wpisywać do komputera słowa, liczby i współrzędne. Zanim pomyśli o wnioskach albo o komputerowej symulacji, musi wprowadzić wszystkie dane. Potem przyjdzie czas na nowe modele i hipotezy.

Od wielu lat igrał swoją teorią owalnego Edenu i jego czterech rzek. Ale przez cały czas był to tylko wierzchołek góry lodowej.

Przedmiot poszukiwań, ich konsekwencje to coś bez porównania więcej, niż sądził.

A jeśli cała przyszłość gatunku ludzkiego zależy od znaczenia Edenu?... I co się stanie, jeśli Eden zostanie naprawdę odnaleziony?

Dwa pozornie nie związane z sobą wątki myślowe splotły się w jego umyśle, tworząc logiczną i wiarygodną, aczkolwiek zadziwiającą sieć. Powstał jakiś wstrząsający paradygmat, którego jądro stanowił element osobisty i wyrazisty.

Osobisty i wyrazisty! Mówił Juliet o zmianach klimatycznych i zjawiskach, do jakich dochodziło na Ziemi wskutek ślepego trafu. Jakby to wszystko było ze swej natury przypadkowe! A jeśli fundament tajemnic Edenu ma charakter przyczynowo-skutkowy? Jeśli rządzi tym jakiś głębszy zamysł? Coś bardziej osobowego? Raczej ktoś!

Była to myśl zbyt fantastyczna. Przy niej bladło odkrycie arki.

A jednak, gdyby nie arka, ta myśl nie powstałaby, gdyż dopiero to, co odkrył na Araracie, otworzyło mu oczy na duchowy wymiar hipotezy Edenu.

Nigdy dotąd nie rozważał takiej integracji wymiarów. A przecież zarówno arkę, jak i Eden można zrozumieć jedynie w ich wymiarze duchowym.

Trzeba ściśle powiązać pierwszego człowieka, Adama, z Noem. Osobno Edenu i arki nie da się wtłoczyć w żaden sensowny historyczny wzorzec. A on podchodził do nich przez cały czas jak do zupełnie oddzielnych kwestii, chociaż związek rzucał się w oczy. I to na wielu poziomach, których nauka nigdy nie uwzględnia.

Klucz do tajemnicy jest ze swej natury duchowy, nie zaś naukowy. A to wszystko zmienia.

Czy naprawdę osobowy Bóg pouczył człowieka, jak zbudować gigantyczny okręt, a potem nakazał porzucić go pod górskim szczytem, kiedy opadły wody?

I czy teraz sam Bóg sprawił, że wystąpiło nowe pustynne zjawisko — z pozoru fenomen natury, lecz w gruncie rzeczy coś głęboko tajemniczego? Czy więc źródło tego zjawiska jest nadnaturalne?

Może więc jednak światem rządzi zasada celowości? Co poczęliby z czymś takim ewolucjoniści, którzy zaufali wszak tanecznemu korowodowi zadziwiających zdarzeń i ślepemu trafowi, decydującemu o układzie atomów?

Dokąd zaprowadzą go te nowe, nieoczekiwane i zadziwiające myśli?

Palce Adama zastygły bez ruchu. Odchylił się do tyłu i zaczerpnął głęboko powietrza. Po chwili zastanowienia wyjął z półki nad biurkiem egzemplarz Biblii.

Książka otworzyła się sama na pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju. Był to jedyny interesujący go fragment tak zwanej świętej księgi, a i tak zajmował się nim tylko jako tekstem, który może rzucić światło na jego prace badawcze. I oto w jednej chwili poczuł łaknienie, by przyswoić sobie te słowa.

W końcu uświadomił sobie, że właśnie tutaj, nie zaś w pyle, lodzie, piasku czy granicie, znajdzie jednolitą teorię początków, o której zawsze marzył... w tej księdze!

„Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa...” — przeczytał.

I raz jeszcze pojawiły się słowa, które raz po raz przemykały mu przez głowę w ciągu ubiegłych dwóch godzin: „Oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła”.

Dwa drzewa... w samym środku ogrodu!

Czy koniec czasów przyjdzie, kiedy trzeba będzie wybierać między tymi dwoma drzewami?

Skąd pojawiła się ta myśl? Koniec czasów... Te słowa łączył jedynie z religijnymi fanatykami. Czy to możliwe, żeby zbliżało się wydarzenie tak straszliwe? Bez wątpienia wielu ludzi na całym świecie oczekuje, że brzask nowego milenium okaże się brzemienny w znaczenie. Czy to możliwe? A może w niewłaściwym miejscu szukał światła, które pokaże mu koniec czasów. Księga Rodzaju to księga początku, a nie końca!



Jak dopasować wszystkie części łamigłównki?

„Z Edenu zaś wypływała rzeka, aby nawadniać ów ogród, i stamtąd się rozdzielała, dając początek czterem rzekom.”

Umysł Adama formował coraz to nowe myśli. Ale przebłyски światła były wciąż za mało wyraziste i coraz więcej pojawiało się pytań, a coraz mniej odpowiedzi.

3.

Adam brnął raz po raz przez stronice, przebiegał tam i z powrotem pierwszych jedenaście rozdziałów, od opowieści o pierwszym człowieku do historii Noego, szperając w tekście jak wygodniały człowiek, który szuka pokarmu. Wnikał w słowa, jakby z trudem przedzierając się przez starą relację z wydarzeń, których odtwarzaniu poświęcił życie. Umysł archeologa poddawał każde słowo dociekliwemu badaniu, jak podczas wykopalisk unosił słowne kamienie i przyglądał się im zmrużonymi oczami, wygrzebywał je i omiatał szczoteczką — z nadzieją, że pod każdym znajduje się jakieś nie odkryte dotąd ziarno prawdy.

„Pan Bóg nie zsyłał deszczu na ziemię.”

Oto dowód prawdziwości teorii przedpotopowego sklepienia.

A potem doszedł do słów, których nigdy dotąd nie próbował zgłębić.

„Dlatego Pan Bóg wydalil go z ogrodu Eden... Wygnawszy zaś człowieka, Bóg postawił przed ogrodem Eden cherubów i połyskujące ostrze miecza, aby strzec drogi do drzewa życia.”

Środek Edenu został celowo ukryty. To ukrycie, także potop — to nie były geologiczne albo meteorologiczne przypadki.

Wszchemogący zapieczętował ogród i podzielił go — z powodów Jemu tylko znanych. Ogród odebrano człowiekowi, tak jak przedtem mu go dano. Przez wszystkie późniejsze lata pozostawał ukryty, a wejścia doń strzegli aniołowie.

Kiedys natknął się na ten wers... tak, coś o rzeczach ukrytych!

Gorączkowo przerzucił stronice i znalazł się przy końcu Księgi. Chociaż nie miał wprawy, szybko odnalazł za pomocą konkordancji właściwe miejsce. Chwilę później obracał stronice w poszukiwaniu Ewangelii Marka.... Jest! Rozdział 4, wers 22.

Tego szuka! „Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało wyjść na jaw.”

Co by nie miało wyjść na jaw!

Czy to możliwe, że pewnego dnia... że zostanie odnaleziony ogród Eden... że ma być znaleziony?

Czy będzie śmiało marzyć o czymś takim?

4.

Wkrótce po przebudzeniu Adam utworzył kilka nowych plików w komputerze. Natychmiast przystąpił do wprowadzania natłoku nowych myśli wraz z aktualnymi danymi, zespalając wszystko z tym, co robił poprzedniego dnia.

Jakieś pięć lat temu Adam zaczął czytać pozycje z nurtu kreacjonistycznego. Nigdy nie przywiązywał wielkiej wagi do tego, co uważał za pseudonaukową stronnicość. Ponieważ jednak był archeologiem, pociągało go wszystko, co mogło rzucić światło na starożytną literaturę.

Nagle hipoteza mówiąca, że ogólnościowa powódź doprowadziła do wypiętrzenia pasm górskich, pogłębienia oceanów, powstania formacji skał osadowych i jednoczesnego przesunięcia kontynentów, wydała się mu fascynująca. Naukowa strona jego umysłu nigdy nie mogła pogodzić się z tezami, które przedstawiali ci autorzy. Ale teraz poczuł się zaintrygowany. Przyznawał bowiem, że powódź na skalę całego globu jest czymś więcej niż tylko legendą.

Lektury z zakresu kreacjonizmu skłaniały do zajęcia się kwestią datowania obiektów starożytnych oraz metod tego datowania. Znał dobrze metodę węgla C-14 oraz metodę radiometryczną z

wykorzystaniem potasu i argonu. Ostatnio zaczęły głośnić nowe własne idee. Nie można już rozważać osobno teorii wysuwanych przez świat naukowy i teorii dosłownego kreacjonizmu. Naukowcy mówili, że świat ma siedemnaście miliardów lat. Kreacjoniści mówili o sześciu tysiącach. Adam zawsze opowiadał się za poglądem naukowym, który był fundamentem teorii ewolucjonistycznej.

Czy datowanie może określić dokładniej jedną z tych skrajnych możliwości? Jeśli potop, co wydawało mu się teraz prawdopodobne, doprowadził do geologicznego kataklizmu, całe podłoże mogło zostać wywrócone do góry nogami i ułożone na nowo, wskutek czego tradycyjna geologia uznawała je za starsze, niż w istocie było. I podobnie z rzekami: potop mógł odwrócić ich bieg, mógł doprowadzić do ich zniknięcia.

A także wytworzyć na obszarze Edenu rowy tektoniczne i zmienić rzekę Pizson w Morze Czerwone.

Odkrycie arki pozwoliło dokonać syntezy rozmaitych poglądów i wysunąć wiarygodną tezę, której nie będą podważać ani ewolucjoniści, ani kreacjoniści.

Arka dowodzi, jak można mniemać, że wydarzenia z Księgi Rodzaju nie są mitem. Kiedy tylko przyjmie się ten fundamentalny pewnik, otwiera się droga pozwalająca przejść od rozdziału szóstego do drugiego. Czy Adam ma prawo dobierać sobie jedne fragmenty, a odsuwać na bok inne? Kto dał mu prawo do posługiwania się takim skalpelem do wykrawania prawdy? Czy odkrycie arki nie wymusza przyjęcia całej Księgi Rodzaju? Skoro część opowieści jest prawdą, dlaczego nie miałyby być nią całość?

To skok ilościowy. Chodzi tu o odbycie drogi wstecz od znanych podlegających weryfikacji faktów historycznych aż do punktu wyjścia!

W opowieści o ogrodzie Adam dotarł do miejsca znajdującego się ledwie kilka wersów od samego początku.

Poświęcił temu życie. Teraz miał przed sobą ów Wielki Początek wszystkiego.

To może stać się całkowicie nowym fundamentem całej ludzkiej wiedzy... dosłowne odczytanie Księgi Rodzaju... powrót do opowieści

w skali 1:1. I wtedy słowa odczytywane jako opis faktów zapierają dech w piersi: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”.

5.

W dziedzinie, którą uprawiał Adam Livingstone, dokonano wielu znaczących odkryć. Jednym z największych była oczywiście jego przygoda z Araratem. Ale wcale nie pierwszym, które cieszyło się takim rozgłosem.

Nieraz obwieszczano już, że brakujące ogniwo zostało znalezione. Przypisano ten tytuł zarówno dziecku znalezionemu w 1924 roku w Taung, jak znalezionej w 1973 roku Lucy. Potem sir Gilbert odkrył cmentarzysko *homopithecusa*, któremu nadał rangę brakującego ogniwa między *australopithecusem* i gatunkiem *homo sapiens*. Ale żadne z tych trzech znalezisk nie pozwalało na powiązanie w miocenie — w potwierdzony naukowo sposób — istot z gatunku *pongidae* i hominidów.

Prawdziwym brakującym ogniwem była arka. To ogniwo łączące człowieka z historią, wydarzenia ze znaleziskami archeologicznymi, a także — czy odważy się kiedyś sformułować tę myśl?! — to świadectwo pierwszego spotkania człowieka z samym Bogiem.

Ararat to najważniejsze odkrycie archeologiczne wymagające datowania. W przeciwieństwie do wielu kopalni, przy których ustalenie znaczenia wiązało się z daleko idącymi i czasem kruchymi domysłami, arka była świadectwem samym w sobie. Po prostu była. A czymże dopiero byłoby odkrycie Edenu?

Adam pomyślał w tym momencie o swoich kolegach i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Chociaż nie zamierzał lekceważyć odkrycia sir Gilberta, zdawał sobie sprawę, jak daleko jeszcze do powiązania hominidów z małpami. Ale opinia publiczna była przekonana o przełomowym znaczeniu odkrycia, i to Bowlesowi wystarczyło.

Zerknął na swój opatrzony dedykacją egzemplarz *Znalezionego ogniwa*. Jakże ewangeliczny jest Bowles w swoim ateizmie! Jakże

chętnie wykorzystałby myśli, które kłębiły się teraz w głowie Adama!

Obraz sir Gilberta zmusił go do skierowania tych myśli na bardziej realistyczne tory. A jeśli znajdzie fragment Edenu, ale będzie miał z tego tylko osobistą satysfakcję? Jeśli nie poda dowodu, obie strony będą podważać każdą nową teorię, nie wychodząc poza swoje z góry przyjęte stanowisko. Niejeden zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby zdyskredytować nowe idee.

Cóż, muszę przedstawić dowód, którego nie zdołają podważyć — pomyślał Adam.

Sprawa miała tak ogromny wymiar, że ludzie będą musieli zmienić swój sposób myślenia. Przyćmi dokonania Darwina. Położy podwaliny pod całkowicie nową dziedzinę nauki, której przedmiotem będzie dzieło stworzenia. I wydawało się — chociaż Adam wiedział, że musi to jeszcze bardziej szczegółowo przemyśleć — iż zostanie w ten sposób raz na zawsze udowodnione, że twierdzenie o ewolucji człowieka z innych gatunków jest błędne.

Raz jeszcze zaczął zastanawiać się nad konsekwencjami.

Jeśli ma rację, znajdą się ludzie, którzy postarają się nie dopuścić do opublikowania tego rodzaju dowodów. Ta świadomość zgasła nieco jego zapał. Siły, które widzą w człowieku owoc procesu ewolucyjnego, przeniknęły głęboko do społeczeństwa. Ewolucjonizm i dobór naturalny to dwa kamienie węgielne, na których zbudowano modernizm i humanizm. Cała sprawa może okazać się niebezpieczna.

W tej chwili nie mógł zaprzętać sobie tym głowy. Musiał rozważyć, co to wszystko oznacza. Zresztą nie zamierza dopuścić, żeby cokolwiek z tych przemyśleń przedostało się do mediów.

Z powrotem skupił uwagę na ekranie komputera i położył palce na klawiaturze.

Jak zaprogramować komputerową symulację postdyluwialnych przesunięć geologicznych z uwzględnieniem zmian klimatycznych?... I jaką skalę czasową przyjąć? Będzie potrzebny bardziej skomplikowany program, ale na razie może zacząć z tym, co ma.

Przez następne dwie godziny Adam siedział przebierając palcami po klawiaturze, rozgorączkowany, czując, jak wzrasta poziom adrenaliny. Przenosił na twardy dysk dane z dziesiątków dokumentów i wiedzę, którą zgromadził w ciągu życia wypełnionego pracą i badaniami naukowymi.

W końcu wprowadził do komputera większość danych.

Wstał, przeciągnął się i wypuścił powietrze z płuc. Był znużony. Musi zrobić sobie przerwę.

Spojrzał na zegar. Siódma dwadzieścia. Pani Graves pewnie już wstała. Trzeba napić się herbaty i coś zjeść.

— No cóż, przyjacielu — powiedział cicho, kładąc łagodnie dłoń na monitorze — jeszcze przed końcem dnia wyjawisz mi swoje tajemnice. Być może obaj mamy coś więcej do pokazania światu niż tylko historia odkrycia arki Noego.

Trzy kwadranse później wszedł Scott. Adam usłyszał z kuchni jego kroki i natychmiast do niego pobiegł.

— Dzień dobry. Pójdę z tobą na górę. Wkrótce zobaczysz, co wrzuciłem do komputera.

— Co takiego?

— Przemyślałem na nowo całą moją teorię Edenu. Od początku do końca — odparł ze śmiechem Adam.

— Co? Od wczoraj?

— Chodzi o cały świat, którego przedtem nie dostrzegaliśmy... Nawet go nie szukaliśmy, bo nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu. Chodź, pokażę ci.

Popędzili na górę przeskakując po dwa stopnie.

— Czy są już Erin i Jen? Chcę, żeby też to zobaczyły.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

STRACH JEST CORAZ BLIŻEJ

1.

Adam i Scott weszli do biura. Crystal siedziała już przy swoim biurku. Kilka minut później przyszły do pracy Erin i Jen.

— Wielkie nowiny! — oświadczył Adam.

— Przyszły wizy afrykańskie? — spytała Jen.

— Co to, to nie — roześmiał się Adam. — Crystal trzyma rękę na pulsie. A właśnie — dodał, obracając się do sekretarki — jak wygląda ta sprawa?

— Tydzień, najwyżej dziesięć dni — wyjaśniła Crystal.

— Na styk. Jen, Scott i ja mamy wyjechać za dwa tygodnie.

— Będą.

— Trzeba też przygotować paszporty — dodał, spoglądając na dwójkę swoich asystentów. — Macie zdjęcia?

— Po Turcji nie ma dla nas rzeczy niemożliwych — roześmiał się Scott.

— Dobrze. Scott, zająłeś się wysyłką sprzętu?

— Tak. Finiszujemy. Muszę zobaczyć się z paroma osobami, kiedy tylko rozbijemy obóz w Tanzanii.

— Jen, plan prac i szczegóły topograficzne?

Asystentka skinęła tylko głową.

— Jesteś w kontakcie z naszym kairskim botanikiem?

— Będę z nim rozmawiać jutro. W biurze powiedzieli, że jest w tym czasie wolny i chętnie z nami popracuje.

— Skąd więc zwłoka?
— Doktor Cissna jest w dżungli z amerykańskim korpusem pokojowym. Nie udało mi się z nim skontaktować.
— Zostaw to Amerykanom!
— Zaraz, zaraz! — roześmiał się Scott.
— Jestem pewna, że nie myśli o swoim dzisiejszym towarzystwie — powiedziała Crystal.
— Masz rację — przyznał Adam. — Ale naprawdę potrzebuję eksperta od afrykańskiej flory, a Cissna uważany jest za najlepszego. Nie poddawaj się, Jen.

— Jasne. Ale z jakimi wielkimi nowinami przyszedłeś?
— Chodzi o całą serię skojarzeń między odkryciem arki i teorią Edenu. Jestem na nogach od pół do czwartej. Wprowadzałem dane. Potrzebuję więcej informacji geologicznych. Chodźcie tutaj. Pokażę wam, czego dokonałem dotychczas. Spójrzcie na hipotetyczną mapę wielkiego owalu.

Adam przemierzył z ożywieniem pokój i usiadł przy komputerze, przy którym spędził już dzisiaj kilka godzin. Scott, Jen, Erin i Crystal stanęli nad nim półkolem.

„Obudził” ekran monitora, a potem kliknął dwa razy, żeby uruchomić nowy folder, który kilka godzin temu utworzył, dając mu nazwę „Rozszerzony Eden”. Pojawiły się ikony kilku dokumentów.

Szybko przesuwając mysz, klikał dwukrotnie, żeby otworzyć kolejne pliki.

Niespodziewanie pokazał się komunikat mówiący, że system wyłączył się wskutek błędu typu 1.

Wszyscy zgodnie jęknęli.

— No nie! — wykrzyknął Adam.

— Krew mnie zalewa, kiedy się coś takiego dzieje — powiedział Scott.

Adam opadł na krzesło, jakby nagle opuściło go całe ożywienie. Patrzył z niedowierzaniem na ekran.

— Może przeciążyłeś pamięć RAM? — powiedziała Crystal.

— Ten komputer ma trzy razy więcej pamięci, niż potrzeba, żeby zmieścić pliki z wszystkich komputerów w tym domu — odparł Adam.

Nie odrywał wzroku od martwego ekranu. Ogarnęło go jakieś złe

przecucie. Stopniowo zebrał siły i wyprostował się. Położył dłoń na myszy i zaczął przesuwając kursor po ekranie, klikając co jakiś czas. Nic.

— Tego się bałem — westchnął.

— Zresetuj — odpowiedziała Jen.

— To nic nie da. Zawiódł system. Crystal, jak ponownie uruchomić?

— Control, command, power.

Adam nacisnął trzy przyciski. Ekran zgasł, potem rozległ się ostrzegawczy sygnał. Po chwili ukazała się ikona macintosha przedstawiająca smętną twarzyczkę.

Znowu rozległ się chóralny jęk. Wszyscy wiedzieli, że ta ikona oznacza najgorszą ze wszystkich możliwości.

— Katastrofa — powiedział Adam.

Raz jeszcze odchylił się do tyłu na krześle, splótł dłonie na karku i sapnął ze złości.

— Nawet nie chcę myśleć, co być może straciłem!

— Nie przejmuj się. Zajmiemy się tym gruntownie — próbowała go pocieszyć Crystal.

Łagodnym gestem zepchnęła Adama z krzesła i zajęła jego miejsce.

Adam dźwignął się ciężko, jakby miał na barkach cały świat. Uniesienie, jakie czuł, pędząc przed chwilą po schodach, zniknęło bez śladu. Miał wrażenie, że jakiś głaz leży mu na żołądku. Zrobiło się mu niedobrze.

Przyzwyczał się do możliwości komputera i nigdy nie umiał się pogodzić z czymś takim. Nie wyobrażał sobie straszliwszego uczucia niż własna bezsilność po tego rodzaju katastrofie. Zwłaszcza że do czegoś takiego zawsze dochodziło po wybuchu energii twórczej. Pierś ścisnęło mu uczucie paniki, bo przepadła cała jego poranna praca. A może... może to atak serca!

Scott wpełzł już pod biurko i sprawdzał połączenia. Crystal eksperymentowała z klawiaturą i myszą, próbując rozmaitych trików, żeby uruchomić urządzenie. Osiągnęła tyle, że na monitorze raz jeszcze pokazała się smętna twarzyczka.

— Czy zapisałeś wszystko na twardym dysku? — spytała przez ramię Crystal.

— Jasne — odparł Adam. — Zanim zszedłem na śniadanie. To bez znaczenia, jeśli twardy dysk jest uszkodzony.

— Niczego nie stracimy — zapewnił spod biurka Scott.

— Dokopiami się do twoich danych.

— Zróbcie, co się da — odparł przygnębiony Adam.

— Ja muszę się przejść.

Zbiegł po głównych schodach i po chwili zaczął krążyć bez celu po swoim ogrodzie.

2.

— Musimy się dokopać do tych danych — powtórzyła Jen słowa Scotta, gdy tylko Adam wyszedł z pracowni.

— Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie.

— Nie cierpi komputerów — powiedział Scott. — Uwielbia tylko to, co mogą zrobić. Przy tym doskonale sobie z nimi radzi. Nie może tylko znieść tego, że jest na ich łasce i niełasce.

Adam wrócił na górę po godzinie.

Miny współpracowników powiedziały mu od razu, że ich wysiłki spełzły na niczym. Zobaczył tylko nogi Scotta. Podłoga usłana była przewodami, a Scott sprawdzał po kolei wszystkie urządzenia. Crystal nie ruszyła się znad klawiatury, Jen była pochłonięta lekturą technicznego podręcznika. Erin siedziała przy telefonie.

Adam spojrział w jej stronę.

— Rozmawia ze swoim chłopakiem komputerowcem — oznajmiła, podnosząc na chwilę wzrok, Jen.

— Niestety, pora już wziąć jakiegoś fachowca — westchnął Adam.

— To właśnie robi Erin — rzekła Jen.

Erin zerknęła w jego stronę.

— Dexter mówi, że mogą przysłać kogoś, ale dopiero jutro.

Adam podszedł do niej i wziął do ręki słuchawkę.

— Dexter, daj mi szefa.

Czekał. Po dłuższej chwili w słuchawce rozległ się inny głos.

— Tu Adam Livingstone. Mamy poważny kłopot. Sprawa jest

bardzo pilna. Podpisaliśmy umowę, która przewiduje pełną obsługę...

— Przykro mi, panie Livingstone, ale nie znajdziemy już dzisiaj ani chwili czasu. Co to za model?

— Modular 9800.

— Może przywiózłby pan twardy dysk do nas?

— Ktoś będzie mógł rzucić okiem?

— Tak... Ale niestety nie mogę nikogo posłać do pana.

— Zaraz ktoś do was pojedzie.

— Najlepiej niech pan przyjedzie sam, panie Livingstone. Będzie pan mógł śledzić krok po kroku wszystko, co będzie robił technik.

— No cóż... jeśli to najlepszy sposób...

— Proszę zabrać też kopie plików. Jakiego zewnętrznego napędu pan używa?

— Quantum 4280.

— Proszę go odłączyć i przywieźć.

— Po co?

— Będziemy musieli sprawdzić dane, kiedy odczytamy twardy dysk. Proszę się upewnić, że pliki są zgodne, bo inaczej nie będziemy wiedzieli, czy odzyskaliśmy wszystko. Jeszcze jedno. Czy włączył pan nortona?

— Chwileczkę. Pyta, czy włączaliśmy nortona — zwrócił się Adam do Crystal.

— Jakże by inaczej? — odparła Crystal.

— Tak — powiedział Adam do słuchawki. — Z nortonem też się nie dało uruchomić.

— Proszę więc przywieźć wszystko.

— Będę za niecałą godzinę.

Adam odłożył słuchawkę.

— Odłączcie moduł z twardym dyskiem i 4280-kę. Wygląda na to, że nie będę mógł pokazać wam w tej chwili, co odkryłem.

3.

Pół godziny później Adam włożył zewnętrzny napęd do dużej metalowej walizki, która leżała już otwarta na biurku obok

niesprawnego komputera. Scott podał mu moduł twardego dysku. Adam westchnął i zamknął wieko.

— Zdaje się, że to właśnie muszę zawieźć — powiedział.

— Mam nadzieję, że uda się im odzyskać informacje.

— Bez względu na rodzaj i zasięg awarii, jeśli twardy dysk jest nieuszkodzony, dane można zwykle odzyskać. Chyba że mamy do czynienia ze śmiertelnościami wirusem.

— Wrócę najszybciej jak się da.

Spojrzał na zmartwione twarze współpracowników i ruszył w stronę drzwi.

Nagle twarz Erin rozjaśniła się.

— Może wolałbyś, żebym ja zawiozła sprzęt? — spytała.

— Powiedzieli, żebym pojechał osobiście.

— Byłam tu. Wszystko widziałam. Potrafię wyjaśnić im, co się stało.

— Szukasz okazji, żeby zobaczyć się z Dexterem! — rozśmiała się Crystal.

— Ach, rozumiem — powiedział Adam, przeciągając głoski, jakby wreszcie to do niego dotarło. — Hmm, no cóż... Nie widzę żadnych przeciwwskazań. Prawdę mówiąc, nie miałem wielkiej ochoty na jazdę do miasta. Jasne, bierz, a jeśli będą mieli jakieś pytania, niech dzwonią.

Erin podbiegła do niego i wzięła walizkę.

— Odprowadzę cię na dół — oznajmił Adam.

Podeszli do drzwi.

— Powinni mieć naszą umowę serwisową — powiedział Adam po drodze. — Widziałas, co się stało. Komputer był włączony. Chciałem otworzyć dokumenty i nagle bomba: komunikat o błędzie typu 1. Pamiętaj: błąd typu 1. Próbowaliśmy uruchomić komputer powtórnie. Monitor był martwy. Spróbowaliśmy zresetować. Pokazała się smętna twarz.

— Pamiętam — zapewniła Erin.

Znaleźli się przy drzwiach frontowych i wyszli na zewnątrz. Adam przystanął i podał jej walizkę. Erin ruszyła po bruku w stronę samochodu. Adam podniósł wzrok i zobaczył Juliet, która po

porannym spacerze wracała z ogrodu. Pomachał jej ręką i odwrócił się z powrotem do Erin.

— Pamiętaj, po co tam jedziesz — wykrzyknął w stronę labo-
rantki. — Ty i Dexter macie zająć się moim komputerem, a nie ro-
bieniem do siebie słodkich...

Nie dokończył.

Erin obróciła się, żeby odpowiedzieć uśmiechem na żart, a wtedy coś niewyobrażalnego wstrząsnęło światem Adama.

Metalowa walizka wybuchła z ogłuszającym hukiem!

Jasny uśmiech dziewczyny unieruchomił na ułamek sekundy jego zdolność postrzegania, a potem zniknął na zawsze w oślepiającym błysku czerwono-pomarańczowego płomienia i ciemnoszarego dymu. Erin nie zdążyła nawet krzyknąć.

Gwałtowny podmuch rzucił Adama na plecy. Kiedy było już po wszystkim, pomyślał, że to dobrze. Dzięki temu upadkowi nie widział tego, co się działo przez najbliższe sekundy.

W jego uszach dźwięczało echo wybuchu i czuł, jak sypie się na niego deszcz maleńkich odłamków walizki i komputera.

Spróbował wstać. Dźwignął się na kolana, potem stanął. Wszystko zasnuł dym.

— Erin!... Erin! — wrzasnął oszołomiony i niepewnym kro-
kiem ruszył w stronę dziewczyny.

Erin!

Wiedział już, że Erin nie żyje.

— Erin!...

Spróbował biec.

Wszędzie krew, na ziemi, na strzępach ubrania i kawałkach bla-
chy. Nie to jednak było najstraszniejsze.

Mdliło go, nie mógł złapać tchu, uginały się pod nim kolana. Mimo to, wiedziony jakimś instynktem, ściągnął koszulę, żeby przy-
kryć choć trochę ciało Erin.

Dopiero teraz rozległy się okrzyki przerażenia i odgłos pospiesz-
nych kroków na schodach.

Adam podniósł się. Chwiejnym krokiem chodził dokoła — z ob-
nażonym torsem, z twarzą zalaną łzami.

— Wracajcie! — krzyknął.

Pokuśtykał w ich stronę. Oczy zasnuła mu mgła, mrugał, żeby usunąć z nich palące łzy. Rozłożył ręce, żeby ich powstrzymać.

— Nie!...

Nie był w stanie wykrztusić nic więcej. Dopiero po chwili zdołał wyjąkać:

— Nie podchodźcie!

Opuścił ręce. Zgiął się w pół i wsparł dłońmi na kolanach. Wymiotował na bruk. Podbiegł do niego Scott.

Przez frontowe drzwi wybiegły Crystal i Jen, przez boczne — pani Graves. Wszystkie przystały w połowie drogi, po twarzach spływały im łzy. Łkały, przyciskając dłonie do ust... Nie mogły uwierzyć, że stało się coś tak strasznego. Zza domu wybiegł niezdarnie lokaj.

Scott z trudem zapanował nad żołądkiem, pokonał odruch wymiotny. Położył dłoń na ramieniu Adama i spróbował odciągnąć przyjaciela od miejsca tragedii.

Adam obejrzał się jeszcze.

— Beeves, wezwij policję — polecił. — Pani Graves, parę kóców... Dziewczęta, do środka!

Kiedy opadł pył, po drugiej stronie zwłok ukazała się na skraju trawnika Juliet, która zastygła bez ruchu i przypominała jeden z posągów stojących za jej plecami. Wstrząśnięta tym, co się stało, patrzyła na szczątki Erin szeroko otwartymi oczami.

Adam wyprostował się i kulejąc poszedł w stronę domu. Jakiś impuls kazał mu rozejrzeć się dokoła i wtedy zobaczył skamieniałą Juliet.

Przystanął na moment, a potem skinął na Scotta, obrócił się i z większym niż przed chwilą trudem poszedł dalej ku pokiereszowanemu drzwiom. Kiedy się zbliżył, Juliet spojrzała na niego ogromnymi zielonymi oczami, w których kryło się niedowierzanie, bezradność i lęk.

Zapominając o własnym wstrząsie, Adam objął ją powoli ramieniem. I w tym opiekuńczym objęciu Juliet poczuła, że wiotczeje. Trwało to chwilę. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. A potem wybuchła oczyszczającym łkaniem.

Adam odprowadził Juliet do pani Graves. Ciotka położyła dziewczynę do łóżka. Minęły dwa dni, zanim Juliet poczuła w sobie dość sił, żeby wstać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ZASKAKUJĄCA ZNAJOMOŚĆ

1.

Oпустoszale londyńskie ulice w cieniu Chelsea Bridge nie były miejscem zbyt przyjaznym. Leniwie płynąca Tamiza, posępna i mroczna nawet w blasku słońca, stawała się czarna i złowieszcza, kiedy na miasto opadał zmrok.

Młodzieniec z papierosem w ustach stał tyłem do rzeki i czekał. Spojrzał nerwowo w ulicę raz w jedną, raz w drugą stronę, a potem zerknął na zegarek.

Cienka pokrywa mgły zaczęła pełznąć po powierzchni wody w stronę brzegu. Zapowiada się zimna noc.

Mercedes z zagranicznymi numerami rejestracyjnymi, czarny jak odwieczna rzeka, jechał powoli Grosvenor Road. Młodzieniec spojrział w jego stronę. Światła reflektorów przemykały tajemniczo po kłębach mgły. Wyglądały jak para złowrogich oczu, które szperają w ciemnościach... które szukają właśnie jego.

Samochód podjechał i zatrzymał się. Powoli otworzyły się tylne drzwiczki.

— Proszę wsiąść — ozwał się niski głos, głęboki jak odwieczna tajemnica podziemnej mocy.

Złowieszczy rozkaz był ledwie słyszalny poprzez warkot pracującego na jałowych obrotach silnika. Nie był to głos, któremu można by się sprzeciwić.

A jednak młody człowiek zawahał się na okamgnienie. Potem rzucił niedopałek i wsiadł do samochodu. Kierowca ruszył. Mercedes pojechał dalej nad Tamizą.

Przez dłuższy czas w jego wnętrzu panowało milczenie.

— Myślałeś, że możesz działać na własną rękę — ozwał się wreszcie miarowy i beznamiętny Głos. Wyraźnie słysząc było w nim groźbę.

Młodzieniec poruszył się nieświadomie na tylnym fotelu. Nie śmiał obrócić spojrzenia w bok. Dotychczas spotkał się z mówiącym jeden jedyny raz i było to w nocy. Nie miał zbyt dokładnego wyobrażenia o wyglądzie tego człowieka, choć zdawał sobie sprawę, że głos zdradza rosyjskie albo w ogóle słowiańskie pochodzenie.

— Co ma pan na myśli? Wykonałem dokładnie polecenie. — Głos chłopa świadczył o zaniepokojeniu. — Chyba czytał pan gazety.

— Czytałem, oczywiście. Ale celem był sam Livingstone, nie tylko jego dane — zachrypiał Głos szyderczo i z niesmakiem. — Zawiodłeś.

Na wspomnienie tego, co się stało, serce młodzieńca przeszył ból. Pewnie, robił to wszystko dla pieniędzy. Ale za dużo myślał o Erin. Od czasu zamachu sam nie wiedział, co ze sobą zrobić.

— Skąd miałem wiedzieć?...

— Jesteś głupcem! — przerwał Głos, który nabrzmiał teraz gniewem i stał się przez to donioślejszy. — Powinieneś być przewidzieć wszystkie możliwości! Ale — ciągnął mężczyzna, zniżając z powrotem głos — ja przeczytałem w gazetach oba sprawozdania. Miałem na myśli wydarzenie sprzed tygodnia.

— Co?... Ja nie...

— Zamknij się! Bierzesz mnie za głupca? Mam wszędzie swoje oczy i uszy. Wyobrażasz sobie, że nie wiem, co się święci?

— Nie wiem, o czym pan mówi!

Nagle poczuł na przedramieniu dłoń swojego chlebodawcy. Palce z niewiarygodną mocą wbiły się w mięśnie.

— Nie próbuj mnie okłamywać — rozległ się groźny pomruk. — Wiem doskonale, skąd „Mail” wziął swój cynk. Kiedy

wprowadzałeś wirusa do komputera, zadbałeś też o założenie podsłuchu. Poleciłem zrobić to pierwsze, drugiego nie. Wy hackerzy myślicie, że nikt nie pozna się na waszych kombinacjach. Uważałeś, że możesz dorobić sobie na boku?

— Proszę puścić!... To boli — zaskamlał młodzieniec.

— Nie dopuszczę do tego, żeby takie informacje dostawały się do prasy.

— Co to komu szkodzi?

— Cały świat wie teraz o rzeczach, które chcieliśmy ukryć — zachrypiał mężczyzna, zaciskając coraz mocniej szpony. — A wszystko przez to, że twojemu ptasiemu mózdzkowi nie wystarczyło to, co dostałeś ode mnie. No cóż, przyjacielu, przyjdzie zapłacić za kłopoty, którychś narobił.

2.

Cztery dni później odbył się w Hillington pogrzeb Erin — w gronie przede wszystkim rodzinnym, choć wzięli w nim udział wszyscy współpracownicy Adama Livingstone'a. W domu pozostała tylko Juliet.

Pojechali całą szóstką. Beeves zajął miejsce za kierownicą, Adam, który nie czuł się najlepiej, usiadł z tyłu. Odłamki metalu, które jeszcze tego samego popołudnia usunięto z jego ciała w szpitalu, zraniły mu lewą nogę i prawe ramię. Mięsień ramienia został głęboko rozcięty, przez co będzie przez jakiś czas cierpieł ból.

Nikt nie wiedział, jak skontaktować się z Dexterem, który nie pokazywał się w firmie. Crystal przekazała tam wiadomość o pogrzebie, ale przepadł wszelki słuch o Dexterze. Młody człowiek nie przyszedł też na pogrzeb. Zamachem zajął się Scotland Yard, który prowadził śledztwo w firmie — wśród pracowników i właścicieli. Jak dotąd — bez rezultatu.

Erin została zatrudniona u Livingstone'a dzięki temu, że pani Graves знаła jej matkę i od dłuższego czasu odwiedzała ją po pracy.

Podczas powrotnej jazdy autostradą M25 do Sevenoaks przez cały prawie czas panowało milczenie. Pani Graves i obie dziewczyny pochlipywały. Beeves, Scott i Adam pograżyli się w swoich myślach. Tylko pani Graves знаła Erin dłużej. Ale kiedy śmierć przechodzi tak blisko i z takim okrucieństwem, jej nieodwołalność i tajemniczość pozostawia niezatarty ślad w duszy i każdy woli na swój sposób uporać się z myślami.

Szczególnie posępny nastrój ogarnął Adama. Nie ulegało wątpliwości, że bomba była przeznaczona dla niego. Ale on żył, a Erin spoczęła w ziemi, bo w ostatniej chwili zmienili ni z tego, ni z owego plany. Jego sumienie nie umiało sobie z tym poradzić.

Od dnia zamachu prawie nie pomyślał o Bogu. Rewelacyjne odkrycia wydawały się mu jakąś odległą mrzonką. Może nadal się nie obudził. Może wszystko się mu tylko przyśniło.

Wydawało się, że jego hipotezy nie mają w tej chwili najmniejszego znaczenia. Zniszczony został komputer i zapasowa pamięć. Tak czy owak zapomniał już o istocie swoich rozważań.

Jeśli Bóg istnieje, z pewnością ma władzę nad śmiercią — rozmyślał Adam — i to pełniejszą niż nad arkami i Edenami. I nagle pojawiło się w jego głowie odwieczne ludzkie pytanie — nieuniknione pytanie, na które nie ma odpowiedzi, a które wyłania się zawsze w chwili nieszczęścia... Dlaczego?

Adam nie znał odpowiedzi, tak jak nie znał jej żaden człowiek.

Jak do tego strasznego wydarzenia dopasować optymistyczny wizerunek Boga, jaki przedstawiła panna Halsay? Skoro Bogu zależy na niej, dlaczego nie zależało mu na Erin?

Gdzie słoneczny promyk przeznaczony dla Erin?

Adam był człowiekiem praktycznym i starał się skierować swoje myśli na obszary, na których człowiek jest w stanie coś zrobić. Stopniowo jego umysł zaprzętnęły problemy związane z pracą. Podjął już decyzję, co dalej, ale nie powiedział jeszcze o tym swoim współpracownikom.

— Postanowiłem odłożyć wyjazd — oświadczył.

Jen i Scott skinęli tylko głowami. Tego właśnie się spodziewali.

— Ostateczny plan ułożymy za kilka dni, może przesuniemy terminy o trzy albo cztery tygodnie.

Tak byłoby najlepiej. Póki nie uporają się psychicznie ze śmiercią Erin, nie zdołają skupić się na tysiącnych szczegółach związanych z ekspedycją.

Dotarli do posiadłości. Przy bramie kręciło się paru reporterów, którzy cofnęli się jednak i nie robiąc żadnych trudności, pozwolili, żeby auto wjechało do środka.

3.

Kiedy godzinę później zjawiała się Candace Montreux, gospodyni wpuściła ją frontowymi drzwiami do domu. Została w holu, a pani Graves udała się na poszukiwanie swojego chlebodawcy.

Ledwie starsza pani podeszła do schodów, u ich szczytu pokazał się Adam. Schodził powoli, a przy nim — za blisko — szła dziewczyna, której Candance nigdy nie widziała.

Była prawie dzieckiem i pochodziła bez wątpienia z prostego środowiska. Mimo to na ten widok Candace poczuła, że włosy jeżą się jej na karku. To, że Adam nie od razu ją zauważył i był, jak się wydaje, pogrążony w rozmowie z dziewczyną, nie uśmierzało zgoła uczucia przykrości, którego doznała Candace, widząc tę scenę.

Zeszli już kawałek, kiedy Adam spojrział w dół i wreszcie ją zobaczył.

— Proszę wybaczyć, panno Halsay — powiedział. — Porozmawiamy później.

Szybko zszedł na dół. Candace ani na chwilę nie spuszczała wzroku z dziewczyny. Jej przenikliwe spojrzenie spotkało się na chwilę ze spojrzeniem Juliet.

Trwało to okamgnienie. Juliet zaraz zerknęła w inną stronę, odwróciła się i wbiegła z powrotem na górę. Są sprawy, w których arystokracja i ludzie prości używają tego samego języka. I nie mogli

być w tym przypadku mowy o niewłaściwym odczytaniu przez Juliet spojrzenia Candace Montreux.

— Panna Montreux do pana — oznajmiła pani Graves.

— Tak, widzę. Dziękuję, pani Graves.

— Och, Adamie, jak mi przykro z powodu tego, co się stało.

Kto... — usłyszała pani Graves, zanim lady Montreux i Adam wyszli do ogrodu.

Przez prawie całe popołudnie w posiadłości przebywali dwaj inspektorzy Scotland Yardu. Zadawali mnóstwo pytań o firmę komputerową i wykonywali jakieś chemiczne analizy próbek pobranych z miejsca wybuchu.

4.

Po śniadaniu pani Graves i Juliet weszły na górę. Od zamachu minęło już półtora tygodnia.

Wydarzenie to wstrząsnęło wszystkimi mieszkańcami posiadłości Livingstone'a. Ale siostrzenica pani Graves wstała z łóżka i wróciła do siebie szybciej niż Crystal, Jen i ciotka.

Juliet nie zamierzała dopuścić do tego, by nowa okropność zepchnęła ją znowu w otchłań, z której dopiero co się wydostała. To wszystko było straszne, ale po dwóch dniach w łóżku przypomniła sobie o pokoju Bożym i o postanowieniu, żeby uczynić swoje życie jak najlepszym — bez względu na to, jakie nieszczęścia ją czekają.

— Chyba usiądę dzisiaj za kierownicą, ciociu — powiedziała.

— Może pojedę do Brighton, żeby zobaczyć się ze znajomymi, a potem do Folkestone. Wiem, że policja nadal prowadzi śledztwo i wszyscy są tym przejęci. Muszę jednak zmienić otoczenie. Odechnąć innym powietrzem, poczuć wiatr na twarzy.

— To dobry pomysł, kochanie — odparła pani Graves. — Mamy piękny dzień.

— Mogłabym też pojechać do miasta i rozejrzeć się za pracą.

— Ale wrócisz na podwieczorek?

— Postaram się. Bardziej niż kiedykolwiek czuję potrzebę, by zwrócić wzrok ku przyszłości. Muszę przypominać sobie, że Bóg jest dobry.

— Doskonale to rozumiem.

Pani Graves zawahała się. Jej twarz przybrała jakiś dziwny wyraz. Juliet pomyślała, że ciotka chce powiedzieć coś jeszcze, może w związku ze śmiercią Erin, bo robiła wrażenie wyraźnie wstrząśniętej.

Juliet czekała.

— Czy mogę cię o coś spytać? — powiedziała w końcu pani Graves, kiedy znalazły się w jej saloniku. — O coś osobistego?

— Tak... ależ tak, ciciu.

— Nigdy przedtem... nigdy nie słyszałam, żebyś mówiła o Bogu tak jak wtedy panu Livingstone'owi. Muszę przyznać, że... że trochę mnie to zaskoczyło.

— Zdaje się, że pozwoliłam sobie na zbyt dużą śmiałość.

— To wspaniale, że potrafiłaś tak otwarcie powiedzieć to, co myślisz. Ale byłam zaskoczona.

— Dlaczego?...

— Nigdy nie ważyłabym się przemawiać z taką swobodą do kogoś, kto zajmuje o tyle wyższą pozycję.

— Wyższą niż ty? Bo on jest dżentelmenem, a ty pochodzisz z klasy pracującej?

— Oczywiście. Ale wiem, że dzisiejsza młodzież myśli inaczej niż moje pokolenie.

— Ciciu, dzisiaj nikt nie patrzy na status społeczny. Człowiek to człowiek. Wszyscy są równi.

— Nie możesz zaprzeczyć, że ktoś taki jak pan Livingstone należy do zupełnie innego świata niż twój, moja droga Juliet. Musimy pamiętać, gdzie jest nasze miejsce.

— Podczas tamtej rozmowy nie przyszło mi to nawet do głowy. Wydawał mi się taki naturalny. Nie zadzierał nosa.

— Masz rację, to bardzo dobry człowiek. Ale nie zmienia to faktu, że należymy do innego świata. Jesteśmy równi zapewne w oczach Boga, ale nie w oczach społeczeństwa. Ani, śmiem powiedzieć, w oczach samego pana Livingstone'a, choć zachowuje się tak naturalnie. Pracujemy u niego. Nigdy mu nie dorównamy.

— Wiem, ciociu, ale dzisiaj ludzie tak nie myślą. Czasy się zmieniły.

— Nie tylko dlatego poczułam się zaskoczona — ciągnęła pani Graves.

— Dlaczego jeszcze?

— Nie sądziłam, że twoje uczucia religijne są tak silne. Ani twój ojciec, ani matka nie mówili zbyt wiele o tym, no wiesz, o sprawach wiary.

— Chyba masz rację — przyznała w zamyśleniu Juliet.

— Od jak dawna tak jest.... to znaczy tak, jak powiedziałaś?

— To pojawiło się, kiedy pan Livingstone zaczął mnie wypytwać. Kiedy się obudziłam i zobaczyłam promyk światła, sama nie wiem dlaczego uświadomiłam sobie nagle, że Bóg jest dobry. Poczułam taki spokój w sercu. Tak niewiele wystarczyło.

— To wcale nie tak niewiele. Gdybyśmy tylko zawsze umieli wierzyć, że to prawda — westchnęła ciotka, przypominając sobie wszystkie wątpliwości, które dręczyły ją w ubiegłym tygodniu.

— Przedtem niewiele myślałam o Bogu — powiedziała Juliet. — Jakos tak się stało, że zaczęłam o Nim mówić. Miałam uczucie, że przed chwilą się obudziłam. Miało to jakiś związek z tym, że inaczej popatrzyłam na Boga. Wiedziałam odtąd, że zależy Mu na mnie.

— Moja droga, pan Livingstone to ktoś ważny. Już ci powiedziałam. Czasem sama nie wiem, jak patrzeć na zbyt śmiałe zachowanie młodych ludzi. Ale jedno jest pewne. Nie każdy zdobyłby się na to, żeby zabierać głos z taką pewnością siebie. Dziękuję, kochanie, że chciałaś ze mną o tym rozmawiać. A teraz jedź już. Ja też będę starała się pamiętać, że Bóg jest dobry. To dla mnie w tej chwili niełatwe.

— Wiem, ciociu, ale On jest... To pewne. Nawet jeśli chmury zasłaniają słońce. Jak teraz.

Pani Graves skinęła głową, próbując odwzajemnić pełen optymizmu uśmiech Juliet.

Pół godziny później Beeves pomógł Juliet wydostać się przez bramę, pod którą zgromadził się znowu tłum reporterów, i młoda kobieta pojechała nad Kanał.

5.

Candace Montreux i jej ojciec byli ulepieni z tej samej gliny. Oboje umieli skutecznie walczyć o to, czego pragnęli. Tyle że córka miała zwyczaj kroczyć prosto do celu, ojciec zaś wolał metody subtelniejsze. Rezultaty osiągnęli jednak podobne.

Candace zdawała sobie sprawę, że w planach trwałego pozyskania lojalności Adama dla tajnych zamysłów ojca ona właśnie zajmuje pozycję centralną. Nie wiedziała, o jakie zamysły chodzi, chociaż z pewnością będzie miała w nich swój udział. To tylko kwestia czasu.

Jej postawa niewiele by się zmieniła, gdyby powiedziano jej o wszystkim. Pragnęła Adama prawie od chwili, kiedy ojciec i jego ludzie zaczęli go obserwować. Cóż za znaczenie ma fakt, że jej plany zgadzają się z planami ojca? Nie miała jednak pojęcia, do jakiego stopnia zamierza ją wykorzystać.

Szansę obojga, ojca i córki, powoli malały. Zbyt długo stosowali metody subtelne. Okazało się, że Adam Livingstone jest człowiekiem niezależnym i raczej upartym. Czas więc uznać, że ryba wzięta przynęta, i szarpnąć wędkę.

Lord Montreux, podobnie jak niektórzy spośród pozostałych członków Rady Dwunastu, zastanawiał się, kto tak niezręcznie próbował wysłać Adama Livingstone'a na tamten świat. Rada nie planowała usunięcia archeologa, ale wykorzystania go do swoich celów.

— Candace, kochanie — powiedział lord Montreux, kiedy jego córka wchodziła do salonu. — Zastanawiałem się poważnie nad naszym przyjacielem, Adamem Livingstone'em. Przyznaj: nadal tak ci zależy na tym, żeby go poślubić?

— Myślałam, że taki był nasz zamiar, tato.

— To prawda, ale teraz wydaje się, że Adam gotów jest wprowadzić w życie ten zamiar.

— Tak. Najwyższy czas.

— Kochasz go?

— Oczywiście.

— I jesteś zadowolona z przekładania ślubu na następny rok, tak jak powiedział? Młodość szybko mija.

Candace wzдрыgnęła się.

— Nie, nie jestem zadowolona — rzuciła, starając się zapanować nad rozdrażnieniem. Słowa ojca i ton, jakim je wypowiedział, irytowały ją prawie tak samo jak wahania Adama.

— Może więc warto przekonać tego młodzieńca, żeby pomyślał o skróceniu terminów.

Ojciec nie musi mi mówić, jak zdobywa się serce mężczyzny — pomyślała Candace. Może zawrócić Adamowi w głowie, kiedy tylko zechce. Udawała nieśmiałość, bo bała się go spłoszyć.

— Jakie znaczenie ma dla ciebie data ślubu? — spytała. — Nigdy dotąd nie zależało ci na pośpiechu.

— Mam swoje powody. Zależy mi, żeby Adam Livingstone dołączył do naszej rodziny przy najbliższej, jeśli można tak powiedzieć, sposobności. Tobie z pewnością też.

Candace nie odpowiedziała. Ojciec ma rację. Nie cieszyło jej zgoła to, że uczucie Adama jest tak mało płomienne.

— Chcę, żebyś wzięła się energicznie do rzeczy — ciągnął ojciec. — Trzeba oderwać jego uwagę od wszystkich tych spraw biblijnych. To niezdrowo tak zaprzętać umysł legendami i bajaniem starych bab. Jeśli nie porzuci mrzonek o Edenie, ludzie dojdą do wniosku, że ma nie po kolei w głowie.

W tej sprawie ojciec nie musiał jej przekonywać. Zgadzała się z nim bez reszty.

— Co on widzi w tych religijnych bajkach? — dorzucił lord Montreux.

— Nie wiem, ojczu. Nigdy nie rozumiałam tej strony jego życia.

— Chyba nie chcesz, na Boga, zostać żoną pastora!

— Nawet nie wypowiadaj tych słów! — Candace poczuła dreszcz zgrozy.

— Czy ktoś z jego otoczenia zatrucha mu umysł?

— Nie wiem.

— No to postaraj się dowiedzieć. I postaraj się to załatwić. Odciągnij go od tych bzdur! Precz z Edenem! Jestem pewien, że

kobieta ma swoje sposoby, żeby podsunąć mu jabłko, na które się skusi.

— Postaram się.

— Musi się ustatkować, żyć jak przystało angielskiemu dżentelmenowi. Im szybciej sobie to uświadomi, tym dla niego lepiej.

— Bogatemu dżentelmenowi, prawda, ojcze? — spytała z szelmowskim uśmiechem Candace.

— Masz rację. Nie chciałbym jednak otwarcie go przekupywać... Oczywiście, póki nie okaże się to konieczne.

Tych dwoje rozumiało się w pół słowa.

6.

Marcus Stuart miał złe przeczucia od chwili, kiedy przyjął zaproszenie Mitcha Cuttera. Mógłby podać dokładniejsze instrukcje. Nie wyglądało to najlepiej. Ale Stuart wiedział, że nie ma wyjścia.

Przyszedł więc na przyjęcie. Odbywało się w wiejskiej posiadłości wśród wzgórz Marylandu, jakieś czterdzieści minut jazdy z Waszyngtonu. Nie znał nikogo z obecnych. Śmierdziało tu grubszą forszą: luksusowy basen, trawniki, ogrody, w każdym pokoju kryształowe żyrandole. Pięć milionów jak nic! Z pewnością nie jest to dom ubogiego polityka.

Kiedy pojawili się, on i Cutter, alkohol płynął już wartkim strumieniem.

— W końcu mamy okazję poznać naszego kochanego senatora — powiedział niejaki Lars Witjansund, kiedy Cutter ich sobie przedstawił.

Słowo „nasz” zabrzmiało dziwnie w uszach Stuarta — może przez ten rytmiczny, melodyjny skandynawski akcent. Marcos nie wierzył, że mężczyzna pochodzi z jego ojczystego stanu, Pensylwanii. Może jest Amerykaninem z Minnesoty albo Wisconsin, ale i to wydaje się mało prawdopodobne.

Wymienili kilka banalnych uwag. Cutter zniknął, ale po chwili był z powrotem przy Stuarcie. Wcisnął mu do ręki szklaneczkę.

— Szkocka z wodą, senatorze?
— Doskonale. — Marcos skinął głową.
— Proszę ze mną. Chcę, żeby poznał pan innych. Marcos...
Sophia Lennox, a to Lawrence Mobuto... Och, Ciano, moja droga!
— wykrzyknął Cutter obracając się do pięknej kobiety, prawdopodobnie Włoszki, która szła w ich stronę.

Przedstawił ich sobie. Jej oczy rozbłyły. Dalsze prezentacje nastąpiły, kiedy dwaj nowo przybyli szli w stronę ogromnego wyłożonego terakotą patio.

Przyjęcie miało charakter międzynarodowy — to pewne. Wszyscy jednak czuli się tu swobodnie i swojsko. Każdy z rozmówców Mareosa starał się go przekonać, że jest Amerykaninem, i zrećnie zbywał pytanie o pochodzenie. Jednocześnie nikt nie ukrywał tego, że prowadzi interesy i ma powiązania na skalę globalną, i zewsząd słyszało się angielszczyznę zabarwioną obcym akcentem.

— Proszę wyjaśnić, senatorze — powiedział mężczyzna o ciemnej karnacji, którego przedstawiono Stuartowi jako Lebrun Inonu. — Słyszałem, że ma pan bliskie powiązania z kartelem Livingstone'a?

— Tak bym tego nie ujął — odparł Marcos. — Prawdę mówiąc, niewiele wiem o kartelu.

— Mitch powiedział, że zna pan Livingstone'a osobiście — wtrąciła się do rozmowy Ciano Bonar, która podążyła za nimi na zewnątrz.

— Znam go trochę, panno Bonar, ale nie zmienia to faktu, że nic nie wiem o finansowej stronie jego ekspedycji.

— To fascynujące. Musi mi pan o nim opowiedzieć.

— Bez przesady, Marcos — uśmiechnął się Cutter. — Nie musi pan niczego ukrywać. Jesteśmy wśród przyjaciół. Znacie się z czasów studenckich, prawda?

— Tak, znamy się. Łączy nas przede wszystkim to, że mamy wspólnego przyjaciela.

— Ach, tak?

— Chodzi o Scotta Jordana, asystenta Livingstone'a?

Stuart obrócił się w stronę zbliżającej się właśnie do nich wysokiej majestatycznej kobiety.

— Tak, ma pani rację, pani...

— Anni D'Abernon — oznajmiła, ujmując jego dłoń.
— Cieszę się, że mogłam pana poznać, senatorze.
— Zna pani Scotta?
— Nie miałam niestety przyjemności. Może kiedyś mi go pan przedstawi?

— Domyślam się, że interesuje panią archeologia.
— Od przypadku do przypadku.

Dziwna odpowiedź — pomyślał Marcos. — Równie dziwna jak wyraz twarzy tej kobiety. Ponieważ jednak rozmowa potoczyła się w innym kierunku, szybko o tym zapomniał.

— Zdaje się, że wszyscy tu interesują się tym, czego dokonał Adam Livingstone, i doskonale się orientują w zagadnieniu! — roześmiał się Stuart.

— Interesujemy się wieloma rzeczami — odparła pani D'Abernon. — Wszystko, co ma zasięg międzynarodowy interesuje naszą... interesuje ludzi takich jak my.

— Ale najbardziej interesuje nas pan, senatorze — dodała panna Bonar.

— Właśnie dlatego zebrali się tutaj nasi przyjaciele — rzucił z ożywieniem Cutter. — Wszyscy są w ten czy inny sposób zaangażowani w pańską kampanię. Chcieli pana poznać. Uważają, że wszystko przed panem, że ma pan przyszłość. Chcą, by poprowadził pan nasz kraj w nowe stulecie i nowe czasy.

— Na zdrowie! — wykrzyknęli dźwięcznie Lennox i Witjansund, unosząc kieliszki.

— Za przyszłość senatora Mareosa Stuarta! — dodał Mobuto.

— Za Marcosa Stuarta! — powtórzyli pozostali.

Tylko zagadkowa pani D'Abernon nie przyłączyła się do toastu; obserwowała wszystko jakby z dystansu, jakby nie zamierzała okazywać nadmiernego entuzjazmu.

Marcos stopniowo się rozgrzewał. Jakże mogłoby być inaczej, skoro spotkało go tak życzliwe przyjęcie?

Godzinę później Cutter zobaczył, jak senator idzie trawnikiem po drugiej stronie basenu, prowadzony pod ramię przez gibką i czarującą Ciano Bonar. Byli pogrążeni w swobodnej, przerywanej wybuchami śmiechu rozmowie.

Cutter uśmiechnął się.

Jego spojrzenie napotkało spojrzenie pani D'Abernon. Ona też widziała tę scenę. Skinął ledwo dostrzegalnie głową, a ona odpowiedziała tym samym, unosząc leciutko brwi. Znak, że oboje byli zadowoleni z tego, co zobaczyli. Czar panny Bonar pozwoli im osiągnąć cel, który sobie wytyczyli.

Zrealizowali część planu ustalonego na dzisiejsze popołudnie.

7.

Godzinę po wyjeździe Juliet rozległ się dzwonek do frontowych drzwi domu Livingstone'a. Beevesa nie było w okolicy, więc drzwi otworzyła pani Graves.

Zobaczyła przed sobą mocno zbudowanego, nieco rozczochranego mężczyznę, którego nigdy dotąd nie widziała. Nie miała pojęcia, jak przedostał się przez bramę. Może Beeves coś o tym wie.

— Chcę zobaczyć się z panem Livingstone'em — oznajmił mężczyzna.

Teraz rozpoznała od razu irytujący amerykański akcent. Jediną reakcją, na jaką sobie pozwoliła, było leciutkie zaciśnięcie warg. Mężczyzna wystarczająco znał się jednak na ludziach i natychmiast uznał, że właśnie z tą kobietą rozmawiał przez telefon.

Bez słowa odwróciła się, żeby wpuścić przybysza do holu, a potem ruszyła na poszukiwanie chlebodawcy. Pan Livingstone przyjął przeprosiny tego człowieka po pierwszym telefonie. I tak z trudem panowała nad rozdrażnieniem, które budziły w niej manieri tego pana.

Parę minut później Adam zszedł na dół. Gość stał nadal na progu. Adam podszedł do niego z wyciągniętą ręką, ale także z pytającym wyrazem twarzy.

— Jestem Adam Livingstone — oznajmił.

Wymienili uścisk dłoni, patrząc badawczo na siebie.

— Pani, która otworzyła mi drzwi, z pewnością powiedziała panu, kim jestem — odezwał się po chwili nowo przybyły.

— Zawiadomiła mnie, że przyszedł Amerykanin, który do mnie dzwonił — odparł Adam. Kąciki jego ust uniosły się, gdyż przypomniał sobie minę pani Graves, kiedy przekazywała mu wiadomość. — Ale myślałem, że telefonuje pan ze Stanów. Nie wiedziałem, że jest pan w...

— Telefonowałem ze Stanów, panie Livingstone.

— Ależ w takim razie...

— Co robię w takim razie w Londynie?

— No właśnie.

— Przeczytałem o zamachu na pańskie życie. Wsiadłem do pierwszego samolotu, na jaki udało mi się dostać bilet, i jestem.

— Rozumiem. Domyślam się, że skojarzył pan to wydarzenie z... hmm... z tym, o czym rozmawialiśmy przez telefon?

— To chyba oczywiste. Chcieli pana zabić. I nie zrezygnują. Dlatego tu jestem.

Adam zmarszczył czoło. Nie chciał tak od razu i bezkrytycznie pogodzić się z rzeczywistością.

— Proszę tylko pomyśleć — ciągnął szorstkim, ale życzliwym tonem Amerykanin. — Wiem, że pani, z którą rozmawiałem przez telefon i która wpuściła mnie tutaj, wcale za mną nie przepada. Zdaję sobie sprawę, że pan też może być nastawiony do mnie nieufnie. Powiedział już pan, że moje ostrzeżenia robią dziwne wrażenie. Nie jestem jednak stukniętym dziwakiem, który ma za dużo pieniędzy i lata sobie dla przyjemności do Londynu. Jestem tu, by panu pomóc... jeśli się pan na to zgodzi. Proponuję, żebyśmy usiedli i porozmawiali.

Patrzył Adamowi prosto w twarz bystrych oczami, które mówiły, że ten człowiek potrafi myśleć trzeźwo i że kieruje się właśnie tymi motywami, o których napomknął. Prawość i bezpośredniość zachowania przekonały Adama, że można mu ufać — bez względu na to, czy się go lubi, czy nie. A zabójstwo Erin zmieniło całkowicie sytuację, to oczywiste. Być może ten facet ma rację.

— Dobrze... tak, jasne — rzekł po chwili Adam. — Doceniam to, że pan przyleciał do Anglii i zrobił, co mógł, żeby ocalić mi głowę, jak mówicie wy, jankesi.

— Tak mówimy — odparł z uśmiechem mężczyzna.

— Tak... chętnie wysłucham, co ma mi pan do powiedzenia. Proszę do mojego gabinetu. Napije się pan herbaty?

Adam obrócił się ku schodom i gestem ręki wskazał mężczyźnie drogę.

— Wolę kawę, jeśli nie zrobi to różnicy.

— Poproszę panią Graves, żeby przyniosła coś na górę.

— Poprowadził gościa w stronę schodów. — Jestem pewny, że znajdzie trochę kawy rozpuszczalnej.

Amerykanin zadrżał na tę myśl. Ale w tej chwili, po długim locie, jego organizm potrzebował kofeiny bardziej niż czegokolwiek. Wszystko jedno w jakiej postaci. Mogłaby być nawet herbata, chociaż miał nadzieję, że gospodyni znajdzie coś mocniejszego, to jest kawę.

— Aha — rzucił Adam, kiedy wspinali się na piętro — skoro mamy być przyjaciółmi, czas już, bym poznał pańskie nazwisko.

— Słusznie — przyznał Amerykanin. — Nazywam się McCondy... Rocky McCondy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

TROPY Z KARTOTEKI McCONDY'EGO

1.

Adam Livingstone i Rocky McCondy, choć tego rodzaju alians wydawał się w tym domu czymś nieprawdopodobnym, znaleźli się razem w gabinecie archeologa.

Kilka minut prowadzili rozmowę grzecznościową. Adam opowiedział zdawkowo o swojej wyprawie. Gość rozejrzał się po pokoju — pełnym książek, map, rozmaitych wytworów ludzkich rąk i innych wspomnień po archeologicznych dokonaniach — z większym zainteresowaniem, niż można by sądzić z jego zachowania. Pytania, jakie zadawał, i komentarze, jakie wygłaszał, świadczyły o dobrej znajomości bardziej nawet skomplikowanych problemów dziedziny niezbyt docenianej przez ogół.

Po jakimś czasie pokazała się pani Graves z dzbankiem wrzątku i wszystkim, co potrzebne do zaparzenia herbaty dla Adama, oraz słoikiem kawy rozpuszczalnej dla jego gościa.

— Mam wrażenie, że państwo znają się już z kontaktów telefonicznych — powiedział Adam. — Pani Graves, to jest pan McCondy, panie McCondy to jest moja gospodyni, Andrea Graves.

— Przepraszam za kłopotliwe telefony, pani Graves — powiedział McCondy, wyciągając rękę. — Widzi pani, kiedy dzwoniłem,

bardzo martwiłem się o pana Livingstone'a.

— To nic takiego, panie McCondy... doprawdy nic takiego — zapewniła gospodyni, pozwalając sobie w końcu na uśmiech.

Właściwie ten mężczyzna nie prezentuje się tak źle, tyle że jest trochę nieokrzesany. Teraz, kiedy usłyszała, jak mówi, i zobaczyła jego uśmiech, doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy może to być ktoś całkiem miły.

— Dziękuję za herbatę i kawę, pani Graves — powiedział Adam.

Dwaj mężczyźni przygotowali sobie napoje, a potem usiedli na dwóch ustawionych obok siebie wyściełanych fotelach.

— Sądzę, panie Livingstone, że dosyć już chodziliśmy opłotkami — zaczął McCondy mieszając dwie łyżeczki przeterminowanej kawy, którą wsypał do filiżanki, dokładając usilnych starań, żeby ją rozpuścić. — Jestem z zawodu detektywem — ciągnął. — Detektywem emerytowanym, chociaż mam dopiero czterdzieści osiem lat. Co jakiś czas przyjmuję jeszcze jakąś sprawę, ale tylko jeśli mnie zaciekawia.

— Nie znam żadnego detektywa. Czy pańska praca wygląda tak, jak przedstawiają to filmy?

— Niezupełnie. To nudne zajęcie. Byłem kiedyś gliną, ale to mnie znużyło. Po śmierci żony zapragnąłem jakiejś odmiany.

— Przykro mi z powodu pańskiego nieszczęścia.

— Dziękuję. Tak czy owak, jako były glina miałem tylko dwa wyjścia, jeśli nie chciałem wyjść z gry, po jednym na każdą z dwóch stron barykady prawa. Albo dołączyć do niegrzecznych chłopców, albo pracować na własny rachunek. Wybrałem drugie rozwiązanie. Oczywiście można zostać konsultantem do spraw bezpieczeństwa albo ochroniarzem — dodał — ale w moim przekonaniu oznaczało to właśnie wyjście z gry.

Adam słuchał, wpatrując się w swój kubek.

— To wszystko nie wyjaśnia jeszcze, dlaczego się tu znalazłem — ciągnął McCondy — ale powoli podążamy we właściwym kierunku. Mam nosa do kłopotów. A kiedy zobaczyłem pana w

telewizji, wiedziałem, że szykują się kłopoty. Wtedy zadzwoniłem.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli sprawiam wrażenie, jakbym nie słuchał pana uważnie — powiedział po chwili Adam, wypijając łyk herbaty — ale kiedy tylko wymienił pan swoje nazwisko, rozpoznałem je. Tak mi się w każdym razie zdawało, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie już je słyszałem.

— To rzadko spotykane nazwisko... Naprawdę je pan zna?

— Chodzi o coś niedawnego, ale także o odległą przeszłość. Jestem pewny, że natknąłem się na nie tydzień, może dwa temu.

— Tej sprawy nie potrafię rozwiązać. Ale mogę wyjaśnić panu, dlaczego może pan kojarzyć moje nazwisko z przeszłością... to znaczy, ponieważ studiował pan archeologię.

— Słucham.

— Mój pradziadek był archeologiem i stąd ja też mam jakie takie rozeznanie w tej dziedzinie.

— Świadczy o tym sposób, w jaki się pan rozglądał po moim gabinecie. No i to, co miał pan do powiedzenia.

— Jego specjalnością były badania biblijne, spędził jakiś czas na Bliskim Wschodzie...

— Ależ oczywiście! Harry McCondy! — wykrzyknął Adam unosząc się w fotelu. — Wiedziałem, że znam to nazwisko!

— Tak, tak! To mój pradziadek Harry!

— I rzeczywiście całkiem niedawno zetknąłem się z jego nazwiskiem. Miał pan w ręku „National Geographic” z tego miesiąca?

— Niestety nie.

— Harry Mac, tak go nazywałem w myślach, interesował się czymś, co miało związek z Arabią Saudyjską.

McCondy skinął głową. Kiedy w grę wchodził Bliski Wschód albo Afryka Północna, jego pradziadkowi zawsze rozbłyskało oko. Tkwił w tym po uszy! Tyle o dziadku Harrym wiedział i co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

— Mam uczucie, jakby go pan znał — powiedział. — W tamtych czasach to był ktoś!

— To prawda.
— Wiedział pan, że jego obsesją była góra Synaj?
— Coś do mnie doszło. Nie uwierzy pan, panie McCondy, ale kiedyś, za czasów studiów w Cambridge, napisałem rozprawkę o dokonaniach pańskiego pradziadka.

— Niemożliwe!

— Tak, tak...

Adam zerwał się z fotela. Przeszedł szybkim krokiem przez pokój i wysunął szufladę dębowej szafy.

— Może zechce pan to zobaczyć?

— Z przyjemnością.

Adam przebierał szybko palcami po teczkach ze swoimi wczesnymi pracami.

— Od wielu lat nie myślałem o tej rozprawce — dodał i roześmiał się. — Chętnie sam do niej zajrzę! O, jest!

Wyciągnął teczkę zatytułowaną „McCondy. Dokumentacja” i otworzył ją.

— A to dopiero!...

— Co się stało?

— Moja praca zniknęła.

Adam przejrzał raz jeszcze, tym razem staranniej, całą szufladę, ale nic nie znalazł. W końcu zamknął ją i wrócił w zamyśleniu na swój fotel.

2.

Obaj mężczyźni popijali machinalnie jeden kawę, drugi herbatę.

— To przechodzi wszelkie wyobrazenie... — wymamrotał Adam, nie mogąc dojść do siebie po tym, jak odkrył, że teczka jest pusta.

— Może myli się pan, uważając, że to takie osobliwe — powiedział detektyw. — Może częściowo przez tę pracę nad pańskim życiem zawiśła groźba.

— Co?... Jak to możliwe?

— Nie jestem pierwszym lepszym szpiclem, który nie ma nic do roboty i zainteresował się odkryciem przez pana arki — oznajmił

gość Adama. — I może nie był to jakiś naciągany cynk, który przekonał mnie, że coś panu grozi. Gdyby tak było, sprzedałbym swoją historię „National Enquirer”. Dobrze płacą za plotki o ludziach na świeczniku. Nie przypadkiem też zostałem wciągnięty w tę historię właśnie ja, prawnuk Harry'ego McCondy'ego. To, że tu jestem, ma swoje powody, panie Livingstone.

— Muszę wyznać, że rozbudził pan moją ciekawość.

— Pańskie odkrycia. Szczególnie arka. Kiedy postawił pan tam nogę, uruchomił pan bombę z zapalnikiem zegarowym. Ja jestem tutaj, żeby pomóc panują rozbroić.

— Jeśli ma pan na myśli bombę, która rozerwała na strzępy moją laborantkę, muszę powiedzieć, że się pan spóźnił.

— Nie o tej bombie mówiłem. O bez porównania większej.

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi, panie McCondy.

— Wszystko streszcza się do paru słów. Uświadomiłem sobie, że jestem prawdopodobnie na tym świecie jedynym człowiekiem, który wie, z jakich części składa się bomba zegarowa, i umie ją rozbroić. Przybyłem za późno, żeby ocalić życie pańskiej laborantce. Czuję się przez to paskudnie. Naprawdę. Zapewne powinienem stawić się tu bezzwłocznie, zamiast tracić czas na telefony. Ale nawet ja nie uświadamiałem sobie, jak szybko potrafią pracować.

Adam słuchał jak oniemiały tych zagadkowych słów.

— Przecież ja nigdy nie widziałem pańskiego pradziadka — powiedział. — Tyle że zajmowałem się trochę jego pracami, które wydały mi się fascynujące, poświęciłem więc im niewielką rozprawę. Pewnie zresztą niezbyt odkrywczą. Żadnych sensacji, niczego rewelacyjnego czy nowego, po prostu coś w rodzaju pracy semestralnej. Zupełnie o niej zapomniałem.

— Wystarczyła jednak, żeby zwrócić ich uwagę. Ale prawdopodobnie chodzi o coś bardziej związanego z tym, czym zajmuje się pan w tej chwili. Jakie są pana najbliższe plany?

- Wyprawa do Afryki.
- Po co?
- Mam pewną koncepcję dotyczącą ogrodu rajskiego i chcę ją sprawdzić.
- Ogrodu rajskiego?!
- Zdaje się, że zdumiałem pana. Ale jestem przecież archeologiem!
- To właśnie jest być może kluczem do zagadki! To właśnie jest być może zapalnik! Arka... Eden... widać niewątpliwy związek.
- McCondy uspokoił się po chwili. Zmarszczył w zamyśleniu czoło. — Czy opinia publiczna wie o pańskich planach?
- Już się dowiedziała — odparł z goryczą Adam.
- McCondy spojrział na niego pytająco.
- Jedno z naszych pism brukowych, coś w rodzaju waszego „Enquirer”, opublikowało informację parę tygodni temu. Byłem wściekły.
- Detektyw wyraźnie się tym zainteresował.
- Zanim powiem coś więcej — ciągnął po chwili milczenia — chciałbym dowiedzieć się czegoś jeszcze. Czy ufa pan wszystkim swoim domownikom?
- Kogo ma pan na myśli? Oczywiście.
- Współpracownicy, służba... Czy jest ktoś, kogo nie jest pan całkowicie pewny?
- Sugeruje pan, że mam szpiega we własnym domu?
- To mój zawód, panie Livingstone.
- To przecież...
- Widzi pan, ja myślę zawsze jak detektyw. Zawsze szukam zgniłego jabłka. Żyję z tego, że jestem podejrzliwy.
- Pani Graves, gospodyni, i Beeves, lokaj, są u mnie od wielu lat.
- Pozostają współpracownicy. Paroma już się zająłem, jak choćby Jordanem.
- Scottem? Znamy się od czasów uniwersyteckich.
- Czas nie ma większego znaczenia, jeśli chodzi o knowania, o których tu mówimy. Wie pan, co to takiego kret? Człowiek-ret?
- Spotkałem się z tym określeniem. Jak może pan myśleć w ten sposób o Scotcie?!

- A inni?
 - Dwie dziewczyny, Crystal i Jen. Pracują dla mnie od czterech, pięciu lat. Jen przyszła prosto po studiach na uniwersytecie stanowym w Sonomie, w Kalifornii. Męża Crystal znam od lat, pracuje na posadzie rządowej. Jest ze mną prawie od początku mojej kariery zawodowej.
 - Sprawdzę.
 - Nie widzę doprawdy...
 - Mało panu śmierci jednej osoby?
 - Ma pan rację.
 - Proszę więc pozwolić, że zajmę się tym po swojemu. Żadnych nowych postaci?
 - Tylko siostrzenica pani Graves, ale...
 - Kto to taki?
- Adam wytłumaczył, jak Juliet znalazła się w jego domu. McCondy słuchał z zaciekawieniem.
- Widzi wszystko. Muszę ją sprawdzić.
 - Zaraz, zaraz, panie McCondy! Nie może pan grzebać w sprawach ludzi tylko dlatego...
 - Panie Livingstone, jestem tu, żeby panu pomóc. Jeśli nie chce pan tej pomocy, niech pan powie. Jeśli jednak pan chce, proszę pozwolić, że będę pracował po swojemu. Ja nie mówię panu, gdzie ma pan szukać Edenu, więc niech pan nie mówi mi, gdzie mam szukać ludzi łamiących prawo.
 - No dobrze, pańskie na wierzchu. Będziemy musieli się do tego wszystkiego przyzwyczaić.
 - Co za problem? Wystarczy, że mi pan zaufa... wiem, co mam robić. W tej chwili muszę zbadać tło wydarzeń. Jestem przekonany, że pańscy ludzie są czyści, ale moje przekonanie to za mało.
 - Jak weźmie się pan do śledztwa?
 - Mam swoje kontakty z Interpolem. A w Bostonie jest mój przyjaciel, który trzyma z pewnym facetem ze Scotland Yardu. Dostanę to, czego potrzebuję. A teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś o tym artykule dotyczącym Edenu.
 - Był dla mnie całkowitym zaskoczeniem — przyznał Adam.
- I nadal zupełnie nie wiem, co o tym myśleć.
- Dlaczego?

— Z treści artykułu wynikało, że ktoś podsłuchiwał, kiedy rozmawiałem ze współpracownikami o wyprawie. Niesamowita sprawa. Prawie dosłowne cytaty.

— A zaraz potem ktoś dostał się do pańskiego komputera, żeby uszkodzić twardy dysk i umieścić w środku jakiś materiał wybuchowy. Chociaż mógł dostać się do niego wcześniej, tego na razie nie wiemy. Może wykorzystał Internet albo jakiś inny sposób. Hmm... musieliby wykraść hasło albo zdobyć je inną drogą. To też trzeba sprawdzić. A przy okazji. Gdzie odbyła się ta rozmowa na temat Edenu?

— Tutaj, obok, w pomieszczeniach pracowni.

— Gdzie ja mam głowę?! — wykrzyknął nagle detektyw. — Co ze mnie za idiota! Rozmawiamy tu sobie swobodnie!...

Nagle zamilkł.

Adam miał coś powiedzieć, ale McCondy powstrzymał go, kładąc palec na ustach. Uniósł ostrzegawczo brwi.

— Muszę powiedzieć, że mam dosyć tego siedzenia w zamkniętym pomieszczeniu — oznajmił. — Wyjdźmy na zewnątrz. A najlepiej niech mi pan pokaże Londyn. Po drodze będziemy mogli porozmawiać bez przeszkód.

Wstał.

— Wynająłem samochód. Poprowadzę.

W pokoju zapadła cisza i podsłuchujący mężczyzna zaklął.

Doszedł do wniosku, że chociaż był przeciwny podsłuchowi w gabinecie Livingstone'a, teraz może go wykorzystać. Podczas szybkiego przetrząsania mieszkania należącego do młodego wspólnika, znaleziono potężne urządzenie odbiorcze. Jak dotąd nie było z niego pożytku. Do dzisiaj...

McCondy może nieźle narozrabiać. Wygląda na to, że ten cudzoziemiec zna sprawę na wylot.

Nie ulega wątpliwości, że koniec z podsłuchiwaniami. Na szczęście jest jeszcze dostęp do Interpolu, a także do Scotland Yardu, Bostonu i do wszystkich ważnych miejsc na całym świecie.

3.

Dwaj nowi znajomi jechali wolno i Adam czuł się zaniepokojony, siedząc obok kierowcy, którym był ten zaspany Amerykanin.

Detektyw nalegał jednak, żeby skorzystali z wynajętego samochodu. Jeśli w domu jest podsłuch, nie można wykluczyć, że zainstalowano go także we wszystkich pojazdach. Tylko w wynajętym aucie mogą sobie pozwolić na swobodną rozmowę.

— Nadal nie pojmuję, co moje badania czy praca poświęcona pańskiemu pradziadkowi, czy nawet arka Noego lub Eden... co mogło sprawić, że grozi mi bomba zegarowa — powiedział Adam. — Zakładam, że nie ma pan na myśli jeszcze jednej prawdziwej bomby.

— Nie, chodzi o sprawy ducha. To nie ulega wątpliwości chociaż fakt faktem, zagrożenie jest całkowicie realne. Jedna osoba już zginęła... — zamilkł na chwilę. — A może nie tylko jedna, jeśli się człowiek dobrze zastanowi.

— Co ma pan na myśli?

— Powiedział pan, jak się zdaje, że siostrzenica gospodyni miała do czynienia z podobnym zamachem?

— Tak. Zginęli w nim jej ojciec i brat. Ale to byli terroryści. Zupełnie inna sprawa.

— Niech pan nie będzie tego taki pewny — rzucił zatopiony w myślach Amerykanin.

— Ależ panie McCondy, jaki może tu być związek?...

— Istnieją najrozmaitsze powiązania.

— Ja po prostu nie rozumiem, co to wszystko może mieć wspólnego z moją pracą.

— Ja też nie rozumiem — przyznał detektyw. — Zadaję tylko pytania, staram się powiązać różne wątki. Potem zobaczy się, dokąd nas zaprowadzą. Tak to wygląda w moim fachu. Trzeba znaleźć nic przewodnią i iść tam, dokąd prowadzi. Prędzej czy później odnajdziemy jej koniec. Właściwie to dosyć podobne do pańskiej pracy.

— A moja rozprawka? Jaki może mieć związek?

— Tego też nie wiem. Szkoda, że nie mogę jej zobaczyć. Proszę mi o niej powiedzieć.

— Niewiele pamiętam. Interesowałem się badaniami, które prowadził Harry McCondy.

Adam zrelacjonował wszystko, co zapamiętał ze swojej rozprawy.

— Podejście Harry'ego McCondy'ego było bardzo oryginalne — dodał na zakończenie. — To mnie zaciekało. Zafascynowały mnie też chyba powiązania biblijne i religijne w jego pismach.

— Dlaczego?

— Sam nie wiem. Stare teksty hebrajskie wydały mi się intrygujące. Chyba zawsze zastanawiałem się, czy może być w nich jakiś klucz do przeszłości i czy nauka zdoła kiedyś ten klucz odnaleźć.

Adam przerwał i na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech.

— Zabawne, aż do ostatnich dni nigdy nie zastanawiałem się, do jakiego stopnia skłonny jestem dać im wiarę

— ciągnął po chwili. — Wszystko sprowadzało się dla mnie do problemu czysto naukowego... aczkolwiek muszę przyznać, że dzisiaj patrzę na to inaczej.

— Trafił pan w sedno — zauważył McCondy.

— Co ja takiego powiedziałem?

— Kluczem, jak pan to ujął, może być właśnie ta zależność między nauką i tekstami biblijnymi. Mój pradziadek był człowiekiem bardzo pobożnym. Za swoją misję uważał potwierdzenie Biblii dzięki znaleziskom archeologicznym i zdyskredytowanie ewolucjonizmu, którego był przeciwnikiem.

— To interesujący motyw działania człowieka nauki — rzucił Adam — chociaż przypuszczam, że znaczna część ówczesnej nauki wychodziła od założeń, których miała przecież dowieść.

W tej chwili detektyw skupiał całą uwagę na trudnym skrzyżowaniu, które wymagało dwukrotnego skręcenia na ruchliwe pasma.

— Doskonale pan sobie poradził — pochwalił Adam, kiedy pokonali przeszkodę.

— Wolę skrzyżowania ze światłami — wyznał McCondy. — Proszę mi jednak powiedzieć, jaki jest pana stosunek do spraw wiary?

— Nigdy nie uważałem siebie za człowieka wierzącego, jeśli to miał pan na myśli. Szczerze mówiąc, jestem ewolucjonistą, a w każdym razie za takiego zawsze dotąd się uważałem.

— Nie jestem zachwycony tym, że zadają się z ewolucjonistą — uśmiechnął się detektyw. — Mój pradziadek przewraca się w grobie.

Adam roześmiał się. McCondy'emu nie brak także poczucia humoru.

4.

Kilka minut jechali w milczeniu. Adam pogrążył się w rozmyślnościach o tym wszystkim, co przyszło mu do głowy w tamten poranek, kiedy zginęła Erin.

— A pan, panie McCondy? — spytał po jakimś czasie. — Czy pan należy do ludzi Kościoła? Czy dlatego tak się pan interesuje pracami swojego pradziadka?

— Jestem chrześcijaninem, jeśli o to chciał pan zapytać.

— Chyba o to. Gdzie tu różnica?

— Między tym, że jest się człowiekiem Kościoła i chrześcijaninem? Jest, i to duża.

— Jaka?

— Odpowiem jeszcze jednym pytaniem. Czy wyglądam na duchownego?

Adam przyjrzał się mu badawczo i zachichotał.

— Nie... nie, tego bym nie powiedział, panie McCondy.

— Gdyby powiedział pan coś innego, uznałbym pana za kłamcę — roześmiał się McCondy. — To jasne, że nie wyglądam na duchownego. Czy mógłby pan wyobrazić sobie mnie z koloratką na szyi, śpiewającego w chórze kościelnym, a nawet ubranego w odpowiedni strój? Jestem prywatnym detektywem. Kiedyś byłem gliną. Zastrzeliłem wtedy paru ludzi. W moim zawodzie nie można mieć zupełnie czystych rąk. To, co robię, nie ma wiele wspólnego z życiem duchowym. Ale wierzę w Jezusa Chrystusa. Staram się postępować tak, jak nakazał. Jestem więc chrześcijaninem.

— To interesujące — odparł Adam. — Nigdy nie pomyślałem, że te dwa aspekty można rozdzielić.

— Są rozmaite wyznania. Nie brak ludzi wiary, którzy w swoim życiu nie poświęcają czasu Jezusowi Chrystusowi. O tak, panie Livingstone, być chrześcijaninem to coś zupełnie innego.

— Czy mogę zadać panu bardzo osobiste pytanie?

— A czemu by do diabła nie. Wal pan.

— Modli się pan?

— Tak.

— Codziennie?

— Staram się. Czasem zapominam. Nie mogę sobie z tym poradzić. Ale kiedy o tym pomyślę... no tak, rozmawiam z Bogiem.

— O czym?

— Bo ja wiem. O wszystkim. Pytam, co mam robić, proszę Go o pomoc w pracy, modlę się, żeby pomógł mi uporać się z czymś, z czym zmagam się w życiu, proszę, żeby dał mi jakieś wskazówki, możliwość wejrzenia... rozmawiam o wszystkim, co mi przychodzi do głowy.

— Czy chodzi pan do kościoła, panie McCondy?

— Na tyle, na ile pozwala mi praca. Ale być chrześcijaninem to nie to samo co chodzić do kościoła. Chrześcijaninem jestem dlatego, że staram się iść za Jezusem, a nie że chodzę do kościoła.

Tym razem milczenie zapadło na dłużej. Nowy znajomy podsunął Adamowi mnóstwo nowych spraw do przemyślenia.

— Jeszcze jedno, panie McCondy. Gdzie się pan zatrzymał?

— W jakiejś pchłarni koło dworca.

— Nie może pan tam zostać.

— Po wylądowaniu byłem wykończony. Myślałem tylko o tym, żeby rzucić się na pierwsze lepsze łóżko.

— To po drugiej stronie miasta.

— Proszę mi więc wskazać jakieś bliższe miejsce, gdzie mógłbym wynająć pokój. Nie jestem zbyt wymagający.

— Panie McCondy, na czas pobytu w Anglii zamieszka pan w moim domu. Pojedziemy natychmiast po pańskie rzeczy, jeśli się pan zgodzi.

— No pewnie... jasne, panie Livingstone, dzięki. To bardzo miło z pana strony.

— Proszę objechać to rondo... dobrze. Teraz w lewo i w drugą ulicę na prawo. Powinna doprowadzić nas na Heathrow.

5.

Po jakimś czasie wrócili do rozmowy o przyczynach przybycia McCondy'ego do Anglii.

— Pan sądzi, że jest jakiś związek między moją pracą o pańskim pradziadku i moimi kłopotami — powiedział Adam. — Ale nie widzę w tej pracy niczego, co mogłoby stanowić dla kogokolwiek zagrożenie. Sama myśl o czymś takim wydaje mi się najzwyczajniej w świecie śmieszna. Kto przejmowałby się rozprawką tak dawno napisaną?

McCondy zastanawiał się, pocierając przy tym bezwiednie podbródek.

— Może myśleli, że wie pan więcej, niż wie naprawdę — rzekł jakby sam do siebie. — A może chcieli uniknąć nawet najmniejszego ryzyka.

— Oni to, oni tamto... Ciągłe używa pan słowa „oni”. Ale nie powiedział pan, kim są. O kim pan właściwie mówi?

McCondy przez kilka minut milczał. Pogrążył się głęboko w myślach. Kiedy znowu przemówił, w jego głosie rozbrzmiewały jakieś zupełnie nowe tajemnicze tony.

— Panie Livingstone, na razie znamy się bardzo słabo. Przyłatując tutaj, ryzykowałem. Pan ryzykował wysłuchując mnie. A teraz muszę zaryzykować jeszcze bardziej, mówiąc panu, o co gram. Mój pradziadek zaufał niejakiemu Dubois, który, jak się okazało, sprzymierzył się z bardzo potężnymi ludźmi. Skutek był taki, że dowiedzieli się, jakim zagrożeniem dla nich jest Harry McCondy.

— Na Boga, panie McCondy! O czym pan mówi?

— W przypadku tych ludzi nie można być pewnym niczego — ciągnął McCondy, nie zwracając uwagi na pytanie, które zadał Livingstone. — Dlatego wolę być ostrożny. Mają wszędzie uszy. Potrafią przeniknąć tam, gdzie najmniej się pan ich spodziewa. Są w każdym rządzie, w każdej wielonarodowej korporacji. Kontrolują banki. Mówię panu, Livingstone, są wszędzie. Powiem panu wszystko, bo wyczuwam, że mogę panu zaufać. Przy okazji muszę stwierdzić, że nie zdziwiłbym się wcale, gdyby mieli jedną, drugą wtyczkę w pańskim domu. Nawet w tej chwili. A jeśli nawet nie, opanowali światową sieć komputerową.

— Kto to taki, na Boga? Chodzi o jakiś spisek na skalę całego świata?

— Trafił pan w sedno, panie Livingstone.

— Ogólnoświatowy spisek? Ależ panie McCondy!

Detektyw znowu zamilkł. Po chwili zaczerpnął głęboko powietrza w płuca.

— Czy słyszał pan określenie „Illuminati”?

Adam potrząsnął głową.

— To spisek, o którym pan mówi?

— Część. Uczestniczą w nim liczne tajne i okultystyczne stowarzyszenia.

— Jaki jest cel tego spisku?

— Kontrola.

— Nad czym?

— Nad całym światem, a przede wszystkim nad ludzkimi myśłami. Dzięki temu można bowiem mieć kontrolę nad systemami wartości społecznych i nad zachowaniami. W ten sposób sprawuje się władzę.

— Nie mogę powiedzieć, panie McCondy, że w to wierzę. A poza tym nie mogę sobie wyobrazić, co to może mieć wspólnego ze mną. Ale słucham.

— No dobrze. Niech się pan więc trzyma mocno, czeka bowiem pana jazda, o jakiej nie miał pan dotąd pojęcia. Pewnie trudno będzie panu uwierzyć w to, co pan usłyszysz.

Adam skinął tylko głową i słuchał uważnie.

A McCondy przez czterdzieści minut snuł najbardziej niewiarygodną opowieść, jakiej angielski archeolog nigdy jeszcze nie słyszał.

— Trudno w to uwierzyć. Stanowczo — oznajmił potem Adam, potrząsając powątpiewająco głową. — To tak, jakbym się znalazł w samym środku powieści Johna LeCarre! To po prostu... po prostu... proszę tu skręcić... dojeżdżamy.

— Jest pan dobrym pilotem — powiedział Amerykanin.

— Sam nigdy bym nie trafił. Jak przystało na tubylca.

Wysiedli i poszli zabrać rzeczy detektywa i wymeldować go z hotelu.

6.

— To wszystko jest bardzo intrygujące, panie McCondy — podjął Adam, kiedy ruszyli w stronę Sevenoaks. — Przedstawił pan to przekonywująco. Ale musi pan przyznać, że może się to wydać po prostu śmieszne. Jestem człowiekiem nauki, archeologiem. Nie pojmuję, dlaczego moja praca miałaby stanowić dla kogoś zagrożenie. Wydaje się, że wyciąga pan wnioski dalej idące, niż ja, szukając Edenu, a przecież nie brak takich, którzy uważają mnie za stukniętego, skoro przyjmuję, że takie miejsce może w ogóle istnieć. Nie może mieć mi pan za złe tego, że odnoszę się sceptycznie do pańskiej opowieści. Muszę to zbadać.

— Panie Livingstone! Czyżby pan nie słuchał? Może pan sobie badać do sądnego dnia, ale nie znajdzie pan nic albo prawie nic. Przecież tu chodzi o spiszek! Spiszek to tajemnica. A ten spiszek okrywa najlepiej strzeżona tajemnica. Nie znajdzie pan tych ludzi pod kamieniami. Trudniej się do nich dokopać niż do australe, no, niż do tych starych czaszek.

— Australopithecusa.

— No więc trudniej! Przyjdzie czas, kiedy będzie mi pan musiał zaufać. I moim zdaniem ten czas jest już bliski.

Adam znowu pogrążył się w myślach.

— Od jak dawna odtwarza pan dzieło swojego pradziadka? — spytał po dłuższej chwili.

230

— Bardzo długo nie miałem o tym zielonego pojęcia. Ale kiedy przeczytałem w gazecie o pańskiej ekspedycji na Ararat, ni z tego, ni z owego zacząłem zastanawiać się nad dziadkiem Harrym i nad przyczynami jego śmierci. Wiedziałem, że gdzieś na strychu są papiery po nim...

— Ma pan notatki Harry'ego McCondy'ego?

— To dom rodzinny. Mieszkał w nim i wszystko po nim zostało. Przeszło na mnie. Poszedłem więc na strych i znalazłem stary dziennik...

— Dziennik!

— Własnoręcznie spisany.

— Nie mogę uwierzyć. To skarb!

— Większy, niż pan sobie wyobraża. Ślęczałem nad nim trzy dni. Właśnie dowiedziałam się, że wpadł na ten sam trop co pan, chociaż pan o niczym przecież nie wiedział i chociaż szedł pan innym tropem.

— Czy mogę to zobaczyć?

— Chyba pan żartuje. Miałbym coś takiego wozić ze sobą po świecie? Dziennik został w Bostonie, w bezpiecznym depozycie. Proszę mi wierzyć, gdy tylko dowiedzą się o mnie i o tym, do czego doszedłem, muszka celownika zastygnie także między moimi oczami.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

JESZCZE JEDEN GOŚĆ W SEVENOAKS

1.

Minister spraw wewnętrznych Azerbejdżanu wracał z Londynu. Kipiał z wściekłości.

Obie próby unicestwienia Livingstone'a zawiodły. Wszędzie pełno głupców, którzy nie znają się na swojej robocie. A tych głupców z Bagdadu najlepiej byłoby pogrzebać pod dwudziestoma metrami śniegu!

Na myśl, że musi opuścić Londyn, chociaż zadanie nie zostało wykonane, ogarniał go gniew. Nie mógł sobie jednak pozwolić na dłuższe pozostawanie poza krajem. Czeką na niego mnóstwo spraw. Trzeba rozejrzeć się za kimś godnym zaufania, kto rozprawi się wreszcie z Livingstone'em. Jeden sprawny bojownik — rozmyślał — albo ktoś z zewnątrz lepiej się spisze niż dwudziestu głupców.

Wydarzenia na zachodniej granicy także zbliżały się do momentu krytycznego. Może wojsko mogłoby postarać się, żeby zbłąkana rakietą pomknęła w stronę Araratu. Trzeba omówić to z generałem Pierwuchinem.

Nie może pozwolić sobie na następne potknięcie. Odtąd będzie posługiwał się swoimi ludźmi i załatwiał wszystko po swojemu.

Kiedy odrzutowiec lądował w Baku, gniew nieco już opadł. Uwagę ministra zaprzętało teraz przygotowywanie następnej fazy wielokierunkowej strategii, która zapewni przejście władzy. Wsiadając z samolotu, zerknął na zegarek. Potem przywitał się z kilkoma urzędnikami i reporterami, którzy przyszedli na lotnisko. Po piątej. Ruszył zdecydowanym krokiem w stronę limuzyny, a potem polecił kierowcy, żeby jechał prosto do willi.

Przenikało go poczucie dumy, kiedy lśniący czarny automobil wiozł go przez miasto. Na początku nowego stulecia dyrektorzy, finansiści i politycy będą przychodzić do niego po wytyczne. Z Baku będą rozsyłani po całym świecie, żeby wprowadzać nowy porządek.

Mocarstwa powstają i upadają. Na horyzoncie historii, gdzie słońce przyszłości miało rychło już wstać i oświetlić swoimi promieniami nową epokę, przeznaczenie wskaże właśnie to miejsce, lata, może dziesięciolecia temu wybrane ze względów strategicznych jako punkt, z którego moc będzie rozprzestrzeniała się we wszystkich kierunkach, miejsce położone na południe od Rosji, na zachód od nieprzebranego ludzkiego potencjału w Azji, na północ od Bliższego Wschodu i Afryki, na wschód od Europy i Ameryki.

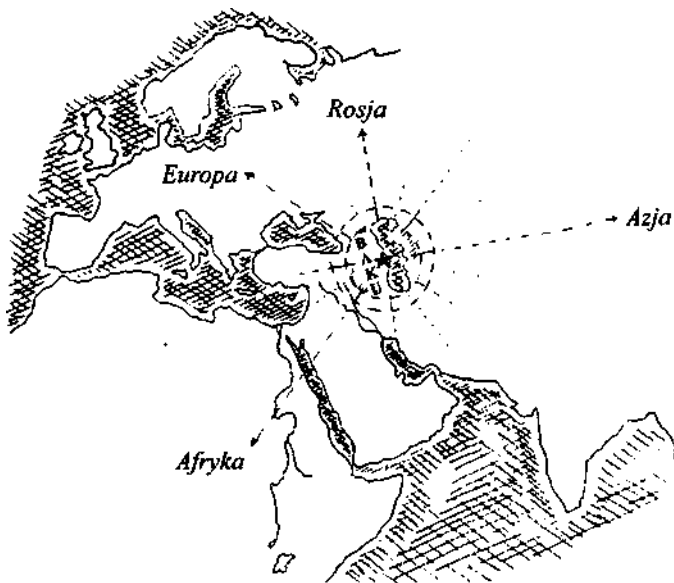
Tutaj będzie epicentrum komunikacji, wymiany handlowej i finansowej, podejmowania decyzji. Tutaj, między Kaukazem i górami Zagros, u wylotu Kura, między Morzem Czarnym i Kaspijskim — w tym miejscu odosobnionym, a jednocześnie centralnym — zostanie stworzona Szwajcaria nowej epoki, Szwajcaria na skalę globu.

Już się tworzy!

Baku będzie osią, jądrem nie Europy, nie poradzieciej konfederacji sojuszników z byłego Układu Warszawskiego, ale całkiem nowego planetarnego ładu.

Tak zarządzili ci, którzy go tam umieścili. Łączyła ich utajona podległość względem Mocy, której istnienie świat z trudem przyjmował do wiadomości, chociaż miliardy jego mieszkańców składały jej ofiarę z każdej chwili swego życia.

On zaś, Haider Zorin, zajmie główne miejsce na nowej światowej scenie.



Wziął do ręki telefon.

— Generale — powiedział po chwili — tu Zorin... Tak, wróciłem. Musimy się spotkać i naradzić w sprawie najwyższej wagi.

Chwila milczenia.

— Manewry? Tak, rozumiem... Tak, zajmą trochę czasu. Proszę zarezerwować całe przedpołudnie. Za trzy dni. Będzie pan miał dość czasu, żeby przygotować pełne sprawozdanie z realizacji naszych planów. Spotkamy się u mnie. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Rozłączył się i znowu wyjrzał przez okno.

Przygotowano całkiem nowy wzorzec kulturowy dla całej planety. Jednocząca religia nowych czasów wciągnie w swą orbitę wszystkie narody, ludy, kultury, wszystkie instytucje polityczne. Temu miało służyć jego wyniesienie: miał utorować drogę temu, który poprowadzi zjednoczone rządy całego świata, wielkiemu nauczycielowi, dawcy wiedzy, politycznemu przywódcy, mężowi stanu, który ma wizję przeznaczenia... Oto, co zapowiedział Mistrz.

Ostatnio rosło w nim przekonanie, że tym kimś będzie, być może, on, Zorin. Każdy prorok musi pracować nad swoją wielkością.

Dlaczego nie miałby wznieść się na te uświęcone wyżyny? Może to on jest Dostojnym Maitreją, może właśnie on jest już gotowy do objęcia władzy.

Pokaże, że jest tego wart! Każde zadanie wykona bezbłędnie. A wtedy zostanie Mężem Pokoju, awatarem, rzecznikiem jedności i na niego świat cały będzie patrzył z podziwem i uwielbieniem, on stanie się nowym milenijnym przywódcą świata.

Kto wie, może już wkrótce Rada Dwunastu zostanie zawiadomiona o jego profetycznym przeznaczeniu.

W przeciwnym razie po cóż współtowarzysze obdarzaliby go taką mocą, powierzali nieograniczone środki finansowe? Skąd brałaby się ich pewność, że kiedy przyjdzie czas, dostanie pełnię władzy nad tym narodem, który wybije się na pierwsze miejsce spośród narodów?

2.

Zadanie wyznaczone Zorinowi przez Radę było całkiem proste: miał umocnić władzę w Azerbejdżanie.

Tego dokonał już z powodzeniem na wielu szczeblach. Koordynował programy budownictwa, żeby przygotować infrastrukturę, która pozwoli sprawować rządy nad wszechświatową konfederacją. Bez zmużenia oka importował technologię obejmującej cały świat sieci łączności. Skupił wokół siebie lojalnych podwładnych, ekspertów we wszelkich dziedzinach, gotowych bez zwłoki wykonać każdy rozkaz.

Teraz musi tylko czekać na właściwy moment, żeby ująć w swe ręce ster władzy. A kiedy ten moment przyjdzie, rozciągnie swą kontrolę na wszystkie obszary życia.

Prezydent Woroszyłow, chwilowy figurant, spadnie na łeb na szyję. Odbędą się wybory. Zorin będzie miał zwycięstwo w kieszeni. Na jego reputacji nie ma najmniejszej skazy. Kiedy nadejdzie czas, by świat go ujrzał i poznał, samo nazwisko Zorin będzie dźwięczało we wszystkich uszach jako uosobienie nowego światowego przywództwa.

Pracował nad książką — na razie nie zawiadomił o tym Rady — która ukaże jego pogląd na nowy ład: *Pokój w nowych czasach: Globalny manifest humanistycznej jedności*.

Zostanie wydana jednocześnie w pięćdziesięciu językach, a on zadba o to, żeby pojawiła się na światowych rynkach dokładnie w chwili jego wyboru, i dzięki temu światła wszystkich reflektorów skierują się na jego osobę.

Z dnia na dzień wzniesie się na wyżyny, z których zaćmi prestiżem, popularnością i siłą prezydenta Stanów Zjednoczonych, sekretarza generalnego ONZ, a nawet papieża. Stopniowo spłynie na jego ramiona płaszcz kosmicznego mesjasza.

I podobnie Baku jako centrum bankowe zaćmi Zurych, Londyn i Amsterdam. W odpowiedniej chwili wszystkie największe instytucje finansowe, kontrolowane i tak przez ich ludzi, właśnie do Baku przeniosą swe kwatery główne i systemy komunikacyjne. Rozwiną się inne dziedziny przedsiębiorczości. Niedługo najważniejsze transakcje giełdowe będzie się zawierać w Baku. Nowy Jork, Rio, Londyn, Moskwa, Hongkong, Tokio będą obracać się wokół nowego ośrodka wszechświata.

Mając na uwadze te cele, spokojnie doglądał budowy dworca lotniczego, większego i nowocześniejszego niż w Denver oraz uwzględniającego najnowsze zdobycze techniki systemu kolei podziemnej, która połączy centrum miasta z okręgami, gdzie w przyszłości powstaną dzielnice mieszkalne i zespoły biurowe. Trwają prace nad całkowicie odnowionym systemem dróg i autostrad, powiązanych z unowocześnianym portem. Planuje się dziesiątki nowych budowli, w których znajdują się ambasady, banki, firmy brokerskie, instytucje łączności i główne siedziby wszelkiego typu i wielkości wielonarodowych korporacji. Niejedna jest już wznoszona w promieniu piętnastu kilometrów od centrum.

Jednym słowem przygotowywał Baku do tego, by pod koniec pierwszej dekady nowej epoki mogły zamieszkać tu dwa miliony ludzi.

Rozbudowywał też bez rozgłosu armię, aby wybrzeże gruzińskie zapewniło Azerbejdżanowi morskie i portowe warunki odpowiadające

roli, jaką odegra ten kraj w nowej epoce. Na deskach projektantów znalazły się już autostrady i linie szybkiej kolei, które połączą oba wybrzeża prosto przez Tbilisi. To prawda, Gruzja nie ma dużego naturalnego portu na Morzu Czarnym, ale kiedy dojdzie do zjednoczenia dwóch republik, Zorin zadba o jego zbudowanie.

Obserwator z zewnątrz mógłby się dziwić, że właśnie Baku rozwija się z takim rozmachem. Dlatego Zorin nie życzył sobie, żeby rozglądał się tu jakikolwiek obserwator z zewnątrz.

Azerbejdżanie nie zadawali pytań. Długo ciążyła na nich moskiewska ręka, nic więc dziwnego, że są na ogół zacofani i potulni. Powiedziano im, że to wszystko jest związane z wolnością, i to im wystarczyło. Kapitalizm oznacza rozwój. W przeciwieństwie do wielu poradziecich republik nikt nie wysuwał żądań. Pracy nie brakowało, pensje były wysokie. Ludzie nie wiedzieli, dlaczego tak się dzieje, ale niewiele ich to obchodziło. Komunizm pozostawił trwałą spuściznę: prawie nikt nie miał rozwiniętego zmysłu ciekawości. Obywatelom Azerbejdżanu nie śniło się nawet, że ich mały naród kroczy na spotkanie nowej epoki.

Zorin, zastanawiając się nad przyszłością i swoją w niej rolę, przybrał władczy i rozkazujący wyraz twarzy. Ludzi z takimi twarzami wybierają ci, którzy decydują o biegu wydarzeń, i na ten wybór trzeba sobie zasłużyć. Duchowe światło bijące z rysów Zorina było z pewnością znakiem jego przyszłego wyniesienia.

Grafitowo-szare, prawie czarne oczy lśniły w twarzy o grubo ciosanych, ale przystojnych rysach. Ta twarz świadczyła o sile. Miał lekko śniadą cerę, co wskazywało, że w jego żyłach płynie bliskowschodnia krew, chociaż pod wieloma względami jego wygląd wskazywał na pochodzenie azerskie i słowiańskie. Grube wargi, szerokie usta, duże, wysunięte do przodu zęby i wystające kości policzkowe mówiły o sile, witalności i władczym charakterze. Słusznie został wybrany: miał imponującą postawę i ruchy człowieka, który skupia na sobie uwagę, gdziekolwiek się pojawi. Gęste kruczoczarne włosy

opadały na niezbyt wysokie czoło, ale to tylko czyniło twarz jeszcze bardziej wyrazistą. Podobnie gęste i czarne brwi podkreślały wyraz oczu, wzmagając dodatkowo dramatyczny efekt.

Ostatnio jednak czoło i krzaczaste brwi częściej niż zwykle marszczyły się z niecierpliwości, gdyż Rada zwlekąca z narzuceniem nowego ładu. A nowe milenium jest tuż, tuż. Najwyższy czas!

Mówią, że czekają na rozkazy. Musi przemówić mądrość Utajonego Wymiaru. Plan musi wchodzić w życie bezustannie, powoli i po cichu. Infiltracja musi odbywać się stopniowo. Przemieszczenie ośrodka władzy do Baku to tylko jeden z aspektów pomyślanej z większym rozmachem strategii przejmowania kontroli nad światem.

Zorin słyszał to wszystko, ale rozpieła go ambicja. Przypominał pod tym względem innego wyznawcę, z dawnych czasów, który też odegrał kluczową rolę we wprowadzaniu świata w nowe czasy — w sposób, którego ten świat nigdy przedtem nie przewidywał.

Zorin był oddany starożytnej mądrości Wymiaru Babilońskiego. Ale uważał, że okoliczności są wyjątkowo sprzyjające. Wszędzie dokoła znaki świętej liczby. Światło milenijnego brzasku rozjaśniało już kosmiczny horyzont.

Nowy wiek jest u bram. Dlaczego Rada ciągle zwleka?

Pragnął ruchu. Wszystko jest na miejscu. Za rok, najwyżej dwa, będą całkowicie gotowi. Jeśli przystąpi do czynu, z pewnością pociągnie za sobą pozostałych jedenastu.

3.

Po kilku dniach pobytu w Sevenoaks McCondy poprosił o zorganizowanie spotkania ze współpracownikami Adama Livingstone'a.

Chociaż nastroje, jakie ogarnęły wszystkich po śmierci Erin, stopniowo się poprawiły, uznali, że życie w posiadłości nigdy już nie będzie takie jak przedtem. Łzy jednak przestały już płynąć. Przyszedł czas, aby ruszyć do przodu. Ale McCondy powtarzał z

uporem, że wszyscy muszą pamiętać o zagrożeniach, jakie na nich czyhają.

— Ile zechce wam powiedzieć pan Livingstone, to wyłącznie jego sprawa — zaczął Amerykanin. — Ja chcę tylko, byście zdawali sobie sprawę, że bomba, która zabiła waszą koleżankę, chybiła celu. W tej sytuacji nie można wykluczyć, że dojdzie do następnych zamachów. Nie sposób przewidzieć, jaki będzie ich charakter. Sprawdziłem was wszystkich i możecie kontynuować swoją pracę. Na razie.

— Co to znaczy, że pan nas sprawdził? — spytał Scott.

— Zebrałem dane o wszystkich mających coś wspólnego z tym domem i...

— Badał pan naszą przeszłość? — spytał z niedowierzaniem asystent Livingstone'a.

— Coś w tym rodzaju.

Obecni wymienili spojrzenia, unosząc przy tym brwi.

— Nie ma na to rady, panie Jordan — dodał detektyw. — Jeśli mam wyjaśnić sprawę, muszę poznać wszystko do głębi, muszę dowiedzieć się o was jak najwięcej. Nie ma jednak powodu, jak już powiedziałem, do zmartwienia. Jesteście czyści.

— Wspomniał pan, że na razie. Jak pan to rozumie, panie McCondy? — spytał Adam.

— Nigdy nie przestaję węszyć.

— Czy zechciałby pan to wytłumaczyć? — wtrąciła się z pewnym rozdrażnieniem Jen. — Zamierza pan zaglądać nam przez ramię, kiedy tylko weźmiemy się do jakiejś pracy?

— Ujmijmy to tak: ludzie mają czasem powiązania, o których sami nic nie wiedzą. To właśnie mam na myśli. Nie zamierzam zaglądać wam dosłownie przez ramię. Ale będę starał się w tych powiązaniach rozeznąć. Będę szukał luźnych końców nici, jak to nazywamy. Będę miał oczy szeroko otwarte. Czy można mieć pewność, że ktoś z was nie wplącze się w coś niechcący?

— Nie podoba mi się takie postawienie sprawy — oświadczyła Jen.

— Dlatego nie owijam niczego w bawełnę. Jeśli się pani boi, proponuję rozmowę z szefem. Sprawy mogą przybrać z początku

zły obrót. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Czy są jakieś pytania?

Rozejrzał się po obecnych i wstał.

— Dziękuję, panie McCondy — powiedział Adam. — Doceniamy to, co pan robi.

4.

— Uff. — sapnęła Crystal, kiedy drzwi zamknęły się za Amerykaninem. — Nie jestem pewna, czy lubię tego człowieka.

— Ja też — zgodziła się z nią Jen. — Na jego widok dostaję gęziej skórki.

— Nie przejmujcie się. Zadzwońłem do znajomego ze Scotland Yardu. McCondy to fachowiec — powiedział Adam. — Po prostu stara się niczego nie przeoczyć. Robi, co może, byśmy mogli wrócić do normalnej pracy. A, właśnie... Wziąłem wczoraj nową laborantkę. Nazywa się Emily Stevens. McCondy ją zaaprobował.

— Hurra! — roześmiał się Scott. — Nigdy w życiu nie musiałem odpowiadać na tyle pytań!

— Sami widzicie — dodała Crystal.

— Stara się nas chronić — uspokajał ich Adam. — Ufam mu. Im lepiej nas pozna, tym bardziej będzie mógł nam ufać. Proszę więc o cierpliwość i współpracę z panem McCondym. Nie zapominajcie o tym, co spotkało Erin. Jeśli ten Amerykanin ma rację i nie dostrzeżliśmy, co nam grozi, być może ratuje nam po prostu życie.

— Kiedy poznamy tę Emily? — spytała Jen.

— Przyjdzie jutro.

— Kto to taki?

— Piszę pracę doktorską na londyńskim King's. Przeprowadziłem kilka rozmów na uniwersytecie. Ma rekomendację kilku profesorów. Podobno zna się na fachu.

— Czy mam przystąpić do roboty papierkowej? — spytała Crystal, otwierając formularz zatrudnienia. — Cały etat?

— Na razie cztery godziny dziennie. Kiedy przyjdzie, ty i Jen pokażcie jej wszystko i zapoznajcie ją z pracą tu na gorze. Potem

zaprowadzę ją na dół i poproszę o przeprowadzenie paru testów, żeby oswoiła się z laboratorium i naszym systemem pracy. Scott, czy nadal myślisz o nowych komputerach?

— Tak jest. Wybieram się dzisiaj do miasta.

— Dobrze, musimy wprowadzić nasze archiwum, odtworzyć to, co straciliśmy, zapisać kopie. Porozmawiaj z McCondym. Chcę, żeby wiedział o wszystkich tego rodzaju posunięciach.

Scott skinął potakująco głową.

— Sporo mamy do zrobienia, zanim będziemy mogli wyruszyć do Afryki — westchnął Adam.

Rozległ się dzwonek interkomu. Beeves.

— Inspektor Saul do pana.

— Powiedz, że już schodzę. Adam zbiegł szybko po schodach.

— Dzień dobry, Max — przywitał starego znajomego.

— Przepraszam, że zabieram czas — powiedział inspektor — ale uważam, że powinien pan o tym wiedzieć. Ten nicpoń, który przyjaźnił się z pańską laborantką...

— Tak... Dexter.

— Dexter Caine. Zidentyfikowali go koledzy z pracy... chociaż o tym też pan chyba jeszcze nie wie. Zdaje się, że kierownik też dał nogę.

— Co z tym Caine'em, inspektorze?

— Rano znaleziono ciało w Tamizie... Woda zniosła je pod słupy Canary Wharf na Isle of Dogs. Miał... skręcony kark.

— Straszne. Macie jakiś trop?

— Nic.

— Dziękuję, że mnie pan zawiadomił. Proszę informować mnie na bieżąco. Aha, jak radził sobie mój amerykański przyjaciel w Scotland Yardzie?

Inspektor Saul uśmiechnął się.

— Nikt nie przepada za prywatnymi... a jeszcze jankes! Mówi się, że kapitan Thurlow ma jakiś dług wdzięczności w Bostonie, stara przysługa, wie pan, jak to jest. Kazano nam więc pokazać temu McCondymu wszystko, czego zażąda.

Adam roześmiał się.

- Wygląda na to, że umie zdobyć to, na czym mu zależy.
- To niezły chłop, kiedy się już człowiek do niego przyzwyczai.
- To prawda... niezły chłop, Max.

W tym czasie w kuchni ten, o którym tak dyskutowano, rozmyślał o planowanym wyjeździe do Scotland Yardu, kiedy pojawiła się gospodyni.

- Gdzie jest słoik z kawą, pani Graves? — spytał McCondy.
- Nigdzie go nie widzę.

Otworzyła kredens i podała mu słoik. Krzywiąc się, wziął go ręki.

- Nie ma gdzieś w Anglii Starbucks? — spytał żartobliwym tonem.
- Star co, panie McCondy?
- Nieważne, pani Graves, zwykłe omamy. Zadowolę się folgersem!

5.

Późnym popołudniem Adam natknął się na panią Graves i Juliet, które szły trawnikiem w stronę garażu.

- Dokąd się panie wybierają? — spytał.
- Odwożę Juliet na stację — odpowiedziała gospodyni.
- Wyjeżdża pani odpocząć? — Adam zwrócił się do Juliet.
- Nie, do miasta.
- Na zakupy?
- Wczoraj wieczorem zadzwoniła moja mama. Muszę podpisać jakieś papiery, które przygotował doradca prawny... coś w związku z domem.
- Szkoda, że nie pojechała pani z McCondym. Wyjechał z rana.
- Mogę przecież pojechać pociągiem. Zresztą pójdę na kawę z przyjaciółką z college'u.
- Kiedy pani wraca?
- Nie wiem... pod wieczór.

— Proszę powiedzieć, kiedy i gdzie pani będzie. Przywiozę panią z powrotem. Muszę zwrócić parę rzeczy do British Museum.

— Och, panie Livingstone, nie mogę pana o to prosić — Juliet była zakłopotana zarówno z powodu obecności ciotki, jak i propozycji Adama.

— O nic pani nie prosiła, panno Halsay. To moja propozycja. Tak czy inaczej, miałem wybrać się do Londynu. Nalegam. Kiedy skończy pani swoje sprawy?

— Myślę, że o trzeciej albo czwartej.

— O 3.45 koło księgarni w Westminster Abbey. Będę tam czekał.

I Adam poszedł w stronę domu, Juliet zaś, wyczuwając dezaprobatę ciotki, obróciła się w jej stronę, wzruszając ramionami i uśmiechając się nieśmiało, jakby chciała powiedzieć: „Co miałam robić, ciociu? Przecież nalegał”.

O 3.40 Adam zaparkował samochód na Great College Street tuż przy Abington. Poszedł w stronę wielkiego opactwa, patrząc na imponujące budynki parlamentu po prawej stronie. Juliet z jakąś młodą kobietą wyszły właśnie z księgarni. Juliet robiła wrażenie wyższej niż zwykle, bo jej przyjaciółka była bardzo drobna.

Adam zatrzymał się i patrzył z zaciekawieniem na siostrzenicę swojej gospodyni. Juliet śmiała się wesoło, potem podała jakiś przedmiot przyjaciółce. W jej zachowaniu było coś uderzającego. Adamowi wydało się, że poza murami jego posiadłości ta dziewczyna zmieniła się nie do poznania. Czuli się swobodnie i radośnie w środku pełnego zgiełku i krzątaniny miasta, nie wyglądała na kogoś uległego i niepewnego siebie — jak dotąd. Ruszył dalej i po chwili Juliet go zauważyła.

Pomachała w jego stronę ręką.

— Jesteśmy, zdaje się, punktualni — powiedział z uśmiechem Adam. — Mam nadzieję, że nie musiała pani zbyt długo czekać.

— Dopiero co przyszłyśmy — odparła Juliet. — Chciałam podarować przyjaciółce książkę. Rozmawiałyśmy o niej w zeszłym roku. Jane, to pan Livingstone. Panie Livingstone... Jane Simmons.

Wymienili uścisk dłoni. Widać było, że dziewczyna czuje się onieśmielona. Po chwili się pożegnali.

— Czy mogę zapytać, panno Halsay, o jaką książkę chodziło?
— spytał Adam, kiedy zawrócili i szli w stronę samochodu.

— O pewną baśń o lwie i czarownicy.

— Dla dzieci?

— To książka CS. Lewisa.

— Słyszałem o nim, ale nic nie czytałem.

— Ja czytałem pierwszy raz, kiedy byłam dziewczynką. Ale niedawno przeczytałam od nowa i teraz wydaje mi się, że ta książka bardziej nadaje się dla dorosłych.

— To brzmi zachęcająco — powiedział Adam.

Wsiedli do samochodu.

Jechali na południowy wschód przez zatłoczone o tej porze ulice, rozmawiając o tym i o owym.

— Załatwiła pani swoje sprawy? — spytał Adam.

Juliet skinęła głową.

— Trzeba było tylko podpisać kilka dokumentów, których nie podpisałam przedtem.

— Jak się ma pani matka? Jest w Bedford?

— Tak, z moją drugą ciotką. Ma się nieźle, chociaż myślę, że trudno jej wrócić do równowagi.

— Zamierza pani zamieszkać z nią znowu?

— Kiedy tylko będzie to możliwe... to znaczy, kiedy będę miała pracę. Mama nigdy nie pracowała.

— Moja też nie — roześmiał się Adam. — Ale to nie zmienia faktu, że jest bardziej zajęta niż dziesięć osób razem wziętych.

— Co ma pan na myśli?

— Moja matka, niech Bóg ma ją w swojej opiece, byłaby nazywana damą zajmującą się dobroczynnością, gdybyśmy pochodzili z arystokracji. Ponieważ jednak nie pochodzimy, jest po prostu kimś, kto spieszy z pomocą humanitarną wszystkim potrzebującym na całym świecie. Czasem zastanawiam się, czy naprawdę robi to wszystko dla innych, czy może dla samej siebie. Ale ja mogę tylko uśmiechać się, kiedy myślę o jej przygodach. Potrafi połączyć ducha zabawy ze współczuciem.

— Myślałam, że pańska rodzina ma jakieś szlacheckie tytuły.
— Skądże. Mój ojciec był człowiekiem interesu, a nie arystokratą.

— Czym się zajmował?

— Importem. Podróżował po całym świecie, szukając osobliwości w najbardziej egzotycznych miejscach. Dostarczał je wyspecjalizowanym sklepom w Londynie. Dość szybko zbił spory majątek. W wieku trzydziestu lat był zamożnym człowiekiem. I nagle umarł w Indiach. Miałem wtedy szesnaście lat. Moja kochana mama spędziła ostatnich osiemnaście lat, robiąc, co się tylko dało, żeby roztrwonić majątek, który odziedziczyła po ojcu.

W tym momencie Adam nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Czy dom to posiadłość rodzinna? — spytała Juliet.

— Na to pytanie też muszę odpowiedzieć przecząco. Przeprowadziliśmy się do Sevenoaks trzy lata przed śmiercią ojca. Przedtem mieszkaliśmy na północy Londynu. Pewnie dlatego matka nigdy nie była zbyt przywiązana do tego miejsca. Kiedy tylko ojciec nas opuścił, jęła biegać po całym świecie z korpusami pokoju, wyprawiać się na rejsy, wspinać na górskie szczyty, wędrować na safari, pomagając budować sierocińce, opiekując się ofiarami katastrof żywiołowych. Moja siostra wyjechała jeszcze wcześniej i w rezultacie zostałem sam w domu i posiadłości.

— Nie wiedziałam, że ma pan siostrę. Młodszą?

— Nie, starszą o dwa lata. Jestem beniaminkiem — roześmiał się Adam.

— I w wieku szesnastu lat został pan sam w domu?

— Właśnie zaczynałem studia w Cambridge. Przez kilka następnych lat domem zajmowali się pani Graves i Beeves, których wspierał prawnik rodziny. Kiedy zakończyłem nauki, byłem już wystarczająco dorosły, żeby przejąć odpowiedzialność za dom. I wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem przywiązany do Sevenoaks.

— Ale mnóstwo czasu spędza pan poza domem?

— To prawda. Jeśli jednak ma się miejsce, które można nazwać domem, łatwiej człowiekowi znieść podróże. No a poza tym muszę mieć gdzieś biuro i pracownię.

— Co robi pana siostra?

Adam westchnął.

— Nie wiem. Właściwie nie utrzymuje z nami kontaktu. Nie przyjechała nawet na pogrzeb ojca. Żyje w swoim świecie, o którym ja nie mam pojęcia. Przez wszystkie te lata widziałem ją przelotnie dwa, może trzy razy. Nasza rodzina raczej nie trzyma się razem, prawda?

— Po tym wszystkim, co przeżyłam ostatnio — powiedziała Juliet — zastanawiam się, jak właściwie jest z moją rodziną.

— No tak. Wszyscy kochają moją matkę, a ja nie próbuję już nawet jej zrozumieć. Czasem chciałbym, żeby zostawiła mi trochę pieniędzy po tacie — dodał i roześmiał się. — Ciągle muszę myśleć, skąd wziąć fundusze na moje prace. Ale właściwie nie skarżę się. Nie brakowało mi szczęścia w życiu. Zdaje się jednak, że mama postanowiła wydać przed śmiercią wszystko, co ma.

— A siostra?

— Ona niczego nie chce ani od matki, ani ode mnie. Odpowiada jej cygański styl życia i nie wzięłaby pensa od matki, nawet gdyby wpadł jej prosto w rękę.

— Tak więc cała posiadłość należy do pana.

— Teoretycznie do nas trojga, do mnie, mamy i Claresty. Ale obie są zadowolone, że traktuję ten dom jak moją własność, choć chętnie widziałbym je u siebie. Ojciec zostawił niewielki fundusz na utrzymanie domu. W gruncie rzeczy muszę jednak liczyć na to, co sam zarobię.

Czas mijał im na takiej pogawędce. Godzina minęła jak z bicza strzelił i ani się spostrzegli, kiedy zobaczyli bramę posiadłości.

6.

Lord Montreux był ostatnią osobą, którą Adam spodziewał się usłyszeć w słuchawce po powrocie do Londynu.

— Adam, chłopcze — zaczął ojciec Candace — chciałbym osobiście złożyć ci wyrazy współczucia z powodu tego, co spotkało twoją laborantkę.

- Dziękuję, lordzie. To bardzo miło z pana strony.
- Wracacie już po tym wszystkim do siebie, ty i twoi ludzie?
- Staramy się pracować normalnie, chociaż trudno przejść do porządku dziennego nad taką tragedią.
- To rozumiałe. Jeśli mógłbym ci jakoś pomóc, dzwoń bez wahania.
- Dziękuję panu.
- Candace bardzo się martwi. Boi się, że za ciężko pracujesz. Adam zaśmiał się cicho.
- Bez obaw. Praca dodaje mi sił.
- Może czas już, żebyś pomyślał o poszerzeniu swoich horyzontów?
- Nie bardzo rozumiem, proszę pana.
- Chciałbym w przyszłym tygodniu zjeść z tobą kolację na mieście. Skoro mamy przez resztę życia być teściem i zięciem, czas już chyba, żebym wprowadził cię trochę w mój świat. Myślę, że może ci to otworzyć oczy na wiele spraw.
- Jaka to będzie kolacja? — spytał Adam, rozmyślając o tym, jak podczas wspólnego lunchu ojciec Candace wygłaszał głównie swoje własne stwierdzenia.
- Powiem tylko, że wezmą w niej udział bardzo wpływowi ludzie, którzy bardzo się tobą interesują. Jesteś powszechnie szanowany. Chcą cię poznać.
- Ludzie... Jakiego rodzaju?
- To członkowie zakonu, do którego należę.
- Chyba nie wiem...
- Tak, tak, zobaczysz, że będzie to ciekawe i bez wątpienia korzystne dla twoich prac. Rozpatrywano już twoją kandydaturę i odstąpiono od wielu wymagań, jakie stawia się przyszłym członkom. Zostałeś zaakceptowany. Mogę cię zapewnić, że to wielki zaszczyt.
- Nie wątpię. Wątpię natomiast, żebym pasował do takiego towarzystwa.
- Nie zabraknie ludzi noszących najznamienitsze angielskie nazwiska.
- Doceniam pańską zyczliwość, lordzie, ale szczerze mówiąc, nie mam najmniejszej ochoty wstępować do tajnych zakonów.

- Właściwie trudno to nazwać zakonem.
- Mimo to muszę z całym szacunkiem odmówić. Jestem zbyt zajęty, żeby brać na siebie dodatkowe zobowiązania.
- Czy zechcesz w takim razie przyjść na kolację po prostu jako mój gość? Zależy mi na tym... podobnie zresztą jak Candace.
- Przykro mi, lordzie, ale muszę odmówić.
- Lord Montreux nic nie powiedział — nie chciał okazać, jak bardzo czuje się zawiedziony. Oddał więc tylko słuchawkę stojącej obok Candace.
- Cześć, Adamie — powiedziała jedwabistym głosem.
- Jak się masz, Candace? — odparł Adam, starając się nadać swemu głosowi jak najradośniejsze brzmienie.
- Bo ja wiem. Może ty mi powiesz. Tato robi wrażenie zawiedzionego. Co mu powiedziałeś?
- Przykro mi, Candace. Zaprosił mnie na kolację, na którą nie mam ochoty. Zapewnij go, proszę, że to nic osobistego.
- Dlaczego odmówiłeś?
- Po prostu nie interesują mnie tego rodzaju spotkania.
- Co więc cię interesuje?
- A co to za pytanie? — roześmiał się Adam. — Chyba wiesz. Moja praca.
- Arki i mityczne ogrody! Co za nuda! Jeśli nie będziesz ostrożny, ludzie zaczną plotkować. To niemożliwe, żebyś tak bardzo interesował się tymi religijnymi bzdurami.
- A jeśli jest w tym więcej prawdy, niż sobie wyobrażamy?
- Nonsens.
- Nie jestem taki pewny.
- Och, Adam, nie mów takich rzeczy! Wszystko zepsujesz!
- O czym ty mówisz? Niby co zepsuję?
- No... wszystko jedno. Po prostu wolałabym, żebyś trzymał się od tego jak najdalej. To niebezpieczne. Narazisz się wielu ludziom. Chcę być żoną człowieka szanowanego, a nie... — zawahała się, gdyż zdała sobie sprawę, że zaraz powie więcej, niż zamierzała

— a nie... och, dajmy temu pokój!

— Poszukiwacza prawdy?

— Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

— Ale ja chcę być poszukiwaczem prawdy, Candace.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

— Przykro mi, że cię zawiodłem, Candace — odezwał się wreszcie Adam. — Wygląda na to, że za jednym zamachem zraziłem do siebie dwoje członków rodziny Montreux. Dasz mi szansę naprawienia wszystkiego? Zjesz jutro ze mną lunch?

Znowu zapadło długie milczenie, a potem Candace posępnym głosem wyraziła zgodę.

7.

Lord Montreux siedział po drugiej stronie pokoju i gwałtownie ssał cygaro, czekając, aż Candace zakończy rozmowę. Wszystko się w nim burzyło. Nie przywykł do tego, by odrzucano jego zaproszenia. Z tym Livingstone'em będzie trudniej, niż sądził.

Candace odłożyła słuchawkę i krótko powtórzyła to, co powiedział Adam.

— Musimy go mieć — wymamrotał lord Montreux. — Sytuacja staje się groźna.

Candace nie była w nastroju do rozmów. Wyszła.

Jej ojciec siedział jeszcze chwilę, zatopiony w myślach, a potem wstał i poszedł do swojego gabinetu. Podniósł słuchawkę osobistego telefonu. Wystukał bardzo poufny numer na Kontynencie. Poza nim tylko jedenaście osób na całym świecie miało ten numer.

Wygłosił do słuchawki krótki komunikat i czekał.

Pięć minut później rozległ się dzwonek telefonu.

— Tak... otóż to — powiedział po zwięzłej wymianie grzeczności.

— Czy można liczyć, że zmieni zdanie — padło pytanie.

— Jego odpowiedź była bardzo zdecydowana.

— Czy coś podejrzewa?

— Nic o tym nie świadczy. To po prostu człowiek myślący niezależnie.

— To właśnie może stworzyć większe zagrożenie, niż ocenialiśmy z początku. A jak powiodło się córce?

— Nie lepiej niż mnie. Związek, który niedawno wydawał się pewny, teraz zawisł na włosku. Livingstone otwarcie mówi teraz o religijnych koncepcjach, które wyraźnie zaprzatają jego umysł.

— Może zbyt długo zwlekaliśmy. Czas już chyba sięgnąć po środki bardziej radykalne. Przeciągnięcie Livingstone'a na naszą stronę staje się koniecznością.

— Jak wyjaśnić zmianę, która w nim zaszła?

— Coś pchnęło go w niewłaściwym kierunku. Wymiar zdaje sobie sprawę, że doszło do zakłóceń.

— Tak, i wydaje się, że ośrodkiem jest sam Livingstone. Nadal ufam, że uczucie do dziewczyny weźmie w końcu górę nad tymi niedorzecznościami. Nie ustane w wysiłkach.

— Wkrótce spotkamy się na posiedzeniu Rady.

8.

Kilka dni później trochę po pół do siódmej pani Graves weszła do kuchni, którą przywykła traktować jako swoje królestwo. Przez dłuższą chwilę nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Potężna sylwetka amerykańskiego gościa zawisła nad blatem koło zlewu. Widać było tylko plecy. McCondy trzymał coś w prawej dłoni, ale pani Graves nie widziała co. Był nachylony, jakby zbierało się mu na wymioty.

— Panie McCondy — zaczęła z wahaniem gospodyni — wszystko w porządku?

— W jak najlepszym! — odparł detektyw, prostując się i obracając w jej stronę. — Proszę, proszę bliżej, pani Graves — posiedział z zapalem, podkreślając zachętę gestem. — To prawdziwa uczta dla zmysłu powonienia.

Podeszła ostrożnie.

250

McCondy nie przerywał delikatnej operacji, która polegała na przelewaniu wrzątku z małego rondelka przez zaimprovizowany filtr sporządzony z dwóch papierowych ręczników. Pośrodku filtra widać było grudki palonej po francusku kawy kolumbijskiej, którą udało się mu kupić na targu. Kawa skapywała powoli do najlepszego naczynia, jakie udało się mu znaleźć, do zlewki przyniesionej z laboratorium.

— Dla kogoś, kto znalazł się daleko od swojego ekspresu do kawy, jest to smutny stan rzeczy, pani Graves. Na szczęście człowiek ma dar improwizacji. W swoim czasie musiałem wynaleźć parę pomysłów metod. Moje urządzenie działa, i tylko to się liczy! Proszę wciągnąć tę woń w nozdrza i przyznać, że jest zaiste niebiańska.

Pani Graves podeszła na tyle blisko, na ile się odważyła, pociągnęła dwa, trzy razy nosem, obrzuciła Amerykanina obojętnym spojrzeniem, które mówiło też, że zaniepokoił ją stan umysłu gościa, i zrobiła krok do tyłu.

— Przykro mi, panie McCondy, ale nie jest to mój ulubiony zapach. Jestem miłośniczką herbaty i w każdym calu Angielką.

— Wybaczam pani i jedno, i drugie — roześmiał się McCondy. — Każdy ma swoje upodobania.

Pani Graves nie doceniła również jego poczucia humoru i obserwowała dziwny proces, stawiając jednocześnie na kuchence czajnik, żeby przygotować sobie poranną herbatę.

Po jakimś czasie zlewka prawie się wypełniła. Detektyw poczekał, aż woda ścieknie całkowicie, a potem odłożył na kuchenny blat ręczniki z fusami. Wziął do ręki naczynko i spojrzął pod światło, jakby patrzył ni mniej, ni więcej, tylko na wodę życia.

— Jakże piękna jest barwa gorącej kawy! — wykrzyknął pełen dumy z napoju, który był jego dziełem.

Raz jeszcze pociągnął nosem i odetchnął głęboko zapachem kawy. Ustawił filiżankę i nalał sobie do pełna ciemnego, aromatycznego naparu ze zlewki. Tym razem podniósł pod światło filiżankę, jakby wznosił toast ku czci słońca, które stworzyło rzecz tak cudowną.

— Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że powiem coś takiego, a jednak... Juanie Valdez, twoje zdrowie!

Podniósł filiżankę do warg, dotknął nimi brzeżka, a potem wypił duży łyk, przysmykając oczy jak człowiek, który przeżywa chwilę niewysłowionej rozkoszy.

— Juan, przyjacielu, niewiele masz wspólnego ze starbucksem! Ale na bezrybiu... Och, jakie to dobre!

Dwa następne łyki i filiżanka była pusta. McCondy znowu nalał sobie do pełna.

— No cóż, pani Graves — oznajmił — być może Anglia nie jest taką kulinarną pustynią, jak można by sądzić.

Pani Graves nie dostrzegła jednak w tych słowach niczego, co mogłoby skłonić ją do uśmiechu. W tym momencie do kuchni wkroczył Adam.

— Co za cudowny zapach! — wykrzyknął.

— A nie mówiłem, pani Graves! — rzucił Amerykanin. — Czy ten pański człowiek, Jordan, nie pije kawy?

— Zwykle ma w ręku butelkę z coca colą, ale od czasu do czasu zasiada ze mną do herbaty. Jeśli chodzi o kawę... nie, nie sądzę, żeby był jej wielbicielem. Czym będzie się pan zajmował dzisiaj, panie McCondy?

— Dość tego panie McCondy... panie Livingstone... Wy, Brytyjczycy, jesteście za sztywni dla takiego jankesa jak ja. Proszę mówić do mnie Rocky, bo szlak mnie trafi na miejscu.

Adam roześmiał się.

— Doskonale, Rocky, czym więc zajmiesz się dzisiaj?

— Pojadę do Yardu, może uda mi się pożyczyć trochę sprzętu.

— Mam tam przyjaciół, jeśli trzeba pociągnąć za jakiś sznurek.

Chociaż spodziewam się, że ilekroć się zjawiasz rozwijają czerwony dywan.

— Niezupełnie. Nie brak znaczących spojrzeń, a co jakiś czas przypominają mi o dobrym starym angielskim zwyczaju patrzenia na ludzi z dystansem. Nie ma na świecie gliny, który kochałby prywatnych detektywów. W końcu jednak nie odmawiają pomocy, a to najważniejsze. A znajdzie się też wśród nich paru chłopców do rzeczy.

— Musisz o wszystkim, co odkryjesz, informować inspektora Saula. On zajmował się śledztwem na miejscu. Zapewniam, że ci się odwzajemni.

9.

— Generale Pierwuchin — odezwał się rozkazujący głos. — Czy jest pan tak samo wolny jak podczas naszej poprzedniej dyskusji?

— Jestem na rozkazy.

— Dziękuję, generale — powiedział minister spraw wewnętrznych. — Moja limuzyna za dwadzieścia minut wjedzie na parking pod pańskim domem. Będę na pana czekał. Pojedziemy razem do mojej willi.

Zorin odłożył słuchawkę, nalał sobie trochę szkockiej whisky, wypił ją jednym łykiem, wziął z biurka kilka teczek z dokumentami i podszedł do okna, przebiegając wzrokiem na chybił trafił zawartość pierwszej z nich.

Nawiązał już kontakty na wysokim szczeblu z przedstawicielami gruzińskiego przemysłu, finansów, transportu, łączności, środków masowego przekazu i oczywiście wojska. W momencie, kiedy przystąpi do realizacji planu, cała ludność sąsiedniej republiki będzie błagać o zjednoczenie z Azerbejdżanem.

Już teraz do Gruzji napływają relacje o leżącym za wschodnią granicą kraju opływającym w dostatki i zapewniającym ludziom możliwość zarabiania pieniędzy. Kluczowe osobistości systematycznie podsycaly takimi wieściami niezadowolenie, które stanie się dźwignią jego sukcesu.

Nie będzie żadnego najazdu, zamiast tego nastąpi pokojowy proces jednoczenia dwóch krajów, i to na prośbę Gruzji. Wszystko pójdzie gładko i ułatwi Azerbejdżanowi drogę na szczyt, kiedy zaprowadzi nowy porządek.

Pięć minut później jechał windą w dół.

Usiadł w limuzynie zasłonięty szybami przepuszczającymi światło tylko w jedną stronę. W środku było jasno i mógł przejrzeć

dokładniej dokumenty. Kiedy podszedł generał Pierwuchin z cienką teczką, Zorin nacisnął guzik. Tylne drzwi limuzyny otworzyły się. Nie musiał nic mówić. Generał wsiadł i zamknął drzwi. Limuzyna natychmiast ruszyła.

— Właśnie przeglądałem na wszelki wypadek dokumenty związane z manewrami, które mają się odbyć na północnym zachodzie.

Podał teczki generałowi, który od razu do nich zajrzał. Choć znali się od dawna, generał Pierwuchin zawsze kulił się ze strachu na dźwięk głosu Zorina. Złowieszczy ton stawał się z każdym spotkaniem coraz bardziej rozkazujący.

— Myśli pan, że okaże się to konieczne? — zapytał po jakimś czasie.

— Musimy być przygotowani na wszelkie okoliczności — odparł Głos. — Proszę o raport przedstawiający sytuację z pańskiego punktu widzenia, generale.

Generał szybko wykonał polecenie. Od ich ostatniego spotkania niewiele się zmieniło.

— Mam wszystko w dokumentacji. Zechce pan rzucić okiem? — spytał.

— Później. Czy ludzie zajęli wyznaczone stanowiska?

Generał skinął głową.

— Doskonale — pochwalił Zorin. — Niektóre szczegóły omówimy w willi. Na razie potrzebuję kogoś zaufanego, kto wykona każdy rozkaz.

— Oczywiście, wykonam każde polecenie...

— Nie o pana mi chodzi, generale. Potrzebna mi nikomu nie znana twarz, osoba, która mogłaby przemieszczać się do dowolnego miejsca na ziemi.

— Co to ma być za człowiek?

— Osobnik obdarzony szerokim wachlarzem dodatkowych umiejętności.

— Jakież szczególne żądania?

— Musi znać biegle angielski. Najlepiej gdyby był to Anglik. Przy tym nikt nie może się zorientować, że mam coś wspólnego z tą sprawą.

— Rozumiem, panie ministrze. Zapewniam, że zachowam dyskrecję. Ten człowiek będzie składał meldunki...

— Bezpośrednio mnie i nikomu innemu — odparł Zorin tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że traktuje swoje słowa z całą powagą. — Koszty nie mają znaczenia. Musi to być jednak ktoś najlepszy.

— Czy ja mam wszystkim się zająć?

— Kiedy poda pan nazwisko, cała sprawa przejdzie w moje ręce. Wkrótce pojedę znowu do Anglii. Wstępne wskazanie zadań jest sprawą nagłą.

10.

Zorin stał przy oknie i patrzył, jak jego limuzyna zjeżdża w stronę zatoki, odwożąc generała Pierwuchina do miasta.

Żądanie, z którym zwrócił się do Pierwuchina, skierowało jego myśl ku pomysłowi sprzed kilku dni — żeby wprowadzić kogoś do domu Livingstone'a. Poszedł do swojego gabinetu i włączył komputer. Otworzył pliki dotyczące archeologa.

Miał też pełne dossier każdego z członków Rady Dwunastu. Wątpliwe, żeby koledzy z Rady byli tym zachwyceni, ale w jego sytuacji wiedza oznacza władzę. I nie miał zamiaru lekceważyć niczego, co może okazać się w przyszłości przydatne. Kilka uderzeń w klawiaturę i na monitorze pojawiły się nazwiska.

Patrzył przez chwilę, a potem wywołał obok dane Livingstone'a.

Oczywiście baron Rothschild, powszechnie znany jako lord Montreux. Przez jakiś czas mówiło się o trwałym związku jego córki z Livingstone'em. Nie śledził wydarzeń, do jakich w tej sprawie dochodziło. Nie znał dziewczyny. Musi mieć dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata.

Szybko wystukał nazwisko. Po chwili na ekranie pojawiło się kolorowe zdjęcie Candace Montreux.

Zorin przyglądał się mu przez chwilę i jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Raczej dwadzieścia siedem, a nawet dwadzieścia osiem... w pełni rozwinięta i godna pożądania kobieta — właśnie na nią zwrócił uwagę w ogrodach pałacu Buckingham.

Więc to taką strategię wybrała Rada, żeby rozprawić się z Livingstone'em!

Pomysłowe. A ona olśniewająca! Komputer nie oddawał w pełni jej powabu. Dlaczego nie zwrócił przedtem uwagi na ten wątek? Od jak dawna ta kobieta próbuje przeniknąć do życia Livingstone'a? A może nieświadomie realizuje plany Rady?

Przez dłuższą chwilę patrzył na nieruchomą twarz, która obdarzała go niezmiennie pięknym uśmiechem.

Świdrował ekran spojrzeniem, jakby potrafił jakimś telepatycznym sposobem odgadnąć myśli tej młodej damy. Wypatrzył w jej oczach to coś, co go do niej przyciągało. Jakiś szósty zmysł podpowiadał mu, że on i ona mogą być dla siebie pożyteczni... a może nie tylko pożyteczni.

A więc ta młoda dama pragnie Livingstone'a.

On też. Aczkolwiek zupełnie inaczej.

Czas już poznać córkę zacnego lorda Montreux... oczywiście dyskretnie. Zobaczysz się, co każde z nich może zrobić dla siebie nawzajem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NICI MROCNIEGO SPISKU

1.

Była siódma trzydzieści rano. Adam idąc korytarzem usłyszał jakieś odgłosy dochodzące z pracowni. O tak wczesnej porze nie było tam jeszcze żadnego z pracowników. Wszedł do środka i zobaczył Rocky'ego McCondy'ego siedzącego przy tym samym komputerze, przy którym Adam spędził już wiele godzin. Popatrzył na rozrzucone w nieładzie rozmaite urządzenia i przewody. Detektyw zdjął osłonę komputera i badał jego wnętrze.

— O, Adam!... Cześć! — wykrzyknął przez ramię.

— Zdaje się, że ciągle cierpisz jeszcze na bezsenność po locie z Ameryki — odparł Adam.

— Ale z każdym dniem czuję się lepiej. Zależało mi, żeby zajrzeć tu, zanim przyjdą twoi ludzie. Chodź, zobacz, co znalazłem.

Adam podszedł bliżej. McCondy trzymał w ręku miniaturowe urządzenie, które przypominało mikrofon. Jego przewód był dołączony do małego czujnika, którego igła wychylała się to w jedną, to w drugą stronę, kiedy detektyw przesuwiał zagłębnik wewnątrz komputera.

— Co do diabła?...

— To, co widzisz, świadczy o obecności materiału wybuchowego. Za mało, żeby odpalić, ktoś umieścił tu tylko małeńki fragment bomby.

— Wiesz gdzie?

— Sądzę, że w dodatkowym twardym dysku.
— Tak więc bomba znajdowała się w zestawie.
— Właśnie. Ta dość poręczna zabawka, którą dostałem od Thurlowa, to połączenie licznika Geigera i psa wyczulonego na narkotyki. Zdumiewające, do czego doszła w naszych czasach technika. Po południu zawiozę zestaw do miasta, żeby zbadano pamięć. Warto się upewnić, czy użyto tego samego materiału co w zamachu.

— Tym bardziej jestem zadowolony z tego, że wymieniliśmy cały system. Kiedy skończysz, wyrzucimy wszystko w diabły. Powiedziałem Scottowi, żeby bez porozumienia z tobą niczego nie ruszał. Jak twoim zdaniem ten materiał wybuchowy się tu znalazł?

— Nie spuszczałeś komputera z oka... w sklepie, gdzie indziej?
Adam potrząsnął przecząco głową.

— Musieli więc dostać się do komputera tutaj... nie pytaj jak. Jeśli jednak facet znał się na rzeczy, potrzebował trzydziestu sekund, żeby dostać się do modułu i umieścić wążutką wstążkę specjalnego plastiku, który połączył z miniaturową baterijką. Podobnego materiału wybuchowego używają w listach-bombach. Nie trzeba dużo. Śmiercionośna rzecz.

— Dlaczego nie doszło do wybuchu?

— Ten plastik można zdetonować w dowolnej chwili.

— To znaczy...

— Jasne, z odległości kilometra albo dwóch.

— Kto to przygotował? Skąd będą wiedzieli kiedy?

— Przypuszczam, że zależało im na zniszczeniu komputera i że dogadali się ze sklepem. Dokładnie wiedzieli, kiedy zabierzesz komputer. Bo ja wiem... to tylko domysły. Aha... spójrz, co jeszcze znalazłem.

Detektyw obrócił się na krześle i wyciągnął rękę po coś leżącego na biurku. Podał Adamowi okrągłe, płaskie urządzenie o średnicy mniej więcej centymetra.

— Pluskwa. Była pod blatem. Skaner, który wypożyczyłem razem z innymi urządzeniami, wykrył ją bez trudu. Ktoś słyszał każde wypowiedziane tu słowo.

Adam osunął się na krzesło.

— Czuję się jak... jakby mnie zgwałcono. Pomyśleć, że ktoś, kogo nawet nie znamy, jest... jest tu w tej chwili! Ale co teraz?... — rzucił nagle.

— Spokojnie. Rozłączyłem. Wezmę do Yardu, żeby zbadali. Wiem tylko, że to najnowsza technologia. Nigdy niczego podobnego nie widziałem. To maleństwo mogłoby podsłuchać rozmowę przez ścianę... tyle wiem... nawet rozmowę z twojego gabinetu.

Adam zadrżał na samą myśl.

— Jedno jest pewne — dodał McCondy. — Czuje się tu forszę, a to potwierdza moje wcześniejsze podejrzania. Nie zrezygnowali, masz to jak w banku. Jeśli pozwolisz, przeszukam resztę domu.

— Dobrze... jasne.

— Jeszcze jedno... Twój inspektor Saul powiedział, że według tego, co wykazała analiza, w zamachu użyto materiału, który aż do zeszłego lata nie był nigdy stosowany w Anglii.

— To dlatego tak uważnie badali kamienie w miejscu wybuchu.

— To bardzo szczególna rzecz, przypomina materiał, którego używają rozmaite grupy na Kontynencie. Ale nie IRA. Zbiło ich to trochę z tropu. No dobrze, mam, czego mi potrzeba. Zaraz doprowadzę wszystko do porządku, a to zawiozę do Scotland Yardu.

Po południu Rocky siedział w gabinecie kapitana Thurlowa, trzymając na kolanach otwartą teczkę i przeglądając dokumenty związane z zamachem przed pałacem Buckingham.

— Daliśmy się wyprowadzić na manowce, to fakt — powiedział Thurlow. — Ma pan przed sobą dowody... a jednak nie potrafię wyciągnąć z nich żadnego sensownego wniosku.

Rocky wstał i oddał akta kapitanowi.

— Dziękuję, kapitanie. Livingstone'owi niełatwo przyjdzie to przelknąć.

2.

Po powrocie do Sevenoaks Rocky natychmiast zaczął szukać Adama, żeby podzielić się z nim informacjami, które zdobył. Znalazł

go przy garażu na tyłach domu, zajętego rozmową z Beevesem. Kiedy Adam zobaczył Rocky'ego, przeprosił lokaja.

— Pamiętasz ten zamach sprzed kilku miesięcy — zaczął Rocky, kiedy szli obok siebie, oddalając się od garażu — ten, w którym zginął brat i ojciec siostrzenicy pani Graves?

Adam skinął głową.

— Przed twoim domem i w komputerze zastosowano ten sam materiał wybuchowy co w tamtym zamachu. Yard nie wiedział, co ma o tym myśleć.

— Jaki więc może być związek?

— Z pewnością nie ma co liczyć na Scotland Yard. Nikt tam nie wie, jak te sprawy skojarzyć ze sobą. Przypuszczam, że ten materiał wybuchowy to nowa ulubiona zabawka terrorystów.

Zamilkł, a Adam zamyślił się nad tym, co usłyszał.

— Możesz przyjść do mojego gabinetu? — spytał po chwili. — Chciałbym zadać ci jeszcze kilka pytań.

Kilka minut później siedzieli wygodnie u Adama.

— Nadal nie wiem, co mam myśleć o spisku, o którym mi mówiłeś — zaczął archeolog. — Twierdzisz, że to wszystko ma charakter religijny, a raczej, powiedziałbym, antyreligijny. Za nic w świecie nie mogę się jednak domyślić, dlaczego ci ludzie zainteresowali się moją osobą. Nigdy nie mówiłem, że jestem człowiekiem religijnym. Nigdy nie próbowałem wpłynąć na opinię publiczną, skłonić ludzi, żeby uwierzyli w to czy tamto.

— Chodzi o twoją pracę.

— O archeologię?

— O coś więcej. O to, czego dokonałeś ostatnio. Sądzę, że odkrycie arki zapoczątkowało jakiś głęboki i dalekosiężny proces, który stanowi zagrożenie dla ich świata.

— Ludzie od dawna szukali arki. Dlaczego więc akurat ja... dlaczego teraz?

— Bo ty ją znalazłeś. I ponieważ chcesz odnaleźć Eden... Jedno jest powiązane z drugim.

Adam przypomniał sobie wnioski, do których doszedł tamtego fatalnego ranka, a także informacje, które stracił i o których starał się nie myśleć. Jemu także wydawało się, że arka była kluczem do

tamtych wydarzeń — choć innym, niż sądził Rocky.

— Jedno jest niewątpliwe — dodał McCondy. — Mój dziadek zginął przez badania, które prowadził. Ci sami ludzie chcą teraz powstrzymać ciebie.

— Jak zginął?

— Nie mam pojęcia — odparł McCondy, potrząsając głową. — Wiadomo tylko, że zniknął. Ale jestem pewny, że został zamordowany.

— To było sto lat temu!

— Twarze się zmieniają, ale motywy nie. Uwierz mi, te siły nie cofną się przed niczym, żeby zapobiec ujawnieniu pewnych prawd, tych prawd, do których bardzo blisko dotarł mój pradziadek. Oni boją się, że dokończysz dzieło, które on rozpoczął.

— Nadal nie mogę w to wszystko uwierzyć.

— Kiedy tylko zrozumiesz, o co toczy się gra, uwierzysz. Mój pradziadek wiedział wiele rzeczy, i to bardzo ważnych. Nigdy nie uświadamiałeś sobie, jak rozległy obszar obejmowały jego badania. Nie wiedziałeś, na co się natknąłeś. Pamiętasz już, o czym pisałeś w rozprawce?

— Łamałem sobie nad tym głowę. To, co mówiłeś o pradziadku Harrym i Synaju, uruchomiło jakiś mechanizm podświadomości i co nieco sobie przypomniałem. Jakaś teoria... coś o innym miejscu przejścia przez Morze Czerwone i o lokalizacji góry Synaj... rzeczy nigdy nie potwierdzone i budzące śmiech biblistów. Nie zapamiętałem żadnych szczegółów. Ale pewnie o tym właśnie napomknąłem w mojej rozprawce.

McCondy skinął głową i zrobił minę wyrażającą ogromne zaciekawienie.

— Pojawiły się pewne możliwości. — Pogрузzył się na chwilę w zamyślenie. — Chciałbyś usłyszeć, co o tym myślę?

— Oczywiście.

— To tylko próba dopasowania części układanki. Ale od czegoś trzeba zacząć. No dobrze... wyobrażam to sobie mniej więcej tak. Pradziadek Harry dokonał jakiegoś odkrycia, albo był jego bardzo bliski, odkrycia czegoś, co mogło poważnie zaszkodzić ich sprawie. Może to miało coś wspólnego z Synajem.

— O jakiej sprawie mówisz?

— Ewolucjonizm, humanizm, dążenie do tego, by zapanował nowy wiek, New Age. Terminy nie mają tu znaczenia. W każdym razie pozbyli się go. Pilnowali jednak, żeby nikt nie podjął dzieła, którego on nie zdołał doprowadzić do końca. Załóżmy na chwilę, że przez wszystkie te lata rozglądali się uważnie, czy gdzieś nie wypłyną znów jego teorie... Mieli na to oko przez całe stulecie. Aż tu nagle pojawiaasz się ty i piszesz rozprawę o Harrym McCondym. Obudziło to zapewne ich czujność. Może w twojej pracy nie było niczego ważnego, ale zaniepokoił ich sam fakt, że się nim zainteresowałeś. Może nieświadomie otarłeś się o sedno... tego nie wiem. Musielibyśmy przejrzeć tę pracę. Zapewne trafiła w ich ręce, a my nigdy się nie dowiemy, kiedy i jak zwędzili ją z twojej kartoteki. Jedno jest pewne: do twojego domu dostał się ktoś, kto jest z nimi związany. Być może w tej sytuacji nigdy nie przeczytamy tej rozprawki. Tak czy inaczej, pewnie w ten sposób zaplątałeś się w ich sieci. Jeszcze za czasów studenckich.

— Naprawdę myślisz, że przez cały ten czas... że mieli mnie na oku?

— Gotów jestem się założyć. Jednym z ich symboli jest wszystkowiedzące oko. Używają tajnej symboliki, bardzo różnorodnej, ale oko jest najważniejsze. Przyglądają się każdemu z nas.

McCondy przerwał i sięgnął po portfel. Wyjął jakiś banknot i podał go Adamowi.

— Spójrz... to banknot dolarowy. Czy widzisz to oko nad piramidą?

— Tak, widać je wyraźnie.

— Dwa symbole nowych czasów. Działali i przyglądali się wszystkiemu już wtedy, kiedy powstawał nasz kraj, chociaż nie mówiło się jeszcze wówczas o New Age. W ciągu tych lat posługiwali się wieloma określeniami, ale zawsze mieli przed sobą ten sam plan. Wcale bym się nie dziwił, gdybym zobaczył któryś z ich symboli także na walucie brytyjskiej. Spójrz poniżej piramidy. Widzisz tę wstęgę?

Adam skinął głową.

— Przeczytaj.
— *Novus Ordo Seclorum* — przeczytał Adam.
— Dobrze znasz łacinę?
— Wystarczająco. „Nowy porządek świecki.”
— Ich plan jest tak stary jak piramidy, a z pewnością starszy od mojego kraju. Te symbole są na amerykańskich monetach od 1782 roku!

— Przecież wszyscy je znają!
— Ale niewielu wie, o co chodzi — roześmiał się Rocky. — Zgadnij, Adamie, kto zaprojektował nasze pieniądze?

— Nie mam pojęcia.
— Niejaki Charles Thompson, członek masonerii, jednego z najbardziej zakonspirowanych stowarzyszeń. Mówię ci, wszystko jest powiązane. Na twoje pytanie muszę więc odpowiedzieć: tak, obserwowali cię. Objęli wszystkich swoim systemem, ale ty przez zainteresowanie Harrym McCondyem zwróciłeś ich baczniejszą uwagę. A potem twoje badania poszły przecież w podobnym kierunku co badania, które prowadził pradziadek i które tak ich rozwścieczyły w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego wieku. Ty o tym nie wiedziałeś. Ale oni myśleli być może, że twoje postępowanie jest świadome. Po jakimś czasie stałeś się sławny, a wtedy musieli pilnować cię jeszcze bardziej. W jakiś sposób wydobyli twoją rozprawkę i to potwierdziło ich zdaniem twoje powiązania z pracami pradziadka Harry'ego.

Sprawa przybrała jeszcze gorszy obrót, kiedy znalazłeś arkę Noego. A w dodatku zacząłeś mówić o Edenie i było to tak, jakbyś wsadził kij w gniazdo szerszeni. Postanowili potraktować sprawę z całą powagą. Jak niegdyś sprawę Harry'ego. Wtedy właśnie zaczęła tykać niewidzialna bomba zegarowa. Musieli podjąć próbę powstrzymania twoich poczynań, była to tylko kwestia czasu.

3.

Mark Stafford od rana czuł się nieswojo. Z trudem skupiał się na pracy. Wieczorem było jeszcze gorzej, choć nadal nie miał pojęcia,

dlaczego. Próbował czytać psalmy, zanim położy się spać, ale myślami błądził gdzieś daleko.

A między trzecią i czwartą rano nagle zbudził się z głębokiego snu.

Zobaczył oczyma duszy twarz Rocky'ego McCondy'ego. Od razu wiedział, dlaczego się obudził. Jego przyjaciel potrzebuje modlitwy.

Czym prędzej wstał z łóżka. Narzucił na ramiona szlafrok, stopy wsunął w ranne pantofle i przeszedł do saloniku, żeby nie przeszkadzać żonie. Nie zapalił światła. Sprawa, którą miał się zająć, nie wymagała światła elektrycznego.

Uklęknął przy kanapie.

„Ojciec — modlił się ledwie słyszalnym głosem — wznoszę Rocky'ego McCondy'ego przed Twoje oblicze, abyś go chronił.”

Były to jedyne słowa potrzebne w tym momencie. Posłuchał wezwania. A kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, Duch będzie się modlił za niego.

Mark Stafford nie mógł wiedzieć, jak wielka jest bitwa, do której się przed chwilą włączył. Niezliczone potyczki na pograniczu oswoiły go z powagą sytuacji. Był wystarczająco świadomy, w jakich czasach żyje, żeby wiedzieć, że ci, którzy wznoszą modlitwę do Boga, są nie tylko wiernymi wyznawcami, ale także wojownikami. Lata temu z całą powagą i oddaniem okrył się zbroją.

Należał do nielicznych według słów Nauczyciela, którzy zrozumieli naukę płynącą z przypowieści o drzewie figowym, a dzięki temu dostrzegali znaki czasu. Wiedział, że szybkim krokiem nadchodzi moment kulminacji. Wiedział, że wielkie pęknięcie w dziejach, owo cięcie oddzielające w ludzkiej duszy dobro od zła, stawało się coraz szersze i że zapowiada to rychłe przyjście Tego, który jako jedyny może je zabić.

„Zbliży się czas Twojego przyjścia, Panie — zaczął znowu po dłuższej chwili. Wypowiadał te słowa szeptem, choć nie było tu nikogo, kto mógłby je słyszeć. — Czas nadchodzi. Na dzisiejsze czasy opada zasłona. Ty, Panie, trudzisz się, ale także nieprzyjaciel

nie siedzi z założonymi rękami. Wieczność spoczywa na szalce wagi, którą umieściłeś w sercu każdego człowieka.

Rocky przystąpił już do walki, Ojczy Niebieski. Jest kimś niewiele więcej niż małym dzieckiem, jakże jednak cennym w twoich oczach. Miej go w swej pieczy, Panie, podobnie jak człowieka, do którego pojechał. Chroń ich obu, Panie. Ostoń ich swoją miłością. Przydziel im aniołów, aby strzegli ich kroków i myśli. Prowadź ich w swej mądrości, kiedy szukają Cię w pracy, do której ich wybrałeś.

Na jakikolwiek szlak ich wprowadzisz, idź przed nimi. Prostuj ich ścieżki. Przekaż ich sercom i umysłom swoją wolę, mądrość i przewodnictwo. Bez względu na to, jakie zadanie wyznaczyłeś im w tych dniach najwyższej i wiekuistej wagi, powstrzymaj nieprzyjaciela, nie pozwól, by pokrzyżował Twoje plany.

Wypełnij, Panie Boże, przez tych dwóch ludzi swój doskonały plan. Bądź im Ojcem. Spraw, by podnieśli wzrok i pojęli Twoje oblicze, by głęboko w sobie szukali ojcostwa Twojej miłości. Spraw, by zrozumieli, czym jest wędrować z Tobą przez chłód dnia. Idź obok nich, Panie Jezu. Spraw, by poczuli moc Twego Ducha, który zamieszkuje ich serca.”

Modlitwa wzbiła się niemą pieśnią chwały.

Chwilę później usłyszał zza pleców odgłos szurania nogami.

Podniósł wzrok. To jego żona, Laurene, wyszła z sypialni. Ukłękła przy nim na podłodze.

— Mam nadzieję, że cię nie obudziłem — powiedział Mark.
— Staralem się zachowywać cicho.

— Nie obudziłeś mnie. Nie słyszałam, jak wstawałeś. To Bóg obudził mnie przed chwilą i obdarzył mocną potrzebą modlitwy. Spostrzegłam, że cię nie ma.

— Modliłem się za Rocky'ego.

— Coś się dzieje, prawda? I dotyczy to spraw Boskich. Czuję, że w mojej duszy trwają jakieś zmagania.

— Być może zbliża się czas, którego nadejście przewidywaliśmy — Mark skinął głową. — Czuję, że Pan posyła swoich świętych na świat, by stoczyli wojnę z nieprzyjacielem.

- Dlaczego Rocky?... Dlaczego dzisiaj?
- Nie wiem. Obudziłem się ze świadomością, że muszę się za niego modlić. Mam przeczucie, że znalazł się w wirze bitwy.
- To dla niego coś zupełnie nowego. To, że jest człowiekiem Bożym.
- Być może, ale potrafi okazać posłuszeństwo. A to jest najważniejsze w królestwie Bożym. Zresztą Bóg dokonuje wyboru, którego powody są zasłonięte przed oczyma człowieka. W każdym razie Rocky znalazł się na pierwszej linii frontu.

4.

Kiedy ich modlitwa dobiegała końca, tysiące kilometrów od nich Adam Livingstone słucał swojego amerykańskiego przyjaciela i potrzasał z niedowierzaniem głową.

— Możesz być pewny, że nie utrzymasz przed tymi ludźmi tajemnicy — mówił Rocky. — Dzięki Internetowi i innym globalnym systemom komunikacji mogą wtargnąć do każdego pliku komputerowego. Każdy dom, w którym jest telefon i modem, jest narażony na przejęcie danych i przekazanie do informacyjnego archiwum. Nikt nie schowa się przed ich spojrzeniem. Chodzi nie tylko o gromadzenie informacji, ale przede wszystkim o wpływ. Dlatego ludzie finansów i mediów zawsze wspinają się najwyżej. Dzięki temu mogą mieć kontrolę nad całą gospodarką. Rządzą i narzucają ludziom sposób myślenia. Dlaczego twoim zdaniem na Zachodzie zapanowała cywilizacja postchrześcijańska, obojętna moralnie, ateistyczna?

- Chcesz powiedzieć, że to oni za tym stoją?
- Kontrolują przepływ informacji, które mają wpływ na ludzi.
- W jaki sposób?
- Tajemnica okrywająca motywy ich działań i same te działania jest nieprzenikniona. Ale wszędzie wokół siebie widzimy skutki,

od kart kredytowych poprzez sposób funkcjonowania banków, humanistyczne wypaczenie procesu nauczania, aż po interpretację postępów nauki. Do wszystkiego przyłożyli rękę. We współczesnym społeczeństwie nie ma niczego, w co nie byliby zamieszani.

— To brzmi przerażająco.

— I jest przerażające. Ale naszym celem jest ustalenie twoich powiązań. A sedno sprawy w tym, że jakąkolwiek pracę badawczą prowadziłeś, jakiegokolwiek myśli zapisywałeś w komputerze, wszystko to docierało do nich.

Zamilkł.

— To mi przypomina, że o coś miałem cię zapytać — podjął po chwili. — Czy ostatnio wprowadzałeś do komputera jakieś dane związane z arką albo teoriami dotyczącymi Edenu?

— Tak, nawet sporo — przyznał Adam. — Tego dnia, kiedy wybuchła bomba.

— Czego, z grubsza rzecz biorąc, dotyczyły?

— Chodziło o myśli, jakie nasunęły mi się w związku z odkryciem na Araracie. Co może łączyć Eden i arkę.

— Fiuu! — zaświstał Rocky, potrząsając głową. — Szybko działają! Tego ranka, kiedy doszło do zamachu?

Adam skinął głową.

— Może właśnie to spowodowało uruchomienie zapalnika. Jeśli monitorowali, jakie dane wprowadzasz... Widać wpadłeś na trop jakiejś niebezpiecznej teorii, niebezpiecznej dla nich. Psiakrew! Chciałbym przeczytać twoją rozprawkę. Musi być jakaś styczość z tym, co robił mój pradziadek!

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Kiedy zajmowałem się Harrym McCondym, byłem właściwie jeszcze dzieckiem.

— Coś wzniciło jednak pożar — ciągnął Rocky. — Tyle lat minęło i nagle bęc! Pożoga. Musiałeś nadepnąć jakieś czułe miejsce. Zbyt blisko zacząłeś węszyć. Musieli cię powstrzymać. Stąd wszystko, co się zdarzyło. Improwizuję. Ale tak zwykle pracuję. Muszę wyłowić wszystkie luźne nici, zanim trafię na wątek, który doprowadzi mnie do celu.

McCondy westchnął.

— Prace mojego pradziadka wytrąciły ich z równowagi. — Powtarzał fakty, jakby z dźwięku własnych słów mógł łatwiej wyłowić informacyjny rodzynek. — Obserwowali go, a w końcu zabili. A teraz jego spuścizna przeszła na ciebie. Na dobre i złe. Cokolwiek wytropił, nie chcieli, żeby zostało to ujawnione. Nadal nie wiemy, co łączy jego prace z twoimi. Ale coś je łączy, tego możesz być pewny. A my to prędzej czy później odkryjemy.

Detektyw znowu przerwał i pogrążył się w głębokim zamyśleniu.

— Dlaczego przez cały ten czas nigdy nie próbowali dopaść mnie? — powiedział w zadumie. — Skoro obserwowali ciebie, dlaczego nie obserwowali mnie? Muszą wiedzieć, że mam relację z jego prac, chociaż z drugiej strony, przecież ja też o tym nie wiedziałem, może więc...

Czegoś tu nie rozumiem. Ukradli twoją pracę, ale nie zajęli się tym, co jest w moich rękach?

Jego głos znowu zamarł i zapadła pełna zadumy cisza.

5.

— Może ta rozmowa pomoże ci spleść różne wątki — roześmiał się po jakimś czasie Adam. — Ale mnie zrobiłeś jeszcze większy zamęt w głowie. Do czego się zbliżyłem, Rocky?

— Do początku! Zacząłeś zajmować się Księgą Rodzaju. I nagle wskazałeś palcem rozdział szósty! Uznali, że dotarłeś zbyt blisko, widzisz to?

— Blisko czego?

— Przecież początku! Znalazłeś się zbyt blisko początku wszystkiego!

— Masz na myśli?...

— Mam na myśli sam początek. Mój pradziadek poświęcił życie Księdze Rodzaju... dowodzeniu, że mówi prawdę. Żył w czasach, kiedy trwała jeszcze gorąca dyskusja o teorii ewolucji. Przez resztę życia starał się ją zwalczać. On i Dubois byli partnerami.

— Dobrze znam prace Holendra. Dubois popłynął do holenderskich Indii Wschodnich, żeby odnaleźć brakujące ogniwo, i w końcu znalazł człowieka jawajskiego.

— *Homo erectus...* tak, to było w 1891 roku. — Detektyw podkreślił swoje słowa skinieniem głowy. — I zyskał mu sławę.

— Podzielił ich spór o ewolucję. Dubois zdradził go i dziadek stracił życie. Nie wiem, jak precyzyjnie dopasować do siebie części układanki. Ale nie może być wątpliwości co do zasięgu planów strategicznych. To plany na ogromną skalę.

— Przecież my dwaj jesteśmy zupełnie zwykłymi ludźmi, siedzimy sobie i rozmawiamy o tym i owym, a ty mówisz nagle, że gra idzie o losy całego świata!

— Bywa tak, że zwykłych ludzi porywa wir wydarzeń, które odmieniają bieg dziejów. To, że jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, nie znaczy wcale, że nie uczestniczymy w grze o bardzo wysoką stawkę. Gdyby twoje badania potwierdzały teorię ewolucji, nie miałbyś się czym martwić. Ale twoje wyniki naukowe podważają humanistyczny punkt widzenia. Cały ten system został zbudowany w naszym stuleciu na fundamencie ewolucji i wszystkiego, co neguje Boga. Twoje odkrycia mogą zmienić sposób widzenia świata. Są zagrożeniem dla systemu ewolucjonistycznego i humanistycznego. A to rzecz o ogromnym, ogólnościowym znaczeniu.

— Mówisz rzeczy zupełnie nie do wiary.

— Posłuchaj, Adamie. Jeśli przez ciebie świat zacznie wierzyć w Boga, a nie w ewolucję, staniesz się natychmiast zagrożeniem numer jeden dla całego ich niemego i niewidzialnego imperium. Udowodnienie, że Księga Rodzaju mówi dosłowną prawdę, bardziej odmieni cywilizacyjne perspektywy dziejów niż książka Darwina. Mówię ci, znalazłeś się na celowniku!

Adam odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

— Jeśli dzięki tobie ludzie zaczynają myśleć, że Bóg stworzył świat, twoja praca zniweczy wszystko, czego nieprzyjaciel dokonał, starając się zakryć prawdę. Wiara sama w sobie im nie przeszkadza, ale, jak ci już mówiłem, wprowadzanie chrześcijańskich zasad w

życiu, owszem. Nie widzisz, człowieku, że jeśli twoja wyprawa do Afryki choćby w dziesiątej części skończy się takim sukcesem jak Ararat, dasz ludziom dowód na istnienie biblijnego Boga i potwierdzisz naukową prawdę pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju? Możesz nie uważać siebie za chrześcijanina czy wierzącego, ale twoje prace w tym właśnie kierunku prowadzą. Chcesz tego czy nie.

— Przecież nie mam ani śladu dowodu, który potwierdziłby teorię jako całość. Same domysły, nadzieje...

— A nowe dane, o których żeś mi mówił? Być może jesteś bliżej, niż ci się zdaje...

— Garść z nich uratowałem... poszatkowanych. Moja wina, trzeba być głupcem, żeby przechowywać wyniki na twardym dysku. A tak zrobiłem, i dysk przepadł.

— Potrafisz to odtworzyć?

— Prawdę mówiąc, Rocky, mnóstwo rzeczy zapomniałem. Nowe, fantastyczne pomysły kłębiły mi się w głowie. Ale kiedy zginęła Erin... to tak, jakby wraz z jej życiem odeszło wszystko, co było dla mnie jak objawienie. Od chwili zamachu tamto wydaje mi się bez znaczenia.

— Skoro Bóg już raz cię oświecił, przyjdzie może czas, kiedy zechce wyjawić ci wszystko raz jeszcze.

— Myślisz, że twój pradziadek przeżył właśnie takie olśnienie? — spytał Adam.

— Nie wiem dokładnie, do czego doszedł, i jeśli się nie mylę, nigdy nie był na Araracie, a w Afryce nie zapuszczał się dalej niż do Egiptu, jego praca przebiegała więc inaczej niż twoja. Co nie znaczy, że nie ma punktu styczności. Jest, i to niezmiernie ważny.

6.

Kiedy Candace Montreux zeszła i wsiadła tylnymi drzwiami do limuzyny, nie oczekiwała zgoła, że znajdzie się obok człowieka, który wywrze na niej takie ogromne wrażenie.

Zaproszenie było tajemnicze, ale właściwie nie do odrzucenia. Co nie oznacza wcale, że miała ochotę je odrzucić. Kiedy chodziło

o Adama Livingstone'a, gotowa była spróbować wszystkiego. Limuzyna z wolna ruszyła. Jej myśli błędziły jednak z początku daleko od człowieka, który — taką miała nadzieję — rychło zostanie jej oficjalnym narzeczonym.

Spodziewała się, że celem rozmowy będzie dobicie konkretnego targu. Nie była więc przygotowana na to, że serce zacznie jej bić szybciej, a do głowy uderzy krew. Candace Montreux nie należała do kobiet, którym serce zaczyna bić szybciej na widok mężczyzny — także na widok Adama Livingstone'a. Przywykła do tego, że to ona jest tą, dla której inni tracą głowę, nie zaś tą, która traci głowę. Miłość, jaką czuła — albo tylko się jej wydawało — do Adama, mieściła się w innym wymiarze jej jestestwa niż ten, który każe trzepotać sercom zwykłych kobiet.

Bez wątpienia Candace była zdolna do miłości. Czy kocha kogoś w tej chwili, to już jednak zupełnie inna sprawa.

Uzucie skierowane do Adama było nie tyle romantycznym uniesieniem, ile żądzą posiadania. Chętnie użyłaby swych powabów, żeby wzbudzić namiętność i radować się jego wzajemnością. Ale nie to stanowiło główny motyw jej zachowań, Adam był bowiem dla niej raczej zdobyczą niż mężczyzną.

I oto nagle, w tej jednej chwili, ujawniła się cała tłumiona kobiecość jej natury. Z trudem rozeznawała się w swoich uczuciach.

Niespodziewanie poczuła się bezbronna w obecności siły znacznie większej niż jej własna. Było to rozkoszne i jednocześnie przerażające. Trwożyło i pociągało. Przy Adamie nigdy czegoś takiego nie zaznała.

Nie chodziło tu o miłość, ale o siłę i jej nieodparty powab. Wiedziała podświadomie, że źródło tej mocy jest takie samo jak u ojca. Tyle że ten mężczyzna był znacznie jej bliższy wiekiem — po czterdziestce, o ile mogła ocenić w przytłumionym świetle — więc porównanie z ojcem było niedorzeczne. Biła od niego nie tylko siła, ale władza sprawowana w jakiejś tajemnej i mistycznej krainie. Czuła prawie przerażającą radość, która przyprawiała ją o drżenie, kiedy

zmagala się ze sobą, szukając odpowiedzi na jego pierwsze słowa.

— Panno Montreux — zaczął Głos — to bardzo miło, że zechciała pani przyjść. — Kiedy usłyszała ten niski tembr, przez jej plecy przebiegł dreszcz. — Od dłuższego czasu pragnę poznać panią osobiście. Nazywam się Haider Zorin.

Candace, starając się ze wszystkich sił zapanować nad sobą i ukryć emocję, odpowiedziała równym głosem:

— Miło mi pana poznać.

Wyciągnęła rękę — jak robią to kobiety, wkraczając do świata męskiego. On obrócił lekko tę dłoń i pocałował, patrząc przy tym w oczy Candace. Zorin wywarł na niej ogromne wrażenie, ale ona też umiała nad sobą zapanować. Nie zamierzała niczego po sobie pokazać. Na chwilę znalazła się w niekorzystnej sytuacji, ale szybko sobie z tym poradzi i nie dopuści do tego, żeby jej rozmówca zyskał nad nią przewagę.

— Może pojedziemy nad Tamizę, gdzieś poza miasto? Lepiej, żeby nie widziano nas razem.

Candace uśmiechnęła się czarująco i skinęła głową. Już dobrze.

— Kto mógłby nas zobaczyć?

— Pani ojciec albo któryś z jego ludzi.

— Zna pan mojego ojca?

— Znam.

— A jednak woli pan, żeby nie zobaczył nas razem?

— Tak jest.

— Czemu się wiec pan mną interesuje?

— Sądziłem, że to oczywiste, panno Montreux — odparł Zorin i uśmiechnął się, jakby chciał ją tym uśmiechem omotać. — Widziałem panią z daleka podczas garden party i od tego czasu pragnąłem panią poznać.

Skinęła tylko głową, żeby nie zdradzić, że tamtego dnia ona też się nim zainteresowała.

— Poza tym jednak — ciągnął Zorin — interesuje mnie Adam Livingstone. O ile wiem, coś was łączy, sporo... nawet bardzo dużo. Wkrótce macie się zaręczyć, prawda?

— Być może — odpowiedziała obojętnym tonem Candace.

— Zawsze mogę służyć pani pomocą, jeśli tylko pani zapra-
gnie.

— Rozumiem, że będzie to usługa za usługę.

Zorin znówu się uśmiechnął. Tej panience nie brak przebiegłości. Nie popełnił błędu, jakim byłoby niedocenienie tej osóbki. Mają podobny sposób myślenia.

— Jak już powiedziałem, interesuję się także Adamem Livingstone'em — powiedział. — Prowadzi pasjonujące badania. Myślę, że mogłaby pani rzucić odrobinę światła na to, czego sam nie mogę się dowiedzieć.

W drodze powrotnej z poufnego rendez-vous poza miastem oboje doszli do wniosku, że mają wiele innych wspólnych tematów do rozmowy — nie tylko Adama Livingstone'a. Przez jakiś czas nie padło nawet ani jedno słowo o archeologu.

Kiedy kilka godzin później Candace wysiadła z limuzyny, cały jej świat, który zaczął ostatnio jakby zastygać w bezruchu, nabrał nowego, intrygującego wymiaru.

7.

Dawnymi czasy w okazałych brytyjskich domach należących do warstw uprzywilejowanych służba jadała w przeznaczonych dla siebie pomieszczeniach, często w oddzielnym skrzydle budynku, natomiast członkom rodziny podawano do stołu w jadalni.

W czasach powszechnej równości Adam Livingstone, podobnie jak wiele osób z jego pokolenia, unikał ceremoniałów. Ostatnią rzeczą, jaką gotów byłby robić, to ubieranie się co wieczór do uroczystej kolacji — zwłaszcza kiedy nie miał gości. Żył samotnie, podobnie jak Rochester z *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Bronte, i wieczorem albo zjadał coś lekkiego, jeśli był już po kolacji, albo solidniejszy posiłek, ale w obu przypadkach w towarzystwie swojej gospodyni. Ponieważ Beeves z żoną mieszkali w przebudowanym z garażu domku dla lokaja, ten zwyczaj miał oczywiście aspekt praktyczny, jako że Adam dzielił ogromny dom tylko z panią Graves. Po

śmierci ojca, kiedy matka wyruszyła w szeroki świat, pani Graves zajęła, na prośbę Adama, kilka pokojów na górze. Stopniowo obejmowała w domu rolę jakby ciotki Adama.

Cała wspaniałomyślność, jaką jej okazywał, nie mogła uwolnić gospodyni od poczucia różnicy dzielącej ich z racji urodzenia i pozycji społecznej. Jak odkrył Rocky przy okazji przygotowywania porannego napoju, a Juliet, rozmawiając z nią o spoufalaniu się z chlebobawcą, pani Andrea Graves była tradycjonalistką.

Od czasu do czasu ktoś ze współpracowników Adama zostawał na podwieczorku, ale większość miała swoje rodziny i swoje życie. Zarówno więc pan domu, jak i jego gospodyni z przyjemnością dzielili posiłki z siostrzenicą pani Graves. Kiedy przybył gość z Ameryki, zasiadali do stołu w czwórkę.

W pewne sobotnie popołudnie Adam i dwoje rezydentów usiadło już do posiłku, czekając na panią Graves, która kończyła ustawiać półmiski.

— Wygląda to jak zwykle apetycznie — powiedział Adam.

Gospodyni, podsuwając półmisek Rocky'emu, uśmiechem i skinięciem głowy podziękowała za docenienie jej wysiłków.

— Co my tu mamy? — wykrzyknął Rocky. — Cieknie mi ślinka.

— Z pewnością słyszałeś o jorkszyrskim puddingu? — spytał Adam.

— Myślałem, że to jakiś deser!

Adam roześmiał się.

— Ciasto do mięsa, ot co!

— Jestem więc pewien, że czeka mnie prawdziwa uczta...

Dziękuję, pani Graves.

Rocky nałożył sobie plaster wołowiny, a potem nabrał ostrożnie porcję lekkiego, przypominającego ziemniaczane purée puddingu i umieścił ją na swoim talerzu.

Pani Graves podała mu misę z gotowanymi ziemniakami.

Rocky wziął kilka ziemniaków i nabił kawałek mięsa na widelec.

— Wspaniała pieczeń, pani Graves. Masz fantastyczną kucharkę, Adam — rzucił jeszcze, zanim wziął kęs do ust.

Potoczyła się rozmowa, w której uczestniczyli przede wszystkim dwaj mężczyźni. Wymieniali uwagi o ostatnich wydarzeniach i wynikach dochodzeń. Juliet słuchała z zaciekawieniem, ale sama z rzadka zabierała głos.

8.

Candace Montreux jechała szybko autostradą A20 w stronę centrum Londynu.

Od tamtego, spędzonego razem popołudnia często myślała o Haiderze Zorinie. Myślała też o Adamie. Dwa razy próbowała się do niego dodzwonić, ale bezskutecznie. Zostawiała za każdym razem wiadomość, Adam jednak nie zatelefonował.

Sam fakt obecności Zorina w jej życiu wzmagał rozdrażnienie wywołane lekceważącą postawą Adama. Zeszłotygodniowy wymuszony lunch niczego nie zmienił. Czy on naprawdę myśli, że może igrać z jej uczuciami? Nie jest jedynym mężczyzną na świecie!

Powtarzała to sobie w myślach, ale w ten sposób pragnienie zdobycia Adama tylko się nasilało. Rozpaczliwie chciała go mieć, dręczyło ją podejrzenie, że Adam się jej wymyka. Pochlebiała sobie, że młody archeolog uczyni wszystko, żeby się jej przypodobać. Nie mogła pogodzić się ze świadomością, że tak już nie jest, a może nawet nigdy nie było. W tym momencie ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, że ojciec troszczy się o jej przyszłość i o lojalność Adama.

Włączyła radio. Prawie od razu rozpoznała melodię. Słowa piosenki, choć nonsensowne, w ciągu jednego pokolenia stały się częścią angielskiej kultury.

„... Dziewczyna o kalejdoskopowych oczach
Lucy na niebie z diamentami,
Lucy na niebie z diamentami,
Lucy na niebie z diamentami...”

Fantazyjna aranżacja melodii McCartneya i Lennona wywołała strumień myśli. Co ten Adam sobie wyobraża? Że jest najważniejszym mężczyzną na świecie? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że w każdej chwili może ją utracić?

Znała sławną historyjkę o tym, jak piosenka Beatlesów wzbija się nad etiopską pustynię, gdzie, zmieniając raz na zawsze poglądy antropologów, odkopano liczące sobie 3 miliony lat kości, którym nadano imię z piosenki. W świecie Adama przeszło to do legendy, podobnie jak sama piosenka w świecie popkultury. Ale teraz te słowa uświadomiły jej tylko, że ma po dziurki w nosie starych kości, archeologii, historii i badań naukowych.

Przypomniała sobie, co powiedział Zorin. Świat nie należy już tylko do mężczyzn. Także do energicznych i atrakcyjnych kobiet, które wiedzą, czego chcą, i nie boją się po to sięgnąć.

Nie zastanawiając się nad dalszymi konsekwencjami tych myśli, Candace wyłączyła radio, zawróciła i popędziła w przeciwnym kierunku.

Czas już podjąć ostateczną decyzję.

Trzy kwadranse później dotarła do posiadłości Adama w Sevenoaks, zawiadomiła o swym przybyciu i czekała na otwarcie bramy. Podjechała z warkotem pod dom: była coraz bardziej wzburzona.

— O, Candace, kochanie! — Adam uśmiechnął się zniewalająco na powitanie, schodząc po stopniach. — Co za miła niespodzianka!

Jeśli nawet spostrzegł, jaka burza szaleje w jej sercu, nie dał tego po sobie poznać.

— Musimy porozmawiać — oświadczyła Candace.

— Jak sobie życzysz. Przejdźmy się.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Candace zaczęła mówić. O jej wzburzeniu świadczył nie tylko ton głosu, ale również ściągnięcie brwi.

— Adamie — zaczęła — przemyślałam wszystko. Nie zamierzam czekać do przyszłego roku. Musisz podjąć decyzję... decyzję co do naszej przyszłości.

— Chcesz, żebym porozmawiał z twoim ojcem, zanim?...

— Mój ojciec nie ma tu nic do rzeczy — przerwała. Jej oczy miały błyskawice. — Musisz się zdecydować. Chcesz mnie czy nie? Albo ja, albo twoja praca.

Przez chwilę szli w milczeniu w stronę ogrodu na tyłach domu. Adam starał się przyjąć jak najspokojniej ultimatum, które postawiła Candace.

— Ja... ja wcale nie wiedziałem, że dla ciebie te dwie sprawy wzajemnie się wykluczają — powiedział po chwili.

— A może powinienes — rzuciła nieustępliwie.

— To dla mnie zbyt nagła zmiana.

— Czyżby? Gdybyś umiał dostrzec to, co masz przed oczami, może by do tego nie doszło.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— To nie takie skomplikowane. Chcę, żebyśmy pobrali się przed twoim wyjazdem.

— Candace, przecież ja nawet nie odbyłem ostatecznej rozmowy z twoim ojcem. Nie oświadczyłem ci się.

— Mój ojciec nie zamierza się wtrącać. Już z nim rozmawiałam.

— Wygląda na to, że wszystko zależy ode mnie.

— Tak, a ja wystarczająco długo czekałam...

— Nie mogę... nie mogę tak nagle zmieniać mojego życia!

— A to dlaczego? Inni to robią.

— Jesteśmy w samym środku przygotowań do wyjazdu. A ślub wszystko by zmienił.

— Może tak. Adam, mam już tego dość, nie chcę być ciągle na drugim planie. Chcę wiedzieć, czy poślubisz mnie, czy swoją karierę naukową. Nie zamierzam się tobą dzielić.

Adam milczał. Szli obok siebie, ale miał poczucie, że dzieli ich tysiące kilometrów.

Przez kilka lat Adam Livingstone i Candace Montreux zmierzali pozornie w tym samym kierunku i nie zwracali uwagi na to, jakie są naprawdę ich motywacje i cele. Nie było żadnych przełomowych sytuacji, nie musieli podejmować żadnych ważkich decyzji, ich kształtujące się charaktery nie zostały więc poddane próbie. Każdemu z nich wydawało się, że to drugie zaczęło się nagle oddalać. W rzeczywistości jednak nigdy nie łączyły ich te same życiowe cele;

po prostu szli ścieżkami, które przez jakiś czas prawie przypadkowo biegly równolegle.

Teraz ścieżki życia wyraźnie się rozeszły.

Candace spojrzała Adamowi w twarz. Ujrzała w niej coś obcego, jakiś świat nie mający nic wspólnego ze światem Haidera Zorina. Nagle Adam znalazł się bardzo daleko od niej. Między nimi otworzyła się przepaść, niewidzialna szczelina oddzielająca ich przeznaczenia, charaktery, osobowości.

— Chyba... chyba nie mogę podjąć takiej decyzji, Candace — powiedział w końcu Adam. — Jeśli kiedykolwiek się ożenię, to po to, żeby żona dzieliła moją pracę, nie zaś żeby z nią rywalizowała. Myślę, że stawiasz mi warunki, których nie mogę spełnić.

— Kobieta ma prawo do wyłączności, jeśli chodzi o uczucia męża — rzuciła gniewnym tonem Candace.

— Czy nie widzisz, Candace, że ja muszę realizować moje plany — odparł ze smutkiem Adam. — Nie mam pojęcia, co się z tobą stało. To do ciebie nie pasuje.

— Jakim prawem mnie pouczasz!

— Nie zamierzam cię pouczać — odpowiedział spokojnie Adam.

— Co odmieniło ciebie, Adamie! — Nie było to pytanie, ale gniewny okrzyk. Wyprostowała się, jakby chciała, żeby jej postawa wyrażała godność pozwalającą górować nad mężczyzną, którego dawniej podziwiała, a który teraz stał się mały w jej oczach. — Wiem, że zaraz zaczniesz cytować mi Biblię!

Adam nic nie powiedział. Z trudem zgłębiał motywy jej zachowania.

— Nie tracę nadziei, że zmienisz zdanie — zdołał w końcu wykrztusić.

Candace obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę samochodu. W głębi ogrodu spostrzegła tę samą dziewczynę, którą dwa tygodnie temu widziała na schodach.

Jeśli ta gąska ma coś wspólnego z tym błyskiem w oczach Adama — pomyślała — pożałuje... kimkolwiek jest.

Minął tydzień. Tego dnia Adam obudził się wcześniej.

Uświadomił sobie, że znacznie już spokojniej patrzy na nowego przyjaciela, Rocky'ego McCondy'ego, i na to, co Amerykanin mówi o swoich religijnych poglądach. Sam zaś zaczął sobie lepiej przypominać swoje refleksje sprzed dwóch tygodni.

Tego ranka objawienie, które na niego spłynęło — w każdym razie wtedy, za pierwszym razem, uważał to za objawienie — wydało się mu całkowicie rozsądne. Poprzednio było to coś w rodzaju błysku, ale potem okna, przez które mógł zerknąć na inne światy, zasnuł mrok.

Później zjawił się Rocky i zaczął mówić rzeczy w rodzaju „przyjdzie może czas, kiedy Bóg zechce wyjawić ci wszystko raz jeszcze”. Jak można mówić coś takiego!

Bóg mu wyjaw! Bóg powie coś jemu... Adamowi Livingstone'owi!

Sama obecność Amerykanina wystarczała, żeby myśli Adama bieły w jakimś nieznanym kierunku, aczkolwiek czasem tymi samymi ścieżkami, które poznał w poranek przed zamachem.

Leżał teraz i rozmyślał o rozmowach, które prowadził z McCondy'ym w ciągu paru ubiegłych dni. Przez okna przenikało coraz więcej światła. Nadchodził bezszelestnie dzień. Adam poczuł, że do jego sypialni przenika jakiś słaby osobliwy zapach. Po chwili wiedział już, co tak pachnie. Kawa! Na dole parzy się kawa.

Wstał, ubrał się szybko i zbiegł na dół.

W kuchni McCondy stał nad swoim porannym naparem. Kiedy usłyszał kroki, obrócił się w stronę nadchodzącego Adama.

— Dzień dobry... Jak leci?

— Dzień dobry, Rocky. Zapach twojej kawy roznosi się po całym domu.

— Najpiękniejszy zapach na świecie.

— Wcześniej wstałeś.

— Moje ciało przypomniało sobie nagle bostońską strefę czasową.

- Myślałem, że masz to już za sobą.
- Ja też. Aż tu nagle o czwartej rano oczy same mi się otworzyły i nie było mowy o dalszym śnie.
- Adam uśmiechnął się.
- Został wrzątek? — spytał.
- Woda przed chwilą się gotowała. Stoi na kuchni.
- Czy mogę o coś spytać, Rocky? — Adam wrzucił do filiżanki dwie torebeczki herbaty.
- Trudno. Ja zadałem ci już parę setek pytań. Masz więc prawo do jednego albo dwóch.
- Adam zalał resztką wrzątku torebki z herbatą.
- Ja też leżałem jakiś czas z otwartymi oczami. Rozmyślałem o tym i owym.
- Wal prosto z mostu.
- No dobrze. W takim razie... Czy wierzysz, że Bóg przemawia do ludzi? To znaczy w naszych czasach.
- Wierzę — odparł Rocky w końcu zadowolony z barwy swojej kolumbijskiej mikstury. Napełnił sobie filiżankę.
- Jak to robi?... Jak przemawia do ludzi?
- Na mnóstwo sposobów. — Amerykanin usiadł przy stole i wypił łyżeczk kawy. — Przez okoliczności, w myślach, dając ci poczucie, że coś powinienes zrobić, przez innych ludzi. Na wszelkie możliwe sposoby.
- Ale tylko do wierzących, do... hmm... chrześcijan?
- Niekoniecznie.
- Weźmy kogoś takiego jak ja. Czy to możliwe, żeby przemówił do mnie?
- Jasne.
- Czemu miałyby to robić?
- Bo ja wiem. Jest mnóstwo powodów.
- Na przykład?
- Na przykład dlatego, że chce, byś coś zrobił.
- Chce mnie wykorzystać?
- Bóg tak właśnie objawia swoją prawdę... przez ludzi... bywa, że przez takich, którzy wydają się najmniej odpowiedni, którzy nawet czegoś takiego nie podejrzewają. A co?... Myślisz, że Bóg przemówił do ciebie?

— Och, nie! Zastanawiam się po prostu nad tamtym poranieniem sprzed wybuchu. Moje myśli biegły wtedy w wielu nowych kierunkach. To wszystko.

— Nie lekceważ Boga, Adam. Może właśnie przemawia do ciebie. Może chce, żebyś coś zrobił. Tu nie chodzi o grę wyobraźni.

— Ale dlaczego ja?

— Nie jesteś byle kim. Nie znaczy to, że jesteś lepszy od innych. Czasem jednak Bóg w szczególny sposób kładzie na kimś rękę, bo dobro czy prawda głoszone przez tego właśnie człowieka zostaną uważniej wysłuchane. Wcałe bym się nie zdziwił.

— Chociaż nie jestem chrześcijaninem?

— Daj Bogu trochę czasu. — Rocky uśmiechnął się.

— Co masz na myśli?

— Dowiesz się, kiedy przyjdzie czas.

Zapadło milczenie. Obaj popijali bez pośpiechu swoje napoje.

— Powinieneś porozmawiać z Juliet Halsay — odezwał się po jakimś czasie Adam. — Macie chyba wiele wspólnego. Mogę spytać o coś jeszcze?

— Wal.

— Od jak dawna jesteś... no, chrześcijaninem?

— Od dosyć dawna, chociaż dopiero od dwóch albo trzech lat mogę powiedzieć, że jestem chrześcijaninem w czynach i pogłębiającym swoją wiarę. Dlaczego pytasz?

— Czasem pojawia się myśl o śmierci, a wtedy człowiek zaczyna zastanawiać się nad Bogiem, życiem po śmierci i nad znaczeniem tego wszystkiego?

Rocky skinął głową.

— Kiedy człowiek patrzy na czyjąś śmierć, jest to jak kubek zimnej wody — dodał Adam.

— Dużo myślałeś ostatnio o Bogu? — spytał Rocky.

— Nie wiem, czy można powiedzieć, że dużo. Ale więcej niż dawniej.

— Nadchodzi czas, kiedy wszyscy będą chcieli dowiedzieć się rzeczy, o których przedtem nie myśleli, które zaniedbywali.

— Czy rozmawiasz z kimś o Bogu?

— Z moim pastorem.

— Trudno rozmawiać o takich sprawach. Nie wyobrażam sobie takiej rozmowy ze Scottem. Przyjaźnisz się z tym pastorem?

— Tak, z nim i z jego żoną.

— Jak się nazywa?

— Mark Stafford. To dobry człowiek.

— Starszy od ciebie?

— Nie, młodszy. Oboje, on i Laurene, bardzo mi pomogli po śmierci żony. Właśnie wtedy oddałem się Bogu.

— Przykro mi, ale nie rozumiem.

— Przedtem był tylko kościół.

— Tylko kościół. To znaczy?

— Chodziłem do kościoła, ale ciągle jeszcze nie czułem nad sobą władzy Boga. Jestem pewien, że przemawiał do mnie, ale ja nie słuchałem dość pilnie. Po stracie żony, po bliskim zetknięciu się ze śmiercią, Mark pomógł mi nawiązać osobistą więź z Jezusem.

Osobista więź — pomyślał Adam. — Znowu słowo „osobisty”.

— Spotykałem się co miesiąc z pastorem — ciągnął Rocky. — Nadal niewiele wiedziałem o doktrynie, ale Mark tłumaczył mi coraz więcej rzeczy z Biblii. Mówił, jak Bóg objawia się człowiekowi. Przez tyle lat uczęszczałem do kościoła, ale dopiero wtedy zacząłem pojmować, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozmawiali tak prawie godzinę, a potem pojawił się znowu temat odłożonej wyprawy.

— Co powinienem zrobić, Rocky? — spytał Adam. — Nie mogę przecież zawiesić tak po prostu mojego życia. Muszę nadal zajmować się swoimi sprawami.

— A kto cię zatrzymuje?

— Sam mówiłeś, że wisi nade mną groźba.

— To prawda.

— Co mam więc robić... z wyprawą do Afryki?

— Być może najlepiej dla was będzie, jak stąd wyjedziecie. Niewykluczone, że w Afryce będziesz bezpieczniejszy niż tutaj. A zresztą, pewnie tam znajduje się klucz do całej zagadki.

— A co ty zrobisz?

— I tak prawie skończyłem wszystko, co miałem do zrobienia tutaj, w Londynie.

— W dalszym ciągu umieram z niecierpliwości, żeby rzucić okiem na dziennik twojego pradziadka.

— Błagam — roześmiał się Rocky. — Czy musisz używać słowa „umieram”?

— No więc pragnę go zobaczyć.

— Tak lepiej. Mam uczucie, że właśnie na dzienniku powinniśmy skupić teraz wysiłki. Przeczytałem go, ale wiele rzeczy pozostało dla mnie tajemnicą.

— Może więc przeczytamy razem notatki starego Harry'ego Maca? Co dwie pary oczu to niejedna. I mógłbym rozpoznać jakieś punkty styczne z moimi pracami. Jeśli takie punkty są.

— To szansa, żeby dojść do tego, dlaczego ci ludzie tak się na ciebie uwzięli.

— Mam pomysł! Polecę z tobą do Stanów!

McCondy chwilę się zastanawiał.

— To chyba nie najlepsze wyjście — powiedział powoli. — Nie wiem dlaczego, ale mam przeczucie, że najlepiej zrobisz, jeśli będziesz trzymał się swoich planów. Nie spuszczać z ciebie oka, to jasne. Na mnie chyba nie zwracają uwagi... na razie. Im dłużej ten stan się utrzyma, tym lepiej dla nas wszystkich.

— Wcale nie zależy mi na tym, żeby ściągać niebezpieczeństwo na twoją głowę.

— Jeślibyśmy ni z tego, ni z owego polecili razem do Ameryki, z pewnością zwrócilibyśmy na siebie uwagę. Dziennikarze mieliby nas przez cały czas na oku. Niegrzeczni chłopcy zastanawialiby się, co zamierzamy zrobić. Kiedy znajdę się na celowniku, nie na wiele ci się przydam.

— Rozumiem.

McCondy znowu pogrążył się w myślach. Przez cały czas pocierał wierzchem dłoni podbródek.

— Coś ci powiem — oznajmił wreszcie. — Polecę do siebie. Sporządzę pełną kopię dziennika. Muszę powęszyć za tym i owym. W tym czasie ty będziesz pracował zgodnie z planem.

Wypił resztkę kawy z filiżanki.

— A potem spotkamy się w Afryce... I będę miał dziennik. Stamtąd poprowadzimy dalsze śledztwo.

CZEŚĆ TRZECIA

AFRYKA

Ni zwiastunów, ni znaków nie będzie proroczych,
Lecz przez cud długo skrywany
Głęboko pogrzebane rzeczy ujrzą nasze oczy
I objawią się starożytne sprawy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

TAJEMNICE NA WYŻYNACH

1.

Dwunastu ludzi zajmujących najwyższe stanowiska siedziało wokół owalnego stołu konferencyjnego o grubym blacie i prowadziło poufną rozmowę w tonie pełnym powagi.

Gdyby sala miała okna, obecni mogliby zobaczyć zapierający dech w piersi widok rozciągającej się w dole niderlandzkiej metropolii. Ale ostatnie piętro wysokościowca było pozbawione okien. Ciemne meble ze skóry i mahoniu wydawały się mniej okazałe przez to, że znalazło się tutaj tyle osobistości najwyższej rangi jednocześnie. Wyczuwało się zbiorową moc emanującą z tego miejsca wznoszącego się nad sercem europejskiego życia.

Chociaż obecni mieli na sobie garnitury po dziesięć tysięcy dolarów i wyglądali na inwestorów i bankierów — tak zresztą było w większości przypadków — skupiali swe myśli na najnowszych wydarzeniach z dziedziny archeologii biblijnej, które nagle rozbudziły tak ogromne zainteresowanie międzynarodowej opinii publicznej. Ekspedycja Gilberta Bowlesa, którą sfinansowali kilka lat temu, bardziej niż cokolwiek innego umocniła teorię ewolucjonistyczną. Teraz jednak ich umysły zaprzętały najnowsze odkrycia, przez które ta narada stała się koniecznością, i podważały, jak się zdawało, hipotezę darwinowską.

Nie można tolerować takiej zmiany poglądów.

To, czy tureckie odkrycie rzeczywiście obalało ewolucjonizm, nie miało najmniejszego znaczenia dla członków tego niezwykle ekskluzywnego tajnego bractwa; liczył się tylko wpływ tych rewelacji na masy.

Poza tym nadciągało jeszcze większe zagrożenie. Wyczuwali, że przystąpiły do czynu burzycielskie siły.

Wydawało się, iż wskutek odkrycia na Araracie może dojść do tego, że odrodzi się zagrożenie, z którym ich poprzednicy, mogłoby się zdawać, raz na zawsze uporali się sto lat temu. Zakłócenia w ich utajonym świecie odczuwało się w wielu dziedzinach. Moc Przesztworu nękało złowrogie wspomnienie bardzo odległych czasów. Na ziemi pojawiły się zapowiedzi rozgrzewających serca wiosennych woni. Dla Mocy był to odrażający i przyprawiający o drżenie smród. Przekleństwo wielkiej przepaści i oddzielenia po wypędzeniu, a w konsekwencji długa zima ludzkości, dało jej władzę, pozwoliło panować. Trzeba odnaleźć bramę do wiosny, która oznacza koniec Mocy, i zaryglować ją raz na zawsze. Wiosenne ciepło oznacza klęskę.

Zadanie rozprawienia się z niebezpieczeństwem spadło na barki Rady. Należało za wszelką cenę zapobiec groźbie zniweczenia czy choćby odroczenia realizacji Planu.

Dwunastu przedstawicieli zakonspirowanych stowarzyszeń z całego świata łączyły więzy wspólnej tajemnicy, starsze niż prawa dziedziczenia, które umożliwiały im kontakt. Zwykle zbierali się na takie posiedzenia raz na trzy lata. Ale zaledwie czternaście miesięcy przed przełomem tysiącleci w Wymiarze doszło do sytuacji kryzysowej.

Reprezentowali dwanaście krajów — Japonię, Wielką Brytanię, Iran, Niemcy, Szwajcarię, Stany Zjednoczone, Holandię, Azerbejdżan, Brazylię, Rosję, Egipt i Irak — a ich wpływ na ogólnosiwiatowe finanse, łączność, transport, przemysł, technologię komputerową i wiele innych dziedzin był najpilniej strzeżoną tajemnicą. W rzeczywistości już od piętnastego wieku była dobrze znana w małych elitarnych kręgach, chociaż korzeniami sięgała wstecz do znacznie odleglejszych czasów. Nawet rządy i giełdy, na których przecież

grali, niewiele wiedziały o groźnym związku. Gdzieś krążyły plotki, ale nie szkodziło to ich planom.

Wystarczyło skinięcie głową jednego z tej dwunastki, żeby notowania giełdowe w każdym zakątku świata spadły natychmiast o pięć albo dziesięć procent. Wystarczyło trzech z nich, żeby doprowadzić do kryzysu finansowego na skalę międzynarodową. Zwykle nie stawiali sobie takiego celu, aczkolwiek bywało, że ich ojcowie i dziadkowie podejmowali takie działania, jeżeli tylko służyło to ich zamysłom.

Ci najwyżej postawieni ludzie grali o stawkę tak wysoką, że sami widzieli tylko jej zarysy, i ich podstawowym celem nie było wpływanie na światowe instytucje finansowe, na przemieszczanie się kapitału ani na trendy giełdowe, lecz kontrolowanie sposobu myślenia.

Poprzednicy Dwunastki od czasów starożytnych skupiali się przede wszystkim na sprawach ekonomicznych i politycznych. Obejmowali swą kontrolą narody, przymierza, imperia. Byli odpowiedzialni za wojny, traktaty, odkrycia naukowe i geograficzne, mariaże, alianse, narodziny i zgony. Ale ostatnio na tych właśnie dwunastu spadło zadanie zabiegania o to, by w trzecim tysiącleciu zapanował światopogląd nowych czasów, i przygotowanie dróg dla tego, który powstanie, ażeby poprowadzić ich... i cały świat.

Mieli zadbać o to, by podejście czysto humanistyczne i wynikające z niego kształt kultury rosły w siłę i znieprawiły raz na zawsze nową liberalną mentalność mas. Ta odwieczna tajemna alchemia była fundamentem mistycznego Zakonu i jego potęgi. Teraz zaś nadszedł moment, w którym dopełni się przeznaczenie. Ale chociaż tryumf był w zasięgu ręki, jakieś siły próbowały podważyć mroczną podwalinę ich dzieła.

Członkowie Rady zebrali się tutaj na wezwanie swojego holenderskiego przywódcy. Jak zwykle każdy przybył do Amsterdamu oddzielnie i incognito. Udali się na dwunaste piętro, do prywatnych apartamentów człowieka, do którego należał cały budynek, holenderskiego ministra finansów i właściciela dwóch największych europejskich konglomeratów inwestycyjnych, Ruperta Vaughana-Maiera.

Otwieraniem drzwi sterował system komputerowy nie mający sobie równego na całym świecie. Każdy z Dwunastu miał wszczepiony pod skórę prawej dłoni odpowiedni chip. W ramach przygotowań do nowego ładu, do szczytowego momentu, kiedy ten, którego nazywali Mistrzem, okryje swym płaszczem ramiona Wybranego, władcy całej ziemi, trwały prace nad podobnym kodem osobistej identyfikacji dla całej światowej populacji.

Gdyby ktoś z zewnątrz mógł tu zajrzeć, uznałby na pierwszy rzut oka, że odbywa się seans spirytystyczny — świeca płonąca na środku stołu, przytłumione oświetlenie, kryształ, krąg uczestników — i miałyby w zupełności rację. Stół okryto obrusem z zamierzchłych czasów, haftowanym na rogach i na ukos przez środek symbolami — powszechnie znanymi, lecz zrozumiałymi tylko dla garstki. Dopiero co zakończyli recytację wstępnych zaklęć i wezwań skierowanych do Władcy Ziemi. Teraz mogli zająć się bieżącymi sprawami.

2.

— Wydaje się — zaczął po angielsku siwowłósy Holender — że zlekceważyliśmy sprawę czujności w dziedzinie nauki. Najpierw jednak prześlą sytuację.

Obrócił się i przycisnął jedyny guzik pilota, który wziął do ręki. Zapadła ciemność, ale zaraz całą jedną ścianę zalało generowane przez komputer światło i ukazała się na niej szczegółowa mapa świata. Gdziekolwiek się spotykali, cały świat był strefą ich działań i celów.

— Jeśli chodzi o stronę polityczną — ciągnął — nasza sprawa przedstawia się lepiej niż kiedykolwiek.

Znowu użył przycisku i na mapie pokazała się seria zmian, pokazujących najnowsze zabarwienia politycznych ideologii w stolicach świata.

— Zarówno w krajach demokratycznych, jak i totalitarnych nie widać żadnych punktów zapalnych. Dzięki działaniom podjętym

przez naszego kolegę, pana Abramsa, w Stanach Zjednoczonych, po wybuchu paniki w dziewięćdziesiątym czwartym, wszystko się uspokoiło. Prawicowe elementy religijne szybko zostały zdyskredytowane na arenie politycznej i możemy, jak sądzę, bez przeszkód realizować plany zgodnie z harmonogramem. W tej chwili przygotowujemy zyskującego wpływy senatora do przejęcia władzy po zakończeniu epoki Clinton-Gore. Nie została jeszcze ustalona docelowa data. Zakładam, że podejmowane są odpowiednie kroki, żeby jeszcze mocniej związać z nami wspomnianego senatora.

— Co się dotyczy światowej gospodarki i finansów — mapa znowu się zmieniła, ukazując sytuację na rynkach finansowych — na tym terenie jesteśmy niezmiennie mocni od trzystu lat. Nawet religia — zmiana mapy — nigdy nie przysparzała mniej kłopotów. Przenikamy do chrześcijaństwa powoli, ale tak musi być, żeby nas nie wykryto. Jestem zadowolony z postępów. Zaczyna pan Hann, nasz sprzymierzeniec, znalazł się w tej chwili w świetle reflektorów. Rychło upadnie i wielu zawiedzionych trafi do naszego obozu, choć sami nie będą sobie z tego zdawać sprawy.

Na chwilę zamilkł.

— W zakresie sztuki i nauki — ciągnął po chwili — doszły do mnie jednak wiadomości, że sprawy potoczyły się w niewłaściwym kierunku i, niestety, taki bieg rzeczy był dla nas zaskoczeniem. Mam oczywiście na myśli tak zwane odkrycie arki w Turcji. Planowaliśmy utrzymywać powiązania z różnymi dyscyplinami naukowymi, żeby postępy w genetyce i badaniach molekularnych wpływały w odpowiedni sposób na religię i politykę. Nie byliśmy jednak przygotowani na odkrycie archeologiczne, które może na taką skalę odmienić krajobraz religijny.

— Wątpię, żeby odkrycie mogło mieć aż taki wpływ — wtrącił Rosjanin.

— Nie zna pan tła — rzuciła majestatyczna Szwajcarka z jego prawej strony, Anni D'Abernon, jedyna kobieta w tym zgromadzeniu, pochodząca z bogatej zuryskiej rodziny, obecnie dyrektor naczelny konglomeratu nazwanego jej nazwiskiem i mającego

ogromne wpływy w światowych kręgach światowej finansjery. — Zagrożenie jest bardzo realne i poważne.

— Może zechciałaby pani zapoznać ze sprawą naszych członków — poprosił Vaughan-Maier.

Pani D'Abernon była wysoką kobietą o imponującej postawie — współczesny odprysk starożytnej rasy Amazonek: co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Niegdyś zajmowała się czynnie sportem, podnoszeniem ciężarów. Największa siła promieniowała jednak z samej jej obecności. Skinęła głową i bez zwłoki przystąpiła do wyjaśnień.

— Od lat obserwowaliśmy uważnie Adama Livingstone'a. Przeniknęliśmy do jego kartelu kierowniczego i jesteśmy z góry uprzedzani o każdym jego posunięciu. Cała sprawa miała charakter ekonomiczny, chodziło o pieniądze, zachłanność, politykę, ambicje i zawiść. To wszystko zabezpieczało w pełni przed Nieprzyjacielem. Niefortunny efektowny czyn, na który nie było żadnego upoważnienia, w pobliżu miejsca, gdzie doszło do odkrycia...

Kiedy mówiła, jej spojrzenie przesunęło się niepostrzeżenie w stronę kolegi z Baku. Oczywiście nie było cienia dowodu, że miał z tym coś wspólnego, ale chciała, żeby zdawał sobie sprawę, że ciąży na nim podejrzenie. Odwzajemnił jej spojrzenie, w którym nie było śladu poruszenia.

— ... Ten czyn — podjęła — dodał rozgłosu całej sprawie. Chyba nie muszę przypominać, że mamy sięgać po takie środki jak kradzież, wymuszenie, infiltracja, konspiracja, a nie uciekać się do otwartej demonstracji siły.

Zamach okazał się jednak nieskuteczny, dzięki czemu nie zwrócił uwagi opinii międzynarodowej.

Pani D'Abernon znowu na chwilę zamilkła i spojrzała znacząco na Vaughana-Maiera.

— Ostatnio jednak — podjęła — stało się rzeczą oczywistą, że badania Livingstone'a mogą przysporzyć nam więcej kłopotów, niż przewidywaliśmy. Nie pomyśleliśmy, że odkrycie może mieć wpływ na samego archeologa.

Wydaje się, że w tej chwili sprawa wymknęła się nam z rąk.

Dały o sobie znać obce siły. Nasza władza nad tym człowiekiem osłabła.

Opowiedziała o pracach prowadzonych przez Livingstone'a i ich znaczeniu dla sprawy, o którą walczą. Obecni słuchali z uwagą, stopniowo wyławiając elementy stanowiące rzeczywiste zagrożenie dla ich planów.

— Jak już powiedziałam, Livingstone był od lat i z bardzo wielu powodów pod obserwacją Oka Wymiaru. Zwrócili nam na niego uwagę rozmaici Przewodnicy i Mędracy jako na człowieka o ogromnym potencjale, który może wykorzystać dla nas albo przeciwko nam. Przyglądaliśmy się więc temu człowiekowi, czekając uważnie na sposobność, żeby go unieszkodliwić, pozwalając mu dokonywać tych czy innych odkryć, wiedzieliśmy bowiem, w jakim środowisku się wychował. Byliśmy pewni, że wydobędzie świecki aspekt swoich dokonań. Jego zafascynowanie problematyką biblijną w gruncie rzeczy jest dla nas cenne. Jeśli ktoś tak wpływowy przypisuje rzeczom duchowym humanistyczny wymiar, wspiera światopogląd, który my musimy szerzyć. Jest dla nas skarbem, mógłby ugruntować tradycję darwinowską. Niespodziewanie jednak dały o sobie znać obce wpływy. Livingstone raz i drugi wypowiedział się w niepokojący sposób. Musimy więc skończyć z nim raz na zawsze, i to szybko. To konieczność!

— Co robimy w tej sprawie? — spytał Rosjanin.

— Od dawna planowaliśmy zneutralizować Livingstone'a przez małżeństwo — odparła pani D'Abernon — przy czym chodziło nie tylko o to, żeby go uciszyć, ale żeby całkowicie przeciągnąć do naszego obozu, dać mu miejsce wśród nas. Jako jeden z nas byłby wyjątkowo wartościowym rzecznikiem nowych milenijnych czasów.

— Ma pani na myśli pełne członkostwo w Radzie? — spytał jeden z obecnych.

— Nie naszą sprawą jest podejmowanie decyzji w sprawach takiej wagi. Ale są przecież wśród nas tacy, którzy swą pozycję zawdzięczają związkom małżeńskim ze starymi rodami. Nie podjęto decyzji w sprawie jego przyszłości. Chodzi mi o to, że trzeba go

wciągnąć, że musi utożsamiać się z Planem, z Mędrce, który go poprowadzi.

— Rozumiem.

— Okazało się jednak — dodała pani D'Abernon — że na tym poziomie zyskiwania jego wierności też pojawiły się kłopoty.

Jej spojrzenie powędrowało na drugą stronę stołu.

— Może baron Rothschild zechce udzielić Radzie dalszych wyjaśnień — powiedziała z odrobiną rozdrażnienia w głosie.

Lord Montreux odkaslnął z zakłopotaniem.

— Zapewniam, że nie wszystko jeszcze stracone — zaczął. — Livingstone rozmawiał ze mną ostatnio o małżeństwie. Jestem pewny, że nieporozumienie, do jakiego doszło między moją córką a Adamem Livingstone'em, nie potrwa długo i rychło będziemy mogli przystąpić do realizowania naszego planu. Nie ulega wątpliwości, że zamach bombowy wywołał u niego przejściowe przygnębienie. Zapewniam jednak, że nie ma powodów do troski. Livingstone prędzej czy później będzie nasz.

— Wszyscy mamy nadzieję, baronie, że pańskie przewidywania są trafne — powiedział Vaughan-Maier głosem, w którym pobrzmiwała insynuacja. — Przypomniałem sobie nieszczęśliwy wypadek, o którym zechciał pan napomknąć. Czy któryś z członków Rady wie coś więcej o przyczynach wydarzenia? Obserwowaliśmy Livingstone'a z bliska i uważnie. W jego badaniach i danych znaleźliśmy elementy budzące niepokój. Przypominam jednak, że ten człowiek będzie pożyteczniejszy dla Mistrza jako jeden z nas, nie zaś jako męczennik jakiejś obcej nam sprawy.

Nawykły do rozkazywania Holender przemknął przenikliwym spojrzeniem po twarzach obecnych. To spojrzenie zastygło na ułamek sekundy na Zorinie, który odwzajemnił je jednak bez mrugnienia powieką. Vaughan-Maier obrócił się z powrotem do swoich kolegów.

— Pojawiła się dodatkowa okoliczność — powiedziała pani D'Abernon. — Obok Livingstone'a mamy teraz kogoś jeszcze, osobnika, na którego trzeba mieć oko. Nie mogę pojąć, jak to się stało, że tak długo uchodził naszej uwagi. Wskazałam go już mojemu

łącznikowi i paru jego agentom. Ten człowiek może mieć wiele wspólnego z poczuciem niepewności, jakie pojawiło się nagle w Wymiarze. Jemu też trzeba uniemożliwić publiczne zabieranie głosu.

3.

Rocky McCondy nie należał do ludzi, których łatwo przestraszyć.

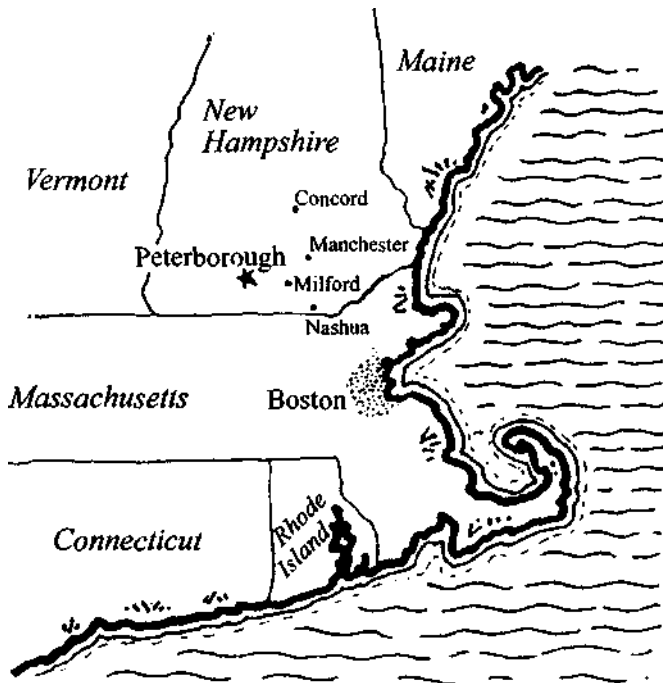
Był wystarczająco duży i silny, żeby radzić sobie w tarapatkach, a poza tym nie należał do bojaźliwych. Zawsze był na to zbyt praktyczny.

Facet w samolocie napędził mu jednak strachu — zapadłe policzki, bladooliwkowy beret, kobiece ruchy i szpakowata kozia bródka — takiej powierzchowności nie można nie zauważyć. Za każdym razem, kiedy Rocky wstawał, żeby precyzyjnie się do toalety, miał niejasne uczucie, że ktoś się mu przypatruje. Do chwili lądowania na lotnisku w Logan niepokój stale narastał. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie opuści samolot.

Wcale mu się to nie podobało. Wolał patrzeć prosto w oczy swoim lękom, i niegrzecznym chłopcom, którzy byli ich przyczyną — zarówno wymachującym pistoletami kryminalistom, jak i własnym demonom — stanąć do bezpośredniej walki i niech wygra lepszy.

Tym razem jednak wyglądało to zgoła inaczej. Miał wrażenie, że w pobliżu jest jakaś niewidzialna siła. Podczas lotu z dziesięć razy wmawiał sobie, że to rojenia wyobraźni. Ale strach nie znikał... że zdarzy się coś złego i że kiedy kilka tygodni temu zatelefonował do Adama Livingstone'a, wdepnął w sprawę zbyt wielką, żeby mógł mieć nad nią kontrolę.

Odebrał samochód i czym prędzej wyjechał poza teren lotniska. Był niewyspany, ale postanowił dotrzeć jak najszybciej do domu. Jaka to ulga znów jechać prawą stroną szosy! I autostradą, która ma pasy ruchu szersze niż dwa i pół metra. Mimo to dwugodzinna jazda



z Bostonu do Peterborough okazała się jak zawsze wyczerpująca.

Kiedy wreszcie znalazł się na podjeździe do swojego domu, jego zaspane oczy były zaczerwienione od ciągłego przecierania. Z wysiłkiem podszedł do drzwi. Walizkę przyniesie później. Myślał tylko o tym, żeby rzucić się na łóżko i przespać dwie, trzy godziny, zanim cokolwiek zacznie robić. Przekręcił klucz od frontowych drzwi i wszedł do środka.

Natychmiast odeszła go wszelka ochota na sen.

Patrzył na wywrócone krzesła, połamane lampy, na porzucane rzeczy. Cały salonik wywrócono do góry nogami! Zdumiony poszedł do sypialni. Tam wszystko wyglądało jeszcze gorzej. W kuchni cała podłoga zasłana była garnkami i potłuczonymi szklankami, filiżankami i talerzami. Spłądrowano dokładnie cały dom. Opróżniono wszystkie szuflady, wszystkie szafy.

Nagle przypomniał sobie kufer na strychu.

Pobiegnął na górę, zerknął na bałagan w pokojach na piętrze i wspiął się wąskimi schodami na poddasze.

Poddasza też nie oszczędzono. Znaleźli kufer i zerwali wieko.

Zajrzał do środka. Zabrali wszystko.

Potwierdziły się najgorsze podejrzenia. To robota tych, którzy osaczyli Adama Livingstone'a, albo wynajętych przez nich zbirów. Dokładnie wiedzieli, czego szukają.

Na szczęście zabezpieczył to, co najcenniejsze: dziennik pradziadka. Przeskakując po dwa schodki popędził na dół. Nie może sobie jeszcze pozwolić na sen. Musi sprawdzić, czy dostali w swe łapy także to najważniejsze.

Zaparzy sobie mocną kawę, co nieco tu uładzi i wyruszy do miasta.

4.

— Musimy zachować najdalej idącą ostrożność — mówił na posiedzeniu Rady Dwunastu założyciel gigantycznego japońskiego konglomeratu specjalizującego się w elektronice, Hito Kawasaki. — Nie zapominajmy, że minęło wiele dziesiątków lat, a nawet stuleci, zanim doszliśmy do dzisiejszej potęgi. Nawet hipoteza Darwina, mająca wszak ogromne znaczenie dla naszej organizacji, wymagała prawie stu lat pracy, zanim przesączyliśmy ją do całej światowej kultury i wiedzy. Zmiany na tę skalę przebiegają powoli, w milczeniu, niewidzialnie, ażeby nie zauważono ich przenikania do opinii publicznej. Nie możemy podejmować pochopnych działań.

— Chce pan powiedzieć, że Livingstone nie stanowi wbrew pozorom żadnego zagrożenia? — spytał irański szejk.

— To trzeba ustalić — odparł Kawasaki. — Osobiście tego nie wykluczam.

— Przykro mi, ale jestem innego zdania — zabrał głos siwołoso Holender. — Razem z panią D'Abernon obserwowaliśmy przez jakiś czas sytuację z bliska. Zapewniam, że sprawa powinna

budzić naszą czujność. A czas, który długo był naszym sprzymierzeńcem, stał się czynnikiem rozstrzygającym. Nie muszę chyba przypominać, jak długo trwały nasze przygotowania do roku dwutyśięcznego. Nie możemy pozwolić, by za pięć dwunasta pojawił się jakiś problem, który zniweczy nasze plany.

— O ile rozumiem, Livingstone nie należy do obozu chrześcijańskiego — wtrącił się wysokiej rangi irański bankier i doradca dyplomatyczny, członek Rady, o którego przynależności do tajnej organizacji, podobnie jak o przynależności innych jej członków, nikt w Teheranie nie miał pojęcia. — Pamiętajmy, co powiedział kiedyś Nieprzyjaciel: nawet jeśli ktoś powstanie z martwych i będzie mówił o życiu pozagrobowym, nie przekona sceptyków.

— Nie musimy martwić się odkryciem arki, jeśli ono właśnie ma być punktem wyjścia naszych rozważań — dorzucił Hector de la Cruz, który przyleciał tego ranka z Rio. — W odpowiednim czasie wszystko zostanie wyjaśnione. Może to zrobić za nas sam Livingstone. Powoli, stopniowo dokona się w jego umyśle proces racjonalizacji odkrycia. Wychowanie i wykształcenie zmusi go do przyjęcia postawy czysto intelektualnej. W końcu napisze o aspekcie naukowym. I przyjdzie czas, kiedy w oczach opinii publicznej ta kwestia straci swój duchowy wymiar, a wtedy całe zamieszanie wyjdzie nam na dobre. Kiedy sprawom duchowym odbierze się ich moc, zaczną działać na naszą korzyść. Niewiara w obliczu przemożnego dowodu to przecież najpotężniejsza i najtrudniejsza do przewyciężenia forma niedowiarstwa.

— Doniesiono nam jednak, że Livingstone napomyka o aspekcie duchowym. I być może „napomyka” to za słabo powiedziane — zauważył Wilson Abrams ze Stanów Zjednoczonych.

— Mam dokładnie to samo zdanie — dodał Vaughan-Maier. — Nie tylko „napomyka”. Wszystko, co Hector powiedział o arce, jest samo w sobie trafne. Martwi nas natomiast to, jak odkrycie wpłynęło na Livingstone'a. I w jakim kierunku go popchnie.

— Większość ludzi mających styczność ze sprawami o takim znaczeniu popada od czasu do czasu w nastroje metafizyczne — odezwał się Kawasaki. — Ale raz jeszcze chcę podkreślić, że w moim przekonaniu rzeczywistość świata racjonalnego zawsze prędzej czy później przesącza się do ich umysłów i gasi ten płomyk.

Znowu zabrała głos pani D'Abernon. Mówiła głosem pełnym ładu i siły. Miało się wrażenie, że niektórzy koledzy uznali, iż jej wpływy w Radzie ustępują tylko wpływom samego Vaughana-Maiera, aczkolwiek nikt nie śmiał wypowiadać się otwarcie na ten temat.

— Nie arka zatem i nie duchowe konsekwencje jej odkrycia są największym zagrożeniem dla naszego planu — zaczęła. — Chodzi o to, na co uwagę zwrócił Rupert: w jakim kierunku pójdzie Livingstone.

— To znaczy? — spytał Głos Azera.

— To znaczy, panie Zorin, że być może jeden krok dzieli go od wyjawienia tajemnic, które powinny pozostać tajemnicami. Nie brak znaków wskazujących nadejście czasów korzystnych dla naszej sprawy, ale nie brak też takich, które mogą wskazywać, że zbliża się przegrana.

I znowu spojrzenia dwojga rywali spotkały się na krótką chwilę. Nie była to jednak odpowiednia pora na dyskusję. Pani D'Abernon pomyślała, że zajmie się Zorinem później.

— Zdołaliśmy przeniknąć do jego systemu — ciągnęła — i wiemy mniej więcej, dokąd zmierza. To sprawa gardłowa. Wychodzi daleko poza obalenie humanistycznych poglądów na ewolucję. Niestety nie mamy żadnych konkretów.

Sam ton jej głosu świadczył, że odwołuje się w tym momencie do głębokiej domeny Wymiaru.

— Jest tak jak mówiłam. Ten człowiek ma być może w rękach moc, która zniweczy nasze wpływy.

— Wkrótce wyrusza do Afryki — wtrącił lord Montreux.

— Po co? — zapytał Egipcjanin Saad Gamelli.

— Zaczęło się mówić o... Edenie — odpowiedział Vaughan-Maier.

Zapadło milczenie. W ich kręgach słowo to brzmiało jak okropny zgrzyt.

— Wiemy więc dokładnie, jak się sprawy mają — dorzucił po chwili Holender. Jego głos zdradzał zakłopotanie.

— To mit — roześmiał się de la Cruz, ale ton jego głosu świadczył, że bynajmniej nie jest mu do śmiechu. — Co może nam zaszkodzić taka donkiszoteria? Livingstone ośmieszy się i tyle.

— Powinien pan wiedzieć co nieco więcej niż pańscy zaborbonni ziomkowie. Hektorze, to miejsce z pewnością nie jest mitem i z pewnością chodzi tu o bombę, nad którą musimy bezustannie czuć.

— Czemu tak się przejmujecie właśnie ogrodem rajskim? — zdziwił się Irańczyk Razmar Mossadek. — Nie widziałem nigdy, żeby Rada tak się jakąś sprawą przejęła. Żaden człowiek nie znajdzie tego, co pozostało po tym miejscu.

— Niech pan nie będzie taki pewny, przyjacielu. Nieprzyjaciel może podjąć próbę ujawnienia lokalizacji — odparł Vaughan-Maier. — Nasz Mistrz odniósł tam zwycięstwo, które dało mu władzę nad człowiekiem i jego światem. Nie wszystko wyjawiono nam z tych najgłębszych tajemnic. Ale poprzez mojego Przewodnika wyczuwam, że takie odkrycie mogłoby uchylić rąbka zasłony, że mogłoby oznaczać zdjęcie klątwy. A to prowadziłoby do utraty potęgi. Nie wykluczam, że chodzi o znak nadejścia Nieprzyjaciela.

— Nie ulega jednak wątpliwości...

— Że wiktoria jest bliska. Trzecie milenium będzie nasze. Mimo to nie powinniśmy lekceważyć faktu, że wkraczamy w okres brzemienny w zagrożenia. — Znowu zabrała głos pani D'Aberton. — Trzeba przeszkodzić Livingstone'owi. Nie może otworzyć bramy wiodącej do tego miejsca. Długo odwlekaliśmy przyście Nieprzyjaciela. I będziemy je odwlekać, jak długo uda się bałamucić ludzi, mącić im w głowach naszymi naukami. Ale mamy oznaki, że w niebie zapanowało wielkie poruszenie. Nieprzyjaciel nie czeka z założonymi rękami. Musimy zdwoić wysiłki. Nie możemy pozwolić, żeby znowu pojawiła się na ziemi głęboka magia. Kiedy się bowiem pojawi, oznaczać to będzie, że On nadchodzi. I wówczas będzie to

Jego milenium, a cała nasza praca pójdzie na marne. Livingstone, choć sam o tym nie wie, ma być może w ręku klucz do drzwi, za którymi magia kryła się przez tyle tysiącleci. Magia rajy musi pozostać głęboko pogrzebana, a jej moc spętana.

Niezwykle słowa kobiety z Zurychu wywarły ogromne wrażenie na obecnych. Nawet Zorin poczuł dreszcz.

Jakiś czas milczeli, a potem, jakby wiedzeni jedną myślą, zaczęli cichymi zawodzącymi głosami wznosić modły i nawoływać Przewodników z Wymiaru.

5.

Pół godziny później wrócili do dyskusji.

— Czy da się powstrzymać Livingstone'a, zanim zajdzie za daleko? — spytał Egipcjanin, zwracając się do przewodniczącego.

— Nie zaniedbano żadnej możliwości — odparł Vaughan-Maier. — Taktyczna linia ataku naszego wodza to związek z córką barona. Wydaje się, że inne środki, na przykład pieniądze i prestiż, są w tym przypadku bezużyteczne. Sedno sprawy w tym, że mamy niepokojące oznaki, iż Livingstone zaczął dawać posłuch Nieprzyjacielowi.

— Jeśli chodzi o propozycję pani D'Abernon, żeby wciągnąć go w orbitę naszych wpływów — powiedział Niemiec Georg Mühsam — muszę z całym szacunkiem wyznać, że ta gra wydaje mi się bardzo ryzykowna. Nawet gdyby został zięciem barona. To intelektualista i uczoney, człowiek zbyt niezależny. Wygląda na to, że Nieprzyjaciel przejawia, jeśli o niego chodzi, wielką aktywność, posługując się rosnącą życzliwością ludzi z otoczenia Livingstone'a.

— Jak postąpimy z tymi osobnikami? — zapytał iracki magnat naftowy.

— Mamy ich przez cały czas na oku — odpowiedział Vaughan-Maier. — Ciągłe próbujemy wprowadzić między nich swojego człowieka.

301

— Zgadzam się z Mühsamem. Wciąganie tego rodzaju osoby jest sprzeczne z tym wszystkim, na czym zbudowaliśmy zaślony naszych tajemnic — oznajmił Abrams. — Popieram pomysł małżeństwa. Ale dalej ani kroku.

— To poważne ryzyko. Nie możemy dopuścić do tego, żeby przystąpił do krucjaty. Nie, w żadnym razie nie może dowiedzieć się o naszym istnieniu.

— Z pewnością o nas słyszał.

— Pogłoski. Mało kto daje im wiarę.

— Dlaczego się go po prostu nie pozbędziemy? — spytał Zorin.

Powiedział to tak, jakby było to pytanie zupełnie niewinne, ale bez wątpienia miał w tej sprawie swoje zdanie. Pani D'Abernon spojrzała na niego i jej oczy cisnęły błyskawice. Na szczęście, zanim znalazła odpowiednie słowa, głos zabrał Brazylijczyk.

— Ten człowiek może być nam potrzebny — wyjaśnił de la Cruz.

— Ale nie w przypadku, jeśli okaże się niebezpieczny, jeśli nie będziemy mogli go kontrolować.

— Z eliminacją nie byłoby problemów, o tym mogę zapewnić, ale takie rozwiązanie nie wchodzi w grę — rzekł lord Montreux. — Powtarzam, musimy unieszkodliwiać i przekonywać, a nie tworzyć męczenników.

— Szczerze mówiąc, nie dostrzegam zagrożeń, jakie zdaniem przedmówców płyną z jego zainteresowania życiem duchowym — zgłosił swoje zastrzeżenie Amerykanin. — Mój kraj jest tu klasycznym przykładem w dziejach ludzkości, aczkolwiek można też brać pod uwagę przypadek przedwojennych Niemiec. Duchowa postawa, jeśli tylko ma odpowiedni wyraz intelektualny i emocjonalny, nigdy nie stanowiła zagrożenia dla naszych zamiarów, może co najwyżej dokuczliwy kłopot. Chrześcijańscy niedowiarkowie to nasz najpotężniejszy sojusznik. Nie powinniśmy niszczyć stref wygody, w których ulokowali swój ortodoksyjny system wierzeń. Nie powinniśmy przywoływać ich do porządku ani drażnić, ani podsycać namiętności. Męczennicy wyrwą ich tylko z miłej drzemki. Niech sobie śpią.

— Dobrze powiedziane — pochwalił Wiktor Gomułka, rosyjski członek Rady. — Właśnie ta zasada dotyczy Adama Livingstone'a, i to bez względu na to, czy uważa się w tym momencie za chrześcijanina, czy nie.

— Gdy tylko w sprawie arki dojdzie do głosu czysta nauka — dodał de la Cruz, żeby podkreślić z większym naciskiem to, co powiedział wcześniej — gdy tylko książki, tygodniki, telewizja zaczną tłumaczyć fakty z humanistycznego punktu widzenia, a postaramy się, żeby taki właśnie punkt widzenia przyjęto, gdy więc wytworzy się taka sytuacja, być może nasza sprawa tylko na tym zyska.

— Pod warunkiem, że nie dojdzie do dalszych poważnych odkryć — uzupełniła tę wypowiedź pani D'Abernon.

— Jakich odkryć?

— Już mówiliśmy o tym miejscu.

— Niech sobie odkrywa ogród rajski — rzucił de la Cruz, nie zważając na powściągliwość jej słów — albo niech myśli, że odkrył. Nic się nie stanie. Bez większego trudu zwalczymy wszelkie konsekwencje, które mogłyby zagrozić podejściu ewolucjonistycznemu.

— Wydaje się zatem, że naszym głównym celem powinno być zdyskredytowanie Livingstone'a — powiedział Egipcjanin. Zerknął w stronę lorda Montreux, potem pani D'Abernon, a wreszcie jego wzrok spoczął na Vaughanie-Maierze.

— W jakimż to celu? — zdziwił się kolega z Wielkiej Brytanii. — Arka została już znaleziona.

— Już wcześniej — zauważył Irakijczyk. — Turcy zbudowali centrum turystyczne u stóp góry przy takim właśnie odkryciu.

— To prawda. Zresztą odkrycie wprowadzi tylko zamęt w szeregi chrześcijańskie. Już trwa walka, już spierają się, czy chodzi o prawdziwą arkę, i wkrótce wszelkie duchowe znaczenie tej sprawy ulegnie całkowitemu zatarciu. Powtarzam, na dłuższą metę odkrycie Livingstone'a wyjdzie nam tylko na korzyść.

— Zdyskredytowanie tego człowieka to jednak nęcąca strategia.

— Raz jeszcze pytam. Po co?

— Żeby pokazać, że chodzi mu o pieniądze i chwałę. — odparł Amerykanin, podejmując wątek zapoczątkowany przez Gamellego. — Może przydałyby się pogłoski, że dowody zostały sfałszowane albo nawet, że cała sprawa to z góry zaplanowana mistyfikacja. Jeśli señor de la Cruz ma rację, kiedy mówi, że w ostatecznym rozrachunku sprawa przyniesie nam korzyści, zdyskredytowanie Livingstone'a i jego odkryć może nam wyjść tylko na dobre.

— Osłabi też znaczenie przyszłych znalezisk — dodał Gamelli — co przecież, jak zauważyła pani D'Abernon, powinno być naszym pierwszoplanowym celem. Wygląda na to, że podważenie reputacji Livingstone'a ułatwi nam osiągnięcie niejednego z naszych celów.

Kilka zaintrygowanych takim postawieniem sprawy osób pokiwało głowami.

— Tylko jeśli nie uda się doprowadzić do małżeństwa z moją córką — zastrzegł lord Montreux. — Niszcząc Livingstone'a niszczymy też jego możliwości, jeśli chodzi o wspieranie naszej sprawy.

— Niechybnie — przyznał Gamelli.

— Jakież propozycje? — Vaughan-Maier rozejrzał się po zebranych.

— Pogłoski... insynuacje.

— To nigdy nie zaszkodzi.

— Nic nowego... W brytyjskim społeczeństwie wszyscy się w to bawią — zapewnił lord Montreux.

— To nadal potężny środek kontrolowania chrześcijan.

— Nie to co dawniej — uśmiechnął się Amerykanin. — W każdym razie w moim kraju.

— Racja — skinął głową Rosjanin. — To pokazuje tylko, z jakim powodzeniem prowadziliśmy dzieło infiltracji.

— Skandal finansowy? — podsunęła pomysł pani D'Abernon.

— Naszym celem jest zdyskredytować go jako człowieka... zdyskredytować motywy jego działania, podważyć wiarygodność.

— Może obrócić przeciwko niemu któregoś z najzagorzalszych popleczników... Nic nie pomaga skuteczniej w niszczeniu człowieka. Tak właśnie zniszczyliśmy już niejednego. Prawda nie ma tu znaczenia, liczy się tylko to, że z oskarżeniami występuje

ktoś bliski. Najlepiej członek rodziny.

— Znam kogoś, kto mógłby się nam przydać — oznajmił Anglik. — I jest to człowiek, którego da się kupić. Nie należy do rodziny, ale to mój rodak... Sir Gilbert Bowles.

— Kolega archeolog?

— Mogę zapewnić, że Bowles to nasz człowiek. Jeśli chcemy zdyskredytować Livingstone'a, nie znajdziemy nikogo odpowiedniejszego. Uczony, który nienawidzi Livingstone'a.

Wszyscy skinęli w milczeniu głowami, zgadzając się na propozycję lorda Montreux.

Zorin przez cały czas słuchał dyskusji z wielkim zainteresowaniem. Wyprzedził ich o wiele długości. Wykorzystał już Bowlesa, żeby określić dokładnie współrzędne odnalezionej arki. Wiedział, jaki jest słaby punkt tego człowieka. A teraz wykorzystanie go przez Radę może przynieść dodatkowe korzyści.

— Może się pani tym zająć? — spytał Vaughan-Maier, zerkając w stronę pani D'Abernon.

— Tak.

— Jak zawsze trzeba się upewnić, że nie pozostawi się żadnego śladu.

— Sprawę można uznać za załatwioną.

Dyskusja toczyła się dalej. Pozostało wiele innych kwestii do omówienia.

Kobieta, która przybyła tu z Zurychu, prawie nie zabierała już głosu. Nie była ani trochę przekonana, że środki, które postanowiono podjąć, pozwolą osiągnąć to, co powinno być osiągnięte. Jeśli, jak podejrzewała, sprawę weźmie w swoje ręce Zorin, nikt nie wykryje śladów działania.

Musi spotkać się na osobności z kolegami, z którymi tworzy najpotężniejszy w Radzie Dwunastu trójkowy zespół.

6.

Rocky McCondy wszedł do First Fidelity National Bank.

Rozejrzał się nerwowo. Nadal miał złe przeczucia. Ale przynajmniej nie czuł się już taki senny. Odeśpi sobie w nocy. Teraz ma

to i owo do zrobienia.

Zszedł od razu do sali depozytów.

— Chciałby zajrzeć do mojego depozytu.

— Nazwisko?

— Robert McCondy.

— Niedawno pan był u nas, panie McCondy — powiedziała urzędniczka, wydobywając kartę z podpisem.

— Co to znaczy, niedawno?

— Był pan... och, nie, widzę, że to pański adwokat.

— O czym pan mówi? Wróciłem do kraju trzy godziny temu. I nie mam adwokata.

— Hmm... to dziwne. Już sobie przypominałam, jak się to odbyło... Podpisane przez pana pełnomocnictwo... No i klucz do pana skrytki.

— To niemożliwe. Klucz mam przy sobie. — Rocky sięgnął do kieszeni i wydobył klucz. — Ale to chyba teraz bez znaczenia. Po prostu podpiszę co trzeba i zajrzę do skrytki.

Dwie minuty później oba klucze zostały obrócone w zamkach i urzędniczka zostawiła Rocky'ego sam na sam z jego skrytką. Rocky wyjął szufladkę.

Ktokolwiek zaglądał do skrzynki, nie był to zwykły złodziej, nie obchodziły go pieniądze. Skromny depozyt afrykańskich krugerrandów był nienaruszony, podobnie jak pełny zbiór srebrnych jednodolarówek, brakowało mu jedynie tej z 1804 roku.

Tylko dziennik pradziadka zniknął bez śladu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

MROczne KNOWANIA

1.

Juliet Halsay podniosła słuchawkę. Zastanawiała się, kto może do niej dzwonić.

— Juliet?... Cześć. Tu Margaret.

— Margaret! — wykrzyknęła Juliet. — Miło cię słyszeć!

— Myślałam o tobie parę dni temu i postanowiłam cię złapać.

Co u ciebie?

— Jakoś sobie radzę. Skąd masz mój numer?

— Od pewnej pani z opieki społecznej. Pytała o ciebie.

— Mieliśmy tu ciężkie chwile. Zaczynam z tego wychodzić.

Zajrzałam do ciebie kilka tygodni temu, kiedy byłam w Brighton, ale cię nie zastałam.

— Może byśmy się spotkały?

— Bardzo bym chciała, Margaret!

— Wiesz, że miałam bzika na punkcie... Arundel!

— To najlepsze, co mogłaś wymyślić! Zamówimy sobie herbatę ze śmietanką w tej restauracji na wzgórzu.

— I zajrzemy do antykwariatów.

— Jestem bez grosza przy duszy.

— Będą to zakupy przez szybę. To też zabawne. Kiedy możesz przyjechać?

— Kiedy zechcesz. Nie pracuję. Ciocia Andrea jest kochana i

pozwala mi korzystać ze swojego samochodu.

— Za dwa dni?

— Możemy się spotkać tam... w restauracji... o jedenastej?

— Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Dwa dni później przyjaciółki spacerowały po Tarrant Street w osobliwym starym angielskim miasteczku Arundel, zaglądając do sklepów i rozmawiając wesoło o tym i owym.

— Jest tu sklep z laskami.

— Och, nie wiem, czy to zniosę. Pamiętasz, jak byłyśmy tu ostatnio? Przez godzinę nie mogłyśmy odczepić się od sprzedawcy.

— Całe jego życie to laski — zachichotała Margaret.

— Umarłabym z nudów, gdyby moim jedynym towarzystwem były laski i parasolki.

— Chodźmy na targ staroci przy kościele — zaproponowała Juliet, ruszając przodem w dół ulicy. — Zawsze można tam znaleźć coś interesującego. Może zobaczę jakąś błyskotkę, na którą będę sobie mogła pozwolić.

Szły w stronę dużego kamiennego zboru kongregacjonistów zbudowanego w czasach wiktoriańskich, a teraz zamienionego w halę targową, w której sprzedawano na straganach używane rzeczy. Niektórzy sprzedawcy zachwalali swój towar jako antyki. Inni nie zgłaszali takich śmiałych roszczeń.

Kiedy znalazły się w środku, Juliet przystanęła i rozejrzała się dokoła. Wśród tego gwaru kupujących i sprzedających spłynęło na nią nagle dziwne uczucie spokoju i szacunku. Jakie to niewłaściwe — pomyślała. — Te witraże i dumny stary kościół pełen rupieci i skarbów, które pozostały po życiu tysiąca ludzi. Jedno nie pasuje do drugiego.

Czym był niegdyś ten kościół? — mówiła sobie. — Jakie orędzie płynęło z podwyższenia, na którym wznosił się kiedyś pulpit? Kto tu stawał? Co mówił? — Do jej głowy napływało coraz więcej pytań. — Jak doszło do upadku tego kościoła pełnego wielkości?

Nie miała czasu na dalsze rozważania. Margaret pociągnęła ją w stronę straganu.

Dwie godziny później Juliet i Margaret siedziały rozsmarowując

gęstą śmietankę z Devonshire na dwóch złocistych babeczkach.

— Tak się cieszę, że się odezwałaś — powiedziała Juliet. — Od wieków tak się nie bawiłam. Potrzebowałam tego: wreszcie wyszłam i robiłam coś innego niż zwykle.

— Ale to chyba szalenie interesujące mieszkać tam gdzie ty... Adam Livingstone... ho, ho!

Juliet roześmiała się.

— Właściwie wcale się z nim nie stykam.

— I tak masz szczęście. To znaczy, że tam jesteś, prawda?

— Chyba tak. Nie wiem jednak, czy można powiedzieć, że mam szczęście. Słyszałaś o tej dziewczynie, którą zabiła bomba?

— To było straszne. Ale tobie nic takiego się nie zdarzy.

— Co masz na myśli? Zdarzyło mi się przecież w Londynie.

Albo prawie.

— Tak mi przykro. Nie o to mi chodziło... sama wiesz.

— Wszystko w porządku.

Na chwilę zapadło milczenie.

— Najważniejsze, że go znasz! — podjęła Margaret. — Nie mogę w to uwierzyć.

— Że kogo znam?

— Adama Livingstone'a, głuptasie. Przystojny?

— Nawet nie zauważa kogoś takiego jak ja.

— Nie wiem, czy mam ci wierzyć — roześmiała się Margaret.

— Założę się, że ciebie zauważył.

— Nie, nie. Przysięgam.

— Rozmawiasz z nim czasem?

— Tak, rozmawialiśmy. Raz czy dwa wyszłam na idiotkę

— Nie chce mi się wierzyć.

— Tak, tak — potwierdziła chichocząc Juliet. — I raz go złościłam.

— Co takiego? W jaki sposób?

— Byłam w jego laboratorium, kiedy nie powinnam.

— Miałaś przykrości?

— Przez chwilę. Potem zrobiło mu się mnie żal. Ciocia powiedziała mu o zamachu.

— Co zamierzasz robić dalej? — spytała po chwili milczenia przyjaciółka.

— Rozglądam się za jakąś pracą. Nie mogę wiecznie tam tkwić. Pan Livingstone wyjeżdża wkrótce do Afryki. W miasteczku jest jeden taki dom, w którym mieszkają starsi ludzie. Może w przyszłym miesiącu znajdzie się dla mnie jakaś praca przy nich.

— Praca niezbyt pociągająca.

— Wolę pomagać starym ludziom, niż sprzedawać smażoną rybę i frytki. Tak czy inaczej zrobię, co się da, żeby przed powrotem pana Livingstone'a mieć pracę i jakiś kąt.

— Dlaczego?

— Nie chcę, żeby się znów na mnie rozzłościł.

— Założę się, że myśli o tobie więcej, niż wynika z tego, co mówisz.

— Margaret! Nie mów takich rzeczy!

— To prawda. Wiem.

— Daj spokój — zaśmiała się Juliet. — Ja wiem, że nie.

— Masz w sobie coś takiego, że wszyscy cię lubią. Nie doceniasz samej siebie.

2.

Od posiedzenia Rady Dwunastu minął ledwie dzień.

Rupert Vaughan-Maier, Anni D'Abernon i lord Harriman Montreux doszli jednomyślnie do wniosku, że powstała potrzeba przeprowadzenia jak najszybciej poufnej dyskusji w ramach nieoficjalnego triumwiratu przewodzącego Radzie. Dwoje przybyszów zostało więc na noc w Amsterdamie.

— Pozostali członkowie Rady nie przejmują się zbyt zagrożeniem — powiedział Vaughan-Maier. — Niepokoi mnie, że tak obojętnie podchodzą do moich ostrzeżeń. Obawiam się, że jest tu jakiś punkt wspólny ze szkodliwymi wpływami.

— Nie chce pan chyba powiedzieć... że Nieprzyjaciół przystąpił do dzieła? — spytał potomek rodu Rothschildów.

— Nic z tych rzeczy. Chodzi mi o nasze wewnętrzne podziały.
— Jaka jest ich przyczyna?
— Pycha i żądza władzy. Jakżeby inaczej?
— Trafił pan w sedno. Jeden z członków Rady zaczął sobie zbyt wiele wyobrażać — powiedziała Szwajcarka. — Poczułam to wczoraj, gdy tylko wszedł do sali. Starłam się, żeby pozostali nie zauważyli jak poważna jest sytuacja. Doszło do zaciemnienia obrazu Wymiaru.

— Mam wyraziste uczucie, że nasz kolega więcej wie o dwóch incydentach, niż zechciał nam wyjawić — zauważył lord Montreux.

— Słusznie, baronie — przyznał mu rację Vaughan-Maier. — Boję się, że nasz przyjaciel, pan Zorin, ma jakieś własne motywy działania.

— Ciągłe zbija mnie to z tropu. Zorin służy naszej sprawie dłużej niż wielu innych członków Rady.

— Nie mówiąc już o tym, że to jemu powierzyliśmy najważniejsze zadania związane z wprowadzaniem nowego porządku.

— Niektórzy mniemają, że zostanie tak bardzo wyniesiony w Wymiarze, że zaćmi nas wszystkich.

— Tych, którzy znaleźli się w świetle reflektorów, ponosi pycha i ambicja, a wtedy spadają na sam dół.

— Nasz przyjaciel Zorin chce być może wziąć sprawy w swoje ręce — powiedziała pani D'Abernon. — W tej chwili jego posunięcia oznaczają destrukcję. Swoją niedojrzałą taktyką ściąga na nasze głowy zagrożenie. Realizujemy nasze cele w sposób niewidzialny, nie zaś przy użyciu bomb.

— Wydaje się, że ten człowiek cierpi niestety na obsesję władzy — dorzucił Vaughan-Maier.

— Stracił z oczu szersze cele Planu. Trzeba go okiełznać. Działania niewidoczne to zasada, której nie możemy porzucić.

Jakby wiedzeni jedną myślą wyciągnęli dłonie i dotknęli się leciutko czubkami palców.

Po jakimś czasie z ust jednego z trójki dobyło się zawodzenie, głos z zaświatów. Dźwięk brzmiał modlitewnie, lecz była to modlitwa o cały wszechświat odległa od modlitwy do prawdziwego Boga.

Jedno z trójki zaczęło kołysać się łagodnie w tył i przód. Wszyscy mieli zamknięte oczy, twarze pozbawione wyrazu. To co ludzkie zanikało gdzieś w tle. Oto mieli teraz przemówić przez nich inni, mieszkańcy odległego imperium Wymiaru. W sali migotał płomyk jedynej świeczki, roziskrzając zawieszony w tle kryształowe lustro. Było to jedyne światło w tym miejscu. Świat mroku zaczął wyjawiać śpiewnym, upiornym głosem swoją Wolę.

„Nadchodzi zagrożenie... Nikt nie może odnaleźć tego miejsca.”

Jakieś niezrozumiałe pomruki. Cisza.

„Szczelina musi pozostać, jej źródło zakryte... życie pogrzebane.”

Wszystkie trzy głosy przemieszały się, jakby pragnęły najszybciej przekazać ostrzegawcze orędzie.

„Znajdźcie i zniszczcie... nie dopuście, by odkrył źródło... straszliwe zagrożenie.”

„Brzask Wymiaru przyćmiony.”

„Nie może odnaleźć bramy... ma pozostać zapieczętowana... zamknięta na zawsze.”

Głosy pośredników stopniowo zamierały. Wrócił świat ludzki. Otworzyli oczy.

Powoli spływała cisza i każde z trójki starało się wchłonąć to, co usłyszało.

— Czy to możliwe, żeby Livingstone naprawdę szukał ogrodu? — spytała kilka minut później pani D'Abernon. Nawet wypowiadając te słowa, w głębi swojego jestestwa wiedziała, że tak właśnie jest. — To nie do wiary!

— Wie pani jednak, że to prawda — odparł Vaughan-Maier. — Sama powiedziała mi pani o wzburzeniu swojego Przewodnika, o jego ostrzeżeniach, i to zanim ja poczułem, co się święci.

Z powagą skinęła głową.

— Czy wiemy, w jakie miejsce Afryki się udaje? — zapytała.

— Moja córka jest z nim w kontakcie.

— Może będzie to dla niej sposobność, żeby odzyskać stracony teren, baronie. Mówi się, że serca topnieją podczas rozłąki. Miejmy nadzieję, że tak będzie w przypadku Livingstone'a.

— Z naszych źródeł wiemy, że zarezerwował pokoje hotelowe w miejscowości Arusha w Tanzanii. Zdaje się, że bazę chcę założyć w wąwozie Oldoway.

— Nic nam to nie mówi. Połowa archeologów zajmujących się ewolucjonizmem tam właśnie prowadzi wykopaliska. Czego właściwie szuka? Kopaliny? Jakie wnioski może z tego wyciągnąć co do położenia ogrodu?

— Będziemy go śledzić dzięki Bowlesowi.

— Musimy mieć pewność, że odnajdzie obóz Livingstone'a i będzie donosił o każdym posunięciu archeologa.

— Czy mamy jakieś wyobrażenie, gdzie znajduje się źródło szczeliny?

— Gdybyśmy to wiedzieli, zniszczylibyśmy je, zanim dotrze tam Livingstone. Ale ze starych zapisków nic nie wynika. Tamten głupiec przemierzał pustynię, kiedy zginął z ręki naszych ludzi. Nie podał, dokąd podąża. Tylko jedno słowo. Synaj.

— Chodzi o górę czy o cały region?

— Nie ma szczytu o tej nazwie, a tylko legendarne miejsce na obszarze południowej pustyni Półwyspu Synajskiego i ruiny klasztoru u stóp wyniosłości. Przez całe stulecie mieliśmy ten teren na oku. Nie ma tam nic, może nawet nie o to miejsce chodzi. Adam Livingstone nie zainteresował się nim w najmniejszym stopniu. Nie wolno nam rozluźnić czujności.

— A Zorin?

— Jego też musimy obserwować. Tak samo jak Livingstone'a. Być może trzeba go będzie prędzej czy później usunąć z Rady.

3.

Po powrocie do Londynu, lord Montreux natychmiast spotkał się z córką.

— Co z Adamem? Jakoś się ułożyło?

— Och, Adam... Mam go po dziurki w nosie, ojczec.

— Co to znaczy?

— Postanowiłam nie wychodzić za niego.

313

- Co? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Mówię ci teraz.
- Nie dopuszczę do tego.
- Klamka zapadła, ojczu.
- Musisz go poślubić! Myślałem, że to dla ciebie jasne.
- Już go nie kocham.
- Miłość nie ma tu nic do rzeczy. To dla ciebie najlepsza partia.
- Dlaczego zaczęło ci tak nagle na tym zależeć? Co to ma dla ciebie za znaczenie?
- Zawsze miało. I nie bez powodów.
- Ojczu, Adam się zmienił. Ni z tego, ni z owego nabrały dla niego znaczenia sprawy wiary. Nie wiem, czy potrafiłabym go nadal znośić.
- Na twarzy lorda Montreux ukazał się wyraz głębokiego zatroskania.
- Tym bardziej, Candace — powiedział po dłuższej chwili.
- Musisz odciągnąć go od tego rodzaju myśli. Użyj swojego czaru. Uśmiechu. Nigdy cię nie zawiódł.
- Nie wiem, czy mogę jeszcze zrobić na nim wrażenie.
- To nadal cenna zwierzyna, Candace. Mówisz, że go nie kochasz, ale chyba nie myślisz tak poważnie. Miłość nie znika z dnia na dzień.
- Adam już mnie nie pociąga.
- Powtarzam. Chcę, żebyście doszli ze sobą do ładu, zanim Adam wyjedzie do Afryki.
- A jeśli odmówię?
- Candace, nie wyprowadzaj mnie z równowagi. Musiałbym cię zmusić, a tego wolałbym uniknąć. Najlepiej spójrz na to z mojego punktu widzenia.
- Nigdy nie chciałam być żoną kaznodziei.
- Powtarzam raz jeszcze. To konieczność...
- O czyje życie tu chodzi, ojczu? — przerwała gniewnym tonem Candace. — Twoje czy moje?
- Nie bądź bezczelna! Już dawno ustaliliśmy wszystko w sprawie Adama Livingstone'a. Jeśli chcesz zobaczyć złamany grosz ze spadku po mnie, młoda damo, zrobisz to, co ci każę.

Candace nic nie odpowiedziała. Na jej zarumienionej twarzy pojawił się wyraz, który trudno byłoby uznać za zwykłe nadęsanie. Niestety ojciec ma sposoby, które pozwalają mu narzucać swoją wolę.

— Czy słyszysz mnie, Candace? Nie masz wyboru. Adam Livingstone jest nam potrzebny, i to bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie zamierzam słuchać twoich rozkazów! — krzyknęła Candace.

— Zrobisz dokładnie to, co każę — oznajmił lodowatym tonem ojciec. — W przeciwnym razie, przysięgam, ty i ten, którego poślubisz, będziecie żyli w biedzie. Musimy wiedzieć co zamierza Livingstone.

Zapadło przeciągające się milczenie. Lord Montreux przyjął postawę pełną spokoju i wyniosłości; czekał, żeby córka doszła do siebie. Gniew Candace powoli opadał. Ojciec ma rację — nie ma wyboru. Trudno jej było pogodzić się z tym, że jest od kogoś zależna, a już szczególnie od mężczyzny. Na nieszczęście wyrosła u boku tego właśnie człowieka i dobrze wiedziała jak jest potężny. Nie rzuca gróźb na wiatr. Jeśli powiedział, że nie zobaczy złamanego grosza z jego fortuny, nie ulegało wątpliwości, iż nazajutrz ona, Candace Montreux, może naprawdę obudzić się jako ktoś bez środków do życia. Była dumna, ale nie na tyle, żeby do czegoś takiego dopuścić. Przywykła do dostatniego życia i nie zamierzała tego zmieniać.

— Co mam zrobić? — zapytała po paru minutach cichym i zrezygnowanym głosem.

— Tylko to, co robisz najlepiej, kochanie — odparł lord Montreux tonem na powrót pełnym ojcowskiej czułości. — Podbij jego serce, zyskaj jego miłość... i dowiedz się, w jakie miejsce Afryki się udaje i jakie nadzieje wiąże z tą wyprawą.

— A jeśli mi nie powie?

— Powie, powie. Kocha cię.

— Często jest bardzo tajemniczy w sprawach swojej pracy.

— Postaraj się. Jestem pewien, że wszystko ci powie, jeżeli udasz, że bardzo cię to interesuje. W ten czy inny sposób musimy się dowiedzieć, jaką grę prowadzi.

Candace wyszła. Ojciec pogрузzył się w zamyślenie. Nie ulega wątpliwości, że nie mogą polegać na Candace. Po chwili poszedł na

górną do swojego gabinetu, podniósł słuchawkę i odbył krótką rozmowę telefoniczną. Muszą użyć wszelkich środków, żeby dotrzeć do potrzebnych informacji.

4.

Andrea Graves nie mogła pozbyć się dziwnego uczucia. Od dnia, kiedy wyszła z panią Beeves na zakupy, do rzeźnika, ciągle odruchowo zerknęła przez ramię do tyłu. Może to dlatego, że wszyscy wyjechali i w domu zapanowała cisza.

Kiedy późnym popołudniem wróciła Juliet, pani Graves odechnęła z ulgą.

— Jak było, kochanie? — spytała.

— Wspaniale, ciociu. Dobrze jest pozwolić sobie od czasu do czasu na chwilę odprężenia. Śmiałyśmy się z Margaret jak za dawnych szkolnych czasów.

— A ja, muszę przyznać, miałam uczucie, że tutaj, w domu, jest za spokojnie.

— Za spokojnie? Co masz na myśli?

— Z pewnością zauważyłaś, jak bardzo się wszystko zmieniło, odkąd dom jest pusty.

— O tak, nie tętni już życiem. Przepadł gdzieś jego duch. Ale myślałam, że ucieszysz się z tego, że masz cały dom dla siebie... no i że pozbyłaś się pana McCondy'ego i jego kawy.

Pani Graves nic nie powiedziała. W oczach Juliet pokazały się małe iskierki; starała się przeniknąć wzrokiem wyraz twarzy swojej ciotki.

— Brakuje ci go, prawda, ciociu? — spytała po chwili.

— Brakuje, brakuje... Niby kogo, na Boga?... Tego Amerykanki? Nie bądź śmieszna!

— Tak, tak, brakuje — powtórzyła Juliet, uśmiechając się przekornie. — Nigdy bym w to nie uwierzyła!

— Juliet, proszę cię, żebyś nie mówiła takich rzeczy! — powiedziała ciotka. Obróciła się na pięcie i wyszła.

Juliet pobiegła do siebie na górę. Była nadal w doskonałym nastroju.

Niedługo potem rozległ się dzwonek telefonu. Odebrała pani Graves.

— Dzień dobry, pani Graves — odezwał się rozmówca. — Tu-taj Candace Montreux.

Gospodyni milczała. Nigdy nie przepadała za Candace Montreux. Adama nie ma, nie musi silić się na przyjazny ton.

— Czy mogę mówić z Adamem?

— Przykro mi, panno Montreux, ale pana Livingstone'a nie ma — odpowiedziała ostrożnie pani Graves.

— Nie ma?... A gdzie jest?

— Wyjechał na wyprawę.

— Już? Do Afryki?

Candace z trudem się opanowała. Adam wyjechał z kraju, nie myśląc o złagodzeniu konfliktu między nimi, bez pożegnania.

— Czy... czy zostawił numer telefonu, pod którym można się z nim skontaktować?

— Niestety nie.

— Ale... ale, jakie właściwie prace ma zamiar prowadzić?

— Tego nie wiem.

— Pani Graves, czy mogę w jakiś sposób się z nim skontaktować?

— Panno Montreux, mój chlebodawca jest gdzieś w samym środku Afryki. Nie mam pojęcia, gdzie dokładnie.

Kiedy Candace odkładała słuchawkę, czuła, że zaraz ogarnie ją biała gorączka. Co za wstrętna kobieta! Ta wścibska starucha nie wie, gdzie jest Adam, ale przecież ktoś z domowników musi wiedzieć! Dowie się tego. Teraz nie chodzi już tylko o rozkazy ojca. Nieżyczliwość gospodyni rozbudziła jej dumę.

Postanowiła dowiedzieć się co chcą przed nią ukryć.

Adam!... Jak mógł wyjechać tak po prostu, bez jednego słowa?

W tym czasie pani Graves weszła do kuchni. Nie pamiętała już o rozmowie telefonicznej z Candace. Do głowy cisnęły się jej słowa Juliet, nie miała więc czasu na rozmyślanie o pannie Montreux. Z

przyzwyczajenia postawiła na kuchence czajnik z wodą. Zajrzała do kredensu, szukając czegoś do herbaty, ale prawdę mówiąc, wcale nie czuła głodu.

W kącie półki zobaczyła pół opróżnioną puszkę kawy, która została po panu McCondym. Na chwilę zatrzymała wzrok na puszcze, potem wyjęła ją i podważyła wieczko. Podsunęła kawę pod twarz i wciągnęła w nozdrza przyjemną woń.

Chwila zadumy minęła równie szybko jak przyszła. Po chwili puszka stała na swoim miejscu, a gospodyni zajmowała się parzeniem herbaty. Nie zamierzała zastanawiać się na tym, co oznaczał ten moment nostalgii.

Obserwator siedzący w samochodzie zaparkowanym na ulicy w miejscu, skąd doskonale widać było dom, opuścił lornetkę. Przez cały dzień patrzył, co robi dziewczyna, a przedtem, w restauracji, miał w rękach jej torebkę — wystarczająco długo, żeby zdobyć to, czego potrzebował. Uznał, że więcej na razie nie osiągnie.

Nie spuści jej z oka... będzie czekał na okazję.

5.

Godzinę temu zaczęła tworzyć się mgła.

Teraz gęstniejąca w ciszy powłoka wypełzła już z wody na miasto, tłumiąc dźwięki i zamazując trochę dalsze kształty. Od czasu do czasu rozbrzmiewał róg mgielny i uwydatniający go chrapliwy krzyk niewidzialnej mewy. Drobne fale pluskały słabo o kadłuby ogromnych statków i zacumowanych nieopodal znacznie mniejszych łodzi rybackich.

Osobliwie wyglądający mężczyzna — sądząc po usmarowanych spodniach i brudnych dłoniach irlandzki robotnik, ale o delikatnej twarzy, która wyraźnie nie pasowała do tej portowej dzielnicy Belfastu — szedł niedbałym krokiem wąską ulicą przez gęstniejącą mgłę; wcisnął na oczy czapkę i wszedł jakby przypadkiem do pubu Lucky Doubloon.

Każdy pub, każdy róg ulicy w Belfaście służyłby równie dobrze celom tego człowieka. Ale wścibskie spojrzenia są wszędzie, a ten

ktoś, z kim miał się spotkać, nie należał do ludzi, którzy wtapiają się w scenerię przez nikogo nie dostrzeżeni. A jego sława pogarszała tylko sprawę. W Londynie pewnie zatrzymano by go, żeby uzyskać chwilę rozmowy albo autograf. W belfaskim porcie niewiele osób mogło go jednak rozpoznać, a ci, którzy rozpoznają, niezbyt dbają o taką znajomość.

Wyznaczenie spotkania właśnie tutaj miało dać tamtemu poczucie, że chodzi o jakąś tajemniczą i niebezpieczną sprawę. Mogłoby się to okazać pożyteczne, gdyby przyszło mu do głowy, żeby wytropić i zidentyfikować tych, którzy się z nim skontaktowali. Jeśli pomyśli, że chodzi o jakiś wątek irlandzki — tym lepiej. Nie będzie zadawał pytań. A ci, którzy chcieli go zatrudnić, właśnie pytań pragnęli za wszelką cenę uniknąć. Nie należeli do tych, którzy marzą o stanięciu w świetle reflektorów. Ich moc trwała dzięki anonimowości.

Rzekomy Irlandczyk rozejrzał się dokoła.

Mężczyzna, który przykuł jego uwagę, odznaczał się bez wątpienia potężną budową ciała. Siedział w mrocznym kącie, pochylony nad wysokim kuflem gęstego, ciemnego portera guinnessa.

Nowo przybyły zawałał się na chwilę, póki jego oczy nie przywykły do przytłumionego oświetlenia, a potem podszedł do baru, wziął pusty kufel, podszedł do stolika i usiadł na rozklekotanym krześle, naprzeciwko potężnie zbudowanego mężczyzny. Bez słowa napełnił do połowy kufel ze stojącego pośrodku stołu dzbana i wypił wszystko duszkiem.

Odstawił szklanicę, podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy tamtemu, jakby chciał go onieśmielić.

— Panie Bowles — zaczął mówić z nieskazitelnym irlandzkim akcentem — ludzie, których reprezentuję, polecili mi złożyć panu pewną propozycję.

— O co chodzi? — spytał burkliwym tonem archeolog, zły, bo czekał już pół godziny, a poza tym czuł się nieswojo w tym ponurym miejscu.

Miał do czynienia z setkami jadowitych pajaków i węży, raz stał naprzeciwko szarżującego lwa, dwa razy — nosorożca, trzy razy przeszedł malarię i nie uważałwcale, że jest to powód do robienia

wielkiej wrzawy. Ale tym razem sprawa wyglądała inaczej. Nie ufał ludziom z IRA i z każdą minutą coraz mniej podobał mu się pobyt tutaj. Fakt, że rozmówca robił wrażenie człowieka gotowego zabić go za resztkę piwa w dzbanie, nie działał kojąco na jego nerwy.

— O propozycję, która powinna przypaść panu do gustu. Która uczyni z pana człowieka bogatego.

— Już jestem bogaty — odparł Bowles. — Nie potrzebuję pieniędzy.

— Nawet wolnych od opodatkowania?

— Żadne pieniądze nie są wolne od opodatkowania.

— Gotówka z mojej kieszeni będzie wolna, jeśli zechce pan ją wziąć.

Bowles przypatrywał się sceptycznie swojemu rozmówcy i jego brwi ściągnęły się lekko. Po chwili skinął głową, zachęcając partnera do kontynuowania.

— To nie wszystkie korzyści, jakie może pan wyciągnąć — oznajmił mężczyzna.

— A jakie jeszcze?

— Przywrócenie reputacji najwybitniejszego brytyjskiego archeologa.

— Mojej reputacji niczego nie brak — oświadczył Bowles głosem spokojniejszym, niż wynikałoby to z jego poglądu na tę sprawę.

— Słyszałem coś innego.

Bowles znowu zamilkł. Starał się za wszelką cenę zapanować nad uczuciem irytacji.

— Proszę mówić — odezwał się po chwili. — Jaką ma pan propozycję?

— Ujmując rzecz najkrócej, zadanie polega na doprowadzeniu do kompromitacji pańskiego kolegi, Adama Livingstone'a.

Bowles przyjął te słowa z większym zainteresowaniem, niż świadczyłoby o tym wyraz jego twarzy, ale oczy mu rozbłysły.

— Zdyskredytować?

— Wszelkimi sposobami. Środki i konkretne posunięcia to już pańska sprawa. Moi zleceniodawcy chcą, by jego nazwisko i wizerunek zostały raz na zawsze zbrukane. Jeśli chodzi o szczegóły, nie

są przesadnie drobiazgowi.

— Dlaczego akurat ja?

— Sedno sprawy w tym, że jako człowiek, który zna tę dziedzinę nauki i który ma w tym przypadku osobiste, jeśli można się tak wyrazić, motyw, z pewnością wykona pan to zadanie lepiej niż ktokolwiek inny. Wnieście pan także pewną dozę wiarygodności. Nie chodzi nam o jakieś pogłoski o życiu seksualnym albo przecieki, że dopuszcza się w swoich tekstach fałszerstw, ale o coś, co zniszczyłoby wiarygodność jego badań dotyczących arki.

Oczy potężnego archeologa jaśniały teraz światłem, którego nie można było nie zauważyć.

— Właśnie coś takiego podejrzewałem — oznajmił. — Że wszystko może być fałszerstwem.

— Zastanawialiśmy się, jakie jest pańskie podejście do tej kwestii. Moi mocodawcy są przekonani, że pan, i tylko pan, cieszy się zaufaniem, które pozwoli przedstawić tego rodzaju pogląd opinii publicznej. Chcemy także zaszkodzić wyprawie, na którą się w tej chwili udał.

— Ogród rajski! — powiedział Bowles. Pomrukiwał coś pod nosem, potrząsając głową. — Tego nie trzeba dyskredytować. To najbardziej absurdalny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

— Moi mocodawcy nie są o tym przekonani. Chcą, żeby dowiedział się pan wszystkiego o tej sprawie, zanim dojdzie do nieodwracalnych szkód.

— Mówię przecież, że wysiłki Livingstone'a są całkowicie jawne.

— Liczą się życzenia moich mocodawców. Musimy wiedzieć, dokąd się udał i czego szuka. Wiedzieć dokładnie. I dokąd zaprowadzą go te poszukiwania. Jeśli zaś coś znajdzie... cokolwiek... wiadomość o tym ma natychmiast dotrzeć do nas. Będzie mi pan o wszystkim donosił.

— Phi! Nie znajdzie niczego.

— Jak pan dobrze wie, liczy się nie tyle rzeczywistość, ile sposób jej widzenia. Chcemy wiedzieć, co Livingstone znalazł według swego mniemania. Nawet to może być dla nas użyteczne, jeśli tylko pomoże przekonać opinię publiczną, że ten człowiek jest religijnym szaleńcem.

— Niezbyt trudne zadanie — obruszył się Bowles.
— Chcemy unicestwić jego wpływy bez względu na to, co znajdzie i czy w ogóle coś znajdzie.
— Macie jakiś plan?
— Niech pan pojedzie za nim do Afryki i zorientuje się, czego ten człowiek szuka.

— A potem?
— Sami wiemy najlepiej, jak postużyć się tą informacją.
— Dla kogo mam pracować?
— No, no, panie Bowles! Proszę się tylko rozejrzeć — uśmiechnął się mężczyzna. — Jak pan myśli, czy spotkałbym się z panem w takim miejscu, gdyby moi mocodawcy chcieli wyjawić swoją tożsamość? Będziemy się z panem kontaktować.

Bowles skinął głową.

— A jeśli mi się uda? — spytał.
— Proszę podać cenę.
— Czyżby pańscy mocodawcy mieli własny bank? — uśmiechnął się krzywo Bowles.

— Moi mocodawcy mają wszystkie banki, panie Bowles — odparł znaczącym tonem mężczyzna. Wytrzymał badawcze spojrzenie archeologa.

Bowles pierwszy spuścił wzrok na blat stołu i zachichotał cicho, nie wiedząc, jak ma potraktować te słowa. Przez jego ciało przebiegł mimowolny dreszcz.

— Jak już powiedziałem — odezwał się po chwili, nie przestając nerwowo chichotać — nie o pieniądze chodzi mi przede wszystkim. Rozważę pańską ofertę. Proszę jednak nie myśleć, że można mnie kupić. Nie jestem zwierzyną łowną.

— Czeką pana wiele różnych nagród, panie Bowles. Być może zostanie pan nawet pewnego dnia członkiem parlamentu.

— Zakładam, że ci ludzie mają w ręku nie tylko banki, ale również rządy — spróbował zażartować Bowles.

Mężczyzna nie zaśmiał się jednak.

— Powiem tylko, jeśli pan pozwoli, że cokolwiek pragnę osiągnąć, potrafią dopiąć swego.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

PROSTO KU KRAWĘDZI

1.

Adam Livingstone zanurkował pod płachtę namiotu, ocierając jedną ręką pot z czoła i opędzając się od owadów drugą. Odetchnął głęboko.

Koszulę miał mokrą od potu. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się taki ospały. Jak to możliwe, żeby taki upał panował w samym środku zimy?

Z pewnością prędzej czy później zaaklimatyzuje się do tego skwaru i wilgotności powietrza. Od chwili dotarcia tutaj czuł się wyczerpany — z powodu temperatury albo po długim locie. Miał nadzieję, że teraz, kiedy obóz jest rozbity i wszyscy są gotowi do podjęcia pracy, szybko wróci do siebie.

Opadł na rozklekotane krzesło przy równie rozklekotanym stole, na którym leżała rozpostarta mapa wschodniej Afryki, i zaczął błędzić po niej wzrokiem.

Już sam widok mapy sprawił, że poczuł przyływ energii — jeśli nie w ciele, to przynajmniej w umyśle.

Oto mam przed sobą — rozmyślał — nie pierwszą lepszą mapę rejonu rowów tektonicznych w Afryce, ale być może kronikę początków człowieka. Prawie pięćdziesięciokilometrowej szerokości szrama przez tanzańską równinę Serengeti sto sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Jeziora Wiktorii, znana jako wąwóz Oldoway, od dawna daje najbogatsze znaleziska każdemu archeologowi, który szuka kopalnych szczątków człowieka.

Jego zespół szukał jednak czegoś innego. I nie znajdą tego w Oldway. Ale jest to idealna lokalizacja bazy, z której prowadzić będą poszukiwania. Poza tym taki wybór miejsca umożliwi trzymanie z daleka tych, którzy chcieliby dowiedzieć się, jaki jest cel ich wyprawy. Przylecieli cztery dni temu do Nairobi, gdzie wynajęli zarówno pojazdy, jak i niezbędny sprzęt dodatkowy. Przedwczoraj dotarli tutaj i przystąpili do rozbijania obozu bazowego. Za dwa, trzy dni w hotelu w Arusha, jakieś sto kilometrów stąd na wschód, znajdą się wysłane statkiem komputery i reszta wyposażenia. Zatrzymają tam pokój, który posłuży za drugą bazę operacji.



Usłyszał warkot nadjeżdżającego jeepa. Wstał, obrócił się, podniósł połę namiotu i wyrzwał na świat przytłoczony popołudniowym żarem. To Scott.

— W hotelu była wiadomość, że masz zadzwonić do McC-
ondy'ego — oznajmił Scott, wyskakując z samochodu i idąc w stronę
przyjaciela.

- Coś pilnego?
- Nie powiedzieli.
- Odłożę sprawę do jutra. Ciągle walczę o to, żeby ułożyć ja-
koś plan działania z doktorem Cissną z Kairu. Przy okazji zatelefo-
nuję do Rocky'ego.

Na myśl o Amerykance Adam się uśmiechnął. Zaczął już tęsknić za nowym przyjacielem.

— Masz książki? — spytał.

— Mam. Są w jeepie. Gdzie Jen?

— W swoim namiocie. Postanowiła uciąć sobie drzemkę. Ją też powalił ten upał.

— Co się z wami stało, z nią i tobą? — roześmiał się Scott.

— Sam chciałbym wiedzieć.

— Może to jakiś wirus.

— Nie, tylko ten upał. Poczekaj, pomogę ci — powiedział, kiedy Scott zaczął rozładowywać jeepa.

W pewnym momencie twarz Scotta przybrała dziwny wyraz.

— Co ci jest? — spytał Adam.

— Nic... To chyba po prostu Afryka. No wiesz, moje korzenie i tak dalej. Zawsze jestem zaskoczony tym, jak zupełnie inaczej się tu czuję.

— Jak?

— W Stanach i Anglii to, że pracujemy ramię w ramię, ja czarny i ty biały, dla większości ludzi nie ma najmniejszego znaczenia. A może ludzie reagują po prostu tak jak oczekujesz, bo przyzwyczająłeś się do tego przez całe życie. Myślę, że taką czy inną odmianę rasizmu spotyka się wszędzie, i wcale nie zawsze chodzi o kolor skóry.

— Oczywiście — powiedział Adam. — Wcale nie jestem pewien, czy w Anglii struktura klasowa nie jest źródłem większych uprzedzeń niż wasze problemy w stosunkach białych z czarnymi. Ale maskujemy to wyniosłymi brytyjskimi manierami i polityką kultury i wyrafinowania, nikt więc niczego nie widzi. Jesteśmy do obrzydliwości uprzejmi.

Scott roześmiał się.

— Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Angol może przyznać się do czegoś takiego! Masz jakieś uprzedzenia, Adam? — zapytał żartobliwym tonem.

— Przeciwno czarnym czy moim podwładnym?

— Przyznajesz więc, że są zwierzchnicy i podwładni, ludzie stojący niżej niż ty?

— Niczego nie przyznaję! — uśmiechnął się Adam. — Również tego, że są ludzie stojący wyżej — dodał i mrugnął do przyjaciela.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

— Ale mówiąc serio — ciągnął Adam — sądzę, że nikt z nas nie jest całkowicie wolny od uprzedzeń. Mam tylko nadzieję, że udało mi się rozprawić z większością moich. Zacząłeś jednak coś mówić...

— No tak... tutaj mam uczucie, że patrzą na mnie inaczej.

— Jak?

— Sam nie wiem, prawie jak na zdrajcę, bo pracuję dla ciebie.

— Naprawdę coś takiego wyczuwasz?

— To bardzo subtelne. Chyba trzeba być Afroamerykaninem, żeby to złapać. Zresztą nie wiem, może to tylko sprawa wyobraźni. Ale nic się na to nie poradzi, od czasu do czasu ktoś dziwnie spojrzy, w czyichś oczach pojawi się pytanie.

— Chyba za daleko idąca interpretacja.

— Pewnie masz rację. Ale zabawne... Przy całym tym podkreślaniu, że jest się Afrykaninem amerykańskim, przy całym tym mówieniu o korzeniach i tak dalej czuję się znacznie bardziej Amerykaninem niż właśnie Afrykaninem. Jestem tutaj jak ryba wyjęta z wody. O ile wiem, podobne uczucia mają czarni Afrykanie, kiedy przybywają do Stanów. Fakt, że ma się ten sam kolor skóry i że łączą nas przodkowie sprzed dwustu, trzystu czy czterystu lat, wcale nie jednoczy wszystkich czarnych. Podobnie jak biała skóra nie doprowadza do zlania się w jedno Niemców z Anglikami.

— Tak, chyba masz rację.

— Czarna skóra może mieć różne odcienie, podobnie jak biała. I bywało w dziejach, że z tego powodu dochodziło między nami do konfliktów. Przesady w obrębie jednej rasy są faktem takim samym, jak przesady międzyrasowe.

— A wspólne pochodzenie od Noego? To sięga wstecz parę ładnych generacji!

Przyjaciele roześmieli się.

— Chodziłeś już po wąwozie? — spytał Scott.

— Trochę. Pójdę tam jeszcze później.

Tego wieczoru, kiedy zmierzch ogarniał powoli Serengeti, Adam Livingstone poszedł sam obejrzyć wykopaliska, które tu prowadzono. Na dwudziestokilometrowym odcinku wąwozu znajdowała się ponad setka stanowisk archeologicznych. Odkrycia liczyły się w tysiącach. Było to wyjątkowe pęknięcie w ziemskiej skorupie, w żadnym innym miejscu nie można tak zajrzeć w przeszłość sprzed miliona czy dwóch milionów lat. Cały ten region pokrywały niegdyś lasy i sawanny. Ale dla Adama najbardziej intrygująca była historia wody. Znaleziono dowody na to, że w dawnych czasach rozciągało się tu słone jezioro, które w późniejszym okresie ustąpiło miejsca zagmatwanemu systemowi słodkowodnych strumieni i stawów.

A jeśli znaki geologiczne nie są świadectwem, że było tu słone jezioro — rozmyślał Adam — ale pozostałością po gigantycznej globalnej powodzi?

Mnóstwo tego rodzaju myśli przemykało mu przez głowę, kiedy szedł wąwozem. Od czasu do czasu trącał końcem kijka kamyczki pod nogami.

Na jego wargach pojawił się uśmiech.

A jeśli odkryje w ten sposób coś, co okaże się jeszcze jedną Lucy? Trzeba mieć oczy szeroko otwarte!

Jak nazwałby swoje wielkie odkrycie?... Candace?... Jennifer?... Juliet?

Candace nie czułaby się pewnie pochlebiona, gdyby użyto jej imienia do nazwania stosu starych kości — pomyślał Adam i znowu się uśmiechnął.

Nie szuka jednak kości jakiejś nowej Lucy.

Naprawdę chciałby odkryć fragment drewna, który opowiedziałby mu równie niewiarygodną historię jak Lucy. Jako pierwszy wkroczyłby na nieznaną tereny. Wszyscy szukają tu szczątków hominida. W tej chwili co najmniej tuzin stanowisk archeologicznych jest rozmieszczonych w głównym wąwozie Oldoway i jego odgałęzieniach, nie mówiąc o innych miejscach afrykańskiego Rowu.

O ile wie, nikt jednak nie szuka drugiej, tej botanicznej, strony, odwiecznego równania życia. Zastanawiał się nawet, czy ktokolwiek

przystanął na chwilę, żeby pomyśleć nad jego sensem.

Adam właściwie nie spodziewa się znaleźć cokolwiek w Oldoway. Zgodnie z przyjętym datowaniem w ciągu ostatnich pięćuset tysięcy lat w całej Afryce następowało przesunięcie klimatyczne prowadzące do pustosywnienia ogromnych obszarów. Nazywał to syndromem saharyjskim. Suche, skaliste podłoże pod jego stopami było potwierdzeniem tych zmian. W takim miejscu doskonale przechowują się szczątki kopalne, lecz trudno oczekiwać tutaj bujnej roślinności.

W tym miejscu nic nie znajdzie.

Po rozbiciu namiotu w Oldoway będzie jednak stopniowo zwiększał zasięg poszukiwań na zachód, w stronę Jeziora Wiktorii, i być może na zbocza wielkich gór afrykańskich, a potem także na zachód, ku leżącym w Zairze lasom deszczowym. Dzięki pomocy profesora Cissny będzie wiedział, jak zmieniać miejsce poszukiwań.

Kiedy Adam wrócił do obozu, nad granatowy horyzont wzniosł się już księżyc w pełni. Robił wrażenie większego i jaśniejszego niż gdzie indziej na ziemi. Afrykańska równina to miejsce naprawdę wyjątkowe — to ogrom i spokój, mimo dochodzących z daleka głosów zwierząt, to nieobecność ludzi i obfitość wszystkiego innego... I wszędzie to poczucie, że przybyło się do świata starego i pełnego tajemnic... do świata dzikości. A wszystko to ujawnia się z największą siłą po zachodzie słońca, kiedy nastaje królestwo nocy.

Scott i Jen siedzieli w świetle lampy przed namiotem. Jen trzymała w ręku książkę.

— Co czytasz? — spytał Adam.

— Jeden z psalmów. A dokładnie ósmy.

— Skąd taka lektura? Nie wiedziałem, że zgłębiasz czasem Biblię.

— To pewnie przez to.

Podąła Adamowi małą kartkę.

— Matka Erin wiedziała o naszych planach. Przysłała mi tę kartkę przed naszym wyjazdem.

„Wspaniałej wyprawy. Niech Bóg Wam błogosławi” — przeczytał Adam. Po drugiej stronie pod widokiem przedstawiającym

ogromne górskie jezioro i idącą jego brzegiem ludzką postać umieszczono wers z Pisma Świętego: „Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz... O Panie, nasz Panie, jak przedziwne Twe imię po wszystkim ziem!” (Ps 8. 5. 10)

— Pomyślałam, że warto przeczytać cały psalm — powiedziała Jen.

— Przeczytaj go na głos — poprosił Adam, rozkładając jeszcze jedno krzeselko i siadając obok Jen.

I Jen przeczytała cały psalm. Kiedy skończyła, nikt się nie odzywał. Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w pejzaż połyskujący w świetle ogromnego srebrnego księżyca i chłonęli wyciszoną dzikość afrykańskiej równiny, rozmyślając o znaczeniu hebrajskiego poematu, który przed chwilą usłyszeli.

Żadne słowa nie byłyby tu odpowiednie i żadne nie padło. Minęła godzina. W końcu wstała Jen, po chwili Scott, a na końcu Adam i wszyscy rozeszli się do swoich namiotów.

2.

Adam obudził się wcześniej. Z oddali dochodziło od czasu do czasu wycie hieny albo ryk słonia-samca. Usłyszał jeszcze odleglejsze wrzaski małp.

Obudziły go jednak ostatnie słowa, jakie usłyszał poprzedniego wieczoru. Przez całą noc spał jak zabity i teraz czuł, że całe zmęczenie gdzieś zniknęło. Wstał, ubrał się i wyszedł z namiotu.

W zamglonym świetle przed świtem zobaczył stado żyraf przesuwające się powoli przez równinę. Widać też było słonie i zebry. Nie ma drugiego takiego miejsca na ziemi — pomyślał. Przybył tutaj, żeby szukać początków. Czy ktoś mógłby zaprzeczyć temu, że obfitość form życia i te wszystkie świadectwa pradawnych dziejów człowieka, które rzucają się w oczy, w którąkolwiek stronę zwróci się wzrok, przypominają o wspaniałości dzieła stworzenia?

Adam oddalał się wolnym krokiem od namiotu, idąc przez nieru-
chome, nasyczone lekką mgiełką powietrze. „Jak się to wszystko
pojawiło? — rozmyślał. — Skąd się wzięło? Jak się zaczęło?”



Czy to możliwe, że znalazł się być może w obrębie pierwotnego
Edenu, odmienionego i nie do poznania po eonach zmian klimatycz-
nych? Potrafił w sposób przekonywający sformułować swoją teorię,
ale w tej chwili ta myśl wydawała mu się czymś niewiarygodnym i
kiedy szedł tak, mówiąc sobie: „Tutaj był Eden”, wcale nie był jej
pewny. Kto ma dość śmiałości, żeby wystąpić z takim twierdze-
niem?

Gdybyż dostał w ręce jakiś namacalny dowód!
Dzieło stworzenia!

Przystanął, przyklęknął i wziął w dłonie trochę skalistej, pylistej
ziemi spod swoich stóp. Patrzył na nieożywioną materię, na zwykły
pył.

Mnóstwo jego kolegów przyklękało tak jak on — tutaj, w Oldo-
way, i w innych tego rodzaju miejscach. Nie zajmowali się skałą, ale
zagłębiali w ziemię i wydobywali z niej jakąś kość albo fragment
czaszki — cząsteczkę szkieletu człowieka prehistorycznego.

Nie odrywał wzroku od pyłu, który nadal trzymał w złożonych
dłoniach.

Jaka różnica zachodzi między skałami, które widzi wszędzie do-
koła, pyłem w dłoniach i kopalnymi kośćmi rozszanymi tak obficie w
całym tym rejonie? Kości i wykopaliska są tak samo martwe jak te
skały.

Jaka jest więc różnica? Czy skała może stać się ciałem człowie-
ka? Co dzieli te dwie rzeczy? Nie może chodzić wyłącznie o skład
chemiczny.

I taka różnica jest... To życie.

W odległych czasach te kopalne szczątki kobiet i mężczyzn wypełniało życie. Skały zawsze były martwe — w odróżnieniu od istot, które przemierzały w dawnych czasach ten obszar.

W jaki sposób kości otrzymały dar życia? Co spowodowało, że żyły, oddychały, kochały, rozmnażały się, myślały, co zdecydowało, że powołane zostały do istnienia z tej nieożywionej materii zwanej pyłem ziemi?

Pojawienie się życia nie mogło być przypadkiem, ślepym trafem. Coś takiego jest po prostu niemożliwe.

Adam uśmiechnął się, bo przypomniały mu się słowa: „Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą”.

Nie wypuszczał z dłoni owego prochu ziemi. Podniósł rękę do twarzy i dmuchnął lekko. Mały obłoczek pyłu wzbił się w powietrze.

Przez chwilę przyglądał się mu. Zrobił coś najzwyczajniejszego w świecie, a przecież jakże tajemniczego. Ale jego tchnienie nie mogło dać życia.

Rozprostował palce, żeby resztką pyłu opadła z nich na ziemię.

Stał pogrążony w rozmyślaniach.

Człowiek nie ma mocy stwarzania życia z prochu ziemi. I z pewnością proch ziemi nie ma mocy stworzenia życia sam z siebie.

Życie jest jednak faktem. Skądś musiało przyjść. Jak mogło powstać, jeśli nie z ręki Stwórcy?

Człowiek jest zaś najwspanialszą z wszystkich istot stworzonych, potrafi myśleć i tęsknić, i kochać, i podejmować decyzje, a nawet — choć w ograniczonym zakresie

— tworzyć. Jaką cudowną władzę powierzono gatunkowi ludzkiemu, władzę wykraczającą znacznie poza tę, jaka dana jest żyrafie czy słoniowi.

Musi być jakaś przyczyna tej wyjątkowości. Ewolucja nie umie jej wytłumaczyć. I nie wytłumaczą jej wszystkie znaleziska w Oldoway, choćby prowadzono je tysiąc lat. Chodzi o coś wspanialszego... człowiek jest bowiem wspanialszy niż reszta tego, co zostało stworzone.

Jedynym wytłumaczeniem może być Eden... i to stwórcze tchnienie, które dobyło się z ust Wszechmocnego i wniknęło w człowieka, i jeszcze rozkaz powołujący do życia.

Adam szukał nie tylko miejsca, gdzie był początek człowieka, ale Źródła tego początku... Boskiej odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”

Powtarzał słowa przeczytanego wczoraj przez Jen psalmu, jakby formułował odpowiedź na pytanie, którego nie umiał nawet postawić. A słowa napływały z jakiejś najgłębszej otchłani jego duszy.

„Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz?... Uczyniłeś go niewiele mniejszym od istot niebieskich, chwałą i czcią go uwieńczyłeś. Obdarzyłeś go władzą nad dziełami rąk Twoich; złożyłeś wszystko pod jego stopy: owce i bydło wszelakie, a nadto i polne stada, ptactwo powietrzne oraz ryby morskie... O Panie, nasz Panie, jak przedziwne Twe imię na wszystkich ziemi!”

I to wszystko tak wyraźnie można zobaczyć... właśnie tutaj! Czy dlatego, że... że w tym miejscu się zaczęło?

Czym jest człowiek?...

Słowa Pisma przypomniały mu, co znaczy jego imię... Adam — człowiek.

Ustęp z psalmu pojawiał się raz po raz w jego głowie... Czym jest Adam?... I reszta zdania... Czym jest Adam, że o nim pamiętasz?

Boże — pomyślał, zwracając się bardziej do siebie, niż do Niego — czy naprawdę pamiętasz?... Pamiętasz o mnie?... Pamiętasz o Adamie Livingstone'ie?

Przypomniał sobie to, co powiedziała Juliet Halsay i co wówczas uderzyło go swoją niezwykłością: o Bogu, któremu zależy na niej. A teraz te słowa, które mówią to samo, ale w odniesieniu do całego rodzaju ludzkiego... A także, jeśli ma im zaufać, do niego, Adama Livingstone'a.

I nagle przyszło pytanie, które było modlitwą. Nie mógł temu zaprzeczyć. „O Panie, gdzie tego wszystkiego dokonałeś? Gdzie uczyniłeś człowieka władcą nad królestwem zwierząt? Gdzie jest ogród, po którym przechadzałeś się z Adamem?”

Ledwie uświadamiał sobie, co robi. Nigdy jeszcze nie modlił się na głos. Niespodziewanie słowa wydostały się z najgłębszych zakamarków jego jestestwa. Tym razem nie chodziło mu o czysto naukowe dociekanie. Adam Livingstone wyruszył w podróż, z której nie ma powrotu. Miał uczucie, że znalazł się nad jakąś ogromną rwącą rzeką. Stoi i patrzy na przepływającą wodę. Pojawił się impuls nakazujący rzucić się na środek rzeki i zawierzyć fali, choć nie mógł dostrzec, dokąd zanieśie go nurt.

Może Eden to miejsce na ziemi, którego człowiek ma nigdy nie odnaleźć. Może zniknął, by potomkowie pierwszego Adama odkryli Eden gdzie indziej... w swoich sercach.

No cóż — pomyślał Adam, otrząsając się z mistycznych rozważań — jeśli nawet nie było innych powodów, to ze względu na swoje imię postaram się znaleźć oba miejsca — ziemski ogród i ten w ludzkim sercu.

„Aczkolwiek nie mam w tej chwili pojęcia, gdzie znajduje się jeden i drugi” — dodał, zwracając się sam do siebie. I uśmiechnął się.

Oddalił się spory kawałek od namiotu. Horyzont był coraz jaśniejszy. Wkrótce słońce wystrzeli ponad jego wschodnią linię i wróci dzienny skwar.

Czas wracać.

3.

— Dobrze... w porządku, profesorze, czy ma pan sprzęt do przewiercania rdzeni?

— Przywiozę wszystko, co będzie nam potrzebne, panie Livingstone — zapewnił botanik. — Będziemy mieli najrozmaitsze rodzaje świdrów przyrostowych i ekstraktorów. Mam specjalny szwedzki świder o długości ponad metra. Skontaktowałem się ze specjalistami w sprawie tubek do przechowywania próbek, wolał pan bowiem, żeby były plastikowe, a nie zwykle używane metalowe. To dość niezwykle wymaganie. Zazwyczaj pierścienie liczy się na miejscu, ponieważ próbka rdzenia jest bardzo delikatna. Myślę jednak,

że uda się zdobyć takie tubki, jakich pan potrzebuje. Czy zajmie się pan sprawą pozwoleń?

— Załatwiłem już sprawę z władzami kenijskimi i tanzańskimi. Zaraz zadzwonię do Konga.

— A Uganda? Będziemy pracować na terenie wokół Wodospadów Murchisona.

— Mam dobre stosunki z wszystkimi. Z drugiej strony niepokoje, uchodźcy i walki mogą przysporzyć nam kłopotów w niektórych z tych krajów. Mam jednak nadzieję, że uda się nam ich uniknąć.

— Oczekuję, że praca będzie przyjemna — powiedział profesor.

— Musi pan jednak wiedzieć, że nie wszystko da się przewidzieć.

— Rozumiem. Będzie to miła odmiana od codziennej rutyny i nowe wyzwanie. Chcę jak najszybciej dowiedzieć się czegoś więcej o pańskiej pracy.

— Ile czasu nam to zajmie?

— Większość tego, czego pan szuka, pokażę panu w ciągu tygodnia. Więcej czasu nie wygospodaruję. Potem będzie pan mógł prowadzić dalsze prace na własną rękę.

— Oczekuję więc pana za parę dni, profesorze. Spotkamy się w hotelu w Arusha. Dziękuję.

Adam spojrział na zegarek. Chciał odbyć jeszcze jedną rozmowę. Miał nadzieję, że pora jest już odpowiednia. Poprosił telefonistkę hotelową o połączenie.

— Rocky?... Tu Adam.

— Cześć, Livingstone! Miło, że dzwoniisz.

— Też się cieszę. Chyba już nie spałeś?

— I tak miałem wstawać. Wszyscy się tu zgłaszacie. Domyślałem się, że dzwoniisz z Afryki.

— Tak. Nadal przyzwyczajamy się do tutejszych warunków. Jakie masz plany?

— Niezbyt jasne. Kiedy wróciłem, czekała mnie tu niespodzianka.

— Co za niespodzianka?

— Ktoś splądrował moje mieszkanie.

— O nie! Naprawdę?

- Owszem. I dostali dziennik pradziadka.
- Mówiłeś, zdaje się, że jest...
- Tak, tak, w bankowym sejfie. Nie pomogło. Użyli sfałszowanego pełnomocnictwa.
- Co zrobimy?
- Nie wiem, ale to rośnie jak śnieżna kula. Nie podoba mi się.
- Ani mnie. Nie chcę pomniejszać szkód, jakich ci narobiono, ani niebezpieczeństw, jakie ci grożą, ale z całego serca pragnąłem przeczytać ten dziennik.
- Okazuje się, że nie tylko ty.
- Co więc zamierzasz? Strata dziennika wszystko zmienia. Przyjedziesz tutaj?
- Podstawą naszych planów był dziennik. Chyba nie będzie zbyt dużego pożytku z tego, że zacznę się włóczyć po lasach... oczywiście, jeśli nikt nie depcze ci po piętach.
- Nie zauważyłem żadnych zagrożeń — roześmiał się Adam.
- Bez dziennika nic tam po mnie. Odsapnę dzień, dwa, postaram jakoś przetrwać całą historię i doprowadzę do porządku dom. Może uda mi się trafić na ślad tych, którzy się do mnie włamali. Jeśli tylko ślad jest wystarczająco świeży, jest szansa, że go wywęszę.
- Chcę cię o coś poprosić. Mam nadal nadzieję, że się tu wybierzesz, a jeśli tak, wpadnij na kilka dni do mnie i sprawdź, czy wszystko tam w porządku.
- O co chodzi?
- Sam nie wiem. Skoro mają cię na oku, z pewnością to jeszcze nie koniec. Powiedzmy po prostu, że się niepokoję.
- W porządku. Najpierw powęszę tutaj. Muszę odkryć, kto zwędził dziennik. To priorytet. Ale pomyślę też o przyjeździe. W razie czego, z pewnością wdepnę do Londynu.
- Wiadomości zostawiaj tutaj, w hotelu.
- Będziemy w kontakcie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

OBCY W PETERBOROUGH

1.

Rocky był prawie pewien, że to ten sam facet co w samolocie. Całkowitej pewności jednak nie miał, choć trudno byłoby pomylić niepozorną postać, szczególny sposób chodzenia. Poza tym zdawało mu się, że poznał dziwaczne nakrycie głowy.

Opuścił na chwilę lornetkę i pogrążył się w myślach.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że Europejczyk — oczywiście Rocky tego nie wiedział, nie słyszał jego głosu, ale ten człowiek wyglądał na cudzoziemca — po przylocie z Londynu trafi prosto do Peterborough? I zacznie krążyć w pobliżu, najwyraźniej obserwując jego dom — jak przedtem, w samolocie, obserwował samego Rocky'ego?

Zero do stu — powiedział sam do siebie Rocky.

Facet go śledzi, to jasne jak słońce!

Trzeba po prostu odwrócić sytuację. Nie ma zresztą wyjścia, to jedyny trop.

Rocky chwilę jeszcze szukał innych możliwości, a potem zerwał się na równe nogi i wyszedł z domu. Właściwie nie miał żadnego planu, ale nie brakowało mu doświadczenia i miał oczy z tyłu głowy. Raz dwa dowie się, o co tamtemu chodzi.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w stronę baru. Peterborough to małe spokojne miasto w New Hampshire zamieszkałe przez

niecałe trzy tysiące mieszkańców. Z progu swojego domu ogarniał wzrokiem praktycznie wszystkie pomalowane na biało domy, białe płotki od ulicy i tak samo biały śnieg na ziemi — chociaż oczywiście nie mógł widzieć domów rozsianych wzdłuż dwóch autostrad, które krzyżowały się w samym środku miasteczka. Wszedł do baru i zamykając za sobą drzwi zerknął jakby przypadkiem za siebie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: spojrzenie faceta pomknęło za nim. Tajemniczy nieznajomy poszedł w stronę budki telefonicznej między stacją benzynową a sklepem spożywczym.

— Cześć, Darci! — powiedział Rocky, zwracając się do wyperfumowanej i pociągająco pulchnej rudowłosej dziewczyny za ladą.

Usiadł przy oknie i zakrył twarz menu, ani na chwilę nie spuszczać tamtego z oczu. Minutę później facet opuścił budkę telefoniczną, zerknął w stronę Rocky'ego, jakby chciał się upewnić, że ten, którego śledzi, nigdzie się jakiś czas nie ruszy. Potem obrócił się na pięcie i pomaszerował do jedynej w mieście hotelu.

Rocky poczekał, aż tamten wejdzie do środka, i wstał.

— Usmaż mi parę jajek, Darci — poprosił kelnerkę. — I proszę o dwie angielskie słodkie bułeczki. Wrócę za jakiś kwadrans.

— Wszystko przygotuję, Rocky — zapewniła swojego ulubionego klienta Darci. — Miło, że wróciłeś.

Odruchowo odgarnęła rude loki za uszy.

Rocky odwzajemnił jej uśmiech. Ruszył w stronę toalet, ale minął je i wyszedł tylnymi drzwiami. Okrążył ostrożnie budynek, a potem, po chwili wahania, pokonał otwartą przestrzeń i zagłębił się w alejkę biegnącą na tyłach domów wznoszących się przy głównej ulicy. Niska drewniana furtka przy trzecim domu nie była zaryglowana, wszedł więc na podwórko. Natychmiast rozległo się piskliwe ujadanie teriera. Sprawca jazgotu bez wahania rzucił się do jego łydki.

— Cicho, Bugsy! Nie musisz rozgłaszać wszystkim, że tu jestem! Dzień dobry, pani Hanks — dodał z uśmiechem i skinął głową w stronę kobiety, która otworzyła właśnie tylne drzwi swojego domu

i patrzyła na niego pytającym wzrokiem. — Mam nadzieję, że pozwoli mi pani przejść przez swoje podwórko.

— Ależ proszę, panie McCondy. Nie wiedziałam, że pan już wrócił. Co pan tu robi?

— Po prostu chcę dotrzeć do hotelu tak, żeby nikt mnie nie zobaczył, pani Hanks. Czy mogłaby pani zabrać Bugsy'ego?

— Bugsy!... Bugsy! Chodź tu! — krzyknęła pani Hanks. — Oświadczam, panie McCondy — ciągnęła, zwracając się znowu do Rocky'ego — że nie wiem już, co robić z panem i pańskimi wybrykami. Ma pan szczęście, bo nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy.

Rocky roześmiał się.

— To szczerza prawda, pani Hanks. Lepiej, żeby pani o niczym nie wiedziała.

— Nie powiem, żeby mnie pan uspokoił, panie McCondy.

— Pan Bóg każe ludziom robić dziwne rzeczy, żeby mieli co do ust włożyć. Kiedy tylko przyjdzie wiosna, skoszę pani trawnik.

Rocky przeszedł kilka kroków i przystanął.

Z tego miejsca widział tylko ścianę hotelu. Ani jedno okno pierwszego i drugiego piętra nie wychodziło na tę stronę. Przebiegł przez ulicę i znalazł się pod budynkiem. Ostrożnie przesunął się wzdłuż werandy od frontu.

Zastanawiał się, co dalej, kiedy usłyszał, że otwierają się główne drzwi hotelu i ktoś idzie po deskach werandy. Zrobił krok do tyłu i skulił się.

— ... Posiedzi tam chwilę. Chodźmy coś zjeść... W tej norze czuję się jak w celi.

Ktoś odpowiedział niewyraźnie prawie kobiecym głosem z cudzoziemskim akcentem.

Dwie postacie zeszły po schodkach i zaczęły iść w stronę małego parkingu hotelowego, oddalając się od detektywa. Rocky wysunął nieco głowę i spojrział poprzez barierkę werandy. Zielony Beret szedł do samochodu z kimś, kogo nie rozpoznał. Nie potrafili też połączyć głosu, który słyszał, z osobą.

Schylił się znowu i czekał.

2.

Chwilę później samochód odjechał. Rocky wyprostował się i wszedł drzwiami frontowymi do hotelu.

— Dzień dobry, panie Weiderman — pozdrowił recepcjonistę.
— Jak interesy?

— Nie tak jak we wrześniu, to pewne, Rock. W zimie nie ma tu co robić... Chyba że ktoś jest wielbicielem śniegu. Przy takiej pogodzie nikomu nie chce wspinać się na Monadnock.

— A ci turyści, którzy właśnie wyszli? — powiedział Rocky, wskazując głową drzwi. — W których pokojach mieszkają?

— Daj spokój, Rock, wiesz dobrze, że nie mogę...

— I to mówi człowiek, któremu tak pomogłem w interesach!

— To prawda...

— I któremu uratowałem skórę, kiedy pojawił się tamten facet i chciał zapłacić ci milion dolarów za hotel, ale chodziło mu tylko o to, żeby nabić cię w butelkę. Sporo mi zawdzięczasz, Weed.

— To prawda, ale...

— Chodzi mi tylko o numer pokoju. Nikt się nie dowie, a już na pewno nie twoi goście. Nie przyjechali tutaj dokonać dobrych uczynków. A ja staram się po prostu zapobiec przestępstwu.

— Jakiemu przestępstwu?

— Być może chodzi o morderstwo, Weed.

— Morderstwo?!

— Tak, tak... I to ja mogę być ofiarą, jeśli nie wykryję, co oni knują.

— No dobrze, wygrałeś — powiedział zrezygnowanym głosem Weiderman. — Dwadzieścia trzy i cztery.

— Dzięki, Weed.

Rocky odwrócił się.

— Hej, Rock... chcesz klucze?

— Chyba nie będą mi potrzebne. A zresztą — dodał o mrugnął porozumiewawczo — nie chcę, żebyś miał przykrości.

- Niby od kogo?
- Od szefa.
- Przecież ja jestem szefem!
- No tak... masz rację — powiedział Rocky i znowu mrugnął.
- Piękne dziękuję, Rock.

3.

Rocky rozejrzał się po korytarzu bardziej z przyzwyczajenia niż zdenerwowania, a potem wsunął mały wytrych, jedno z narzędzi swojej profesji, do zamka pokoju numer dwadzieścia trzy.

Ten aspekt swojej pracy coraz trudniej przychodziło mu godzić z postawą chrześcijanina. Prędzej czy później będzie musiał właśnie z tego powodu rzucić to zajęcie. Póki był gliną, nigdy nie zawracał sobie takimi sprawami głowy. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Czuł się coraz gorzej za każdym razem, kiedy musiał zrobić coś, czego robić nie powinien — nawet jeśli w grę wchodziło czyjeś życie. Zawsze miał na podorędziu całą litanię argumentów: postępuje przecież dobrze, ratuje życie, krzyżuje plany przestępcom... Ale nie mógł nimi stłumić wyrzutów sumienia.

W tej chwili jednak zaczęło się robić gorąco. Nie zamierzał prowadzić wewnętrznej debaty na temat celów uświęcających środki. Nawet nie spróbuje. Sytuacja jest tego rodzaju, że dyskusję o moralności trzeba odłożyć na później.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. W powietrzu unosiło się tu coś niesamowitego.

Nie umiałby wyrazić tego słowami. Od razu wiedział, że dzieje się coś na zupełnie innym poziomie, niż wszystko, z czym miał do czynienia dotychczas. Nie umiałby tego wytłumaczyć. Czuł to... i zjeżyły mu się włoski na przedramieniu.

Podszedł do biurka. Wyciągnął jedną, drugą szufladę. Nic.

Rozejrzał się. W garderobie stała zamknięta walizka. Wyciągnął ją, położył na podłodze i podniósł wieko.

Bingo! Na pierwszy rzut oka były tu dokumenty tożsamości... ale nie tylko!

Szybko przerzucił papiery: skórzana saszetka na paszport, fotografie, mapy i koperta z rozmaitościami. W pierwszej chwili chciał wszystko zabrać, ale rychło się rozmyślił. Tylko dwie rzeczy musi odzyskać... i do obu ma prawo, bo zostały skradzione z jego strychu.

Sprawa była bardziej nagląca niż myślał. I właśnie tak Ważna, jak powiedział Adamowi.

Zerwał się i pospiesznie zaczął rozglądać po pokoju. Po chwili przeniósł się do sąsiedniego pokoju. I znalazł tam prawie takie same skarby.

Wszystko zajęło mu nie więcej niż pięć minut. Mimo to był spocyny jak mysz — chociaż na zewnątrz panował chłód. Niewiele przeżył sytuacji, w których się bał, tym razem jednak chodziło o przeciwnika, z jakim nigdy jeszcze nie miał do czynienia.

W ostatniej chwili przypomniał sobie, że trzeba z powrotem zaryglować drzwi. No cóż, nie wyjawiał właścicielowi hotelu całej prawdy. Ci ludzie dowiedzą się, że złożył im wizytę.

Nie było na to rady. W tym momencie nie może pozwolić sobie na obciążanie sumienia kłamstwem.

Zbiegł po schodach, przeskakując stopnie, i pomknął jak wicher przez hol.

— Dziękuję, Weed! — rzucił, przebiegając koło recepcji. — Spłaciłeś swój dług. Teraz ja jestem twoim dłużnikiem!

4.

Minutę później wpadł do baru.

— Przepraszam, Darci, ale jajecznicza musi poczekać!

— Ale, Rocky, już się...

— Coś mi przyszło do głowy, moja droga... Poślij jajecznicę

Weidemanowi do hotelu. I dołóż kawał soczystego steku z kością!

— Chyba nie mówisz poważnie!

— Być może ocalił mi życie. Niech zje sobie najlepsze w życiu śniadanie. Już ty będziesz wiedziała, jak je przygotować. Ode mnie masz dwadzieścia dolarów napiwku... Aha, zapisz wszystko na mój rachunek.

— Dziękuję, Rocky!

Detektyw był już jedną nogą na ulicy.

— Rock — zawołała kelnerka. — Kiedy zobaczę cię znowu?...

— Nie wiem, Darcie. Skontaktuję się. A jeśli zapyta o mnie ktoś obcy, powiedz, że nie widziałaś mnie dzisiaj!

Patrzyła, jak się oddala. Po chwili przez jej twarz przemknął leciutki smutny uśmiech. Nieświadomie zakręcała na palcu niesforny rudy kosmyk, który znowu osunął się na jej policzek.

Biegąc co sił w nogach na drugą stronę ulicy i do swojego domu, Rocky uświadomił sobie, że zostało mu zaledwie trzydzieści, może czterdzieści minut. Potem nie wiadomo, co zrobią. Druga osoba to najwyraźniej ktoś, kto splądrował jego dom. Po tym wszystkim, co zdarzyło się w Anglii, po śmierci laborantki Livingstone'a nie można mieć złudzeń: ci ludzie nie mają żadnych skrupułów.

Wbiegł prosto na strych. Pięć minut później taszczył wielki kufer w stronę tylnych drzwi domu. Wrzucił do niego nieliczne wartościowe przedmioty, jakie posiadał, tyle dokumentów ze swojego archiwum, ile zdążył, a także kilka osobistych przedmiotów, które chciał zabezpieczyć. Musi znaleźć jakieś miejsce, którego nigdy nie wykryją.

Dwadzieścia osiem minut później zamknął na klucz ostatnie drzwi. Kufer był już w samochodzie.

Pakując rzeczy postanowił, jakie będzie jego następne posunięcie. Odwiedzi pastora Marka. Tkwi w tym wszystkim po czubek głowy i na gwałt potrzebuje duchowej pomocy, zanim przystąpi do dalszych działań. Im bardziej zda sobie sprawę, czego Bóg od niego oczekuje, tym lepiej.

Tęsknił za żoną, ale jednocześnie był zadowolony, że nie musi stawiać czoła niebezpieczeństwom razem z nim. W sprawach ducha miała jakiś szósty zmysł. Bóg ją zabrał, dając w zamian Marka i Laurene. W sytuacji takiej jak ta był Mu szczególnie za nich wdzięczny.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

POCZĄTKI I ERY

1.

Adam Livingstone i człowiek, który poszerzy — taką miał nadzieję Adam — jego wiedzę o afrykańskiej florze, wystartowali w małym wynajętym samolocie z lotniska w Arusha. Za sterami usiadł archeolog, pilot wszechstronnie uzdolniony i doświadczony.

Będzie to dobra sposobność, żeby ocenić sytuację i obejrzeć z lotu ptaka cały region, nim za dwie albo trzy godziny wylądują na ziemnym pasie startowym koło Oldoway. Adam wynajął samolot na tydzień.

— Cieszę się, że znalazł pan trochę czasu dla mnie, profesorze — odezwał się Adam, kiedy wzbijali się coraz wyżej w powietrze.

— Niewiele powiedział pan przez telefon, ale zabrzmiało to tak intrygująco — odparł głosem pełnym entuzjazmu botanik — że nie mogłem przepuścić okazji. Co właściwie spodziewa się pan znaleźć?

— Mówiąc krótko, żywe organizmy z dawnych czasów. Z bardzo dawnych czasów. Nie kopaliny. Żywe okazy.

— Podczas naszej poprzedniej rozmowy wyczułem u pana pewną powściągliwość, jeśli chodzi o szczegóły.

— Przykro mi, ale dostałem nauczkę i wiem, że muszę mieć się na baczności. Mieliśmy ostatnio spore kłopoty. Przestałem ufać telefonom. Uznałem, że ze szczegółami należy poczekać do rozmowy w cztery oczy.

— Ale w tej chwili, panie Livingstone, jesteśmy tak sami, jak tylko można sobie wyobrazić — roześmiał się profesor wskazując na okno cessny 150. — Bardzo chciałbym usłyszeć, co ma mi pan do powiedzenia i co zechce, oczywiście, wyjawić. Jaki jest cel pańskiej ekspedycji? Trudno uznać ją za zwyczajną wyprawę archeologiczną... Szukanie żywych organizmów!...

— Moja ekspedycja, jak pan to ujął, ma tylko jeden cel. Jest nim Eden.

Botanik obrócił ku Adamowi twarz, na której malowało się niedowierzanie. Przez chwilę przyglądał się mu, jakby chciał sprawdzić, czy Livingstone nie kpi sobie z niego. Ale w oczach swojego rozmówcy zobaczył tylko całkowitą szczerłość.

— Biblijny raj? — spytał ze zdumieniem. — Ogród Eden?

Adam skinął głową.

— Chcę znaleźć najstarsze gatunki roślinne na naszym globie. Jeśli moja teoria jest poprawna, rosną gdzieś tutaj, w regionie Wielkiego Rowu, być może gdzieś na północny wschód, w kierunku Morza Czerwonego.

— Pańska teoria... Co ona właściwie mówi?

— Nazywam to teorią wielkiego owalu Edenu — odparł Adam i przystąpił to wykładania podstaw swojej hipotezy.

Botanik słuchał jak człowiek, który trafił niespodziewanie do świata niewiarygodnych możliwości i przygód. Z trudem hamował entuzjazm, podziwiając prostotę i logikę dedukcji Adama.

— Być może coś w tym jest, panie Livingstone! — wykrzyknął podekscytowanym głosem. — Ma pan całkowicie rację, mówiąc, że potencjalnie ogromny świat pozostaje ukryty w wielkich dżunglach i lasach deszczowych: nieodkryte formy życia roślinnego, rozległe systemy korzeni, winorośle i grzyby zdolne do rozrastania się całymi kilometrami pod ziemią i nad ziemią. Nieograniczone możliwości. Mimo wszystkich badań i poszukiwań niewiele wiemy o ziemi, na której mieszkamy. To prawda, czemu miałyby nie przetrwać jakies świadectwa istnienia Edenu?... Gdybyśmy tylko zdołali zlokalizować ogród!... Tak naprawdę...

Obrócił się w stronę Adama.

— Jakże ma pan plany na dzisiaj?

— Nic konkretnego. Chciałbym tylko rzucić okiem na cały region i omówić czekające nas zadania.

— Proszę więc skrócić na południe — powiedział profesor Cissna, wskazując ręką w lewo.

Adam natychmiast pochylił samolot w ostrym skrócie i poleciał prosto na południe.

— Zaczniemy niedaleko stąd, od jeziora Maniara. Udamy się tam jutro. Za jakieś dziesięć minut zobaczymy to miejsce. Jest tam więcej słońca niż drzew. Z góry z łatwością wypatrzymy stada.

— A co z roślinnością?

— W pobliżu nie ma prawie niczego poza akacją. Ale jednocześnie na zachodnim brzegu, koło wulkanicznych skał krateru Oldoway, występuje typowa dla miejsc o wysokim poziomie wód gruntowych roślinność leśna, w tym okazy *adansonia digitata*, od których powinniśmy zacząć badania. Chciałbym, żebyśmy tam polecieeli i spojrzeli na teren z góry. Maniara to doskonale miejsce na początek prac. Potem możemy polecieć nad Mount Kenya. Świat roślinny jest tam bardziej urozmaicony.

— Zdaje się, że podchodzi pan z wielkim entuzjazmem do swojej pracy, profesorze.

— Mojej i pańskiej. Zaintrygowała mnie pana teoria. Jakże są jednak możliwości tego samolotu? Czy będziemy mogli latać swobodnie tam i z powrotem? Myślałem, że weźmie pan pipera.

— Uznałem, że cessna będzie wygodniejsza. Jeśli jednak będziemy mieli kłopoty, poszukam supercuba. To najlepsza maszyna w tej kategorii. Można ją wylądować praktycznie wszędzie.

— Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości, że wybrał pan najlepsze miejsce do swoich badań. Flora Afryki Wschodniej jest naprawdę fascynująca.

— Jest więc pan optymistą?

— Może się zdarzyć, że drzewo znane jako baobab jest kluczem do tego, czego pan szuka. Te, które zbadano, liczą sobie do dwóch i pół tysiąca lat, jeśli jednak dopisze nam szczęście, pobijemy ten rekord. Niektórzy mówią, że to najstarsze okazy życia. Trudno

jednak dokonać dokładnego odczytu, bo drewno bywa często gąbczaste.

— Dlaczego?

— Baobaby mają tendencję do wytwarzania wewnątrz pnia pustki, w której gromadzą się znaczne zapasy wody. Słonie atakują i niszczą stare okazy, żeby się do niej dostać.

— Widzę, że może to nam utrudnić pracę.

— Te drzewa są jednak ogromne i stare. W pustych pniach mieszkali często ludzie. Istnieje słynna opowieść o baobabie wykorzystywanym jako przystanek autobusowy. Wewnątrz pnia mogło się zmieścić nawet trzydzieści osób.

— Imponujące — roześmiał się Adam. — Czy można porównać ich wiek z sosną szpiciniastoszyszkową?

— Toczą się zażarte dyskusje. Liczenie pierścieni to wcale nie taka dokładna metoda, jak się powszechnie sądzi. Może się zdarzyć, że jedna część drzewa obumiera, inna zaś żyje nadal. Z jednej strony pień mógł być porażony piorunem albo uszkodzony w inny sposób, a to wpływa na liczbę pierścieni.



Często trzeba pobierać próbki pod różnymi kątami i dopasowywać je, nakładając jedno na drugie. Jestem zresztą pewny, że zna pan inne sposoby określania wieku.

— To skomplikowana nauka.

— Ma pan racje. Chciałbym też, żeby zobaczył pan parę drzew ciernistych i olbrzymi wilczomlec w Queen Elizabeth Park. To właściwie odmiana kaktusa, ale może być starszy niż potrafimy stwierdzić, więc niewątpliwie pana zacieka. Afryka, panie Livingstone, jest tajemnicza i stara, gdziekolwiek zwróci się wzrok. Chodzi nie tylko o ludzkie szczątki kopalne, ale także o florę i faunę, i geologię, jednym słowem o prawie wszystkie dyscypliny. I mówię to nie dlatego, że jestem Egipcjaninem i Afryka to moja ojczyzna. Afryka

to naprawdę kontynent, gdzie wszystko się zaczęło.

— Im dłużej w tym tkwię, profesorze, tym bardziej przekonuję się, że ma pan rację.

— Oczywiście musi pan zobaczyć też olbrzymie wrzośce na Mount Kenya i nie ustępujące im okazy starca. Zna pan starca?

— Słyszałem.

— Niezwykła budowa kory. Ani starzec, ani wrzośec nie dorównują wiekiem baobabowi. Powinny jednak pana zainteresować. W Afryce wszystko jest interesujące, a przy tym, jeśli umie pan wytropić początki, zauważy, że większość gatunków jest również bardzo stara.

Zanim znaleźli się nad wąwozem, zaczęli z zapałem omawiać plany na następny tydzień.

Kiedy Adam i profesor Cissna nadjechali jeepem, Jen wybiegła z namiotu w sandałach i szortach koloru khaki. Jej jasne warkocze aż fruwały w powietrzu. Z wyrazu jej twarzy Adam domyślił się, że są jakieś nowiny, chociaż nie wiedział, czy dobre, czy złe.

— Mów — powiedział. — Widzę, że już nie możesz wytrzymać, tak ci spieszo podzielić się z nami wieściami.

— Nigdy nie zgadniesz, kto otworzył sklepik niecałe trzy kilometry stąd!

— Masz rację, nie zgadnę — roześmiał się Adam.

— Gilbert Bowles.

— Sir Gilbert! — wykrzyknął Adam. — Co on tu robi? I to tuż obok nas?

— Wiem tyle co ty. Dowiedzieliśmy się tego od kogoś z tamtego obozu. Scott poszedł, żeby się czegoś dowiedzieć. No wiesz... koleżeńska pogawędka.

— Bowles nie da się na to złapać. Będzie bardziej podejrzliwy w stosunku do Scotta, niż my w stosunku do niego. Ale poznaj, Jen, profesora Petri Cissnę z kairskiego uniwersytetu. Poprowadzi nas na spotkanie z najstarszymi okazami życia na ziemi.

Tryskająca energią młoda Szwedka uściśnęła dłoń łatwo nawiązującego kontakt z ludźmi, niewiele od siebie wyższego mężczyzny. Profesor miał śniadą cerę, gęste czarne wąsy i wydawało się, że w jego żyłastym ciele krąży taki entuzjazm, którego nic nie może stłumić. Mówił prawie bezbłędnie po angielsku, chociaż z wyraźnym śródziemnomorskim akcentem, uwydatnionym dodatkowo figlarnym uśmiechem, który stale błąkał się mu na ustach, i iskierkami bezustannie zapalającymi się w oczach.

— Niczego takiego nie obiecałem, panie Livingstone — roześmiał się Egipcjanin.

— Wierzę w pana, profesorze — odparł Adam. — Zanim pana zatrudniłem, zbadałem starannie pana osiągnięcia. Wiem, jaką sławą się pan cieszy i jakie są pańskie talenty.

2.

Następnego ranka przebiegające w leniwej atmosferze śniadanie przerwał warkot kolumny jeepów i land roverów jadących w stronę obozu.

— Co to za zamieszanie? — spytał Scott, wstając i patrząc w stronę, skąd dobiegał hałas.

— Od strony obozu Bowlesa — powiedziała Jen.

— Co tu robi nasz szanowny kolega? — roześmiał się Adam.

Wstał i spojrział tam gdzie pozostali. Scott wziął już lornetkę i poszedł w stronę niewielkiej wyniosłości, z której miał lepszą widoczność.

— Nic nie widać — oznajmił po powrocie.

— Pański przyjaciel? — spytał profesor Cissna.

— Może Adama, bo z pewnością nie mój — wtrąciła się Jen.

— Sir Gilbert jest raczej nieszkodliwy — zauważył Adam.

— Nie znam go. Rozmowa z tym człowiekiem musi być nie lada przeżyciem! — wykrzyknął profesor Cissna.

— Nie pozna go pan także tym razem. Chodźmy, profesorze, podejźmy trochę bliżej. Po drodze wszystko panu wytłumaczę.

Poszli wężozem w stronę rozbitego jakieś tysięcy metrów od nich obozu Bowlesa. Oddzielał ich skalisty teren porośnięty marnymi krzewinkami i rozsianymi z rzadka drzewkami. Kiedy podjechali na sto metrów, Adam zatrzymał się za niewielką porośniętą krzakami stertą głazów, żeby zobaczyć, co się właściwie dzieje.

— Podaj mi lornetkę, Scott.

Adam patrzył przez lornetkę, coraz głośniejsze chichocząc.

— Nie uwierzycie — powiedział. — Wygląda na to, że dziennikarze dotarli za nim aż tutaj... albo sam sir Gilbert zwołał konferencję prasową. Właśnie zajechały trzy samochody załadowane po brzegi reporterami.

— Co za reklamiarz! — wykrzyknęła Jen.

— Wszelkie wątpliwości winniśmy tłumaczyć na jego korzyść — roześmiał się Adam. — Może nie ma z tym nic wspólnego? Może go tropili?

— Założę się, że wszystko sobie zaplanował.

— W każdym razie lepiej się nie pokazujmy. Prasa nie dotarła tu za nami, i uważam, że tak powinno zostać. Gilbert Bowles jest szanowanym archeologiem i może postępować, jak mu się podoba. Nie ma powodu, żeby prasa nie interesowała się jego nowym przedsięwzięciem.

— Które może nie mieć nic wspólnego z wykopaliskami — powiedziała Jen. — Nie ufam mu. Adam, on jest tutaj, żeby cię szpiegować.

Adam znowu się roześmiał.

— Nie wiem jak wy, ale ja chcę spojrzeć na to z bliska — oznajmił Scott. — Dzięki kolorowi skóry nie będę się odróżniał od miejscowych reporterów.

— Oszalałeś! — zakrzyknął Adam. — Nie zgadzam się...

— Będę ostrożny. Muszę dowiedzieć się, po co Bowles tu przyjechał. Nie jestem wcale pewny, czy Jen tak bardzo się myli.

— Rozpoznają cię!

— Skąd! — odparł Scott, oddalając się od nich.

— Profesor Cissna i ja wracamy do obozu — powiedział Adam, uśmiechając się z przymusem. — Nikt nie powinien mnie tu widzieć. Nie chcę żadnych pytań dotyczących obecności w naszym

obozie profesora Cissny. Nie możemy dopuścić do tego, żeby reporterzy domyślili się, co się święci. Chodźmy, profesorze. Wracajmy.

— Jen, nie pójdziesz ze mną? — spytał Scott, kiedy Adam i jego gość zawrócili w stronę obozu.

— Idę, jasne.

Z minami uczniów szykujących jakiś psi figiel, wyszli spoza głązów i ruszyli nierównym terenem w stronę obozu sir Gilberta.

Kilka minut później zbliżyli się do polanki, na której rozbito obóz, i zakradli się przez nikogo nie zauważeni na tyły grupki dziennikarzy tłoczących się wokół sir Gliberta Bowlesa. Zwalista postać archeologa znajdowała się jakieś piętnaście metrów od nich, tak że widzieli dokładnie jego sławny kapelusz, ubranie koloru khaki, kucyk na tyle głowy i rozkołysany kolczyk w kształcie węża — strój, którym wyróżniał się wszędzie, gdzie się znalazł. Był wyraźnie zadowolony z siebie i odpowiadał już na pytania padające z grupy.

— ... jak wiecie, szczątki, które znalazłem kilka lat temu w dolinie dowodzą niezbicie, że człowiek dzisiejszy jest owocem trwającej miliony lat ewolucji.

— Rzeczywiście nic nowego! — wykrzyknęła Kaci Lyle, redaktor działu naukowego w tygodniku „World”. — Zwołał pan tę konferencję prasową i przyciągnął nas tutaj, żeby powiedzieć, że nie ma pan nic do powiedzenia. Prosimy o jakiś materiał!

Poparło ją kilka głosów. To prawda, wyprawili się kawał drogi i niejeden będzie musiał stawić czoło rozwścieczonemu redaktorowi naczelnemu, jeśli ten piknik zakończy się niczym.

— Chcę po prostu przeprowadzić pewne prace w terenie — zapewnił Bowles. — No dobrze, co powiecie na konkret? Zamierzam udowodnić, że hominidy i późniejsze gatunki *homo* zamieszkiwały ten teren bez przerwy, i to od czasów dawniejszych, niż sądzono dotychczas, to jest dłużej niż od ponad 1,2 do 1,9 miliona lat.

— Od dużo dawniejszych? — padło pytanie.

— Może nawet od 5 albo 6 milionów lat — odparł Bowles — czyli zanim jeszcze słone jezioro pokryło znaczną część obszaru.

— Jak weźmie się pan do potwierdzania tej hipotezy? — spytała redaktorka z „World”.

— Wkrótce dotrze tu mój zespół ekspertów, panno Lyle. Zajmiemy się na miejscu katalogowaniem i datowaniem wszystkich, także najdrobniejszych, znalezisk z Oldoway, i to z okresu ostatnich czterdziestu lat, od czasów Leaeay'ów. Jednocześnie w Londynie trwają już od jakiegoś czasu prace komputerowe. Szczątki znalezione tu, w Oldoway, w 1959 roku datowano na czasy sprzed 1,8 miliona lat. Wyniki moich badań dadzą wyrazisty obraz nieprzerwanych dziejów człowieka i raz na zawsze potwierdzą prawdę teorii ewolucjonistycznej. Osobiście spodziewam się także, że oprócz tych danych antropologicznych uda nam się raz na zawsze unicestwić mit stworzenia świata.

— Daj pan pokój! — zakrzyknął któryś z reporterów. — Dowiedzisz pan ewolucji? Sam Darwin pękłby ze śmiechu.

— Wy, Amerykanie, umiecie zawierzyć intuicji, a za nic macie fakty. Wątpię, czy uda się was przekonać. Ale reszta świata zgodzi się ze mną.

W grupce reporterów rozległ się śmiech. Bowles był znany i lubiany za cięty, choć czasem przykry dowcip.

— A co z niedawnym odkryciem pańskiego kolegi, Adama Livingstone'a? — spytał wysoki Amerykanin.

— A co ma być, Adrianie?

— Odkrycie arki potwierdza biblijną opowieść o ogólnoświatowym potopie. Jak się to ma do pańskiego twierdzenia, że historia biblijna to zwykłe zmyślenie?

Sir Gilbert uśmiechnął się. Tylko czekał, żeby rozmowa z prasą potoczyła się w tym właśnie kierunku.

— Drogi panie DeWald — zaczął. Twarz promieniała mu dobrotnym politowaniem. — Znalezienie jednej rzeczy na jednej górze nie dowodzi jeszcze, że doszło kiedykolwiek do ogólnoświatowej powodzi.

Przerwał na chwilę i znowu się uśmiechnął.

— Zastanówmy się — podjął. — Jakby to powiedzieć, żeby nikogo nie urazić? Przykro mi o tym mówić, ale nasz zacny przyjaciel Adam Livingstone, miast pozwolić, by fakty potwierdziły jego hipotezę bądź jej zaprzeczyły, zawsze jednak prowadząc do zgodnej

z rozumem konkluzji, dopuścił do tego, że mitologia, a moim zdaniem nawet słowo „mitologia” jest tu zbyt delikatne, że mitologia więc skaziła jego teorie. Potem zaś świadectw potwierdzających te fantastyczne konstrukcje myślowe zaczyna szukać w terenie, pod lodowcami albo, o ile mi wiadomo, pod własnym łóżkiem. Ale w nauce nie ma miejsca na zwidy i bajki. A poza tym, i to jest sedno całej sprawy, jeśli doszło do powodzi, była to powódź lokalna. Ja jednak nie przyjmuję nawet takiego wytłumaczenia.

— Chce pan powiedzieć, że nie kupuje pan historii z arką?

— Nie jestem pewien, czy tak właśnie bym to ujął, Charane — odparł Bowles z żartobliwie obłudnym uśmiechem. — Nie uważa pan, że staram się oszczędzić mojego kolegę? Ale wyciąga pan właściwe wnioski. Doprawdy, przyjaciele, z pewnością równie jasno jak ja widzicie, że nasz poczciwy pan Livingstone sięgnął dna odwołując się do wierzeń religijnych.

— Zatem pańskim zdaniem nie znalazł arki Noego?

— Czego, przepraszam, arki Noego? Coś znalazł, i wcale temu nie przeczę. Owszem, to coś jest ogromną strukturą w kształcie łodzi. Przedtem już znajdowano w sąsiedztwie Araratu ogromne struktury w kształcie łodzi. Nie ulega wątpliwości, że tamtejsze stare cywilizacje wykształciły biegłych budowniczych statków.

— To chyba coś znaczy.

— Ależ z pewnością, panno Douglas. Wszystko coś znaczy. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Albo, inaczej, w naszej pracy diabeł tkwi w interpretacji.

— I pańskim zdaniem Livingstone niewłaściwie interpretuje swoje odkrycie? — spytała znana dziennikarka z Johannesburga, Eliza Douglas.

— Trzeba podejść do tego z punktu widzenia logiki. Ja sam, podróżując po świecie, nieraz widziałem, czego potrafili dokonać nasi przodkowie — odpowiedział Bowles, przyjmując tym razem pełen godności ton profesorski. — Skoro Egipcjanie zbudowali piramidy na pustyni, skoro Inkowie wykształcili tak wysoką cywilizację wysoko w Andach, z dala od innych ludzkich siedzib, czemu starożytni Turcy nie mieliby budować ogromnych łodzi?

— A co pan powie na to, że Adam Livingstone poszukuje Edenu?

Bowles znowu uśmiechnął się, a po chwili wybuchnął śmiechem. Jego potężne ciało trzęsło się całe z niepowstrzymanej uciechy. Śmiech udzielił się innym i wkrótce wszyscy — poza parą stojącą na tyłach zgromadzenia — trzęśli się ze śmiechu.

— Nie znoszę tego faceta! — syknęła przez zaciśnięte zęby Jen.

— Uśmiechaj się — szepnął Scott. — Adam obejdzie się bez pochwał ze strony Bowlesa.

— Już wkrótce będziemy zwracać się do niego wielbny ojciec Livingstone — powiedział w końcu Bowles, nadal zanosząc się śmiechem.

— Myśli pan, że coś się za tym kryje? — spytała młoda kobieta, nazwana przez Bowlesa Charane.

— Nic a nic, to jasne. Biblia to bajka dla grzecznych dzieci. Nie zasługuje nawet na miano mitu. Czysta fantazja. Dowodzą tego moje prace oraz prace dziesięciu tysięcy innych uczonych, którzy zajmowali się tymi kwestiami przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat.

— Livingstone ma zapewne na ten temat inne zdanie.

— O tak, i jeśli tak dalej pójdzie, każe mi zapewne żałować za grzechy, bo inaczej lada chwila trafię do piekła! — zarechotał Bowles. — Nie wiem, co w niego wstąpiło. Był przyzwoitym, rzetelnym facetem. Może wstąpił po cichu do ruchu odnowy religijnej.

Ogólny śmiech i kpiny Bowlesa z kolegi spowodowały małe poruszenie w gromadce dziennikarzy i redaktorka z „World” przypadkiem zerknęła do tyłu. Na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania, gdyż po chwili rozpoznała tych, którzy stali za nią.

Odwróciła się i ruszyła powoli w stronę Jen i Scotta — ciągle niepewna, czy naprawdę ma przed sobą osoby, za które wzięła tę dwójkę. A Jen i Scott, zdając sobie sprawę, że zostali rozpoznani, zaczęli oddalać się niedbałym krokiem.

— Zaraz, chwileczkę! — zawołała za nimi Lyle, przyspieszając kroku. — To przecież Scott Jordan! Co tu jest grane?... Zaraz,

Jordan, poczekaj!... Mam kilka pytań! Czy przeszedł pan do zespołu ekspertów Bowlesa?

Ruszyła biegiem. Nie ulegało wątpliwości, że za późno już na ucieczkę. Zgromadzeni usłyszeli jej okrzyki i teraz wszyscy poszli w ślad za nią.

Zbity z tropu Bowles, któremu w tym momencie wcale nie było do śmiechu, został sam. Patrzył za oddalającymi się dziennikarzami. Nagle poczuł dojmującą samotność. Nie zrobił jednak nic, żeby okazać swoje rozdrażnienie. To on będzie się śmiał ostatni.

— Och, stary, koniec z naszą tajemnicą — szepnęła Jen. — Adam nas zabije!

— Nie przejmuj się — odparł Scott. — Zostało nam jeszcze kilka sztuczek w rękawie. Najważniejsze, żeby nie dowiedzieli się o profesorze Cissnie. To by dopiero była klęska.

— Może wymyślimy jakiś powód naszej obecności.

— A wtedy nigdy nie domyśla się, po co naprawdę Adam się tu zjawił.

— Hej, wy dwoje — powiedziała, zbliżając się, pani Lyle. — Czy moglibyście podzielić się z wszystkimi tym, o czym rozmawiacie między sobą? I co tu właściwie robicie?

— Scott, znalazłeś się w potrzasku! — powiedziała Jen.

3.

Kiedy Mark Stafford otworzył drzwi i zobaczył stojącego na progu przyjaciela, zbladł natychmiast jak chusta. Przez chwilę patrzył oniemiały na gościa.

— Co się dzieje? — wykrzyknął Rocky, nie wiedząc, czy ma zachować powagę, czy wybuchnąć śmiechem. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

— Przepraszam... Przepraszam, Rock — powiedział Stafford, odzyskując panowanie nad sobą. — Wszystko przez to... przez to, że... może zabrzmiało to dziwnie, ale prawdę mówiąc, Laurene i ja zastanawialiśmy się, czy ujrzymy cię jeszcze przy życiu.

Teraz na twarzy Rocky'ego pojawiło się nieopisane zdumienie.

— Wejdz, Rocky... Wejdz — zapraszał serdecznie pastor. — Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Kochanie! — wykrzyknął, prowadząc Rocky'ego do saloniku. — Kochanie, nie zgadniesz, kto przyszedł.

— Rocky! — wykrzyknęła pani Stafford, wychodząc z kuchni ze ścierką do naczyń w ręku. Podeszła do detektywa i uściśnęła go. Kiedy zrobiła krok do tyłu, Rocky zobaczył, że ma mokre oczy. — Modliliśmy się za ciebie — powiedziała cichutko. Widać było, że trudno jej mówić przez łzy.

— Co się tu dzieje? — spytał Rocky i zaśmiał się nerwowo. — Gotów jestem pomyśleć, że powstałem z grobu!

— Zrobię kawy — oznajmiła Laurene, idąc z powrotem do kuchni.

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię — dodał pastor. — Siadaj.

— Sam już nie wiem, czego bardziej potrzebuję, kawy czy wyjaśnień.

Usiedli.

— Myśleliśmy, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo — powiedział Stafford.

— I tak było... Może grozi nadal.

— Ma to jakiś związek z tym brytyjskim archeologiem?

Rocky skinął potakująco głową.

— Jestem pewny, że właśnie dlatego Pan włął w nasze serca mocną potrzebę modlitwy za ciebie. Czuliśmy, że znalazłeś się w samym środku jakiejś zawieruchy. Wspieraliśmy cię codzienną wytężoną, tak właśnie, wytężoną, modlitwą.

— Jestem wam głęboko wdzięczny.

Rocky powoli, stopniowo opowiedział, co się mu przydarzyło. Zona pastora nasłuchiwała z kuchni, a po paru minutach weszła do saloniku, niosąc tacę z kubeczkami i dzbankiem świeżo zapatrzonej kawy.

4.

Nalewając kawę i słodząc ją, gawędzili chwilę o tym i owym.

- Mam pewną prośbę — powiedział potem Rocky.
- Przeczuwałem, że kiedy zobaczymy się znowu, nie będzie to zwykłe spotkanie towarzyskie — oznajmił pastor.
- Niestety, sprawa jest bardzo poważna. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że, jak już powiedziałem, nadal nad moją głową wisi niebezpieczeństwo. I nie tylko nad moją głową. Będę musiał opuścić na jakiś czas miasto.
- Wracasz do Londynu?
- Na parę dni. Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie się w końcu znajdę. Być może w Afryce.
- No proszę, mamy przyjaciela globtrotera.
- Jeśli się zgodzicie, zostawię u was klucz do mojego domu i poproszę, byście mieli go na oku.
- Chętnie.
- Może się to wiązać z pewnym niebezpieczeństwem.
- Pastor i żona spojrzeli na siebie z zatroskanym wyrazem twarzy.
- Będziemy ostrożni — zapewnił Stafford.
- Muszę poza tym ukryć gdzieś kufer z wartościowymi rzeczami i moim archiwum.
- Możesz zostawić tutaj.
- Nie. To niebezpieczne. Co sądzicie o podziemiach kościoła?
- Dobry pomysł. Nie ma tam niczego wartościowego. Łatwo będzie ukryć kufer wśród starych krzesel, skrzyń i rozmaitych szpargałów. Ale co to właściwie za ludzie?
- Dokładnie nie wiem. To jedna z rzeczy, które staram się wyjaśnić. Z pewnością jednak są niebezpieczni. I nie ulega dla mnie wątpliwości, że ich działalność związana jest w jakiś sposób z końcem czasów, o którym niedawno mi mówiłeś.
- Pastor wymienił znaczące spojrzenia z żoną.
- Czy moglibyśmy zająć się kufrem od razu? — spytał Rocky.
- Spieszysz się?
- Po południu wyjeżdżam z miasta.
- A zatem musimy wziąć się do dzieła — powiedział pastor.

— Przed wszystkim chciałbym zapytać was o to — rzekł Rocky, wyciągając z kieszeni jakieś papiery i rozkładając je na stole.

Pastor i jego żona pochylili się nad papierami. Każde z nich wzięło do ręki kilka kartek, czytało je przez chwilę, a potem wymieniło się z małżonkiem. Oboje popadli w zadumę.

— Co to takiego? — spytał Rocky. — Macie takie miny, że naprawdę zacząłem się martwić.

— I nie bez powodu... No, martwić, a przynajmniej poważnie zainteresować — odparł pastor.

— Czy jedno nie wyklucza drugiego?

— Wszystko zależy od sposobu interpretowania wydarzeń.

— Co masz na myśli?

— Z tego, co tu zobaczyłem, i tego, o czym rozmawialiśmy przed twoim wyjazdem, wynika, jak mi się zdaje, że w dziedzinie duchowej szykuje się coś doniosłego, coś o naprawdę ogromnych konsekwencjach. I chyba ty, przyjacielu, tkwisz w tym po uszy. Czy ty też to wyczuwasz, Laurene? — dodał, zwracając się do żony.

— Bez wątpienia — odparła Laurene. — W tej chwili mam jakieś dziwne przeczucie. Nie jesteśmy sami. Wiem, że jest z nami Duch Święty. Ale obecne są także inne siły. Musi dojść do wielkiego starcia.

— Co to znaczy? — zapytał Rocky. — Przestraszyłaś mnie nie na żarty.

— Nie trzeba się lękać, Rocky — zapewnił go Mark.

— Warto jednak zachować czujność. Laurene ma rację. Batalia się zaczęła. Ale pan będzie szedł na przedzie, i tak jest już w tej chwili. Musimy mieć oręż w gotowości.

— Nadal nie wiem, co macie na myśli.

— Chyba powinniśmy porozmawiać, i to długo, zanim wyjedziesz. Nie tutaj jednak, jeśli rzeczywiście mają cię, jak powiedziałeś, na oku.

— Zanim cokolwiek zrobimy, trzeba się pomodlić — dodała Laurene.

Zamknęła oczy.

— Duchu Święty — zaczęła mówić głosem cichym, ale jednocześnie pełnym ufności i mocy — dziękujemy Ci za to, żeś nas nie opuścił. Łączymy nasze serca w imię Jezusa Chrystusa, naszego Pana, by spętać moc nieprzyjaciela. Niechaj krew Jezusa będzie we wszystkich naszych myślach, modlitwach i uczynkach, które razem podejmujemy. Broń nas, Panie Boże. Napełnij nas od nowa swą mocą, nim stawimy czoło podstępom nieprzyjaciela i jego legionu. Wiemy, że już zwyciężyłeś. Daj nam odwagę, byśmy stali wyprostowani, dzierżąc mocno w dłoniach bitewny oręż, który nam dałeś. Spraw, byśmy się nie ulękli, lecz z pokorą szli, wiedząc, jak ogromny będzie Twój ostateczny tryumf. Obiecałeś, że diabeł ucieknie, kiedy stawimy mu czoło. W imię Jezusa i krwi przez Niego przelanej stanimy do walki z diabłem i nakażemy mu się oddalić spomiędzy nas. Pokaż nam, Duchu Święty, swoją prawdę. Poprowadź nas ku niej. Namaść Marka mądrością, gdyż staje ramię w ramię z Rockym do bitwy.

Laurene zamilkła i zapadła cisza. Wszyscy troje wyczuwali, że Bóg rychło wyjawি im ważką prawdę, która będzie odpowiedzią na tę modlitwę.

— Wracając do tego, o czym mówiliśmy — odezwał się po jakimś czasie Mark — proponuję, byśmy spotkali się za dwadzieścia minut w kościele.

Spojrzał pytająco na żonę, żeby upewnić się, że jest duchowo świadkiem jego słów. Skinęła głową.

— Wyjdziemy oddzielnie — ciągnął pastor. — Laurene i ja pokręcimy się jakiś czas, może wpadniemy na kilka minut do pani Woodcock. Dzięki temu będziesz miał dość czasu, żeby dojechać na miejsce i wyładować kufer. Na tyłach sali parafialnej, pod daszkiem. Nie sądzę, by cię tam wypatrzyli. Potem ukryjemy kufer i porozmawiamy w moim biurze.

— Ale... co się właściwie dzieje? — spytał Rocky.

— Być może poznasz najdziwniejszą historię, jaką ci kiedykolwiek opowiedziano.

5.

Gilbert Bowles stłumił gniew i tylko twarz nabiegła mu krwią. Stał spokojnie, patrząc, jak reporterzy opuszczają jego obóz w poszukiwaniu smakowitszego dziennikarskiego kąska.

Scott i Jen odpowiedzieli na kilka pytań, ale szybko spostrzegli, że swoimi aluzjami zabrnęli znacznie dalej, niżby sobie życzyli. Spojrzeli na siebie, skinęli głowami i jakby wiedzeni jedną myślą zawrócili i pobiegli po nierównym terenie. Reporterzy rzucili się do aut i pojechali za nimi, starając się nie stracić z oczu dwojga asystentów Livingstone'a.

Po chwili kurz opadł, a warkot samochodów i okrzyki zamarły w oddali. Bowles podszedł powoli do swojego namiotu i odchylił połę.

— Spokojnie — usłyszał głęboki głos dochodzący ze środka.

— Co masz niby na myśli?! — Bowles zapluwał się z wściekłości. — Słyszał pan, co się stało?

— Każde słowo. Obróćmy to na naszą korzyść.

— Ładna mi korzyść! Mam dowiedzieć się, czego Livingstone tu szuka. Muszę zadzwonić dziś wieczorem do Cutiera i powiedzieć mu, co odkryłem.

— Do Cutiera?... Mitcha Cuttera?

— Nie powiedział, jak ma na imię. Podał tylko numer telefonu i oznajmił, że mam prosić Cuttera.

Rozmówca Bowlesa uśmiechnął się. Anni D'Abernon — pomyślał — bardziej się zaangażowała w szczegóły realizacji planu, niż się spodziewał. Skoro w sprawę wplątany jest jej lokaj, i ona musi być niedaleko. Pewnie i Szwajcarka, i Vaughan-Maier bardziej przejmują się Livingstone'em, niż pokazują. To staje się interesujące.

— Niech pan się nie martwi Cutterem. Zajmę się nim.

— Zna go pan? — spytał Bowles, unosząc brwi.

— Oczywiście.

Archeolog nadal marszczył czoło. Zaczął żałować, że zadaje się z tym człowiekiem.

— Ale Cutter nie może wiedzieć, że tu jestem. Czy pan to pojmuje, Bowles?

— Wiem, wiem... Lubi pan tworzyć wokół siebie atmosferę tajemniczości, Zorin.

— I proszę dbać o to, by nikt się o mnie nie dowiedział.

Głos nie starał się nawet zamaskować groźby zawartej w tych słowach. Bowles doskonale to rozumiał.

6.

Minęło pół godziny.

Kufer z dobytkiem Rocky'ego został bezpiecznie ukryty w podziemiach sali bractwa parafialnego. Rocky, i Staffordowie spotkali się w biurze Marka.

— Mówiliśmy o spisku przeciwko Bogu i Jego planom — zaczął Mark. — To, co powiedziałem ci przed wyjazdem do Anglii, jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Miałem nadzieję, że będziemy się co jakiś czas spotykać. Chciałem porozmawiać z tobą o tym, do czego moim zdaniem zmierza spisek. Wygląda jednak na to, że sprawy potoczyły się szybciej, niż przewidywałem. Tak czy inaczej są rzeczy, o których musisz się dowiedzieć... i to bez zwłoki. Nie chodzi o zwykłą dyskusję teologiczną. Od zrozumienia tych kwestii zależy być może twoje życie.

Jego żona skinęła potakująco głową.

— W takich sprawach prawda jest dana świętym, abyśmy mogli skutecznie walczyć z nieprzyjacielem. Nie chodzi tu wcale o czysto rozumowe rozstrzygnięcia.

— Do czego to prowadzi? — pytał Rocky. — Macie na myśli koniec świata czy coś w tym rodzaju?

— Być może jesteś bliższy prawdy, niż sądzisz, Rocky — odparł Mark.

— Naprawdę?

— Nie wpadaj w panikę. W gruncie rzeczy nie chodzi o koniec świata, ale na pewno nadejdą nowe czasy, nowa era.

— Muszę przyznać, że wcale nie czuję się spokojniejszy.

— Przykro mi, przyjacielu, ale musimy stawić temu czoło. Nie zamierzam więc cię uspokajać, ale ostrzec. Prawda zaś jest taka:

gotów jestem postawić własne życie na to, że nadciąga, i to szybko, koniec epoki, w której żyliśmy.

— I co się stanie?

— Nastąpi nowa epoka.

— Dla nikogo nie jest tajemnicą, że czasy się zmieniają — zauważył Rocky, jakby to ogólne stwierdzenie ułatwiało przeknięcie niepokojących słów pastora.

— Mark nie ma na myśli czegoś w rodzaju rewolucji przemysłowej ani, jak to nazywają ludzie, epoki komputerowej — wyjaśniła żona Marka. — Chodzi mu o coś nieporównywalnie większego... na skalę wieczności.

— Otóż to — dodał Mark. — Chodzi mi o wiekiście epoki rozległego Bożego planu.

— I jedna z tych epok dobiega właśnie kresu?

— Tak jest, Rocky. Zdaje mi się, że potwierdzają to dokumenty, które znalazłeś. Być może nadepnąłeś na dźwignię, która uruchomi wydarzenia na skalę całego świata, i to doprowadzi do... końca naszej epoki.

Rocky odchylił się do tyłu i głęboko wciągnął powietrze w płuca.

— Jeśli przedtem nie zdołają cię zabić — dodał pastor.

Rocky kołysał powoli głową do tyłu i do przodu. Szkoda, że Livingstone nie może tego usłyszeć od samego pastora. Niestety, jest tysiące kilometrów stąd.

— No dobrze, Mark... Laurene... — Spojrzał na przyjaciół. Mówił głosem ściszym i z taką samą jak oni powagą. — Słucham. Co mi macie do powiedzenia?

— Wszystko ma związek z czasem — zaczął pastor.

— Przecież to czas wyznacza epoki. Wszystkie prawdy biblijne mieszczą się w ramach jakiegoś czasu. Powiedz, Rocky, co opisuje historia stworzenia świata?

— Hmm, chodzi o czas?

— Tak jest. Pierwsza epoka, epoka stwarzania, zaczęła się od ustanowienia świata. „Na początku...” Rozumiesz?

Rocky skinął głową.

— Początek... czasów?

— Słusznie. A to, co stało się później, było rozbite. Jak?

— Na dni?

— Tak właśnie. Dzieło stworzenia zostało rozbite na jednostki czasowe... na dni... bez względu na to, jak długo w istocie trwały...

i jak długo trwało całe dzieło stworzenia. Istotą rzeczy jest czas. Czy rozumiesz, co mam na myśli, Rocky?

— Mniej więcej. Chodzi ci o to, że czas jest najważniejszym aspektem tego, czego dokonał Bóg.

— Bardzo trafnie to ująłeś. A teraz epoki, o których mówiłem. Są zdefiniowane przez powolny upływ czasu. Kiedy jakaś epoka dobiega kresu, moment końcowy pojawia się jednak nagle.

— Innymi słowy, czas płynie powoli, ale epoki kończą się szybko.

— Tak. I potem zaczyna się następny długi okres, kiedy czas biegnie z wolna. I chwili nagłego przejścia od jednej epoki do następnej zawsze towarzyszy bardzo znamienny czynnik.

— Jaki?

— Nowa epoka w niczym nie przypomina poprzedniej. Nie mówimy tu o stopniowym rozwoju, o dojrzewaniu ziemi i jej mieszkańców. Są tacy, którzy w ten sposób interpretują historię, ale jest to błąd. Historia toczy się skokowo, następują zmiany ilościowe, które wypychają człowieka z jednej epoki i rzucają w następną. Zmiany nie są czymś, co się dokonuje. Nie ma płynnego przejścia... to zerwanie ciągłości. To jeszcze jeden powód, żeby nie uznawać prawdziwości teorii ewolucyjnej: jest pogwałceniem istoty działania Boga.

— Nie odbiegaj od głównego tematu, Mark — zaśmiała się Laurene, choć wcale nie było jej do śmiechu. — Chodząc po opłotkach zbijasz tylko Rocky'ego z tropu.

— Przyjmuję to do wiadomości i obiecuję poprawę — Mark zerknął w jej stronę i uśmiechnął się. — No dobrze... chodzi w gruncie rzeczy o to, że zmiany mają charakter fundamentalny i że w chwili przejścia następuje całkowite unicestwienie dotychczasowego sposobu funkcjonowania człowieka.

— Przykro mi, ale nie nadążam. Czy możesz dać jakiś przykład?

— Czy mogę przytoczyć przykład ze świata kobiecego? — wtrąciła się do rozmowy Laurene.

Obaj mężczyźni skinęli potakująco.

— Pomyślmy o dziecku w łonie matki.. Przez dziewięć miesięcy jest mu przytulnie i ciepłutko. Żyje odgrudzone od wszystkiego. Do takiego świata przywykło. Te dziewięć miesięcy w życiu dziecka, to okres, kiedy czas płynie wolno.

Na chwilę zamilkła.

— A potem nagle przychodzi zmiana. Narodziny trwają tylko chwilę, to bolesny kataklizm, który niweczy całkowicie dawny świat. Przychodzi nowy etap w cyklu człowieczego życia.

— To wspaniała analogia — powiedział jej mąż. — Uzpełnieniem zaś tego obrazu jest śmierć, druga chwila wielkiej zmiany.

— Rozumiem, co macie na myśli — oznajmił Rocky.

— Tak toczy się historia — ciągnął Mark — aczkolwiek zmiany dokonują się w płaszczyźnie duchowej, a tym samym niełatwo je dostrzec. Pozwólcie, że przytoczę pewien przykład z Pisma Świętego. Pierwszy wiek to czasy stwarzania. Możesz uznać, że trwał siedemnaście miliardów lat albo sześć dni, to twoja sprawa. Sedno sprawy w tym, że był taki okres, kiedy Bóg kształtował cały świat. Wtedy to osiedlił na ziemi rośliny i zwierzęta. Kiedy jednak dzieło stworzenia dobiegło końca, nadszedł czas na zmianę. To przerwa w Bożej pracy, epoka człowieka wczesnego. Nie była to zmiana stopniowa, lecz ilościowa. Ewoluściści temu zaprzeczają, lecz ja powiem, że w pewnej chwili Bóg stworzył człowieka i dał mu to, co nazywa się duszą. To pierwsze epokowe przesunięcie. Zaczęła się druga era historii.

— Wyjście z łona na słoneczne światło świata — dodała Laurene.

— I nagle wszystko co stare odeszło — ciągnął jej mąż — zapanowało zaś to, co nowe. Tak właśnie się dzieje, kiedy przychodzi na świat dziecko. Pojawiła się nowa istota, której oddano we władanie całą ziemię, istota, która potrafiła myśleć, działać, rozumować, podejmować decyzje, kochać, dokonywać wyborów, rozwijać się, uczyć i mówić... ponieważ została stworzona na obraz samego Boga. Wskutek tego wszystko się zmieniło. Druga era nie była w niczym podobna do pierwszej. Obecność człowieka sprawiła, że świat nie

przypominał tego, który istniał bez człowieka.

Nowa epoka trwała. Przeminięto wiele pokoleń. Wiele tysięcy lat czas znowu biegł powoli. A potem przyszedł potop. Kataklizm w jednostajnym biegu czasu. W jednej chwili wczesny człowiek został zmieciony z powierzchni ziemi, poza ośmioma wiernymi. I znowu wszystko się zmieniło. Oto nowa era, w której Bóg przemawiał i objawiał się człowiekowi, pouczając, jak ma oddawać Mu cześć i jak żyć. W tej trzeciej erze, która zapanowała po czasach Noego, narodziła się żydowska kultura i wiara.

Widzisz, porównanie z ludzkim życiem, w którym dwa razy dochodzi do zmiany, w chwili narodzin i śmierci, nie jest jednak pełne. Historia Bożego dzieła stworzenia przebiega w wielu etapach, przy czym niejeden jest jeszcze przed nami.

Po potopie znowu czas płynął powoli, aż przyszedł moment rozpoczęcia trzeciego z wiekuistych cykli, era przymierza. Bóg wezwał człowieka o imieniu Abraham i ustanowił zupełnie nowy fundament relacji między sobą i człowiekiem. Przymierze zostało zawarte w momencie, kiedy Bóg przemówił do Abrahama. I nie chodziło bynajmniej o stopniową przemianę jego świadomości.

Znowu mijał czas. I raz jeszcze zaczęła się nowa era. Chodzi o dzieło zbawienia. Bóg przysłał swojego Syna. Wszystko się odmieniło. Powstał nowy fundament życia. Wiara zajęła miejsce dzieł. Krew Chrystusa zastąpiła krew jagnięcia, kozy i byka. W tej właśnie epoce żyjemy. I podobnie jak era przymierza trwała mniej więcej dwa tysiące lat, okres od czasów Jezusa trwa tyleż samo. Dwie poprzednie wiekuiste ery trwały po dwa tysiące lat.

— Zmierzasz do tego, że powolny postęp historii znowu zostanie zerwany? — spytał Rocky. — Że jedna epoka zbliża się do końca i nastanie inna?

— Jestem o tym przekonany.

— Czy koniec będzie katastrofalny... coś w rodzaju potopu?

— To pytanie za, jak się mówi, sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów — uśmiechnął się Mark. Ludzie studiujący Biblię zastanawiają się nad tym od kilku stuleci.

- A jakie jest ich zdanie?
 - Jeśli masz na myśli katastrofę w tym sensie, że odbędzie się to szybko, odpowiedź brzmi: tak. Ale żeby to było widoczne, rzucające się w oczy jak potop, nie sądzę.
 - Niezbyt jasna odpowiedź.
 - Żeby wyjaśnić to dokładniej, potrzebowalibyśmy nieco więcej czasu niż ten, który poświęciliśmy na omówienie epok.
 - Nie zamierzam się spieszyć. Skoro chodzi tu o moje życie, chcę dowiedzieć się wszystkiego.
- Pastor Mark pomyślał chwilę.
- Hmm... Przyszło mi do głowy, że jeśli ci ludzie, o których mówiłeś, chcą cię mieć na oku, być może zauważyli twój samochód. Gdzie chcesz spędzić noc?
 - Myślałem o tym, żeby zniknąć gdzieś w Bostonie.
 - Chodźmy więc. Dokończymy rozmowę po drodze.
- Rocky wstał.
- Wyjedź z miasta. Laurene i ja pojedziemy po jakimś czasie za tobą. Spotkamy się w kościele w Wilton i stamtąd ruszymy dalej naszym samochodem.
- Rocky szedł już w stronę drzwi.
- Bądź ostrożny, Rocky. Przywiązaliśmy się do ciebie.
 - Będę uważał. Wy wspierajcie mnie po prostu modlitwą.
 - To ci obiecujemy — odpowiedzieli jednogłośnie małżonkowie.

7.

Adam usłyszał rozgorączkowane głosy i po chwili uświadomił sobie, że zaraz dopadnie go sfera reporterów. Przeczynał niejasno, że z obserwowania obozu Bowlesa nie wyniknie nic dobrego. Miał tylko nadzieję, że dadzą mu trochę czasu.

Rozejrzał się. Od strony wąwozu biegli do niego Jen i Scott.

— Rozpoznali nas... koniec pieśni! — wykrzyknął Scott, kiedy znaleźli się w obozie.

— Przepraszamy, Adam — dodała Jen, z trudem łapiąc powietrze. — Próbowaliśmy zwieść ich, biegnąc w drugą stronę. Ale nic z tego, to tylko kwestia czasu.

Dwie, trzy minuty później dał się słyszeć coraz bliższy warkot silników. W obłoku kurzu ukazały się dwa land rovery i trzy jeepy.

— Są! — jęknął Scott.

— Profesorze Cissna — powiedział Adam, obracając się do swojego gościa. — Czy mógłby pan pozostać w namiocie i nie pokazywać się dziennikarzom? Jeśli zobaczą sławnego botanika na miejscu największych na świecie wykopalisk, padnie mnóstwo niewygodnych pytań.

— Oczywiście. Wiem dobrze, co to reporterzy.

Profesor Cissna odwrócił się i wszedł do namiotu, opuszczając za sobą płachtę.

Adam wyszedł naprzeciwko pojazdom, żeby uchronić swój obóz przed obłokami kurzu.

— Witam... witam! Zawędrowaliście daleko od domu! — wykrzyknął wesołym głosem, kiedy tłumek dziennikarzy, z których paru rozpoznał, wysypał się z aut i pobiegł w jego stronę.

Rozległo się kilka przekrzykujących się wzajemnie głosów.

— To Livingstone!

— A więc jest pan tutaj, panie Livingstone!

— A gdzie miałbym być? Muszę przypomnieć, że to moja praca.

— Pan Livingstone, jak sądzę? — powiedział jeden z dziennikarzy, występując przed innych.

Adam roześmiał się.

— Doskonale, Sorenson! Bardzo odpowiednie powitanie tutaj, w samym sercu Afryki.

— Co pan tu robi?

— Och, wie pan, to co zwykle: kości, szczątki... Ale właściwie powinienem zapytać, Shawn, co pan robi tutaj ze swoimi niezmodernowanymi kolegami?

Parę osób roześmiało się.

— W naszym fachu trzeba czasem opuścić domowe pielesze i trochę się potrudzić — odparł pogodnym głosem Sorenson. — Proszę jednak powiedzieć, czy pański pobyt tutaj ma coś wspólnego z arką?

— Historia jest jedna. Ale do sprawy arki nie zamierzamy powracać przed latem.

— A pańska teoria Edenu? Szuka pan tutaj dowodów, które by ją poparły? — spytała Kaci Lyle.

— Chyba nie wierzy pani temu, co wypisuje się w brukowcach, panno Lyle. A przy okazji... Co u pani brata? Nadal doprowadza wszystkich do szału?

Pani Lyle skinęła głową i roześmiała się.

— Sądzi pan, że Eden jest tutaj, w Oldoway? — zapytał DeWald.

— Nigdy nie wiadomo. — Adam uśmiechnął się.

— Niech się pan rozejrzy. Wszędzie wyschnięta jałowa ziemia. Skąd w takim miejscu Eden?

— Kiedy archeolog czegoś szuka, nie zawsze znajduje to, co by chciał znaleźć. Bywa więc, że trzeba szukać w najmniej prawdopodobnych miejscach. Ale ja przykładam wielką wagę do życia zwierzęcego właśnie tutaj, w Afryce Wschodniej.

— Czy przyjechał pan tutaj, żeby uciec od zagrożeń? Mam na myśli zamach bombowy przed pańskim domem. — zabrała głos Eliza Douglas.

— Ta wyprawa była zaplanowana ponad rok temu. Chciałbym jednak raz jeszcze złożyć wyrazy ubolewania całej rodzinie Erin Wagner.

— Jak pan sądzi, czy coś panu tutaj grozi?

— To co zwykle... no wie pani, lwy, tygrysy, węże, ojej! — zanucił w odpowiedzi.

Rozmowa trwała jeszcze jakiś czas, ale Adamowi Livingstone'owi udało się nie powiedzieć niczego istotnego. Pod koniec niejeden z obecnych pomyślał, że pogoń za dwoma archeologami nic nie przyniosła.

8.

Kilka godzin po pierwszym spotkaniu pastor, jego żona i prywatny detektyw jechali niespiesznie przez pustkowia południowej części New Hampshire. Prowadzili ożywioną rozmowę, która była dalszym ciągiem rozpoczętej dyskusji.

— Nie jestem szczególnym zwolennikiem tego, co określa się jako zrządzenie Opatrzności — mówił Mark — aczkolwiek sądzę, że ma to jakiś związek z erami czy epokami, o których ci opowiadałem. Moim zdaniem historia czasu sama się układa w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Jeśli zastanowisz się nad przełomowymi momentami, które opisuje Pismo, zobaczysz, że wszystko układa się w logiczne ciągi. To jakby spojrzenie na świat z lotu ptaka, z perspektywy samego Boga.

— Podaj mi różne podziały dziejów. Wymień je, żebym mógł wbić sobie to wszystko do głowy — powiedział Rocky.

— No dobrze. Najpierw mamy epokę stwarzania. Po drugie epokę wczesnego człowieka. Po trzecie epokę pierwotnej kultury i religii. Po czwarte epokę osobistego przymierza. A wreszcie piątą epokę, to jest epokę zbawienia. O tych pięciu epokach mówi Biblia, przy czym dwie ostatnie trwały, przypominam, po mniej więcej dwa tysiące lat.

— I wszystkie kończyły się gwałtownie, nagle?

Mark skinął głową.

— Epoka wczesnego człowieka zaczęła się, kiedy Bóg tchnął w Adama życie — odparł pastor. — Także potop był czymś nagłym. Wprawdzie trwał rok, ale w skali historii to ledwie chwila. Podobnie miała się sprawa z Abrahamem. Zdarzyło się to określonego dnia. A potem nastąpiły narodziny Jezusa. To momenty, kiedy doszło do wiekiustych zmian.

— I myślisz, że bardzo bliski jest następny taki moment?

— Moment wiekiustego przeznaczenia? Tak, tak właśnie myśle.

W samochodzie panowało przez chwilę milczenie, bo cała trójka zastanawiała się nad znaczeniem tych słów.

— Jakże zostaliśmy wyróżnieni! — odezwała się po dłuższej chwili cichym głosem Laurene. — Dziękujemy ci, Panie!

— Amen! — powiedział jej mąż. — Jeśli rzeczywiście żyjemy w okresie przesilenia wiekiustego planu, powinniśmy starać się

pojąć, jak to jest, kiedy dochodzi do przełomu i zaczyna się nowa era.

— Mam uczucie, że dość o tym myślałeś, by tę chwilę, jak mówisz, pojąć — uśmiechnął się Rocky i spojrzał na prowadzącego samochód Marka.

— Chcesz usłyszeć, do jakich wniosków doszedłem?

— Jasne.

— Pierwsze, co rzuca się nam w oczy, to fakt, że niektórzy ludzie naprawdę przeżywają chwilę zmiany. Ich życie rozpada się na dwie epoki. To prawda, potop przeżyło ledwie ośmioro. Ale większość ówczesnych ludzi przeżyła narodziny i śmierć Jezusa.

To prowadzi nas do drugiego stwierdzenia, moim zdaniem, niesłuchanie intrygującego. Oto ono: większość z tych, którzy przeżyli takie wydarzenia, a potop stanowi tu wyjątek, nie dostrzegła wielkości zmiany, do jakiej doszło, choć byli przecież w samym środku wypadków. Nagle nastał całkowicie nowy wiek wiekuiestej historii... a ludzie przeważnie tego nie dostrzegli. Żyjący w czasach Jezusa nie domyślili się, że przyszła era zbawienia, że cały fundament życia na ziemi zmienił się w chwili, kiedy Go ukrzyżowano. Czy nadażasz, Rocky?

— Nie najgorzej.

— Tłumaczę to tak szczegółowo, bo myślę, że w ten sposób lepiej zrozumiesz swoją dzisiejszą sytuację.

— Wydaje mi się, że jak dotąd wszystko jest jasne.

— Tak... to dobrze. Dodajmy, że zmiany, o których mówimy, wyglądają inaczej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Jedynie ci nieliczni, których duchowe skupienie i posłuszeństwo są dostrojone do Bożych dróg, potrafią naprawdę zrozumieć, co się dzieje. Człowiek sprzed potopu nie mógł mieć wizji tego, co nadchodzi, i śmiał się, kiedy mu o czymś takim mówiono. Nie stanowił jednego z Bogiem. Został więc porzucony, gdy przyszła pora zmiany.

— Sam jednak powiedziałeś, że tacy ludzie jej nie przeżyli.

— Słusznie. Potop to widome potwierdzenie zasady, że zmiany dokonują się w sposób katastroficzny i że tylko nieliczni ludzie wiary zostaną przez nie przeprowadzeni i wyniesieni do nowej epoki

w relacjach z Bogiem. Tak było jednak tylko w przypadku potopu. Potem wszystko przebiegało na poziomie duchowym, nie zaś dosłownie.

— Hę?

— Kiedy, na przykład, przyszedł Jezus, reszta świata zajmowała się swoimi sprawami i nie stało się nic a nic. Pamiętasz zapewne, że nawet uczniowie z początku niczego nie rozumieli, gdyż era zbawienia zupełnie różniła się od ich wyobrażeń. Zmiana dokonała się na płaszczyźnie duchowej, nie zaś fizycznej, ludzie więc jej nie dostrzegli.

Ludzie z czasów starotestamentowych, nawet religijni Żydzi współcześni Jezusowi, nie potrafili wyobrazić sobie zbawienia, którego fundamentem jest przelanie krwi samego Boga. Było to czymś zupełnie zdumiewającym, jakże więc mogli tego rodzaju wydarzenie przewidzieć? Bóg oddał sam siebie w ofierze! W ludzkich oczach wieśniak z Nazaretu umarł po prostu straszliwą śmiercią, jaka jest losem zbrodniarzy. Lecz w niewidzialnym królestwie ducha cały świat został wyrócony do góry nogami. Szatan poniósł klęskę. Niebiosa były poruszone: oto zbawienie spłynęło na świat! A Stwórca, sam Bóg, przelał swoją krew, żeby stało się to możliwe!

Ci nawet, którzy byli świadkami wydarzeń, nigdy nie pojęli ich znaczenia. Tylko nieliczni z żyjących w pierwszym wieku zostali wyniesieni i przeniesieni ponad przepaścią między jedną a drugą erą. Innych pozostawiano, można by powiedzieć, w poprzedniej epoce, choć z fizycznego punktu widzenia żyli nadal. Mogli zobaczyć. Wszyscy mieli taką możliwość. Nie było tak, że Bóg jednych wybrał, a drugich odrzucił. Być „wybranym” przez Boga to w istocie dokonać samemu wyboru. Lecz w każdej epoce nieliczni tylko dokonują go i otwierają swoje duchowe oczy.

W czasach Jezusa nadeszła pora duchowej świadomości. Uczestniczenie w tym nie było przeznaczone większości. W końcu umierali, znając tylko stary świat... nowy zaś trwał bez nich.

Tym razem jazda przez podmiejskie tereny na zachód od Londynu wydawała się Juliet inna niż ostatnio.

Inną też miała sprawę do załatwienia. To było coś, co chciała zrobić, i wreszcie jej marzenie spełniło się. Jeśli utrata ojca i Josepha ma coś znaczyć w jej życiu, powinna — czuła to — wykorzystać to przeżycie, gdy tylko zdarzy się sposobność, żeby pocieszać innych, na których spadło podobne nieszczęście.

Bez większego trudu odnalazła właściwy dom.

— Pani w sprawie? — spytała kobieta, która stanęła w drzwiach z przyjaznym, ale i pytającym uśmiechem, kiedy Juliet zastukała do drzwi.

— Ja... dzień dobry pani... Nazywam się Juliet Halsay. Mieszkam tymczasowo w Sevenoaks, w posiadłości pana Livingstone'a. Znałam Erin i pomyślałam...

Pani stojąca na progu od razu wyczuła, że dziewczyna, przyjeżdżając tutaj, kierowała się odruchem serca. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, żeby zaprosić Juliet do środka.

— Proszę, panno Halsay. Miło mi panią poznać. Czy napije się pani ze mną herbaty?

— Chętnie, pani Wagner. To bardzo miło z pani strony.

Matka Erin poprowadziła ją ciemnym korytarzem do kuchni. Dwie ściany składały się prawie całkowicie z okien i do środka napływało radosne światło porannego słońca. Przy kuchni była mała alkowa z wmurowanymi w ścianę ławeczkami i małym stolikiem. Pani Wagner wskazała zapraszającym gestem ławeczkę. Juliet usiadła, a gospodyni zakrzętnęła się przy parzeniu herbaty. Potem zajęła miejsce obok dziewczyny.

— To ładnie, moja droga, że mnie pani odwiedziła. Pewnie zna pani Crystal i Jen, i kochaną panią Graves. Proszę powiedzieć, jakże się one wszystkie miewają?

— Doskonale. Nie wiedziałam, że zna pani wszystkich domowników.

— O tak, a Andreę Graves znam od wielu lat. To dzięki niej Erin zaczęła pracować u pana Livingstona.

— Pani Graves to moja ciotka.
— Ach, rozumiem. Wiedziałam, że ma siostry, ale nic więcej.
— Chciałam powiedzieć, jak strasznie mi przykro z powodu Erin. Widzi pani, ja wiem, jak to jest. Kilka miesięcy temu straciłam ojca i brata w zamachu bombowym w Londynie. Od tego czasu życie stało się dla mnie bezustanną walką.

— Och, to okropne — powiedziała pani Wagner i matczynym gestem położyła dłoń na ramieniu Juliet.

Zagwizdał czajnik na kuchence. Pani Wagner nalała wrzątku do imbryczka z esencją. Przyniosła tacę z dodatkową filiżanką i znowu usiadła przy stole. Juliet przyglądała się, jak matka Erin nalewa mleko.

— Cukru?

— Tak... proszę.

Jaka miła pani — pomyślała Juliet. Miała piękny uśmiech i spokojne, pełne elegancji ruchy, chociaż jej rysy przywodziły na myśl kogoś prostego. W jej zachowaniu była jakaś gracia, ale Juliet nie potrafiłaby powiedzieć, na czym to polega.

— Zdaje się, że mamy ze sobą wiele wspólnego — powiedziała pani Wagner, nalewając do filiżanek parującą herbatę. — Chyba jednak lepiej byłoby, gdybyśmy obie miały rude włosy, to samo hobby czy coś w tym rodzaju. Bo przecież to, co nas łączy, nie jest najprzyjemniejsze, prawda?

Juliet spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

— Ma pani za sobą ciężkie przeżycia — powiedziała pani Wagner.

— To był trudny okres. Brat i ojciec zostali zabici na miejscu, a w dodatku dopiero dzień później dowiedziałam się, że mama przeżyła. Policja zadawała mnóstwo pytań, okazało się, że ojciec miał długi. Straciłyśmy dom i musiałyśmy się rozdzielić. A kiedy zaczęłam już odzyskiwać równowagę, przyszedł ten straszny dzień, kiedy Erin...

Juliet mówiła drżącym głosem. Podniosła na panią Wagner spojzenie swoich ogromnych, zasnutych łzami oczu.

Matka Erin wstała z krzesła i usiadła na ławeczce przy Juliet. Objęła dziewczynę ramieniem. Juliet nie mogła zapanować nad sobą i zaczęła łkać. Po jakiś czasie stopniowo przemogła się i otarła łzy serwetką. Pani Wagner wróciła na swoje krzesło.

— Przyjechałam, bo przyszło mi do głowy, że może potrafię jakoś panią pocieszyć — powiedziała Juliet, próbując uśmiechnąć się przez łzy. — A zamiast tego siedzę tu i wyptakuję się przed panią.

— Pocieszyłaś mnie bardziej, niż sobie wyobrażasz, kochanie.

— Jak to? Przez cały czas rozmawialiśmy o moim nieszczęściu!

— Tak, ale znowu poczułam się matką, znowu trzymałam w ramionach Erin, znowu ją tuliłam i broniłam.

— Przepraszam.

— Straciłam Erin nie tylko dlatego, że zginęła w zamachu. Odsunęła się ode mnie mniej więcej rok temu. Mieszkała tutaj z całą rodziną, ale nie chciała mieć z nami nic wspólnego. Możesz sobie wyobrazić, jak raniła moje serce. Nie wiem, czy to zrozumiesz, Juliet, ale wydaje mi się czasem, że kiedy oddaliła się ode mnie, przeżywałam ból prawie taki sam, jak po jej śmierci. Utrata kogoś bliskiego to zawsze ciężkie przeżycie. Jeśli jednak łączy ludzi miłość, łatwiej o pocieszenie, nawet w chwili śmierci. Jeśli zaś serca oddaliły się od siebie, nic nie może ulżyć w cierpieniu.

— Dlaczego Erin się oddaliła?

— Chyba z tych powodów, które najczęściej sprawiają, że młodzi ludzie odsuwają się od swoich rodziców — westchnęła matka Erin. — Dorastała, pragnęła być niezależna, wiązała się z innymi ludźmi. Miała nowych przyjaciół i ku nim zwróciła swoje uczucia.

Znowu westchnęła. Jej oczy pełne były smutku.

— Ostrzegałam ją przed młodzieńcem, z którym się spotykała. Nie chciała mnie słuchać. Miała swoje zdanie i uważała, że ja patrzę na nią zbyt krytycznie i egoistycznie.

— Chodzi o Dextera Caine'a?

Pani Wagner skinęła głową.

— Z pozoru był to miły chłopak. Erin zakochała się po uszy. W jego duszy było jednak coś, co budziło niepokój. Miał zły wpływ na Erin, ale ona nie potrafiła tego dostrzec. Wtedy też przestała mi ufać. Obrażała się o wszystko, co jej mówiłam, i nie widziała rzeczywistych zagrożeń.

— W jego duszy?

— O tak. — Pani Wagner uśmiechnęła się. — Często to wyczuwam. Nie mam na myśli żadnych magicznych sztuczek. Ale modłę się za tych, których znam. Modłę się za każdego, kogo zdarzy mi się poznać, i Bóg pozwala mi często zajrzeć w duszę takiego człowieka.

Wyraz twarzy Juliet powiedział pani Wagner, że te słowa zdumiały dziewczynę.

— Przepraszam, kochanie. Pewnie pomyślałaś, że jestem jakąś dziwaczką, ale ja jestem po prostu chrześcijanką i kocham Jezusa Chrystusa. Wiara pomogła mi w najtrudniejszych momentach życia. A czy ty jesteś osobą wierzącą?

— Tak, wierzę w Boga i ostatnio przeniknęło mnie uczucie spokoju, bo uświadomiłam sobie, że Bóg jest dobry i troszczy się o mnie.

— To wspaniale.

— Czuję jednak, że ma pani na myśli coś więcej. Czy tak?

— Masz rację, kochanie. Chodziło mi o to, czy zaprosiłaś Pana do swojego serca, czy zaprosiłaś Go osobiście. Widzisz, ten spokój, który poczułaś, to głos Boga, to Duch Święty mówiący ci o czymś więcej niż tylko spokój.

— O czym?

— Sama powiedziałaś, że Bóg jest dobrym i kochającym Ojcem i że zależy mu na tobie. To jednak nie wszystko. Mówi ci też, jak sądzę, że chce, byś żyła bliżej Niego.

— Bliżej Niego?... Jak?

— Bóg chce być twoim Ojcem w sposób bardziej osobisty. Jezus przyszedł na świat, żeby to właśnie nam powiedzieć: że nasz Ojciec Niebieski chce nas kochać. Do każdego z nas zwraca się z tą prawdą w jakimś momencie życia. I robi to zawsze w jeden, niepowtarzalny sposób. W twoim przypadku było to poczucie spokoju.

Coś takiego przychodzi w różnych chwilach i w rozmaity sposób. Czasem w wieku piętnastu lat, a czasem pięćdziesięciu, czasem poprzez szczęście, a czasem poprzez nieszczęście. Kiedy jednak następuje ten moment, bez względu na to, jak się to odbywa, trzeba podjąć najważniejszą w życiu decyzję.

— I myśli pani, że tak właśnie jest w moim przypadku?

— Być może. Często zdarza się to w chwili smutku albo tragedii osobistej, albo kryzysu duchowego, czyli w okolicznościach, które przeżyłaś. A wtedy musimy postanowić, jakim człowiekiem chcemy być.

Twarz Juliet przybrała pytający wyraz.

— Czy chcemy żyć dla Boga, czy dla siebie samych — wyjaśniła pani Wagner. — Tego wyboru musimy dokonać.

— A jeśli uznamy, że chcemy należeć do Boga?

— Duch Boży zamieszka w nas na zawsze, jeśli tylko na to pozwolimy. Takie orędzie przyniósł nam Jezus. Bóg to Abba... nasz bardzo osobisty Ojciec.

— Nigdy nie myślałam w ten sposób o Bogu. Zawsze wyobrażałam go sobie raczej jako wielkiego starca.

— Utrata kogoś bliskiego, a szczególnie ojca, sprawia, że człowiekowi serce pęka z bólu, ale być może Bóg chce wykorzystać ten moment, by stać się dla ciebie Ojcem bardziej jeszcze, niż był nim ojciec doczesny. Na tym polega, kochanie, różnica między dzieciństwem a dorosłością: trzeba rozpoznać, kto jest twoim prawdziwym Ojcem, i stać się jego dzieckiem. Większość ludzi przez całe życie dąży do jak największej niezależności. Nigdy nie przestają być dziećmi, nigdy nie stają się dorosłymi w sprawach ducha, ponieważ nigdy nie godzą się na to, co określa prawdziwą męskość czy kobiecość.

— Jak się przejawia taka dorosłość?

— Prawdziwa dojrzałość przychodzi, kiedy wyrzekamy się pragnienia niezależności, obsesyjnej dążności do kierowania własnym życiem i stajemy się dziećmi, do tego bowiem nas stworzono... wybieramy zależność od kogoś, kto pokieruje naszymi sprawami... od Ojca Niebieskiego.

— To jakby cofnięcie się w stosunku do tego, co ludzie myślą.

— Tak właśnie jest. Wszystko, co ma związek z życiem duchowym, jest z punktu widzenia świata cofnięciem się. Ostatni będą pierwszymi a pierwsi ostatnimi... znasz to. Wszyscy znają ten werset na pamięć, lecz niewielu myśli przy tym o konkretnych sytuacjach w życiu. Dlatego tak niewielu ludzi dostrzega najgłębsze duchowe prawdy.

— A czym jest najgłębsza prawda?

— Życie z Bogiem... każdym swym tchnieniem żyć z Bogiem.

— Jak to osiągnąć?

— Najwznioślejszym rodzajem życia, jaki może zrealizować człowiek, jest życie pełne wyrzeczeń. Od momentu, kiedy Bóg umieścił stworzone przez siebie istoty w ogrodzie, pragnął, by żyły w błogim stanie Bożego dziecięctwa.

— Dziecięctwa?

— Jezus żył jak syn ufający bezgranicznie ojcu, by pokazać światu, na czym polega to dziecięctwo. Powiedział: Czynię tylko to, co nakazuje mój Ojciec. Spełniam tylko Jego wolę. Jedynie stając się na nowo dziećmi naszego Ojca, możemy wejść w dorosłość. Zostaliśmy stworzeni, by żyć jako ufne dzieci. Po to dana nam została wola i niezależna wola, abyśmy zawierzyli ją woli wyższej i doskonalszej. Jeśli mężczyzna chce stać się mężczyzną, musi stać się najpierw synem. Kobieta zaś córką.

W kuchni zapadło milczenie. Juliet starała się przyswoić sobie zdumiewające, ale przecież pełne znaczenia słowa matki Erin.

— Chyba rozumiem, co ma pani na myśli — odezwała się po dłuższej chwili. — Jest to jednak coś oszałamiającego. Nikt mi tego nie mówił... tego, że jeśli chcemy stać się ludźmi dorosłymi, najpierw musimy stać się ufnymi dziećmi.

— To właśnie powiedział Jezus. Słyszałaś te słowa: „Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego”?

— Tak... chyba tak — uśmiechnęła się Juliet.

— Jeśli chcesz zrozumieć, poproś Boga, żeby ci pomógł — ciągnęła pani Wagner. — Nie ma modlitwy, na którą bardziej chciałby odpowiedzieć, niż ta, w której błagamy, by pozwolił nam

głębiej wejrzeć w swoją Boskość.

— Niełatwo pogodzić się z tym, że śmierć ojca może mi być w jakiś sposób pomocna.

— Zawsze będziesz czuła jego brak. Każde wspomnienie będzie przynosić ból. Kiedy jednak Bóg zamieszka w twoim sercu, wszystko obróci na dobre. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek chce być twoim Ojcem. Chce jeszcze mocniej wziąć cię w ramiona swej miłości i pociągnąć do wznioślejszego życia, niż to, które znałaś dotąd. Jesteś teraz Jego córką, córką samego Boga, tylko Jego córką. Wierzę, Juliet, że nadejdzie dzień, kiedy podziękujesz Bogu nie za śmierć ojca, ale za to, co dla ciebie po jego śmierci uczynił.

Juliet spędziła całe przedpołudnie w kuchni u pani Wagner, zadając mnóstwo pytań związanych z tym, co usłyszała. Kiedy kilka godzin później wychodziła po lekkim lunchu, czuła się, jakby zaczęła nowe życie. I tak było naprawdę.

10.

— Chyba wiem, co masz na myśli, Mark — powiedział Rocky po chwili przerwy w rozmowie. — Co to ma jednak wspólnego z moją sytuacją w tej chwili?

— Ależ wszystko! — odparł pastor. — Jeśli naprawdę żyjemy w takich czasach, będzie podobnie jak w pierwszym wieku, to znaczy niektórzy będą mieli świadomość, że w królestwie ducha dochodzi do dramatycznego przesunięcia. Większość jednak niczego nie zauważy. Nieliczni zostaną przeniesieni do nowej epoki. Inni będą żyli, jakby nic się nie zdarzyło. Cały świat się odmieni, ale ujdzie to ich uwadze. Nie rozpoznają nowego wiekuistego porządku, jaki się pojawi,

— Dlaczego?

— Ponieważ kształtu tej zmiany nie można przewidzieć — powiedziała Laurene — ani zobaczyć naszymi oczami. Można ją pojąć wyłącznie na poziomie duchowym.

378

— Przecież chrześcijanie ciągle mówią o końcu czasów, rozważają wniebowstąpienie i mękę, oczekują przyjścia Antychrysta i tak dalej.

— Wiem — uśmiechnął się Mark. — W naszym Kościele jest mnóstwo takich ludzi. Wszystko przewidzieli w najdrobniejszych szczegółach.

— Właśnie o to mi chodzi — ciągnął Rocky. — Wygląda na to, że doskonale wiedzą, co się szykuje.

— Mają z góry przyjęte wyobrażenia — odpowiedział Mark. — Ale ja jestem pełen wątpliwości.

— Myślisz, że proroctwa się nie spełnią?

— Ależ spełnią się, tyle że ich interpretacja jest chybiona. Dlatego tak długo zastanawiałem się nad epokami i modliłem się o zrozumienie, jak dokonuje się przejście od jednej do drugiej. Jestem przekonany, że nie da się ich tak łatwo przewidzieć, nawet jeśli ktoś ślęczy nad Pismem Świętym. Historia poucza nas, że większość z tych, którzy przewidują przyszłość, myli się, także wróżbici religijni. Wiem oczywiście, że sam należę do tej kategorii, bo przecież mówię ci o przyszłości. Przypuszczam, że wszyscy chybiamy. Z tym, że niektórzy docierają bliżej prawdy niż inni.

— Co się więc twoim zdaniem zdarzy?

— Nastąpi wstrząs w obrębie samego fundamentu świata, ponieważ pojawi się wielka szczelina w biegu czasu. Lecz wielu z proroctw, które dobrze znamy, nie powinno brać się dosłownie.

— Mogą być błędne?

— Och nie, wszystko, co jest w Piśmie, spełni się co do joty. Dużo jednak rzeczy odbędzie się inaczej, niż sądzi wielu. Na poziomie spełnienia duchowego, nie zaś dosłownego. Ci, którzy każde proroctwo interpretują sztywno jak literę prawa, upodobali sobie przepowiadaczy i proroków z pierwszego wieku, zapowiadających, że Mesjasz zdepcze potęgę Rzymu i wtedy zapanuje na całym świecie chwała Izraela. Pełni duchowej pychy chcieli, by Izrael zastąpił Rzym, bo wtedy oni władaliby światem. Nie szukali drogi Kalwarii, na której stanie krzyż, lecz raczej drogi doczesnego podboju, choć wybrukowanej kamieniami z pozoru pobożnych zasad. Nie taka

jest jednak droga Boga, gdyż droga do zwycięstwa musi prowadzić przez Kalwarię.

Ponieważ nie umieli dostrzec głębszej prawdy zawartej w proroczych wypowiedziach, Izrael, ten Izrael doczesny, został zmieciony z powierzchni ziemi, aby mógł zrodzić się Izrael nowy, duchowy. Lecz ludzie niezdolni dostrzec głębszego wymiaru Boga patrzyli, jak Zbawiciel człowieka oddaje swoje życie za grzechy rodzaju ludzkiego... i nie przyszło im nawet do głowy, kim On jest. Pojawiła się szczelina w czasie, ale większość Żydów o tym nie wiedziała. Jest całkiem możliwe, że kiedy przyjdzie nowa era, Kościoły pozostaną ślepe, nasz Kościół i wszystkie, które oczekują efektownych znaków zewnętrznych.

Pastor zamilkł. Westchnął głęboko. Nie ulegało wątpliwości: to, co zamierzał powiedzieć, sprawiało mu ból.

— Jest rzeczą więcej niż możliwą — ciągnął — jest nawet rzeczą wielce prawdopodobną, że w momencie przełomu wielu chrześcijan niczego nie zauważy. I tak jak dawno temu w Palestynie ludzie Boży będą wytyczać wzrok, patrząc w niewłaściwą stronę. Nie dostrzegą drogi przez Kalwarię, choć tę właśnie drogę wskazał Bóg swemu ludowi, by wkroczył w zmiany. Nie dostrzegą twarzy nadchodzącego Mesjasza.

— Bóg z pewnością dał swemu ludowi oczy, by mógł to dostrzec.

— Dał też swemu ludowi, Izraelowi, prorocze słowa, aby zrozumieli, że nadchodzi czas. Kiedy jednak pojawiła się prawda, nie rozpoznali jej. Ślepymi oczami wpatrywali się w głębszy wymiar dróg Bożych, i źle odczytali zarówno proroctwa, jak i znaki czasów. A kiedy nastał koniec ich ery i zaświtała jutrzienka nowej, nie znaleźli się wśród tych, którzy zostali do niej przeprowadzeni.

11.

Wracająca do Sevenoaks Juliet uśmiechnęła się na myśl, że wyjechała rano, żeby pocieszyć panią Wagner, i nie wiedziała, co otrzyma w zamian.

Przez całą drogę, która zajęła jej trochę ponad półtorej godziny, była pogrążona w rozmyślaniach. Nie formułowała tego wyraźnie, ale wyczuwała, że zamknął się jakiś rozdział w jej życiu i nastąpiła — albo raczej rychło nastąpi — wielka zmiana.

Jej dusza była spokojna.

Wrócił ten słoneczny spokój, którego zaznała kilka tygodni temu. Było to uczucie jeszcze bardziej osobiste, niż powiedziała tamtego ranka Adamowi Livingstone'owi. Miała świadomość, że to coś więcej niż spokój, że Bóg Ojciec tuli ją w swoich kochających ramionach. Była już przygotowana, by zamieszkał w niej Syn Boży — właśnie tak jak tłumaczyła jej matka Erin. Była już przygotowana do tego, żeby oddać Mu bez reszty swoje życie.

Słowa pani Wagner raz po raz wracały jej do głowy. Nadal nie rozumiała wszystkiego, co usłyszała, ale zrozumiała dość, by wiedzieć, że przemawia do niej łagodnie głos samego Boga.

„Uznajesz Boga rozumowo, czy uczyniłeś Go Panem swojego życia?” — dźwięczały jej w uszach słowa matki Erin. Uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie następne słowa pani Wagner: „Z całym szacunkiem dla Szekspira, oto jest pytanie”.

„Co to znaczy uczynić Go Panem?” — usłyszała własny głos.

„To wyrzeczenie” — wyjaśniała pani Wagner. — „Uczynić kogoś swoim Panem to zrzec się swoich praw do zasiadania na tronie, do podejmowania decyzji, do narzucania swoich priorytetów, do określania swojej przyszłości. Na kim spoczywa odpowiedzialność? Kto podejmuje decyzje? Kto jest twoim mistrzem? W sercu człowieka jest miejsce dla tylko jednego Pana. Jeśli sama jesteś sobie mistrzem, nie ma już miejsca na tronie dla Zbawiciela ludzi. Chodzi o decyzję, kto na stałe zajmie ten tron. I od tej decyzji zależy cały bieg życia”.

Juliet przypominała sobie słowa pani Wagner i łyzy zaczęły napływać jej do oczu. Nie były to jednak łyzy smutku, ich źródło bowiem to ukojenie, spokój, i głęboka, cicha radość. A wraz z nimi przyszło przekonanie, że nadeszła chwila decyzji, o której mówiła pani Wagner, przyszła świadomość, że nie wystarczy gnuśnie

rozkoszować się spokojem Bożym, że czas już odpowiedzieć osobiście... Odpowiedzieć Jemu, jej Ojcu.

Zjechała z szosy M25, Znalazła się w okolicy Leatherhead, chociaż nie przyglądała się zbyt uważnie znakom drogowym, rozglądała się po prostu za jakąś drogą prowadzącą na południe. Przy pierwszej sposobności skręciła w jakąś wąską dróżkę i wyłączyła silnik.

Odchyliła się do tyłu, zamknęła oczy i nabrała głęboko powietrza. Płakała teraz bez żadnych zahamowań, ale czuła, że łyż zmywają z jej duszy żal, że może ruszyć dalej, do przodu, ku nowym wymiarom swojej kształtującej się kobiecości.

Długie minuty siedziała tak w błogim milczeniu, nie dostrzegając przemykających aut, pamiętając już tylko o jednym: że ma znowu Ojca.

Znowu odetchnęła głęboko i zaczęła się modlić.

„Boże — mówiła — dziękuję, żeś otworzył mi oczy, bym dostrzegła, że nie zostałam bez ojca, jak myślałam, ale że jesteś przy mnie, że jesteś moim Ojcem... bardziej Ojcem, niż tatuś. Kochałam tatusia i kocham nadal. Brak mi go. Nadszedł jednak czas, bym została Twoją córką. I chcę nią być, o Boże. Wiem w końcu, jak bardzo tego pragnę. Nie chodzi już o to, by wierzyć w rozmaite rzeczy, których mogę się o Tobie dowiedzieć. Chcę, by zamieszkał we mnie Twój Duch... Na zawsze! Nie chcę uznawać Cię tylko rozumem. Chcę, byś został w pełni, bez reszty moim Panem.”

Zamilkła i wyjrzała przez okno. Dzień był chłodny. Wzgórza po drugiej stronie Dorking Valley były intensywnie niebieskie na tle bladego nieba. Z oddali doszedł ją gwizd pociągu wjeżdżającego na stację w Leatherhead. Był to dźwięk pełen słodyczy i nostalgii, i trącił w duszy Juliet jakieś struny, bo nagle pojawiło się uczucie, że pokonuje granicę i zaraz oto znajdzie się w innej krainie.

Znowu zaczęła się modlić.

„Oddaję Ci moje serce, Panie — szeptała. — Dziękuję za pokój, który mi zesłałeś. Napełnij mnie jeszcze bardziej sobą, abym poznała Cię lepiej, bliżej, nie tylko jako Wielkiego Starca mieszkającego w niebiosach. Bądź moim Ojcem Niebieskim. Spraw, bym stała się

Twą dorosłą córką. Cokolwiek się ze mną stanie, cokolwiek przyniesie mi przyszłość, wszystko powierzam Tobie, Ojczy. Ty wiesz najlepiej, co jest dla mnie dobre. Wiesz, co dla mnie zamierzyłeś, jesteś bowiem Ojcem. Czuję, że mnie do siebie tulisz, mogę więc nie trwożyć się tym, co przyniesie jutro. Zrób z moim życiem, co zechcesz... Bo nie należę już do siebie, ale do Ciebie, Boże.”

I znowu łzy radości zasnuły oczy Juliet. Czują, jak wypełnia ją nowe poczucie dojrzałości, to poczucie, którego źródłem jest pragnienie, by należeć tylko do Boga, by zawierzyć Mu wszystko.

12.

Na Sevenoaks spłynął zmierzch.

Tego szczególnego wieczoru ciemność przyszła wcześniej niż zwykle, gdyż przez całe popołudnie niebo zasnuwane było grubą warstwą chmur i padał deszcz.

Mniej więcej o czwartej jakiś samochód zaparkował paręset metrów od bramy posiadłości Livingstone'a.

Nie odjeżdżał. Nikt z niego nie wysiadł. Nikt nie dał znaku życia. Nawet go nie zauważono. Po wyjeździe Livingstone'a zniknęły ekipy dziennikarskie, wielu reporterów poleciało w ślad za archeologiem do Afryki. Ani Beeves, ani nikt inny nie miał ochoty wychodzić na ten deszcz.

Przez cały wieczór nic się nie zmieniło. Dopiero koło dziesiątej otworzyły się drzwiczki.

Wysiadła ubrana na czarno postać w kapeluszu z szerokim rondem, płaszczu przeciwdeszczowym i wysokich butach. Mężczyzna, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z domu, podszedł do bramy. Większość światel już zgaszono. Wyglądało na to, że domownicy położyli się spać. Mężczyzna wiedział, że w głównym budynku zostały tylko dwie kobiety.

Przystanął, wyjął z wewnętrznej kieszeni karteczkę i na chwilę błysnął długopisem-latarką, żeby sprawdzić zapisany na niej numer.

Wystukał cyfry na tabliczce, a potem wprowadził szyfr wyłączający alarm.

Brama przesunęła się. Wszedł do środka. Po chwili kraty zamknęły się za nim. Nocne ciemności i deszcz chroniły go przed ludzkimi spojrzeniami.

Obrócił się i poszedł w stronę domu.

Kiedy znalazł się pod daszkiem nad drzwiami frontowymi, zdjął kapelusz, płaszcz i buty. Pod spodem był też ubrany od stóp do głów na czarno. Dłonią w rękawiczce wyjął klucz, którego odcisk razem z kodem do bramy znaleziono w torebce jednej z dwóch mieszkańek domu podczas niedawnego wyjazdu do Arundel.

Chwilę później był już w środku. Omiótł spojrzeniem wnętrze, żeby ocenić sytuację. Parter jest z pewnością pusty. Obie kobiety są zapewne w swoich sypialniach na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła.

Bezszelestnie podszedł do głównych schodów.

13.

Pani Graves i jej siostrzenica spędziły miły wieczór w saloniku gospodyni, zerkając od czasu do czasu na serial z Herkulesem Poirotem i jednocześnie starając się skupić na grze w trik-traka.

Dwugodzinny film wreszcie się skończył. Żadna z dwóch kobiet nie wysłuchała zbyt uważnie drobiazgowego podsumowania, które belgijski detektyw przedstawił głównym postaciom dramatu.

— Pan McCondy z pewnością nie przepuściłby ani jednego szczegółu — roześmiała się pani Graves. — Ale ja zgubiłam się na samym początku.

— Ja też — przyznała Juliet. — Myślałam, że winowajcą jest pisarz. Ani przez chwilę mu nie ufałam. Zdawało mi się nawet, że nie napisał tych wszystkich książek, którymi się chwalił.

— A ja byłam przekonana, że to ten posępny profesor, który kręcił się wszędzie i zadawał mnóstwo pytań.

384

— To nie mógł być on, ciociu. Nie pamiętasz? Przecież w noc morderstwa był w Cambridge!

— Tak powiedział. Ale jest jeszcze ta studentka archeologii; odwołano wykład i znalazła się przypadkiem w bibliotece w momencie, kiedy bibliotekarz zauważył brak książki.

— Masz rację! Zupełnie o niej zapomniałam.

— Nikt nie widział go w Cambridge ani tego dnia, ani następnego.

— Nigdy bym nie odgadła, że morderstwo popełnił bibliotekarz. Właściwie nic go nie łączyło z ofiarą.

— Zawsze tak jest w tych filmach sensacyjnych.

— Podsuwają bardzo niejasne wskazówki. I zawsze usuwają w cień którąś z najważniejszych postaci.

— W końcu była zakochana w profesorze — zauważyła na koniec pani Graves — a to wszystko tłumaczy. Przynajmniej częściowo. Sądzę, że pan McCondy rozwiązałby jakoś prościej całą tę zagadkę.

— Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek prowadził śledztwo w sprawie morderstwa.

Kiedy wypowiadała słowa „morderstwo”, domem wstrząsnął potężny grzmot. Obie kobiety aż podskoczyły.

Nagle Juliet poczuła chłód i uświadomiła sobie, jak okropnie jest na dworze.

Narzuciła na ramiona sweter, wstała i podeszła do okna. Wyrzuciła na zewnątrz i jej ciało przebiegł dreszcz.

— Nie wiedziałam, że przyszła taka burza.

Rozmawiały jeszcze kilka minut. Zbliżała się jedenasta, kiedy zaczęły przygotowywać się do snu — później niż zwykle. Wydawało się, że wcale nie mają ochoty się rozstawać. Książę ciemności zdołał wśliznąć się do domu, przynosząc z sobą nastrój szalejącej burzy.

Potem siedziały jeszcze chwilę w milczeniu. Parę razy rozległ się grzmot. W końcu Juliet zebrała się na odwagę: nie pozwoli, żeby wiatr i deszcz zagłuszyły wszystko, co w niej najlepsze.

— Zejdę chyba na dół i wypiję przed snem szklankę mleka — powiedziała. — Przynieść ci coś?

— Nie, dziękuję. Chce mi się spać. Marzę o tym, żeby znaleźć się w łóżku. Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc, ciociu.

Juliet wyszła. Zamiast skrócić w lewo, w stronę swojej sypialni, poszła ciemnym korytarzem w prawo, ku schodom.

Nie pozwoli sobie na strach z powodu zwykłej burzy. Wczorajsza modlitwa dała jej nową wiarę w siebie, wzmocniła świadomość wewnętrznej siły. Nie dopuści do tego, żeby z powodu byle burzy zapomnieć o tym, że Bóg jest jej Ojcem. Jest przecież Panem nie tylko nad ludźmi, ale i nad burzami. Zresztą widzi wystarczająco dobrze, żeby zejść do holu, a kiedy znajdzie się u szczytu schodów, zapali światło.

Blask błyskawicy wypełnił nagle okno po lewej stronie, a dwie sekundy później rozległ się grzmot. Juliet mimowolnie zadrżała. Wiatr jęczał i świstał, owiewając narożniki domu i kominy. Musiała sobie jeszcze raz powiedzieć, że nie ma się czego bać.

Kiedy przechodziła koło gabinetu pana Livingstone'a, doszły ją jakieś odgłosy nie mające nic wspólnego z burzą.

Przystanąła. Serce biło jej jak oszalałe, słyszała pulsowanie krwi w uszach; było to jako echo grzmotu rozbrzmiewające w pustym korytarzu. Pod drzwiami gabinetu zobaczyła pasemko światła!

Kto mógłby?!...

Drżąc cała, podeszła bliżej. Wyciągnęła rękę w stronę klamki i ostrożnie uchyliła drzwi.

Ujrzała dziwnego ubranego na czarno mężczyznę, który klęczał z latarką w ręku i przeglądał najniższą szufladę kartoteki. Wystarczył rzut oka, żeby przekonać się, że mężczyzna nie marnował czasu. Wszystko było poprzewracane do góry nogami.

— Co pan tu?... Kim pan jest? — wyjąkała Juliet.

Intruz wyczuł, że drzwi się otwierają. Obrócił w ich stronę twarz i zaraz zerwał się na równe nogi. Przez jego oczy przemknął złowrogi błysk. Juliet wycofała się pospiesznie.

— Wracaj, ty mała!...

Pobiegła korytarzem.

— Hej!... Zaczekaj! — wrzasnął.

Usłyszała odgłos zatraskiwanych drzwi, a potem ciężkie kroki biegnącego mężczyzny. Rozległ się huk pioruna i jednocześnie z jej ust wydarł się okrzyk.

— Ciociu!... Ciociu!

I w tym momencie ciężka łapa zacisnęła się na jej ustach.

— Zamknij się, mała dziwko! — wychrypiał zły głos z jamajskim akcentem. Intruz przyciągnął ją mocno do swego ciała. Poczuli, że jakiś ostry przedmiot uciska jej żebra. — Cicho albo wpakuję ci kulę między żebra! Kapujesz?

Starła się skinać potakująco głową. Drżała tak bardzo, że nie panowała w pełni nad ruchami swego ciała.

Burza — zgodnie z wzorcem filmów o duchach — podziała na nerwy pani Graves, choć nie przyznała się do tego siostrzenicy. A kiedy usłyszała krzyk Juliet, odeszła ją wszelka ochota na sen.

Z korytarza dochodził odgłos pośpiesznych kroków więcej niż jednej osoby, więc nie tracąca nigdy zimnej krwi gospodyni rzuciła się do telefonu. Wystukała numer policyjny i czekała w panicznym napięciu, żeby ktoś podniósł słuchawkę.

— Szybko, tu posiadłość pana Livingstone'a... włamanie!...

— Proszę odłożyć słuchawkę! — rozległ się rozkazujący głos od drzwi.

Gospodyni podniosła bladą jak chusta twarz. Zobaczyła karaibską twarz mężczyzny, który ciągnął do saloniku jej siostrzenicę. Trzymał ją mocno lewą ręką; w prawej miał wycelowany w Juliet pistolet.

Pani Graves, drżąc na całym ciele, wypuściła z ręki słuchawkę i opadła ciężko na kanapę. Jej miła krągła twarz zmieniła się w białą maskę, na której malował się wyraz zdumienia i przerażenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ZAKŁADNICY W SEVENOAKS

1.

Rocky McCondy jechał znaną dobrze drogą, kiedy nagle przez jego zaspany umysł przemknęła myśl, że pewnie Adam Livingstone wrócił niespodziewanie z Afryki, ciągnąc za sobą tłum reporterów.

Potem podjechał bliżej i zdał sobie sprawę, że stało się coś złego. Ekipy telewizyjne to rozumiały. Ale dziennikarze zwykle nie są uzbrojeni!

Wyglądało to jak na filmie szkoleniowym oddziałów specjalnych. Ale mimo strug deszczu wystarczyło jedno spojrzenie, żeby przekonać się, że nie chodzi o ćwiczenia.

Zaparkował samochód w pewnej odległości od całego zamieszania. Wygramolił się z wynajętego wozu, otworzył wielki czarny parasol i podszedł do bramy. Stał tam, podobnie zabezpieczony przed deszczem, Max Saul.

— Czołem, inspektorze. Co się tu dzieje?

— Och, to pan, McCondy! Myślałem, że wrócił pan do Stanów.

— Jestem tu znowu. Dopiero co przyleciałem. Wygląda, że macie jakieś kłopoty.

— I tak jest. Zakładnicy.

— Zakładnicy? Kto?! — wykrzyknął Rocky.

— Gospodyni, jej siostrzenica i...

— Mała Halsay! Kiedy się to, do diabła, zaczęło?

— Włamanie w nocy. Podczas burzy. Usłyszały faceta i zdołały się połączyć z policją, zanim im przeszkodził.

— Są ranni?

— Chyba nie. Miejscowi chłopcy byli tu, zanim drań mógł się wydostać. Natychmiast nas wezwali. Otoczyliśmy cały teren. Ale włamywacz siedzi tam z dwiema kobietami.

— Coś osiągnęliście?

— Niewiele. Facet ma mocne nerwy.

— Zawiadomiliście Livingstone'a?

— Jest w terenie. Nie udało się go złapać. Zostawiłem wiadomość w jakimś hotelu. Nic tu po nim.

Rocky pomyślał chwilę, a potem rozejrzał się szybko dokoła. Zmęczenie podróży minęło jak ręką odjął. Ruszył w stronę bramy.

— Hola, dokąd to, McCondy? — zakrzyknął za nim Saul.

— Chcę tam wejść.

— Wykluczone.

— Ktoś musi.

— Kapitan Thurlow nie pozwoli panu zbliżyć się do domu.

— Niech spróbuje.

— Zrobi to, jeśli tylko pana dopadnie.

— Proszę posłuchać, inspektorze. Mam trochę doświadczenia w tego rodzaju sprawach.

— Może to pana zdziwi, ale my też — ozwał się głos zza pleców Rocky'ego.

Rocky obrócił się i zobaczył idącego w jego kierunku kapitana.

— Cześć, Thurlow, jak leci?

— Na razie tak sobie, McCondy. Zdaje się, że mam na głowie nie tylko zakładników, ale także kowboja, który nie wiadomo co tu robi.

— Potrafię ich stamtąd wyciągnąć.

— My też. Chodzi tylko o to, że nasze metody są zapewne nieco łagodniejsze. I trochę mniej ryzykowne.

— Proszę posłuchać, Thurlow. Znam lepiej ten dom niż którykolwiek z pańskich chłopców. Znam rozkład korytarzy na tyłach i wiem, gdzie są schody. Jeśli zajmiecie go czymś od frontu, dopadnę go.

— Jeśli pana nie zauważy.
— Jak powiedziałem, musicie zaprzętać jego uwagę.
— A jeśli się nie uda?
— Zrobicie to po swojemu.
— A jeśli ktoś straci w tym czasie życie?
— Dajże pan pokój, Thurlow. Nikt nie straci życia. Wiem, co robię.

— Jaki ma pan plan?
— Przedostanę się na tyły, kiedy on będzie zajęty śledzeniem waszych poczynań.

— Jak pan tam wejdzie?
— Otworzę bramę, kiedy pańscy ludzie będą posuwali się w stronę domu. Skupią na sobie jego uwagę. Pan podejdzie do drzwi i zacznie z nim rozmawiać, a wtedy ja przekradnę się krzakami wzdłuż żywopłotu na tyły domu i tam zniknę mu z pola widzenia. Aha, co z Beevesem? Jest u siebie?

— Tylko małżonka. Tamten dopadł też lokaja. Kiedy wejdziemy za bramę, jeden z naszych ludzi zajmie stanowisko w przybudówce Beevesów i będzie obserwował tyły domu.

— W którym pokoju są zamknięci?

— Jeśli chodzi o zakładników, nie wiem. Facet wrzeszczał do nas z okna na pierwszym piętrze, z tego na wschód od głównych drzwi.

— Już wiem — Rocky skinął głową.

Kapitan Thurlow pomyślał chwilę, a potem skinął na Saula i trzech czy czterech innych, żeby poszli za nim. Żelazna brama przetoczyła się powoli w bok. Kapitan i jego ludzie ruszyli powoli w stronę frontowych drzwi.

2.

Rocky przeczołgał się za wielkimi krzakami koło bramy, a potem udał się szybkim krokiem na tyły domu Adama.

Nagle dostrzegł jakiś ruch po prawej stronie i zastygł w połowie kroku. Zobaczył żonę lokaja stojącą u stóp schodków, które

prowadziły do ich mieszkania nad garażem. Miała bladą twarz i zaczerwienione oczy. Rocky podbiegł do niej.

— Proszę się nie martwić, pani Beeves. — Uspokajającym gestem położył dłoń na jej ramieniu. — Postaramy się wydobyć ich stamtąd bez szwanku.

Skinęła głową i próbowała coś powiedzieć, ale wargi odmówiły jej posłuszeństwa. Oczy nieszczęsnej znowu napełniły się łzami. Podała mu klucz i wskazała na główny dom.

— Ach, jak to dobrze, pani Beeves. Oszczędzi mi to trochę czasu. A teraz proszę tu zostać i modlić się, żebym nie stracił w tym wszystkim głowy.

Znowu skinęła energicznie.

Dwie minuty później Rocky był już w pokoju śniadaniowym i ostrożnie zamykał za sobą drzwi.

Wypuścił powietrze z płuc i szybko rozejrzał się dokoła. Nie tak wyobrażał sobie powrót do domu Livingstone'a. Trudno, pora wziąć się do roboty.

Nasłuchiwał uważnie, ale wszędzie panowała cisza. Powoli zdjął buty. W tym domu przeważnie nie było dywanów na korytarzach. Lepiej unikać ryzyka.

Podszedł bezszelestnie do drzwi, znowu chwilę nasłuchiwał, a potem wśliznął się do kuchni. Niedaleko znajdowały się główne schody, ale nie było mowy o tym, żeby z nich skorzystać. Jeśli tamten go usłyszy i przyłapie w połowie drogi, Rocky McCondy może żegnać się z życiem.

Usłyszał słabe głosy dochodzące z góry. Thurlow pewnie nadal stara się zagadać faceta.

To dobrze.

„Pomyślmy... Którędy najlepiej... pewnie tamtymi wąskimi schodami w końcu zachodniego skrzydła.” Żeby się tam dostać, musi przejść głównym korytarzem, odchodzącym od wejścia.

Powoli wyszedł z kuchni. Podłogę na korytarzach stanowiły dębowe klepki. Wszystko będzie dobrze, jeśli się nie pośliznie w tych skarpetkach. To całkiem możliwe. Pani Graves dba o to, żeby podłogi były należycie wyfroterowane.

— ... Helikopter przed domem za pół godziny... — doszedł go głos z góry.

Ręka Rocky'ego powędrowała do wewnętrznej kieszeni marynarki w poszukiwaniu rewolweru. Przemykając korytarzem w stronę zachodniego skrzydła, na wszelki wypadek nie spuszczał z oczu głównych schodów. Usłyszał, jak kapitan Thurlow wykrzykuje coś do włamywacza, ale nie mógł odróżnić słów.

Zaraz znalazł się zresztą poza zasięgiem obu głosów.

Chwila oddechu. Zastanawiał się, jak najskuteczniej rozbroić intruza. Cała nadzieja, że w tym momencie facet nie ma przy sobie żadnego z trójki zakładników. W przeciwnym razie zadanie byłoby prawie niewykonalne. Jeśli stoi, a drzwi do pokoju są otwarte, jak Rocky spodziewał się na podstawie dochodzących go głosów, wtedy być może zdoła go dopaść.

Dotarł do schodów na końcu korytarza, wspiał się na górę i przystanął na chwilę, żeby złapać oddech. Jego umysł był czujny, ale bolące mięśnie przypominały mu o zmęczeniu.

„Wkrótce będzie po wszystkim” — pomyślał. Potem położy się i będzie spał do wieczora.

Ruszył w stronę środkowej części domu. Jeśli intruz postanowi nagle wyjść z pokoju, z którego rozmawiał przez okno z Thurlowem, Rocky znajdzie się w opałach. Na tym korytarzu jest jak siedząca bez ruchu kaczka dla myśliwego.

Wyjął rewolwer i ostrożnie skradał się dalej z bronią gotową do strzału.

Słyszał teraz coraz wyraźniej głosy. Miał wrażenie, że włamywacz znajduje się w pierwszym pokoju na wschód od wejścia. Wydawało się mu też, że drzwi są otwarte, ale z tego miejsca i tak nic nie mógł zobaczyć.

Przesuwając się z plecami przywartymi do ściany, dotarł do miejsca, gdzie dwa skrzydła domu łączyły się na szczytowym podestacie. Wypuścił powoli powietrze z płuc i wyrzwał zza rogu.

„... Dość tego zawracania głowy! — mówił głos z cudzoziemskim akcentem. — Nie zapominajcie, że mam tu trzech zakładników.

Jeśli nie dacie helikoptera i nie wydostanę się stąd, zacznę po kolei wyrzucać ich przez okno!”

Otwarte drzwi znajdowały się jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie znalazł się Rocky.

Wyszedł ze swojej kryjówki. Skradał się poruszając nieświadomie palcami w okolicach rewolwerowego spustu.

„Postaraj się, żeby ten drań był zajęty gadaniem, Thurlow!”

Jakby w odpowiedzi na tę niemą prośbę usłyszał dochodzący z zewnątrz głos kapitana.

„Dwadzieścia minut, właśnie dostałem potwierdzenie. Pół minuty temu przyszło ze Scotland Yardu.

Wtulając się w ścianę, Rocky dotarł do otwartych drzwi i przemknął na drugą ich stronę.

— Dwadzieścia minut! — warknął włamywacz.

Rocky zobaczył plecy stojącego w oknie mężczyzny.

Nie miał przy sobie żadnego z zakładników!

Siedzieli w pewnej odległości na trzech krzesłach, związani cienkim sznurem: dwie kobiety i Beeves.

— To trzydzieści kilometrów! — powiedział Thurlow. — Ale spokojnie, helikopter tu będzie. Jak obiecałem.

3.

Rocky ostrożnie i bezszelestnie wśliznął się do środka i przyklęknął na jedno kolano. Podniósł powoli pistolet, który trzymał w obu rękach, i wziął intruza na muszkę.

Pani Graves ujrzała kątem oka jakiś ruch. Obróciła w tamtą stronę głowę i jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Na ratunek przybył nikt inny tylko Rocky McCondy, amerykański detektyw!

Rocky oderwał na mgnienie oka dłoń od kolby i przyłożył palec do ust. Pokiwał powoli głową w przód i w tył. Gospodyni doskonale go rozumiała, choć nadal patrzyła na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.

— Lepiej niech się pan upewni...

— Rzuć to! — rozległ się rozkazujący głos za plecami włamywacza.

Mężczyzna zastygł bez ruchu. Uzbrojona w pistolet ręka znieruchomiła na parapecie okna, przez które rozmawiał z Thurlowem. Napiął mięśnie ramienia, ale nawet nie drgnął.

— Rzuć broń! — powtórzył Rocky.

Juliet i Beeves także obrócili przestraszone twarze w stronę dawnego gościa domu w Sevenoaks, a teraz ich rycerza w lśniącej zbroi. Ogarnęło ich poczucie ulgi przemieszanej z lękiem, nadal nie było bowiem pewne, jak się to wszystko skończy.

— A jeśli nie rzucę, jankesie? — warknął mężczyzna, powoli obracając głowę w stronę przeciwnika. Uzbrojona ręka nie poruszyła się.

— Pożałujesz tego! — burknął Rocky.

— Nie wyglądasz mi na faceta, który umiałby kogoś zabić. Widzę to po twoich oczach. Nie strzelisz.

— Lepiej nie próbuj tego sprawdzać.

— E tam... Zawsze umiałem odróżnić zabójcę od tchórza.

Rocky nawet nie odpowiedział.

— W najgorszym razie zabiorę na tamten świat jedno z tych trojga — powiedział zachrypniętym głosem intruz i uśmiechnął się szyderczo.

— Nikogo nigdzie nie zabierzesz. Rzuć wreszcie broń...

Mężczyzna odwrócił się nagle od okna, z bronią gotową do strzału.

Pistolet Rocky'ego nie był jednak atrapą.

Strzał zabrzmiał ogłuszająco w pomieszczeniu — jednocześnie z krzykiem przerażenia, który wydarł się z ust kobiet.

Rozległ się odgłos tłuczonego szkła i krzyk bólu; krew trysnęła na parapet i dywan. Rocky poderwał się i rzucił do przodu. Zanim dało się słyszeć stuknięcie pistoletu o bruk, zacisnął żelazną dłoń na zdrowej ręce włamywacza.

— Mam go, kapitanie! — krzyknął w stronę okna. — Przyślijcie lekarza. Paskudnie krwawi. Chyba ma uszkodzoną kość.

— Och, panie McCondy, panie McCondy! — wymamrotała pani Graves. Czuła przerażenie przemieszane z ulgą, że już po wszystkim. — Skąd się pan tu wziął?... Jak się panu udało?... Och, sama już nie wiem, co mówię.

— Proszę się uspokoić, pani Graves — odparł Rocky.

Wywłókł swojego jeńca na środek pokoju. Puścił jego ramię, ale przez cały czas miał go na muszce. Zrobił kilka kroków do tyłu i lewą ręką wygrzebał z kieszeni scyzoryk, który z trudem udało się mu otworzyć. Ostrożnie przeciął jeden, drugi węzeł krępujący Juliet i po chwili dziewczyna mogła się już uwolnić.

— Jak się pani czuje, panno Halsay? — spytał Rocky głosem tak spokojnym, że można by sądzić, iż nie stało się tu nic nadzwyczajnego.

— Uff! Doskonale... Oczywiście w tej chwili — roześmiała się z pewnym zakłopotaniem Juliet i odetchnęła głęboko. Widok krwi sprawił, że czuła ucisk w żołądku. — Wszyscy się cieszymy, że pan wrócił. — No, wreszcie rozplątałam te sznury.

— Proszę rozwiązać teraz pozostałych. Aha, i rzucić mi tę serwetkę ze stolika. Co jest, przestaniesz wreszcie krwawić? — warknął w stronę włamywacza, podchodząc do niego i znowu skupiając na nim całą uwagę.

Po chwili Juliet uwolniła ciotkę i podeszła do lokaja. Pani Graves zerwała się, zarzuciła Rocky'emu ramiona na szyję i wtuliła się w niego, jakby nadal znajdowała się w niebezpieczeństwie. Płakała, z jej ust płynął potok bezładnych słów.

— Och, tak się bałam, panie McCondy!... a potem, kiedy zobaczyłam pana... i że ma pan broń... Byłam taka... jestem taka szczęśliwa, że nic się panu nie stało. Dziękuję, panie McCondy! Nie wiem, jak się panu odwdzięczę... Och, dziękuję!...

Rocky zachichotał i spróbował się uwolnić z jej objęć, żeby zająć się klnącym w żywy kamień włamywaczem.

— To nic nadzwyczajnego, pani Graves. Zamknij się wreszcie! — warknął w stronę rannego. — Pohamuj trochę język. Nie widzisz, że są tu kobiety? Bo zaraz zatkam ci gębę!

W końcu wyrwał się z ramion gospodyni i ruszył w stronę drzwi.
— Zabiorę go na dół. Witaj, Beeves — rzucił, zwracając się do lokaja. — Jak leci?

4.

Kiedy wrócił po kilku minutach, zakładnicy rzucili się do ściskania mu dłoni i zasypywania go tysiącem pytań.

Po chwili pojawiła się żona lokaja i obie panie, pani Beeves i gospodyni, zapomniały na jakiś czas o angielskiej sztywności. Także Juliet z ożywieniem i radością, aczkolwiek nadal przez łzy, powtarzała raz po raz, jak cieszy się z uwolnienia i jaka ogromna wdzięczność przepelnia jej serce.

Był późny ranek. Wszyscy mieli za sobą krótką noc, Rocky w samolocie, pani Beeves w swoim mieszkaniu, a trójka zakładników w pokoju, w którym w tej chwili przebywali. Zakładnicy nie mieli nic w ustach od ponad dwunastu godzin, a poza tym ślaniali się ze zmęczenia.

Pani Graves powoli wracała do siebie i przypominała sobie, że życie ma swoje strony praktyczne.

— Trzeba zjeść śniadanie. Pan McCondy z pewnością umiera z głodu po podróży. — Chociaż była nadal wzburzona i łapczywie chwytła powietrze, starała się zapanować nad sobą najlepiej jak mogła. — Chodźmy, pani Beeves! Przygotujemy porządne angielskie śniadanie.

Kiedy dwie panie wychodziły, w pokoju pojawił się kapitan Thurlow.

— Facet jedzie w tej chwili ambulansem do szpitala — oznajmił. — Czy ktoś z obecnych wie coś o tym osobniku? — Rozejrzał się dokoła.

— Trafiłem w sam środek sprawy prosto z samolotu — roześmiał się Rocky. — Wczoraj byłem w Bostonie.

— Ja wróciłem do domu tuż po jedenastej wieczorem — oświadczył Beeves. — Położyliśmy się z moją panią spać. Wkrótce usłyszałem jakieś krzyki dochodzące z domu. Potem dalekie wycie syren. Wstałem i przyszedłem tutaj. Kiedy nie ma pana Livingstone'a,

jestem, panie kapitanie, jedynym mężczyzną w posiadłości, musiałem więc zobaczyć, czy nic się nie stało pani Graves i pannie Juliet. Pani Graves nie było w kuchni. Usłyszałem głosy na górze. Wszedłem po schodach, starając się nie robić hałasu, ale chyba nie byłem taki sprytny jak mi się wydawało, panie kapitanie, bo ten człowiek usłyszał mnie i zaraz wycelował do mnie rewolwer, potem więc siedziałem związany tak samo jak dwie panie i nic nie mogłem zrobić.

— Nikt by więcej nie zrobił w tej sytuacji, panie Beeves — zapewniła go Juliet. — Był pan bardzo dzielny.

— Mam uczucie, że mógłbym jednak coś zdziałać.

— Nic a nic — uspokoił go kapitan Thurlow. — W takich sytuacjach najlepiej siedzieć cicho i robić, co każą. A co ma nam do powiedzenia pani? — Obrócił się w stronę Juliet.

Opowiedziała wszystko, co zdarzyło się do chwili przybycia Beevesa.

— I nigdy przedtem nie widzieliście tego człowieka?... Nic o nim nie wiecie?

Beeves i Juliet potrząsnęli przecząco głowami.

— No dobrze — westchnął kapitan. — Proszę pokazać mi, w czym grzebał. Może uda się nam dowiedzieć, czego szukał, chociaż będziemy zapewne musieli poczekać do powrotu pana Livingstone'a, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. W tym czasie ustalimy co to za ptaszek.

Wszyscy obrócili się w stronę drzwi, bo weszli dwaj detektywi. Thurlow wskazał im okno, a sam wyszedł w towarzystwie pozostałych z pokoju.

— Nie będę wypytywał pana o broń, panie McCondy — powiedział. — Nie wiem, jak przeniósł ją pan przez kontrolę na Heathrow. Ale na pana miejscu czym prędzej bym się jej pozbył.

— Wtedy, pod bramą, obiecałem panu, że go dostanę. Jak mógłbym tego dokonać bez broni?

— Nie wiedziałem, że jest pan uzbrojony!

— Teraz pan wie.

— Nie chciałem, żeby znalazł się pan pod kluczem razem z osobnikiem, którego pan postrzelił. Lepiej więc, żeby nikt nie zobaczył pańskiego rewolweru.

— Jasne, kapitanie. — Rocky uśmiechnął się. — Jak pan sobie życzy.

Pół godziny później Beeves, Juliet i Rocky weszli do kuchni.

— Och, pani Graves, to musi być prawdziwe arcydzieło sztuki kulinarnej! — wykrzyknął Rocky. — Co za zapach!

— Zwyczajne angielskie śniadanie dla naszych gości — odparła gospodyni.

— Pan McCondy jest kimś więcej niż gościem — dodała Juliet. — Uratował nam życie!

— Nie bał się pan, panie McCondy? — spytała pani Beeves. — Pani Graves opowiedziała mi o wszystkim i o tym, jak musiał pan do niego strzelić. Ja bym umarła ze strachu.

— Jak my wszyscy — zapewniła Juliet.

Rocky roześmiał się.

— Nic dziwnego, że się baliście. Ale kiedy człowiek tkwi w tym po uszy, nie myśli o strachu. A kiedy trzeba działać, robi co do niego należy... Zanim pomyśli, że się boi, już jest po wszystkim.

— Proszę usiąść tutaj, u szczytu stołu — poprosiła pani Graves. — Jest pan dzisiaj gościem honorowym. Usmażyłam jajecznicę, dokładnie tak jak pan lubi...

— A skąd pani wie, jak lubię? — roześmiał się Rocky.

— Przypatrywałam się panu, kiedy pan ją smażył, panie McCondy...

— Jajka są akurat na tyle ścięte, na ile być powinny! — wykrzyknął Rocky, stawiając przed sobą talerz. — Jest pani uważniejszym obserwatorem niż przypuszczałem.

— ... A tosty, bekon, duszone pomidory i herbata dla wszystkich pozostałych — ciągnęła gospodyni, nie zwracając uwagi na ten komentarz. — Juliet, panie Beeves, proszę siadać. Wszystko jest gotowe. Wszystko poza jednym — dodała. — Ale w tej sprawie nie obejdzie się bez pomocy eksperta.

Wydobyła z kredensu puszkę.

— Jeśli pokaże mi pan, panie McCondy, jak odmierzyć wodę i kawę, z resztą jakoś sobie poradzę.

— Kawa! Pani Graves, muszę przyznać, że przypadła mi pani do serca! Chyba nie chce pani posłużyć się moją metodą, która

wymaga chemicznej zlewki i papierowego ręcznika?

— Panie McCondy, po pańskim wyjeździe kupiłam ekspres do kawy! Pomyślałam, że pewnie odwiedzi nas pan znowu. Ale dotychczas go nie używałam.

— Proszę więc pozwolić, że dokonam demonstracji! — Pełen entuzjazmu Rocky zerwał się z krzesła. — Pod jednym warunkiem, pani Graves!

— Po tym wszystkim, czego pan dokonał, gotowa jestem obiecać panu wszystko.

— Wypije pani ze mną łyczek tego wspaniałego napoju.

Juliet z rozbawieniem przysłuchiwała się tej rozmowie. Twarz ciotki leciutko się zaróżowiła. Pani Graves skinęła głową z mniejszą niechęcią, niż próbowała okazać. Na jej ustach pojawił się pełen zakłopotania uśmiech. Angielsko-amerykańska para wzięła się do przyrządzania amerykańskiego napoju. Ponieważ uczennica Rocky'ego była całkowitą ignoranką, musiał wyjaśniać wszystko szczegółowo. Po jakimś czasie oboje usiedli na swoich miejscach. Za ich plecami rozległy się syki, potem bulgotania.

— Ach!... Co za aromat! — wykrzyknął Rocky. — Czujecie? Bo ja tak!

— O tak, panie McCondy... pani Graves skinęła głową. — Chyba zaczyna mi się podobać.

— Podczas mojego krótkiego pobytu w Sevenoaks spostrzegłem, że nie ma tu zwyczaju modlić się przed posiłkiem — powiedział Rocky. — Jeśli jednak nie macie nic przeciwko temu, chciałbym podziękować Bogu za to, że nie zapomniał o nas podczas dzisiejszych wydarzeń, i za wspaniałe śniadanie, które przygotowały nam dwie mile panie.

Pochylił głowę i przymknął oczy. Inni zrobili tak samo.

„Panie, dzięki za to, żeś nad nami czuwał i przeprowadził nas bez żadnej szkody przez tę próbę. Dziękuję Ci za wszystkich tych dobrych ludzi, moich przyjaciół. Dziękuję, że nas kochasz. Prosimy Cię, byś nas nadal chronił, a także Adama, gdziekolwiek się znajduje. I dziękuję za to wspaniałe jadlo, które dałeś nam, byśmy się nim cieszyli. Amen.”

Kiedy pani Graves otworzyła oczy, spojrzała na amerykańskiego gościa z zupełnie nowym uczuciem szacunku, niemalże bojaźni.

Ledwie zwróciła uwagę na łzy, które podczas tej krótkiej modlitwy popłynęły z oczu Juliet.

Po chwili podjęli rozmowę. Rocky z wielkim animuszem opróżniał swój talerz. Wszyscy rozmawiali o błahych sprawach i śmiali się wesoło. Nikt już nie wątpił, że hałaśliwy Amerykanin wraz z poczuciem bezpieczeństwa wniósł nową moc i witalność do domostwa Livingstone'a. Wszyscy już zapomnieli o nieprzespanej nocy.

5.

Rocky został dwa dni w Sevenoaks.

Domownicy zapominali powoli o tragicznych wydarzeniach, tylko Rocky krył w głębi duszy troskę. Intruz nie znalazł tego, czego szukał — to pewne. Za tym wszystkim kryło się coś, co już dwa razy doprowadziło do naruszenia spokoju tego domu, a w dodatku wcale nie można przysiąc, że na tym koniec. Chociaż Scotland Yard nadzorował teraz dom dwadzieścia cztery godziny na dobę, Rocky zdawał sobie sprawę, że nie może zostawić domowników Adama bez dodatkowej ochrony.

Pewnego razu leżał późną nocą i rozmyślał, co powinien zrobić. Przypomniał sobie rozmowę z Laurene i Markiem Stanfordami przed wyjazdem z Nowej Anglii. Ustąpiło już zmęczenie podróżą i jego umysł znowu pracował na pełnych obrotach. Wiedział, że musi zachodzić jakiś związek między tym, o czym rozmawiali, i wydarzeniami, które wciągnęły go w swój bieg. Sam powiedział Livingstone'owi niejedno w drodze na lotnisko. Teraz zdał sobie jednak sprawę, jak wolno docierała do niego rozległość powiązań.

Mark i Laurene mają rację. Chodzi o realne niebezpieczeństwo. Był przekonany, że chodzi o szerszy spisek... znacznie szerszy.

Musi raz jeszcze z nimi porozmawiać. Musi dowiedzieć się o wiele więcej.

Następnego dnia w południe, po pierwszej dobrze przespanej nocy na angielskiej ziemi, Rocky połączył się z New Hampshire z

popłiskiej budki telefonicznej. Wiedział, że o tej porze Mark i Laurene zakończyli poranne modlitwy i jedzą śniadanie.

— Mark, tu Rocky — powiedział, kiedy pastor podniósł słuchawkę.

— Cześć, Rocky. Miło cię słyszeć!

— Muszę z wami porozmawiać. Macie trochę czasu?

— Teraz?... Przez telefon?

— Nie mogę z tym zwlekać. Zaszły pewne wydarzenia...

Wszystko nabrało tempa.

— Rozumiem... Oczywiście mam czas — rzekł pastor zatroskanym głosem. — Właśnie skończyliśmy śniadanie. Co się stało?

— Kolejne włamanie.

— Czy zrobiono komuś krzywdę? — spytał z powagą Mark.

— Nie. Sytuacja została opanowana.

— Jak mogę pomóc?

— Muszę zadać ci jeszcze kilka pytań. Ciągłe za mało wiem.

— Poczekaj chwilę. Poproszę Laurene, żeby podniosła drugą słuchawkę.

— Witaj, Rocky — usłyszał kilka sekund później głos pani Stafford.

— Cześć, Laurene. Przepraszam, że zawracam wam od rana głowę.

— Cóż znowu, Rocky! To nasz obowiązek.

— Mów, Rocky — powiedział Mark. — Co cię trapi?

6.

Rocky skupił teraz myśli na poprzedniej rozmowie ze Staffordami.

— Mówiliście mi o wiekach albo epokach, które składają się na historię — zaczął.

— To prawda.

— No dobrze, skoro zbliża się pora kolejnej zmiany, której datę wyznacza być może rok 2000, wolę wiedzieć, czego się mam spodziewać. Co to będzie za nowa era?

— Wielu nie zgodzi się ze mną — odpowiedział Mark. — Większość wierzących oczekuje czegoś zupełnie odmiennego niż do tej pory. Ja jednak myślę, że będzie to era oszustwa.

Rocky zamyślił się nad słowami pastora.

— A panowanie Boga? — odezwał się po chwili milczenia. — Myślałem, że Męka zbliży chwilę zwycięstwa Pana na ziemi.

— I masz rację, ta chwila nadejdzie. Będą to czasy odpoczynku Boga.

— Ale nie teraz?

— Nie teraz. Moim zdaniem jest to sprawa przyszłości.

— Słyszałem jednak, że mówi się o końcu okresu liczącego sobie sześć tysięcy lat. Myślałem, że nadchodzące milenium oznacza tysiąc lat panowania Bożego.

— Jak powiedziałem, to wszystko wydarzy się naprawdę, ale moim zdaniem ci, którzy mówią, że nastąpi teraz era odpoczynku Boga, niewłaściwie odczytują znaki. Zacznie się epoka szósta, nie zaś siódma. A wiesz, co symbolizuje liczba sześć?

— Co? — spytał Rocky.

— Niedoskonałość, podział, sprzeciw wobec Boga... spisek.

— Hmm...

— W najbliższym czasie zaczniemy żyć w szóstej erze, czyli w szóstym dniu historii, w erze oszustwa, nie zaś tysiącletniego panowania Jezusa. Tak w każdym razie sądzę. Później, kiedy szatan będzie zdemaskowany, a spisek unicestwiony... wtedy nadejdzie brzask siódmej epoki.

— To brzmi rozsądnie.

— I wtedy liczba sześć zrodzi liczbę siedem. Nastąpi milenium odpoczynku.

— Za tysiąc lat?

— Wcale nie powiedziałem, że era oszukaństwa będzie trwać tysiąc albo dwa tysiące lat. Może tak. A może tylko sto lat. Rzeczywiste trwanie nie ma tu większego znaczenia. Chodzi przecież o ery w Bożym rozkładzie zajęć.

— A co ty myślisz?

— Ta era potrwa tylko, póki lud Boży pozwoli się zwodzić. Miejmy nadzieję, że niedługo. Kiedy ludzie powstaną przeciwko

oszukaństwu, nieprzyjaciel utraci wszelką nad nimi władzę.

— Lud Boży? — powtórzył Rocky. — Chyba nie rozumiem.

— Chodzi o tych, którzy spodziewają się, że zostaną w cudowny sposób przeniesieni z tych czasów w okres Bożego odpoczynku. Oni są najbardziej podatni na oszukaństwo. Ponieważ nie widzą czasów, które nadchodzą, nie mają żadnej obrony.

— Chcesz powiedzieć, że to nie świat da się zwieść podczas trwania szóstej ery?

— Świat już dał się zwieść — włączyła się do rozmowy Laurene. — Oczywiście świat został objęty oszustwem, ale przecież świat nigdy nie uznał prawdy. Nic nowego.

— Największemu oszukaństwu, które będzie wyznacznikiem nowej ery, ulegną ci, którzy uważają się za lud Boży — dodał Mark.

— Wszyscy chrześcijanie? — spytał Rocky, próbując pogodzić się z tym nowym dla niego postrzeganiem końca czasów.

— Nie. Część dostrzeże znamię czasów i trafnie odczyta prococtwa, będzie więc wiedziała, co się dzieje. Ich zostanie jednak garstka. Większość zbłądzi w odczytywaniu prococtw. Ci nieliczni, jak niegdyś Noe i jego bliscy, znajdą się w arce Bożej obrony i, jeśli wolno mi rozwinąć tę metaforę, poześlują ku przyszłości, tworząc pomost nad wyrwą między erami.

Mark umilkł i sięgnął po Biblię.

— W 2 Liście do Tymoteusza, rozdział 3 mamy ustęp, w którym Paweł mówi właśnie o szóstej erze, która doprowadzi ludzkość do końca czasów — powiedział, kartkując Pismo. — Posłuchaj. „W dniach ostatnich nastaną chwile trudne. Ludzie bowiem będą samolubni, chciwi, wyniośli, pyszni, bluźniący, nieposłuszni rodzicom, niewdzięczni, niegodziwi, bez serca, bezlitośni...

Będą okazywać pozór pobożności, ale wyrzekną się jej mocy.” Widzisz, Rocky. Apostoł mówi o chrześcijanach, nie o świecie. A dalej czytamy: „Z takich bowiem są ci, co wślizgują się do domów... co przeciągają na swoją stronę kobiety obciążone grzechami, powodowane pożądaniem różnego rodzaju, takie, co zawsze się uczą,

a nigdy nie mogą dojść do poznania prawdy”.

— Nigdy nie sądziłem, że tego rodzaju ostrzeżenia mogą odnosić się do Kościoła.

— Moim zdaniem wielu chrześcijan ulegnie oszukaństwu i nie odróżni prawdy od fałszu, który ukryje się pod pozorem pobożnych praktyk, choć nie zabraknie wokół nich autentycznej pobożności. Przeciwno takim ludziom ostrzega Paweł. Powiada, że ataki będą skierowane przede wszystkim przeciwko rodzinom. A najbardziej zjadliwy i oszczerczy okaże się atak na rodziny tych, którzy najwytrwalej stoją przy Słowie Bożym i najbardziej chcą mu być posłusznymi.

— A zaraz potem Paweł mówi Tymoteuszowi, jakiej pobożności trzeba, żeby przemóc oszukaństwo — dodała Laurene. — Posłusznym Bóg powierzy swoje prawdy. Będą głosić nie gwałt i prześladowania, ale posłuszeństwo i oddanie sprawie Jezusa Chrystusa.

— Ci właśnie swoim życiem i dzięki swojemu posłuszeństwu obnażą kłamstwo i oszustwo, aczkolwiek najpierw tamci, szerzący oszustwo, zrobią wszystko co w ich mocy, żeby zniszczyć ich i ich rodziny. Posłuszni objawią, czym jest liczba sześć, aby nie pomyłono jej z siedem. Oni to przygotują ścieżki na przyjście Chrystusa w pełni mocy — powiedział Mark.

— Mówicie ciągle o pozostałych. Kim oni są? — spytał Rocky.

— Przyjdą z całego Ciała Chrystusowego, ewangelicy, charyzmatycy, katolicy, baptyści, członkowie Kościoła episkopalnego, Adwentyści Dnia Siódmego, prezbiterianie, liberałowie i fundamentaliści.

— A ci oszukani?

— Przyjdą z tych samych Kościołów, i to, niestety, w znacznie większej liczbie. Więcej będzie tych, którzy zapomną o zmianie, niż tych, którzy przejdą do nowej ery.

— Będą jednak tacy?

— Każdy przełom ma swojego Noego wraz z rodziną, ktoś bowiem musi przenieść prawdę do nowej ery. A już szczególnie odnosi się to do naszych czasów. Trzeba rozświetlić mroki i fałsz nowej ery światłem prawdy, aby Kościoły dostrzegły wreszcie, kto jest ich Głową.

— Co to ma wspólnego z papierami, które pokazałem wam u was w domu?

— Sojusznikami diabelskiego spisku są ci wszyscy, którzy utrwalają na ziemi oszukaństwo. Ten, kto sprzymierzył się z tą sprawą, dostał wielką władzę na ziemi, a nawet wielką duchową siłę zwodzenia. Wszyscy znamy już dobrze określenie *New Age*, nowe czasy. I to właśnie przyjdzie, nowe czasy, które nie będą żadną nowością, a które zostaną przedstawione światu i Kościołom jako epoka pokoju i oświecenia. Lecz to dobro będzie fałszem.

— A co ja mogę tu zdziałać?

— Sądzę, że wdepnąłeś w sam środek gniazda szerszeni, i to na bardzo wysokim szczeblu spiskowej i szatańskiej hierarchii.

— Jak powiedział Mark, wielu chrześcijan rzuci się w paszczę oszustwa — dodała Laurene. — Nie mają o niczym pojęcia. To istota sprawy. Nawet teraz nie widzą, co się dzieje. I taki właśnie był od stuleci plan sił nieprzyjacielskich.

— Od tysięcy — poprawił ją Mark. — Wszystko zaczęło się w Babilonie.

— To prawda — przyznała Laurene. — Chodzi o to, by ukołysać świat do snu, bo wtedy władzę obejmie nieprzyjaciel i będzie dyktował ludziom, jak mają myśleć i jak postrzegać prawdę.

Po tych słowach zapadło na dłuższą chwilę milczenie.

7.

— Właśnie dlatego teoria ewolucjonistyczna jest kamieniem węgielnym oszukańczej strategii — podjął po jakimś czasie Mark. — Pod przykrywką nauki i prawdy wypycha się stopniowo Boga poza wzorzec myślenia o świecie.

— Czemu więc grozi mi niebezpieczeństwo? Czemu grozi Adamowi Livingstone'owi?

— Ponieważ możesz zdemaskować oszustwo. Tak podejrzewam. Zapalono światła tam, gdzie wielkie kłamstwo humanistyczne

zyskuje siłę. Twój przyjaciel Livingstone wsadził kij w mrowisko.

— Nie rozumiem. Przecież jest tylko jednym z wielu archeologów.

— Centralna rola ewolucjonizmu w planach nieprzyjaciela tłumaczy to, co spotkało twojego pradziadka. Teraz w samym środku zawieruchy znalazł się Adam Livingstone, a razem z nim ty. Badania, które prowadził najpierw twój pradziadek, potem Livingstone, w tym odkrycie arki, grożą ruiną czysto ludzkiemu, humanistycznemu podejściu do spraw tego świata.

— Batalia toczy się więc o teorię ewolucji?

— Nie! O prawdę! Ewolucjonizm to tylko jedno z głównych narzędzi, jakie wybrał nieprzyjaciel, by podważyć prawdę. Bardzo niewielu zdaje sobie sprawę, do jakiego stopnia ich sposób myślenia został nasączony ewolucjonizmem i jego fundamentem, humanizmem.

— Ewolucjonizm był w pewnym sensie przyzwoleniem na porzucenie wiary — dodała żona pastora.

— Nie jestem pewny, czy rozumiem.

— Usunął Boga z równania opisującego dzieło stworzenia — odparł Mark. — Gdy tylko się pojawił, ludzie poczuli, że nie muszą już zdawać z niczego rachunku przed Wyższą Siłą we wszechświecie, i w rezultacie zaczęli tracić wiarę. A wtedy także w innych obszarach życia prawda uległa zmąceniu. Teoria ewolucji została wykorzystana przez nieprzyjaciela nie jako coś niezmiernie ważnego samo w sobie, ale jako narzędzie, które pozwoli osłabić moc prawdy. Ewolucjonizm wywołał efekt domina. Z drugiej zaś strony, jeśli człowiek uzna, że Bóg istnieje realnie, będzie musiał rozliczać się z dziesięcią przykazań i nauk Jezusa. W jednej chwili etyka i moralność nabierają z powrotem znaczenia.

Rocky spokojnie rozważał to, co powiedział pastor Mark.

— Odrzucenie wartości absolutnych, utrata poczucia, że jesteśmy odpowiedzialni za nasze osobiste decyzje oto rezultat, który ma ogromne znaczenie nie tylko dla chrześcijan, ale dla wszystkich ludzi. Stopniowo i niedostrzegalnie nastąpiło przesunięcie i

kłamstwo, i fałsz zaczęto nazywać prawdą. Nawet chrześcijanie, którzy nie wierzą w prawdziwość teorii ewolucji, ulegli i przestali dostrzegać absolutny aspekt świata.

— Chrześcijanie nie widzą, że rychło nastąpi przełom, który przyniesie erę oszukaństwa — dodała Laurene — gdyż nadchodzi ukradkiem. Nie widzą, że naszym światem zawładnął niepostrzeżenie owczy pęd i kompromis, a wartości, standardy moralne, postawy...

Nagle zamilkła.

— Mark — powiedziała po krótkiej chwili głosem pełnym niepokoju — mam uczucie, że musimy czym prędzej się pomodlić.

— Módlmy się więc.

Wszyscy troje złożyli ręce, łącząc się ponad tysiącami mil w modlitwie.

— W Twe imię, Panie — zaczął Mark — znosimy władzę nieprzyjaciela nad Twoim sługą Rockym McCondyem i nad wszystkimi, z którymi się związał, a zwłaszcza nad Adamem Livingstone'em. Idź, Panie, przed nimi i prowadź ich. Chroń ich, Boże, i niechaj spełnią się przez nich Twoje plany.

Teraz zabrała głos jego żona:

— Umiłowany nasz Panie, wiemy, że pozostałych przygotujesz nie spośród tych, którzy w widomy sposób skorzystają z głoszenia Twojego Słowa. Ci nie potrzebują Twego serca, lecz znaków i cudów, które będą sensacją dla świata. Są koprem, miętą i kminkiem słów proroczych, zewnętrzną stroną kubka, misy i dzbana. Wypowiadają słowa, które Pan dał prorokom, lecz przemilczają znaczenie tych słów. Modlimy się, Panie, ażeby ci, którzy wyjaśniają wydarzenia, używając wyłącznie marnego światła człowieczego rozumu, usłyszeli to, co Ty, Panie, mówisz swojemu Kościołowi.

Ci ludzie nie dostrzegą przełomu czasów, ponieważ nie poznają jego prawdziwego znaczenia. Panie, daj swe znaki tym, którzy patrzą sercem. Pomóż nam, abyśmy zachowali czujność, gotowość, ostrożność. Pomóż nam zważać na czasy, wielu bowiem z ludu Bożego da się zwieść. Powiedziałaś, że kłamstwo zostanie nazwane prawdą, synowie będą odebrani ojcom, córki matkom i autorytety będą

wzgardzone. Powiedziałeś, że serca świętych pękną na ołtarzach dni, które nadchodzą. Złodziejami prawdy będą ci, którzy nazywają siebie ludem Bożym, lecz nie znają Pana podług serca. Nie uczynili ścieżek Pana swoimi. Panie nasz umiłowany, pozwól, by przyszła pora uzdrawiania ofiar przełomu. Jeśli taka jest Twoja wola, niechaj dzień Twego powtórnego przyjścia będzie jak najbliższy. Tak mówią nasze serca, Panie. Spraw cud dla tych, którzy znają Twoje ścieżki. Niechaj niewidoczna roślina wykiełkuje z długo pogrzebanych korzeni... z prawdziwych korzeni życia.

Słuchając tych słów, Rocky poczuł mrowienie w plecach.

— Panie, nie sądzę, żeby znak był taki, jak wyobraża sobie wielu — ciągnęła Laurene. — I boję się, że tylko garstka go rozpozna. Spełnij jednak, Panie, to, co zamierzyłeś. Oby był to znak podobny do narodzin Dzieciątka w żłóbku. Faryzeusze wyglądali dzierżącego miecz króla-wojownika. Nie dostrzegli narodzin Bożego Dziecięcia. Wiem, że Twoje zbawienie nadchodzi po cichu, w cichoci serca będziemy więc czekać na znak Twojego powtórnego przyjścia.

Zapadło milczenie. Wszystko już powiedziano i pozostało im tylko dodać: „Niechaj stanie się według Twojej woli, Panie”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZPOCZYNA SIĘ POSZUKIWANIE

1.

Kapitan Thurlow ze Scotland Yardu dopiero dwadzieścia cztery godziny po incydencie zdołał skontaktować się z Adamem Livingstone'em, a i to łącząc się poprzednio z małym pobliskim lotniskiem.

Adam niemal cisnął telefon, z którego zadzwonił do Thurlowa, kiedy dotarła do niego prośba o szybki kontakt; gotów był ruszyć biegiem na poszukiwanie dwumiejscowego samolotu, który natychmiast wzbilby się w powietrze i przewiózł go z profesorem Cissną na lotnisko w Nairobi.

— Spokojnie — powiedział Thurlow. — Zatrzymaliśmy intruza. Nic tu po panu.

— Powinienem być w takiej chwili w domu — upierał się Adam.

— Zdaję sobie sprawę, co pan czuje, ale lepiej będzie, jeśli zajmie się pan swoją pracą. Pański przyjaciel z Ameryki ma oko na wszystko. Piłnujemy posiadłości dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez naszej wiedzy nikt nie dostanie się do środka. O wszystkim będziemy pana informować. W tej chwili posiadłość jest zabezpieczona, nie poniósł pan żadnych szkód.

Adam, wstrząśnięty, ale przekonany już przez Thurlowa, wrócił

do obozu i opowiedział wszystkim, co się stało. Pół godziny spędzili omawiając w posępnych nastrojach sytuację.

— Chętnie polecę do Anglii, jeśli chcesz — zaproponował Scott.

— Sam nie wiem — westchnął Adam. — Tkwię tu bezradny, a tego nie znoszę. Thurlow ma jednak rację. Lepiej, żebyśmy zajęli się swoją pracą, bo i tak nic nie pomożemy. Cieszę się tylko, że jest tam Rocky.

— Zrobię, co zechcesz — zaferowała się Jen. — Tak samo jak Scott mogę przecież polecieć do Londynu, jeśli tylko uznasz, że na coś się tam przydam.

— Poczekajmy na dalszy bieg wydarzeń. Na razie mamy samolot i profesora Cissnę, powinniśmy więc tę sytuację wykorzystać, prawda, profesorze? — Zerknął w stronę Egipcjanina.

Dr Cissna skinął potakująco głową.

— Bierzmy się zatem do tropienia początków! — powiedział Adam, wstając i próbując zapomnieć o rozmowie telefonicznej z Thurlowem. — Planowaliśmy na dzisiaj wyprawę przez lasy na Mount Kenya. Ruszamy?

— Jestem gotów, panie Livingstone.

— Przed wyruszeniem pojedę chyba do obozu sir Bowlesa — rzucił Adam. — Powinienem porozmawiać z nim osobiście. Jak myślicie, natknę się tam na jakichś wścibskich reporterów?

— Od wielu dni ani słycho — odparł Scott.

— Czyżby spakowali manatki i wyjechali?

— Nie ma mowy. Lada dzień będą tu z powrotem, to pewne.

— Muszę chyba zaryzykować. Wrócę za niecałą godzinę.

Wstał i po chwili jechał już w stronę obozu Bowlesa.

— A więc, sir Gilbercie, znowu spotykamy się w Rowie Afrykańskim, który przyniósł panu sławę — powiedział Adam, wyskakując z land rovera i idąc w stronę sławnego kolegi, który stał przed namiotem z filiżanką herbaty w ręku.

— Moja sława nie dorównuje pańskiej — odpowiedział Bowles, starając się ukryć rozdrażnienie, jakie nie opuszczało go od wydarzeń w dniu rozbitcia obozu.

Rozmyślał właśnie o Livingstone'ie, zastanawiając się, jak dojść do tego, czym się tu młody archeolog zajmuje. W tej sytuacji nie był to być może najodpowiedniejszy moment na wizyty. Wiedział, że Cutter zacznie się coraz bardziej niecierpliwić. Na szczęście Zorin zniknął dwa dni temu i ku zadowoleniu Bowlesa dotychczas się nie pokazał.

— Przelotne zainteresowanie kapryśnej publiczności

— odparł Adam. — Jestem pewien, że tyle zostanie z całej historii z arką.

— Tere-fere, Livingstone! — uśmiechnął się Bowles. — Marzy z pana kłamca.

— O ile wiem, zamierza pan ustalić bardziej szczegółowo chronologię zamieszkiwania tych terenów przez ludzi?

— Właśnie.

— Jak idą prace?

— Bardzo... hmm, bardzo dobrze. Wkrótce przybędą tu moi... hę, moi partnerzy.

— Zwolennicy ewolucjonizmu stąpają po niepewnym gruncie, sir Gilbercie — uśmiechnął się Adam. — Z pewnością czytał pan książkę Daltona odsłaniającą słabości hipotezy Darwina.

— Stek bzdur.

— W pana interesie jest iść z duchem czasów, sir Gilbercie. Być może Biblia ma jednak rację, a my, dwudziestowieczni ludzie nauki, zeszliśmy na manowce.

— Mówi pan jak naukowiec, który stracił rozum. To pan, Adamie, musi pomyśleć o tym, żeby iść z duchem czasów. Postęp to marsz do przodu, nie do tyłu. No tak... pogadaliśmy o moich zamiarach, czas więc najwyższy porozmawiać o pańskiej pracy.

— Ach, sir Gilbercie, jesteśmy wprawdzie kolegami, ale doskonale pan wie, że archeolog nie może wyjawiać swoich przypuszczeń.

Bowles skrzywił się nieznacznie. Zbyt bezpośredni atak.

— Niechże pan wyłoży karty na stół — ciągnął Adam.

— Nie przyjechał pan tutaj po tylko, żeby katalogować wykopiska w Oldoway. Z pewnością ma pan coś więcej na widoku, prawda?

— Muszę odplącić się panu pięknym za nadobne. Chyba nie oczekuje pan, Adamie, że podzielę się moim następnym wielkim odkryciem z kimś, kto stara się mi dorównać.

— Celny strzał! — Adam roześmiał się pogodnie. — Widzę, sir Gilbercie, że doskonale się rozumiemy. Naprawdę powinniśmy pomyśleć kiedyś o współpracy.

Bowles przez chwilę milczał. To doprawdy ostatnia rzecz, jaka go interesowała. W jego przekonaniu nikt nie ma prawa być tak przystojny i szanowany jak to jest w przypadku Adama Livingstone'a.

— O ile mi wiadomo, sprowadził pan do pomocy kogoś z Kairu — powiedział wreszcie, sącząc herbatę. Spojrzał na Adama, unosząc brew.

— Widzę, że jest pan doskonale poinformowany, sir Gilbercie — odparł Adam, który nie potrafił ukryć zaskoczenia. — Jak on to odkrył?

— W Oldoway też toczy się życie, ludzie mówią to i owo. Po obu stronach wąwozu wszyscy są ciekawi, czego pan szuka.

Adam uśmiechnął się. W każdym razie ciekawy jest sir Gilbert, to pewne. Wątpił, by kogokolwiek jeszcze interesowały jego zamierzenia. Skoro jednak wieść o przybyciu profesora Cissny już się rozeszła, nie ma mowy o dyskrecji.

— Czym się ten ktoś zajmuje? — spytał Bowles. — Tyle może pan chyba wyjawić.

— Jest pan byстрыm człowiekiem, sir Gilbercie. Powiem tylko, że wyruszamy jeszcze dzisiaj rana na poszukiwania i może pan oczywiście za nami pospieszyć... jeśli dotrzyma nam pan kroku. No, czas na mnie. Pomyślnych łowów, sir Gilbercie.

Bowles popatrzył za odjeżdżającym Adamem. Zaklął pod nosem, chlusnął na ziemię resztką herbaty i zapalił grube cygaro.

Rozejrzał się dokoła, zadając sobie pytanie, kiedy zobaczy znowu Zorina. Wiedział o samolocie Adama. Kiedy tylko Livingstone wystartuje, trzeba jechać na lotnisko i postarać się kupić garść informacji.

2.

— Miejcie na oku Bowlesa — powiedział Adam do Jen i Scotta, wysiadając z profesorem Cissną na małym lotnisku. — Nie chcę, żeby dowiedział się, czego szukamy.

— Tak jest, szefie! — roześmiała się Jen, próbując dla żartu naśladować sposób mówienia Scotta.

— Potem pojedźcie do Maniary i pobierzcie trochę próbek rdzeni — dodał Adam, zwracając się do Scotta.

— Z jakiej wysokości?

— WP — odparł dr Cissną.

— Co to znaczy? — spytała Jen.

— Wysokość piersi, jakieś metr czterdzieści. Taka jest norma.

— To będzie dla nas dobry punkt wyjścia — dodał Adam. — Chciałbym jednak, żebyście wzięli dla porównania trochę próbek z poziomu ziemi i niższego, wchodząc najgłębiej, jak się da, w system korzeniowy. Chodzi o baobaby. To samo, także w przypadku innych gatunków, zrobimy na Mount Kenya. Wrócimy jutro albo pojutrze.

Wsiedli do samolotu, a Jen i Scott pojechali land roverem z powrotem do obozu.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, skorzystam z okazji i zdrzemnę się godzinkę, bo marnie spałem dzisiejszej nocy — powiedział, ziewając botanik, kiedy zajmowali miejsca w samolocie.

— Niech pan opuści oparcie fotela i założy maskę na oczy. Warkot silnika uśpi pana w jednej chwili.

Sir Gilbert Bowles podązał wzrokiem za wznoszącym się samolotem. Polecieli na północ, ale to mu niewiele mówiło. Rów Wschodnioafrykański ciągnął się od tego miejsca prawie pięć tysięcy kilometrów na północ. Mogli lecieć gdziekolwiek.

Profesor Cissną zasnął. Pod nimi przesuwały się góry, kratery wulkanów, doliny, jeziora i równiny północnej Tanzanii. Adam był coraz bardziej podekscytowany, kiedy patrzył na tę jedyną w swoim rodzaju, mierzącą sześć tysięcy kilometrów z północy na południe

szramę w ziemskiej skorupie. Tyle już rzeczy ujawniła z przeszłości, ale kryło się tu z pewnością jeszcze mnóstwo niezwykłych tajemnic, które być może nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Biegące od Mozambiku na południu po Liban na północy pęknięcie powstało wskutek działania podziemnych sił, które rozdzierały powoli skorupę ziemską, tworząc szerokie doliny ograniczone równoległymi urwistymi uskokami. Jednocześnie erupcje wulkaniczne wypychały z głębin płynną lawę.

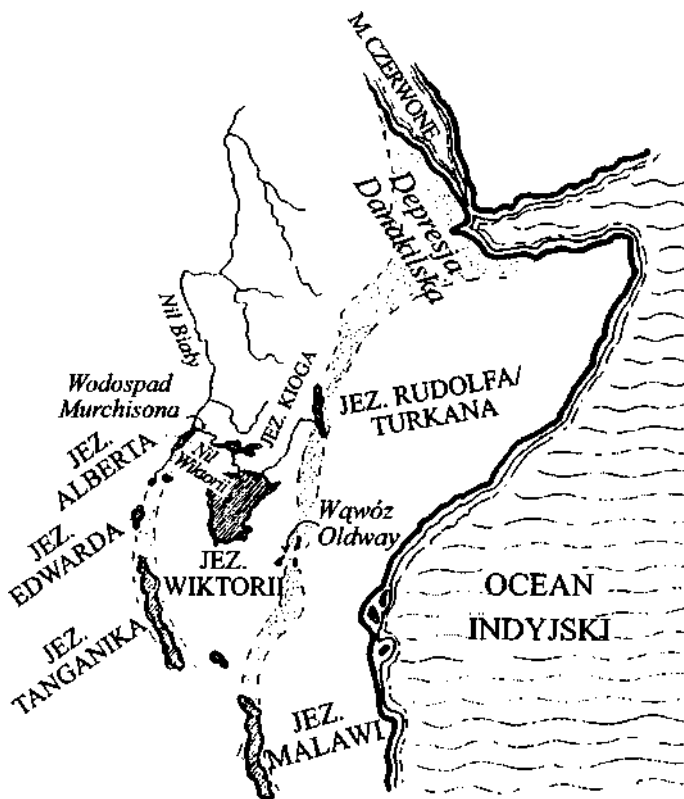
To rozciąganie i rozrywanie jeszcze się nie zakończyło. Kiedy tak lecieli na północ, Adam widział świadectwa tego procesu. Tu i ówdzie, z częściowo aktywnych wulkanów wzbijały się para i dym, to tu to tam buchały wirujące obłoki, bulgotały fontanny węglańu sodowego. Co jakiś czas widziało się biały odbłask połaci sody i refleksy słońca na jeziorach soli gorzkiej i sody.

W tym momencie swoich dziejów ogromne pęknięcie mierzyło w przybliżeniu pięćdziesiąt kilometrów szerokości, aczkolwiek w środkowej Etiopii rozszerzało się do jakichś pięciuset kilometrów, tworząc na południe od Morza Czerwonego depresję Danakil.

Adam wiele razy i w rozmaitych miejscach stawał w tej części Wielkiego Rowu na szczycie uskoku. Z wysokości sześciuset metrów patrzył na równinę rozciągającą się na dnie. Przeważnie można było wypatrzyć po jego drugiej stronie takie samo pionowe urwisko jak to, nad którym stał. Ogrom wielkiej szramy budził grozę w sercu patrzącego.

A przecinała nie tylko Afrykę. Północny jej koniec to izraelska Dolina Jordanu. Stamtąd biegła na południe Wórzem Czerwonym, etiopską wyżyną i dalej na południe przez większość Afryki Wschodniej. Tam rozgałęziała się i przechodziła w mniejszą zachodnią odnogę, która obejmowała jeziora Alberta i Tanganika. Majestatyczne Jezioro Wiktorii rozciągało się prawie dokładnie pośrodku między dwiema odnogami.

Nie było na całej ziemi miejsca tak zróżnicowanego pod względem aktywności geologicznej. Nic dziwnego, że właśnie tutaj dokonano tak wielu odkryć archeologicznych dowodzących przeszłości człowieka — rozmyślał Adam.



Patrząc z góry, Adam raz jeszcze pogрузił się w rozważaniach nad teorią, która była powodem jego przybycia w to miejsce, a która mówiła, że właśnie tutaj znajdował się biblijny Eden. Czy rzeczywiście Wielkie Rowy Afrykańskie były częścią rajskiego ogrodu? Jeśli z jakichś niepojętych dla człowieka powodów Wszechmogący postanowił podzielić, rozciąć albo ukryć Eden, czy jest jakiś naturalniejszy sposób, niż sprawić, by dokonała tego sama ziemia?

Wyobrażał sobie, jak w ciągu stuleci zachodziły na ziemi zmiany, jak kontynenty stopniowo się powiększały wskutek pęknięć skorupy ziemskiej i zjawiska wędrówki kontynentów... Ziemia pękała, ulegała rozdzieleniu... Afryka oddzieliła się od Bliskiego Wschodu,

rzeki zmieniły się w morza. W tym momencie na obraz tych procesów nałożyła się wizja innego pęknięcia... odgradzającego człowieka od Edenu, oddzielającego dwa drzewa od reszty ogrodu... mężczyzn i kobiet od Stwórcy.

Według Biblii, która leżała w jego namiocie, Stwórca wypędził pierwszych ludzi z raju, a jego położenie ukrył.

I podobnie ziemia tam w dole zmieniła się, przemieściła i ukryła sekrety swej przeszłości, ujawniając jedynie ich zwodnicze fragmenty.

Czy te dwa ukrycia mogą być jednym i tym samym?

Czy nadeszła już pora takiego objawienia?

Adam wziął głęboki oddech; na myśl, że może mieć coś wspólnego z czymś tak ważkim, ogarnęło go uczucie pokory. A jednak miał wrażenie, że potrafi to osiągnąć — prawie jakby został do tego zadania wybrany. Arka... Próbkę lodowca... A teraz być może próbki roślinne, które przygotowują z kolegą botanikiem. Wspólnie będą starali się znaleźć potwierdzenie jego teorii.

Spojrzał w dół na krater Ngorongoro i trzy inne położone tuż na północ. Po drugiej stronie rozciągało się jezioro Maniara. Nawet w tej chwili mógłby zobaczyć w pobliżu jeziora stado słoni, jest to bowiem największe ich skupisko na ziemi. Znacznie dalej na wschód, po drugiej stronie wielkiego obszaru znanego jako Wielki Kocioł, na wysokość sześciu tysięcy metrów nad poziom morza wznosił się posępny szczyt Kilimandżaro.

Skupił teraz uwagę na terenie przed samolotem i na sterach. Spojrzał na swojego śpiącego pasażera. Niebo było jasne i bezchmurne. Powoli wznosili się coraz wyżej, ponad wulkan Langai, który ostatni raz wybuchł w 1966 roku. Po lewej stronie rozpościerała się rozległa równina Serengeti. Dalej na zachód, poza zasięgiem jego wzroku, leżało bajeczne Jezioro Wiktorii.

Wschodnia Afryka to kraina spotykanych na każdym kroku kontrastów. Bujna dżungla i las deszczowy. Skaliste tereny pustynne. Kotły piekielnie gorących źródeł. Czy bogactwo świata roślinnego nie wskazuje na to, że kiedyś był tu Eden? Lecieli teraz nad jeziorem Natron, którego północny brzeg wyznaczał granicę między Kenią i Tanzanią. Wkrótce mieli za sobą urwisko Nguru i polecieli

z odchyleniem północno-wschodnim, w stronę Nairobi, płaskowyżu Aberdare i dalej w dół ku Naniuki. Stamtąd znowu pod górę w stronę Mount Kenya.

Przypomniał sobie rozmowę, jaką miał poprzedniego dnia ze Scottem.

— Powtarzam ci któryś raz, Adam — mówił Scott. — Nigdy nie wiedziałem, co myśleć o twoim zainteresowaniu archeologią biblijną i wszystkim, co wiąże się z tym facetem, którym zajmowałeś się podczas studiów.

— Nie zaprzeczysz jednak, że obszar Rowu ma jakieś związki zarówno z Biblią, jak i geologią.

— Nie zamierzam zaprzeczać. Nie wiem po prostu, dlaczego cię to tak szalenie interesuje.

— Jeśli ziemia naprawdę się rozstąpiła, w Starym Testamencie znajdziemy lepsze potwierdzenie tego faktu niż gdziekolwiek indziej. Nie uważasz, że to fascynujące?

— Pewnie tak. Musiała być jakaś gwałtowna przyczyna tego, że Morze Czerwone pochłonęło Egipcjan ścigających Mojżesza i Izraelitów — przyznał Scott. — Najpierw jednak musisz przyjąć, że do czegoś takiego w ogóle doszło, a większość uczonych w to nie wierzy.

— A może istnieje inne wyjaśnienie tego faktu?

— Niby jakie?

— Interwencja samego Boga. Czy nie taki jest sens biblijnej opowieści?

— Ja jednak jestem geologiem i mam wytłumaczyć, w jaki sposób Wszechmogący wywołał te zjawiska, posługując się naturalnymi procesami. Morze Czerwone leży w samym środku Rowu, z tym zgadzają się wszyscy. Wniosek stąd, że aktywność geologiczna na obszarze Rowu mogła być tym niewidzialnym czynnikiem, który umożliwił przejście Morza Czerwonego. Na południe od Morza Martwego w niezbyt dużej odległości leżą Sodoma i Gomora. To także środek Rowu. Wygląda na to, że ta opowieść wiąże się z wyrzuceniem siarki przez wulkan.

— Także jezioro Natron przypomina o ogniu i siarce. Kto wie, może ognisty deszcz spadł nie tylko na Sodomę i Gomorę.

— Uważasz więc, że wulkan na terenie Rowu jest wyjaśnieniem biblijnej opowieści?

— Nie możesz sobie wyobrazić gigantycznej fumaroli, gdyby góra Dallol rzygnęła na miasto ogniem, solą i siarką? Nie wspomnę nawet o słonym jeziorze Karun i żonie Lota. Kiedy słyszę tego rodzaju historie, myślę nie o legendzie, ale o relacji świadka, który na własne oczy widział wielki kataklizm.

— No dobrze. Przekonałeś mnie — roześmiał się Scott. — Wystarczy już tylko spędzić trochę czasu na terenie Rowu i zdać sobie sprawę, jak gwałtowne i nagłe mogą być ruchy skorupy ziemskiej i wstrząsy.

Silnik zwolnił obroty i profesor Cissna obudził się. Adam wrócił myślami do teraźniejszości.

— Nieźle się pan przespał — powiedział. — Schodzimy do lądowania.

3.

Po południu botanik i archeolog chodzili to tu, to tam w gęstym poszyciu dolnej części stoków Mount Kenya, jakieś czterysta kilometrów na północ od Oldoway.

— Jest tu tyle starych gatunków roślinnych, że nigdy nie pokażę panu wszystkich — powiedział dr Cissna. — Co za bujność, co za gęstwina! Prawdę mówiąc, nie znamy nawet połowy gatunków z terenów między Mount Kenya a pozostałościami po lasach deszczowych z Zairze, niegdyś zwanym Kongiem Belgijskim.

— Znowu nazywa się Kongo, nie słyszał pan?

— Oczywiście — roześmiał się profesor. — Kiedy już przywykłem do zmienionej nazwy, trzask prask przychodzi nowa zmiana.

— Nie mamy tu nic równie starego jak *pinus aristata* i baobab?

— To para głównych kandydatów do tytułu rekordzisty w długowieczności. I właściwie nie widać na horyzoncie żadnych rywali. Znaleziono natomiast żywy okaz *pinus aristata* liczący sobie 4900 lat.

— Zdziwiająco. Sprzed hebrajskich patriarchów!

— Jest coś jeszcze bardziej zadziwiającego. Specjaliści od dendrochronologii porównali próbki żywych i martwych okazów *pinus aristata*, i zdołali zestawić ciągłe serie pierścieni wzrostowych wskazujących na datę ponad sześć tysięcy lat przed Chrystusem, czyli ponad osiem tysięcy lat. Zgodnie ze starą chronologią Usshera chodzi o czasy sprzed potopu.

— Chyba nie jest pan zwolennikiem tego systemu datowania?

— Nie, ale i tak jest to bardzo intrygujące. Mam na ten temat swoje teorie.

— Czy zechce mi pan o nich powiedzieć, profesorze?

Szli w tym momencie obok siebie nieco rzadziej porośniętym terenem.

Botanik uśmiechnął się. Wydawało się, że rozważa starannie słowa, które ma powiedzieć, ale kiedy w końcu padły one z jego ust, zabrzmiały zupełnie jednoznacznie.

— Myślę, że prędzej czy później znajdą się tutaj okazy dwa razy starsze niż *pinus*.

— To mi się podoba! — roześmiał się Adam. — Widzę, że współpracuję z właściwym człowiekiem. Mówimy tym samym językiem, profesorze!

— Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bogate jest tutaj życie roślinne. A także do jakiego stopnia dziewicze i niezbadane. Od czasów Granta i Stanleya oraz szkockiego geologa, Johna Waltera Gregory'ego, wiele uwagi poświęcono trzystukilometrowej szerokości pierścieniowi wokół Jeziora Wiktorii. Gregory zapuścił się dalej na wschód, na obszar Rowu. I chociaż roślinność jest tutaj nadzwyczaj bujna, niektóre badania sugerują, że tysiące lat temu była bez porównania bujniejsza. Mogę się tylko domyślać, jak tu wtedy wyglądało. Na samą myśl ciarki przechodzą człowiekowi po grzbiecie... — Zamilkł. — Powiem po prostu, że dla mnie jest to niezmiernie ekscytujące — dodał po chwili.

— Jak i dla mnie, kiedy pana słucham — wyznał Adam.

— To ogromny kontynent — ciągnął dr Cissna — i ciągle nie do końca poznany. Za każdym razem, kiedy tu pracuję, myślę sobie, że tutejszej ziemi została przekazana jakaś szczególna energia stwórcza i że ta energia jest tu po dziś dzień... nadal dając życie i moc.

4.

Znaleźli się na niewielkim wzgórzu i zanim Adam zdążył skomentować osobliwe słowa botanika, profesor Cissna ruszył przed siebie biegiem i Adam popędził za nim.

— Spełniły się moje nadzieje! — wykrzyknął Egipcjanin, zbliżając się do zdumiewająco grubego pnia.

— Proszę tylko spojrzeć na ten baobab! I chyba jest zdrowy! Miejmy nadzieję, że nie okaże się całkiem pusty w środku.

Adam widział w swoim życiu mnóstwo baobabów, ale nigdy tak ogromnego.

— Dziwne wrażenie wywiera to drzewo — zauważył.

— Potężny, opasy i prosty pień, z którego ni stąd, ni z zowąd wyrastają na wszystkie strony gałęzie.

— Dziwne wrażenie? Może... Nie wyczuwa pan jednak, jak jest stare? To sędziwy staruszek. Te drzewa mogły przecież... och, na samą myśl dreszcz przebiega mi po grzbiecie.

— Co mogły, profesorze?

— Nieważne. Będzie się pan śmiał.

— Mogły przecież rosnąć w Edenie? — odpowiedział Adam.

Botanik obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

— Skąd takie niezwykle przypuszczenie?

— Widzi pan, archeologom czego jak czego, ale wyobraźni z pewnością nie brakuje — uśmiechnął się Adam.

— Podobno. A pan pod tym względem bije ponoć ich wszystkich na głowę.

— Mówił pan przed chwilą o energii stwórczej. Miał pan na myśli Boga?

— Panie Livingstone, ja jestem botanikiem, nie zajmuję się metafizyką.

— Pańskie słowa można by jednak uznać za aluzję do utraczonego prehistorycznego raju — Adam zerknął z ukosa w stronę profesora.

— Byłaby to zbyt daleko idąca interpretacja — roześmiał się Cissna.

— No dobrze. Przyznaje, że pozwoliłem sobie na zbyt daleko idącą interpretację. Czy mimo to zechce pan udzielić odpowiedzi na moje pytanie?

— W porządku, wygrał pan — powiedział wesołym głosem profesor. — Tak, przyznaję, moim zdaniem całe to życie nie jest dziełem przypadku.

— Może pan rozwinąć nieco tę wypowiedź?

— Wierzę, że dał je Bóg... to znaczy, dał życie na ziemi.

— Wierzy wiec pan, że istniało niegdyś coś w rodzaju Edenu?

— Jeśli pan pozwoli, odpowiem tak: Jeżeli ktoś wędruje po afrykańskim interiorze, nie może pozbyć się myśli o starodawnej opowieści. Nie dam się jednak wciągnąć w dyskusję na temat lokalizacji biblijnego raju.

Adam roześmiał się.

— I ma pan wrażenie, że ja próbuję pana w taką właśnie dyskusję wciągnąć?

— A nie próbuje pan? — W oczach profesora Cissny pojawiły się iskierki rozbawienia. Między dwoma mężczyznami wytworzyła się już koleżeńska więź. — Dziwuję się temu, na co dane mi jest patrzeć. I uważam, że jestem niezwykle szczęściarzem.

Adam przyklęknął przy ogromnej, poskręcanej i rozwidłonej przyziemnej części pnia i kilka minut oglądał go uważnie.

— Chyba trzeba pobrać próbkę, profesorze.

Zrzucili plecaki i wyjęli świder do pobierania próbek przyrostowych, wiertło, rączki, tuby i ekstraktor.

— Przypomina mi to najdziwniejszy artykuł, jaki zdarzyło mi czytać w „National Geographic” — powiedział Adam, kiedy przystąpili do pracy. — Czytał pan o niesamowitym zjawisku botanicznym w Arabii Saudyjskiej?

— Czy czytałem? Byłem tam pięć razy! Artykuł zilustrowano moją fotografią.

— Niesamowite! Proszę mi opowiedzieć.

— Nie ma nic do opowiadania. Najdziwniejsza rzecz, jaką widziałem w moim życiu... zupełna tajemnica.

— Pobrał pan próbki przyrostowe?

— Saudyjczycy nie pozwalają.

— Nie można ich przekonać, wyjaśnić, że chodzi o korzyści naukowe?

— Robimy, co możemy, żeby przekonać ich do celowości dalszych badań.

Chwilę pracowali w milczeniu, obracając ręczny świder, który skierowali na rdzeń pnia. Potem wyjęli ostrożnie ostatnią próbkę, wstali i umieścili ją w przezroczystej plastikowej rurce o przekroju kilkunastu milimetrów, którą dr Cissna przygotował specjalnie według wskazówek Adama. Adam włożył ją do sporego pojemnika, mieszczącego już kilka próbek. Nie odzywając się ani słowem stali koło olbrzyma.

— Czy wie pan, jak nazywają to drzewo? — spytał profesor Cissna po jakimś czasie.

— Wiem tylko, że to baobab.

— Nazywają go drzewem, w którym narodził się człowiek. Według opowieści krążących w plemienu Nuer drzewo, w którym narodził się człowiek, nadal rośnie za pamięci ich przodków w zachodnim regionie południowego Sudanu. I nie ulega wątpliwości, że baobab to najstarsza z żyjących rzeczy w Afryce... być może na całym globie. Ta legenda zawsze mnie intrygowała. Co więcej, ma ona jakiś związek z naszymi przodkami-szympanami... z naszymi, jak się powiada, przodkami, tak bym to ujął. Nadal jednak podoba mi się to określenie... Mam swoje powody... Szczyt wznoszący się na wschód od Oldoway, nieopodal pańskiego obozu to Ol Doinio Lengai, co tłumaczy się jako „góra Boga”. Przelatywaliśmy nad nią rano. Jest tu mnóstwo legend i opowieści, panie Livingstone, które sięgają wstecz nie tylko do czasów starożytnych, ale wręcz do początków. Jeżeli pragnie pan wysłuchać natchnionych legend i opowieści odnoszących się do początków, musi pan wiedzieć, że w Afryce znajdzie pan ich, ile dusza zapagnie.

— A potop? Czy są legendy afrykańskie mówiące o potopie? Takie jak w innych miejscach na świecie?

— Oczywiście. Jest tu bogactwo takich przekazów. Różnią się nieco w zależności od plemienia, ale rdzeń opowieści jest zawsze ten sam: Wszystkie plemiona uległy zagładzie, ocalało tylko ośmioro

ludzi. Z tej ósemki zrodziła się nowa rasa, która zaludniła Afrykę, a potem całą ziemię.

— Co się stało z drzewem?

— Mówią, że przetrwało potop razem z garstką ludzi. Według niektórych przekazów ósemka ocalonych przetrwała potop w gałęziach baobabu, nie zaś w ogromnej łodzi. I proszę zwrócić uwagę na jedno. Jeśli jakieś drzewo mogło przetrwać taki kataklizm, to tylko to! Inny przekaz, krążący w okolicach Udżidzi, mówi, że woda zalała równinę w rejonie Rowu, gdzie kwitło bujne życie zwierzęce. Z wód, które pozostały, powstało jezioro Tanganika.

— Ile pana zdaniem jest w tych legendach prawdy?

— Panie Livingstone, przecież to pan znalazł arkę! — zaśmiał się profesor Cissna. — Skłonny więc jestem raczej powątpiewać w opowieści o afrykańskim Noem i jego rodzinie, żyjących okrągły rok wśród gałęzi baobabu. Z pewnością wie pan jednak, że ten obszar niegdyś pokrywało morze. Są na to dowody.

— Takie dowody spotykamy na całym świecie.

— I dlatego trudno zaprzeczyć legendom i twierdzić, że potop był zjawiskiem lokalnym.

— A w jaki sposób przetrwał baobab? — spytał Adam, kiedy podjęli wędrówkę przez zarośla.

— Domyślam się, że to sprawa systemu korzeniowego, który przetrwał powódź, a nie wykiełkowania nowych roślin po ustąpieniu wód — odparł botanik.

— To brzmi przekonująco. Coroczne powodzie i erupcje wulkanów dowodzą, że jest to całkiem możliwe.

— Wie pan o znalezionych w Kolorado osikach... Drzewa pokrywające ponad sto akrów miały jeden system korzeniowy. Indyjski banian wypuszcza powietrzne korzenie, które zagłębiają się w ziemię, rozrastają i tworzą wiele oddzielnych pni. System korzeniowy jednego drzewa może zająć ogromną powierzchnię. Tak właśnie jest z mangrowcami na Florydzie. System ten może więc wskazywać, że drzewo jest bardzo stare, aczkolwiek chodzi tu o obszary nie do końca zbadane... To jeszcze jeden aspekt mojego teoretyzowania.

— To fascynujące, profesorze.

— Często pod ziemią trwa bujniejsze, choć niewidzialne, życie niż na powierzchni — ciągnął Cissna. — Większość życia toczy się w sposób niewidzialny dla ludzkiego oka, panie Livingstone. Proszę spojrzeć dokoła. Cała dolina Rowu jest świadectwem życia, które trwa pod powierzchnią i stara się przebić na wierzch.

— Rozumiem, co ma pan na myśli — roześmiał się Adam. — Przyznam, że nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

— Wiemy tak niewiele, gdyż zawierzyliśmy naszym oczom. Najgłębszych prawd, i to w każdej dziedzinie, trzeba jednak szukać inaczej.

— No, teraz mówi pan zupełnie jak filozof.

— Największe tajemnice są ukryte. To jedna z tych prawd, dzięki którym życie jest taką fascynującą przygodą! To właśnie jest rzeczą tak ekscytującą w botanice i tak odróżniającą ją, bez urazy, od archeologii. Botanika zajmuje się życiem! Proszę mi nie mieć za złe tych słów — dodał z uśmiechem.

— Wcale nie czuję się dotknięty — zapewnił go Adam.

— Moja specjalność to badanie żywych organizmów. Pańska to, między nami uczonymi, badanie rzeczy martwych... jeśli mogę pozwolić sobie na odrobinę uszczypliwości.

Adam uśmiechnął się.

— My, nudni archeolodzy i paleontolodzy, większość życia spędzamy wśród rzeczy martwych, ale to, co znajdujemy, mówi nam czasem niejedno o życiu. Przyzna pan z pewnością, że tego rodzaju odkrycia bywają zarówno wartościowe, jak i godne szacunku.

— Temu nie przeczę, ale mnie nudzą zasuszone prochy i stare kości. Proszę pokazać mi jakiś liść, korzeń, bulwę czy kwiat, jakąś dziwną trawę, drzewo czy krzew, jakiś osobliwy mech albo wodorost, którego dotąd nie widziałem... Jeśli tylko coś takiego obejrzę, powącham, dotknę, jestem w siódmym niebie!

— Czym wytłumaczyć odmienność upodobań badaczy i uczonych? Tę, która odróżnia nas dwóch? Jakiś psycholog albo socjolog uznałby to zapewne za interesujący temat studiów.

— W końcu to *homo sapiens* jest najbardziej intrygującym tematem studiów.

5.

Kiedy Adam i dr Cissna wędrowali po dzikich terenach wokół Mount Kenya, Scott Jordan jechał na lotnisko w Oldoway, żeby zatelefonować do swojego przyjaciela, Mareosa Stuarta. W poczcie przesłanej przez Crystal znalazł się krótki list od senatora.

„Musimy natychmiast porozmawiać — pisał senator. — Mam kłopoty. Tylko ty możesz mi pomóc. Zadzwoń jak najszybciej pod prywatny numer. Z góry dziękuję, stary przyjacielu. Nigdy ci tego nie zapomnę. Marcos.”

Scott dotarł na lotnisko i wystukał numer. Czekał na połączenie, zerknął na zegarek. Pierwsza trzydzieści. Marcos dotarł pewnie przed chwilą do swojego biura.

— Scott! Cześć, stary. Dziękuję, żeś zadzwonił — rzekł senator.

— Co się stało, Marcos? Z twojego listu wynika, że sprawa jest pilna.

— I jest. Niestety. — Stuart powiedział to bardzo poważnym głosem. — Znalazłem się w opałach.

— Jak do tego doszło?

— Nie mogę w tej chwili wytłumaczyć. Możemy się spotkać?

— Trudna sprawa, Marcosie. Jestem w samym środku wyprawy.

— Przyjadę gdzie tylko będzie trzeba. Kiedy wracasz do Londynu?

— Nie wcześniej niż za miesiąc, dwa. Co za kłopoty? Finansowe?... Polityczne?

— Nie, nie, coś zupełnie innego. Powiedzmy, że wpłatałem się w coś niewłaściwego. Pęta się zaciska, a ja nie widzę wyjścia. Musimy się zobaczyć.

Scott pomyślał chwilę.

— Pogadam z Adamem. Zobaczymy, co da się zrobić.

— Jestem ci wdzięczny, stary druhu.

— Zadzwonię.

6.

Adam i profesor Cissna obejrzeni już dziesiątki obiecujących okazów drzew i pnączy. Próbkę, które dźwigał teraz Adam, ważyły prawie tyle co sprzęt.

— Jeśli o mnie chodzi, wszystko, co najbardziej intrygujące, brało się zawsze z ziemi — mówił botanik, idąc obok Adama. — Wszędzie tryska życie. My jednak widzimy tylko niewielki jego fragment.

Przerwał i spojrzał znacząco na archeologa.

— W ten sposób zbliżamy się do tego wszystkiego, co ma związek z moimi teoriami.

— Bardzo chciałbym usłyszeć o tym, jak najwięcej — zachęcał go Adam.

— Musi pan obiecać, że nie piśnie pan nikomu ani słówka. Zamierzam kiedyś o tym napisać, ale przedtem muszę mieć w ręku jeśli nie dowód, to przynajmniej jakieś poddające się rozumowej weryfikacji dane. Do tego czasu nie chcę, by cokolwiek przeniknęło do niepożądanych miejsc.

— Ma pan moje słowo.

— No dobrze. Oto co mam panu do powiedzenia. Nie jest żadną tajemnicą, że życie może przez wiele lat trwać w uspianiu, w stanie utajonym. Mam na myśli życie organiczne. Zna pan doskonale zasadę mówiącą, co się dzieje, kiedy stary, od dawna zaniedbany ogród trafia w inne ręce. Nowi właściciele z zapalem biorą się do dzieła odnowy: tną, strzygą, użyźniają ziemię. Słońce, powietrze, woda i tlen wdzierają się w miejsce, gdzie tych życiodajnych czynników brakowało od lat, od dziesięcioleci, może stuleci. I oto staje się coś zadziwiającego. Stare, zapomniane ziarna, bulwy i korzenie powracają do życia. Jakiż to cudowny proces. Z pewnością słyszał pan o ogródku zielarskim w opactwie na Mount Grace, czternastowiecznym angielskim klasztorze. Gatunki, które uważano za dawno wymarłe, nagle przy okazji prac wykopaliskowych rozkwitły nowym życiem.

— Wiem. Nie próbowałem jednak stawiać żadnych hipotez. Ale teraz, kiedy pan mi o tym przypomniał, widzę, że zachodzi jakiś związek z moimi badaniami.

— To prawda.

Profesor Cissna uśmiechnął się.

— Jeśli mogę pozwolić sobie na analogię — powiedział po krótkiej chwili milczenia — rzecz miałyby się podobnie, gdyby któryś z pańskich kolegów znalazł stary szkielet pogrzebany w piaskach Rowu i nagle, *voilà*, widzi, że szkielet wraca do życia.

— To niezbyt prawdopodobne — roześmiał się Adam.

— Ludzka wersja *Parku Jurajskiego*!

— To właśnie sprawia, że botanika jest taka fascynująca. W mojej dziedzinie coś takiego jest możliwe! Kiedy odkrywamy botaniczny odpowiednik szkieletu, o którym mówiłem, może się okazać, że tkwi w nim nadal siła życiowa. To prawda, materia organiczna też umiera. Nie brak wokół nas przykładów procesów rozkładowych. Mimo to w ukryciu trwa bogatsze życie, niż sobie wyobrażamy.

— Jak długo takie uśpione, utajone życie może, pańskim zdaniem, przetrwać?

— Nie sądzę, żeby dało się wskazać jakąś granicę — odparł profesor. — Ziarna pszenicy znalezione we wnętrzu piramid nie straciły siły kiełkowania. Jestem prawie pewny, że życie może przejawiać się nie po stuleciach stanu utajonego, lecz po tysiącletniach... co najmniej. Kiedy nasionom lotosu znalezionym w mandżurskich pokładach torfu dostarczono wilgoci, wykiełkowały po dwóch tysiącach lat! A nasiona łąbinu z arktycznej tundry, znalezione na Wyżynie Jukońskiej w norze zamrożonego leminga, choć ich wiek, zbadany metodą węgla C-14, wynosił ponad dziesięć tysięcy lat, wykiełkowały w ciągu jednego dnia, kiedy tylko znalazły się w cieple.

Jestem przekonany, że nie ma żadnej granicy, jeśli chodzi o trwanie w formie utajonej życia, które pozostaje cały czas w pogotowiu, by określonego dnia objawić się w całym rozkwicie.

— Określonego dnia? Czyżby wskazanego z góry?

— Nie zamierzam rozwijać tego tematu — uśmiechnął się profesor Cissna.

— Czy wyjawiał mi pan główny zarys swojej teorii, profesorze?

— Tylko fundament. Sama teoria wymaga dalej idących spekulacji.

— Niechże więc pan mówi!

Cisna znowu uśmiechnął się. Skinął głową.

— W przypadku fauny, zwierzęcych form żywych, kiedy tylko stworzenie umiera, życia mijają raz na zawsze. Bez względu na to, co dzieje się z duszą, ciała żywych istot nie przechodzą w stan, jeśli można tak rzec, uśpienia, by po jakimś czasie wrócić do życia. Pomijam tu eksperymenty kriogeniczne. Kiedy wymiera jakiś gatunek, to bezpowrotnie. Co mówią ci, którzy zajmują się badaniem tego rodzaju zagadnień? Że odkąd istnieje na naszej planecie życie, wyginęło 50 milionów gatunków zwierzęcych!

— Niewyobrażalna liczba!

— Stara pieśń ludu Dinka mówi o różnicy między śmiercią istot żywych, a śmiercią innych form.

— Chętnie posłucham.

— Podam panu tylko zarys. W czasach, gdy Dendid stwarzał wszystko, stworzył też słońce. I słońce rodzi się, umiera, a potem znowu przychodzi. Stworzył księżyc. I księżyc rodzi się, umiera, potem znowu przychodzi. Stworzył gwiazdy. I gwiazdy rodzą się, umierają, potem znowu przychodzi. Stworzył człowieka. Człowiek rodzi się, umiera, ale potem nie przychodzi.

Jakiś czas szli w milczeniu.

— Wracając do mojej teorii — odezwał się po dłuższej chwili profesor. — Wątpię, żeby dało się ją kiedykolwiek udowodnić. Oto jednak jej rdzeń: twierdę, że wszystkie gatunki flory, jakie żyły kiedykolwiek na ziemi, żyją gdzieś nadal. Albo, powinienem może powiedzieć, zachowały potencjał życiowy.

— To zadziwiająca teoria, profesorze! Niezwykły bieg myśli!

— Jeśli śledził pan mój wywód, przyzna pan, że ma to wiele wspólnego z przedmiotem pańskich badań.

Nagle Adam stanął jak wryty. Podniósł rękę do czoła, jakby nagle doznał objawienia.

— Eden! — wykrzyknął.

— Otóż to. Może rośliny rajske, może wszystkie te drzewa, trawy i krzewy, które Stwórca umieścił w Edenie, by zapewnić

człowiekowi najdoskonalsze środowisko do życia... może to wszystko nadal istnieje i czeka w gotowości... na jakiś bajeczny moment odkrycia?

— Ale dlaczego miałyby taki moment przyjść? Ni z tego, ni z owego? Co mogłoby być przyczyną?... I jak by się to odbyło?

— Nie mam na to pytanie odpowiedzi. Może odpowiedź przekracza możliwości człowieka. Życie, które pojawia się na nowo, to kwestia odpowiedniej chwili. Jeśli do czegoś takiego dojdzie, widać nastanie właściwa pora. Często taką porę poprzedza okres wyczekiwania. Stan uśpienia życia roślinnego jest w wielu miejscach na świecie koniecznością. Wiosnę poprzedza zima. Bez zimowych mrozów niektóre nasiona, bulwy, kłącza i korzenie nie wybuchają życiem, kiedy przychodzi wiosna. A jeśli przychodzi czas kwitnienia, czas objawienia długo krytych tajemnic, czas nowego życia, czas odkrywania odwiecznych prawd... dzieje się tak dlatego, że w okresie uśpienia dokonana się niewidzialna praca, przygotowanie do tej właściwej chwili. Tutaj, w pasie równikowym, nie znamy mrozów, ale sądzę, że można zaobserwować działanie tej samej zasady.

— Ale dlaczego się tak dzieje?

— Nie wszystko możemy wiedzieć, panie Livingstone. Jako botanik studiuję czas i porę wzrastania. I bacznie wypatruję znaków... aby nie zaskoczyła mnie chwila, kiedy zaczyna się kiełkowanie.

7.

Candace Montreux nigdy nie była w tej części świata.

Wcale nie podobał się jej pomysł samotnej wyprawy lotniczej do kraju, który jeszcze tak niedawno był po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Haider Zorin nie należał jednak do ludzi, którym można łatwo odmówić. Niewiele czasu potrzebował, żeby uśmierzyć jej lęki, okazując jej, jak mocno jest pewny swego, i roztaczając swoje uroki.

— Będzie pani moim osobistym gościem — oświadczył podczas rozmowy telefonicznej. — Musi pani zobaczyć moje nowe miasto. Proszę mi wierzyć, ma wszystkie niezbędne luksusy i wygody, a nowoczesnością nie ustępuje Londynowi.

— Pańskie miasto, panie Zorin?

— To oczywiście przenośnia — odparł Zorin. Niedługo jednak stanie się to faktem — pomyślał.

Samolot podchodził już do lądowania i Candace sięgnęła po żakiet. Przed zapakowaniem walizek przymierzyła tuzin strojów. Do samolotu wybrała stylowy czarny komplet i liliową jedwabną bluzkę.

Gdy tylko odrzutowiec dotknął pasa startowego w Baku, Candace zobaczyła, że do samolotu podjeżdża lśniąca czarna limuzyna z flagą państwową Azerbejdżanu powiewającą na masce. Kilka minut później zesłała na płytę lotniska i zobaczyła, że minister robót publicznych zapragnął przywitać ją osobiście.

— To cudowne ujrzenie panią znowu, panno Montreux — ozwał się potężny głos Zorina. — Jest pani piękniejsza niż zwykle.

— Dziękuję, panie ministrze. — Candace uśmiechnęła się i jej oczy rozblęły.

Poprowadził ją ku limuzynie; otwarte drzwiczki przytrzymał umundurowany funkcjonariusz ochrony.

— Do chwili naszego wyjazdu do Afryki zamieszka pani w mojej posiadłości.

— A urząd celny? Muszę złożyć deklarację.

Zorin uśmiechnął się. Lady Montreux to sprytna osóbką, a jednak nie przyszło jej do głowy, kim jest Zorin w swojej ojczyźnie.

— Wszystko zostało załatwione — uspokoił ją.

Tego wieczoru siedzieli razem w oszklonej jadalni na górnym piętrze willi Zorina, skąd rozciągał się widok na zatokę. Panowała tu intymna atmosfera. Przed chwilą podano pierwsze danie obfitej kolacji, którą przygotowała służba Zorina. Gospodarz nalał obojgu drogiego francuskiego bordeaux i uniósł swój kieliszek.

— Za uroczą i piękną lady Candace Montreux. Niechaj będzie to pierwsza z wielu wizyt w Baku, przyszłym centrum europejskiego życia.

Candace podziękowała skinieniem głowy i trąciła swoim kieliszkiem o jego. Wypili po łyeczku ciemnoczerwonego płynu. Zorin wiedział już, że dziewczyna jest bliska zakochania. Było to równie zabawne jak korzystne. Fakt, że posłuży się narzeczoną tego głupca Livingstone'a, żeby go zniszczyć, tylko spotęguje satysfakcję z tryumfu nad przeciwnikiem. Zbyt dużo bólu głowy zawdzięcza Livingstone'owi i jego idiotycznym wyprawom.

— Jutro musi pani obejrzyć resztę miasta — powiedział. — I poznać naszego prezydenta.

— To, co zobaczyłam dzisiaj, nasunęło mi myśl, że właściwie to pan powinien być prezydentem — zauważyła Candace z uśmiechem, który wcale nie oczarował mężczyzny tak, jak sobie pochlebiała.

— Wszystko w swoim czasie, moja droga... wszystko w swoim czasie — odparł Zorin, podejmując jej grę. Niech ta kobieta wyobraża sobie, co się jej podoba. — A może chciałyby pani zostać pierwszą damą małego kraju na wschodzie Europy?

— Małego kraju? — powtórzyła, udając naiwność.

— Tak... powiedzmy... powiedzmy takiego kraju jak na przykład Azerbejdżan?

Oboje mieli bogate doświadczenie życiowe i byli godnymi siebie przeciwnikami w tej ostrożnej grze w kotka i myszkę. I obojgu wydawało się, że myszką jest to drugie.

— Może mogłabym do czegoś takiego przywyknąć — odpowiedziała po chwili Candace. — Ale z pewnością wie pan, że jestem prawie zaręczona z Adamem Livingstone'em. Zgodziłam się tylko pomóc panu, bo mam nadzieję, że skłonię go w ten sposób do szybszego podjęcia decyzji.

— Ach!... Wreszcie rozumiem! — wykrzyknął Zorin. — Musi pani dać mi jednak trochę czasu.

— Czasu?... Co ma pan na myśli?

— Sądzę, że doskonale się rozumiemy, lady Montreux. — Zorin uśmiechnął się. — Poznaję to po pani oczach. I spędzimy tu parę dni razem, żeby miał okazję pokazać pani, co mam na myśli. Jeśli

pogoda dopisze, zabiorę panią na wycieczkę moim jachtem po Morzu Kaspijskim. Co pani powie na kolację przy świecach o północy i rejs do białego rana?

— Brzmi bajecznie. Przyjmuję pańską grzeszną propozycję. Miała być grzeszna, nieprawdaż? — dodała, unosząc przebiegle brwi.

— Bezwzględnie.

— Byłam pewna.

— Potem wrócimy do miasta i zajmiemy się przygotowaniem tej części naszej małej przygody, która oznacza wyprawę na safari.

— O jakie przygotowania chodzi?

— Po pierwsze musimy znaleźć dla pani odpowiedni strój. Oczywiście wygląda pani przepięknie w każdym. Ale powinna pani bardziej przypominać... archeologa.

— Chyba nie ma pan na myśli buciorów i okropnego, sztywnego brunatnego płótna!

— Nasza sprawa wymaga wyrzeczeń, droga panno Montreux.

8.

Dwa dni później Adam i profesor Cissna szli wśród niskich zarośli Murchison Falls Park.

Tego dnia Adam pobrał sześć, może osiem próbek rdzenia drzew, nie tylko baobabów, ale również olbrzymich okazów starca, wielkich wrzośców, akacji, drzew ciernistych. Zebrał też dwa pakunki próbek mchu i kory. Nie wszystkie te rośliny miały pierścienie przyrostowe, ale oczekiwał, że przydadzą się do innego rodzaju testów i innych metod datowania.

Wczesnym popołudniem profesor Cissna nagle przystanął. Jego twarz miała dziwny wyraz. Spojrzał na Adama, ale nic nie powiedział, przyłożył tylko palec do ust. Adam uniósł pytająco brwi. Po chwili ruszyli dalej.

— Miałem dziwaczne uczucie, że ktoś nas śledzi — szepnął profesor Cissna, idąc obok Adama. — To pewnie śmieszne. Nie jestem detektywem, ale w dżungli nawet taki doświadczony weteran jak ja widuje czasem duchy.

Szli dalej w milczeniu.

Tym razem Adam usłyszał jakieś dźwięki dochodzące zza pleców. Przystanął i nastawił ucha.

Profesor ma rację. Nie są tu sami. W takim miejscu może to oznaczać sto różnych rzeczy — i wszystkie złe.

Ich spojrzenia spotkały się na moment. Bez słów pytali jeden drugiego, czy powinni stać tu bez ruchu, czy też ratować życie, rzucając się do ucieczki przed jakimś podkradającym się gepardem albo gorylem.

Dźwięki za ich plecami wzmogły się: usłyszeli tupanie, trzask łamanych gałęzi.

Adam poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

Podbiegł do najbliższego drzewa. Profesor Cissna przebiegł już kilka kroków w przeciwnym kierunku. Rozległ się krzyk.

Adam obrócił się błyskawicznie. Żadnego zwierzęcia... Zamiast tego ujrzał dobrze znaną ciemną twarz... Biały hełm tropikalny i poniżej wyszczerzone w uśmiechu białe zęby... Podkoszulek z napisem „Denver Broncos”.

Scott! A tuż za nim!...

— Rocky! — W okrzyku Adama była i radość, i zdumienie, i ulga.

Przez kilka sekund nie mógł wydusić z siebie słowa. Dyszał ciężko, serce ciągle jeszcze biło jak oszalałe. Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— A my myśleliśmy, że lada chwila rozdepcze nas słoń! — wykrzyknął.

— Przykro mi, że cię rozczarowałem — roześmiał się amerykański olbrzym.

— Trudno to nazwać rozczarowaniem... ale... Co za niespodzianka! Jak nas znaleźliście?

— Nie było to łatwe — powiedział ze śmiechem Scott. — Zadzwoiłem na lotnisko w Nuniuki. Powiedzieli, że poleciliście do Ugandy. Wiedziałem, że po Mount Kenya mieliście w planie Wodospady Murchisona.

— Przecież jesteście w samym środku lasu!

— Tropimy was od jakichś dwóch godzin. Pomyślałem, że pójdziecie od wodospadu Kabalega w górę rzeki. Dwadzieścia minut

temu trafiliśmy na wasz trop. Rocky zaproponował, żebyśmy sprawdzili, jak blisko uda się nam was niepostrzeżenie podejść.

— Detektyw zawsze będzie detektywem! Prawdę mówiąc, od pół godziny wiemy, że tu jesteście... prawda, profesorze? — powiedział Adam, mrugając porozumiewawczo do Cissy.

— Ma pan zawsze rację. Pan jest tu szefem!

— Witaj, Rocky! — śmiał się Adam, ściskając serdecznie detektywa. — Co u ciebie?

— Bolał mnie nogi... właściwie boli mnie wszystko, nawet mógł mam zmęczony! Cały zdrętwiałem podczas lotu z Londynu.

— Co tu porabiasz?

— Powiedziałeś, że powinniśmy spotkać się w Afryce. No i jestem!

Adam nadal wyglądał na zdumionego.

— Chyba wiesz o włamaniu do twojego domu?

— Jasne. Dwa dni temu rozmawiałem z Thurlowem. A właśnie... Muszę ci podziękować za uratowanie domowników i za wszystko. Nadal jednak nie wiem...

— Najpierw ktoś próbował cię zabić. Teraz ktoś inny włamał się do twojego domu i niewiele brakowało, wpakowałyby mi kulę między oczy. Uznałem, że czas już zająć się tą sprawą gruntownie, zanim któryś z nas rozstanie się z życiem.

— Masz w stu procentach rację. Ale najpierw musisz poznać profesora Petri Cissy z Kairu. Profesorze, to jest Rocky McCondy, prywatny detektyw prosto z Ameryki.

Rocky i profesor uścisnęli sobie dłonie.

— Podejrzewam, że jeśli chodzi o sposób widzenia świata, macie panowie więcej wspólnego, niż pan okazuje, profesorze — dodał Adam.

— Skąd ta myśl?

— Powiedzmy, że umiem czytać między wierszami. Wyczuwam podobieństwo duchowe, ilekroć nasza rozmowa toczy się w określonym kierunku.

Detektyw i botanik roześmiali się i spojrzeli po sobie z rozba-wieniem. Obaj zrozumieli, co Adam ma na myśli.

— Odzyskałeś dziennik? — spytał Adam.

Rocky poklepał się po kieszeni na piersi.

— Jest tutaj. Nie rozstaję się z nim. Nawet w nocy. Ale na wszelki wypadek zrobiłem kopię.

— I ukryłeś ją zapewne w bezpiecznym miejscu.

— Powierzyłem pastorowi Markowi... Pamiętasz, mówiłem ci o nim. On też może rzucić trochę światła na całą sprawę.

— Muszę wiedzieć wszystko. Wracamy do obozu. Myślę, że pobrałem dość próbek jak na dzień pracy, i nie mogę się doczekać, kiedy poślę je do laboratorium. Zobaczymy, co odczyta z nich Emily.

— Znalazłeś coś interesującego? — spytał Scott.

— Pobraliśmy obiecujące próbki z paru drzew, a szczególnie nadzieje wiążę z muszelką osadzoną głęboko w korze starca.

— Chodzi o dowód, że doszło tu do powodzi? — dopytywał się Scott, kiedy ruszyli w drogę powrotną.

— Owszem, przyszło mi to do głowy. Ale w tej chwili bardziej zależy mi na obejrzeniu dziennika. Uważam, że znajdę w nim być może klucz do zagadki.

— O co właściwie w tym wszystkim chodzi?

— Pamiętasz, że w czasach Cambridge interesowałem się starym archeologiem? Niedawno sam o tym wspomniałeś.

— Masz rację. Pradziadek Rocky'ego.

— Rocky ma przy sobie jego dziennik.

— Czuję, że szykuje się nowa publikacja naukowa.

— Sądzę, że chodzi o coś ważniejszego. — Nagle Adamowi przyszła do głowy pewna myśl. — Scott, chyba nie zostawiłeś Jen samej w obozie na łasce i niełasce sir Gilberta?

— Niestety tak.

— Wracajmy więc co koń wyskoczy!

— A skoro już mówimy o zostawianiu kogoś samego — wtrącił się do rozmowy Rocky — ponieważ nie mogłem cię złapać przed wyjazdem z Sevenoaks, musiałem sam podjąć w pewnej sprawie decyzję. Mam nadzieję, że nie wezmiesz mi tego za złe.

— Słucham.

— Wolałem, żeby Juliet, pani Graves i reszta kobiet nie została sama na górze. Wprawdzie Scotland Yard ma twój dom na

oku, ale nie podobało mi się to, że musiałem wyjechać. Wynająłem prywatnego detektywa, kobietę poleconą przez Thurlowa, kogoś godnego zaufania. Zakwaterowałem ją w jednym z twoich pokojów gościnnych.

— Żadnych zastrzeżeń. Postąpiłeś słusznie, Rocky.

— No, w każdym razie, mieszka u ciebie. Będzie w domu dwadzieścia cztery godziny na dobę, póki nie wrócę i nie wydam dalszych instrukcji.

— Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny, Rocky.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

NIESPODZIEWANI GOŚCIE

1.

Rocky ostrzegł kapitana Thurlowa, że aresztowany mężczyzna jest zaangażowany w spisek znacznie rozleglejszy niż zwykłe włamanie. Niestety środki ostrożności, jakie kapitan zalecił naczelnikowi więzienia Brixton przy Jebb Avenue, okazały się niewystarczające.

Nie udało się im zmusić włamywacza do mówienia. Teraz było już za późno.

Rankiem trzy dni po aresztowaniu znaleziono intruza martwego w swojej celi. Zginął od trucizny podanej między kolacją a świtem.

Nikt go nie odwiedzał. Poprzedniego wieczora jeden z strażników zauważył jednak wśród wychodzących z więzienia osobnika o śniadej cerze i charakterystycznych ruchach, który właściwie nie wiadomo co robił na terenie więziennym.

Poza tym strażnik zapamiętał tylko, że obcy mężczyzna miał na głowie oliwkowozielony beret.

Przeprowadzono śledztwo, ale nic z niego nie wynikło. Także ustalenie tożsamości włamywacza nie naprowadziło na żaden trop.

2.

Póki Adam, Scott i Jen przebywali w Afryce, o należyte funkcjonowanie ośrodka badawczego w Sevenoaks troszczyła się sekretarka, Crystal Johnson. Po wyjeździe Rocky'ego w domu zamieszkała solidnie zbudowana i trzeźwo myśląca kobieta-detektyw i nastroje znowu się pogorszyły. Wszystkich domowników nękała myśl, że prędzej czy później spadnie na nich jakieś nowe nieszczęście.

Posiadłości pilnowali bez przerwy przysłani przez kapitana Thurlowa funkcjonariusze. Ale nie zmieniało to faktu, że czasem wiatr wyl złowrogo w ciągu nocy.

Beeves starał się, jak mógł najlepiej, wywiązywać z roli jedynego mężczyzny w domu, ale jako obrońca niewiast nie dorastał Amerykaninowi do pięt. Biedny łysiejący lokaj cieszył się sympatią wszystkich, nie potrafił jednak podnieść nikogo na duchu, przepoić odwagą i optymizmem jak McCondy. Jeśli pan Livingstone nie wróci przed wiosną, czekają ich zaiste długie miesiące zimowe.

Juliet nie znalazła pracy i nadal mieszkała u ciotki. Częściej teraz przychodziła do biura i stopniowo między nią i Crystal nawiązała się serdeczna przyjaźń. Jeśli wśród domowników Livingstone'a pani Graves pełniła rolę starszej ciotki, to Crystal była dla nich mądrą i trzeźwo patrzącą na świat starszą siostrą. Miała czterdzieści dwa lata, jej syn studiował na uniwersytecie, a córka była tylko rok od niego młodsza. Była starsza od Adama i pracowała z nim prawie od samego początku jego kariery naukowej.

Była średniego wzrostu jasną szatynką o muskularnej, prawie krępej budowie ciała. Włosy strzygła krótko — na beatlesa. Odnaczała się zrównoważonym charakterem i na ogół mówiła przyciszonym głosem, aczkolwiek, jeśli wymagała tego sytuacja, potrafiła powiedzieć bez ogródek to, co uważała za słuszne. Adam ufał jej instynktowi i przenikliwości sądów, mimo że miała, co może się wydać dziwne, wykształcenie muzyczne i baletowe. Adamowi i jego pracy była oddana tak samo jak własnej rodzinie i uważała, że jej

pracodawca zajmuje się sprawami porywającymi i stanowiącymi nie lada wyzwanie. Gdyby w tej chwili przyszedł do niej ktoś z propozycją zagrania głównej roli na deskach scenicznych, odrzuciłaby ją bez wahania, wołała bowiem mieć swój udział w badaniach, jakie prowadził Adam.

Po wyjeździe całego zespołu w teren Crystal i Juliet często rozmawiały o pracy i Juliet stopniowo wciągała się coraz głębiej w to wszystko, co wiązało się z przedsięwzięciami Livingstone'a, dowiadywała się coraz więcej o zadaniach, jakie podejmował w minionych latach.

Prawie każdego ranka przychodziły nocną pocztą materiały do testowania w laboratorium. Dzięki notatkom od Jen, Crystal i Juliet były informowane na bieżąco o tym, co działo się we wschodniej Afryce.

Pewnego ranka Juliet weszła koło jedenastej do biura. Od razu spostrzegła, że Crystal jest wzburzona.

— Parzę na dole herbatę — powiedziała Juliet. — Zejdiesz się napić?

— Sama nie wiem. W tej chwili bardziej niż herbata potrzebna mi jest Emily.

— Gdzie się zapodziała?

— Nie wiadomo. Jeszcze nie przyszła. Dzwoniłam do niej, ale nikt nie odebrał telefonu.

— Czyżby wczoraj przed wyjściem nie wspomniała, że ma na dzisiaj jakieś plany?

Crystal potrząsnęła głową.

— Trzeba zrobić kilka testów. O piątej po południu zadzwoni Jen z prośbą o wyniki.

— Co to za testy?

— Rutynowe analizy chemiczne i mała skamielina, której datę trzeba określić. Prawdę mówiąc niewiele z tego rozumiem. Masz tutaj notatkę Jen.

Podał kartkę Juliet, która przebiegła wzrokiem tekst.

— Mogę to zrobić — oznajmiła po chwili.

— Naprawdę?

— Jasne. To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu... jeśli uważasz, że mogę zejść do laboratorium.

— Ależ tak. Nie chciałabym niweczyć planu prac, który przygotował sobie Adam. Możesz zacząć testy. Z pewnością Emily zjawi się lada chwila. Masz moje błogosławieństwo.

Juliet już szła w stronę drzwi z notatką od Jen i przesyłką w ręku.

— Hola! — zawołała za nią Crystal. — A moja herbata?

— Już nie chce mi się pić! — odpowiedziała Juliet.

Crystal roześmiała się. Patrząc, jak Juliet odchodzi, podniosła słuchawkę i wybrała numer mieszkania Emily. Nadal nikt nie odbierał telefonu.

3.

Kilka dni później do obozu Livingstone'a zbliżał się land rover.

Kiedy tylko rozległ się warkot silnika, Adam i reszta spojrzeli na siebie pytająco, jakby chcieli zapytać: „Czy spodziewamy się kogoś?”

Adam już miał wstać i poprosić profesora Cissnę, żeby się ukrył, ale Scott go uspokoił.

— Tylko kierowca — powiedział. — Żadnego zmasowanego ataku reporterów. Sądzę, że jesteśmy bezpieczni.

Nikt z zespołu nie był jednak przygotowany na to, że tutaj, pośrodku afrykańskiego pustkowiecia, będą witać właśnie tego gościa.

— Candace! — wykrzyknął Adam, podbiegając do auta. — Co cię sprowadza?... Nie wierzę własnym oczom!

— A jednak to ja — odpowiedziała Candace, wysiadając i obdarzając Adama najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów.

Adam uściśnął ją serdecznie. Odległość dzieląca Oldoway od Londynu bardziej jeszcze niż upływ czasu przyćmiła przykre wspomnienie poprzedniego spotkania. W tym miejscu zniknęły jak ręką odjął wszelkie dzielące ich różnice. Sprzyjał temu dodatkowo strój Candace: koszula koloru khaki, buty turystyczne, miękki kapelusz. Natychmiast stała się jednym z nich.

— Znasz Scotta i Jen... — powiedział serdecznym tonem Adam, prowadząc Candace w stronę swoich współpracowników.

Scott zrobił krok do przodu i uściśnił dłoń nowo przybyłej. Jen skinęła głową, ale nie uśmiechnęła się ani nie ruszyła z miejsca. Dla Candace Montreux miała dokładnie tyle samo sympatii co dla sir Gilberta Bowlesa.

— A to Rocky McCondy — kontynuował prezentację Adam — mój przyjaciel ze Stanów... i profesor Petri Cissna z kairskiego uniwersytetu. Rocky, profesorze... poznajcie lady Montreux, moją...

Zawahał się i spojrzął na Candace z żartobliwym błyskiem w oku.

— Kim właściwie jesteś dla mnie?

— Mam nadzieję, Adamie, że już wkrótce będę twoją narzeczoną — odparła Candace z równie znaczącym uśmiechem.

— Tak więc się sprawy mają, proszę panów — oznajmił Adam, rozkładając ręce, jakby chciał poświadczyć, że wszystko jest wreszcie do końca wyjaśnione. — W ten sposób sytuacja stała się jasna na ile to tylko możliwe.

Wszyscy poza Jen roześmieli się.

— Ale Candace — ciągnął Adam. — Nadal nie odpowiedziałś na moje pytanie. Co cię tu sprowadza? I jak nas znalazłaś?

— Papa ma swoje sposoby, żeby dowiedzieć się wszystkiego, czego potrzebuje.

— Jesteś ostatnią osobą, jakiej się tu spodziewałem. Ale... ale dlaczego? Myślałem, że nie cierpisz tego wszystkiego — roześmiał się Adam, wskazując proste urządzenia obozowe.

Powoli oddalali się we dwoje od reszty.

— Jesteś niezadowolony? — spytała Candace, wydymając zalotnie wargi i wsuwając mu rękę pod ramię.

— Skądże! Przeciwnie, jestem szczęśliwy... Chociaż i zaskoczony.

— Z pewnością nie zapomniałeś naszej poprzedniej rozmowy — powiedziała Candace.

Szli chwilę w milczeniu, bo Adam nie skomentował jej słów.

— Sporo rozmyślałam o tym, co powiedziałeś. Że żona powinna dzielić pracę męża. — Candace starała się nadać swojemu głosowi jak najszczerze brzmienie. — Nie byłam wobec ciebie w

porządku, oczekując czegoś innego. Powinnam znać cię lepiej. Musisz być tym, kim jesteś... a jesteś uczonym i myślicielem. Postanowiłam więc przyjechać, żeby pokazać ci, że interesuję się tym, co robisz.

— Candace! Ależ to cudownie!

— Co więc robisz? Czy wszystko idzie po twojej myśli?

— O tak. To naprawdę szalenie ekscytujące. Od paru dni krążę to tu, to tam z profesorem Cissną.

— I znalazłeś Eden?

— Niezupełnie — roześmiał się Adam. — Ale dokonaliśmy paru naprawdę niezwykłych odkryć.

— Bardzo bym chciała, żebyś mi o tym opowiedział.

Jakieś pół godziny później wracali w stronę obozu, pogrążeni nadal w rozmowie.

— Zostaniesz tu z nami, Candace?

— Nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwoliła. Mam hotel w Arushy.

— Jeśli jednak chcesz dołączyć do naszego zespołu, musisz zamieszkać tutaj.

— Nie wiem, czy jestem już do tego przygotowana.

— Obiecuję, postaram się zapewnić ci wszelkie wygody, jakie są możliwe w takim miejscu.

4.

W laboratorium rozległ się dzwonek telefonu. Adam nie rozpoznał w pierwszej chwili głosu osoby, która się odezwała.

— Mmm... Chciałbym mówić z Emily — powiedział z wahaniem. — Czy to laboratorium?

— Tak... Ale Emily nie ma.

— A z kim rozmawiam?

— Tu Juliet Halsay — odparła Juliet, która w tym momencie rozpoznała głos z drugiej strony linii.

Ogarnęło ją przerażenie, bo przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Adamem Livingstone'em. Po raz drugi została przyłapaną w laboratorium bez jego pozwolenia!

— Co tam pani robi? — spytał Adam.

Gdyby Juliet widziała jego twarz, uświadomiłaby sobie, że Adam jest w doskonałym humorze. Ponieważ jednak nie widziała, zapomniała o wszystkim miłych rozmowach, jakie potem ze sobą prowadzili. Jej postanowienie, że będzie podchodzić optymistycznie do życia, natychmiast legło w gruzach.

— Och nie! — wyrwał się jej z ust okrzyk przerażenia.

Adam spostrzegł, że dziewczyna jest przestraszona.

— Proszę się nie bać, panno Halsay. Nie gryzę — zapewnił i roześmiał się cicho.

— Ja... ja przepraszam... Emily nie przychodzi od kilku dni i wiemy, że zaczęła prace...

— My?

— Crystal i ja.

— A gdzie jest właściwie Crystal?

— Wysłała, bo ma jakieś sprawy.

— Rozumiem już, dlaczego telefon odebrała pani Graves.

— Kiedy tego ranka, co Emily po raz pierwszy nie przyszła, dostałyśmy pakiet z Afryki, Crystal zmartwiła się, że pana prace mogą się opóźnić. Byłam akurat przy niej i powiedziałam, że mogę zrobić testy, o które prosi Jen. Ja bardzo... Ja bardzo przepraszam, panie Livingstone.

Chociaż Adam przemawiał do niej tak miłym tonem, głos Juliet drżał.

— Ja... pomyślałam, że pomogę, póki nie ma Emily...

— Proszę się nie martwić — uspokajał ją Adam — nie mam do pani żadnej pretensji. A zresztą — znowu się roześmiał — jestem tysiące kilometrów od pani. Niewiele mógłbym pani zrobić... nawet gdybym chciał.

— Dziękuję — odparła Juliet ciągle jeszcze słabym i drżącym głosem.

— Dotarli do nas jednak sprawozdania. Kto je?... Chce pani powiedzieć?...

Milczenie.

— Czy to pani przysyłała sprawozdania, panno Halsay?

— Tak... To ja. Ja tylko chciałam pomóc, panie Livingstone.

— I pomogła pani. A to niespodzianka. Oto młoda wszechstronnie uzdolniona dama! Doceniam pani pracowitość.

- To bardzo miło z pana strony.
- A zatem do rzeczy. Wysłałam próbki pobrane z kilku drzew oraz kilka okazów pnączy, bulw, roślin jednoliściennych. Także parę krzewów i niezwykłych wodorostów. Wszelkie datowanie, dane o budowie molekularnej, gatunku... jednym słowem wszystko, czego można się dowiedzieć, będzie dla nas bardzo pomocne. A to nie moja dziedzina.
- A profesor Cissna? Wiem, że to wybitny znawca botaniki.
- Musi pani bez zwłoki zająć się naszymi próbkami. Profesor Cissna niestety lada dzień nas opuści. Wraca do Kairu, a nie mamy na miejscu laboratorium. Mógł nam poświęcić tylko kilka dni. Ale Scott i ja nadal będziemy przetrząsać lasy, płaskowyże i doliny. Tak czy inaczej mamy tu kilka interesujących próbek, o których chcemy dowiedzieć się jak najwięcej.
- Znam kogoś... Specjalistę od datowania z mojego college'u.
- Datowanie to tylko wierzchołek góry lodowej. Oczywiście, to również sedno naszych prac. Jeśli ktoś pani pomoże, tym lepiej, proszę jednak pamiętać, że musi to być człowiek godny zaufania. I niech pani udaje się ze swoimi sprawami do niego. Nie chcę nikogo nowego w laboratorium. Proszę się dobrze zastanowić nad jeszcze jednym — dodał. — Może lepiej nie mówić, dla kogo pani pracuje. Lepiej, żeby nie padło moje nazwisko.
- Adam zamyślił się.
- Do jakiego stopnia zna się pani na pracy, którą wykonywała Emily? — spytał po chwili milczenia.
- Nie wiem. Staralam się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.
- Proszę się tym nie przejmować. Było, minęło. Pytam, bo muszę wiedzieć, czy dotarły długie próbki rdzenia, które wysłałem w zeszłym tygodniu. Było ich mniej więcej dziesięć.
- Tak. Widziałam je.
- Zostały odłożone?
- Chyba tak.
- Wie pani gdzie?

— Mogę je znaleźć.

— Dobrze. Potrzebne są mi dalsze testy na tych próbkach. Chcę, by porównała pani wyniki swoich testów na nowym materiale z tym, co uzyskała Emily na poprzednim.

Kilka minut później Juliet odłożyła słuchawkę. Ogromnie podniekształcona pracowała do późna w nocy i przez cały następny dzień.

5.

Candace Montreux zbliżała się do obozu Gilberta Bowlesa od strony przeciwnej niż obóz Adama. Zgodnie z instrukcjami zaparkowała samochód w miejscu, gdzie raczej nikt go nie zobaczy, i ostatecznie paręset metrów pokonała na piechotę.

Teren, którym szła, był kamienisty i nierówny. Od nowych butów porobiły się jej już pęcherze na nogach. Jak na jeden dzień to solidna dawka Afryki!

Utykając podeszła do namiotu.

— Jest tam kto? — zawołała.

Była spocona, zmęczona i zirytowana.

— Wejdz, moja droga — odezwał się głęboki głos ze środka. — Czekaliśmy na panią.

Uniosła połą, pochyliła się i weszła. Rozejrzała się. Widok dwóch mężczyzn, którzy siedzieli wypoczęci w zacienionym wnętrzu ze szklaneczkami jakiegoś chłodnego napoju w dłoniach, rozdrażnił ją jeszcze bardziej.

— Sir Gilbercie, gdzie mogę się położyć? Padam z nóg.

— Proszę, tam jest moje łóżko polowe — zachichotał z cicha Bowles.

— Czego mogę się napić? — Opadła na łóżko i westchnęła głęboko.

— Może piwa? Chociaż nie gwarantuję, że jest należycie schłodzone.

— Wszystko mi jedno. Uff, muszę pozbyć się tych okropnych buciorów. Całe stopy mam obolałe.

Usiadła i przystąpiła do rozsypywania sznurowadeł.

Zorin przysłuchiwał się tej rozmowie z obojętnością zabarwioną rozbawieniem. Ta dama z pewnością nie jest stworzona na żonę Adama Livingstone'a.

— Czego się pani dowiedziała, moja droga? — spytał.

— Ten człowiek nazywa się Cissna. Adam nazywa go profesorem. Przyjechał z Kairu.

— Z Kairu? Co on tu robi?... Po co Livingstone go ściągnął?

— Z kairskiego uniwersytetu. Tylko tyle powiedział Adam. Nie wiem, co robi. Adam powiedział jeszcze, że chodzą razem to tu, to tam.

— Coś to panu mówi, Bowles? — Zorin spojrzał w stronę archeologa.

Bowles potrząsnął głową.

— Zapytam Cuttera, kiedy przekażę mu tę informację. Powinien...

— O nie, Bowles — przerwał mu Zorin. — Nic pan nikomu nie powie. Odtąd pracuje pan dla mnie... tylko dla mnie.

Zorin powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu. Nie uległo wątpliwości, kto tu rządzi.

— Jak długo tu będzie? — spytał Zorin, zwracając się znowu do Candace.

— Nie wiem — wysiekała, zrzucając but z napuchniętej stopy.

— No dobrze — powiedział Zorin po chwili namysłu. — Zrobiliśmy wszystko, co było do zrobienia. Nikt nie może ich śledzić, dopóki mają do dyspozycji samolot. Z siedzenia tutaj niewiele nam przyjdzie. Gdzie indziej będzie z nas większy pożytek.

Znowu przerwał i w zamyśleniu, bezwiednie podniósł rękę do podbródka.

— Bowles — podjął po jakimś czasie — pojedzie pan do Kairu i dowie się, kim jest ten Cissna. To rozjaśni nam nieco w głowach. Muszę wiedzieć o nim wszystko. Proszę informować mnie na bieżąco.

— Gdzie pan będzie?

— Wrócę na kilka dni do Baku. Ale mój odrzutowiec jest zawsze w gotowości. Chcę powstrzymać Livingstone'a i zamierzam zająć się tym osobiście.

Bowles skinął głową. Drażniło go, że musi słuchać czyichś rozkazów. Ale błysk w oku Zorina świadczył, że temu człowiekowi lepiej nie wchodzić w drogę. W każdym razie w tej chwili.

— Candace, my wracamy do Arushy — rzucił Zorin, dopijając ciepławe piwo.

— Muszę odpocząć, jestem wykończona!

— Dalej!... Proszę wstać!

Ujął jej rękę i pociągnął. Candace pozwoliła się dźwignąć.

— Kiedy spotkasz się znowu z Livingstone'em?

— Adam powiedział, że spotkamy się za dwa dni w Arushy. Chce jeszcze dwa razy wyprawić się z Cissną. Potem mnie odszuka. Przedtem jednak przygotuje dla mnie miejsce w swoim obozie. Chce, żebym dołączyła do jego zespołu — dodała i znowu jęknęła.

Bowles nie mógł powstrzymać chichotu.

— Nie wiem, czy zniosę noc na zewnątrz... albo w namiocie!
— żaliła się Candace.

— Nie będzie pani musiała, moja droga — uspokoił ją Zorin.

6.

Tym razem Adam wiedział, z kim będzie rozmawiał, kiedy poprosił Crystal, żeby połączyła go z laboratorium.

— Codziennie przychodziły od pani sprawozdania, panno Hallsay — powiedział. — Dobra robota. Pierwszorzędna. Staranna i profesjonalna.

— Dziękuję.

— Gdzie się pani nauczyła takich skomplikowanych analiz? Metoda węgla C-14 to nie bułka z masłem. Czy kontaktowała się pani z tym profesorem, o którym pani wspomniała?

— Zatelefonowałam i spytałam o parę rzeczy. To naprawdę nie było takie trudne.

— Nie pomagała pani Emily?

— Nie. Nauczyłam się wszystkiego w college'u.

447

— Ale co się właściwie stało z Emily? Zupełnie zapomniałem zapytać o to Crystal. Poprosiłem od razu o połączenie z panią.

— Crystal w końcu się z nią skontaktowała. Emily była po prostu chora.

— I nawet nie zadzwoniła? Ani trochę mi się to nie podoba. Zaczynam mieć wątpliwości. Hmm... Proszę mi powiedzieć, co właściwie pani studiowała?

— Geografię i geologię. Dlatego weszłam wtedy do laboratorium. Pamięta pan... Pierwszego dnia, kiedy się pan na mnie rozłożył.

— Wcale się nie rozłożyłem. Byłem po prostu zaskoczony.

— Gdyby pan zobaczył wtedy swoją twarz, sam by pan przyznał, że jest zły.

Adam znowu się roześmiał.

— Byłam strasznie ciekawa — ciągnęła Juliet. — Niczego nie dotknęłam. Przysięgam — dodała leciutko żartobliwym tonem.

— Geologia — powtórzył Adam. — Słusznie... Zapomniałem. I pani, i Scott.

— Zamierzałam zająć się trzęsieniami ziemi.

— To fascynująca dziedzina. Wyobraża sobie pani, czego byśmy się dowiedzieli o Ziemi, gdybyśmy dotarli do tajemnicy ruchów skorupy?

— O tak, wiem. Zawsze uważałam, że to jedna z największych tajemnic Ziemi. Zastanawiałam się, czy dlatego, że są tak ciche i niewidzialne.

— Słyszała pani o Cloe Komorowskiej?

— O tak, mam jej książkę. Wysłuchałam też kiedyś jej wykładu. Mówiła o swojej teorii katastrof jako o lepszym fundamencie geologii niż uniformitaryzm. Nigdy tego nie zapomnę.

— Wiem tylko w ogólnym zarysie, co mówi ta teoria.

— A czy poznał pan profesor Komorowską?

— Rozmawiałem z nią kiedyś... bardzo krótko.

— To niesamowite.

— Nic takiego. Cała rozmowa trwała minutę, może dwie.

— Po tym wykładzie napisałam do profesor Komorowskiej, że być może aktywność skorupy ziemskiej na obrzeżach Pacyfiku

jest gdzieś głęboko powiązana z Wielkim Rowem Afrykańskim — ciągnęła z zapalem Juliet. — Wokół Pacyfiku mamy aktywne wulkany i trzęsienia ziemi, natomiast w Afryce zachodzi proces rozciągania skorupy ziemskiej.

— Dobre rozumowanie. Nie przyszło mi to do głowy. I co odpowiedziała profesor Komorowska?

— Nic. Nie napisała do mnie.

— Przykro mi to słyszeć.

— Oszczędzałam pieniądze, żeby z poparciem King's College i Uniwersytetu Praskiego wyjechać do Kalifornii na dwutygodniową wyprawę pod kierunkiem profesor Komorowskiej, ale...

Zamilkła.

— Ale... ale teraz to oczywiście niemożliwe — dodała po chwili cichym głosem.

— Dlaczego? To chyba wyjątkowa okazja.

— Po śmierci ojca miałyśmy z moją matką masę długów. Żadnych pieniędzy. Dlatego szukałam pracy. Przepraszam — dodała, pochlipując — wcale nie chciałam się rozpłakać.

— Spokojnie, nic się nie stało.

— Myślałam, że mam już łzy za sobą. Ostatni tydzień był wspaniały. Bóg naprawdę odmienił moje życie. Wypełniała mnie ogromna radość, choć czasem musiałam popłakać. To z przyzwyczajenia.

— Bóg odmienił pani życie?

— O tak... I chodzi o coś jeszcze bardziej osobistego, niż myślałam, kiedy mówiłam panu o promyku słońca przynoszącym pokój.

— Jak doszło do tej odmiany?

— Dzięki rozmowie z matką Erin, z kochaną panią Wagner, i dzięki mojej modlitwie.

— Odwiedziła pani matkę Erin?

— Tak.

— No cóż, może kiedyś mi pani o tym opowie. Tak czy owak uważam, że ma pani prawo uronić od czasu do czasu łzę. Niełatwo pogodzić się z utratą ojca. Wiem coś o tym. I chociaż minęło już wiele lat, moja siostra ciągle się jeszcze z tym zmagą. Przeszłość przepełnia ją goryczą.

— Wydaje mi się, że rozgoryczenie i niewybaczenie oznaczają straszliwe marnotrawstwo sił.

— I głupotę.

— Dlaczego pan to powiedział?

— Bo tak łatwo tego uniknąć. Ale moja siostra nigdy nie zechce wysłuchać czegoś takiego ode mnie czy naszej matki. Chyba postanowiła, że zabierze swój gniew do grobu. A sama najbardziej cierpi. Kocham ją, ale to wszystko jest strasznie głupie, jeśli wybaczy mi pani te słowa.

Adam roześmiał się, ale nie był to śmiech wesoły.

— Teraz ja muszę przeprosić — powiedział po chwili. — Nie miałem zamiaru zwracać pani głowy swoimi sprawami! A zatem do rzeczy. Proszę na razie zapomnieć o szukaniu pracy.

— Dlaczego?

— Pracuje pani dla mnie — oznajmił wesołym głosem.

— To znaczy, jeśli pani zechce.

— A Emily?

— Proszę zostawić to mnie.

— Ale... ale ja nie dam rady! — powiedziała Juliet, która ledwie wierzyła własnym uszom. — Za mało umiem.

Kiedy to mówiła, serce biło jej z radości jak oszalałe.

— Umie pani, umie. Proszę robić po prostu to, co pani robi. Po powrocie osobiście pokażę pani dokładnie całe laboratorium. Centymetr po centymetrze. Aha, byłbym zapomniał, po co właściwie dzwonię — dodał. — Naprawdę muszę mieć wyniki testów próbek, które wysłałem dwa dni temu. Nie chciałem z tym zwlekać. Dotarli do pani?

— Tak, wczoraj.

— Czy wie pani, jak metodą węgla C-14 dokonać datowania dwóch różnych części skamieliny, chodzi o muszelkę, która utkwiała w miększu drzewa? Zdaje się, że drewno obrosło ją dokoła, tak że stała się częścią rośliny. Chcę porównać ją z inną muszelką, którą Emily... zakładam, że zrobiła to Emily, choć być może to pani dzieło... analizowała i datowała w zeszłym tygodniu. Ta nowa muszelka jest naprawdę godna uwagi. Jeśli okrywała jakies stworzenie wodne i uwięzła w drewnie, określimy być może, jaki był wówczas wiek drzewa.

— A to rzuci światło na sprawę potopu?

- Tak właśnie sędzę. Da sobie pani radę, panno Halsay?
- Chyba tak. Nigdy jeszcze nie dokonywałam tak skomplikowanego datowania. Ale widziałam kiedyś, jak się to robi. Po tych datowaniach, które zrobiłam dla pana wcześniej, myślę, że jakoś się z tym uporam.
- Bez problemów. Poprowadzę panią krok po kroku.
- No dobrze... Skoro uważa pan, że sobie poradzę — powiedziała Juliet, ponieważ jednak Adam tak jej zaufał, była bardziej przejęta niż w poprzednich dniach.
- Z pewnością. Proszę przełączyć telefon na głośnik i podejść... chwileczkę, przypomniałem sobie, chciałem poprosić, żeby rzuciła pani najpierw okiem na próbkę lodu z Araratu. To najpierw. Przełączyła pani na głośnik?
- Tak.
- Dobrze. Proszę podejść do zamrażarki. Wie pani, gdzie się znajduje?
- Tak.
- Próbką jest w plastikowej rurce na tej samej półeczce, co inne rzeczy z Araratu. Chodzi mi o tą małą odbarwioną warstewkę z cętkami ziemi i rozmaitych pyłków osadzonych być może na śnieżnej pokrywie przez burzę piaskową. Proszę zmierzyć precyzyjnie jej odległość od górnego końca cylindra. Chcę, żebyśmy porównali próbkę pobraną w zeszłym tygodniu z baobabu z tym, co pobrałem z lodowca wokół arki.
- Rozumiem. Czego mam szukać?
- Sam dokładnie nie wiem — odparł zmienionym nieco głosem Adam. — Jaki może być związek między próbką lodu i próbką mięszu drewna z afrykańskiej dżungli? Wydaje mi się to niedorzeczne. Chciałbym jednak, żeby się pani tym zajęła. Jeśli znajdziemy jakieś powiązanie... no dobrze, najpierw badania i analizy, a wnioski po dokonaniu datowania!
- Połączenie trwało jeszcze pół godziny. Juliet wykonywała przez ten czas polecenia Adama i przekazywała mu swoje obserwacje.
- Kiedy godzinę później opuściła laboratorium, pobiegła na górę przeskakując co trzy stopnie. Czuła się lekko jak nigdy przedtem w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

DZIENNIK DZIADKA HARRY'EGO

1.

Największe wodospady na świecie nie były niczym nowym dla Adama Livingstone'a. Patrzył już przejęty podziwem na potężne i majestatyczne kaskady Wiktoria i Niagara. Ale nigdy dotąd widok, który miał przed oczami, nie zapierał mu do tego stopnia tchu w piersi.

Wyprawił się samotnie do mniej znanych wodospadów Kabalega, czyli Wodospadów Murchisona na Nilu Wiktorii, jakieś trzydzieści kilometrów w górę rzeki od Jeziora Alberta.

Dwadzieścia, może trzydzieści minut stał bez ruchu. Otaczał go ze wszystkich stron ogłuszający huk spadającej wody, ale jego serce było uciszone.

Wody z górnego Nilu waliły się z przerażającym grzmotem w wąską gardziel przed jego oczami, niezmiennie od wieków wyrzucając w górę wodny pył, który zapewniał wilgoć wszystkiemu, co rosło w promieniu dwustu metrów — dwadzieścia cztery godziny na dobę, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku.

W duszy Adama panowały spokój, ucieszenie i zaduma.

Jeśli jest na ziemi obszar, który mógłby rościć sobie niecodzienne prawa do miana miejsca, gdzie przetrwały resztki ziemskiego raj... z pewnością byłby to krajobraz podobny do tego.

Tutaj, niecałe dwieście kilometrów na północ od równika, słońce świeci dokładnie dwanaście godzin na dobę, nie ma zimy, a czysty i pełen świeżości pył wodny bez ustanku nawadnia życie roślinne... właśnie tutaj jest to środowisko, w którym żył tamten, dawny Adam. Czy takim baldachimem okrywała się niegdyś ziemia: ciepłą, łagodną, prześwietloną słońcem mgiełką?

Dzisiejszy Adam, rozważając to gigantyczne pytanie, z trudem wyobrażał sobie, jak było tu niegdyś. A jednak nie mogło być przecież inaczej — wszędzie zieleń i błękit... bujna roślinność i obfitość wilgoci... ziemia, niebo... ogród bez skazy.

I wszędzie woda: Jezioro Wiktorii, Tanganika, Kiwu, Jezioro Edwarda, Jerzego, Alberta i Kioga...

Woda, najważniejszy warunek życia! Rzeki, strumienie!... Górny bieg wielkiego Nilu, najdłuższej rzeki na świecie... Czy to możliwe, że patrzy w tej chwili na pozostałość po pradawnym Gichonie z drugiego rozdziału Księgi Rodzaju?

„Z Edenu zaś wypływała rzeka, aby nawadniać ów ogród, i stamtąd się rozdzielała, dając początek czterem rzekom.”

Choć przemieszczanie się kontynentów, trzęsienia ziemi, ruchy ziemskiej skorupy i rozszerzanie się rowu odmieniły od tamtych czasów powierzchnię globu, kiedy tak patrzył, jak wielka rzeka toruje sobie drogę od Jeziora Wiktorii na północ, rozpoczynając liczącą sześć tysięcy kilometrów wędrówkę ku Morzu Śródziemnemu, narastało w nim uczucie, że już wie, gdzie szukać raju. Nie mógł też odrzucić możliwości, że Nil, podobnie jak Amazonka, odwrócił w zamierzczłej przeszłości swój bieg i że niegdyś jego źródła znajdowały się gdzieś w pobliżu dzisiejszego ujścia.

Minęło jeszcze dziesięć minut. Adam stał pogrążony w niemym podziwieniu, kontemplując widok rozciągający się przed jego oczami. Usiadł na pobliskim głazie. To, co czuł w tej chwili, miało związek nie tylko z pięknem, nie tylko z nauką, nie tylko z radością odkrywcy.

Było to coś innego, coś głębszego.

Miał poczucie — nie umiałby nazwać tego inaczej — poczucie Obecności.

Czy czegoś podobnego doświadczył tamten Adam? Jak wyglądało owo najbardziej niezwykle „przebudzenie”? Na myśl o tym poczuł dreszcz.

W jaki sposób pierwszy człowiek spostrzegł, że nie jest sam, że jest istotą wyjątkową i odmienną od pozostałych, że został obdarzony wyższym umysłem? Jak wyglądał brzask samoświadomości? Jak dowiedział się, że nie jest po prostu stworzeniem jak inne, ale bytem odpowiedzialnym przed kimś wyższym... przed Kimś, kto go stworzył?

Cóż za uczucie!

Archeolog nie powinien stawiać tego rodzaju pytań. W jego pracy nie ma miejsca dla Boga.

Czy pierwszy Adam rozejrzał się, zaczął chodzić po ogrodzie pełnym drzew, rzek, zwierząt, pożywienia i rzeczy miłych dla oka... i czy też czuł Obecność?

Z głębi jestestwa wyłoniło się uczucie, jakiego Adam Livingstone nigdy dotąd nie zaznał, coś nakazywało mu odpowiedzieć na objawienie tego, czym jest człowieczeństwo. Pamięć tej niewiarygodnej chwili nie opuści go już do końca życia.

I nagle Adam zrozumiał, że jest czymś więcej niż tylko przedstawicielem gatunku *homo sapiens*, nie tylko przyszłym wykopaliskiem, które ślepy traf ewolucji wyniósł na najwyższą gałąź jej złożonej, lecz rządzącej się przypadkiem historii.

Uznał w sobie człowieka, Adama, i zrozumiał, że Stwórcą, którego Biblia nazywa Panem Bogiem, stworzył go i ukształtował, chciał, ażeby był istotą... na Jego obraz.

Nie wiedział, czy Stwórcą przemawia do niego słyszalnym głosem, czy też bez słów w jakimś zakątku serca i umysłu. Ale przemawia — to pewne. Obecność stała się nagle czymś bliskim, czynnym, żywym, osobistym... i miał uczucie, że domaga się jakiejś odpowiedzi od jego świadomości jako człowieka i istoty stworzonej.

„Boże — poruszał Adam wargami — jesteś tu i w końcu wiem o tym. Jesteś. Nie przywykłem do myślenia o Tobie w ten sposób... jako o kimś rzeczywistym i osobistym... jako o sile obecnej w świecie. Wiem jednak, że tu jesteś. Czuję, że jesteś wszędzie wokół mnie.

Nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości. Czy to właśnie czuł dawno temu pierwszy Adam zaraz po przebudzeniu, gdy tylko oszołomiła go cudowność miejsca, w którym się znalazł? Czy przepiękniał go podziw taki sam jak mnie w tej chwili? Nie wiem, co mam teraz czynić...”

Zamilkł.

Spojrzał na zielen, na pył wodny, na drzewa, na spienioną rzekę i z uczuciem szczęścia odetchnął głęboko. Wydawało się, że całe jego życie zogniskowało się w tym jednym jedynym momencie. Przedtem był inną osobą. Teraz przebudził się do nowego życia. Kiedy wstanie i odejdzie, stanie się na zawsze nowym człowiekiem.

Dotknął palcami wilgotnego gruntu pokrytego bujną tropikalną trawą. Podniósł garść żyznej czarnej ziemi i trzymał przez chwilę przed oczami, uśmiechając się sam do siebie, gdyż znowu przyszły mu na myśl głębokie słowa z 2 rozdziału Księgi Rodzaju.

Nadszedł dla Adama Livingstone'a moment przebudzenia, moment stworzenia... moment oszołomienia — nie mniejszego być może niż to, które było udziałem tamtego, niegdysiejszego Adama.

„Chcę zrozumieć — mówił sam do siebie. — Jeśli objawisz mi, co mam uczynić, Boże, jak objawiłeś pierwszemu Adamowi, postaram się wypełnić Twoją wolę i okazać, że jestem Ci wierny.”

2.

— Nie, nie będzie z nim kłopotu... nic nie powie. Zajęliśmy się nim.

— Znalazł to, co miał znaleźć?

— Nie zdołałem tego ustalić. Wątpię, ale kazałem komuś przejrzeć wszystko, co miał przy sobie w chwili aresztowania.

— A co z Bowlesem? Przekazał jakieś informacje?

— Nie udało mi się z nim skontaktować.

— Czy to nie on miał się skontaktować z panem?

455

— Taka była umowa. Spóźnia się jednak.

Głos po drugiej stronie linii telefonicznej zamilkł. Jego rozmówczyni należała do tych, którzy ufają intuicji, a intuicja podpowiadała jej, że w ich obozie jest zdrajca.

— Niech pan nadal próbuje — powiedziała po chwili.

— Być może wyślemy pana razem z partnerem do Afryki. Proszę być w gotowości.

Kobieta odłożyła słuchawkę, pomyślała, a potem podniosła ją znowu.

— Czego dowiedział się pan od córki? — zapytała, kiedy zgłosił się rozmówca.

— Na razie niczego. Nie ma jej tutaj.

— A gdzie jest?

— Za granicą.

— Gdzież więc?

— Poleciała do Baku.

— Do Baku?

— Potem zamierza udać się do Afryki.

Tego się właśnie spodziewała! W ich szeregach jest zdrajca, który postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

3.

Słońce dawno już zaszło.

Na zewnątrz namiotu półksiężyc rzucał na afrykańską równinę tyle światła, ile mógł. Wewnątrz Adam śleczął nad dziennikiem starego Harry'ego. Z polowego łóżka niosło się w ciemność chrapanie Rocky'ego, któremu w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało światło Adamowej lampki. Wieczorem detektyw wprost padał z nóg.

Była mniej więcej druga nad ranem, chociaż Adam całkowicie stracił poczucie czasu.

Ten dziennik nie przypominał innych tego rodzaju zapisków. Było w nim mnóstwo przemyśleń, modlitw i przepisanych fragmentów Pisma Świętego — nie mniej niż relacji z archeologicznych wypraw, wykopalisk i teorii, którymi stary pradziadek Harry sypał jak z rękawa.

„Kiedy siedziałem i słuchałem Johna Waltera Gregory'ego...” — odczytywał Adam drobne, ale wyraźne pismo z 1898 roku.

„... Chociaż sala była pełna ortodoksyjnych geologów, zainteresowanych wyłącznie wnioskami dotyczącymi warstw skalnych, które badał w ścianie uskoku Laikipia, serce biło mi bardzo mocno. Miałem inne powody, żeby poczuć się podekscytowany. Kiedy bowiem po raz pierwszy użył słowa «rów», mówiąc: «Dla tego typu dolin proponuję nazwę doliny rowu... i dolina we wschodniej Afryce słusznie może być nazwana Wielkim Rowem», natychmiast nasunął mi się na myśl ustęp mówiący o tym, co stało się z zasłoną świątynną po ukrzyżowaniu.”

W tym miejscu McCondy przytoczył werset z Mateusza 27, 51. Obwiódł go ramką, żeby podkreślić wagę słów: „A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać”.

A dalej pradziadek Rocky'ego pisał:

„Czy Rów Afrykański — rozmyślałem podekscytowany — nie jest, podobnie jak rozdarcie zasłony, tylko ziemską repliką owego największego pęknięcia, jakie przeorało wszechświat, tej rany w sercu człowieka, tej otchłani, która otworzyła się, kiedy człowiek został wypędzony z Edenu, przepaści między człowiekiem i jego Stwórcą, wypełnionej dopiero dzięki Krzyżowi? — Ależ tak — myślałem. — Wszystkie prawdy duchowe mają ziemskie odpowiedniki i zwiastuny”.

Adam z trudem pojmował duchowe znaczenie tego, co czytał, nie odrywał jednak wzroku od tekstu.

„Krzyż na Kalwarii... Wielki Rów Afrykański i Bliskowschodni. W oczach nowoczesnego, dziewiętnastowiecznego człowieka, oślepionego złudą kłamstwa ewolucjonistów, jeszcze jeden mit.

Ewolucjonizm nie jest jednak jądrem oszustwa i fałszerstwa narzuconego światu. W tym nadzieja! To wielkie zło — usunięcie Boga z dzieła stworzenia. Czy to możliwe, żeby Bóg użył czegoś w rodzaju ewolucji dla spełnienia swojej woli? Kimże jestem, by twierdzić, że tak nie było? Włada przecież suwerennie swym dziełem. W książce Darwina jest mnóstwo godnych szacunku i trafnych

spostrzeżeń naukowych. Lecz ludzie nieprzyjaciela straszliwie wypaczyli jego myśl i naciągnęli wnioski, by lepiej wpoić oszustwo i pogłębić rozdzarcie między człowiekiem i jego Stwórcą, szerząc humanistyczną koncepcję, która mówi, iż źródłem życia nie jest Bóg Wszechmogący, lecz przypadek.

Czy Księga Rodzaju 1, 20, 24 i 2, 19 — „Niech się zaroją wody od roju istot żywych... Niech ziemia wyda istoty żywe różnego rodzaju... Ulepiwszy z gleby wszelkie zwierzęta lądowe i wszelkie ptaki powietrzne...” — nie może być duchową wskazówką jakiejś formy Boskiego procesu stwarzania, mającego coś wspólnego z ewolucją? I powtarzam: Kim jestem, by mówić, co Bóg mógł, a czego nie mógł zrobić? Sedno sprawy w tym, by w każdym najdrobniejszym aspekcie dzieła stwarzania, jakkolwiek przebiegało, dostrzegać Boga!

Jaki jest związek między dwoma pęknięciami? Istota zrozumienia świata! Pęknięcie... uzdrowienie!

Gdzie się zaczęło? W ogrodzie rajskim, gdzieby indziej? Gregory tylko w jednym się myli: to nie jest Wielki Rów Afrykański... To Wielkie Pęknięcie Edenu. A zaczęło się od tego, co podaje trzeci rozdział Księgi Rodzaju, kiedy człowiek powiedział: Oddzielę się od Stwórcy... Zjem owoc... Nie będę posłuszny Panu Bogu, i wtedy Bóg wypędził go z raju.

Rów Afrykański powinien nazywać się Pęknięciem z Księgi Rodzaju!

Wszystkie pęknięcia i rany mają być jednak uleczone...”

I dalej McCondy pisał swoim pospiesznym pismem:

„Zwycięzcą będzie krzyż. Oddzielenie musi się skończyć. Rana w sercu człowieka zostanie zabliźniona. Człowiek wróci do życia opisanego w drugim rozdziale Księgi Rodzaju, bo do niego został stworzony, do życia w harmonii, miłości i posłuszeństwie, do przechadzania się w chłodzie ogrodu ze swoim Bogiem, Stwórcą i Zbawcą. Eden zostanie przywrócony. Pęknięcie z trzeciego rozdziału Księgi Rodzaju zniknie. Ogród rajski zostanie odkryty na nowo. Człowiek i jego Stwórca będą żyli według 2 rozdziału Księgi Rodzaju”.

Kiedy Adam przeczytał słowa „Ogród rajski zostanie odkryty na nowo”, serce zbiło mu mocniej.

Nie przerywał lektury, póki nie usnął nad tekstem. Kilka godzin później Rocky zastał go leżącego z otwartym dziennikiem na piersi — tak jak opadł mu grzbietem do góry.

4.

— Scott, muszę dowiedzieć się czegoś o tym facecie, o Gregorim — powiedział Adam, kiedy siedzieli, popijając kawę, podczas gdy Rocky i Jen kończyli smażyć jajka i piec grzanki na obozowej kuchence.

— O kim?

— O geologu, który w ubiegłym wieku jako pierwszy badał obszar Rowu.

— Aha... John Walter Gregory. Niewiele o nim wiem. Szkot. Zdaje się, że po raz pierwszy wyprawił się do Afryki w 1892. W następnym roku zorganizował własną wyprawę. Miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Wtedy właśnie natrafił na Rów.

— Był tu pierwszy? Mam na myśli Europejczyków.

— Nie. Właściwie Gregory nie był odkrywcą. Ale jako pierwszy uświadomił amerykańskim i europejskim geologom, czym jest Rów Wschodnioafrykański, no i ukuł nazwę.

— Gdzie się obracał?

— Nad jeziorem Naivasha, w kraju Masajów, i dalej na północ, w stronę jeziora Baringo. Tam pobrał większość próbek.

— A potem?

— Zamierzał dokonać pomiarów na całej szerokości doliny, od Kamasia po Elgeyo. Ale wyczerpał mu się prowiant i musiał wracać. Zobaczył jednak wystarczająco dużo, żeby zorientować się, co oznacza Rów, i jeszcze tego samego roku wygłaszał na ten temat wykład w Anglii.

Adam skinął głową. Uznał te informacje za godne uwagi.

— Skąd to nagłe zainteresowanie Johnem Walterem Gregor-
rym?

— Nie o niego mi chodzi — odparł Adam. — Zdaje się, że
pradziadek Rocky'ego wysłuchał jednego z wykładów. — Poklepał
dłonią leżący na stole dziennik. — I chyba zrobił na nim spore wra-
żenie.

— Moje zainteresowanie Gregor-rym wiąże się z pierwotnym
superkontynentem. Gondwana, Laurazja i Pangea. Gregor-ry był na-
miętnym wyznawcą tej koncepcji. Jeśli ktoś specjalizuje się, jak ja,
w teorii przemieszczania się kontynentów, Pangea jest dla niego w
sposób naturalny związana z całym tym procesem. Nie muszą doda-
wać, że w dziewięćdziesiątych latach zeszłego wieku teoria wę-
drówki kontynentów była jeszcze w powijakach.

— Znam podstawy. Jest częścią mojego programu kompute-
rowego symulującego teorię owalu. Ale wołałbym, żebyś mi to stre-
ścił. Powiedzmy, że jestem zupełnie zielony, a ty po raz pierwszy mi
to tłumaczysz.

— Co ci z tego przyjdzie?

— Może zauważę coś nowego.

— No dobrze, postaram się przedstawić krótki zarys teorii.
Ciepło i siły drzemiące we wnętrzu ziemi wytwarzają prądy, które
sprawiają, że skała w skorupie ziemskiej może poruszać się podob-
nie jak bardzo gęsty płyn. Dobrą ilustracją tego zjawiska będzie
lodowiec. Lód jest ciałem stałym, mówimy jednak, że lodowiec
pływie. Proces odbywa się tak wolno, że nie możemy go widzieć, nie
zmienia to jednak faktu, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju
płynięcia.

— Słusznie. Mów dalej.

Scott podniósł wzrok i zobaczył zbliżające się do obozu pojazdy.

— O nie! Znowu mamy na głowie media!

— Dobrze, że profesor Cissna wyjechał i nikt nie domyślił się,
kim jest — powiedział Adam. — Sądzę, że raz dwa pozbędziemy się
naszych przyjaciół z prasy.

— Panie Livingstone! — zaczął mężczyzna, który wyskoczył z
miejsca koło kierowcy i szedł w ich stronę. — Nazywam się Jeremy
Tout i właśnie przyjechałem z Mombasy. Czy mogę zadać panu
kilka pytań o bieżące prace?

— Jasne. Aczkolwiek nie obiecuję, że na nie odpowiem — Adam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zaryzykuję. A przy okazji. Gdzie się podziewa Bowles? Z nim też zamierzałem porozmawiać.

— Jego obóz jest tam. Nie widziałem go od wczoraj czy przedwczoraj.

— Nazywam się Kathryn Anderson — oznajmiła atrakcyjna młoda kobieta, która deptała Toutowi po piętach. Właśnie stamtąd przyjeżdżamy. Pomyśleliśmy, że może dołączył do pana.

— Jak to? O czym pani mówi?

— Po jego obozie nie ma ani śladu — wyjaśniła pani Anderson. — Martwa pustka.

— A zespół pracowników?

— Wracamy stamtąd, panie Livingstone. Tam nie ma nikogo.

5.

Kiedy pół godziny później Tout, pani Anderson i inni reporterzy odjechali, w obozie Livingstone'a wszyscy spojrzeli po sobie ze zdumieniem w oczach.

— Nie sądzę, byśmy musieli się martwić o sir Gilberta — powiedział Adam.

— Jeśli o mnie chodzi, poczułam ulgę — oświadczyła Jen.

— To jednak trochę dziwne, nie sądzicie? Zdecydować się na taki świat drogi, żeby pobyc tu parę dni i nic nie dziać? Tak czy inaczej, Scott, proszę o dalszy ciąg kursu geologii.

— O czym to mówiliśmy?

— O płynięciu lodowców... powolne ruchy skorupy ziemskiej.

— A tak, racja. Wyobraź więc sobie, że podobnie poruszają się kontynenty. W dawnych czasach, zapewne w okresie permu, kiedy istniała jeszcze Pangea...

— A co to takiego? — spytał Rocky, który nie słuchał przed wtargnięciem dziennikarzy, a teraz przysiadł się do Adama i Scotta.

— Gigantyczny superkontynent, kiedy jeszcze nie było oddzielnych kontynentów.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Przestał istnieć, bo po jakimś czasie podziemne siły, pracując od dołu, rozdarły go na część północną i południową. Tak więc w okresie triasu mamy dwa ogromne superkontynenty, Laurazję na północy i Gondwanę na południu. Ale siły geologiczne działały nadal, dzieląc coraz bardziej odłamy lądów. Były to przede wszystkim siły wulkaniczne. Powstawały nowe pęknięcia. Stopiona skała wydostawała się na zewnątrz. Lądy przesuwały się, woda morska wypełniała szczeliny i poszczególne części lądu, zwłaszcza zaś Gondwana, płynęły powoli na miejsce, które zajmują dzisiaj. Madagaskar na przykład to po prostu część Afryki oderwana od macierzystego lądu. Także Indie miały pierwotnie połączenie z Afryką. Cały Ocean Indyjski jest jednym z tych nowych mórz. Tak w każdym razie mówi teoria.

— Teoria?

— Tak. To są rzeczy stosunkowo nowe — ciągnął Scott. — Nowoczesną teorię wędrówki kontynentów opracował na początku wieku Niemiec, Alfred Wegner. Ale większość wspólnoty naukowej ośmieszyła jego tezy. Cała teoria wędrówki została zdyskredytowana w latach czterdziestych.

— Pojawiła się jednak na nowo?

— Wskrzyszono ją w latach pięćdziesiątych dzięki pracom nad paleomagnetyzmem, ówczesnie zupełnie nową gałęzią wiedzy. Kiedy zrozumiano zjawiska magnetyczne, hipoteza wędrówki kontynentów nabrała sensu. W latach sześćdziesiątych zatoczono pełne koło: Harry Hess wyciągnął z lamusa teorię Wegenera, odpowiednio ją oczywiście dostosowując. Od tego czasu teoria wędrówki kontynentów jest w mniejszym lub większym stopniu akceptowana.

— A zagadnienie ekspansji kontynentów? — spytał Adam.

— To samo. Oczywiście Rów Afrykański ma miejscami pięćdziesiąt kilometrów szerokości, a bardziej na północ nawet trzysta.

Najwyraźniej trwa proces jego poszerzania. W skali globalnej nie wiemy jednak zbyt dokładnie, jak wpłynęło to na wędrówkę kontynentów i w jakim stopniu zadecydowało o dzisiejszym ich kształcie i położeniu.

— Czy góry, które powstały w toku tego procesu, nie są pochodzenia wulkanicznego? — zapytał Rocky.

— Ależ tak. Kontynenty nie tylko oddalają się od siebie, ale również napierają jedno na drugie.

— Indie powoli wciskają się w Azję — dodał Adam.

— Wiesz chyba, Rocky, w jaki sposób doszło do wypiętrzenia się Himalajów?

— Zdaje się, że coś o tym słyszałem. A skąd się wzięły góry, które wznoszą się osobno, pośród pustki, jeśli można się tak wyrazić?

— Góry powstają w rozmaity sposób, niekoniecznie wskutek aktywności wulkanicznej.

Rocky i Adam słuchali z zainteresowaniem. Pierwszy o wielu rzeczach nigdy dotąd nie słyszał, drugi patrzył teraz na wszystko inaczej, szukał części, która pasowałaby do jego układanki, teorii owalnego Edenu.

— Tak to mniej więcej wyglądało — powiedział Scott.

— Rów Afrykański mógł powstać wskutek gwałtowniejszego i wcześniejszego rozdarcia i stać się częścią Morza Czerwonego, a cały ten wschodni fragment Afryki mógł odsunąć się od kontynentu podobnie jak Madagaskar.

— Dlaczego więc do tego nie doszło? — spytał Rocky.

— Nie wiem. Może tak miało być.

Adam, słysząc odpowiedź Scotta, zrobił dość dziwną minę.

— No dobrze, dość tego wykładu geografii jak na jeden dzień — powiedział. — Jeśli mam dotrzeć do Arushy i sprowadzić tu o przyzwoitej porze Candace, muszę się zbierać. Jen, przygotowałaś namiot?

Jen skinęła głową. Nie była zachwycona perspektywą dzielenia kwatery z Candace Montreux. Ale musi robić dobrą minę do złej gry. Na szczęście nic nie trwa wiecznie.

6.

Jakieś dwie godziny później Adam wszedł do hotelu w Arushy.

— Witam, panie Livingstone — powiedział recepcjonista. — Dawno już pana nie widzieliśmy.

— Po mojej ostatniej wizycie zamieszkała tu pani Candace Montreux. — Czy mógłby pan połączyć mnie z jej pokojem?

Urzędnik patrzył przez chwilę na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.

— Przykro mi, panie Livingstone. Pani Montreux rzeczywiście zajmowała pokój w naszym hotelu, ale już się wymeldowała.

— Jak to?... Kiedy?

— Wczoraj, proszę pana.

— Nie rozumiem. Jest pan pewien?

— Wynosiłem bagaże jej i towarzyszącego jej pana.

— Jakiego pana?

— Czarnowłosa dżentelmen o głębokim głosie.

— Jak się nazywa.

— Zorin.

To nazwisko nic Adamowi nie powiedziało.

— Czy byli razem?

— Tak, proszę pana. Jednocześnie zameldowali się u nas. Dwa dni temu.

— Cóż... Poproszę w takim razie o klucz do mojego pokoju. Czy jest coś dla mnie?

Urzędnik sprawdził i po chwili podał Adamowi kilka kartek.

Zbity z tropu Adam poszedł do swojego pokoju. Przed powrotem do Oldoway musi załatwić parę telefonów i być może wziąć prysznic.

7.

Kiedy pół godziny później połączył się ze swoim domem w Sevenoaks, porozmawiał o bieżących sprawach z Crystal i poprosił

o połączenie z laboratorium, oczekiwał nie tylko tego, że usłyszy głos Juliet.

— Panie Livingstone, nie uwierzy pan, co znalazłam! — wykrzyknęła Juliet.

— W próbce lodu?

— Nie. Będzie pan musiał wyjaśnić, co znaczą te dane.

— Czy przeprowadziła pani analizę?

— Tak, ale za mało, niestety, umiem, żeby zinterpretować wyniki. Poślę je panu.

— Co więc tak panią podekscytowało?

— Chodzi o wiek tych próbek, które pan przysłał.

— Chodzi o próbki drewna?

— Tak. A właściwie chodzi mi nie tyle o wiek, ile o DNA.

— Potrafi pani skojarzyć jakoś swoje wyniki z pradawnymi gatunkami roślinnymi?

— Jest z tym pewien kłopot.

— Jakiego rodzaju?

— Właściwie nie kłopot.

— Co więc ma pani na myśli.

— Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe. Zajrzałam do sprawozdań z poprzednich analiz, tych, które prowadziła Erin. Chciałam znaleźć jakiś związek z tym, co ujawniły nowe badania.

— Oczywiście nie mam pani tego za złe. Czy pomogło to rozwiązać zagadkę?

— Nie, właściwie nie. Rozmawiałam z zaprzyjaźnionym profesorem, ale on też nie wiedział, co o tym myśleć. Zadzwoiłam do kilku londyńskich uczelni. Chyba nie potrafię wytłumaczyć tego zbyt jasno przez telefon. Chodzi o strukturę molekularną jednej z próbek. Nikt nie potrafił mi tego wytłumaczyć. Myślę, że powinien zobaczyć pan wyniki czarno na białym.

— Proszę o pełne podsumowanie i przysłanie sprawozdań.

— I te skamieliny, o których mówiliśmy ostatnio...

— Słucham.

— Są z całą pewnością pochodzenia oceanicznego.

— Fantastycznie! Może to być ten prowadzący do potopu trop, którego tak szukamy. Jeśli uda się nam powiązać Rów Afrykański

z Araratem i obszarem Mezopotamii, będziemy bliscy potwierdzenia, że cały ten region ma to samo pochodzenie geologiczne. Dobra robota!

— Czy mam przesłać materiały faksem do hotelu?

— Chwileczkę... muszę pomyśleć... nie, proszę nic więcej nie mówić.

Nagle przypomniał sobie wszystko, co stało się w ubiegłych miesiącach. Nadal nie potrafią tego w zadowalający sposób wyjaśnić. Usunęli pluskwę z biura w Sevenoaks. A jeśli podsłuch założono także w innych miejscach? A jeśli?...

Jak to możliwe? A teraz to zniknięcie Candace. Czy hotel jest na pewno bezpieczny?

Rozmowa z Juliet przypomniała mu także, że chciał rozszyfrować pewną informację z dziennika dziadka Harry'ego. Miał ze sobą nowy laptop, ale nie pomyślał o zabraniu tych fragmentów swoich materiałów, które uniknęły zniszczenia.

— Nie, faks nie jest chyba bezpieczny — powiedział po namyśle. — Nie możemy pozwolić sobie na żadne ryzyko.

I znowu zapadło milczenie.

— Panno Halsay — podjął po jakimś czasie. — Chcę, żeby poszła pani na piętro, do biblioteki. Czy wie pani, co mam na myśli?

— Wiem.

— Potrzebny mi pewien cytat. Mam ponumerowane wydanie cyklu *Waverley* sir Waltera Scotta. Chodzi mi o 175 stronę czternastego tomu. Tytuł: *Przypadki Nigela*. Czy rozumiała mnie pani?

— Tak, proszę pana. Skąd jednak mam wiedzieć, o który ustęp panu chodzi?

— Będzie pani wiedziała, panno Halsay. Proszę posłuchać uważnie. Przepisze pani ten ustęp i wyśle...

Adam znowu się zamyślił.

— Nie — powiedział. — Chyba lepiej, żeby przysłała pani całą książkę. Panno Halsay, od kilka dni pracuje pani u mnie. Cokolwiek się stało z Emilią, wygląda na to, że będę pani przez jakiś czas potrzebował.

— Jeśli tylko mogę się przydać.

Rozmawiając z Juliet, Adam przez cały czas układał w myślach nowy plan. Coś się dzieje, coś dziwnego — to pewne. Być może nie powinni ufać nawet poczcie ani służbom kurierskim.

— Oto, co pani zrobi — ciągnął. — Przygotuje pani wszystkie informacje, jakie pani zebrała. Znajdzie książkę, o której mówiliśmy. Proszę nie spuszczać jej z oka. Potem poprosi pani Crystal o sporządzenie kopii programu dotyczącego wędrówki kontynentów i analiz, nad którymi pracowała... a właściwie niech mnie pani z nią połączy, kiedy już wszystko omówimy. Chcę sam z nią porozmawiać. Chcę, żeby przywiozła mi pani wszystko osobiście, panno Halsay. Powiem Crystal, żeby zarezerwowała pani bilet na najbliższy lot do Nairobi.

Zamilkł.

Juliet wstrzymała oddech. Serce biło jej tak mocno, że nie uspokoiły go nawet następne, przywracające poczucie rzeczywistości, słowa Adama.

— I jeszcze jedno — dodał z powagą. — Nadal nie wiem, kto stoi za wszystkim, co się dzieje. Proszę o zachowanie najdalej idącej ostrożności. Czy rozumie to pani?

— Tak, panie Livingstone.

— Poproszę Crystal, żeby dała pani trochę gotówki i jedną z moich kart kredytowych. W razie potrzeby, proszę z niej korzystać. Mam nadzieję, że Crystal załatwi pani lot na jutro.

— Dobrze, proszę pana — odparła Juliet, starając się nadać głosowi jak najspokojniejsze brzmienie, chociaż serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

— A zatem do zobaczenia w Kenii.

CZEŚĆ CZWARTA

KAIR

Dzień Pana między ludźmi podziału dokona
Jak było wówczas, gdy się rozdarła zasłona.
Nadzieję wybawienia trąba im zapowie,
Choć na to drugie przyjscie wcale niegotowi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

NIKCZEMNE MACHINACJE

1.

Gilbert Bowles usiadł na ustawionym przy basenie leżaku i zamknął oczy. Lubił wyprawy i pracę w terenie. Ale czasem miło jest jak teraz: nic nie robić — zwłaszcza jeżeli ktoś inny płaci rachunki.

Wypił łyczek whisky i rozejrzał się dokoła.

Nie należał do tych, którzy lubią popisywać się swoim obnażonym torsem. Chociaż więc było koło trzydziestu stopni Celsjusza, miał na sobie koszulę. Ale ciężka budowa ciała nie odebrała mu zgoła chęci do patrzenia. A przechadzało się tutaj kilka skąpo odzianych kobiet, które warto byłoby zaprosić później na drinka w hotelowym barze.

Wystarczył jeden telefon na uniwersytet, żeby dowiedzieć się, jaka jest specjalność profesora Cissny. Był dziekanem wydziału i najwyraźniej cieszył się sporym poważaniem, gdyż wrywano go sobie, kiedy chodziło o rozpoznanie jakiegoś gatunku roślinnego. Bowles nadal nie wiedział, co łączyło go z Adamem Livingstonem! Póki jednak zacny profesor nie zechce zatelefonować pozostaje mu tylko czekać, spędzając czas najprzyjemniej jak to możliwe.

Dwie godziny później, po sjeście, podszedł steward z przenośnym telefonem.

- Panie Bowles, do pana.
- Och... Dziękuję — powiedział sir Gilbert dźwigając się nieco niezdarne z leżaka i biorąc aparat.
- Wziął ze stolika obok szklaneczkę, przełknął spory łyk whisky, żeby się należycie rozbudzić, i odetchnął głęboko.
- Sir Gilbert Bowles przy telefonie.
- Petri Cissna z uniwersytetu. Dzwonił pan do mnie.
- Tak. Dziękuję, profesorze, że tak szybko się pan odezwał.
- Bowles przerwał i odchrząknął.
- Jestem archeologiem — oznajmił po chwili.
- Wiem, panie Bowles. Znam pańskie osiągnięcia i czytałem pańską książkę.
- To mi pochlebia — zapewnił sir Gilbert. Prawdę mówiąc, nie było szczególnego powodu do dumy. Profesor Cissna uważał, że *Odnalezione ogniwo* to autoreklama i właściwie nic ponadto. Nie podobały mu się także uprzedzenia Bowlesa, jeśli chodzi o biblijne wyjaśniania archeologicznych odkryć. Wolał jednak milczeć. — O ile wiem, współpracował pan ostatnio z moim kolegą, Adamem Livingstone'em — ciągnął Bowles.
- To... hmm... to prawda — odparł ostrożnie Cissna.
- Adam i ja pracowaliśmy wspólnie nad planami poszukiwania Edenu — rzekł wylewnym tonem Bowles. — Powiedział, że powinienem zadzwonić do pana i poprosić o informacje na temat tego, co dotychczas znaleźliście. O ile wiem, badaliście florę, którą dałoby się powiązać z czasami starożytnymi.
- Był to czysty bluff. Ale, trzeba przyznać, dość celny. To jedyna rzecz, która przysłała mu do głowy jako uzasadnienie współpracy Cissny z Livingstone'em. Profesor Cissna od razu zorientował się jednak, że Bowles kłamie. Wystarczająco długo przebywał w obozie Livingstone'a, żeby wiedzieć, do jakiego stopnia on i jego pracownicy nie ufają Bowlesowi. Przez cały ubiegły tydzień Adam robił co mógł, żeby nikt nie dowiedział się o ich pracach — a już szczególnie Bowles.
- Przykro mi, panie Bowles, ale będzie musiał się pan skontaktować z panem Livingstone'em — odparł. — Obiecałem, że zachowam dyskrecję jak zawsze, kiedy angażuję się w jakieś badania.

— Rozumiem pana doskonale, profesorze. Sedno sprawy w tym, że Adam wyraźnie prosił, bym zasięgnął informacji u pana.

— Muszę, niestety, odmówić.

— Proszę więc wyjawić, jakich gatunków poszukiwaliście.

— Nie mam na ten temat nic do powiedzenia, panie Bowles.

— Kiedy spotka się pan znowu z Adamem?

— Nie mam takich planów.

— Co będzie teraz Adam?...

— Naprawdę, strasznie mi przykro, panie Bowles, ale nic nie wiem o planach pana Livingstone'a. Musimy zakończyć tę rozmowę. Do widzenia.

Bowles, klnąc w duchu, odłożył słuchawkę.

Myśl, że czeka go jeszcze jedna rozmowa telefoniczna, nie była zbyt przyjemna. Nie uniknie jej, ale może przecież grać na zwłokę.

Z pewnym wysiłkiem dźwignął się na nogi, szybko omiótł wzrokiem basen i ruszył w stronę baru.

2.

Juliet wysiadła na lotnisku w Nairobi z samolotu British Airways z poczuciem, że ni z tego, ni z owego przeniosła się do świata z książek podróżniczych. Czy to możliwe? Nigdzie dotychczas nie podróżowała, nie była nawet w Szkocji czy Walii.

I oto jest w Kenii. A przy wyjściu czeka na nią pan Livingstone.

Szła radośnie w jego stronę, z twarzą rozpromienioną szerokim uśmiechem.

Kiedy Adam ją zobaczył, przechylił odrobinę głowę. Na jego ustach błąkał się leciutki uśmiech, w oczach błyskało żartobliwe światełko. Juliet Halsay wyglądała nieco inaczej, niż zapamiętała. Zobaczyła jego minę i zawahała się.

— Panno Halsay, wygląda pani na osobę tryskającą energią — powiedział Adam, wyrывая się z zamyślenia. — Lot najwyraźniej nie uszczuplił pani sił.

Ostatnio zacieśniała się między nimi więź przez telefon i rozmawiali ze sobą coraz swobodniej, ale teraz, kiedy zobaczyła Adama i ten niewytłumaczalny uśmiech na jego twarzy, poczuła się wytrącona z równowagi i nie wiedziała, co ma powiedzieć.

— Lot był cudowny — zaczęła. — Siedziałam przy oknie i tyle rzeczy mogłam zobaczyć! Była piękna pogoda a Morze Śródziemne bardziej błękitne, niż sobie wyobrażałam. But włoski widziałam, jakby...

Nagle poczuła się zażenowana i zamilkła.

— Och, przepraszam pana... stoję tu i plotę trzy po trzy jak małe dziecko...

— Nie, nie, proszę mówić — roześmiał się Adam. — To cudowne słuchać czegoś takiego. Często sam przeżywam podczas podróży podobne uczucia.

— Nie mogę po prostu uwierzyć, że znalazłam się w Afryce — odparła Juliet, ściskając dłoń Adama i śmiejąc się z własnego podtekstowania.

— Zapewniam jednak, że tak się właśnie stało. Jest też z nami pani dobry znajomy, pan McCondy.

Dopiero teraz zauważyła, że za plecami Adama stoi prywatny detektyw, który szeroko się do niej uśmiecha.

— Rocky! — wykrzyknęła. Podbiegła do Amerykanina i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Jak się masz, Juliet? — uśmiechnął się Rocky.

— Dziękuję, wyśmienicie. A to niespodzianka!

— A co u twojej ciotki?

— Ciągle się denerwuje... i nie przestaje mówić o tobie.

Rocky wybuchnął śmiechem.

— No proszę, z wroga stałem się przyjacielem, i to w ciągu zaledwie miesiąca.

— Kimś więcej niż przyjacielem, Rocky. Jest przekonana, że nie tylko uratowałaś nam wszystkim życie, ale w pojedynkę ocaliłaś przed katastrofą Zjednoczone Królestwo!

Adam i Rocky byli uszczęśliwieni, słuchając, jak radykalnie pani Graves zmieniła opinię o człowieku, o którym jeszcze niedawno wyrażała się „ten Amerykanin”.

— Za nic w świecie nie powie mi tego w oczy! — przekonywał Rocky.

— Rocky przywiózł z Ameryki informacje prawie tak samo istotne dla sprawy jak te, które przywiozła, mam nadzieję, pani.

— Prawda, książka! — krzyknęła Juliet, stawiając na ziemi swoją jedyną torbę podróżną i rozgrzebując swoje rzeczy. — Zrobiłam dokładnie tak jak pan sobie życzył i ani na chwilę nie spuściłam jej z oka.

Po chwili podała Adamowi książkę.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak tajemniczo mówił pan o tym cytacie.

Adam otworzył tom na stronie 175, gdzie sir Nigelowi wykrojono małą cząstkę serca, by w zagłębieniu ukryć skarb. Wyjął kilka CD-ROM-ów. Juliet podała mu również pękatkę kopertę z grubego papieru zawierającą sprawozdania z ostatnich analiz.

— Żadnych kłopotów? — spytał.

— Żadnych.

— Nikt pani nie śledził? Nic nie wydało się pani podejrzane?

— O niczym takim nie wiem. Ale mogłam się przecież zaga-pić. Nigdy nie miałam do czynienia z takimi sprawami.

— Jak i ja — zapewnił ją Adam. — Powoli jednak uczę się zerkać, czy coś nie czai się za moimi plecami. No dobrze, bierzemy pani bagaże i do hotelu. Zarezerwowałem kilka pokoi w mieście. Do wieczora będziemy odpoczywać i opowiem pani, jak wygląda sytuacja. Jutro pojedziemy do obozu.

3.

— Zorin?... Tu Bowles — powiedział do słuchawki sir Gilbert. Język nieco się mu plątał. — Mam pewne informacje.

— Dziwnie pan mówi... Z trudem rozumiem. Proszę mówić wyraźniej.

— Tak jest, proszę pana, tak jest, wasza wysokość.

— Upił się pan!

— Przyznaję się do winy, wysoki sędzie! — roześmiał się Bowles.

475

— Jesteś pan błaznem. Dalej, gadaj!... pijany czy trzeźwy. Co masz dla mnie?

Bowles wciągnął głęboko powietrze w płuca, jakby mógł w ten sposób pozbyć się oparów alkoholu. Ale poczuł tylko jeszcze większą lekkość w głowie.

— Cissna jest botanikiem — wybełkotał. — Livingstone wynajął go do pomocy w szukaniu okazów dawnej flory.

— Po co?

— Miało to ich zapewne doprowadzić do Edenu. Ha, ha, ha!

Sir Gilbertowi z trudem przychodziło wypowiedzianie tego słowa z powagą, kiedy był trzeźwy, a cóż dopiero w takim stanie!

— Co robili w Oldoway? — spytał coraz bardziej rozwścieczony Zorin.

— Starali się wodzić nas za nos. Cóżby innego? Livingstone to kawał cwaniaka!

— Co znaleźli? — dopytywał się Zorin.

— Nie wiem, wasza dostojność. Profesorek milczy jak zakłęty. Mogę jednak zapewnić słowem honoru dżentelmena i uczonego, że nie znaleźli nic, co miałoby jakiś istotniejszy związek z Edenem. Ha, ha, ha! Bo nikt nie znajdzie! Ha, ha, ha! To bajki dla grzecznych dzieci! Ha, ha, ha!

— Niczego się pan nie dowiedział o ich poczynaniach?

— Przecież powiedziałem, że zasznurował szczelnie usta.

— Jesteś pan błaznem, Bowles, pijanym błaznem! Widzę, że będę musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

— Wedle woli, dostojny panie.

— Nikomu o tym wszystkim ani słowa.

Sir Gilbert Bowles odłożył słuchawkę i zaklął głośno, co wcale nie przeszkadzało mu zachichotać na myśl o tym, jak idiotyczna jest cała ta sprawa.

4.

Internetowy komunikat, który ukazał się na monitorze Mitcha Cuttera nie budził najmniejszych wątpliwości.

W ciągu dwóch godzin Cutter znalazł się w samolocie lecącym do Zurichu.

— Według moich źródeł nasz przyjaciel Bowles przebywa w naszym kairskim hotelu — oznajmiła Szwajcarka natychmiast po powitaniu.

— To wyjaśnia, być może, dlaczego zgubiłem jego ślad — powiedział Cutter. — Ale co spowodowało, że zerwał ze mną kontakt?

— Tego nie wiemy.

— Poleciałem mu dzwonić codziennie.

— Wygląda na to, że pan Bowles komuś innemu zaprzysiągł wierność.

— Livingstone'owi?

— Wątpię. Livingstone jest nadal w Afryce.

— Jaką więc grę prowadzi Bowles?

— Poleci pan do Kairu, żeby to zbadać.

— W jaki sposób śledziliśmy jego ruchy? — spytał Cutter.

— Dysponujemy różnymi środkami. Wiemy jednak, że jak dotąd nie przeprowadził żadnej transakcji finansowej.

— Czy ktoś ma go na oku?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie uda się mu w nieskończoność wymykać nam i naszej sile. Nasza sieć potrafi odnaleźć każdego prawie natychmiast na podstawie transakcji bankowych, korzystania z karty kredytowej, paszportu, z niemal wszystkiego, co ma związek z pieniędzmi albo elektroniką. Potrafimy tropić czeki i rozmowy telefoniczne skuteczniej, niż ktokolwiek sobie wyobraża. O tym, że Bowles jest w Egipcie dowiedziałam się godzinę po tym, jak przekroczył granicę.

— Do czego jestem więc pani potrzebny?

W głosie Cutiera zabrzmiał jakiś cień zawodu, poczuł się bowiem wykluczony z obiegu informacji. Nigdy dotychczas nie dał po sobie poznać, że mu to doskwiera. Pani D'Abernon zauważyła jego rozdrażnienie.

— Ludzie są potrzebni radzie tak samo jak komputery — powiedziała. — Chcę, żeby ktoś miał rękę na pulsie. — Kiedy wypowiedziała te słowa, jej oczy zwięzły się niedostrzegalnie. Badała

wzrokiem twarz mężczyzny, próbując wyczytać z niej jakieś oznaki słabości, gdyż nagle przyszło jej głowy, że nie można na nim polegać bez zastrzeżeń. — Polecono nam pozyskać gatunek ludzki dla naszej sprawy — ciągnęła — nie tylko mieć nad nim władzę jak nad szczurami laboratoryjnymi. Przedmiotem naszych poczynań jest umysł, panie Cutter, powszechna ludzka świadomość. Realizacja naszych celów wymaga oddania i wysiłków ze strony wiernych nam osób... tysiący i milionów rozsianych po całym świecie. Dzięki elektronicznej i technologicznej przewodze możemy śledzić sprawy zwykłych ludzi w każdym kraju, w każdym mieście na ziemskim globie. A to pozwala nam wpływać na ich sposób myślenia. Panie Cutter, to klucz do przyszłości, naszej przyszłości...

— Rozumiem, panno D'Abernon.

— Czy na pewno, panie Cutter? Czy na pewno pojmuje pan, czemu służy dzieło wznoszone od tylu już stuleci przez Radę?

Cutter milczał. Rozkazujący wyraz oczu tej kobiety mówił mu, że nie oczekuje się od niego żadnej odpowiedzi, że pytanie padło po tylko, żeby się nad nim zastanowił... i żeby zastanowił się, czy chce nadal być członkiem tajnego stowarzyszenia, o którym, prawdę mówiąc, wiedział bardzo niewiele. Złożył przysięgę krwi i uzyskał prestiżowy stopień w rycie szkockim, ale w tej chwili, kiedy starał się odczytać myśli Anni D'Abernon, nie ułatwiało mu to wcale zrozumienia, jakim wyższego rzędu celom służą knowania Wymiaru.

Jakiś czas żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Pani D'Abernon patrzyła Cutterowi prosto w oczy. Cutter czuł ucisk w krtani, oddychał z trudem. Po chwili wszystko wróciło jednak do normy.

— Jutro rano będę w Kairze — powiedział.

— Proszę zadzwonić pod mój prywatny numer, gdy tylko czegoś się pan dowie.

Cutter skinął głową i odwrócił się, żeby odejść. Pani D'Abernona patrzyła za nim w zadumie. Co się dzieje? — myślała. Najpierw Zorin, teraz Cutter. Zanika poczucie wierności. Chociaż gardziła upodobaniem Zorina do brukania sobie rąk pracą, którą należało pozostawić innym, nie mogła wykluczyć, że tym razem sama będzie

musiała mocniej zaangażować się w działania. Mitch Cutter to od lat jeden z ich najbardziej obrotnych agentów. Skąd ta zmiana?

Niecałą godzinę później Anni D'Abernon leciała odrzutowcem do Amsterdamu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

NADCHODZI CHWILA OBJAWIENIA

1.

Adam chciał spędzić godzinę sam na sam ze swoimi myślami.

Miał w głowie zamęt. Potrzebował tej godziny, może dwóch, żeby ułożyć w całość informacje, które otrzymał.

Scott i Jen zabrali Juliet i Rocky'ego do centrum turystycznego w Oldoway, ulokowanego tam, gdzie spotykały się trzy odgałęzienia wąwozu. Potem zamierzali pojechać w górę wąwozu: Scott chciał im pokazać miejsca najslawniejszych wykopalisk — od Leakey'a po Bowlesa.

— Szkoda, że sir Gilbert nas opuścił — powiedział podczas jazdy Scott. — Może podjąłby się roli przewodnika.

Adam nie mógł słyszeć komentarza Jen, ale z pewnością domyśliłby się, jaki był jego ton.

Minęło około czterdziestu minut.

Na stole przed Adamem leżały w nieładzie sprawozdania i analizy, które przywiozła Juliet. Adam ślęczał nad nimi przez większość dnia, rozważając możliwości, snując domysły związane z datowaniem próbek, podążając myślami we wszystkie strony, żeby odkryć znaczenie molekularnej struktury niektórych próbek mięszu baobabów.

Zdawał sobie sprawę, że skazany jest na zgadywanie. To nie jego dziedzina. Nie ulegało wątpliwości, że próbki były bardzo stare, chociaż liczenie pierścieni nie ujawniło czasów dawniejszych niż

trzy tysiące lat. Ale Adam nie rezygnował z poszukiwań botanicznych powiązań z drewnem, z którego zbudowano arkę... a nawet ze swoją teorią Edenu. Miał przed oczami datowanie arki i spodziewał się, że uda mu się wykryć jakieś korelacje z wynikami afrykańskimi.

Wiele dałby za to, żeby choć na godzinę mieć teraz przy sobie profesora Cissnę. Na razie jednak musi się bez niego obejść. Po zakończeniu wyprawy, kiedy będą mieli za sobą resztę badań, które planowali prowadzić w południowo-wschodniej Afryce, wstąpią do Kairu.

Westchnął i przetarł oczy. Na stole leżały także CD-ROM-y z dokumentacją przechowywaną w Sevenoaks i z wynikami prac Crystal. Nie skopiował ich jeszcze do pamięci laptopa. Wkrótce trzeba się będzie nimi zająć.

Crystal napracowała się zbierając informacje. Zatelefonowała do dwóch tuzinów instytutów naukowych, uniwersytetów i ekspertów od meteorologii i starannie gromadziła skrawki wiedzy, które trafiły w jej ręce. Ściągała programy i CD-ROM-y ze wszystkich stron świata. Przez dwa miesiące porównywała dane, żeby powstał jednolity obraz, który Adam będzie mógł wykorzystać.

Obok płyt leżał stuletni dziennik Herry'ego McCondy'ego.

Adam wziął dziennik do ręki, wciągnął w nozdrza zapach skórzanej oprawy, a potem otworzył notatnik prawie z czcią. Podświadomie wrócił do tajemniczego siedmiozwotkowego wiersza. Pradziadek Rocky'ego dokonał tego wpisu tuż przed zgubnym wyjazdem do Kairu, swoją ostatnią wyprawą. Jeśli słowa wypowiedane przed śmiercią kryją jakieś znaczenie, w tym przypadku było tak z całą pewnością. Adam przeczytał ten wiersz wiele razy, ale nadal nie odkrył jego sekretu.

A był przecież pewny, że właśnie tutaj McCondy zostawił dla niego jakąś wskazówkę.

„Temu, kto ma uszy do słuchania i odczyta znaki tych czasów oraz liczbę dni — przeczytał raz jeszcze — objawiona będzie tajemnica przyjścia Chrystusa.”

A dalej potoczyste wersy zapisane ręką McCondy'ego:

„Raz — Dzieło Stworzenia

Na początku, w dniu pierwszym wraz z brzaskiem,

Dzieło stworzenia niebios rozjaśniało blaskiem.

Nie na chybił trafił atom przez przestworza mknie,
Lecz wedle tego, kędy Bóg, El Szadaj, tchnie.

Dwa — Człowiek

Chłuba wszelkiego stworzenia wygnana za grzechy
Z raju; i długo trwały czasy oddzielenia,
A człek nie znał godziny, gdy zazna pociechy;
Lecz ona przyjdzie, niosąc ludziom znak zbawienia.

Trzy — Grzech

Ta nauka dla człeka nowych czasów płynie:
Przez potop z grzechu Bóg ludzi uwolnił;
W świętym miejscu objawił się w ogniu i dymie
I że powtórnie przyjdzie rzekł ich potomkowi.

Cztery — Przymierze

Ni zwiastunów, ni znaków nie będzie proroczych,
Lecz przez cud długo skrywany
Głęboko pogrzebane rzeczy ujrzą nasze oczy
I objawią się starożytne sprawy.

Pięć — Zbawienie

Dzień Pana między ludźmi podziału dokona
Jak było wówczas, gdy się rozdarła zasłona.
Nadzieję wybawienia trąba im zapowie,
Choć na to drugie przyjście wcale niegotowi.

Sześć — Zwodzenie

W tym dniu zwodniczym zaćma spojrzenie zakryje
Czekającym na czasy odmienne i nowe;
Przed Przyjściem jeszcze jedna epoka przeminie —
Nim spełnią się pokorne proroctwa Janowe.

Siedem — Odpoczynek

Znak objawiony; radość milenijnych świętych!
Życie kiełkuje pośrodku... Pełnia pojednania!
Nastał dzień odpoczynku, zniknęły zamęty;
Drzewo objawione! Zabliźniona rana!"

„Co to wszystko oznacza? — rozmyślał Adam. — Co to za cud,
przez który objawią się starożytne sprawy?”

Kilka godzin później, kiedy nadal próbował dopasować części łamięłówki, usłyszał warkot zbliżającego się land rovera. Podszedł do zasłoniętego siateczką okienka na tyłach namiotu i wyjrzał. W stronę obozu szły Jen i Juliet, rozmawiając wesoło o wycieczce. Zobaczył podskakujące warkoczyki Jen, jej zakurzone stopy w sandałach, opalone łydki i ramiona. Ubrana w luźne spodnie i bluzkę z długimi rękawami Juliet bardziej wyglądała na dziewczynę idącą londyńską ulicą, niż na uczestnika obozu archeologów w Afryce. Uśmiechała się jednak i rozmawiała swobodnie; najwyraźniej czuła się doskonale w nowym otoczeniu.

Inaczej niż dawniej przyglądał się twarzy Juliet. Nie widziały go, mógł więc do woli cieszyć się jej widokiem. Właściwie Juliet wygląda bardzo ładnie — pomyślał. Jej uśmiech, tak niepewny w pierwszych dniach pobytu w Sevenoaks, stał się promienny i zaraźliwy. Niewątpliwie wprowadziła do obozu radosną atmosferę. A w każdym razie dzięki niej on, Adam, był w znacznie pogodniejszym nastroju. Od chwili, kiedy wysiadła z samolotu, czuł w sercu nowy zapach i nową energię. Szczerze się ucieszył z jej przybycia. Zmieniła się od jego wyjazdu z Londynu. Robiła wrażenie starszej, dojrzałszej, ufniejszej i pewniejszej siebie. Skąd ta różnica? — rozmyślał.

W Anglii była po prostu siostrzenicą pani Graves, a teraz — Adam uświadomił to sobie po raz pierwszy od jej zjawienia się w Nairobi — nie może oderwać od niej wzroku.

2.

Mitch Cutter uznał, że lepiej się nie pokazywać, póki nie dowie się czegoś więcej o tym, komu w tej chwili służy Bowles.

Wszedł więc do hotelu dopiero nad ranem, po 2.15 miejscowego czasu. Ryzyko, że o tej porze natknie się na archeologa, było niewielkie. Tylko raz rozmawiali twarzą w twarz. Przypuszczał, iż Bowles nie skojarzy go z Irlandczykiem, którego poznał w Lucky

Doublon, zwłaszcza że podczas rozmów telefonicznych ów Irlandczyk postugiwał się akcentem amerykańskim, a nie irlandzkim. Ale trzeba przyznać, że to cwaniak. Lepiej więc zebrać jak najwięcej informacji, zanim Bowles dowie się, że Cutter przyjechał do Kairu. Zameldował się w recepcji.

— Przebywa u was pewien archeolog, Anglik, o nazwisku Bowles — powiedział, kiedy recepcjonista pracujący na nocnej zmianie podał mu klucz. — To mój przyjaciel. W którym pokoju mieszka?

— Przykro mi, proszę pana — odpowiedział z obcym akcentem Egipcjanin — ale nie mogę tego wyjawić.

Wystarczyłoby podać dla kogo pracuje, a wszyscy pracownicy hotelu byłiby na jego usługi i nikt nie ważyłby się odmówić mu zajrzenia do ksiąg meldunkowych. Ale Cutter uważał, że nie powinien na razie zdradzać, kim jest.

— Ach tak... oczywiście — rzekł głosem człowieka, który zapomniiał o tym przepisie. — To nic, zobaczę się z nim jutro.

Odwrócił się i ruszył w stronę wind.

Wątpliwe, żeby Bowles zerwał się o świecie. Ale Cutter na wszelki wypadek już o 6.15, zaśnając twarz gazetą, siedział w holu — w miejscu, skąd miał doskonały widok na windę. Odeśpi sobie, kiedy dowie się tego, po co tu przyjechał.

O 7.20 ciężko zbudowany ubrany w spodnie i koszulę koloru khaki Anglik wysiadł z windy i poszedł do hotelowej restauracji na śniadanie. Cutter wyszedł z hotelu, rozejrzał się mrużąc oczy w porannym słońcu, i ruszył przed siebie.

Dwadzieścia minut później wrócił z kubkiem kawy i usiadł na swoim miejscu.

O 8.10 Bowles podszedł do windy. Cutter wstał. Na szczęście kilka innych osób czekało na windę. Cutter wsiadł razem z wszystkimi. Bowles nie zwrócił na niego uwagi. Sądząc po oczach, archeologa dręczył kac, co Cutterowi mogło wyjść tylko na dobre.

Sir Gilbert wysiadł na piątym piętrze. Cutter poszedł w przeciwną stronę korytarza. Po przejściu kilku kroków obrócił się. Bowles, nie patrząc za siebie, oddalał się ciężkim krokiem. Kiedy przystanął,

Cutter zanotował w pamięci miejsce, a potem ruszył dalej w swoją stronę.

Po chwili usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Szybko zawrócił, minął windę i przeszedł pod drzwiami pokoju Bowlesa. Numer 523.

Tyle chciał wiedzieć. Wrócił na dół. Zamówił w restauracji termos z kawą, żeby nie poddać się senności. Wrócił do punktu obserwacyjnego.

Bowles pokazał się znowu dopiero o 10.35. Cutter zaczął już drzemać w swoim fotelu w holu, ale widok potężnie zbudowanego mężczyzny od razu go rozbudził. Archeolog wyszedł z hotelu. Cutter pojechał windą na piąte piętro. Bez trudu dostanie się do pokoju, bo używają tutaj nadal kluczy, a nie kart magnetycznych.

Otworzenie zamka dzięki pękowi wytrychów trwało niecałą minutę. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Szybkie przeszukanie pokoju niczego nie ujawniło. Włączył telewizor i usiadł przy stole. Wybrał pilotem język angielski, a następnie „rachunek klienta” z komputerowego menu. Dowiedział się z niego, że Bowles mieszka trzeci dzień w hotelu. Stan pokoju nie wskazywał, że zamierza szybko wyjechać. Cutter wybrał „pozycje do rozliczeń”, a następnie „telefon”.

No, jest to, czego szukał! Zaraz dowie się wszystkiego, co jest mu potrzebne. Zapisał pospiesznie informację i wyszedł.

Teraz on będzie telefonował, tyle że z holu. Żaden ślad nie może prowadzić do jego pokoju. Bowles zachowuje się doprawdy beztro-sko.

— Tutaj Cutter — powiedział po uzyskaniu połączenia. — Zameldował się siedemnastego, dwa dni temu. Jediną rzeczą godną uwagi jest to, że odbył dwie rozmowy międzynarodowe z tym samym numerem.

— Co to za numer?

— Baku... Azerbejdżan.

— Mamy więc powiązanie! Tak podejrzewałam.

W słuchawce zapanowało na chwilę milczenie.

— Poleci pan do Baku — powiedziała pani D'Abernon.

— Co z Bowlesem?

— Proszę się już nim nie zajmować. To płotka. Później postanowimy, co mamy z nim zrobić.

— Rozumiem.

— Pańskie następne zadanie będzie trudniejsze... być może niebezpieczne. Nie możemy dłużej tolerować zagrożenia, jakim stał się pan Zorin. Proszę go usunąć.

3.

Szwajcarska bizneswoman odłożyła słuchawkę.

Właśnie zleciła Mitchowi Cutterowi najbardziej ryzykowne z zadań, jakie zdarzyło się mu wykonywać. Sukces albo porażka zaważą, i to bardzo, na jego przyszłości. Ona jednak, czekając na wynik, nie może siedzieć z założonymi rękami.

Wzięła z biurka klucz, podeszła do dużego sejfu przy przeciwległej ścianie gabinetu, otworzyła go, a następnie wsunęła klucz do pojedynczego zamka szuflady. Wyjęła z niej stary notatnik z odręcznymi zapiskami.

Usiadła z powrotem za biurkiem i zaczęła przerzucać stronicę. Ileż razy robiła to przy rozmaitych okazjach! I zawsze ta książeczka budziła w niej szczególne i niemiłe uczucie. Między tymi wystrzępionymi i wyblakłymi okładkami kryły się gdzieś ważkie wskazówki, które należało odszukać. Wszystkie dotychczasowe próby spełzyły jednak na niczym. Między jej umysłem i umysłem autora tych słów rozpościerała się zasłona, której nie potrafiła przeniknąć nawet największym wysiłkiem woli. Również żaden z jej przewodników nie umiał wejrzeć w ich sens ze swego mrocznego świata. W sprawie dziennika Wymiar zawsze zachowywał osobliwe milczenie, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, że był poruszony.

Otworzyła notatnik i przeczytała ostatni zapis.

„... Wskazał mi klucz do wszystkiego. Muszę się tam udać... Bóg wskaże mi... początki życia. Ale oni pojmowali to błędnie... zawsze błędnie...”

Dalej była gmatwanina bezsensownych zdań zapisanych w postaci wierszy. Czytała je dziesiątki razy, ale nie jej nie mówiły.

„Ni zwiastunów, ni znaków nie będzie proroczych...” — przeczytała na głos, jakby dźwięk jej głosu mógł wyczarować sens tych słów.

„Lecz przez cud długo skrywany/ Głęboko pogrzebane rzeczy ujrzą nasze oczy/I objawią się starożytne sprawy.”

Na kilku następnych stroniczkach znowu osobiste zapiski i wreszcie opis ostatniej nocy w Kairze, w hotelu Nile Gardens.

„Ostatnia noc tutaj... dla pewności zostawię dziennik w Nile Gardens... niebezpieczeństwo coraz bliżej. Muszę uciekać jak Izraelici... nocą... przez pustynię ku Górze Obecności...”

Rozumiała jedynie wzmiankę o hotelu Nile Gardens, którego właściciele nadal należą do Zakonu. To dzięki nim weszła w posiadanie książeczki, którą próbowała w tym momencie rozszyfrować.

„Góra Obecności...” Co to bzdura? Ten człowiek z pewnością bredził, i to zanim umknął na pustynię.

„Objawią się starożytne sprawy...” Co za sprawy?

Zamknęła z trzaskiem notatnik. Nie mogła pogodzić się z uczuciem, że ten dziennik ma nad nią jakąś władzę. A to, że się nie mogła pogodzić, złościło ją jeszcze bardziej. Nie mogła zapanować nad rozdrażnieniem spowodowanym tym, że coś takiego ma władzę rzucania na nią uroku, zasnuwania jej umysłu mgłą, i było to uczucie bardziej denerwujące niż fakt, że „objawienie” sprzed stu lat w tej chwili, kiedy zbliża się milenium, naprawdę nabrało aktualności.

Wzięła do ręki słuchawkę prywatnego telefonu. Tym razem połączyła się z Mediolanem. Komunikat, który chciała przekazać, był bardzo zwięzły.

— Jak sprawa pańskiego nowego amerykańskiego przyjaciela? Czy mamy jakieś informacje?

Padła równie zwięzła odpowiedź.

— Proszę nadal naciskać. Spotkamy się w Kairze. Proszę zamieszkać w hotelu Nile Gardens. Jest mi pan potrzebny — powiedziała na zakończenie pani D'Abernon.

4.

Stało się to nazajutrz po wycieczce do obozu. Adam był pół nocy a potem pół dnia zajęty, ale teraz mógł już wyjawic pozostałym wyniki swoich prac.

— Proszę... proszę, panno Halsay — powiedział, patrząc z uśmiechem na Juliet. Jak to dobrze, że wróciła pani już ze spaceru! — Właśnie zamierzałem pokazać Jen co mam tutaj w komputerze.

Juliet weszła do wielkiego namiotu.

— A gdzie Scott? — spytał Adam. — Czy ktoś go widział?

— Jest gdzieś w wąwozie. Razem z Rockym — wyjaśniła Jen. Rocky twierdzi, że odkrył fragment czaszki sprzed co najmniej dwóch milionów lat.

— Od razu widać, że w jego żyłach płynie krew starego Harry'ego! — roześmiał się Adam. — No dobrze, dowiedzą się wszystkiego później. Zapraszam przed ekran.

Dziewczęta zajęły miejsca przed laptopem. W pierwszej chwili niewiele zobaczyły na małym ekranie.

— Wiecie, jakie części łamigłówek próbowałem dopasować... teoria owalnego Edenu i tak dalej. Ludzie nauki, panno Halsay — dodał, uśmiechając się do Juliet — muszą bezustannie ulepszać swoje teorie.

— Doskonale to rozumiem — odpowiedziała mu z uśmiechem Juliet.

— To, że znalazłem się tutaj, w dolinie Rowu Wschodnioafrykańskiego — ciągnął Adam — i raz jeszcze uświadomiłem sobie, w jaki sposób powiększa się obszar lądów, potwierdziło wagę badań nad tym, jak wszystko wyglądało, zanim doszło do tego powiększenia.

— Chodzi o kształt ogrodu rajskiego?

— Otóż to — Adam położył palce na klawiaturze komputera. — No dobrze — zaczął po chwili milczenia — pokażę teraz mapę Afryki i Bliskiego Wschodu. — Przemknął palcami po klawiszach. — A także informacje, które Juliet przywiozła na płycie nagranej przez Crystal. Mam na myśli etapy wędrówki kontynentów opracowane na podstawie teorii szelfów i płyt. — Znowu nacisnął kilka

klawiszy. — Na to nałożymy wprowadzone przez mnie dane dotyczące poszerzania się Rowu między miejscem, gdzie się znajdujemy, a Morzem Czerwonym i również historię tego procesu...

Młode kobiety patrzyły zafascynowane — zarówno Jen, która po sześciu latach pracy w zespole Adama nauczyła się spodziewać rzeczy niezwykłych, jak i Juliet, która nadal była pewna, że pewnego dnia obudzi się i spostrzeże, iż cała ta cudowna przygoda była tylko snem.

— Jeżeli odtworzymy dawny wygląd ziemi, przetestujemy w ten sposób moją hipotezę owalnego rajy, i to będzie dla nas najciekawsze — ciągnął Adam. — Kluczowe jest tu odwrócenie kierunku procesów związanych z wędrówką kontynentów i zmianami wzorców pogodowych. Czy naprawdę obszar rozciągający się od Mezopotamii do południowej Afryki mógł być niegdyś rajem?

Próbując odpowiedzieć na to pytanie, zacząłem się zastanawiać, jaki wpływ miała wędrówka kontynentów i poszerzanie się Rowu, a także zmiany pogodowe w skali globu, na pierwotny obszar rajy. Jedyne rozwiązanie, jakie przyszedł mi do głowy, to obierając za punkt wyjścia sytuację dzisiejszą, cofnąć się do początków. Taki był tok mojego rozumowania, kiedy zginęła Erin, kiedy zniszczeniu uległa większość naszej dokumentacji. Potem zdałem sobie sprawę, że mamy wystarczająco dużo zapasowych kopii tych danych, żeby stopniowo odtworzyć większość dawnych dokumentów. To kawał roboty, ale zdaje się, że udało mi się dojść do miejsca, gdzie byłem wtedy.

5.

W miasteczku w New Hampshire mężczyzna i kobieta pogrążyli się w modlitwie. Kościół, w którym klęczeli robił wrażenie bardzo skromnego miejsca. Żaden przypadkowy przechodzień nie domyśliłby się, że w tym momencie toczą się w biurze pastora wydarzenia,

które są tak związane z królestwem niebieskim. I nawet garstka członków Kościoła w pełnym pokory i mówiącym cichym głosem człowieku, znanym wszystkim po prostu jako pastor Mark, nie rozpoznalaby tego, który został namaszczony do wyższych zadań.

Tak się już jednak dzieje, że wydarzenia pociągające za sobą wiekiuste konsekwencje, pozostają niewidzialne dla ludzkiego oka i niejeden spośród najmocniejszych wojowników, wybranych do tego, by stanąć na czele zastępów Pana, przechodzi codziennie obok nas, a nikt nie widzi, iż dana jest im odwaga i męstwo pozwalające walczyć o sprawy, od których zawisły losy dusz mężczyzn i kobiet.

W tej bitwie orężem jest modlitwa, wiara i posłuszeństwo. Tych dwoje władało nim z największą wprawą, albowiem nigdy nie opuszczał ich duch słów wypowiedzianych przez Pana: „Kto by między wami chciał się stać wielkim, niech będzie sługą waszym”. W ich modlitwie mieściła się więc władza Tego, który kazał zwracać się w swoje imię do Ojca. I legion złych duchów zmykał, kiedy uginali kolana a ich serca wznosiły się ku niebieskiemu Władcy.

„Panie Boże — modlił się cicho Mark — na naszych ramionach spoczął dziś wielki ciężar odpowiedzialności za naszego brata Rocky'ego i za tego, którego — mówią nasze serca — wezwałeś i wybrałeś jako jednego ze swoich, za Adama Livingstone'a. Chociaż go nie znamy, modlimy się za niego żarliwie w imię Pana Jezusa. Panie, zwróć ku sobie serce Adama. Spraw, żeby został Twoim synem.”

„O tak, spraw to, Panie — dodała Laurene. — Wedle wiary jesteśmy już teraz przekonani, że należy do Ciebie. Modlimy się. Chroń go, Panie.”

„Powstrzymaj nieprzyjaciela, który chce mu zaszkodzić. Zmąć wzrok sługom szatana, aby Adam Livingstone mógł dokonać dzieła, do którego go powołałeś. Bez względu na to, co zamierzyłeś, Panie, modlimy się, ażeby sprawy ułożyły się według Twoich zamiarów i spełniła się Twoja wola.”

„Amen, amen, amen, Boże nasz i Ojcze.”

„Niech się spełni Twoja wola, Panie. Składamy Ci dzięki i głosimy Twoją chwałę.”

„Dziękujemy Ci, Jezu, nasz Zbawicielu. Chwała Ci Ojczy.”

6.

Po drugiej stronie globu ten, który był przedmiotem owych modlitw, nie miał pojęcia, jakie błagania wznoszą się w jego sprawie ku niebiosom. Mimo to ochronny baldachim Ducha był rozpostarty nad nim, kiedy dopasowywał ułamki prawdy, do której prowadził go sam Bóg.

— Dość już tych wstępów, Adam! — powiedziała Szwedka, asystentka Livingstone'a. — Zaczynaj. Chcemy wreszcie zobaczyć coś z tego, co zapowiadałeś!



— Dobrze, dobrze — roześmiał się Adam. — Przede wszystkim musimy zapoznać się z dzisiejszą sytuacją.

Nacisnął kilka klawiszy, żeby zamknąć plik z poprzednią mapą i pokazać kolejną, przedstawiającą dzisiejszy stan ziemi.

— Jak widzicie, Sahara i Pustynia Arabska oddzielają tysiącami kilometrów piasków dwa małe żyzne pasma, żyzny półksiężyc dolin Tygrysu i Eufratu na północy i afrykański pas równikowy na południu.

Obie dziewczyny skinęły głowami.

— A teraz spójrzcie, co się dzieje, kiedy uruchomię program cofania się w czasie. — Znowu nacisnął kilka klawiszy. — Nie zapomnijcie, co to oznacza! Prześledzimy teraz w odwrotnym kierunku zmiany, jakie dokonały się, jeśli chodzi o położenie lądów i klimat. Najpierw wędrówka kontynentów.

Mapa na ekranie zmieniała się teraz powoli, pokazując, co się działo nie w ciągu ubiegłych stuleci, lecz geologicznych epok. Cała trójka patrzyła z oszołomieniem, jak Indie odrywają się powoli od kontynentu azjatyckiego i przez kurczący się stopniowo Ocean Indyjski płyną w stronę wschodniego wybrzeża Afryki.

— Niesamowite! — wykrzyknęła Jen.

— To jeszcze nic — zapewnił ją Adam. — Patrz dalej.

Na chwilę zatrzymał obraz.

— Na razie chciałem wam tylko pokazać, jak to działa. A teraz wracam do punktu wyjścia.

I raz jeszcze ukazał się glob ziemski w swoim dzisiejszym kształcie.

— Przejdźmy do zmian klimatycznych. To będzie dopiero coś!

Adam przebiegł palcami po klawiaturze, kursor przemykał szybko i płynnie po ekranie.

— Trzeba będzie zadzwonić też do Crystal i podziękować jej za zdobycie danych, które dotyczą zmian klimatycznych — ciągnął Adam. — Ta dziewczyna ma komputery w małym palcu. No dobrze... teraz widzicie oceany, lądy, rzeki i tak dalej. Pustynie wyróżniłem kolorem jasnobrązowym... macie tu Saharę, Półwysep Arabski i Synaj... Lasy deszczowe, obszary o gęstej roślinności



i prerie są ciemnozielone. I wreszcie doliny rzek i inne żyzne regiony, gdzie są doskonałe warunki dla ludzi i zwierząt, a także dla upraw — jasnozielone. Czy to jasne?

Obie młode kobiety skinęły głowami.

— Jak widzicie, dzisiaj obszarów ciemnozielonych jest niewiele: trochę lasów deszczowych w Kongo i dorzecze Zambezi. A tutaj mamy jasną zieleń. To żyzne tereny w półkuli między Tygrysem i Eufratem, wzdłuż Nilu, a także, ogólnie rzecz biorąc, wokół jezior i na płaskowyżu w Rowie Wschodnioafrykańskim.

Mówiąc, przez cały czas pokazywał odpowiednie fragmenty mapy na ekranie monitora.

— W porządku... A teraz... Czy jesteście przygotowani do wysłuchania najważniejszego?



— Tak, no pewnie! — wykrzyknęła Jen. — Mówże. Umieramy z ciekawości!

— No dobrze, uruchomię znowu wsteczny proces zmian, ale tym razem dodając zmiany klimatyczne. I raz jeszcze Indie oderwą się od Azji, chciałbym jednak, byście patrzyły uważnie, jak pustynie się kurczą, a powiększają obszary zielone.

Patrzyły na zmiany zachodzące na ekranie. Madagaskar przesunął się ku zachodowi i jednocześnie zanikał Kanał Mozambicki, Przylądek Świętego Andrzeja i Tambohorano wpasowywały się w Beirze niby części układanki. Jednocześnie, tak jak zapowiedział Adam, oba żywe regiony, północny i południowy, powiększały się kosztem Sahary i pustynnych terenów na Półwyspie Arabskim.

7.

Anni D'Abernon miała uczucie, że wszystko wymyka się jej z rąk. Było to uczucie nowe, dotychczas zupełnie obce jej osobie.

Była jednym z najbardziej wpływowych członków Rady Dwunastu. To oni określali, jak ma żyć znaczna część ludzi. Oni, podobnie jak ich przodkowie i przodkowie przodków, ustalali, jak rodzaj ludzki ma postrzegać rzeczywistość, oni podejmowali decyzje w sprawach finansów, instytucji i rządów.

A oto teraz garstka osobników, nad którymi najwyraźniej nie mogli uzyskać władzy, zagroziła samym fundamentom ich potęgi. Nie potrafiła wytłumaczyć, skąd wzięło się w niej tak mocne przekonanie, że wytworzyła się właśnie tego rodzaju sytuacja. Nie potrafiły wyjaśnić tej sprawy jej media ani Przewodnicy Ducha.

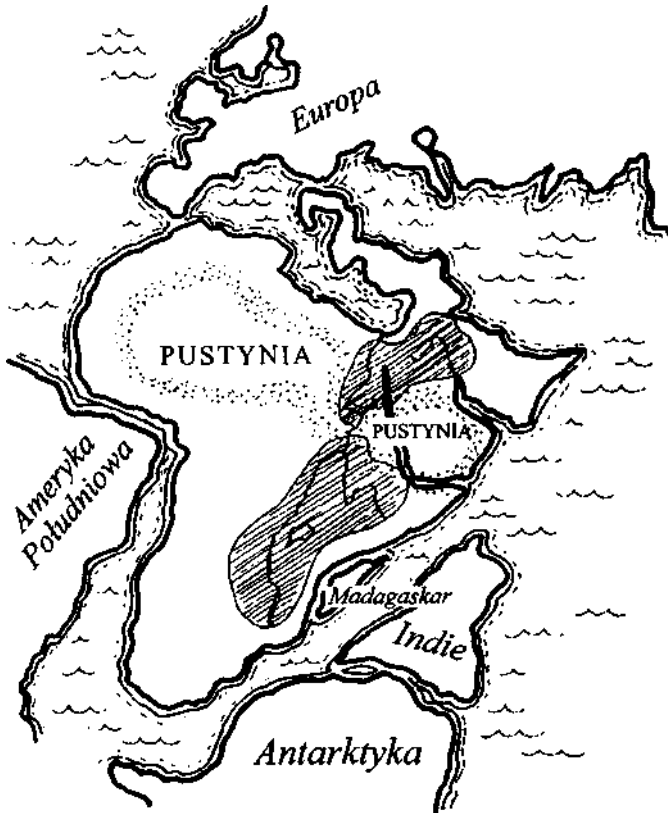
Stary archeolog zaszedł bardzo daleko. Teraz do tego samego miejsca dotarł Adam Livingstone. A przecież nie można dopuścić do ujawnienia tajemnicy. Livingstone przez cały czas jest o krok przed nią. Musi go wyprzedzić i pierwsza dokonać odkrycia... musi go powstrzymać i zniszczyć raz na zawsze to przeklęte miejsce. To warunek bezpieczeństwa planu.

Wygląda jednak na to, że żaden element Wymiaru nie może przeniknąć zaślony okrywającej to miejsce. Skąd to poczucie, że jest bezbronna, że jej władza została okrojona? Dlaczego Wymiar zachowuje spokój? Czy nadszedł jeden z tych momentów, kiedy Nieprzyjaciel poskramia ich potęgę, nie pozwala się jej w pełni ujawnić w działaniu? Słyszała o tego rodzaju sytuacjach, aczkolwiek nigdy się nad nimi nie zastanawiała. Cóż to może oznaczać?

Pora już na telefoniczną konferencję z dwoma najbardziej zaufanymi kolegami. Po godzinie obaj byli na linii.

— Tak, jestem w Kairze. Tutaj zaczęły się kłopoty. Myślałam, że w tym miejscu głos Wymiaru stanie się wyraźniejszy, ale wszystko okrywa mgła.

— Ma pani dziennik? — spytał Vaughan-Maier.



— Tak, ale wszystko jest nadal niejasne. Wszystko poza sprawą naszego przyjaciela Zorina. Sytuacja ma się dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy.

— Czy zostały podjęte odpowiednie kroki?

— Zgodnie z naszymi ustaleniami.

— Trzeba zawiadomić pozostałych członków Rady — powiedział lord Montreux.

— Wszyscy zostaną zgodnie z procedurą poinformowani o zdrajcy.

— I wybrać następcę.

— Mamy wielu wartościowych kandydatów. Musimy jednak zachować większą ostrożność. Powinniśmy byli na samym początku

dostrzec błysk w oku Zorina.

— Myśleliśmy, że jest to Oko Maitrei, tego, który powstanie, by władać.

— Niewykluczone, że by nim było, gdyby żył w jedności z Wymiarem.

— Nie będzie już sprawiał kłopotów.

— A czego dokonał Livingstone? — spytał Vaughan-Maier.

— Jeśli naprawdę jest bliski odnalezienia starej bramy, trzeba go powstrzymać.

— Nie opuścił Afryki — odparła pani D'Abernon. — Będziemy mieli go na oku. Wezwałam godnego zaufania pomocnika.

— Co się dzieje z pańską córką, lordzie?

Lord Montreux zawahał się.

— Jest nadal poza krajem. Powinna już złożyć mi sprawozdanie w sprawie Livingstone'a. Niestety muszę wyjechać rano do Edynburga. Mam przewodniczyć obrządkowi nadawania trzydziestego drugiego stopnia wtajemniczenia posłowi do parlamentu, Robertowi Bonsowi.

— Czy jest jednym z nas?

— Tak.

— Gdzie odbędzie się ceremonia?

— W prywatnej posiadłości w Dunbar.

— Czy zechce pan zawiadomić nas natychmiast, kiedy tylko odezwie się pańska córka?

— Oczywiście.

— A ja będę się kontaktowała z oboma panami w sprawie Livingstone'a.

Pani D'Abernon przerwała połączenie. Rozmowa z lordem Montreux i Vaughanem-Maierem nie pomogła. Nadal czuła się nieswojo.

Chwilę chodziła po pokoju, a potem opuściła wszystkie story, zasunęła zasłony i zgasiła światło. Postawiła na środku stołu świecę, zapaliła ją i usiadła. Wyjęła z torebki fioletowawy kryształ, położyła go obok świecy i zaczęła się weń intensywnie wpatrywać, zawodząc cicho dziwne słowa, których nikt postronny nie potrafiłby zrozumieć.

8.

Adam znowu uruchomił program i Juliet oraz Jen patrzyły szeroko otwartymi i pełnymi żaru oczami na zmiany modelu.

— Tę część programu nazwałem wstecznym wpływem klimatycznym — powiedział.

Żadne z trojga nie odzywało się więcej. Obserwowali, jak trzy oddzielne sekwencje zmian splatają się ze sobą w zależności od zmian pogody, które pojawiały się na kolorowym ekranie.

Obszary jasnej i ciemnej zieleni powiększały się coraz bardziej. W miarę, jak zieleń wypełniała ekran, kurczyły



się powierzchni o odcieniu brązowym. Po chwili regiony żyzne, południowy i północny, zaczęły się łączyć w okolicy południowego Egiptu.

Jednocześnie zmieniały się kształty i położenia lądów. Kontynenty wędrowały na miejsca, gdzie znajdowały się pierwotnie. Pęknięcie stopniowo się wypełniało.

Morze Czerwone zmieniło się w rzekę. Podobnie Zatoka Perska stawała się coraz węższa, aż pozostało z niej przedłużenie Tygrysu i Eufratu biegnące do Morza Arabskiego. Mezopotamia, Arabia i Afryka utworzyły jeden ląd. Z połączenia lądów wykształcał się północny superkontynent Laurazji i południowy Gondwany.

— Jak widzicie, pustynia prawie zniknęła, zieleń wypełniła mniej więcej obszar, o którym mówi moja teoria, a rzeki zyskały na znaczeniu. Ale nie dotarliśmy jeszcze do początku. Patrzcie dalej.

Jeszcze chwilę trwał ruch na ekranie monitora. Ujście Nilu zamknęło się i wielka rzeka popłynęła w przeciwną stronę. W końcu jej bieg całkowicie zamarł.

— Tylko spójrzcie!... Widzicie? — wykrzyknął podekscytowany Adam.

— Co?... Co się tu dzieje? — spytała Jen.

— Przynajmniej w teorii... a mam świadomość, że chodzi tu o ogromny przedział czasowy... patrzycie na pierwotny ogród rajski.

9.

Samolot Mitcha Cutiera dotknął kołami płyty lotniska w Baku godzinę po przybyciu Zorina do Kairu.

Cutter niewiele zdołał się dowiedzieć. Nie wiadomo, jak długo minister spraw wewnętrznych będzie przebywał poza krajem. Ponieważ Cutter nie miał właściwie żadnych informacji, doszedł do wniosku, że ruszy w ślad za Zorinem. Poczeka. Wykorzysta ten czas, żeby zbadać, jak pokonać systemy bezpieczeństwa w willi Zorina.



Po wylądowaniu w Kairze Zorin wsiadł do limuzyny i pojechał prosto do hotelu, w którym zatrzymał się Bowles. Jeśli ten facet znowu się upił, zabije go na miejscu!

Na piątym piętrze zastukał do drzwi pokoju 523. Drzwi otworzyły się i dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie uważnie. Więc ich przymierza znacznie się rozluźniła. A jednak obaj wiedzieli, że nie wszystkie możliwości współpracy zostały wyczerpane. Bowles zaprosił gościa gestem do środka.

— Czego nowego się pan dowiedział? — spytał Zorin władczym tonem.

Bowles potrząsnął głową.

— Niczego.

— Czy podjął pan chociaż jakieś dalsze próby dotarcia do tego człowieka? — dopytywał się Zorin, stojąc pośrodku pokoju.

— Podjąłem — odparł Bowles. Był tym razem trzeźwy i drażniła go natarczywość Zorina. — Telefonowałem, ale nie oddzwonił.

— Czy dowiedział się pan, gdzie mieszka?

— Tak.

Zorin stał bez ruchu. Czekał.

Bowles podszedł do stołu, wziął do ręki karteczkę i podał ją swojemu gościowi.

Zorin wziął kartkę i odwrócił się, żeby wyjść.

— Czy zamknęliśmy nasze sprawy? — usłyszał zza pleców głos Zorina.

Zorin zatrzymał się i spojrzał do tyłu z pogardą w oczach.

— Jeśli pyta pan, czy może podjąć znowu współpracę z Cutte-rem, odpowiedź brzmi nie. Będzie pan czekał tutaj na moje rozkazy. Może będzie mi pan jeszcze potrzebny.

Opuścił hotel i wszedł do limuzyny.

— No cóż, moja kochana — powiedział, zatraskując drzwiczki — wygląda na to, że musimy popracować nad odpowiedzią na pytanie, czego właściwie szuka twój przyjaciel.

10.

— Coś takiego! — wykrzyknęły jednocześnie ze zdumieniem Jen i Juliet.

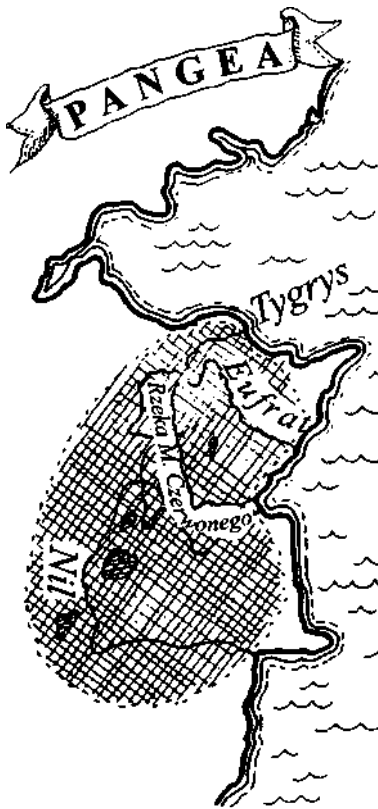
— Same widzicie. Kontynenty połączyły się w ogromny pierwotny superkontynent, Pangeę. Eden rozciąga się od Mezopotamii w dół do tego regionu Afryki. W tej chwili znajdujemy się w jego obrębie.

Cała trójka wpatrywała się z przejęciem w mały ekran.

— Zaznaczę wyraźniej główne rzeki — powiedział Adam.

Odchylił się na krześle, żeby Jen i Juliet lepiej widziały ekran. Miały przed oczami owal Edenu, obszar w całości pokryty zielonym

501



kolorem, przecięty czterema wielkimi rzekami — Nilem ciągnącym się z północy na południe w zachodniej części, Rzeką Czerwoną, jak nazwał ją Adam, przecinającą środek ogrodu, oraz Tygrysem i Eufratem na północy — przy czym każda z nich miała wiele dopływów i była poprzerzywana plamkami jezior, szczególnie w południowym fragmencie owalu.

— Sądzę, że z północy na południe będzie jakieś trzy tysiące kilometrów — powiedział Adam. — Ogromny obszar, a jednak na skalę ludzką. I wystarczający, by Stwórca umieścił w nim wszystkie gatunki istot.

— I cały zielony — odezwała się wreszcie Ju-

liet.

— Bujna... ciemna zielen! Naprawdę wygląda jak... jak ogród!

— Naprawdę wierzę, panno Halsay, że ten rejon ziemi wyglądał niegdyś mniej więcej tak właśnie... właśnie bujnie i zielono. A wszystko dzięki zrozumieniu, czego dokonały zmiany klimatyczne. I dzięki komputerowi, który je dla nas odtworzył.

— Jeśli to, co widzimy, jest prawdą — powiedziała Jen — ogromna część ogrodu znajduje się dzisiaj na obszarze pustyni Arabskiej, Nubijskiej i Etiopskiej, a Morze Czerwone przecina go przez środek.

— Masz rację — odparł Adam. — Morze Czerwone jest pęknięciem, które rozszczepiło Eden przez środek. Kiedy doszło do tego pęknięcia, wszystko zaczęło się zmieniać. Jeżeli mogę porwać się na nową interpretację Wielkiego Rowu Wschodnioafrykańskiego, powiem, że powstał, kiedy Bóg wypędził człowieka z raju. I do dzisiaj mamy pęknięcie skorupy ziemskiej od Morza Martwego po południową Afrykę, przez sam środek Edenu... pęknięcie symbolizujące oddzielenie człowieka od Boga.

— Chcesz powiedzieć, że Wielki Rów powstał z przyczyn duchowych?

— Nie myślałem o tym w dokładnie takich kategoriach, ale przypuszczam, że właśnie tak... że sama ziemia podsuwa nam obraz czegoś, co w rzeczywistości ma swój początek w sferze duchowej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

POSZUKIWANIE ŚRODKA

1.

Minął kolejny dzień.

Od chwili przebudzenia Adam czuł, że do jego duszy wkrada się jakieś dziwne uczucie. Było tak jak tamtej nocy przed zamachem, kiedy nie mógł zmrużyć oka. Nagle wróciły zapomniane, zdawało mu się, myśli, których próbował się pozbyć, z pewnym powodzeniem... aż do dzisiaj.

Zbliżało się jakieś ważne wydarzenie. Czuł to przez skórę.

To uczucie narastało przez cały dzień. Bóg chciał do niego przemówić. Dopiero teraz sobie to uświadomił. Brakowało mu jednak doświadczenia w sprawach Bożych i nie umiał zrozumieć, co Bóg mu mówi.

Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin wracały mu ciągle słowa siódmej zwrotki zagadkowego wiersza Harry'ego McCondy'ego — z taką siłą, że umiał już je na pamięć.

„Znak objawiony; radość milenijnych świętych!
Życie kiełkuje pośrodku... Pełnia pojednania!
Nastał dzień odpoczynku, zniknęły zamęty;
Drzewo objawione! Zabliźniona rana!”

Pośrodku... O jaki środek tu chodzi?

Kim są milenijni święci? McCondy został zabity ponad sto lat

przed brzaskiem nowego milenium. Być może był „świętym”, mężem Bożym, ale z pewnością nie był świętym milenijnym.

I nagle, z paraliżującą mocą, Adam uświadomił sobie, że właśnie teraz jest ostatni rok milenium. Że on właśnie będzie świadkiem milenijnego przełomu.

Czy to możliwe, żeby McCondy nazwał „milenijnymi świętymi” ludzi żyjących dzisiaj? Czyżby słowa starego Harry'ego mówiły proroczo nie o jego życiu, ale o jakiejś przyszłej epoce? Czy pisząc je miał na myśli ludzi Bożych, którzy będą żyli właśnie teraz?

Adam nie mógł dłużej czekać. Musi znowu porozmawiać z profesorem Cissną — choćby po to, żeby podzielić się z kimś tymi wszystkimi myślami. Ogarniało go coraz mocniejsze przekonanie, że egipski botanik to bratnia dusza, ktoś mu bliższy, niż wskazywałby zakres naukowych zainteresowań. Wstał i przeciągnął się. Pojedzie na lotnisko i zobaczy, czy uda mu się uzyskać połączenie.

— Profesorze — zaczął godzinę później, kiedy Cissna podniósł słuchawkę — chciałbym porozmawiać z panem o początkach życia.

Rozmawiając z Adamem Livingstone'em i porządkując myśli, które przemykały mu przez głowę, profesor Cissna wziął do ręki długopis i na pół świadomie zaczął robić dość bezładne zapiski w leżącym przed nim notatniku.

2.

Dwie godziny później rozległo się pukanie do drzwi.

Profesor Cissna wstał. Po rozmowie telefonicznej z Adamem myśli nadal kłębiły mu się w głowie.

Zobaczył przed sobą czarnowłosego mężczyznę o imponującej powierzchowności, mocno zbudowanego, mierzącego ponad metr osiemdziesiąt. Świdrujące spojrzenie ciemnoszarych oczu utkwiło w twarzy profesora. Doktor Cissna natychmiast poczuł, że ma do czynienia z wcieleniem zła.

Za plecami obcego mężczyzny stała kobieta — piękna, wyniosła, na pewno z wyższych sfer, ale jednocześnie wyglądająca jak mucha schwytana w pajęczą sieć, z której nie umiała się wyrwać.

— Profesor Cissna? — spytał Głos jeszcze bardziej władczy niż spojrzenie szarych oczu.

I nie czekając na odpowiedź, mężczyzna wszedł do środka.

— Tak, widzę, że mam przed sobą profesora Cissnę. Candace, zechciej zamknąć — powiedział do kobiety nie odrywając nawet głowy. — Wiem, że pracował pan z Adamem Livingstone'em. Gdzie?

— W różnych miejscach — odparł Cissna, uświadamiając sobie, że milczenie nie jest w tym przypadku dobrym wyjściem. — Zbocza Mount Kenya, okolice jeziora Mamara. Jednym słowem, na rozległym terenie.

— Czego szukaliście?

— Starych drzew.

Zorin na chwilę skamieniał. Te słowa rzuciły na niego czar. Poruszyły jakieś odwieczne tajemne miejsce w głębi jego duszy, chociaż nie potrafiły powiedzieć na czym to wszystko polega. Prosta odpowiedź profesora Cissny zasznurowała mu usta i jednocześnie zirytowała go.

— Co za stare drzewa? — zapytał po chwili.

— Mieliliśmy nadzieję znaleźć drzewa nadal żywe, drzewa z bardzo odległych epok.

Z ust Zorina już miało paść pytanie „po co?”, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. Nie chciał, żeby padła nazwa tego miejsca.

— Znalazł? — zapytał tylko, nie uświadamiając sobie nawet, co zdradza tym pytaniem.

— Co? — odpowiedział pytaniem zbity z tropu profesor.

— Drzewo, głupcze!

— Jakie znowu drzewo?

— To drzewo!

— Nie rozumiem.

Zorin uderzył go w twarz wierzchem dłoni i profesor upadł. Zaszokowana Candace zaczerpnęła gwałtownie haust powietrza i zakryła usta dłonią.

Zorin chwycił już biednego profesora za kark. Jednym ruchem poderwał go do pozycji stojącej i cisnął brutalnie na pobliskie krzesło.

— Nie próbuj ze mną takich gier, profesorku! — warknął. — Pomożesz czy nie, i tak dowiem się wszystkiego o poczynaniach Livingstone'a! Ale możesz pogorszyć swoją sytuację.

— Przepraszam, ale wcale nie zamierzałem się sprzeciwiać. Pan Livingstone pobrał próbki bardzo wielu roślin — powiedział cicho profesor Cissna. — Nie znaleźliśmy niczego godnego szczególnej uwagi. Zamierzaliśmy przeprowadzić testy i analizy, ale...

Zorin uciszył go, wymierzając policzek tym razem otwartą dłońią. Z nosa i okolic oka Cissny popłynęła krew.

— Kłamiesz, profesorku! — wrzasnął. — Coś się tu święci, a ja chcę wiedzieć co!

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął niewielki, ale bardzo skuteczny pistolet z przykręconym tłumikiem.

— Haider! Nie, proszę! — krzyknęła Candace, robiąc krok do przodu i dotykając lekko ramienia Zorina, żeby go powstrzymać.

— Milcz!

Gestem ręki nakazał jej się cofnąć. Wydała z siebie cichy okrzyk, ale nie śmiała już powiedzieć ani słowa.

— Daję ci jeszcze jedną szansę, Cissna.

Profesor skłonił już jednak głowę i zaczął się modlić.

— Zamknij oczy, najdroższa, skoro jesteś taka wrażliwa — rzucił przez ramię Zorin. Wybuchnął złym śmiechem. — Będziesz patrzyła czy nie, bez różnicy. Tkwisz w tym po szyję.

— Boże Abrahama, spełnij swoje zamiary — modlił się cichym głosem Egipcjanin — i wybacz temu człowiekowi...

Były to ostatnie słowa, jakie padły z jego ust.

Pistolet lekko drgnął w ręku mordercy. Rozległ się głuchy, miękki jakby stuk. Z piersi profesora Cissny trysnęła krew.

Candace krzyknęła z przerażenia, patrząc, jak profesor osuwa się w kałuży krwi. Jaskrawa czerwień sączyła się na żółty materiał, którym obite było krzesło.

Zorin, zaciskając nadal pistolet w dłoni, patrzył obojętnie na czerwoną płamę. Wydawało się, że kolor wnika w jego oczy, zamiast się w nich odbijać.

Spojrzenie stalowe stało się spojrzeniem rubinowym. Przyszły Mąż Pokoju zmienił się w niewolnika śmierci.

3.

Siedząca po drugiej stronie pokoju Candace Montreux przywarła rozpaczliwie do poręczy fotela, nie potrafiąc zapanować nad drżeniem. Starła się ze wszystkich sił nie popaść w omdlenie i nie zwymiotować. Twarz jej zszarzała, ale dziewczyna zachowała dość przytomności umysłu, by zrozumieć, że także jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Zorin, nie wzburzony zgoła swoim czynem, kręcił się po pokoju, szukając jakiejś informacji, której nie zdołał wydobyć z tego głupca. W pewnej chwili podszedł do niskiego stolika z telefonem. Obok aparatu leżał notatnik. Zorin przyjrzał się mu uważniej, a potem zerwał wierzchnią kartkę.

Być może tego właśnie szuka!

Na górze kartki zobaczył nazwisko Livingstone'a i dzisiejszą datę. Musieli niedawno ze sobą rozmawiać.

Przebiegł kartkę wzrokiem, ale nic z tego nie zrozumiał. Ode-rwane słowa i zdania, zapisane w przypadkowej kolejności.

— Chodź tu! — rozkazał Candace. Dźwignęła się z wysiłkiem i podeszła.

— Czy widzisz w tym jakiś sens? Wzięła do ręki kartkę i zaczęła czytać:

— „... Znaczenie Rowu... Synaj... duchowny rozłam ukryty ogród... wzrost... drzewa...”

Dolna część kartki była odkreślona kreską, pod którą znajdowało się słowo „skojarzenia” i dalej jakieś, na pierwszy rzut oka, przypadkowe bazgroły. „Alternatywna lokalizacja... łącha piasku... Klasztor Św. Katarzyny?... Teoria al Lawz?...”

— Nie — powiedziała drżącym głosem. — Poza nazwiskiem Adama.

— Nic mi po tym! — wykrzyknął Zorin, wtykając kartkę do kieszeni. — Idziemy! Dowiem się wszystkiego od samego Livingstone'a!

Kiedy opuszczali miejsce zbrodni, Zorin rozmyślał już o następnym posunięciu. Niewykluczone, że będzie musiał zabić także Bowlesa. Grubas gotów skojarzyć fakty. Najpierw jednak Livingstone!

Jedynе wyjście to stanąć twarzą w twarz z tym człowiekiem. A jeśli nie dowie się tego, co potrzebuje, i nie zdoła powstrzymać archeologa, zabije także jego.

Zatrzymał się przy pierwszym napotkanym telefonie. Kiedy użył połączenia prywatną linią łączącą podziemny bunkier II-Chadim, głęboki Głos poprosił do telefonu Sidkiego.

— Chcę mieć trzech ludzi. Trzeba się kimś zająć.

— Twoje życzenie jest dla nas rozkazem, o moźny panie.

— Spotkamy się dzisiaj wieczorem w Nairobi. Sprawa jest pilna. Będę w Ngong Towers.

4.

Tego wieczora Adam Livingstone siedział przy swoim laptopie.

Raz po raz uruchamiał program, który pokazał poprzedniego dnia Jen i Juliet. I co chwila jego myśli biegły ku tym nocnym godzinom sprzed kilku miesięcy... Dwa drzewa, ogród rajski... intuicje i olśnienia... pytania, duchowe konsekwencje. Co to wszystko ma wspólnego z tym... z tym komputerowym modelem rajskiego ogrodu?

Jakieś powiązanie istnieje... jest coś głębszego i ważniejszego od wszystkiego, co udało mu się odkryć dotychczas.

Siedział wpatrzony w ekran. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak przedtem.

Bardzo długo siedział z wzrokiem utkwionym w stworzonej przez siebie mapie. Czegoś tu brakowało... czegoś nie uchwycił... czegoś, co musi zobaczyć. Znalazł się w ślepych zaułku, miał przed sobą mur, którego nie potrafił przeniknąć spojrzeniem... zasłonę, której jego umysł nie potrafił uchylić.

Długie dziesięć minut siedział nieruchomo, wpatrzony w przypominający kształtem embrion obszar hipotetycznego Edenu. Powinien się cieszyć. Miał przed oczyma potwierdzenie swojej teorii. Czyż nie powiedział Jen i Juliet: „Patrzycie na pierwotny ogród rajski”?

Czemu więc nie miał tego poczucia tryumfu, jakie przeżywał przy innych sposobnościach, dawniej? Czemu ten model wydał się mu nagle ułomny? Jakiego składnika tu brakuje?

Po dłuższym czasie wyłączył komputer i położył się do łóżka. Przez całą noc dręczyły go fantasmagoryczne sny o archeologu bez twarzy, który ucieka przed jakimś zagrożeniem, zerkając co i raz do tyłu przez ramię... biegnąc... szukając... potykając się... rozglądając za jakąś kryjówką... lecz nie znającego nazwy miejsca, ku któremu zdąża.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ŻYCIE ODNALEZIONE

1.

Adam obudził się w przyćmionym świetle pierwszego brzasku.

Spał źle i czuł, że zaraz rozboli go głowa. Z drugiej strony namiotu doszło go chrapanie Rocky'ego, ale poza tym nie było żadnego powodu, żeby nękał go ten niejasny niepokój.

Wiedział, że już nie zaśnie. Wstał i ubrał się. Skąd ten zapach dymu? Czyżby ktoś poza nim miał trudności z zaśnięciem?

Uniósł płachtę namiotową i zanurzył się w wilgotnym porannym powietrzu na zewnątrz. Wyrzucił ramiona w górę i przeciągnął się.

— Dzień dobry — usłyszał cichy głos.

Zaskoczony Adam opuścił ramiona i rozejrzał się dokoła. Kilka metrów od niego, trzymając kubek z herbatą na kolanach, siedziała Juliet.

— O, panna Halsay! — Wyrwał mu się ni to okrzyk, ni to cichy śmiech, bo ktoś zobaczył go w chwili, kiedy myślał, że jest zupełnie sam. — Nie spodziewałem się, że o tej porze ktoś poza mną nie śpi.

Wziął krzeselko i podszedł do Juliet.

— Nie mogę spać — uśmiechnęła się młoda kobieta.

— Ciągle nie mogę uwierzyć, że tu jestem. A zresztą wczesny

ranek to coś tak szczególnego, tyle spokoju, że chciałam nawdychać się do woli tego powietrza.

— Zawsze uważałem, że to najlepsza pora dnia — powiedział Adam, siadając obok niej.

— Ciągle wracają mi do głowy słowa pieśni, którą śpiewamy w kościele, „Ten świat należy do mego Ojca”. — Juliet zamilkła na chwilę, a potem dodała: — Wczesny ranek to również bardzo dobra pora na modlitwę.

— Jeśli o mnie chodzi, z łóżka nie wypędziła mnie potrzeba modlitwy. Ani ekscytacja z powodu pobytu w tym miejscu. — Adam skrzywił się, bo w głowie zaczynał mu już pulsować ból.

— Napije się pan herbaty? Woda jest wrząca.

— Nawet nie wie pani, jak wspaniale to zabrzmiało.

Juliet zerwała się już i podeszła do kuchenki ustawionej na jednym z dwóch obozowych stołów. Chwilę później siedziała znowu, Adam zaś trzymał w rękach duży kubek parującej herbaty. Dmuchał leciutko, żeby ją przestudzić, i poruszał kubkiem, jakby chciał w ten sposób szybciej wydobyć aromat z herbacianej torebki.

— Dlaczego źle pan spał?

— Nie wiem — westchnął Adam. — Uruchamiałem kilka razy program komputerowy. Mam wyraźne uczucie, że coś przeoczyłem.

— A z takim zapałem pokazywał pan ten program przedwczo-
raj!

— Potem jednak wzmagало się coraz bardziej poczucie, że coś tu jest nie tak jak powinno.

— Myślałam, że ten model komputerowy jest dowodem na pańską teorię.

— Bo ja wiem? — Adam spróbował wypić łyk wrzątku, ale zaraz odsunął kubek od ust. — No, w każdym razie komputer pokazał, że coś takiego jest możliwe. W pierwszej chwili byłem tym podekscytowany. Teraz mam poczucie, że nie wyjaśniłem wszystkiego, choć nie wiem, co to mogłoby być.

Wstał i poszedł po mleko do herbaty. Kiedy wrócił, zobaczył, że Juliet jest pogrążona w zadumie. Słowa Adama pchnęły jej myśli w nowych kierunkach. Na razie jednak milczała.

— No i właśnie dlatego nie mogłem spać — westchnął Adam, zajmując z powrotem miejsce na krześle i chciwie wypijając łyk herbaty. — I dlatego pęka mi głowa. Znaleźliśmy się na progu czegoś wielkiego, czuję to. Chciałbym tylko wiedzieć co to jest.

Oboje chwilę milczeli.

— Czy pomyślał pan, żeby pomodlić się o odpowiedź? — spytała wreszcie Juliet.

Chociaż ostatnio myśli Adama często zwracały się ku rzeczywistości Bożej obecności, to pytanie zupełnie go zaskoczyło.

— Nie... nie przyszło mi to do głowy.

— Skoro Bóg ukrył rajski ogród przed ludźmi, chyba żadne wysiłki intelektualne, choćby wspierane przez komputer, nie uchylą rąbka tajemnicy.

— Dlaczego?

— Ponieważ klucz do niej jest w ręku Boga. Jeśli zechce, byśmy dowiedzieli się czegoś więcej, sam nam to objawi. Chodzi o coś, czego bez Jego pomocy nie możemy wymyślić.

— Tak, rozumiem... oczywiście. Słuszne rozumowanie. On zamknął ogród i tylko On może otworzyć go na nowo.

Zamilkł. Patrzył na Juliet i jego twarz miała ten sam wyraz co wtedy, kiedy patrzył, jak wysiada z samolotu. Dostrzegła to i roześmiała się z cicha.

— Co się stało? — spytała. — Dlaczego patrzy pan na mnie w ten sposób?

— Kiedy tylko zobaczyłem panią w Nairobi, wiedziałem, że zaszła w pani jakaś zmiana. Chyba teraz wiem, skąd się to wzięło. Co zaszło między Bogiem a panią, czy tak?

— Tak... to prawda — uśmiechnęła się Juliet.

— Proszę mi o tym powiedzieć.

— Modliłam się i zapraszałam Jezusa do mojego serca — odparła z wielką prostotą Juliet. — Wiem, że właśnie dzisiaj, w naszych czasach brzmi to dziwnie i że być może jest to niezwykajny sposób postępowania.

— Może nie tak dziwnie jak pani myśli. Przyszedł chyba taki czas, że wszędzie pojawiają się refleksje i olśnienia dotyczące Boga.

— Wy tłumaczyła mi to matka Erin. I pomogła dostrzec, jak bardzo ten fakt wszystko odmienia. Po rozmowie z nią wydaje mi się to czymś zupełnie naturalnym, czymś, do czego zostaliśmy stworzeni... to znaczy do obcowania z Bogiem Ojcem i Jego Synem. Pani Wagner powiedziała, że krzyż łączy krawędzie przepaści między Bogiem i człowiekiem.

— Ale już przedtem mówiła pani, że jest osobą wierzącą.

— Tak. Już przedtem wierzyłam w Boga, modliłam się i czułam, że zsyła mi spokój ducha. Ale teraz jest inaczej. Nastąpiła zmiana. Mam świadomość, że zamieszkał we mnie Duch Boży. Czuję, że przepaść została zasypana. Po raz pierwszy czuję naprawdę, że jestem córką Boga i że jest On w każdej chwili przy mnie. Jeśli można tak powiedzieć, czuję się prawie tak, jakbym wróciła do rajskiego ogrodu, bo przecież tam właśnie miałam przebywać.

— To fascynujące. Proszę opowiedzieć mi o wszystkim.

I Juliet opowiedziała mu o swojej rozmowie z panią Wagner i tym, jak zjechała z szosy i zaczęła się modlić. Adam słuchał w skupieniu.

— I wierzy pani, że Bóg może nam ujawnić to, czego szukamy? — spytał po chwili milczenia.

— Oczywiście ma odpowiedzi na wszystkie pytanie. Co więc może być złego w tym, że Go zapytamy?

— Chyba nic — przyznał Adam.

— A może pomodlimy się razem? Teraz. I poprosimy, żeby dał nam możliwość dotarcia do prawdy.

— Świetna myśl. Tyle że nigdy jeszcze z nikim się nie modliłem.

— To bez znaczenia. Proszę zostawić to mnie.

Juliet zamknęła oczy.

— Panie, pokaż nam, proszę, to, czego winniśmy wedle Twojej woli dowiedzieć się o rajskim ogrodzie, gdzie dałeś człowiekowi życie — padły z jej ust słowa pełne prostoty. — Jeśli pan Livingstone coś przeoczył, zechciej mu to wskazać. Amen.

— Amen — powtórzył Adam.

Spojrzeni na siebie i oboje się uśmiechnęli.

— Nie było to takie trudne — powiedział Adam.

Siedzieli kilka minut w milczeniu, rozmyślając o tym, co się przed chwilą stało. Jedno i drugie po raz pierwszy coś takiego przeżyło. I zdali sobie sprawę, że od tej chwili wytworzyła się między nimi jakaś nowa niewidzialna, więź. Mieli uczucie, że nie dzieli ich już ani różnica wieku, ani pozycja społeczna, ani wykształcenie. Zarówno Juliet Halsay, jak i Adam Livingstone wiedzieli, że ich życie nigdy już nie będzie takie, jak przed tą chwilą.

— Aha, coś chciałbym pani pokazać — powiedział w końcu Adam.

Wstał i pospieszył do namiotu. Chwilę później wrócił z dziennikiem Harry'ego McCondy'ego. Otworzył go na siedmiozwotkowym wierszu i podał Juliet.

Przeczytała uważnie.

— Ostatnie linijki zabiły mi nie lada klina — powiedział Adam. — Myślę, że w nich jest, być może, ukryty jakiś klucz.

Rozmawiali ściszonymi głosami. Słońce wyłoniło się znad horyzontu. Stopniowo z obu namiotów zaczęły dochodzić odgłosy porannej krzątania.

2.

Wczesnym popołudniem tego samego dnia Adam wrócił do obozu z Rockym i Scottem. Ani śladu dwóch młodych kobiet.

— Czuję, że czas uciąć sobie drzemkę — westchnął Adam, idąc w stronę namiotu. — Skutki nieprzespanej nocy.

Schylił się i wszedł do środka. Zobaczył Juliet, która siedziała przy stoliku i wpatrywała się w ekran komputera. Kiedy usłyszała, że wchodzi Adam, obróciła się gwałtownie. Tym razem jednak jej twarz nie zdradzała ani śladu zakłopotania, że została przyłapaną tam, gdzie nie jej miejsce. Szeroko otwarte oczy mówiły, że jest zdumiona i olśniona.

— Nie wiem, co pani odkryła, panno Halsay, ale sądząc z wyrazu twarzy, musi to być coś bardzo ważnego — powiedział Adam.

— Przepraszam, że wtargnęłam do pana namiotu, ale po prostu nie mogłam się doczekać, kiedy pan wróci. Nagle uderzyło mnie... nagle wszystko ułożyło się w sensowną całość. Chyba wiem, czego pan szuka. Chyba wiem, co oznacza ostatnia zwrotka wiersza!

Adamowi w jednej chwili przeszła senność. Podeszedł bliżej i zobaczył obok komputera otwarty dziennik McCondy'ego, a także jakieś czasopismo, którego nie rozpoznał.

— Co to takiego? — spytał wskazując czasopismo.

Przysunął krzesło i usiadł obok Juliet.

— Na śmierć zapomniałam. Przyszło tuż przed moim wyjazdem z Sevenoaks. Crystal powiedziała, że zaprenumerował je pan niedawno i właśnie przyszedł pierwszy numer. Uznała, że warto je panu dostarczyć.

Adam wziął do ręki periodyk, przerzucił niedbale kilka stron i odłożył go z powrotem na stół.

Spojrzał na ekran i zobaczył ten sam embrionalnego kształtu owal, nad którym rozmyślał w nocy i którego tajemnicy nie umiał odczytać. Do namiotu weszli pozostali i stanęli za ich plecami.

— Myślałam, że uda mi się cofnąć w czasie dalej niż panu — powiedziała Juliet — ale program zatrzymał się w tym samym miejscu.

— To końcowy punkt modelu — wyjaśnił Adam. — Do tego momentu sięga teoria wędrówki kontynentów, do permu.

— Co się stanie jednak, jeśli pójdzie się dalej? — spytała podniekscytowana wyraźnie Juliet.

— Nie wiem, co ma pani na myśli. To końcowy etap dryfowania, superkontynent Pangei.

— A jeśli zażąda się od programu dalszego cofnięcia w czasie... nie w odniesieniu do całej ziemi, nie do całego kontynentu... ale tylko do ogrodu... dalej i dalej.

— Niby do czego?

— Do początku, proszę pana. I tego właśnie pan szukał... to jest ta przeoczona rzecz, o której mówił mi pan rano... początek...

środek ogrodu. Nie cały obszar od Afryki po Turcję, ale sam środek. Proszę patrzeć!...

Wzięła do ręki dziennik McCondy'ego i raz jeszcze przeczytała ostatnią zwrotkę.

— O tu. Mieliśmy to tutaj, przed oczami... „Życie kiełkuje pośrodku”. I właśnie środek musi pan znaleźć.

— Co ma pani na myśli?... Że jest jakiś sposób odnalezienia tego środkowego punktu, panno Halsay?

— Tak... jeśli cofniemy się z programem... choć nie będzie już żadnych danych dotyczących wędrówki kontynentów... jeśli będziemy postępować tak, jakby początkiem ziemi był jeden jedyny punkt. Podobnie postępują astronomowie, kiedy powtarzają w odwrotnym kierunku proces ekspansji wszechświata, starając się dotrzeć do chwili, kiedy wszechświat jest skurczony do punktu, starając się odtworzyć chwilę Wielkiego Wybuchu.

— Rozumiem, co ma pani na myśli! — wykrzyknął Adam. — Trzeba cofnąć się z naszym modelem dalej niż wielki owal, nie zważając na to, że nie ma już żadnych konkretnych danych...

— Właśnie... Do punktu początkowego!

— Dalej niż do owalu!... Znacznie dalej na osi czasowej!

— Czy komputer zrobi coś takiego? — spytała Juliet, wstając ze swojego miejsca.

— Nie wiem — odparł Adam, zajmując jej miejsce.

Natychmiast zaczął przebiegać palcami po klawiaturze, podając skomplikowanemu programowi nowe instrukcje. Pozostali patrzyli w milczeniu i coraz większym napięciu.

Adam był w swoim żywiole, oczy mu jaśniały, twarz płonęła: Juliet odłoniła mu nagle nowe możliwości. Szalony pomysł! Co się stanie, jeśli każe programowi cofnąć się dalej?

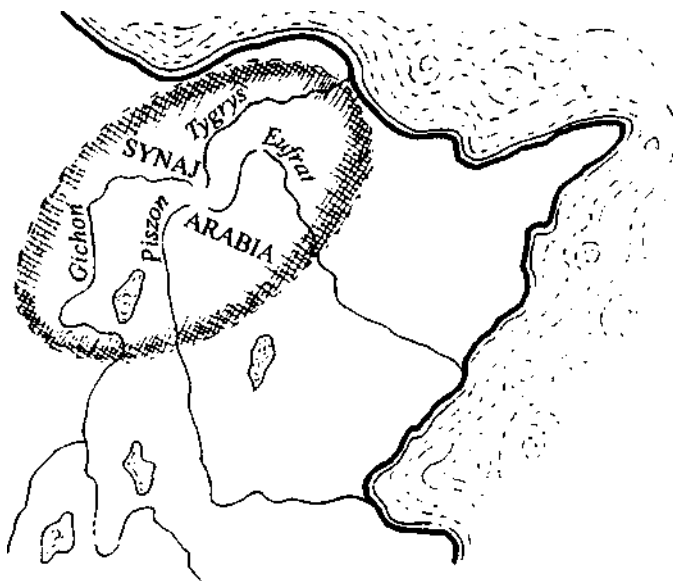
Ile się tylko da!

Dlaczego Eden nie miałby skurczyć się w sobie... właśnie do miejsca początkowego... do pulsującego jądra życia... do środka, z którego zaczęło promieniować życie w samym Edenie!... do czegoś w rodzaju rajskiego Wielkiego Wybuchu. Jak sugerowała Juliet.

I ekran nabrał życia. Na ich oczach owal zaczął się kurczyć... bardziej i bardziej... ku środkowi.

Adam Livingstone patrzył oniemiały. Stojący za jego plecami widzieli to samo.

W miarę jak owal stawał się coraz mniejszy i mniejszy... cztery rzeki zaczęły zbliżać się do siebie. Wszystkie spojrzenia utkwily w ekranie, obserwując zmiany zachodzące na granicy Adamowego owalu, który zmniejszył się już do ułamka pierwotnej wielkości.



— Spójrzcie!... Tylko spójrzcie! — wykrzyknęła Jen. — Spójrzcie, jak...

— Panie Livingstone!... Jest środek! — teraz Juliet nie mogła powstrzymać okrzyku.

— Wiem, panno Halsay — powiedział Adam. — Być może jest to środek ogrodu... sprzed pęknięcia, sprzed powstania Wielkiego Rowu. Zdaje się, że naprawdę trafiła pani w samo sedno i odsłoniła tajemnicę.

— Ale mamy tu po prostu Synaj i Pustynię Arabską — powiedział Rocky. — Ani śladu ogrodu!

— Może teraz nie. Ten obszar wygląda tak jak pewnie wyglądał pierwotnie.

— Trzy razy hurra na cześć Juliet! — wykrzyknął Scott.

Nagle Juliet poczuła, że czyjaś ręka obracają ją i chwytają w tali. Chwilę później wirowała po namiocie w ramionach Scotta, który prowadził ją zaimprovizowanym tanecznym krokiem. Jen i Rocky także ruszyli w tany, przyklaskując i przytupując do taktu, a po chwili chwycili się za ręce i zaczęli wirować razem z nimi. Nie chcąc zostać na uboczu, Adam, zerwał się z krzesła i zaczął klaskać i śpiewać szkocką piosenkę.

— Odbijany! — krzyknął po chwili. Odepchnął Rocky'ego, ujął lewą dłoń Jen i zaczął radośnie podskakiwać. — Rocky, muzyka!

— Nie umiem śpiewać! A zresztą chcę zatańczyć z naszym gościem honorowym.

Rocky ujął dłoń roześmianej Juliet i ruszyli w tany, wzbijając obłoki kurzu z namiotowej podłogi. Scott śpiewał, ale widok potężnego podrygującego ciała Rocky'ego był tak śmieszny, że rychło muzyczne rytmy zagubiły się wśród wybuchów śmiechu.

— Człowieku, gubisz rytm! — wykrzyknął Scott.

Nagle Juliet poczuła, jak ręce Adama odciągają ją od Rocky'ego i obejmują lekko. Ruszyli szaleńczą polką przez namiot. Poczuli uderzenie fali gorąca do głowy, ale nie miało to nic wspólnego z wysiłkiem, jakiego wymagał taniec. Było jej dobrze w tym ogólnym zamęciu i w przyćmionym świetle namiotu. Nikt nie dostrzegł rumieńca na jej twarzy! Cudowna bliskość trwała ledwie kilka sekund. Adam okręcił nią raz i drugi, a potem pchnął lekko w stronę Scotta. On i Rocky zaczęli krążyć wokół siebie w tanecznych podskokach, a wreszcie cała roześmiana piątka, z trudem łapiąc oddech, opadła na łóżka i krzesła.

3.

„Znowu przychodzę do Ciebie, Panie, byś wyniósł ich ku sobie — modliła się Laurene Stafford w saloniku ich domu. — Bezustannie

i z przemożną siłą nakazywałaś mi o nich myśleć. Wiem, że w tej chwili toczy się wokół nich bitwa. Bądź przy nich, Panie, i spraw, by nieprzyjaciel uciekł w obliczu Twojej mocy. Czuję, że nadchodzi objawienie. Panie mój, modłę się, ażebyś przepoił Adama Livingstone'a duchem Chrystusowym. W imię Jezusa proszę Cię w jego imieniu o mądrość, aby trafnie odczytał prawdę, którą mu ujawniasz, i aby wiedział, co ma czynić...”

W tym samym czasie Mark Stafford także poczuł przemożną potrzebę modlitwy za Adama i Rocky'ego. Natychmiast zjechał z autostrady. Nie zważając na przemykające samochody, modlił się prawie tymi samymi słowami, co jego żona.

„Ojcze Niebieski, czuję, że właśnie teraz wynosisz Adama Livingstone'a ku poznaniu i zrozumieniu Twoich dróg. Długo nie znał Cię, Panie, wierzę jednak, że Twoja dłoń wybrała go i że wedle swoich planów namaszczaś go w tej właśnie chwili. Chroń go, Panie, i prowadź ku prawdzie. Uczyni go świętym na nadchodzące nowe czasy. Niechaj stanie się jednym z Twoich odważnych synów z powstającego nowego pokolenia mężczyzn i kobiet Ducha, którzy będą nieśli Twoje słowo przez nowe milenium, zachowując jasne spojrzenie, nie zaćmione naciągającym oszukaństwem...”

4.

Kiedy Adam Livingstone wędrował przez ciemną, rozświetloną tylko blaskiem księżyca noc, w jego głowie kłębiły się myśli bardziej natarcywe i głębsze niż kiedykolwiek przedtem.

Do niedawna nie uważał siebie za człowieka skłonnego do introspekcji. Za myślącego, owszem, ale nie za kogoś, kto zaprzętałby sobie umysł poznawaniem samego siebie. Rzadko skupiał się na sprawach duszy. Był dumny z tego, że jest intelektualistą, który stąpa po ziemi.

I oto wszystko się zmieniło. Jest bliski odkrycia, za którym tęsknił przez całe życie. Lada chwila dojdzie do teoretycznej syntezy, której poświęcił wszystkie swoje wysiłki.

I nagle jego umysł zaczęła nękać kwestia własnych, osobistych i głęboko duchowych, konsekwencji odkrycia. Przemieszczeniu uległ sam rdzeń dociekań. Nic nie było nawet w połowie tak ważne jak to wszystko, co we własnym jego umyśle powodowało poruszenie i nakazywało mu czuć.

Pojawienie się w jego życiu Rocky'ego i Juliet nie może być przypadkiem. Oboje przyczynili się w ubiegłych miesiącach do tego, że zajął się duchowym aspektem swojej osoby. Teraz stanął przed zupełnie nowym dylematem. Miał przed oczami nagą i bezdyskusyjną rzeczywistość faktów z biblijnej Księgi Rodzaju i zdawał sobie sprawę z tysiąca bardzo wyrazistych implikacji tego stanu rzeczy.

Dawniej Biblia była dla niego dokumentem historycznym, jednym z wielu, tylko w połowie godnym wiary. Hebrajska opowieść pozwalała dostrzec intrygujące strony dziejów starożytnego Bliskiego Wschodu. Raczej nie zastanawiał się jednak nad zawartością duchową.

Aż do dnia, kiedy postawił stopę na arce.

Od tej chwili wszystko zaczęło się zmieniać: nagle uświadomił sobie, że biblijna opowieść o stwarzaniu świata może być zgodna z prawdą. Ale chociaż potem wielokrotnie o tym mówił, przenikająca wszystko rzeczywistość nie poruszyła skalistych głębin jego serca... Aż do dzisiejszego dnia.

Stanął, ku swej satysfakcji, na progu odkrycia dowodu, że biblijna opowieść o raju jest czystą prawdą — podobnie jak wszystko, co zdarzyło się do potopu.

Cóż za oszałamiające twierdzenie!

Czy ktokolwiek uwierzy mu, kiedy wystąpi z taką zdumiewającą tezą? Nagle przestało to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. A raczej miało znaczenie, i tylko dla niego — liczyło się bowiem to, by on sam uwierzył w prawdę podaną w Księdze Rodzaju. I teraz miał świadomość, że wierzy! Wie, że Biblia mówi prawdę.

A skoro fundament jest tak mocny, czyż nie wynikają z tego poważne konsekwencje, jeśli chodzi o całą resztę? Skoro w Księdze Rodzaju zawarta jest prawda, czyż nie wskazuje to, że wszystko, co podano w Biblii, jest prawdą?

A to prowadzi do najważniejszego i najżywotniejszego z wszystkich pytań. Jakie wnioski powinien wyciągnąć on sam? Wnioski dla siebie, osobiste?

Adam uświadomił sobie, że człowiek o prawym sercu, autentyczny poszukiwacz prawdy musi jakoś odpowiedzieć, kiedy zostanie postawiony w obliczu owej prawdy, w obliczu objawienia. Dążenie do prawdy ma swoje konsekwencje, bo kiedy się do niej dojdzie, nie można już jej ignorować. Coś trzeba z nią zrobić.

Jeżeli Bóg jest naprawdę Bogiem — uświadomił sobie nagle Adam — znajomość tej zdumiewającej i burzącej świat cały prawdy stanowi dobro, nie takie jednak, którym obdarzony byłby bezosobowy kosmos, lecz którym obdarzony został on jako istota stworzona przez Boga. Dobro polega na tym, że przyjmuje się do wiadomości nie tylko istnienie Najwyższego Bytu, ale także to, że jest to Byt nadrzędny, mający władzę, panujący w pełni nad wszelkim życiem... a w pierwszym rzędzie nad nim, nad Adamem Livingstone.

Przez wiele lat wprawiał umysł do myślenia przyczynowo—skutkowego. I stanął teraz w obliczu najbardziej oszałamiającej kwestii przyczynowo-skutkowej: Skoro Bóg jest sprawcą przyczyną życia, jaki ma to konieczny wpływ na ludzi, którzy uznają tę przyczynową Prawdę?

Jeżeli odkrycie, przed którym stanęli, jest naprawdę takim fantastycznym objawieniem — a był tego pewny — to owa „sprawca przyczyna”, ów Boski początek świata nie jest dla uczciwego człowieka czymś, nad czym można przejść do porządku dziennego.

Adam Livingstone nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny, tak bezbronny, tak obnażony wobec ogromu tego osobowego dzieła stworzenia, którego studiowaniu poświęcił życie. Jego przeszłość, przyszłość, relacje z innymi, to odkrycie... — co ma z tym wszystkim począć? Z tym, co osiągnęło kulminacyjny punkt w tym

punkcie na osi czasowej, w momencie, kiedy szedł przez noc rozświetloną łagodnym afrykańskim blaskiem księżyca.

Gra szła o jego jestestwo. Stał oto przed pytaniem, z którym w ostatecznym rozrachunku uporać się musi każda ludzka istota: Kim jestem? Należę tylko do siebie... czy może do Kogoś Innego?

Powoli podniósł wzrok. Wiedział, że Bóg wcale nie przebywa tam, w niebie między gwiazdami, w tym dosłownym niebie. Jest wszędzie, u jego boku, wokół niego... w nim! Wzniesienie wzroku było natomiast znakiem szacunku, odpowiedzią człowieka na fakt, że jest nad nim Boski Stworzyciel-Ojciec, który pragnie jak najściślej więzi właśnie z nim... z człowiekiem.

W życiu człowieczym przychodzi taki moment, kiedy z całą oczywistością ujawnia się różnica między istotą stworzoną na obraz i podobieństwo Boga, a resztą istot. Żadna twórczość, żadne osiągnięcia myśli, żadne dzieło sztuki czy geniusz i żadna duchowa dążność nie daje człowiekowi takiego poczucia spełnienia. Na szczyty osobistego rozwoju dociera się nie poprzez wspinaczkę, lecz poprzez korne pochylenie karku. Istoty ludzkie jako jedyne mają ten dar, że poprzez świadome wyrzeczenie się siebie samych mogą zanurzyć się w wyższego rzędu życiu, w życiu swego Stwórcy.

Kiedy człowiek wyrzeka się roszczeń do władzy nad swoim życiem, w tej samej chwili przyjmuje wyższe powołanie, do którego może doprowadzić jego człowieczeństwo. I wtedy jest gotów, jest zdolny do tego, by ze swoim Stwórcą, Panem i Ojcem przechadzać się w cieniu rajskiego ogrodu. Wyrzeczenie się samego siebie daje życie.

Adam Livingstone był już gotów do tego, by zrzec się roszczeń do władzy nad samym sobą. W ciągu ostatnich miesięcy wiele razy zastanawiał się nad znaczeniem swojego imienia i czuł, że coraz bliższe pokrewieństwo łączy go z tamtym, pierwszym Adamem. Ale teraz zaczął też zgłębiać znaczenie swojego nazwiska. W końcu jest przygotowany do tego, by przyjąć w pełni sens tego nazwiska i stać się żywym kamieniem (*living stone*).

Znowu podniósł wzrok i zaczerpnął głęboko powietrza w płuca.

I tam, gdzie przystanął zanurzony w spokojną noc afrykańskiej równiny, ku której zdążają archeolodzy z całego świata, by odnaleźć to, co martwe i minione, uklęknął i w pokorze oddał się Stwórcy mężczyzn i kobiet, przeszłości i teraźniejszości, Panu eonów minionych i tych, co przyjdą... Temu, który w tym momencie żyje w nim, Adamie Livingstone'ie.

„Boże — modlił się ledwie słyszalnym szeptem — w końcu jestem gotowy do tego, by przyjąć Cię jako mojego Pana. Nie wiem jeszcze za dobrze, co to oznacza. Ale wiem, że nie mogę uczynić niczego innego. Taką decyzję muszę i chcę podjąć. Wiem teraz, że jesteś Bogiem. Jesteś Bogiem z pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju, nie siłą witalną, nie bezosobowym kosmosem, ale — przeciwnie — osobowym Stwórcą, który schylił się, podjął pył stworzonej przez siebie ziemi i ulepił na własny obraz człowieka, czyli Adama. Tchnąłeś w niego życie. A teraz, Boże, modlę się, byś zechciał tchnąć życie we mnie.

Nie chcę już być człowiekiem niepełnym, człowiekiem, który żyje, ale nie pojmuje, co to znaczy naprawdę być człowiekiem. Nie chcę dłużej żyć poza ogrodem Twojej Obecności. Przygarnij mnie do siebie, o Boże. Juliet powiedziała, że jest to możliwe dzięki Twojemu Synowi, że krzyż jest mostem nad przepaścią między Tobą i dziełem Twojego stworzenia, i teraz to rozumiem.

Boże, wypełnij pęknięcie w moim sercu. Nie ponoszę odpowiedzialności za pęknięcie skorupy ziemskiej. Nie ponoszę odpowiedzialności za pęknięcie, które z winy pierwszego człowieka powstało między Tobą i nim, kiedy tamten Adam okazał Ci nieposłuszeństwo i musiałeś wypędzić go z ogrodu. Ale mogę prosić, byś zasklepił bliznę we mnie, w tym konkretnym człowieku, w tym Adamie. Spraw, Boże, bym stał się jednym z Tobą, bądź moim osobistym Stwórcą, abym mógł przechadzać się z Tobą w chłodzie dnia w moim osobistym Edenie.

Jeśli nawet nigdy nie postawię stopy w miejscu na ziemi, po którym stąpali niegdyś Adam i Ewa, rozumiem teraz, że prowadziłeś mnie w tym poszukiwaniu nie po to, żebym znalazł raj ziemski,

gdziekolwiek jest, ale żebym znalazł Ciebie, Panie Boże, w środku ogrodu... w środku wszechrzeczy... w środku mojego jestestwa. Pierwszemu Adamowi dałeś nie ogród i nie drzewa, lecz samego siebie. A teraz ten sam dar dajesz mnie.”

Podniósł się. W jego duszy panowała cisza i pokój. Był Adamem Livingstone'em, człowiekiem w pełni żywym.

5.

Marcos Stuart stał przed lustrem w swoim waszyngtońskim apartamencie i patrzył w oczy swojemu odbiciu.

Nawet taka czynność jak golenie twarzy w pełnym blasku dnia przestała być czymś zwykłym i nudnym, a stała się poważna i niszcząca emocjonalnie... i to z tego prostego powodu, że nie mógł uniknąć spojrzenia samemu sobie w oczy.

Stało się to ostatnio najprzykrzejszym przeżyciem. Ale teraz stał tu z obnażoną piersią, twarzą pokrytą pianą, próbując doprowadzić samego siebie do przyzwoitego stanu przed wieczornym przyjęciem, na którym będzie się uśmiechał i śmiał, i roztaczał czar... podejmie zwykłą grę polityczną.

Kogo próbuje nabrać? Co za wstyd! Sprzedał się. Zrobił coś, czym zawsze gardził w polityce.

Przeciągnął mocno żyletką po prawym policzku. Pochylił się do lustra i spojrzął na wygolone miejsce, szukając śladu czerwieni. Ostrze było jednak tępe. Poczul ulgę, bo się nie zaciął.

Puścił wodę i opłukał żyletkę, a potem rzucił ją do śmieci i wyjął z szafki nową. Przez moment stał nieruchomo, patrząc na żyletkę, którą trzymał między kciukiem i palcem wskazującym.

Na jego wargach pojawił się jakiś chorobliwy uśmiech.

Niejeden uważa, że to dobry sposób na tarapaty. Kilka zgrabnych pociągnięć i po wszystkim. Zostawia się po sobie w łazience kałużę krwi, którą ktoś będzie musiał zmyć. Ale koniec z wszystkim kłopotami.

Co się z nim stało? Jak mógł zabnąć tak daleko? Nie tak zamierzał piąć się po politycznej drabinie. Oto on, człowiek uważany za jedną z najszybciej i najjaśniej wschodzących waszyngtońskich gwiazd. Nie tak sobie to jednak wyobrażał. Czuł się jak zdrajca, jak Judasz, jak człowiek tchórzliwy i pozbawiony woli.

Sedno sprawy w tym, jak dokonuje się wyboru. Wszystko sprowadza się do setek króciutkich chwil, kiedy zapada decyzja. Tysiąc razy na tydzień dokonuje się nieświadomie wyborów, które wytyczają kierunek życia.

I nagle przychodzi pora refleksji, a wtedy człowiek się budzi i ogląda za siebie, i widzi okruszyny swoich wyborów i decyzji rozrzucone daleko jak sięgnąć okiem. Gdybyś widział wtedy, dokąd prowadzą te decyzje, ale ty wolałeś patrzeć przed siebie. Tutaj jest pułapka. *Esprit d'escalier*.

Znowu skupił wzrok na żyletce, przez którą popadł na chwilę w rodzaj transu. Nie, podcięcie sobie żył jest niegodne mężczyzny. Zamiast iść na wieczorne przyjęcie, wybierze się na długą przejażdżkę, może wzdłuż wybrzeża. Weźmie ze sobą pistolet. To na wypadek, gdyby zabrakło mu odwagi, żeby ruszyć prosto w stronę urwiska. Jeden strzał w głowę. Tak będzie po męsku. Szybko i łatwo... nic nie czuje...

Nagle zastygł bez ruchu. Co mu przychodzi do głowy? Przecież to po prostu śmieszne!

Oszalał? Nie, Marcos Stuart nie popełni samobójstwa! Jest senatorem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wybrnie z tego!

Szybko założył do maszynki nową żyletkę i zaczął się golić. Parę minut później opłukał twarz, wytarł ją ręcznikiem i raz jeszcze spojrzął sam sobie prosto w oczy. Uśmierzył już burzę wyrzutów sumienia i zaczął układać wszystko zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

„Hola, człowieku! Jesteś przystojnym chłopcem! Jesteś bystry, inteligentny, wrażliwy dokładnie kogoś takiego potrzebuje Kongres. Przepędź wszystkie te śmiechu warte myśli! No dobrze, narozrabiałeś... I to nieźle! Ale nikt o tym nie wie! Nikt nie musi się dowiedzieć! Przecież oni chcą tylko paru informacji. O co tyle krzyku?

Możesz zrobić wiele dla tego kraju. I zrobisz. Także dla amerykańskiego narodu. Także dla Scotta. Właśnie dla niego będziesz mógł zrobić wiele dobrego, kiedy już zostaniesz prezydentem. Może nawet znajdzie się dla niego miejsce w kręgu najbliższych. Sytuacja nie jest wcale taka zła!”

Stuart odetchnął głęboko i wyszedł z łazienki. Już lepiej. Zrobi to, co ma do zrobienia.

O tak, później wynagrodzi Scottowi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

DŻEBEL AL LAWZ

1.

Kiedy po dwóch godzinach nieobecności Adam wrócił do obozu, pozostali uczestnicy wyprawy leżeli już w łózkach.

Podczas powrotnej drogi jego myśli skupiły się na kimś znacznie bliższym niż niebiosa. Twarz tego kogoś coraz częściej pojawiała się przed oczyma jego duszy. I ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że jedyną osobą, którą chciałby w tym momencie zobaczyć, jest Juliet Halsay.

Powolnym krokiem podszedł do namiotu, w którym spały dwie młode kobiety. Nie był pewny, czy postępuje właściwie ani co powie Juliet. Ale czuł, że musi z kimś porozmawiać.

Nie — poprawił sam siebie. Musi porozmawiać, lecz nie z kimś. Musi porozmawiać właśnie z nią.

— Panno Halsay — szepnął na tyle głośno, żeby ją obudzić. — Panno Halsay!... Juliet.

Chwilę później ktoś się w namiocie poruszył.

— Tak... Co się stało? — usłyszał jej głos.

— Tu Adam. Czy mogłaby pani wyjść? Chciałbym... chciałbym z panią porozmawiać.

— Zaraz.

Adam odszedł trochę od namiotu. Minutę później ręka Juliet odwinęła płachtę wejściową i rozległy się jej kroki. Obrócił się.

— Przepraszam — powiedział z uśmiechem. — Czy spała już pani?

— Niezupełnie — odpowiedziała, także z uśmiechem, Juliet. — To bez znaczenia. O co chodzi? — uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Nic ważnego — uspokoił ją Adam, który dostrzegł, że Juliet się zaniepokoiła. — Chciałem tylko z kimś porozmawiać. I zdałem sobie sprawę, że chcę porozmawiać właśnie z panią.

Idąc obok siebie, zaczęli się powoli oddalać od obozu. Błede światło księżyca rozświetlało okolicę, otulając niesamowitą szarą poświatą brunatny skalisty teren. Jakiś czas szli w milczeniu. Teraz, mając u swego boku Juliet, nie wiedział, co powiedzieć.

— Czy pamięta pani ten dzień — zaczął wreszcie — kiedy powiedziała mi pani, że Bóg jest osobowy? Że musi być osobowy?

— Pamiętam — odparła cichym głosem Juliet.

— W końcu zrozumiałem, co miała pani na myśli. Kawał durnia ze mnie. Ale teraz wiem już, że wtedy, w Sevenoaks, miała pani całkowicie rację: Bóg nie jest bezosobową siłą stwórczą, lecz Osobą. Czy nie tego właśnie dotyczą zresztą nasze poszukiwania? Czy nie taki jest sens rajskiego ogrodu?

— Prawdę mówiąc, wcale o tym nie myślałam. Ale chyba ma pan rację.

— Jeśli Eden był jakimś konkretnym miejscem, to znaczy, jeśli żyli w nim konkretni ludzie, konkretny mężczyzna i konkretna kobieta... jeśli jest w tym wszystkim coś więcej niż tylko mit, wówczas chodziło o coś naprawdę osobistego, i to bardziej niż wszystko inne, ponieważ Bóg i człowiek żyli obok siebie, przechadzali się po ogrodzie i rozmawiali. Wspomniła pan o tym rano, mówiąc, że prosiła Boga, by zamieszkał w jej sercu... i że był to początek nowego z Nim obcowania. Właśnie tak było zapewne w ogrodzie, panowała swego rodzaju zażyłość między Adamem i Ewą jako dwojgiem

istot niedawno stworzonych przez Boga. Księga Rodzaju to niezwykła opowieść. Pod warunkiem, że człowiek przystanie na chwilę, żeby się nad nią zastanowić.

Juliet skinęła głową, ale nie potrafiła powiedzieć ani słowa. Czuli, że serce podchodzi jej do gardła.

— Tak czy inaczej — ciągnął Adam — chyba powinienem podziękować za to, że wprowadziła mnie pani na drogę myślenia o Bogu jako o Kimś osobowym. To tylko chciałem powiedzieć. Tak więc, Juliet Halsay... dziękuję pani. Bardzo ważne dla mnie to, co powiedziała pani o swojej modlitwie i że niczego pani przede mną nie ukrywała. Dzięki temu łatwiej zrozumiałem, że ja też chcę być synem Boga i że pragnę takiego obcowania z Bogiem, jakie było udziałem pierwszych ludzi w raju.

Zamilkł, obrócił się i spojrzał jej w twarz. Ich spojrzenia się spotkały.

Trwało to chwilę. Juliet zaraz odwróciła wzrok. Podniosła rękę do piersi, jakby dziwiła się, że bije w niej serce.

— Przepraszam, jeśli wprowadziłem panią w zakłopotanie — odezwał się Adam, który także miał wrażenie, że coś wzbiera w jego sercu, i czuł się jak uczeń.

— Nie, nie... To nic — wyjąkała Juliet. — To znaczy... ja...

Sama nie wiedziała, co chciała powiedzieć, i zamilkła.

Zbyt wiele myśli i uczuć, których nie potrafiła uporządkować, tłoczyło się w jej głowie i sercu. Czyżby bardziej zależało jej na tym mężczyźnie, niż przyznawała się samej sobie?

— Juliet... czy możesz przejść się jeszcze ze mną? — Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

Ruszył przed siebie. Juliet szła u jego boku. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Zbyt wiele uczuć kłębiło się w ich sercach.

Potem oboje odzyskali stopniowo zdolność mówienia. Zniknęła bez śladu niewidzialna bariera, która ich przedtem oddzielała, i bez trudu znajdowali słowa, rozmawiając o najróżniejszych sprawach. Czuli się tak, jakby znali się od urodzenia.

2.

Minister spraw wewnętrznych suwerennego Azerbejdżanu nadal nie miał żadnych wiadomości od wynajętego irackiego zbira.

Raz jeszcze zerknął na zegarek. Była prawie dziesiąta wieczorem. Gdzie są ci idioci?

O dziesiątej trzydzieści pięć do hotelu Ngong Towers w Nairobi wszedł Arab w turbanie.

Zorin od razu się odwrócił. Udając, że nie ma nic wspólnego z tym człowiekiem, podszedł do windy i nacisnął guzik „w górę”. Obok stanął Arab. Nawet nie spojrzeli jeden na drugiego.

Otworzyły się drzwi. Obaj wsiedli.

— Skąd to opóźnienie? — spytał Zorin, kiedy znaleźli się sam na sam.

— Linie lotnicze Bagdad bywają zawodne, można panie.

— Czy inni są z tobą?

Mężczyzna znany jako Sidki skinął głową.

— To twój pokój — oznajmił Zorin, wręczając mu klucz. — Dobrej nocy. Pokpięś poprzednią sprawę, tym razem będę cię więc nadzorował osobiście. A zresztą chcę sam spojrzeć w oczy Livingstone'owi. Wyruszamy przed świtem...

— Czy masz, panie... wszystko, czego potrzebujemy?

— Wszystko jest przygotowane. Bądź o czwartej trzydzieści w holu. Polecimy do Arushy, weźmiemy dwa auta i o siódmej dojeździemy do obozu. Kiedy będzie po wszystkim, wrócisz ze swoimi współnikami do Bagdadu.

Terrorysta skinął tylko głową.

— Wyplata tak jak zwykle — dodał na zakończenie Zorin.

3.

Godzinę po obudzeniu Juliet Adam wszedł do swojego namiotu przepełniony uczuciem głębokiego szczęścia, jakiego nie zaznał nigdy dotąd.

Wiedział, że nieprędko zaśnie. Jakże jednak odmienna była dzisiejsza bezsenność od tej z poprzedniej nocy. Nowe myśli tłoczyły się mu do głowy, sercem miotały zupełnie nieoczekiwane emocje.

Wszedł do środka i zapalił latarkę. Obok jego łóżka nadal leżał dziennik dziadka Harry'ego. Adam położył się i otworzył notatnik na ostatnich stronach. Czytał je już wiele razy.

Nagle w słowach, które z taką dobitnością mówiły o bliskim niebezpieczeństwie, zabrzmiało jakby ostrzeżenie przed zagrożeniem, które dzisiaj zawisło nad obozem.

„Rano wyjeżdżam do Kairu. Nawet tutaj, w New Hampshire, nie zrezygnowali z odnalezienia mnie. Mam nadzieję, że to się im nie uda. Statkiem parowym z Bostonu do Londynu, potem, po drodze, Rzym. Z Egiptu muszę się tam dostać tak, żeby stracili mój ślad. Dużo jednak wiedzą... tajne stowarzyszenia zjednoczyły się jak nigdy dotąd... ogniskowy punkt historii... zbliża się milenium konfrontacji między mocami, choć nikt nie wie, kiedy wybije godzina... okrywają się płaszczem spokoju, ale są zrozpaczeni... boją się panicznie prawdziwych świętych Bożych, bo wiedzą, że nie mają nad nimi żadnej władzy... Tajność to ich jedyna broń... Światło Boże obnaży ich oszukaństwa... nic ich nie powstrzyma przed pogrzebaniem tej nowiny... są potężni... ale ufam, że ogród zostanie odnaleziony... Eden znowu się ukáže obsypany kwieciami!”

Ostatnie dwie zapisane strony zajmował dwudziestoośmiolinijkowy wiersz, dalsze zaś stroniczki były puste.

„Dostać się tam? — rozmyślał Adam. — Dokąd wybierał się tak pilnie dziadek Rocky'ego, że w rezultacie go zabili?”

Nigdy nie odnaleziono jego ciała.

I w tym momencie Adam sobie przypomniał. On sam pisał o tym w swojej rozprawce poświęconej staremu archeologowi, tej rozprawce, której tak szukali z Rockym. Jak mógł zapomnieć taki wyrazisty szczegół? Niby ze snu prześnionego dawno, dawno temu napływały kolejne zdania — jakby dopiero wczoraj wyszły spod jego pióra.

„... Ostatnie doniesienia z kairskiego hotelu Nile Gardens... notatka przesłana przez archeologa kolegom w Londynie... pospiesznie

skreślone zapiski dla zwierzchnika... w okolicy góry Synaj... oddał garść drobiazgów do przechowania... Nie natrafiono na żaden ślad po Harrym McCondy. Sumienne poszukiwania w Ras es-Safsaf na Półwyspie Synajskim... od klasztoru Św. Katarzyny po sam szczyt... do niczego nie doprowadziły. Nikt w okolicy nie widział McCondy'ego, nie słyszał o nim... i nigdy nie ujrano ponownie papierów pozostawionych w hotelowym sejfie... wszelki ślad w niewyjaśniony sposób zaginął. Harry McCondy zniknął... w świecie dziewiętnastowiecznej archeologii to jedna z najosobliwszych nierozwiązanych zagadek.”

Może pisałem niezupełnie tymi właśnie słowami — rozmyślał Adam — ale właśnie taki był ich sens. I przypomniał sobie teraz, dlaczego dziwny los Harry'ego McCondy'ego zniewolił jego młodzieńczą wyobraźnię.

Gdybyż miał tę rozprawkę. Ale od wielu lat nie trzymał jej w rękach, a teraz zniknęła.

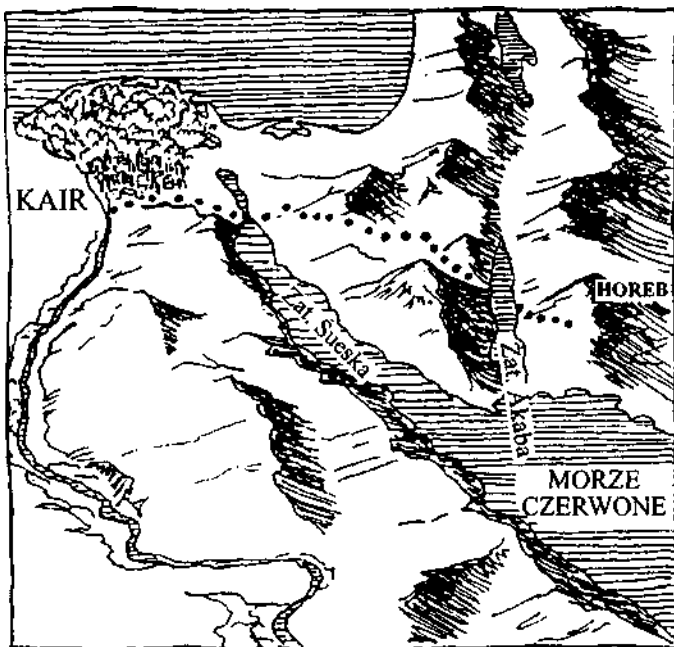
I jak te słowa mogły wiązać go tak ściśle ze starym McCondy, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie?

Przerzucał stronicę notatnika dziadka Rocky'ego, czytając na chybił trafił po kilka zdań. Jakieś dziesięć stron przed końcem natknął się na ustęp, który — pamiętał — czytał już, ale niewiele z niego zrozumiał. Przeczytał raz jeszcze, starając się powiązać te słowa z wierszem. Notatka dotyczyła okresu przygotowań do zbliżającej się kairskiej wyprawy.

„Wierzę, że Bóg objawił mi, iż święta góra ognia i dymu jest kluczem do wszystkiego. Muszę się tam udać... Bóg ujawni mi... początki życia. Ale pojmowali to mylnie... jak zawsze. Trzeba przeprowić się przez Akabę, nie przez Suez. Obóz z 14 rozdziału Księgi Wyjścia, rozbito na brzegu w Nuweiba el Muzeina albo w Newiot. Przebyli Akabę zatopioną płytką równiną i dotarli do góry po stronie Arabii, co potwierdza Paweł w Liście do Galatów, 4, 25.”

Do tych słów stary archeolog dołączył odręcznie naszkicowaną mapkę Półwyspu Synajskiego. Widać było na niej odgałęzienia Morza Czerwonego, Suez i Akabę, oraz szlak opisany w Księdze

Wyjścia, a także — po arabskiej stronie — górę o nazwie Dżebel al Lawz. Obok mapy wypisano wielkimi literami słowo H—O—R—E—B.



Co oznacza słowo „Horeb”? Musi być jakoś związane z Biblią.

Odłożył dziennik i rozejrzał się po ciemnym namiocie w poszukiwaniu Biblii, z którą pracował. Chwilę później miał ją w rękach i gorączkowo przerzucał stronicie konkordancji, szukając jakiegolwiek informacji. Nic. Zajrzał do indeksu tematów. Jest: Horeb i kilka odnośników do Pisma Świętego.

Szybko wrócił do początku, do 3 rozdziału Księgi Wyjścia. Była to relacja o Mojżeszu i gorejącym krzewie. U dołu stronicy przypis: „Horeb oznacza pustynię albo pustkowie; inna nazwa góry Synaj”.

Jakie to oczywiste! — pomyślał Adam, zamykając książkę. — Dlaczego byłem taki ślepy?

Oto odkrycie McCondy'ego: znalazł inną górę Synaj! Teraz jest jasne, dlaczego wrogowie ruszyli w pościgi: chcieli zapobiec ujawnieniu prawdziwego położenia góry.

Raz jeszcze przeczytał ustęp z notatnika, patrząc z niedowierzaniem na odręcznie narysowaną mapkę. Tak, teraz wszystko nabrało sensu.

Harry McCondy odkrył zadziwiającą tajemnicę biblijną.

To powód całego zamieszania: nie archeologia, nawet nie arka Noego, ale biblijne początki.

Jego własne odkrycie arki było takim samym wetknięciem kija w gniazdo szerszeni, jak podjęta przez starego Harry'ego próba odnalezienia pierwotnej góry Synaj.

Zabili archeologa, żeby go uciszyć. A teraz próbują zabić jego.

4.

O cichej porze nad ranem Anni D'Abernon siedziała w swoim hotelowym pokoju w Kairze i nadal łamała sobie głowę nad tajemniczymi słowami z kopii dziennika, która zrzędzeniem losu trafiła po latach w jej ręce.

Ślęczała nad tymi stroniczkami w tym samym momencie, kiedy Adam Livingstone czytał teraz już zrozumiały dla niego oryginał, który przez całe stulecie był pogrzebany w zapomnianym kufrze na strychu w Peterborough w stanie New Hampshire. Dla Adama odręczne notatki nabrały życia, objawiały prawdę. Dla jej okrytych zasłoną oczu dziennik krył tajemnice, których żaden seans z niewidzialnym Wymiarem nie mógł rozświetlić.

Z coraz większą irytacją czytała raz po raz niezrozumiałe słowa.

„... Zostawiam dziennik w Nile Gardens... muszę uciekać... no-cą... ku górze Obecności.”

Jakąż górę mógłby mieć na myśli poza Synajem? Tak samo myślano wtedy. Do takiego wniosku doszła.

McCondy nie udał się jednak na górę Synaj. Nawet nie postawił stopy w dolnej części Półwyspu Synajskiego. Ich ludzie podążali krok w krok za nim.

Ponizej McCondy napisał tajemnicze słowa o odnalezieniu ogrodu: „Eden znów się ukaze obsypany kwieciami”.

Pełen kwiatów ogród na Półwyspie to czysty absurd! Ten człowiek bredził, zanim jeszcze wyjechał z Kairu!

„Jaką więc grę prowadzi Livingstone? — rozmyślała, przerzucając stronicę, próbując raz jeszcze wydobyć jakiś sens z końcowego poematu. — Czyżby ten głupiec wyobrażał sobie, że znajdzie pośrodku pustyni Eden? Na wierzchołku góry? Czy wszyscy chrześcijańscy archeolodzy mają nie po kolei w głowie? Co łączy tych dwóch ludzi, oddzielonych stuleciem, ale teraz podążających tym samym tropem w swoich badaniach?”

Już dawniej napotykała w dzienniku te słowa, ale imiona i miejsca z Pisma Świętego nic jej nie mówiły i nie mogła skojarzyć zapisu z Synajem. Kiedy przeczytała słowo „Horeb”, nic jej ono nie powiedziało, a zesłana przez Boga ślepotą powstrzymała ją od dalszych dociekań.

Objawienie przyszło, ale nie było przeznaczone dla tych, którzy związali się z Wymiarem. Rozjaśniło umysły tych, którzy dziedziczyli królestwo Boga Najwyższego.

5.

Podekscytowany Adam odłożył dziennik i omiół światłem latarki wnętrze namiotu, szukając periodyku, który Juliet przywiozła mu z Londynu. Leżał na stole, tam, gdzie go rzucił.

Widział tytuł wiodącego artykułu, ale jego umysł tego nie zarejestrował. Teraz wziął do ręki egzemplarz „Biblical Archeology Review” i gorączkowo zaczął przerzucać strony... Jest!

Przemknął wzrokiem po relacji. Powtórzono tu informacje z „National Geographic”, ale podano też najnowsze dane o osobliwym saudyjskim zjawisku botanicznym. Tajemnicze drzewo ma już ponad trzy metry wysokości. Dalej autor artykułu snuł domysły, których znaczenie nagle olśniło Adama. Oczy rozszerzyły się mu, kiedy

obrócił stronę i zobaczył wydrukowaną oddzielnie mapkę regionu, o którym była tu mowa.

Szybko skierował wzrok w stronę ekranu komputerowego.

Ledwie wierzył własnym oczom, czytając słowa: „...Poniżej starożytnej góry Dżebel al Lawz, dawno wygasłego wulkanu, który — jak twierdzono tu i ówdzie — był Mojżeszową górą Synaj...”

Dlaczego z pustyni trysnęło nagle życie?... Dlaczego w tym momencie?

Myśli Adama pomknęły w sto rozmaitych stron... Bo przecież komputerowy model Edenu kurczył się ku swemu środkowi dokładnie w tym miejscu. Wrócił do ostatniej notatki w dzienniku, tuż przed wierszem. McCondy napisał: „Eden znów się ukaże obsypany kwieciami”!

Ta myśl wydała mu się zbyt fantastyczna. Eden... na pustyni... z górą Synaj czy Horeb, czyli Dżebel al Lawz, pośrodku!

Oto Synaj, ten wskazany przez McCondy'ego, nie zaś utrwalony w tradycji. Adam przerzucił kilka stron wstecz, do odręcznie naszkicowanej mapki. Jest! W końcu odkrył tajemnicę, którą pogrzebał umysł Harry'ego przed zniknięciem!

Napłynęła fala nowych myśli.

A jeśli te słowa i ostrzeżenia odnoszą się nie tylko do jego własnych poczynań... ale są również proroczym nakazem zachowania ostrożności przez każdego, kto ruszy tropem wytyczonym przez starego archeologa?

I nagle Adam uświadomił sobie, że nie ma ani chwili do stracenia. Zerwał się na równe nogi i pobiegł do namiotu dziewcząt.

— Juliet!... Juliet, jesteś tam?... Nie śpisz?

Po chwili ukazała się Juliet.

— Obudź Jen! — powiedział Adam nagłym tonem.

— Co?... Dlaczego?

— Właśnie uświadomiłem sobie... Wiem, gdzie to jest!

— Co?

— Synaj... prawdziwy Synaj... miejsce, gdzie zginął McCondy... ten artykuł... centrum wskazane przez komputer... miejsce

na pustyni, gdzie rozkwita znowu ogród... wszystko!

— Ale dlaczego?...

— Zaraz to wyjaśnię. Ale najpierw musimy się stąd wynieść.

Chwilę później Adam potrząsał Scottem i Rockym.

— Zwijamy obóz! Zaraz się stąd wynosimy

— Co?... Dokąd?

— Na Synaj.

— Synaj! — wykrzyknęło kilka głosów na raz.

— Scott — Adam obrócił się do swojego asystenta — muszę powierzyć ci najbardziej niewdzięczne i być może najniebezpieczniejsze ze wszystkich możliwych zadań.

— Jestem gotów.

— Chcę, żebyś został i odesłał wszystko do domu.

— Gdzie tu niebezpieczeństwo?

— Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, jesteśmy równie zagrożeni jak niegdyś pradziadek Rocky'ego. Jeżeli więc ktoś ma nas na oku, być może krzątania w obozie zmyli go i nie będzie wiedział, że wynieśliśmy się stąd w środku nocy. Zajmij się ekspedycją sprzętu, a potem wracaj do Sevenoaks i upewnij się, że wszystko tam w porządku. Będę czuł się spokojniejszy, wiedząc, że zająłeś się domem.

— Jak was złapię?

— Nie złapiesz. Zatrzymamy się na krótko w Kairze, żeby uzupełnić zapasy, i wyruszymy na pustynię.

— Dlaczego akurat na pustynię?

— Niewykluczone, że następny przystanek, być może ostatni w naszych poszukiwaniach, jest gdzieś w Arabii... Po drugiej stronie zatoki Akaba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W DROGĘ!

1.

W powietrze wzbily się tumany pyłu, a wraz z nimi głośnie przekleństwa, kiedy zakurzony rdzawego koloru land rover przechylił się na wyboistej drodze.

Podskakiwał i kołysał się w kamienistym terenie, narażając na niebezpieczeństwo zarówno kości, jak i nerwy mężczyzny, któremu nie było zbyt wygodnie na miejscu koło kierowcy. Przywykł do limuzyn i mercedesów. Ale sam wynajął ten pojazd, i to nie bez powodu. Była już 7.20 rano i bał się, że jeśli nie dotrą odpowiednio wcześniej do Oldoway, jego ofiara opuści obóz i będzie pracować w terenie. Nie mogą litować się nad sobą, muszą działać szybko, a w tym terenie żadna limuzyna nie wytrzymałaby nawet pięciu minut.

— Patrz, jak jedziesz, głupcze! — wrzasnął do arabskiego kierowcy, kiedy ten skręcił gwałtownie, żeby wyminąć wielki wybój.

Zapanował nad nerwami i opuścił wzrok, próbując wyczytać coś z mapy, którą trzymał w rękach.

— Daleko jeszcze? — spytał kierowca.

— Nie wiem... Niedaleko... Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut.

Pół godziny później land rover zahamował gwałtownie. Drugi pojazd zatrzymał się tuż za nimi. Oba silniki pracowały teraz na jałowym biegu. Zorin wziął z siedzenia lornetkę i spojrzął w stronę południowo-wschodniej części wąwozu Oldoway, gdzie trwały na kilku stanowiskach prace wykopaliskowe. Dochodziła ósma. Ale ogniska obozowe i zapach kawy mówiły, że archeolodzy już wstali i wkrótce zaczną dzień roboczy.

— Tam — wskazał w stronę obozu Livingstone'a. — Duży niebieski namiot i dwa małe pomarańczowe jakieś dwadzieścia metrów od tego cienkiego drzewa z cierniami.

Od czasu, kiedy był tu kilka dni temu i Bowles pokazał mu obóz, nic się nie zmieniło. Żadnego znaku życia poza dymem z ogniska. Obok jednego z namiotów stały zaparkowane jeep i mała przyczepa.

— Co mamy robić? — spytał Arab.

Zorin zastanowił się chwilę.

— Pojedziemy prosto tam — wskazał palcem obóz. Zdaje się, że są jeszcze w namiotach. Dopadniemy ich, zanim nas zobaczą.

Nie odezwał się więcej ani słowem. Obaj jego ludzie wystarczająco dobrze wiedzieli, jakie zdanie mają przed sobą.

Zorin odłożył lornetkę.

— Ruszamy, Sidki! — rozkazał.

Irakijczyk skręcił z powrotem na drogę i pojechał we wskazanym kierunku. Zorin wydobył z kieszeni pistolet.

Trzy minuty później dwa samochody wjechały z rykiem silników na teren obozu i zatrzymały się gwałtownie, wzbijając chmurę kurzu i deszcz małych kamyków. Zorin, z pistoletem w dłoni, wyskoczył, zanim samochód zatrzymał się całkowicie. Błysk w jego oczach świadczył, że pilno mu użyć broni.

Podbiegł prosto do największego namiotu. Za nim pędziło czterech Arabów uzbrojonych w pistolety automatyczne. Zorin ze zdumieniem i wściekłością na twarz wybiegł z dużego namiotu i jednocześnie z jednego z mniejszych wyłonił się Sidki.

— Nie ma ich — rzucił Arab.

— To niemożliwe! — wrzasnął Zorin. — Skąd by wiedzieli, że się do nich wybieram?

Rozgorączkowanym spojrzeniem omiół raz jeszcze obóz. Nie mógł uwierzyć, że Adam Livingstone znowu go przechytrył.

— Przeszukać namioty! — krzyknął. — Centymetr po centymetrze.

Dziesięć minut płądrowania doprowadziło do znalezienia odrobiny prowiantu, kilku łóżek i niewielkiej ilości rozmaitego sprzętu. Żadnych książek, komputerów, dokumentów, notesów, mapek — niczego, co mówiłoby o prowadzonych badaniach albo o ich celu.

— Jak zdołali się nam wymknąć? — Zorin dołączył do tych słów całą serię przekleństw.

Podszedł do ogniska i przyjrzał mu się uważnie. Ktoś tu jednak pozostał. Ogień nie rozpałił się sam. A jeep i namioty są tu nadal. Livingstone zniknął i Zorin nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Czuł, jak narasta w nim wściekłość. Kopnął z całej siły w rozpalone węgle, wzbijając snop iskier i popiołu, a potem obrócił się i wystrzelał cały magazynek w urządzenia obozowe i namiot Livingstone'a. Czterej Arabowie jakby tylko na to czekali: bez zwłoki otworzyli ogień. Ostre dźwięki serii z automatów poniosły się wąwozem.

Z trzech namiotów i tego, co było w środku, wkrótce został stos śmieci.

2.

Z odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów ukryty w doskonałym punkcie obserwacyjnym Scott Jordan przyglądał się niszczeniu obozu. Adam miał rację. Gdyby nie usłyszał ryku silników i nie uciekł co sił w nogach z obozu, byłby już martwy.

Spakuje wszystko, co zostało, kiedy tylko się wyniosą. Trzeba znaleźć się jak najdalej od tego miejsca!

Odgłos strzelaniny zamarł. Powoli opadł kurz po szaleństwie zniszczenia. Zorin trochę uśmierzył swój gniew. Wszedł do największego namiotu i usiadł na czymś, co było niegdyś łóżkiem Adama.

Nie ruszał się długie minuty, jakby chciał samą siłą swej jaźni rzucić urok na przeciwnika i zmusić go do ujawnienia, dokąd się udał.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kartkę, którą wziął z miejsca zbrodni w Kairze. Raz jeszcze przeczytał słowa napisane ręką Cissy.

I nagle słowa z kartki prawie skoczyły mu do oczu: „Synaj... Klasztor Św. Katarzyny...”

Zerwał się na równe nogi i schował kartkę z powrotem do kieszeni. Olśniło go, oczy się mu rozszerzyły.

— Jest w drodze ku górze Synaj — oświadczył. — Dlaczego przedtem tego nie dostrzegłem? Tam zmierza, do klasztoru Św. Katarzyny u stóp góry. O tym ci dwaj rozmawiali. Ruszamy! — krzyknął w stronę wynajętych zbirów. — Nie ma chwili do stracenia! Zawieziecie mnie na lotnisko. Wynajmę samolot. Kupię, jeśli będzie trzeba! Muszę go dopaść. Wy możecie wracać do Arushy, a stamtąd do Iraku. Tutaj nie mamy już nic do roboty.

Scott odczekał jeszcze godzinę w swojej kryjówce, żeby upewnić się, że napastnicy naprawdę odjechali, a potem wziął się do ratowania i pakowania wszystkiego, co było jeszcze do uratowania.

Późnym popołudniem był już spakowany. Nie widział żadnego zagrożenia. Wczesnym wieczorem dotarł bez przygód do Arushy. Wysłał cały bagaż drogą morską, a sam ruszył do Nairobi i dalej, do Anglii.

Zatelefonował z hotelu w dwa miejsca. Pierwszą rozmowę odbył z panią Graves. W Sevenoaks nie dzieje się nic nadzwyczajnego — zapewniła go, aczkolwiek jest zachwycona tym, że wraca. Jakoś nie może zapanować nad nerwami. Dobrze, że Scott będzie przy niej.

Potem połączył się z Waszyngtonem.

— Witaj, Marcos, stary kumplu! — powiedział, kiedy Marcos Stuart podniósł słuchawkę. — Tu Scott. Jeśli nadal chcesz się spotkać, to donoszę, że moje plany zupełnie się zmieniły.

— Tak, chcę cię zobaczyć — odparł Stuart. — Co się stało?

— Powiedziałem: zmiana planów. Adam wyruszył na górę Synaj, a ja lecę do Londynu, gdzie spędzę trochę czasu. Jeśli więc nadal chcesz...

— Spójrzmy na rozkład zajęć — powiedział Stuart, starając się, żeby jego głos brzmiał zupełnie spokojnie. „Synaj — pomyślał — czego ten Livingstone tam szuka?” — Czy złapię cię w biurze Livingstone'a? — spytał.

— Jasne. Za parę dni będę w domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

HOTEL NILE GARDENS

1.

— **J**akie masz plany na Kair? — zapytał Rocky, kiedy czekali na lot do Nairobi.

— Chcę jak najszybciej dotrzeć tam i jak najszybciej wyjechać — odpowiedział Adam. — Jeśli ktoś podaży naszym śladem, musimy się spieszyć. Weźmiemy trochę sprzętu do rozbicia obozu i prowiant, także jakiś pojazd. Saudyjska i izraelska wiza dla ciebie i Juliet, krótka wizyta u profesora Cissny. Może do nas dołączy. W sumie dzień, dwa.

— Zatrzymajmy się w Nile Gardens — zaproponował Rocky. — Skoro dziadek Harry spędził tam swoje ostatnie kairskie godziny, nie mówiąc już, że stamtąd właśnie zniknęły jego papiery, kto wie, może na coś natrafimy.

— Zawodowe odchylenie — roześmiał się Adam. — Ale poza śladami będą tam ludzie. To brzmi rozsądnie. Szliśmy dotychczas po śladach twojego pradziadka, czemu więc nie mielibyśmy zatrzymać się tam, gdzie spędził swoją ostatnią noc w mieście?

Stary kairski hotel Nile Gardens znajdował się przy Corneish el Nil, malowniczym bulwarze nad bajeczną rzeką, blisko centrum egipskiej stolicy. Był dobrze znany podróżnym z Zachodu, gdyż wznosił się ledwie kilka przecznic od ambasady brytyjskiej. Na

wyspie, dokładnie naprzeciwko jego okien, widać było ogrody Tahir i trochę na północ, na wyspie *al-Dżazira*, Cairo Tower i tereny klubu sportowego *al-Dżazira*. Na wschód w promieniu dwóch kilometrów rozciągało się centrum miasta.

Kiedy zbliżali się do hotelu, Juliet rozglądała się wokół z przejęciem. Głośnie klaksony, intensywny ruch uliczny i wysokie nowoczesne budynki upodabniały Kair do wielu innych miast uprzemysłowionego świata, a jednak nie było to jedno z wielu miast. To był Kair!

Przez umysł Juliet przemykały wspomnienia dziesiątków legend. Podczas lotu Adam pokazał jej wielkie piramidy. Nie opuszczało jej poczucie oszołomienia, gdyż patrzyła na odległą historię człowieka.

Egipt... starożytny Egipt. Faraonowie i niewolnicy... Mojżesz i wyjście... Oto kraina najdawniejszych dziejów. Zupełnie odmienna od innych miejsc na świecie. Juliet, rozglądając się wokół siebie, natychmiast poczuła, że zanurzyła się w atmosferze tego miasta.

Białe szaty i śniade twarze, dziwny język i obca muzyka, krągłe kopuły meczetów, otynkowane na biało ściany lśniące w oślepiającym słońcu... to wszystko rzuciło na dziewczynę z Brighton urok większy, niż ten, który owładnął nią w samym sercu Tanzanii. Szła z otwartymi ustami, starając się nadążyć za pozostałymi, nie mogąc zapanować nad na ruchami głowy, która obracała się bezustannie na wszystkie strony.

Kiedy podeszli do hotelu, Adam podniósł wzrok. Nad wejściem wryto w piaskowcu jakieś dziwne symbole. Tylko przez chwilę się im przyglądał, ale ich widok uderzył go i w jakiś dziwny sposób je rozpoznał. Gdzie już je widział?



Znaleźli się w holu. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, wszyscy czworo, Adam, Juliet, Rocky i Jen, poczuli, że znaleźli się w enklawie bardziej nawet im obcej niż sam Kair. Z uczuciem, że ktoś na nich patrzy, rozejrzeli się wokół siebie.

— Już teraz czuję ducha pradziadka Harry'ego! — oświadczył Rocky zniżonym głosem.

— Też mam takie uczucie — zauważył Adam — choć nie jestem pewien, czy chodzi o Harry'ego.

Z pozoru nic nie odbiegało od normy. Nastrój był raczej przyjemny: perskie dywany podkreślały piękno otoman, krzeseł i orientalnych w stylu lamp. Wystrój tego wnętrza mówił o życzliwości, a nawet serdeczności w stosunku do klientów. Z wysokiego sufitu zwisały się żyrandole z mosiądzu i szkła. Powoli obracały się drewniane śmigiełka licznych wentylatorów. Ubrani w oficjalne garnitury mężczyźni i w kosztowne suknie kobiety krzatali się wokół swoich spraw. Recepcjonista, młody Egipcjanin o falujących czarnych włosach i cieniutkim wąsiku, powitał ich ciepło.

A jednak wszyscy czworo czuli jakieś niemiłe wibracje w głębi swojej zbiorowej duchowej świadomości. Ich dusze poddawały się atmosferze tego miejsca.

Mieli wrażenie, że ktoś tu jest. I nie był to ktoś nastawiony życzliwie do ich sprawy.

2.

Candace Montreux weszła do hotelowej restauracji i rozejrzała się dokoła.

Właśnie przybyła do Kairu, zostawiła swój niewielki bagaż w pokoju i zeszła do restauracji. Nawet nie poprawiła makijażu ani się nie przebrała do kolacji. Po co?

Na jej twarzy malowała się bezgraniczna nuda. Nie była ani trochę głodna, ale przecież trzeba coś zrobić! W ciągu trzydziestu sześciu godzin nie wzięła prawie nic do ust. Kręciło się jej trochę w głowie. Choćby dlatego powinna zjeść coś na kolację.

Bardziej niż głód doskwierał jej strach. Dlaczego nie wsiadła do samolotu i nie poleciała natychmiast do Anglii?

Bo Zorin i tak by ją znalazł. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. I zabiłby ją — po strasznym morderstwie, którego była świadkiem, nie mogła w to ani przez chwilę wątpić.

Bez ostonek pokazał kim jest i ogarnęło ją przerażenie. Jak mogła być taka głupia? Wszystko przez to, że zirytował ją Adam. A teraz miała wrażenie, że tylko on mógłby ją wybawić z tej sytuacji.

Niestety, Adama nigdzie nie było.

A zresztą, czemu miałyby jej pomóc? Spaliła za sobą mosty. Jakaż była głupia! Wyobrażała sobie, że jeśliby przyłożyła się należycie, potrafiłaby jeszcze zniewolić serce Adama. Zna go przecież lepiej niż on sam! Adam należy tylko do siebie samego. Nie można nim manipulować.

Była strasznie głupia! Osiągnęła to tylko, że pozwoliła, by Zorin pochwycił ją w swoje szpony.

— Wrócisz do Kairu — polecił jej Zorin, gdy tylko domyślił się, jaki będzie następny ruch Adama. — Będziesz obserwowała, kto przyjeżdża i wyjeżdża. I powiesz mi o wszystkim. Wierz mi, Candace — zagroził — jeśli spróbujesz mnie zwodzić, gorzko pożałujesz. Będę dzwonił co wieczór. A ty będziesz czekała w pokoju na mój telefon.

Może w tej chwili ma jedyną szansę, żeby się wymknąć. Najlepiej zrobiłaby, gdyby poleciała do Anglii i rzuciła się w ramiona ojca.

I Adama. Powiedz im wszystko, Candace. A straszliwe zabójstwo profesora Cissny? Jeśli to wyzna, trafi pewnie do więzienia za współudział.

Może jutro pójdzie na zakupy. To zawsze pomaga. Zresztą nie zamierzała zatrzymać się w Kairze, nie miała więc co na siebie włożyć.

Nagle spostrzegła niedaleko znajomy widok, opaste cielsko angielskiego ziomka, który zajmował stolik niedaleko tarasu. Czy powinna się pokazywać z tym człowiekiem? Przez chwilę ważyła argumenty za i przeciw. Zorin, ojciec, Adam i nie wiadomo kto

jeszcze... nie wiedziała już kto jest po czyjej stronie.

Za późno na wahania. Zauważył ją i zaprosił gestem do swojego stolika.

— Proszę dołączyć do mnie, panno Montreux. Stęskniłem się już za ojczystym językiem.

— Ja, cóż... dobrze — odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem. — Dziękuję, panie Bowles.

Usiadła, odgoniła ruchem dłoni muchę i otarła pot z górnej wargi.

— Kiedy pani przyjechała? — spytał, zajmując miejsce naprzeciwko Candace. Nie wyglądał na zaskoczonego tym, że ją tutaj widzi.

— Dopiero co.

— Jest pani z?... — Bowles zamilkł i dokończył pytanie uniesieniem brwi.

— Jestem sama, panie Bowles. Pana Zorina tu nie ma. Mam na niego czekać.

Bowles zaśmiał się z cicha. Było to raczej chrząknięcie niż śmiech.

— Wygląda na to, że ten człowiek ma w garści i panią, i mnie.

Candace milczała. Jaka gorzka może być prawda! Bowles się nie myli. W tej chwili oboje byli na łasce i niełasce Zorina.

— Być może czas już, byśmy połączyli siły i spróbowali jakoś uporać się z tą sytuacją — ciągnął Bowles.

— Co ma pan na myśli?

— Wiem tylko, że mam już po dziurki w nosie Zorina i jego żądań — odparł.

3.

Anni D'Abernon od razu rozpoznała Candace Montreux siedzącą w hotelowej restauracji. Jakaś niewytłumaczalna ślepotą nie pozwoliła jej rozpoznać przypominającego nosorożca mężczyzny, który odwrócił się na chwilę, żeby powiedzieć coś kelnerowi. Jej spojrze-

utkwiło w kobiecie, która zależnie od sposobu poprowadzenia rozgrywki mogła stać się kimś równym jej, Anni D'Abernon, albo po prostu żetonem w grze.

Szwajcarka przystanąła, a po chwili wycofała się. Zje gdzie indziej. Córka lorda Montreux i tak by jej nie rozpoznała. Lepiej jednak nie rzucać się w oczy. Zadanie, jakie mają przed sobą, wymaga pozostawania w cieniu.

Zanim jednak wykona jakiegokolwiek posunięcie, porozmawia z Londynem.

Dziesięć minut później lord Montreux, który wrócił właśnie ze Szkocji, z troską wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia pani D'Abernon.

— Co ona tam robi? — zapytał.

— Myślałam, że pan mi to powie.

— Zaczynam się zastanawiać, czy nie ma to związku z naszym przyjacielem Zorinem. Nie widziała go pani?

— Och, z pewnością ma z nim związek — odparła cynicznym tonem pani D'Abernon. — Ale Zorina nie ma w Kairze. Nie będzie już sprawiał nam kłopotów. Pan Cutter zajął się już usunięciem raz na zawsze tej przeszkody.

— Chyba powinienem przylecieć do Kairu. Musimy wyciągnąć z Candace wszystko, co ona wie... o Livingstone'ie, Zorinie, o wszystkim...

— Proszę wziąć ze sobą Ruperta. Mam wrażenie, że jesteśmy sobie bliscy. Dzisiejszego popołudnia i wieczoru czułam jakiś zamęt, jakby Moce starały się powstrzymać naszych ludzi od dołączenia do nas. Potrzebujemy splecionej w jedną wiązkę potęgi Wymiaru.

— Jest pani w hotelu Nile?

— Oczywiście.

— Polecimy nocą i spotkamy się z panią przy śniadaniu.

4.

Po zameldowaniu się w południe w hotelu Nile Gardens mała grupka towarzyszy Adama Livingstone'a spędziła resztę dnia zamknięta w swoich dwóch pokojach. Adam nie chciał ryzykować,

że ktoś go zobaczy. Całej czwórce ciążyło poczucie, że zewsząd obserwują ich nieprzyjazne spojrzenia.

Spokojnie zjedli kolację w większym z dwóch pokojów.

Mniej więcej o ósmej wieczorem Rocky miał już tego dosyć.

— Dłużej nie wytrzymam! — wykrzyknął. — Muszę stąd wyjść. Rozejrzę się tu i tam.

— Co spodziewasz się znaleźć? — roześmiał się Adam.

— Kto wie?... Może zaczaili się gdzieś tutaj jacyś niegrzeczni chłopcy?

Rocky opuścił pokój i poszedł na dół. Przemierzył hol i znalazł się w restauracji. Udał się do baru. Czuł się jak w scenie z *Casablanki* albo filmu z Indianą Jonesem. Rozglądając się wokół siebie, zamówił coca colę. Wkrótce miał uczucie, że za każdą szklaneczką, pod każdym słomkowym kapeluszem kryją się złe zamiary. W głowie kłębiły mu się myśli o pradziadku Harrym. Zastanawiał się, jak staremu archeologowi minęła noc w tym miejscu.

Wychodząc po niedługim czasie z baru, Rocky spostrzegł coś, co było dla niego zupełnym zaskoczeniem. Ten sam oliwkowo zielony beret, który śledził go w Peterborough!

Nie zastanawiając się długo, poszukał sobie kryjówki. Znajoma postać wstała po chwili od stolika i poszła w swoją stronę.

Detektyw nie wierzył własnym oczom. Była to kobieta... o śródziemnomorskiej cerze i czarnych oczach.

Naciągnął kapelusz na oczy i odwrócił się. Kobieta minęła go. Rocky patrzył za nią. Ten sam chód! Na pewno się nie myli! Jak to możliwe, że dał się tak zwieść? Kobieta! Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Piękna kobieta o nieco męskich rysach! Co go tak zaślepiło?

Jakiś czas rozglądał się jeszcze, a potem wrócił na górę. Adam i reszta oglądali telewizyjne programy informacyjne, które udało się im znaleźć. Dziewczeta zaczęły już drzemać.

— I co znalazłeś, Rocky? — spytał Adam.

— Może zainteresuje cię to, że jest tutaj twój stary przyjaciel Bowles.

- Bowles! — wykrzyknęli jednocześnie Adam i Jen.
- ... A także twoja dobra znajoma, Candace Montreux.
- Candace!... Co to znaczy? — zdumiał się Adam. — Czy wszyscy muszą mieszkać akurat w tym hotelu?
- Nie tylko oni — ciągnął Rocky. — Widziałem też kogoś, kto śledził mnie w New Hampshire i trzymał sztamę z tymi, którzy wyrócili mój dom do góry nogami.
- Z tymi, co ukradli dziennik?
- Tak jest. Na szczęście ja go ukradłem im.
- Kto to taki?
- Nie wiem. Ale wychodzę znowu. Udało mi się wytropić, w którym pokoju mieszka. Teraz muszę się dowiedzieć, co tu robi. Cokolwiek się dzieje, ten hotel ma w tym swój udział. Przypominam sobie teraz, że w kufrze pradziadka natknąłem się na korespondencję z Nile Gardens. Wtedy nic mi to nie mówiło.
- Masz rację — powiedział z powagą Adam. — W tym miejscu wyczuwa się jakąś dziwną atmosferę.
- Nie mogę pojąć, jak się to dzieje, że zawsze depczą nam po piętach. Przewidują każdy nasz ruch. Ludzie oliwkowego beretu byli w New Hampshire, zanim znalazłem się w domu. Teraz ta kobieta jest tu znowu... raz jeszcze przed nami. Jakby mieli kopię dziennika Harry'ego i wyczytali z niej więcej niż my.

5.

Działo się więcej, niż sądziła Anni D'Abernon.

Wróciła z kolacji na mieście, kiedy Kair okrywała już noc. Cze-kały na nią dwie wiadomości. Obie zmieniły radykalnie jej plany.

Kiedy szła przez hol recepcjonista dał znak, że ma coś dla niej.

— Kierownik czekał na panią — oznajmił. — Powiedział, że- bym za nic w świecie pani nie przegapił. Ma ważne nowiny.

Pani D'Abernon — zasiadająca w zarządzie aglomeracji, której własnością był hotel Nile Gardens — skinęła głową i poszła prosto do pokoju kierownika. Zastukała i weszła, nie czekając na zaproszenie.

— Podobno ma pan dla mnie jakieś informacje.

— Po południu zameldował się u nas Adam Livingstone.

— Adam Livingstone! — powtórzyła pani D'Abernon, nie posiadając się ze zdumienia. — Nie do wiary! Co on tu robi?

Oczywiście, nie ma większego znaczenia, po co tu zamieszkał. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Szukali go na całym globie, a tu nagle mają go pod samym nosem!

— Sam? — spytała.

— Są z nim trzy osoby, jeden pan, o ile wiem, Amerykanin, i dwie młode kobiety.

— Które pokoje zajmują?

— Osiemset siedemnaście i dziewiętnaście. Przyległe.

— Dobra robota. Wychodzili?... Telefonowali?...

— Kolację zjedli u siebie. Po za tym żadnych działań.

— Długo zostaną?

— Zarezerwowali pokoje na trzy dni.

— Proszę informować mnie o wszystkim.

Był to rozkaz. Kierownik skinął głową.

— Jeśliby chcieli wymeldować się wcześniej, proszę zatrzymać ich jakoś do chwili, kiedy zostaną o tym zawiadomiona. Wszystko jedno, jak pan to zrobi... Zepsuty komputer, błąd w rachunku... jeśli zechcą płacić kartą albo czekiem, nie będzie kłopotu. W tym czasie podejmę odpowiednie kroki, żeby zamrozić konto Livingstone'a. Za dwadzieścia cztery godziny będzie unieruchomiony.

— Wszystko będzie tak jak pani sobie życzy.

Pani D'Abernon wyszła w doskonałym nastroju. Wszystko jest na dobrej drodze. Może jednak uda się zduścić niebezpieczeństwo w zarodku.

6.

Jen, Juliet i Rocky słuchali, jak Adam czyta stary opis biblijny:

„Jeszcze w nocy kazał faraon wezwać Mojżesza i Aarona i powiedział: «Wstańcie, wyruszajcie z pośrodku mojego ludu, tak wy, jak Izraelici! Idźcie i oddajcie cześć Panu według waszego pragnienia. Weźcie ze sobą owce wasze i woły, jak pragnęliście, i idźcie. Proście także o łaskę dla mnie». I nalegali Egipcjanie na lud, aby jak najprędzej wyszli z kraju...

I wyruszyli Izraelici z Ramses ku Sukkot... Z ciasta, które wynieśli z Egiptu, wypiekli niekwaszone placki, ponieważ się nie zakwasiło. Wypędzeni z Egiptu bez najmniejszej zwłoki, nie zdołali przygotować nawet zapasów na drogę...

Tej nocy czuwał Pan nad wyjściem Izraela z ziemi egipskiej. Dlatego noc ta winna być czuwaniem na cześć Pana dla wszystkich Izraelitów po wszystkie pokolenia”.

Adam zamilkł i spojrzał na swoich słuchaczy.

— Tak samo jest z nami — zauważyła Juliet. — My też musimy uciec z Egiptu nocą.

— Niesamowita jest myśl, że mój pradziadek przebywał w tym miejscu, prowadził podobne poszukiwania i również znalazł się w niebezpieczeństwie — powiedział Rocky.

— Chociaż nie udał się do Ziemi Obiecanej — dorzuciła Jen.

— A może się mylisz — uśmiechnął się Adam.

— Jak wyglądała jego ostatnia noc w tym miejscu?

— Wiem przynajmniej, dokąd się wybierał. Jeśli podążymy jego tropem, może Pan poprowadzi nas jak niegdyś poprowadził Izraelitów. A ponieważ nie mamy już żadnych słów Harry'ego, którymi moglibyśmy się kierować, być może to będzie naszym przewodnikiem.

Poklepał leciutko Biblię, a potem czytał dalej: „Kiedy faraon uwolnił lud, nie wiódł go Bóg drogą prowadzącą do ziemi filistyńskiej, chociaż była najkrótsza... Bóg więc prowadził lud okrężną drogą pustynną ku Morzu Czerwonemu... Wyruszyli z Sukkot

i rozbili obóz w Etam, na skraju pustyni. A Pan szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli iść we dnie i w nocy. Nie ustępował sprzed ludu słup obłoku we dnie ani słup ognia w nocy”.

Słuchając, Rocky rozmyślał jednocześnie nad tym, co od dawna zbijało go z tropu: że on sam nie był narażony na żadne niebezpieczeństwo, póki nie zaczął współpracować z Adamem. Przypomniał sobie, co napisał Harry o dzienniku podróży. Zawsze wyobrażał sobie, że chodzi po prostu o zapiski, które Harry robił podczas wędrówki.

A jeżeli istnieje drugi dziennik, z którym Harry podróżował i który zostawił tutaj, w hotelu Nile Gardens, razem z innymi papierami?

Tamci, kimkolwiek są, być może mają go przez cały czas w swoich rękach. To by tłumaczyło, dlaczego nie interesowali się jego osobą. Przyjęli, podobnie jak on, że jest tylko jeden dziennik i że nikt nic nie wie o Harrym McCondym — poza Adamem Livingstone'em, który napisał o nim rozprawkę.

Jeśli to wszystko miało wtedy jakiś związek z hotelem, ma ten związek nadal.

A jeśli drugi dziennik jest tutaj... w tej chwili? Czy on, Rocky, zdoła go zdobyć? Najpierw musiałby dowiedzieć, kto go ma. Oliwkowy Beret? Nie, wykradła dziennik z jego skrytki bankowej. Bowles? Mało prawdopodobne. Pojawił się niedawno i nie wiadomo, jak głęboko się zaangażował. Więc kto? Trzeba jeszcze raz wyprawić się na łowy — kiedy tylko reszta położy się spać.

Rocky słuchał z roztargnieniem tego, co Adam czytał o drodze ucieczki Izraelitów.

W umyśle Adama kształtował się stopniowo plan ich nowoczesnego exodusu. Pójdą drogą Izraelitów!

Był teraz przekonany, że tak właśnie postąpił Harry. Oni też powędrują starodawną drogą, która prowadzi do miejsca, gdzie mieszka Bóg.

7.

Druga wiadomość dotarła do pani D'Abernon dopiero późnym wieczorem.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pani D'Abernon otworzyła i szybko wciągnęła do środka szczupłą kobietę o sfinkсовym wyrazie twarzy.

Rocky, który przyglądał się tym manewrom spoza dużej palmy stojącej na końcu korytarza, zaczął zastanawiać się nad sensem tego, co zobaczył. Co robi tutaj Oliwkowy Beret? Śledził ją, kiedy szła do swojego pokoju, i ciągle nie mógł przyzwyczać się do faktu, że to kobieta. Jak udało się jej tak skutecznie udawać mężczyznę, tak dobrze się przebrać?

Teraz, już po północy, znalazła się dwa piętra nad swoim pokojem. Kto mieszkał za tymi drzwiami? Rocky skulił się jeszcze bardziej, mając nadzieję, że uda się mu zerknąć choćby przelotnie na tę osobę, kiedy Oliwkowy Beret będzie wychodził.

Kiedy dwie kobiety znalazły się w pokoju pani D'Abernon, Oliwkowy Beret powiedział:

— Mam wiadomość z Waszyngtonu.

— Czy w końcu się poddał?

— Wydaje się, że nasze wysiłki nie poszły na marne.

— Czego się dowiedziałas?

— Livingstone wyruszył na górę Synaj.

— Synaj! — szepnęła Szwajcarka. — Jesteś pewna?

— To wiadomość z najbliższego otoczenia Livingstone'a.

— Doskonale wywiązałaś się z zadania, Ciano. Będę o tym pamiętać.

— Robię tylko to, co do mnie należy, panno D'Abernon.

— Zachowaj czujność. Być znowu będziemy musieli wykonać jakiś ruch. Dowiedziałam się też, że sam Livingstone zamieszkał w naszym hotelu. Jeśli jego celem jest Synaj, musimy wyruszyć tuż za nim.

Pani D'Abernon wyprowadziła Włoszkę ze swojego pokoju.

Do rana ślęczała nad dziennikiem McCondy'ego, rozprawką Adama Livingstone'a i innymi dokumentami dotyczącymi dwóch archeologów, których praca stała się jej namiętnością, a których sukces może oznaczać jej klęskę.

8.

Kiedy recepcjonista zawiadomił ją tuż po świcie, że dwaj panowie, którzy zameldowali się w hotelu, chcą się z nią widzieć, pani D'Abernon kazała przyprowadzić ich natychmiast do swojego pokoju.

Zaprosiła obu do środka. Żadne z trójki nie usiadło. Nowo przybyli zorientowali się z wyrazu twarzy Szwajcarki, że ta ma nowiny.

Pani D'Abernon patrzyła płonącymi oczami na lorda Montreux i Ruperta Vaughana-Maiera.

— Celem jest Synaj! — oznajmiła tryumfalnym głosem.

— Co za Synaj? — spytał Vaughan-Maier.

— Cel wszystkich działań Livingstone'a! Oto w końcu sedno całej sprawy! I widać związek z badaniami, które prowadził McCondy. Mam wrażenie, że w końcu jesteśmy krok przed Livingstone'em!

— A co ma z tym wspólnego Synaj? — zapytał lord Montreux.

— Tam prowadzą go badania. Nareszcie widzimy wyraźnie, co jest jego celem.

— Ten człowiek wyobraża sobie, że Eden jest na Synaju! — wykrzyknął Holender.

— To jakiś nonsens — dorzucił lord Montreux. — To nikomu niepotrzebna pustynia, same głazy i góry! Muszę się dowiedzieć, czy Candace nie ma czegoś więcej do powiedzenia w tej sprawie. Idę do jej pokoju. Dokładnie ją wypytam.

Obrócił się, żeby wyjść.

— Ależ tam właśnie wybiera się Livingstone! — zapewniła pani D'Abernon. — Sto lat szukaliśmy ostatniej części układanki. I wreszcie trafiła w nasze ręce!

— Co pani proponuje? — spytał Maier—Vaughan.

— Potrzebny nam helikopter uzbrojony w rakiety, które obróćą Livingstone'a i jego zespół w proch i pył. Nikt nie dowie się, czego ten człowiek szukał. Nikt nawet nie spróbuje zbliżyć się do tego odwiecznego miejsca. Naszemu planowi nic nie zagrozi. Wszystko pójdzie na konto zabłąkanej libańskiej rakiety, w której zawiódł system sterowania.

— To dałoby się zorganizować — zadumał się Vaughan-Maier. — A nawet nie powinno nastęczyć trudności. Pozostaje jednak sprawa klasztoru. O ile wiem, chodzi o bardzo stary zabytek.

— Może się zdarzyć i tak, że Libańczycy ucierpią nieco z powodu zniszczenia miejsca o takim historycznym znaczeniu.

— Czy to możliwe, żeby szukał czegoś innego, nie rajskiego ogrodu?

— Na przykład?

— Jakiegoś innego skarbu, znaleziska archeologicznego wielkiej wagi, drugiego Tutenchamona. Nie musielibyśmy stosować środków tak drastycznych.

— Wiemy, że szuka Edenu. Czyż nasi Mędrzy nie ostrzegli o niebezpieczeństwie i nie rozkazali go usunąć?

— Może myśli, że znalazł tablice z przykazaniami. Jeśli tak, nie warto się trudzić. Świat uzna go za szaleńca.

Pozostali roześmieli się, choć nie był to śmiech radosny. Są rzeczy, o których nie powinno się mówić, a kamienne tablice były pierwszą z nich.

9.

Adam Livingstone wyszedł na prawie cały dzień.

Sprawami transportowymi, które miał do załatwienia, a także przygotowaniem eksperymentów najlepiej zając się w pojedynkę. Koło południa okazało się jednak, że nie może skorzystać z karty kredytowej.

Awaria komputera?

557

Wątpliwe. Adam przeczuwał, że siły, które chcą go powstrzymać depczą mu po piętach. Miał uczucie, że są coraz bliżej. To, co Rocky powiedział o spisku, potwierdzało się coraz wyraźniej. Kilku dostawców sprzętu udzieliło mu kredytu na nazwisko. Ale ta sytuacja z pewnością wszystko utrudni i skomplikuje.

Adam zatelefonował do swojego asystenta, który nadzorował operacje zespołu działającego w Turcji.

— Figg, potrzebny mi jesteś w Kairze, i to już. Robi się gorąco. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Weź jakąś kartkę i zapisuj. Nie opuść czego, bo może już nie uda mi się z tobą skontaktować.

— Jestem gotowy — odparł Figg.

— Po pierwsze, weź tyle gotówki, ile możesz. Najlepiej dolary albo funty. Ale jeśli chodzi o pieniądze, znalazłem się w rozpaczliwej sytuacji, więc wszystko się przyda. A teraz inne sprawy. Jesteś gotów?

— Wal!

Adam wyliczył swoje potrzeby.

— Powiem ci, gdzie i kiedy się spotkamy. Nie możesz zawieźć, Figg. Gra idzie o życie.

— Możesz na mnie liczyć.

10.

Wrócił do hotelu po południu.

Kiedy wszedł do holu, od razu jego wzrok przyciągnęła wysoka kobieta o dumnej postawie, rozmawiająca przyciszonym głosem z dystygowanym siwowłosym dżentelmenem. Nie poznawał żadnej z tych osób, ale miał wyraźne uczucie, że z mężczyzną już się zetknął... że gdzieś go widział.

I nagle włosy zjeżyły się mu na karku.

Mnóstwo niewytłumaczalnych wewnętrznych doznań mówiło mu, że stanął twarzą w twarz z Potęgą sił nowej ery, tych sił, które pragną go zniszczyć.

Było to starożytne miejsce, gdzie jakieś trzy i pół tysiąca lat temu dobro i zło toczyły ze sobą wojnę. Czy jego przeznaczeniem jest

teraz, w nowych czasach, przeżyć tę samą batalię?

To pytanie pociągnęło za sobą cały ciąg dalszych, ale Adam nie miał czasu, żeby się nad nimi zastanowić. Na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za bezpieczeństwo przyjaciół.

Mijając parę rozmówców, poczuł dreszcz. Jak to możliwe, że dotarli za nim aż tutaj?

Dość zdenerwowany podszedł do windy. Czuł, że spojrzenia dwóch par oczu wwiercają się w jego plecy, próbując omotać go diabelskim urokiem. Kiedy tylko drzwi windy się otworzyły, prawie wskoczył do środka. Obrócił się i póki drzwi się nie zamknęły, widział dwoje obcych ludzi, którzy patrzyli mu prosto w oczy. Jego ciało przebiegł dreszcz, nad którym nie potrafił zapanować.

Wszedł do pokoju i zobaczył, że Jen, Rocky i Juliet siedzą w milczeniu z mrocznymi minami. Musiało stać się coś złego.

Na jego pytające spojrzenie odpowiedział Rocky, podając mu popołudniowe angielskie wydanie kairskiej gazety.

Adam wziął gazetę do ręki i przeczytał nagłówek artykułu z pierwszej strony: „Wybitny botanik z kairskiego uniwersytetu został zamordowany we własnym domu”.

Poniżej zobaczył fotografię profesora Cissy i krótką relację. Pi-stoletowy strzał prosto w serce. Szczególny kaliber broni, której praktycznie nie da się zidentyfikować. Tylko jeden zatarty odcisk palców, który nie na wiele się zda. Sprawdzono. Poza tym żadnych śladów.

Adam opadł na krzesło. Czy po raz drugi jest odpowiedzialny za czyjąś śmierć?

W pokoju panowało przygnębiające milczenie.

— Wygląda na to, że zaczęła się pierwsza plaga, śmierć pierworodnych — westchnął po chwili Adam. — Nie możemy ani chwili zwlekać z wyjazdem.

Nikt nie powiedział ani słowa.

— Posłuchajcie mnie uważnie — rzekł Adam. — Ta wiadomość jest dla wszystkich ciosem. Ale jeśli mamy się stąd wydostać,

bez was się nie obejdę. Pozostało nam parę rzeczy do zrobienia. Prawie wszystko jest gotowe. Mam wizy saudyjskie i izraelskie. Uzyskałem pozwolenia na wyprawę. Sprzęt został wybrany. Ale potrzebuję w tej chwili waszej pomocy.

Cała trójka spojrzała na niego i skinęła głowami.

— Chcę, po pierwsze, żebyście opuścili hotel oddzielnie. Wyszukajcie jak najwięcej banków i bankomatów. Potrzebna jest nam gotówka. Ile tylko się da. Jeśli zdołacie zebrać tysiąc funtów, wystarczy aż nadto, żeby w razie czego wrócić do domu. Z mojej karty nie mogę nic podjąć. Mam nadzieję, że do waszych jeszcze się nie dobrali. Jeśli się mylę, będziemy musieli się przegrupować.

Wszyscy troje wstali z krzesel.

— W porządku, ruszajcie — ciągnął Adam. — Zaraz po waszym powrocie przeberzemy się i zjedziemy na porządną kolację. Musimy zapomnieć o tragedii i spędzić miło jakiś czas przy stole.

— Po co? — spytała Jen. — Nie jestem w nastroju do uroczystych kolacji.

— Będzie to nasza uczta paschalna, choć obejdziemy się bez gorzkich ziół. Jeśli chcemy naprawdę wybrnąć z tej sytuacji, musimy udawać, że obce są nam wszelkie troski. Chcemy zachować życie, musimy więc być przebiegli.

11.

O siódmej wieczorem całe towarzystwo Adama Livingstone'a, w pozornie beztroskim nastroju, przeszło przez hol w Nile Gardens, rozmawiając i śmiejąc się wesoło.

Adam prowadził Juliet pod ramię. Za nimi szli Rocky i Jen. Czekał na nich zarezerwowany poprzednio stolik na środku sali. Nie tylko w hotelu, ale w całym mieście rozeszła się pogłoska, że tego dnia w restauracji pokaże się Adam Livingstone.

— Ach, pan Livingstone — powitał ich życzliwie *martre d'hotel*. — Czekaliśmy na pana. Stolik już czeka. I jeśli wolno mi to powiedzieć, usługiwanie panu to dla nas wielki zaszczyt.

— Dziękuję — odparł radosnym głosem Adam.

Podszedł do stolika, odsunął krzesło Juliet, która nie mogła powstrzymać w tym momencie uśmiechu. Rocky podobnie usłużył Jen — z wdziękiem i pewnością siebie godną angielskiego dżentelmena.

W tym czasie *martre d'hotel* telefonował już do pokoju Szwajcarki.

— Przyszedł — oznajmił.

Podano wino i zakąski. Potoczyła się swobodna rozmowa. Kilko-
ro gości, spragnionych widoku odkrywcy arki Noego, zbliżyło się
kiwając głowami i rozpluwając się w uśmiechach.

— Nie wierzę własnym oczom! — wykrzyknął w pewnym momencie Adam. — Przecież to sir Gilbert Bowles! Sir Gilbercie... tutaj!

Wstał i pozdrowił kolegę.

Gilbert Bowles, podobnie jak wszyscy, słyszał pogłoski, które krążyły tego popołudnia. Jeśli szykuje się jakieś świętowanie, taka okazja nie może go ominąć. Z Zorinem nie było już żadnych kłopotów. Czemu więc nie miałby wrócić do swojej roli archeologicznego i duchowego tła dla rzekomo wielkiego Adama Livingstone'a?

Ubrał się w najczystszy ze swoich strojów koloru khaki, umył głowę i rozczesał kucyk, a potem w najważniejszym momencie pojawił się w restauracji, żeby zorientować się w sytuacji.

— Ach, Livingstone! — powiedział, wyciągając rękę w niezwykłym u niego porywie serdeczności. — Znowu się spotykamy! Tym razem w stosowniejszym otoczeniu niż afrykański busz.

— Słusznie, sir Gilbercie. Czy zechce pan do nas dołączyć?

— Nie chciałbym...

— Bzdura. Chcemy uczcić rozpoczęcie egipskiej przygody. Gorąco zapraszam.

Adam, choć wymagało to od niego pewnego wysiłku woli, dawał już znak kelnerowi, żeby ten dostawił jeszcze jedno krzesło. Bowles nie zgłaszał dalszych zastrzeżeń.

— Co sprowadza pana do Kairu, sir Gilbercie? — spytała Jen z diabelskim błyskiem w oku. — Myślałam, że przez najbliższe miesiące będzie pan zaprzęgnięty katalogowaniem znalezisk z Oldoway.

— Cały projekt skończył się niespodziewanie fiaskiem — odparł Bowles. — Opuścili mnie ludzie, których zaangażowałem do prac. A co u pana, Livingstone? Nadal poszukuje pan mitycznego raję?

Adam nie zdążył odpowiedzieć. Zobaczył wchodzącą Candace Montreux. Twarz miała jeszcze zarumienioną po gwałtownym starciu z ojcem. Pokłócili się o Adama Livingstone'a, o którego planach żadne z nich nie miało pojęcia. Oboje jednak podejrzewali, że drugie coś ukrywa. Trudno byłoby uznać to za przyjacielską sprzeczkę. I nagle miała przed sobą przedmiot tej sprzeczki, zdążający w jej kierunku z uśmiechem i wyciągniętą ręką.

— Candace! Co za niespodzianka! I piękna jak zawsze! Dopiero co usiedliśmy. Będziemy zaszczyceni, jeśli zechcesz do nas dołączyć.

Poprowadził Candace do stolika. Musieli się trochę ścisnąć i z dwóch miejsc, które zajmował sir Gilbert, zrobiło się ledwie półtora. Jen i Juliet patrzyły na Adama szeroko otwartymi oczami, w których czaiło się pytanie. Adam odpowiedział uśmiechem, który mówił: „Wiem, co robię. Im więcej nas, tym lepsza zabawa!”

Po prezentacjach Candace wcisnęła jakoś krzesło obok Adama, po którego drugiej stronie siedziała Juliet. Wcale nie podobała się jej obecność tej dziewczyny ani zażyłość, jaka łączyła ją najwyraźniej z mężczyzną, który niedawno był przecież narzeczoną Candace.

Wszyscy poza Candace byli rozochoceni świąteczną atmosferą, jaka panowała tego kairskiego wieczoru. Muzyka, egzotyczne potrawy, fascynująca mieszanka języków i strojów sprzyjała zapomnieniu na chwilę o troskach. Candace jednak była wyraźnie wzburzona i nieobecna duchem.

— Livingstone, nie odpowiedział pan na moje pytanie — upierał się Bowles. — Czego szuka pan w Kairze?

— Nie mogę rozgłaszać moich sekretów, sir Gilbercie, dobrze pan o tym wie — odparł wesołym tonem Adam. — Ale chyba mogę zdradzić panu moje plany na najbliższe dni. Po pierwsze chcemy zwiedzić miasto. Mam dokładnie wypełniony cały jutrzejszy dzień, wywiady, prasa... Potem zamierzam pokazać paniom i mojemu amerykańskiemu przyjacielowi piramidy. Nasze dalsze plany są niezbyt precyzyjne. Być może wrócimy po prostu do Londynu.

— A Eden?

— Niestety, nic nie znaleźliśmy we wschodniej Afryce.

— A tutaj, w Egipcie?

— W Egipcie jesteśmy dla przyjemności, zapewniam pana, sir Gilbercie. Wszystko, co zostanie odkopane między tym miejscem a piramidami, ofiaruję chętnie panu.

Ten i ów z sąsiedztwa nastawiał uszu. Siedząc w ocienionym zakątku restauracji, słyszeli wszystko co przekazywał ukryty pod stolikiem Livingstone'a mikrofon. Pani D'Abernon lekkim skinieniem głowy dała swoim kolegom znak, że rozmowa dociera do niej wyraźnie.

Spśród uczestników dramatu, jeśli nie liczyć ojca Candace, w swoim pokoju została tylko Ciano Bonar.

Kobieta w oliwkowym berecie robiła w tym momencie co mogła, żeby przy pomocy kierownika hotelu dostać się do dwóch pokoiów zajmowanych przez zespół Livingstone'a. Rocky zainstalował jednak niezawodne urządzenie zabezpieczające, dzięki czemu oba pokoje były całkowicie bezpieczne. Miał w kieszeni stosowną elektroniczną zabawkę i nikt nie mógł wejść do środka, jeśli nie miał zamiaru dosłownie wyłamać drzwi. A na to kierownik hotelu nie był zgoła przygotowany. Rocky zaś nie miał pewności, czy uprzednio nie zainstalowano w pokojach mikrofonów.

Natomiast człowiek o złowieszczym głosie, przebrany za mnicha, znajdował się w tym momencie jakieś tysiąc trzysta kilometrów na południowy-wschód od Kairu. Trudno o większą sprzeczność między wyglądem zewnętrznym, o tym, co kryje się w duszy człowieka. Ale sam Haider Zorin nie zwracał sobie takimi sprawami głowy, bardziej bowiem pochłaniało go wejście na pilnie strzeżony teren u stóp

góry znanej jako Dżebel Musa w południowej części Półwyspu Synajskiego.

A w hotelu Nile Gardens rozbrzmiewały gorące rytmy. Rezygnując z dobrych manier, Candace poprosiła Adama do tańca. Oboje wstali i zaczęli posuwać się w stronę parkietu. Kiedy tylko Candace poczuła, że obejmują ją ramiona Adama, przywarła do niego i wtuliła twarz w jego policzek.

— Och, Adamie! Jaka byłam głupia! Tak mi przykro...

Adam prowadził ją łagodnie w rytm walca, który otaczał ich ze wszystkich stron.

— Nie powinnam była mówić tego wszystkiego — ciągnęła. Wybacz mi, proszę.

— Ależ oczywiście, Candace. Zapomnij o wszystkim.

— Och, Adamie, musisz się stąd wydostać. Czyhają na ciebie źli ludzie.

— Gdzie, Candace?

— Tutaj... wszędzie. Proszę cię, zabierz mnie ze sobą!

— Nie wiem, co powiedzieć, Candace — odparł Adam zaskoczony nagłą zmianą, jaka w niej zaszła. Ton jej głosu nie pozostawiał miejsca na wątpliwości. Candace była przerażona. Zdawał sobie dobrze sprawę, że ta dziewczyna jest przebiegłą intrygantką. Ale strach? Nigdy dotąd nie słyszał u niej takiego głosu.

— Myślałem, że to właśnie mówiłaś w Oldoway. Chciałaś do nas dołączyć. Potem jednak zniknęłaś. Uznałem, że połączyłaś siły z sir Gilbertem.

— Adam, proszę!... Popełniłam okropny błąd — mówiła błagalnym tonem Candace. — Czy nie możemy zapomnieć o tym wszystkim?

— Pojawiasz się tutaj znowu z sir Gilbertem, a potem raz jeszcze chcesz znaleźć się u mojego boku. Co mam o tym myśleć, Candace?

— Proszę cię, Adam... uwierz mi proszę, że to wszystko było strasznym sennym koszmarem. Teraz jesteś tutaj i wszystko co złe mam za sobą. Znowu mogę poczuć się bezpiecznie. Proszę cię tylko o to... żebyś zabrał mnie ze sobą.

Muzyka umilkła i wrócili do stolika.

— Musisz dać mi trochę czasu do namysłu, Candace. Jutro nie mam chwili czasu. Porozmawiamy później.

— Dziękuję ci.

Najwyraźniej poczuła ulgę, ale w jej oczach nadal czał się strach.

Adam poczuł żal i wyrzuty sumienia. Toczyła się gra zbyt poważna, żeby wciągać w to Candace. Nie był wcale pewny, czy może jej zaufać. Będzie musiała radzić sobie sama.

Po jakimś czasie na scenie pojawili się dziennikarze. Padały coraz natarczywsze pytania i Adam w końcu uległ: podał plan wywiadów i zwiedzania na następne trzy dni.

Nikt nie wspomniał ani słowem o ogrodzie rajskim.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

EXODUS

1.

Było bardzo wcześnie. Po trzeciej nad ranem. Tej nocy księżyc nie rozświetlał swym blaskiem ciemności, które okrywały ciche kairskie ulice. Wszystko dokoła ogarnęło zneruchomienie.

Ubrana od stóp do głów na czarno postać ostrożnie schodziła po chwiejnych schodach pożarowych. Wystarczyłby jeden fałszywy krok, by mieszkańcy hotelu zorientowali się, że dzieje się coś niestosownego.

Postać stawiała każdy krok uważnie, jakby miał to być krok ostatni. Wreszcie znalazła się na dolnym podeście. Teraz pozostawało zeskoczyć z wysokości trzech metrów.

Osoba w czerni przewinęła się ostrożnie przez stalową barierkę, potem opuściła na rękach, chwytając za najniższe pręty i wymachując w powietrzu nogami, a wreszcie zeskoczyła.

Kiedy jej stopy zetknęły się z betonem alei, dało się słyszeć stłumione stuknięcie. Gdzieś zaszczekał pies. Postać przywarła do ziemi.

Odczekała trzy ciągnące się bez końca minuty. Wyglądało na to, że nikt niczego nie zauważył. Postać dźwignęła się na nogi i skradając się przy murze, doszła do końca budynku. Wyjrzała za róg.

Ani śladu życia. Nadal trzymając się cienia, oddaliła się od hotelu, niknąc stopniowo w ciemnościach.

Młoda kobieta leżała z otwartymi oczami w ciemnym pokoju tego samego hotelu. Znała dokładnie plan i bała się. Potem zapadła w płytki sen, ale przed nią były jeszcze długie godziny czekania na brzask.

Kilka godzin później jakiś głos szepnął jej do ucha:

— Juliet, moja droga, już czas.

— Och, dziękuję, Jen — Juliet natychmiast się rozbudziła.

— Musisz się przygotować — powiedziała szeptem Jen.

Kiedy obie były już na nogach, zaczęły rozmawiać niezwykle dla siebie mocnymi głosami.

— Przed nami wielki dzień — powiedział Jen. — Wreszcie zobaczymy piramidy.

— Zdążymy się przejść przed śniadaniem? — spytała bardzo głośno jak na siebie Juliet.

— Jasne.

Chociaż była dopiero szósta rano, z sąsiedniego pokoju dochodziły odgłosy porannej męskiej toalety.

— Hej chłopaki! — zawołała Jen, stukając w drzwi między dwoma pokojami. — Jecie na dole czy w pokoju?

— Adam jeszcze w łóżku. Adam, co chcesz na śniadanie?

Chwila milczenia.

— Mówi, że zje w pokoju! — krzyknął Rocky. — Chyba mogę wyjść.

— My też chyba zjemy śniadanie w pokoju! — odkrzyknęła Jen. — Ale przedtem chcemy się przejść.

2.

Ciano Bonar obserwowała hol, ale niczego nie słyszała ani nie widziała. Po północy nikt nie wchodził i nie wychodził.

Obserwowana czwórka dała pierwsze znaki życia mniej więcej o szóstej dwadzieścia pięć, kiedy z windy wyszły dwie młode kobiety w dresach. Bonar natychmiast pobięła do telefonu z meldunkiem.

— Mam pójść za nimi?
— Nie, Livingstone jest nadal w pokoju. Amerykanin też wychodzi na śniadanie. Schowaj się, żeby cię nie widział.
— Pozwolić mu odejść?
— Zależy mi tylko na Livingstone'ie. Jeśli się pokaże, masz się do niego przykleić. Słucham każdego odgłosu z ich pokoiów. Kiedy tylko się ruszy, zawiadomię cię przez pager.

Włoszka zajęła z powrotem stanowisko obserwacyjne.

Dziesięć minut później jedna z dziewcząt wróciła dokładnie w momencie, kiedy z windy wychodził Amerykanin. Ciano Bonar skuliła się w swojej kryjówce, ale Rocky i tak wypatrzył już ją kątem oka.

— Cześć, Jen! — zawołał, nie próbując zachować dyskrecji.
— Gdzie jest Juliet?

— Parę kroków stąd, ogląda jakieś ubrania na wystawie. Będzie tu za chwilę. Adam jeszcze na górze?

— Bierze prysznic — odparł Rocky. — Idę coś zjeść. Zobaczymy się, kiedy wrócę.

— Do zobaczenia, Rocky.

Jen wsiadła do windy i pojechała z powrotem na ósme piętro.

Bonar znowu złożyła krótki meldunek.

— Możesz wracać, Ciano — powiedziała pani D'Abernon. — Wygląda na to, że panujemy nad sytuacją. Możesz się trochę przespać.

3.

Pięć przecznic od hotelu Nile Gardens, w brudnej alejce na tyłach jakiejś pokrytej szarym tynkiem hurtowni, ktoś chwycił młodą kobietę i wciągnął ją w cień.

— Tak się martwiłam! — wykrzyknęła, przywierając do ubranej na czarno postaci. — Ledwie mogłam zasnąć po tym, jak...

— Nie przejmuj się, wszystko idzie gładko. Po prostu mów jeszcze jakiś czas ciszej.

Dziewczyna zniżyła głos, choć widać było, że nie przychodzi jej to łatwo. Na jej twarzy malowało się poczucie ulgi przemieszanej z niepokojem.

— Chodź! — powiedział mężczyzna. — Mamy spory kawałek do pokonania na piechotę, a ja nie ufam nikomu w tym mieście.

Dziewczyna nie zwróciła uwagi na to, że kilkadziesiąt metrów za nimi idzie mocno zbudowany mężczyzna. Jej towarzysz zerknął do tyłu, nie przejął się zbyt obecnnością tamtego. Przeszli na drugą stronę szerokiego bulwaru Aí Qasr al Eini, na którym z każdą chwilą narastał poranny ruch. Skręcili w lewo, na południe, minęli szybkim krokiem jeszcze jedną przecznicę i zapuścili się w wąskie przejście między dwoma budynkami. Po szybkim marszu oboje ciężko dysze-
li. Dwie minuty później w zaułek wszedł potężny mężczyzna.

Trochę dalej czekał na nich samochód. Cała trójka szybko do niego wsiadła i skuliła się tak, żeby nie można ich było zobaczyć z zewnątrz. Nikt ich nie śledził, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Samochód wyjechał z zaułka. Wyglądał tak, jakby nie było w nim nikogo poza kierowcą. Skręcił na wschód i trzy minuty później wjechał w ulicę Port Said. Poruszając się w tym kierunku, przetną ulicę Ramzesa i znajdą się wkrótce poza miastem... na autostradzie prowadzącej do Suezu.

Pół godziny później samochód dotarł na obrzeża miasta i zatrzymał się za innym autem. Pasażerowie przesiedli się. Mężczyzna w czerni wzięł do ręki telefon.

4.

— Adam... jesteś po śniadaniu? — odezwał się głos Jen Swa-
ner. Nadal mówiła głośniej, niż było to potrzebne.

Milczenie.

— Dobrze, przez ten czas ja i Juliet poczytamy coś sobie.

Potem z obu pokojów dochodziły odgłosy jakiejś krzątanimy. Dziesięć minut później drzwi pokoju 817 otworzyły się i na korytarz został wypchnięty wózek kelnerski z resztkami śniadania, które najwyraźniej smakowało panu zajmującemu pokój. Kilka minut później podobny manewr powtórzył się przed pokojem 819 i za drzwiami znalazły się dwie tace z resztkami śniadania dla pań.

Pół godziny później w pokoju 819 zadzwonił telefon. Przyjęła go osoba mówiąca ze szwedzkim akcentem.

— Tak, tu asystentka pana Adama Livingstone'a.

Dzwoniący coś powiedział.

— Ma dzisiaj bardzo napięty rozkład zajęć. Nie, wszystkie w jego pokoju. Pan Livingstone nie czuje się najlepiej i zamierza pozostać cały dzień u siebie.

Znowu chwila ciszy.

— Proszę poczekać, zapytam.

Jeszcze jedna przerwa.

— Chętnie pana zobaczy. Czy zechce pan przyjść o dziesiątej trzydzięci? O tej porze zaczynamy.

W słuchawce rozległ się trzask typowy dla rozłączanej rozmowy telefonicznej. Anni D'Abernon zmarszczyła czoło. W tej rozmowie było coś dziwnego.

Cały ten dzień wydał się jej nagle dziwny.

5.

Słońce paliło trzech pielgrzymów jadących samochodem przez górną część Półwyspu Synajskiego.

Tę samą trasę pokonano już dwukrotnie, najpierw uczyniło to trzydzieści pięć wieków temu milion ludzi, a potem, sto lat temu, amerykański archeolog.

Land rover, który na pustynnej drodze rzucał na wszystkie strony trójką jadących nim pielgrzymów, ciągnął siedmiometrowej długości łośdź motorową. Trudno się domyślić, do czego mogła w tym miejscu służyć łośdź.

— Czujesz się lepiej, Juliet? — spytał Adam.

— Chyba tak — przysunęła się mocniej do jego boku. Strasznie się bałam. Odkąd wiem, co się stało z profesorem Cissną, ciągle myślę, że mogą zabić nas wszystkich.

— Nie przejmuj się — uspokajał Adam, obejmując ją ramieniem. — W tej chwili nic nam nie grozi.

— Parę dni zajmie im szukanie nas w Kairze — dodał z tylnego siedzenia Rocky.

— Mam nadzieję! — powiedział Adam.

6.

Tego samego dnia o dziesiątej dwadzieścia pięć mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna wszedł do hotelu Nile Gardens.

— Chcę zobaczyć się z panem Adamem Livingstone'em — oznajmił w recepcji.

Recepcjonista zatelefonował na górę. Słuchawkę podniosła Jen.

— Jest tu ktoś do pana Livingstone'a.

— Pewnie chodzi o kogoś umówionego na dziesiątą trzydzieści. Proszę przysłać go na górę.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi pokoju 819. Otworzyła Jen.

— Figg! — wykrzyknęła i złapała się za usta.

Wciągnęła go do środka i uściskała serdecznie.

— Jak dobrze widzieć cię znowu — szepnęła. — Chwileczkę. Dobrze, że zechciał pan przyjść, panie White — dodała na głos. — Panie Livingstone!... Przeszedł pan White.

Uśmiechnęła się do mężczyzny, którego nazwała Figgiem. Wskazała palcem na swoje ucho, żeby pokazać, że mówi do ukrytych mikrofonów.

Zaprowadziła go do jednej z łazienek i puściła wodę.

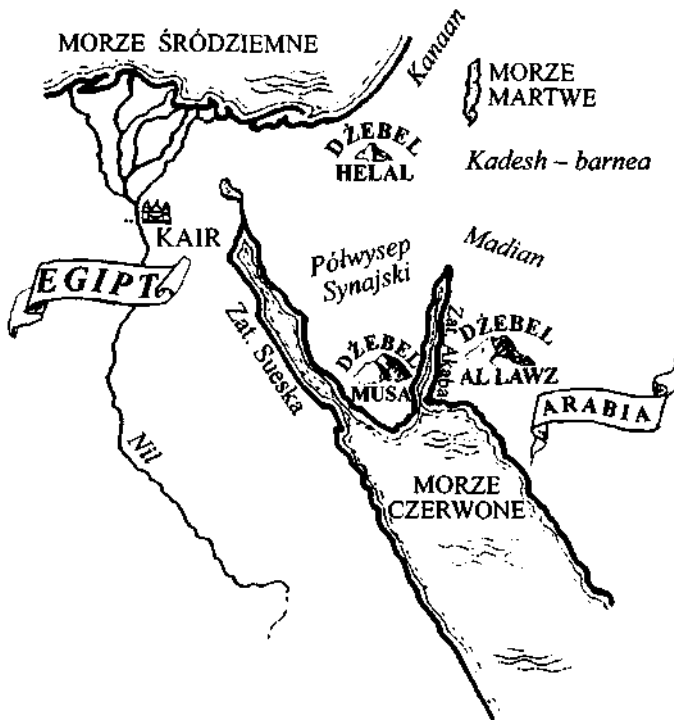
— Wydostali się bez przeszkód? — szepnęła.

— Bez żadnych — odpowiedział tak samo cicho Figg.

— W tej chwili są zapewne pośrodku północnej części półwyspu.

Siedząca w swoim pokoju Anni D'Abernon miała coraz poważniejsze wątpliwości. Coś tu nie pasuje.

I nagle pojawiły się słowa, które słyszała dzisiaj rano. »Przed nami wielki dzień. Wreszcie zobaczymy piramidy.»



Przecież nie wybierają się na zwiedzanie piramid! Nie zamierzali niczego zwiedzać. Całe to gadanie i śniadanie do pokojów, i chodzenie w jedną i drugą stronę... Przez cały czas słyszała tylko jeden głos!

Chwyliła słuchawkę, żeby zadzwonić do kierownika hotelu.

— Proszę natychmiast posłać pokojówkę do 817 i 819! Wszystko mi jedno, jaki pretekst pan wymyśli, ale oba te pokoje mają być przeszukane!

Dziesięć minut później kierownik zadzwonił osobiście do gościa ze Szwajcarii.

— W jednym pokoju nie ma nikogo, w drugim jest dziewczyna i mężczyzna o nazwisku White, który dopiero co przyszedł. Ani śladu Livingstone'a, Amerykanina i drugiej dziewczyny.

Pani D'Abernon zakłęła pod nosem. Wszystko było ukartowane. Livingstone wymknął się z Kairu pod samym jej nosem!

Wypadła z pokoju, żeby zobaczyć się z Vaughanem-Maierem i lordem Montreux.

— Livingstone uciekł! — oznajmiła. — Za godzinę ma być nasz helikopter. Od tej chwili zajmę się wszystkim osobiście. Będę przed nimi na Synaju i przygotuję się na ich przybycie.

W chwili, kiedy pokojówka wyszła, Jen wiedziała, że gra się skończyła. Dziewczyna rozglądała się takim wzrokiem, że można było być pewnym: nie przyszła tu sprzątać pokoje.

Pamiętając o podsłuchu, Jen napisała pośpiesznie kilka słów, które pokazała Figgowi. „Dopadli nas. Wyjdź. Ja wracam do Londynu.”

I zaraz zaczęła pakować swoje rzeczy do walizki. Jeśli tylko wydobędzie się cało z hotelu, zwoła na lotnisku konferencję prasową. Powie, że wczesnym rankiem Adam Livingstone opuścił po cichu Kair, bo chciał uniknąć prasy... i że jest w drodze do Londynu.

CZEŚĆ PIĄTA

Synaj

W tym dniu zwodniczym zaćma spojrzenie zakryje
Czekającym na czasy odmienne i nowe;
Przed Przyjściem jeszcze jedna epoka przeminie —
Nim spełnią się pokorne proroctwa Janowe.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

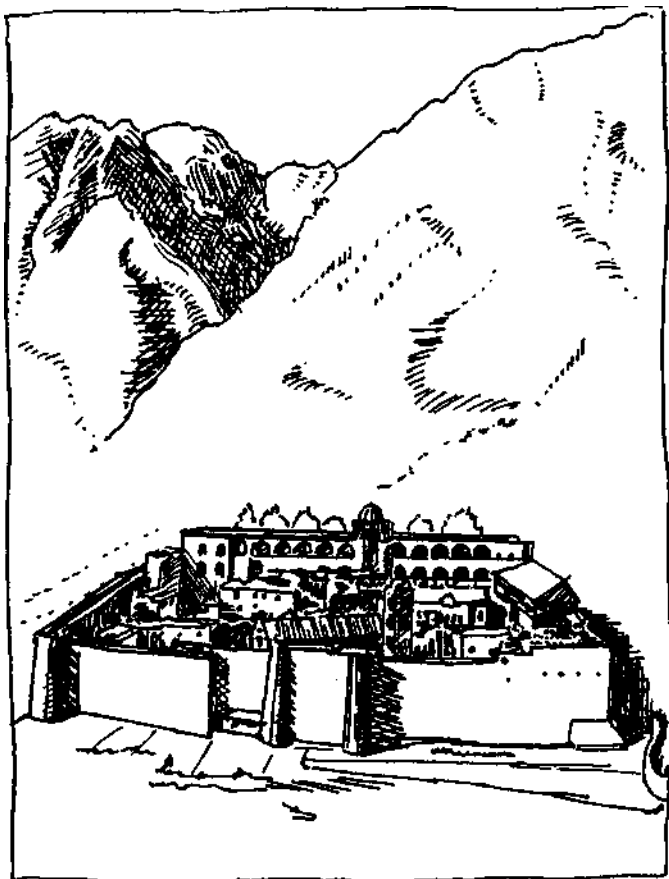
TROPEM HARRY'EGO McCONDY'EGO

1.

Święty klasztor Św. Katarzyny u stóp Dżebel Musa nigdy nie spotkał się z takim nadużyciem prostodusznej wiary mnichów w całych swoich tysiącpięćsetletnich dziejach.

Kościół i zakony kontemplacyjne od czwartego wieku mieściły się w świętym miejscu pod szczytem uznawanym tradycyjnie za górę Synaj. W ciągu stuleci bywały przedmiotem szturmów. Ale żeby coś takiego zdarzyło się w naszych czasach, to przechodziło wszelkie wyobrażenie.

Bez żadnej zapowiedzi pojawił się ubrany w zakonny habit mężczyzna, który zaczął tłumaczyć, że odbywa pilną pielgrzymkę. Mnisi wahali się, ale w końcu pozwolili mu wejść. Kiedy tylko mężczyzna znalazł się środkiem, zasypał ich pytaniami. Oznajmił, że nadejdzie tu ktoś inny, kogo musi powstrzymać, chce bowiem zniszczyć Synaj, zmieniając teren klasztoru w stanowisko archeologiczne. On sam zjawił się, żeby zapobiec takiemu zbezczeszczeniu świętego miejsca i ochronić tradycję Św. Katarzyny. Jego głos zdradzał jednak, że kierują nim bardziej złowieszcze motywy. Dusze świętych mężów wzdrygnęły się. Od razu pojęli, że dopuścili się poważnego błędu. Nowo przybyły zwracał się teraz do nich gniewnie i natarczywie.



I nagle pokazała się broń. Jakiś starszy mnich ośmielił się na głos sprzeciwić i natychmiast runął powalony nikczemnym ciosem. Minęło ledwie kilka minut, a już jeden z ojców nie żył, a pozostałych ogarnęło przerażenie. Cały klasztor znalazł się oto w rękach napastnika. Pokojowo nastawieni, żyjący kontemplacją mnisi, nie mieli pojęcia, co chciał od nich taki zły człowiek i co mogło go zainteresować w tym świętym miejscu.

Mogą nadal się modlić — oświadczył. Mają tylko schodzić mu z

drogi, a wtedy nikomu nic się nie stanie. W przeciwnym razie skończą jak ten, którego pogrzeb już przygotowują.

2.

Samo południe w północnej części Półwyspu Synajskiego.

Prowadził Rocky. Obok niego siedziała Juliet.

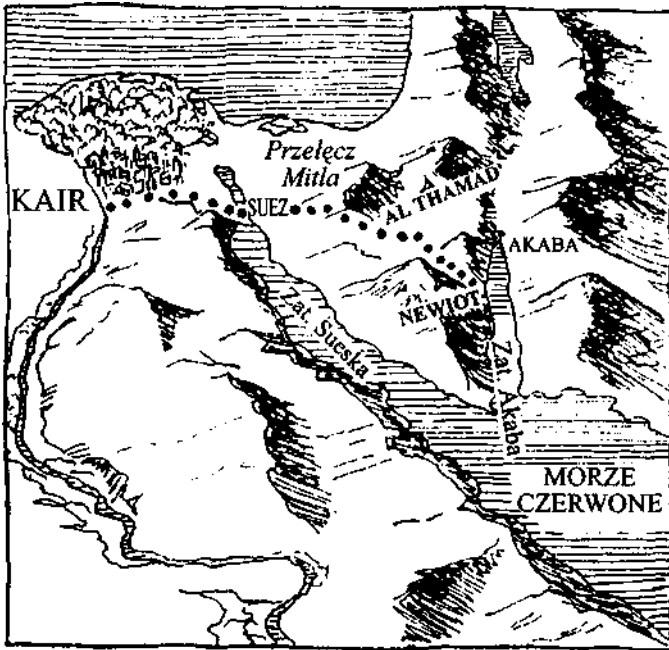
Adam wyciągnął nogi w poprzek tylnego siedzenia i otworzył Biblię. Zaczął czytywać się w pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju. Przez ostatnie pół roku ciągle ślęczał nad tymi słowami. Ale teraz posunął się dalej w swojej lekturze: czytał o tym, co działo się z pierwszymi pokoleniami ludzi, jakie były ich związki ze Stwórcą. Mijały godziny, a on zagłębiał się w dzieje Noego, Abrahama i Mojżesza — zafascynowany tym, że ci olbrzymi dawnej wiary chodzili z Bogiem w przyjaźni jako Jego dzieci. Teraz i on pragnął takiej pokornej przyjaźni ze Stwórcą.

Bóg osobowy! Adam Livingstone wierzył teraz w każde słowo biblijnej opowieści. Spostrzegł, że czyta tę opowieść z takim nastawieniem, jakby była to pełna konkretnych faktów relacja z współczesnych wydarzeń. Biblia przestała być dla niego zwykłą ciekawostką, a stała się dokumentem opisującym fakty... sprawdzalne fakty. To, że była taka stara, nie podważało w najmniejszym stopniu autentyczności, lecz tylko utrudniało jej potwierdzenie.

Temu wyzwaniu zamierzał poświęcić całe swe życie.

Jechali drogą wskazaną w dzienniku Harry'ego a znaną od dawna jako tradycyjny szlak handlowy łączący Egipt z Arabią przez pustkowiec Paran — od Suez, przez przełęcz Mitla w stronę Heitan i Al-Nachl.

Adam przerwał opowieść o Abrahamie i wrócił do uważniejszej lektury Księgi Wyjścia. Żałował, że nie zapoznał się z tym tekstem wcześniej, zanim wyruszył na tę pustynną wyprawę. Ale bieg wydarzeń zmusił go do pośpiechu.



Ponieważ starali się jechać jak najdokładniej tropem McCondya'ego, a tym samym Mojżesza, w El Thamad skręcili na południe. Szlak wiódł teraz bezludną skalistą górską okolicą. Po jakimś czasie dotarli do wąskiego wąwozu. Po obu stronach wznosiły się wysokie górskie szczyty. Mieli to samo niesamowite poczucie osaczenia, które kazało dzieciom Izraela powątpiewać w przywództwo Mojżesza i wytyczony przez niego kierunek marszu.

Dotrą tędy w końcu nad morze do Newiot, do rozległego brzegu zatoki Akaba.

„Pan przemówił do Mojżesza tymi słowami: «Rozkaż Izraelitom, niech zawrócą i niech rozbiją obóz pod Pi-Hachiot pomiędzy Migdol a morzem, naprzeciw Baal-Sefon...

Egipcjanie więc ścigali ich i dopędzili obozujących nad morzem — wszystkie konie i rydwany faraona, jeźdźcy i całe wojsko jego — pod Pi-Hachiot naprzeciw Baal-Sefon. A gdy się zbliżył faraon,

Izraelici podnieśli oczy, a ujrawszy, że Egipcjanie ciągną za nimi, ogromnie się przerazili...

Mojżesz odpowiedział ludowi: «Nie bójcie się! Pozostańcie na swoim miejscu, a zobaczycie zbawienie od Pana, jakie zgotuje nam dzisiaj. Egipcjan, których teraz widzicie, nie będziecie już nigdy oglądać. Pan będzie walczył za was, a wy będziecie spokojni.»

Czytając te słowa, Adam rozmyślał o zadziwiającej pielgrzymce, jaką odbywa właśnie z dwójką swoich przyjaciół. Cała trójka pogrążyła się stopniowo w pełnym szacunku i zadumy milczeniu. Jakież nieprawdopodobny zespół stanowili. Ledwie pół roku temu nie znali się, a w tej chwili ich życia splotły się na wielu głębokich wymiarach.

Ich wyprawa miała wymiar historyczny. Adam wyczuwał to tak mocno, że wynajął łódź, która podskakuje teraz za land roverem na wybojach, a która pozwoli im przepłynąć się przez Morze Czerwone w miejscu, gdzie jego zdaniem przeszli przez nie starożytni Izraelici. Jeśli rzeczywiście zachodzi związek między rajskim ogrodem i Synajem, chciał trzymać się najbliżej jak to tylko możliwe przebytego przez nich szlaku.

Podniósł na chwilę wzrok na siedzących przed nim Juliet i Rocky'ego. Rocky'emu doskwierał upał, ale nie psuło mu to dobrego nastroju. Ciemne włosy Juliet opadły jej na twarz, na której osiadły też smugi kurzu, i może to właśnie sprawiało, że była taka piękna w oczach Adama — piękniejsza niż mogłaby być kiedykolwiek Candace. Nie chciał mu się wierzyć, że Juliet niespełna dwa tygodnie jest jedną z nich.

Jak bardzo lubił tych dwoje nowych przyjaciół!

Jak wielką czuł wdzięczność, że uczestniczą w jego pracach. Związały ich wydarzenia i czasy znacznie ich przerastające. Na myśl, że znaleźli się być może na progu odkrycia, które zmieni sposób interpretowania Księgi Rodzaju, czuł spokój i wdzięczność, gdyż został wybrany do odegrania niezwyklej roli.

3.

Po powrocie do hotelu Nile Gardens Candace odebrała telefon i usłyszała rozkazujący baryton Haidera Zorina.

- Gdzie Livingstone? — zapytał.
- Nie wiem... Wyjechał.
- Wyjechał! Dokąd?
- Nie wiem. Powiedzieli, że chcą zobaczyć piramidy.
- Akurat! Dajesz się wodzić za nos!
- Tak powiedzieli. A potem nagle przepadli bez śladu.
- Nie było mowy o Synaju?
- Nie.

Potem rzucił jeszcze parę zdań tonem, w którym nabrzmiewała coraz wyraźniej groźba.

Chwilę później Candace, której twarz zarumieniła się z gniewu, odłożyła słuchawkę.

Zeszła do holu. Pusto. Nie wiedziała, gdzie jest ojciec. Adam i jego ludzie wyjechali. Co ja właściwie robię w tym miejscu? — pomyślała.

Może zjeść lunch?

Weszła do restauracji i usiadła. Zawieszane przy suficie wiatraki poruszały powietrze, ale były bezsilne w walce z muchami. Nienawidziła tych owadów, ich bzykanie otaczało ją ze wszystkich stron. I to ma być hotel najwyższej klasy! Dlaczego nie zarządzą jakoś na te muchy? Było gorąco. Pociła się. Wszyscy dokoła wydzielali niemiły zapach. Nie znają tu dezodorantów? Gdzieś w tle rozbrzmiewała melancholijna egipska muzyka. Jak to możliwe, żeby jeszcze wczoraj wszystko tu było takie wesołe i odświętne?

Usłyszała dochodzący zza pleców odgłos ciężkiego stąpania. Nie zwróciła na nie uwagi. Co ją to może obchodzić?

— Czy mogę się przysiąść?

Podniosła wzrok. Miała znowu przed sobą zwałiste kształty Gilberta Bowlesa. Pod pachami i na piersiach koszuli koloru khaki widać było plamy potu.

— Proszę... Nie lubię jeść sama — powiedziała, powitawszy go z odrobiną irytacji.

Bowles zaszurał krzesłem po drugiej stronie stolika i opadł na nie ciężko. Aż dziw, że się nie rozleciało.

— Jak pan to znosi?! — wykrzyknęła pytającym tonem.

— Co takiego?

— Takie miejsca, Afrykę... dziwne obce kraje... brud, upał, muchy i smród?

Krzesło zaskrzypiało ostrzegawczo, kiedy cielsko Bowlesa zatrzęsało się od chichotu.

— Znoszę to dzięki temu, że ubieram się zawsze tak samo.

Candace obrzuciła go spojrzeniem od góry do dołu i także wybuchła śmiechem.

— Co w tym takiego zabawnego?

— Sama nie wiem... Może to nie takie głupie. Pański strój wygląda jak wydobyty z ziemi... bardzo stosowne w przypadku archeologa. Może człowiek czuje się lepiej, kiedy nie musi myśleć o ubraniu...

Bowles przywołał kelnera i zamówił wino. Napełnił dwa kieliszki.

— Od jak dawna jest pani tutaj? — spytał.

— Miałam pomóc Zorinowi. Nie miałam wyjścia. Może mnie zabić, jeśli zechce, tak samo jak...

Ugryzła się w język. Bowles zauważył to i obrzucił ją mrocznym i pytającym spojrzeniem, ale po chwili uznał, że lepiej porzucić ten temat. Jeśli natrafił przypadkiem na informację o kluczowym znaczeniu, korzyści może mieć z tego później, zostanie wynagrodzony, nikt jednak nie może się dowiedzieć, że on, Bowles, dysponuje taką wiadomością.

— Zorin! Phi! — zarechotał pogardliwie. — Z przyjemnością wyrzeknę się widoku tego faceta. Mam bilet na wieczorny lot prosto na Heathrow.

— Dałabym wszystko, żeby się stąd wydostać!

— Czy chce pani, żebym rozejrzał się, co się da zrobić?

— Będę panu ogromnie wdzięczna, panie Bowles.

Przystąpili do spożywania lunchu, jeśli nie z przyjemnością, to przynajmniej z większą energią, niż spodziewało się każde z nich, idąc samotnie do restauracji.

Tego wieczoru sir Gilbert Bowles i lady Candace Montreux, dwa niewiele znaczące pionki w dramacie, który rozgrywał się w tej chwili gdzie indziej, wsiedli do samolotu odlatującego do Londynu.

4.

Trzej pielgrzymi jechali dalej. Słońce paliło pustynię.

Jakie odkrycie czeka ich na tej drodze? — znowu zaczął się zastanawiać Adam Livingstone. Czy po prostu podążają tropem Mojżesza — według wskazówek, które podał Harry McCondy, próbując obalić teorię mówiącą, że szlak Mojżesza biegł bardziej na zachód? Czy też naprawdę znajdują namacalne dowody na to, co sugerował komputerowy model, według którego cały ten region jest sercem i centrum opisanych w Księdze Rodzaju początków — zakrytych później przez pustynię, ale żyjących nadal życiem utajonym i czekających... na chwilę odkrycia?

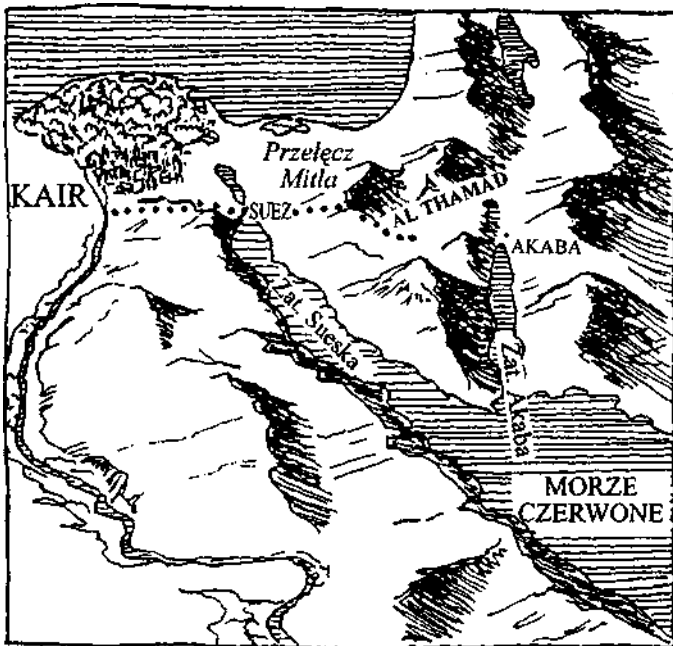
Dotarli do Newiot i morza.

„Pan rzekł do Mojżesza: «Czemu głośno wołasz do Mnie? Powiedz Izraelitom, niech ruszają w drogę. Ty zaś podnieś swą łaskę i wyciągnij rękę nad morze i rozdziel je na dwoje, a wejdą Izraelici w środek na suchą ziemię»...

Mojżesz wyciągnął rękę nad morze, a Pan cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc, i uczynił morze suchą ziemią. Wody się rozstały, a Izraelici szli przez środek morza po suchej ziemi, mając mur z wód po prawej i po lewej stronie...

W tym to dniu wybawił Pan Izraela z rąk Egipcjan... Wtedy Mojżesz i Izraelici razem z nim śpiewali... ku czci Pana.”

Jak to możliwe, że tak wielu historyków i biblistów — wierzących, że Synaj to Dżebel Musa, góra leżąca siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów na południowy-zachód od tego miejsca — jak to możliwe, że oni wszyscy się pomylili? — rozmyślał Adam.



Przez stulecia budowano tam sanktuaria, kościoły, kaplice. A teraz klasztor Św. Katarzyny wznosi się w dolinie, nad którą dominuje szczyt o wysokości ponad dwóch i pół tysiąca metrów.

Zdaniem pradziadka Harry'ego Św. Katarzynę wzniesiono jednak w niewłaściwym miejscu. Te zadziwiające słowa w jego dzienniku, słowa, które Adam dopiero teraz zrozumiał...

„Będą patrzeć, ale nie ujrzą. Zbudowali swoje sanktuarium na niewłaściwej górze. Szukaj góry ognia — dwańc zapłonął tam ogień Pana. To góra ognia.”

Góra ognia... Co jutro zobaczą, kiedy pokonają cienkie pasemko morza i obrócą wzroku ku Dżebel al Lawz, staremu arabskiemu wulkanowi?

Pytanie, czy znajdują jakiś ślad pierwotnego ogrodu rajskiego, prawie przestało mieć w tym momencie znaczenie. Był Adamem i znalazł się w samym środku osobistego ogrodu.

I czy w gruncie rzeczy Księga Rodzaju nie jest opowieścią o osobistym, indywidualnym stwarzaniu każdej istoty ludzkiej od chwili poczęcia w łonie matki do tej, kiedy Bóg tchnie w nią swego Ducha? Czy każdy mężczyzna, każda kobieta nie musi podejmować własnej decyzji, czy zjeść owoc niezależności... czy być posłusznym wobec Stwórcy i dzięki temu uczestniczyć w życiu rajskim?

Przed takim wyborem staje każdy człowiek. Takie jest przecież znaczenie Edenu.

Drzewo życia rozkwitło w Adamowym sercu. Wszystko, co jeszcze znajdzie, ma drugorzędne znaczenie w porównaniu z tym jednym jedynym zadziwiającym i wiecznym faktem.

Adamowi Livingstone'owi nadal jednak groziło wielkie niebezpieczeństwo. Wydobyl na powierzchnię, podobnie jak przedtem Harry McCondy, prawdę niebieskiego królestwa, a siły ciemności robiły, co mogły, żeby ta prawda pozostała nieznaną. Jechał z dwójgim przyjaciół w samo oko wielkiego cyklonu. Odwieczny wicher dął w królestwie. Oni zaś, nie zważając na zawieruchę, mieli wypełnić testament Harry'ego McCondy'ego.

5.

W Baku odebrano pilny telefon z Kairu.

— Prezydent Woroszyłow?

— Tak, a jakże — odpowiedział prezydent Azerbejdżanu przez bezpieczny telefon, którego numer znali tylko trzej najwyżsi doradcy wojskowi. Miał być wykorzystywany tylko w przypadkach kryzysowych i alarmowych. — Kto mówi?

Poznał natychmiast, że to nie żadna z trzech uprawnionych osób.

— Anni D'Abernon. — Chwila milczenia. — Czy znane jest panu moje nazwisko?

— Tak... tak. Wiem, kim pani jest. Skąd ma pani ten numer? Jest wyłącznie...

586

— Mam dostęp do wszystkich tego rodzaju numerów, panie prezydencie. Myślałam, że to jasne.

— To prawda, ale...

— Muszę mówić z Haiderem Zorinem — przerwała mu. — Sprawa jest niezwykle pilna. Nie mogę go znaleźć. Mam nadzieję, że pan mi pomoże.

— Nie widziałem go od kilku dni.

— W tej sytuacji proszę o przysłanie generała Pierwuchina wraz z jednym z waszych najszybszych helikopterów. Pełne uzbrojenie. Broń ma być zamaskowana jako libijska bądź iracka.

Znowu chwila milczenia.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, kogo reprezentuję, panie prezydencie?

— No... tak.

— Ufam więc, że moje polecenie zostanie niezwłocznie wykonane.

— Wszystko zostanie dostarczone zgodnie z pani życzeniem.

— Proszę, żeby generał stawił się tu natychmiast. Dzieli nas tysiąc kilometrów, spodziewam się go za cztery godziny. O ósmej wieczorem będę czekała na kairskim lotnisku.

Pani D'Abernon odłożyła słuchawkę i raz jeszcze zatopiła się w lekturze dziennika sprzed lat, z którym ostatnio nie rozstawała się ani na chwilę. Doszło do tego, że nienawidziła go, ale nie mogła pozbyć się myśli, iż jest w nim ukryty klucz, dzięki któremu dowie się dokładnie co za miejsce musi zniszczyć.

Miała niesamowite uczucie, że odgrywa rolę w końcówce rozgrywającego się od stu lat dramatu, dawne łowy na Harry'ego McCondy'ego okazały się bowiem bezowocne. Stary archeolog przebywał także tutaj, w hotelu Nile Gardens, zanim wyprawił się na północ, do Arabii. Tam właśnie zabili go pośród pustkowia. Całe życie poświęcił studiowaniu Biblii, a nie wiedział nawet, głupiec, gdzie jest Synaj!

A teraz ona, Anni D'Abernon, ściga innego archeologa, który ponoć także wyruszył ku górze Synaj. W tym podobieństwie kryje się jakaś tajemnica.

Jej Przewodnicy okazywali od kilku dni wielką aktywność, raz po raz przestrzegając ją: „Złe miejsce musi być zniszczone... Moc Mistrza nie może doznać uszczerbku... Zasłona musi pozostać nienaruszona... Twoim obowiązkiem jest odnaleźć to miejsce i zniszczyć je”.

Nie wiedziała jednak, o jakie miejsce chodzi.

A teraz zgubiła trop Livingstone'a. Była tylko pewna, że wyruszył ku Synajowi. Nie wysadzi przecież w powietrze całej góry!

Znowu zaczęła przerzucać gorączkowo stronicie dziennika. Ale nie rozumiała tego ni w ząb. Stronic strzegło zbyt wiele modlitw zbyt wielu świętych, aby jej spojrzenie umiało przeniknąć do takiej głębi.

6.

Był wczesny wieczór. Słońce jeszcze nie zaszło. Popołudniowe ciepło nadal otulało ziemię, choć coraz bardziej wydłużały się cienie wysokich urwisk za ich plecami.

Trójka nowożytnych pielgrzymów dotarła tu jakąś godzinę temu i rozbiła na noc obóz w pewnej odległości od wód zatoki Akaba, północnego palca wskazującego Morza Czerwonego. Adam czuł, że właśnie o tym miejscu 14 rozdział Księgi Wyjścia mówi jako o Pi-Hachirof, o tej wielkiej łasze piasku ciągnącej się trzy, cztery kilometry w obie strony od wioski Newiot, że właśnie tutaj Izraelici obozowali przed cudownym przejściem przez morze.

Trudno dziwić się, że stracili ducha: za plecami mieli urwisko i wąski wąwóz, którym tu przyszli, a przed sobą kilometry otwartego morza.

Co znajdą jutro, kiedy przeprawią się na drugi brzeg, do Arabii, i pokonają ostatni odcinek drogi do podnóża góry zwanej Horeb, na której mieszka Bóg, góry, na której Stwórca rozmawiał z Mojżeszem, góry, na której mieszkał być może... od samego początku?

Usiedli przy małym ognisku z kubkami pełnymi kawy w rękach. Spłynęła na nich pełna spokoju świadomość historii i starożytności, przeznaczenia.

Była to noc brzemienne zapowiedzią przyszłych zdarzeń. Zapadła ciemność i węgielki, które pozostały po małym ognisku, jaśniały czerwonym blaskiem. Innego rodzaju blask rozświetlał serca tej dziwnej trójki pielgrzymów: wybitnego brytyjskiego archeologa, starzejącego się amerykańskiego detektywa i młodej kobiety, która nie skończyła studiów i nie miała nawet dachu nad głową.

Trwające od jakiegoś czasu milczenie przerwała właśnie Juliet.

— Tak mocno wyczuwam obecność Boga. Sama nie mogę uwierzyć, że jeszcze niedawno prawie wcale o Nim nie pamiętałam.

— Rozumiem, co masz na myśli — powiedział Adam.

— Ciągle jestem przejęta tym, że w ogóle znalazłam się w takim miejscu — ciągnęła Juliet. — Nie wiem, w czym mogę pomóc. Nie opuszcza mnie uczucie, że w tym momencie tak wielu innych powinno stać u twojego boku... a jednak to właśnie my dwoje, Rocky i ja, uczestniczymy w tym wszystkim razem z tobą.

— Czuję dokładnie to samo — powiedział Rocky. — Tyle lat ten dziennik leżał na strychu mojego domu, a ja nie miałem dość duchowej wiedzy, żeby zrozumieć jego treść. Bóg bardzo niedawno zechciał wzbogacić tę stronę mojego życia.

— W jaki sposób? — spytał Adam.

— Przez przyjaciół, Marka i Laurene.

— Opowiadałeś nam o waszych rozmowach. Czy możesz powiedzieć coś więcej?

Patrzyli w ogień, a Rocky relacjonował dokładniej niż przedtem swoje rozmowy z Markiem i Laurene Staffordami.

7.

Natychmiast po wylądowaniu pomalowanego na brązowo i zielono wojskowego helikoptera Anni D'Abernon i Ciano Bonar weszły na pokład maszyny. Generał Pierwuchin nie miał czasu nawet na to,

żeby rozprostować nogi.

— Proszę startować, generale! — rozkazała pani D'Abernon.

— Dokąd lecimy?

— Na południowy-wschód, w stronę południowej części Półwyspu Synajskiego. Powiem więcej, kiedy znajdziemy się w powietrzu.

Śmigła zaczęły już wyć, obracając się coraz prędzej. Płozy oderwały się od płyty lotniska i nowoczesna maszyna bojowa uniosła się w obłoku egipskiego pyłu, a potem przechyliła się i poleciała w kierunku wskazanym przez panią D'Abernon.

— Czy mamy rakiety, generale?

Pierwuchin skinął głową.

— Cel ataku? — spytał.

— Dowie się pan w odpowiednim momencie. Nie znam na razie dokładnej lokalizacji celu. Tego właśnie musimy dowiedzieć się na Synaju.

Szwajcarka usadowiła się wygodniej w fotelu, żeby odprężyć się na tyle, na ile pozwalał jej porywczy temperament.

— Wiadomość przyszła dopiero od jednego z naszych ludzi w Baku — odezwała się Ciano Bonar. — Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej, zanim wylecimy, nic więc nie mówiłam. Niestety, żadnych dalszych informacji.

Włoszka podała pani D'Abernon złożoną na pół kartkę. Szwajcarka rozłożyła ją i przeczytała zwięzły meldunek.

„Ciało Mitcha Cuttera wyłowiono dziś rano z Morza Kaspijskiego na północ od portu w Baku. Pojedynczy strzał w głowę. Szczegóły nieznane. Wkrótce dalsze informacje.”

Pani D'Abernon uśmiechnęła się ironicznie i potrząsnęła głową. Powinna była wiedzieć, że Cutter nie dorósł do tego zadania. Jej błąd. Na szczęście to zwykły pionek.

Gorsze były inne sprawy związane z wiadomością. Zorin nadal żyje.

8.

— Rok 1999 może być bardzo ważny — mówił Rocky Adamowi i Juliet. Wszyscy troje siedzieli nadal wokół małego ogniska. — Właściwie w roku 2000 albo, jak chcą niektórzy, w 2001 zaczyna się nowe milenium. Z drugiej strony w ubiegłych wiekach mieliśmy tyle błędnych wyliczeń i tyle zmian kalendarza, że tylko Bóg wie, kiedy naprawdę przyjdzie ów znamienity rok.

— Do czego to wszystko prowadzi? — westchnął Adam.

— O to samo zapytałem Marka. Nie rozumiem spraw związanych z biegiem czasu. Spytałem więc, dlaczego wydarzenia mają nastąpić właśnie teraz? Odpowiedział, że nadeszła wyznaczona chwila, chwila kolejnego przełomu w dziejach wszechświata, następna epoka, nowa era. Zwolennicy *New Age* mówią o brzasku nowych czasów, ale mają na myśli coś zupełnie innego.

Myślisz więc naprawdę, zapytałem, że dzieje się coś więcej niż to tylko, że archeolog, który nazywa się Adam Livingstone, dokonał paru odkryć niewygodnych dla pewnych ludzi? Co do tego nie może być najmniejszych wątpliwości, brzmiała odpowiedź. W królestwie duchowym są różne chwile i różne pory. Dzieją się różne rzeczy. A są rzeczy, które muszą się stać, aby stały się inne. Niektóre wydarzenia rozgrywają się powoli. Inne są jak grom z jasnego nieba. I zawsze wszystko odbywa się w ustalonym porządku. W rękach Boga jest rozkład jazdy wskazujący następstwo kolejnych epok, On też ma klucz do każdej z nich.

— Co masz na myśli mówiąc o kluczach? — spytała Juliet.

— Znaki od Boga. Mark tłumaczył mi, że są to wydarzenia, których ludzie wyglądają, na przykład znaki końca czasów: odbudowanie świątyni w Jerozolimie, wojny, pogłoski o wojnach, trzęsienia ziemi, jednym słowem chodzi o wszystkie znaki, o jakich wspomina Biblia.

— I on uważa, że takie właśnie znaki objawiają się nam dzisiaj?

— Uważa, że znaleźliśmy się na historycznym rozdrożu. Upłynęło mniej więcej dwa tysiące lat od przyjścia Jezusa, podobnie jak Jego narodziny nastąpiły dwa tysiące lat po przymierzu Boga z Abrahamem. Mark mówi wprawdzie, że zwiastuny zbliżania się następnej ery nie będą tak czytelne jak wyobraża sobie ten i ów. Laurene powiedziała mi, że znaki zapowiadające i przygotowujące drogę są zwykle niewłaściwie rozumiane przez wiernych żyjących w czasach przełomu. Twierdzi, że jest to w szczególności sposób prawdą w odniesieniu do naszych czasów i nadchodzącej nowej ery.

— Co miała na myśli? — spytała znowu Juliet.

— To, o czym mówiłem przedtem. Przypomnij sobie następstwo epok. Ta, która się zbliża, to czasy oszukaństwa.

9.

Było już zupełnie ciemno, kiedy rozległ się ogłuszający warkot i zabłyśły ostre światła. Niszczycielska machina wylądowała pięćdziesiąt metrów od wejścia do spokojnego miejsca świętej kontemplacji i modlitwy.

Wszyscy w środku to usłyszeli. Niedawne wydarzenia znacznie wzmogły trwogę wśród mnichów od Św. Katarzyny, a te dźwięki nie zapowiadały niczego dobrego.

Dwaj mnisi, którzy nie wrócili jeszcze do swoich cel, popędzili przez dziedziniec w stronę bramy i zniknęli w mroku.

Przed bramą usiadł dziwaczny, okropny pajak wojny. Jego skrzydła obracały się coraz wolniej, nadal wzbijając jednak na wszystkie strony tumany piasku.

W stronę mnichów szła już jakaś kobieta.

— Spędzę tu noc z moimi przyjaciółmi — oznajmiła.

Nie ulegało wątpliwości: nie prosiła zgoła o pozwolenie.

— Nie mamy...

— Przykro mi, ale będzie tak jak powiedziałam.

— Ale kobietom nie wolno...

— Chcesz mnichu, żebym rozkazała wystrzelić raketę, która obróci cały twój klasztor w perzynę? — warknęła. — Mamy do wykonania zadanie o żywotnym znaczeniu dla całego świata. Zostaniemy, póki go nie wykonamy. A teraz pokaż, które pokoje możemy zająć, i ostrzeż innych, że w razie czego bez wahania otworzymy do nich ogień.

Dwaj pokorni mnisi, bladzi jak chusta, obrócili się, dali znak, żeby iść za nimi i poprowadzili intruzów na otoczony murami dziedzińcem.

Kiedy pani D'Abernon znalazła się przed starą budowlą, ujrzała, że zbliża się znajoma postać.

— Powinłam być się ciebie spodziewać — rzuciła szyderczo.

Skinął głową i uśmiechnął się z jakimś dziwnym rozbawieniem. Dobrze wiedział, kto wysłał tego głupca Cuttera z misją, która zakończyła się dla posłańca tak fatalnie.

— Nie wiem, skąd dowiedział się pan o klasztorze — powiedziała pani D'Abernon. — Zakładam, że ma pan tu do wykonania to samo zadanie co ja.

— Równie dobrze ja mógłbym zapytać, skąd pani o nim wie — odparował Zorin. — Muszę przyznać, że ta sytuacja nie pasuje do pani. Nie myślałem, że jest pani zwolenniczką ataku frontального.

— Musiałam dotrzeć tu jak najszybciej. Czasy subtelnych gier należą niestety do przeszłości.

— Widzę, że wzięła pani do tej brudnej roboty mojego generała — zadrwił nieprzyjemnym głosem Zorin, nie próbując już nawet ukryć pogardy dla swojej rywalki z Rady Dwunastu. — Próbuje mnie pani w to wmieszać. — dodał, wskazując głową helikopter.

— Najpierw chciałam do pana dotrzeć — odparła pani D'Abernon. — A potem zrobiłam to, co było konieczne.

— A ta nagła i hałaśliwa wizyta świadczy, jak się zdaje, że lada moment spodziewa się tu pani Livingstone'a?

— Jeszcze go nie ma... Nic pan nie wie o jego posunięciach?

— Nic.

— Wygląda więc na to, Zorin, że nie mamy wyjścia, musimy połączyć nasze siły. Oboje chcemy w ten sam sposób doprowadzić tę sprawę do końca. Bez wątplenia sukces będzie bliższy, jeżeli zaczniemy pracować ramię w ramię.

Wypowiadając te słowa, już rozważała w sercu, jak pozbyć się Zorina, kiedy będzie po wszystkim.

10.

— Pastor Mark powiedział mi, że jego zdaniem taki właśnie znak został jemu i Laurene objawiony, kiedy pograżyli się modlitwie — ciągnął Rocky. — I wtedy znowu wspomniał o tobie, Adamie.

— Co powiedział? — zapytał Adam.

— Powiedział: „Mam uczucie, że ręka Boga spoczęła na twoim przyjacielu, Adamie Livingstone'ie, i to z większą mocą, niż on sam sobie uświadamia”.

Adam przyjął to słowa powściągliwie, z pełnym zadumy wyrazem twarzy.

— Przyszła mi na myśl zwrotka z wiersza twojego pradziadka — rzekł. — Gdzie dziennik?

Rocky podał mu notatnik. Adam odnalazł odpowiednie miejsce i przeczytał na głos:

„W tym dniu zwodniczym zaćma spojrzenie zakryje Czekającym na czasy odmienne i nowe; Przed Przyjściem jeszcze jedna epoka przemienie — Nim spełnią się pokorne prorocтва Janowe.”

— Skoro jednak zbliżają się dni zwodnicze, dlaczego w tym samym czasie miałyby nastąpić największe objawienie prawdy? — zapytała Juliet.

— Być może trzeba jej jednak oczekiwać — odpowiedział Rocky. — Tak to rozumiem. Kiedy już zbliżał się brzask ery zbawienia, oczy Izraelitów były ślepe i nie widziały swojego Mesjasza. Oszukaństwo i objawienie zawsze sobie towarzyszą. Tak mówi Laurene. Kiedy Bóg wyznacza kogoś, by zwiastował prawdę, szatan wzmaga wysiłki, żeby tę prawdę zdyskredytować i zniszczyć. Objawienie i oszukaństwa idą zwykle ręką w rękę.

— Wierzysz więc, że zbliża się nowa era? — spytał Adam.

— Tak. Jeśli Mark i Laurene mają rację, tak, nadchodzi nowa era, a jej istotą będzie duchowe zwodzenie. Nieprzyjaciel będzie się starał, żeby zdyskredytować słowa wypowiedane w imię Boże, a zwłaszcza wypowiedane przez braci w wierze.

Zamilkł. Ognisko przygasło.

— Nie mogę zapomnieć ostatnich słów, jakie padły z ust Marka przed moim wyjazdem z New Hampshire — podjął po chwili Rocky. — Powiedział: „Staram się, żeby słowa Pana zawsze wybijały się na czoło we wszystkim, o czym myślę. Bądź czujny, miej się na baczności. Oszukaństwo może wkraść się tam, gdzie najmniej się go spodziewasz”.

Adam i Juliet skinęli z przygnębieniem głowami. Po chwili jednak na twarzy Juliet pojawił się uśmiech.

— O czym pomyślałaś? — spytał Adam.

— Zabrzmiało to dla mnie jak słowa podróźującego Asiana.

— A co?

— Że zaraz wybuchnie wiosna.

— Kto to jest Asian?

— Opowiem ci o tym w Londynie.

— Sedno sprawy w tym, że oni zrobią, co w ich mocy, żeby przeszkodzić nadejściu wiosny — dodał z uśmiechem Rocky. Była to jedna z pierwszych książek, jakie dał mu do czytania Mark po śmierci żony, więc Rocky od razu zrozumiał porównanie. — A my znaleźliśmy się w samym środku bitwy. Mark słusznie uważa, że musimy mieć się na baczności.

Bez względu na to, jaką strategię obierze nieprzyjaciel, istnieje większa głębsza magia, jak mówił Asian, magia sprzed świtu czasów, magia, o której nieprzyjaciel nic nie wie. W sprawie tych głębokich prawd jest zupełnie bezsilny.

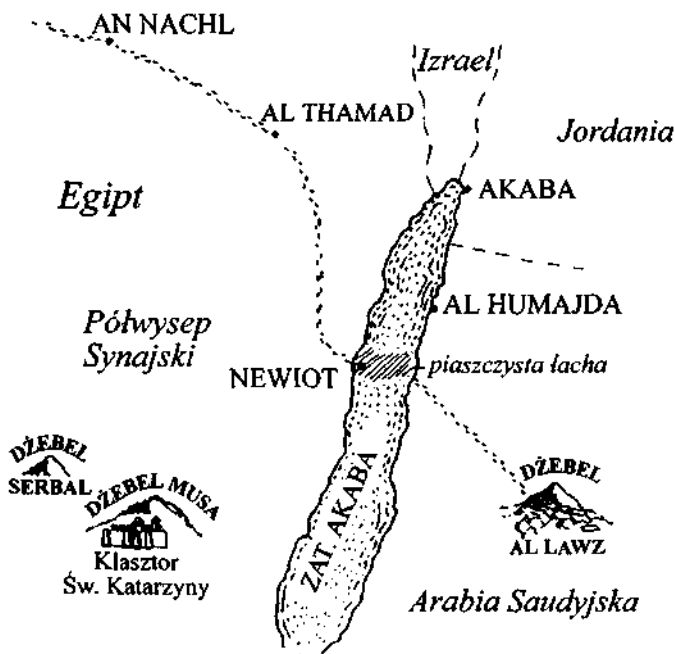
— Bóg będzie zwycięzcą — rzekł Adam, pełen ufności, którą dała mu niedawno zyskana wiara. — Wierzę, że spełni się to wszystko, co On zamierzył.

11.

Adam i Juliet mieli wypłynąć nazajutrz z Newiot, kierując się ku północy, w stronę Al Humajda, miejscowości w Arabii Saudyjskiej. Rocky zaś pojedzie dookoła, przez północny skraj zatoki, zahaczy o Izrael, potem wjedzie do Arabii Saudyjskiej przez Akabę, zapewne dokładnie tam, dokąd zawędrował jego pradziadek, a wreszcie skręci na południe, żeby spotkać się z Adamem i Juliet.

Stamtąd rozpoczną ostatni etap wyprawy, podążając tropem Izraelitów ku obozowiskom Refidim i ku zboczom Horeb, góry gorejącego krzewu, góry Obecności, góry ognia i dymu.

„Całe zgromadzenie Izraelitów wyruszyło na rozkaz Pana z pustyni Sin, aby przebyć dalsze etapy. Potem rozbili obóz w Refidim, gdzie lud nie miał wody do picia. I kłócił się lud z Mojżeszem...



Mojżesz wołał wtedy do Pana i mówił: «Co mam uczynić z tym ludem?»...

Pan odpowiedział Mojżeszowi: «Wyjdź przed lud i weź kilku ze starszych Izraela ze sobą. Weź w rękę laskę, którą uderzyłeś Nil, i idź. Oto ja stanę przed tobą, na Horebie. Uderzysz w skałę, a wypłynie z niej woda, i lud zaspokoi swe pragnienie». Mojżesz uczynił tak na oczach starszyzny izraelskiej. I nazwano te miejsca Massa i Meriba...

Było to w trzecim miesiącu od wyjścia Izraelitów z Egiptu; w tym dniu przybyli oni na pustynię Synaj. Wyruszyli z Refidim, a po przybyciu na pustynię Synaj rozbili obóz na pustyni. Izrael obozował tam naprzeciw góry.

Mojżesz wstąpił wtedy do Boga, a Pan zawołał na niego z góry...

Mojżesz wyprowadził lud z obozu naprzeciw Boga i ustawił u stóp góry. Góra zaś Synaj była cała spowita dymem, gdyż Pan zstąpił na nią w ogniu i uniósł się dym z niej jakby z pieca, i cała góra bardzo się trzęsła. Głos trąby się przeciągał i stawał się coraz donioślejszy. Mojżesz mówił, a Bóg odpowiadał mu wśród grzmotów.

Pan zstąpił na górę Synaj, na jej szczyt. I wezwał Mojżesza na szczyt góry, a Mojżesz wstąpił.”

Adam odłożył Biblię, z której przy zamierającym świetle migoczącego ognia czytał starożytną relację, przewrócił się na drugi bok i wkrótce zasnął.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ZBOCZA HOREBU

1.

Blady półksiężyc rozświetlał wczesne godziny nocne.

Adam i jego dwaj terminatorzy w archeologii zbliżyli się do zagrodzonego obszaru u stóp mierzącego ponad dwa i pół tysiąca metrów wierzchołka znanego jako Dżebel al Lawz. Był to najwyższy szczyt w okolicy. Wokół niego rozciągał się nierówny i niegościnnie teren, którego wulkaniczna przeszłość wykluczała, mogłoby się zdawać, wszelką możliwość życia. A jednak po drugiej stronie ogrodzenia leżał u stóp góry obszar bujnie porośnięty nową roślinnością. Gdzieś w pobliżu obozowali dawno temu Izraelici. Było dokładnie tak jak Adam przeczytał w dwóch relacjach biblijnych i jak tłumaczył ich nieżyjący już przyjaciel, profesor Petri Cissna.

Adam podszedł do ogrodzenia, żeby sprawdzić jego solidność. Był to standardowy składany płot zwieńczony drutem kolczastym, ale nie podłączonym do prądu.

Przyłożył twarz do szpary i spojrzął. Nawet w tym marnym świetle wypatrzył wysokie proste drzewo wyrastające w środku cudownie bujnego życia roślinnego.

Dreszcz grozy przebiegł go zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy zobaczył po raz pierwszy fotografię. Naprawdę miał przed oczami soczystą zieleń oazy — może nawet nowiutkiego lasu, który się właśnie tworzy!

Dokoła nikogo. Spróbują pobrać próbki i oddalą się czym prędzej.

Miał pozwolenie na przebywanie w Arabii Saudyjskiej w celach naukowych. Ale miejscowe władze bywają kapryśne. Cały obszar został ogrodzony. Adam nie chciał rozbudzać podejrzeń. Mogło się zdarzyć, że okazałyby dokumenty wystawione przez ambasadę saudyjską w Kairze, a mimo to wszyscy troje znaleźliby się w więzieniu. Takie rzeczy mają miejsce w tej części świata.

Nie zamierzał forsować ogrodzenia, które zabezpieczało prostokątny teren tylko z trzech stron. Czwartej strony bronił stok góry. Muszą po prostu wspiąć się na tyle, żeby zejść po drugiej stronie ogrodzenia i znaleźć się w środku oazy. Jeśli dopisze im szczęście i nikt ich nie zobaczy, będą mogli dokonać eksperymentów, pobrać najwięcej jak się da próbek roślin oraz próbkę z pnia drzewa.

Najpierw jednak okrążyć górę. Noc spędzą w kraterze wygasłego wulkanu. Land rover zaparkowali między dwoma ogromnymi głazami jakieś półtora kilometra stąd, można więc mieć nadzieję, że nikt go nie zauważy.

2.

A w klasztorze Św. Katarzyny nadal czekano w pogotowiu. Mięła doba. Wszędzie spokój. Nikogo w zasięgu wzroku.

Mnisi chodzili na palcach ze strachu o swoje życie. Zorin i pani D'Abernon węszyli wszędzie, unikając się wzajemnie, a jeśli musieli z jakiegoś powodu się kontaktować, rozmawiali najkrócej jak tylko było to możliwe. Ciano Bonar trzymała się na uboczu. Generał Pierwuchin co dwie, trzy godziny zabierał jedno z trójki i wylatywał helikopterem na patrol.

Jeśli Livingstone rzeczywiście zdąży w tę stronę, trzeba powiedzieć, że niezbyt się mu spieszy.

W tym czasie lord Montreux i Rupert Vaughan-Maier lecieli już z powrotem do Europy.

Vaughan-Maier był zatroskany. Pani D'Abernon i Zorin jakby zapomnieli o jednej z głównych zasad, które przekazał im Mistrz: nie można przyspieszać realizacji Planu ani wprowadzać go na siłę, ani wymuszać jego przyjęcia. Nie wiedział, gdzie jest w tej chwili Szwajcarka. Miała wracać z nimi do Europy, ale nagle przepadła bez śladu. Nigdzie ani widu, ani słyhu także córki lorda Montreux.

Coś tu jest nie tak jak być powinno i Vaughan-Maier bał się, że nic dobrego z całej tej sytuacji nie wyniknie.

3.

Wątle szare światło kończącej się nocy rozjaśniało zachodni skraj Arabii Saudyjskiej.

Trójka zmęczonych wędrowców budziła się powoli. Nawet w szczerze wypchanych puchem śpiworach czuli twardość podłoża. Rocky stęknął raz i drugi.

Dzisiaj czeka ich najważniejszy moment na długiej drodze poszukiwań. Mimo zmęczenia wkrótce wszyscy troje byli gotowi do działania, do odkrywania starych tajemnic góry Horeb.

Kiedy wstał dzień, ujrzeli, że naprawdę spali w obrębie krateru starego wulkanu, który otaczały rozmaitej wysokości szczyty wznoszące się pośrodku rozległego płaskowyżu. Szybko rozejrzeli się dokoła i uznali, że to miejsce może być naprawdę Synajem z biblijnego opisu. Najwyższy szczyt nadal wyglądał jak osmalony ogniem. Na samym wierzchołku, między dwoma potężnymi głazami, rosło samotne drzewko o wysokości metra, może półtora.

Adam patrzył na nie i rozmyślał o wielu różnych sprawach, a przede wszystkim o krzewie gorejącym z Mojżeszowej opowieści. Dlaczego to właśnie miejsce wybrał Bóg, żeby odnowić przymierze? Czy exodus i ogród rajski są ze sobą nierozdzielnie i symbolicznie zespolone? Dlaczego Bóg przemówił tutaj, a nie gdzie indziej? Pewnie dlatego, że w tym miejscu przemówił po raz pierwszy do człowieka!

W jego głowie tłoczyły się pytania. Szybko jednak je przepędził. Jest człowiekiem nauki. Najpierw musi zebrać próbki, a dopiero potem oddawać się spekulacjom.

Powiódł raz jeszcze wzrokiem po urwiskach i zboczach i zauważył sporo jaskiń. Kiedy czytał wczoraj Biblię, natknął się na ustęp mówiący o człowieku, który nazywał się Eliasz i schronił się w pieczarze na górze Horeb.

Być może naprawdę znaleźli się w historycznym miejscu.

Rocky rozpałał już ognisko, używając materiałów, które przynieśli tu ze sobą. Juliet zajęła się przygotowaniem skromnego śniadania ze skąpych zapasów, które ze sobą zabrali.

Kiedy Rocky i Juliet krzatali się przy swoich zajęciach, Adam wyjął z plecaka notatnik. Tym razem bez pomocy komputera zaczął machinalnie szkicować to, co musiał wyobrazić sobie Harry McCondy podczas wędrówki. Adam rozmyślał o początkach swojej przygody, o odkryciu na Araracie, i z wolna rysunek zaczął przybierać kształt mapy.

Naszkirował góry w Turcji.

Potem komputerowe chwile olśnienia... zamach bombowy... Rocky... wyprawa do Afryki, moment, kiedy pojawiła się Juliet. Jak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie!

Przypomniał sobie dzień, kiedy stał przy Wodospadzie Murchisona i modlił się po raz pierwszy w życiu.

Naszkirował już okolice Jeziora Wiktorii i górny bieg Nilu.

Spojrzał na swoją odręczną mapkę i uśmiechnął się. Ciągle nie mógł w to wszystko uwierzyć. Dżebel al Lawz leżało na linii prostej między jego dwoma ostatnimi miejscami pracy.

Poszukiwania przyprowadziły ich dokładnie do tego miejsca.

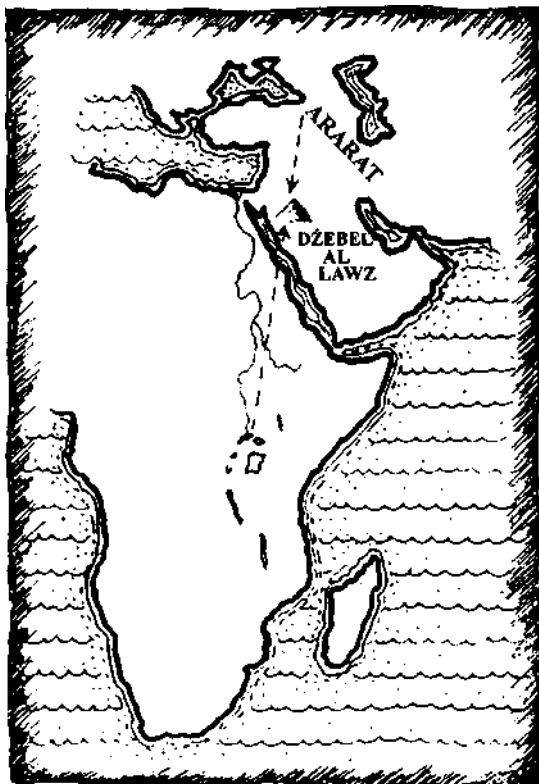
Do środka wszystkich rzeczy!

4.

Był ciągle wczesny ranek, ale słońce wychynęło spoza krawędzi najniższych grzbietów.

Adam i dwójka jego pomocników przedzierali się w dół, ku ogrodzonemu obszarowi nowej zieleni. Widać już było, że nikt nie pilnuje tego miejsca, ale oni nadal posuwali się ostrożnie.

Dotarli do wysuniętego spłachetka bujnej roślinności. Była dokładnie taka, jak opisano ją w „National Geographic” i „Biblical Archeology Review” — niewytłumaczalna w tym miejscu, zdumiewająca, piękna, pełna świeżości. Kiedy w nią weszli, poczuli, że znaleźli się w tropikalnym raju.



Oczarowany Adam jako pierwszy szedł w milczeniu wśród traw i krzewów, a nie były to marne odmiany pustynne, ale okazały pełne wilgoci, bujne i nasyczone głęboką zielenią.

— Nie mogę uwierzyć w to, co mam przed oczami! — powiedział Adam.

— A ja nie uwierzyłbym, gdybym nie widział tego parą moich własnych oczu! — dodał Rocky.

— Nie mogę przestać myśleć, co być może widzimy — rzucił Adam.

Juliet szła za nimi niezdolna ująć w słowa swego zachwytu.

Z bujnego poszycia na całym sporym obszarze wystrzelały w górę drzewka, które miały metr, półtora wysokości, ale zapowiadały się na wyjątkowo potężne okazy.

Podeszli do mocnego, mierzącego jakieś cztery metry drzewa tajemnicy.

Przystanęli i patrzyli z podziwem i jakąś grozą. Nie mogli odebrać od niego, wzroku. To, co mieli przed oczami, było po prostu... Życiem.

To drzewo z pewnością nie było baobabem. Nie przypominało drzew, jakie widywali dotychczas, a jednocześnie miało w sobie jakieś tajemnicze podobieństwo do wszystkich drzew na świecie — jakby wszystkie gatunki drzew na naszej ziemi wzięły się z tego jednego miejsca drzewnych początków.

Mijały minuty, a oni stali i patrzyli z czcią na drzewo.

— Sądzę, że musimy zrobić to, co do nas należy — westchnął wreszcie Adam. — Mam uczucie, że dopuszczamy się świętokradstwa. Ale jestem człowiekiem nauki i muszę dowiedzieć się o tym miejscu jak najwięcej.

Położył na ziemi torbę ze sprzętem, a potem przyklęknął i zdjął z grzbietu duży plecak.

— Pomóżcie mi. Musimy pobrać trochę próbek.

Przygotował świder i prawie z drzeniem podszedł do drzewa. Miało się wrażenie, że na poziomie ziemi sękaty, poskręcane, grube korzenie prawie rozrywają ziemię, wypychając trzydziestocentymetrowej grubości pień. Adam nigdy jeszcze nie widział takiego systemu

korzeniowego. Chociaż roślinność w tym miejscu zauważono dopiero trzy lata temu, zarówno korzenie, jak i pień robiły wrażenie niewiarygodnie starych.

Adam, jak nauczył go profesor Cissna, wykonał dwa wiercenia i schował próbki do specjalnych plastikowych tub. Zgodnie z logiką i wiedzą na temat określania wieku drzewa, powinien doliczyć się dwóch do pięciu pierścieni.

Chwilę przyglądał się próbkom i na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

— To... to niemożliwe! — szepnął jakby do siebie.

Pierścienie były tak liczne i gęste, że nie sposób było ich policzyć. W krótkiej próbce, którą miał przed oczyma, widział setki, może tysiące kresek oznaczających coroczne przyrosty!

— Nie do wiary — powtórzył, mrużąc oczy i przystępując do liczenia.

Rocky i Juliet stali, patrząc na niego w milczeniu.

Adam, nie wstając z klęczek, odchylił się do tyłu i wyciągnął w ich stronę próbkę, żeby sami to zobaczyli. Na własne oczy.

— To drzewo... przecież to drzewo nie może być takie stare! — wykrzyknął Rocky.

— Mam pomysł — powiedział Adam. — Wykonam wiercenie w korzeniu. Być może system korzeniowy wrósł w pień i mamy przed oczyma próbkę właśnie z korzenia.

Znowu zaczął wiercić na poziomie gruntu, tym razem ukośnie w dół, zagłębiając świder w sękaty korzeń. Wkrótce cały świder zniknął. Adam wyciągnął go i zaczął oglądać. Koniec świdra nie dotarł na drugą stronę korzenia.

Wyjął próbkę drewna, dokręcił do świdra przedłużenie i znowu zaczął wiercić. Z tym samym rezultatem. Na jego twarzy malowało się zdumienie.

— Coś takiego! Nadal nie przewierciłem się do ziemi. To niemożliwe, żeby korzeń był aż tak gruby!

Dokręcił wszystkie przedłużenia, jakie zabrał ze sobą, i po raz trzeci przystąpił do ostrożnego przewiercania korzenia. Trwało to jakies pół godziny. Adam spływał potem i bolały go mięśnie ramion.

Nadal jednak nie dotarł do ziemi. Powoli wyciągnął ponad metrowej długości świder.

— System korzeniowy jest zbyt potężny, żebyśmy mogli zbadać go naszym sprzętem — powiedział. — Mogę tylko powiedzieć, że korzeń sięga wiele metrów w głąb ziemi pod naszymi stopami. Może setki metrów.

Zamilkł i znowu potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Nie wiem, co powiedzieć — dodał cichym głosem. — Być może mamy do czynienia z okazem, przy którym baobab i *pinus aristata* to małe kiełki. Muszę pobrać jeszcze jedną, dwie próbki pod różnymi kątami.

— Nie boisz się, że uszkodzisz drzewo? — spytała Juliet.

— Mam uczucie, że nic, co robi człowiek, nie może zaszkodzić temu drzewu. A przez ten czas, kiedy ja będę pobierał próbki, wy moglibyście przejść się i zbierać trochę liści i gałązek z jak największej liczby roślin. Być może nigdy już tu nie wrócimy. Chcę mieć mnóstwo materiału, kiedy weźmiemy się do pracy w laboratorium.

5.

Drugiego dnia niewoli we własnym klasztorze mnisi od Św. Katarzyny wstali wiele godzin przed nieproszonymi gośćmi na poranne modlitwy i mszę. Późnym rankiem wszyscy już jednak byli na nogach, przy czym zarówno Zorin, jak i pani D'Abernon zaczęły zdradzać objawy zniecierpliwienia.

Jakieś niejasne przeczucie mówiło Szwajcarce, że coś jest nie tak. Może Livingstone wcale się tu nie wybiera? A może — cóż za straszna myśl przemknęła jej w tym momencie przez głowę! — a może stary McCondy nie zmarł wskutek udaru słonecznego, może nigdy nie miał zamiaru udawać się na górę Synaj?

Natychmiast odnalazła Zorina.

— Możemy mieć kłopoty — oznajmiła mu.

— Już mamy! — odparł z rozdrażnieniem. — Livingstone'a ni widu, ni słychu.

— Może czekamy na niego w niewłaściwym miejscu. Myślałam, że pańskie informacje zostały potwierdzone.

— Bo zostały. Pani też ma zapewne jakieś dowody.

— A jeśli chodzi o inne miejsce?

— Niby o jakie? O inny Synaj?

— To tylko przypuszczenia.

Na twarzy Zorina pojawił się wyraz zadumy. Nagle obrócił się na pięcie i poszedł szukać opata.

— Kto jest waszym historykiem? — zapytał.

— Wszelkimi starożytnościami i badaniami naukowymi zajmuje się brat Skeggs — odparł nieśmiało opat.

— Czy zna się na historii biblijnej?

— Jak nikt.

— Gdzie go znajdę?

— W bibliotece, ale błagam...

Zorina już jednak nie było. Pani D'Abernon pospieszyła za nim.

Wpadł do biblioteki wściekły, że tyle czasu zostało zmarnowane. Po chwili miał przed sobą historyka, którego przyciągnął do siebie chwytając za górę zakonnej sukni. Ale brat Skeggs, choć się na chwilę przestraszył, wcale nie był tchórzem. Mimo łysiny i marnej postury był prawdziwym mężczyzną, ponieważ wiedział, że jest mężem Bożym, kimś, kto w pokorze rósł w męską siłę przez lata modlitwy. Wiedział co nieco o niewidzialnej wojnie, jaka od najdawniejszych czasów szaleje na ziemi. A teraz starał się jak mógł odzyskać odwagę i na spojrzenie człowieka niegodziwego odpowiedzieć z sercem pełnym mocy, nadeszła bowiem godzina próby.

— Potrzebna mi informacja! — wrzasnął Zorin. — Chcę wiedzieć, czy są jakieś możliwości, że góra Synaj znajduje się w innym miejscu.

— Uczeni tradycyjnie uważali to miejsce... — zaczął Skeggs.

— Tyle wiem, głupcze! Jakie inne położenia brano pod uwagę?

— Są trzy... warianty szlaku wyjścia — odparł braciszek, z trudem dobierając słowa. — Niektórzy mówili, że górą Horeb było... Dżebel Halal na północy Półwyspu.

— Możesz sobie oszczędzić wykładu historycznego!

— Nie, to nie może być tam — wtrąciła się pani D'Abernon. McCondy nie udał się w tamtą stronę — tyle wiedziała.

— Niektórzy snuli domysły związane z... Arabią Saudyjską — powiedział mnich. Ale to niemożliwe...

Oczy pani D'Abernon rozszerzyły się.

— Arabia Saudyjska! — powtórzyła. — Gdzie dokładnie?

— Po drugiej stronie zatoki Akaba, ale to nie może...

— Właśnie tam tropiono McCondy'ego! — wykrzyknęła. — Nie wiem, jak to się stało, ale poszli śladami tamtego.

— Gdzie jest to miejsce? — spytał Zorin.

— Na wschód... jakieś sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt kilometrów. — W ostatnich latach co i raz pojawiali się jacyś archeolodzy... Rozglądali się, zadawali pytania...

Zorin już pędził do wyjścia. Pani D'Abernon robiła, co mogła, żeby za nim nadążyć.

— Zaraz! — rozległ się głos za ich plecami.

Braciszek Skeggs odzyskał już głos, męstwo i synostwo Boże i głosem pełnym odwagi przemawiał teraz w imię Ojca.

Zorin i pani D'Abernon zatrzymali się, obrócili w stronę mnicha, który mówił głosem tak rozkazującym, że odruchowo go posłuchali. Maleńki mnich patrzył im prosto w oczy.

— W imię Boga Ojca i Jezusa, Jego Syna, oświadczam, że włos z głowy nie spadnie przez was temu, kogo szukacie.

Zorin stał chwilę bez ruchu, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś tak nikły śmiał się mu przeciwstawić. Ciało pani D'Abernon przebiegł zimny dreszcz i Szwajcarka poczuła, że opuszcza ją cała moc duchowa.

Trwało to moment. Potem czar prysł, Zorin odzyskał władzę w członkach i ruszył w stronę braciszka ze wzrokiem płonącym nienawiścią. Brat Skeggs nie spuścił wzroku, modlił się tylko bezgłośnie, by Bóg dał mu odwagę w obliczu nieprzyjaciela.

Zorin sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął automatyczną trzydziestoosmkę. Uniósł ją powoli i wycelował prosto w czoło

bibliotekarza. Lufa znalazła się kilkanaście centymetrów od głowy mnicha, a palec Zorina głaskał spust. Kilka sekund dwaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie, tocząc bezlitosną, choć niemą walkę.

I nagle Zorin raz jeszcze obrócił się gwałtownie na pięcie i wyszedł pospiesznie z biblioteki, chowając po drodze pistolet do kieszeni. Pani D'Abernon podążała za nim, ale jak ktoś pozbawiony ni z tego, ni z owego całej swej energii.

— Nic dziwnego, że nie mogliśmy go dopaść... przeniknąć wzrokiem mgły — powiedziała, jakby rozmyślając na głos.

— O czym pani mówi? — rzucił gniewnie Zorin, ani na chwilę nie zatrzymując się na korytarzu, którym szli.

— Był chroniony — odparła. — Mamy związane ręce... Mieliśmy je przez cały czas związane.

— Co za bzdura! Odnajdę go i zabiję!

— Nic z tego. Ogrodzenie zostało wzniesione. Ludzie Nieprzyjaciela wezwali na ratunek siły, wobec których nawet my jesteśmy bezsilni.

— Nikt nie stawia nam czoła!

— Zorin, jest pan szaleńcem. Nie ma pan pojęcia, jakie moce działają... po obu stronach.

6.

Pośrodku bujnej oazy troje pielgrzymów czuło spokój głęboki, jakby byli — mogło się zdawać — pogrążeni we śnie. Mieli wrażenie, że w tym ogrodzie pośród pustyni mogliby przebywać bez końca, ale po jakimś czasie spakowali sprzęt i ruszyli z powrotem w stronę zbrocza nieco odmiennym szlakiem od tego, którym przyszli.

— Musimy wspiąć się na wierzchołek — powiedział Adam. — Muszę tam dotrzeć. Muszę zobaczyć drzewo rosnące na samym szczycie. Bez ustanku zadaję sobie pytanie, czy jest ono podobne do tych u stóp góry.

— I pobrać próbki mięszu — dodała Juliet.

— To jasne.

— Hej, tylko spójrzcie — zakrzyknął Rocky, wskazując w bok. Ruszył we wskazaną przez siebie stronę. — To ścieżka na górę.

— Widzę, chociaż nie jest zbyt wyraźna — odparł Adam. — Idziemy.

— Wygląda na to, że prowadzi na szczyt — zauważyła Juliet.

Szli gęsiego. Rocky prowadził okrążającą szczyt percią.

Przez jakieś pół godziny prawie się do siebie nie odzywali. Słońce zaczęło już rozgrzewać ziemię. Wszyscy troje byli zmęczeni i zlani potem. Rocky zaczął zostawać z tyłu. Pokonali mniej więcej połowę nierównej drogi od oazy do szczytu, pnąc się po przeciwnym stoku — to w górę, to w dół, mijając ogromne głazy.

— Skąd tyle tu wielkich korzeni w poprzek ścieżki? — spytała Juliet, znowu się potykając. — Parę razy omal się nie przewróciłam.

7.

Kilka ledwie minut po opuszczeniu biblioteki Zorin wychodził na zewnątrz. Po piętach deptał mu generał Pierwuchin.

Pani D'Abernon odnalazła Ciano Bonar. Kiedy dotarły do bramy, generał siedział już przy sterach helikoptera, a Zorin przypinał się pasami do fotela obok.

— Lecicie? — krzyknął Zorin w stronę dwóch kobiet.

— Nie dopuszczę do tego, żeby poleciał pan sam — odparła pani D'Abernon. — Ale mogę pana zapewnić, że go nie odnajdziemy.

Wsiadły do helikoptera. Ogromne śmigła natychmiast zaczęły wirować coraz szybciej, aż przestały być widoczne. Kilka minut później wzniesli się w powietrze. Wzbijali się coraz wyżej, żeby przelecieć nad otaczającymi ich wierzchołkami rzekomego Synaju.

Kiedy nabrali odpowiedniej wysokości, przemknęli z warkotem nad kamienistą pustynią w stronę wybrzeża, a potem z prędkością dobrze ponad dwieście kilometrów na godzinę nad zatoką Akaba.

Wystarczyło paru minut, by po lewej stronie wynurzyły się przed nimi zbocza Dżebel al Lawz.

— To najwyższy szczyt w promieniu wielu kilometrów — powiedział Zorin, wskazując poczerniały wulkaniczny stożek w odległości mniej więcej pięciu kilometrów.

— Prosto w tamtą stronę, generale! Są tam! Jestem pewny!

8.

Rocky przystanął, żeby obejrzeć korzeń, o który potknęła się Juliet, a potem podniósł wzrok i spojrzał na nią i Adama.

— Przyszła mi właśnie do głowy niewiarygodna myśl — oznajmił. — Jeśli mamy rację i dziadek Harry zmierzał w te strony... i jeśli przypadkiem dotarł do tej góry... to z pewnością zrobił jedno: zaczął się piąć w stronę szczytu.

— Czy myślisz to, co ja myślę, że myślisz? — spytał Adam.

— Zależy, co myślisz, że ja myślę — Rocky wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Adam i Juliet spojrzeli na siebie.

— Że być może szedł tą ścieżką — odpowiedzieli chórem.

— W końcu jesteście na szlaku Harry'ego McCondy'ego? — wykrzyknął Rocky.

— Ruszamy! — zawołała z nowym zapalem Juliet.

Poszła pierwsza skalistym zboczem. Dwaj mężczyźni ruszyli pośpiesznie za nią. Tym razem zatrzymał się Adam.

— Zaraz, zaraz! — wykrzyknął. — Jeśli to, co powiedziałeś, Rocky, jest prawdą i jeśli twój pradziadek szedł tą samą ścieżką... być może został zabity właśnie tutaj, na zboczach góry Synaj...

Pozostali przez chwilę milczeli. Wszyscy troje wyczuwali, że naprawdę idą krok w krok za starym archeologiem. A przecież nie mieli niczego na poparcie takiego twierdzenia.

— Nigdy nie odnaleziono jego ciała, prawda? — powiedział Adam.

— W każdym razie nie podano tego do publicznej wiadomości — odparł Rocky.

— Myślisz, że ktoś go ścigał?

— Jeśli tak, z pewnością próbował się wymknąć prześladowcom.

— Może przebiegał tędy — zasugerowała Juliet.

— Ostatnia pielgrzymka ku końcowemu przeznaczeniu.

— I przepadł bez śladu.

Wszyscy zamilkli i pogrążyli się w zadumie. Nagle całej trójce ta sama myśl zaświtała w głowie.

— Pieczary! — wykrzyknęli chórem. — Być może próbował ukryć się w jednej z tych pieczar!

I znowu ruszyli biegiem. Rocky tak samo pragnął rozwiązać zagadkę morderstwa sprzed stu lat, jak Adam zbadać drzewo rosnące na szczycie.

Zaraz potem w ich uszy wdarł się odległy, ale złowróżbny warkot.

Adam obejrzał się w tamtą stronę.

— Lornetka!

Rocky podał mu szybko lornetkę. Adam skierował ją w stronę, skąd dochodził warkot.

— Wojskowy helikopter! — krzyknął. — Szybko zbliża się ku nam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

NA KRAWĘDZI CZASU

1.

Po incydencie w klasztornej bibliotece w helikopterze panował nastrój przygnębienia. Anni D'Abernon podczas całego lotu nie odezwała się ani słowem. Zderzyła się z czymś niezwykle potężnym, z czym nie miała nigdy do czynienia, póki ten mnich nie zajrzał jej w oczy. Wciąż nie mogła się z tego otrząsnąć.

Słudzy ciemności byli bardzo potężni, ale musieli położyć uszy po sobie, kiedy przyszło im stanąć naprzeciwko Tego, który włada wszystkimi rzeczami w królestwie niebieskim i ziemskim. Podobnie jak ich Mistrz uzyskał niegdyś pozwolenie na nękanie przez jakiś czas Bożego sługi, Hioba, lecz nie miał prawa zabrać mu życia, tak oni nie mogli teraz zniweczyć planu, jaki miał Bóg wobec swojego sługi, Adama Livingstone'a.

Towarzyszyła Zorinowi w ostatnim etapie ich misji, wiedziała jednak w swym sercu, że nie znajdą tego, który stał się ręką wymierzającą sprawiedliwość, ani nie będą mogli mu zaszkodzić, jeżeli nawet go znajdą. A jej niegdyś tak przenikliwe nadzmysłowe spojrzenie nie potrafiło już przeniknąć przyszłości.

I pojęła w końcu, dlaczego w Wymiarze zapanował taki bezruch.

2.

Dyszac ciężko, Rocky, Adam i Juliet siedzieli w zupełnych ciemnościach z nadzieją w sercu, że nie zauważono, gdzie się skryli.

Dostrzegli pieczarę w momencie, kiedy ogromny helikopter wyłonił się z poza krawędzi zbocza. Warkot rozbrzmiewał w ich uszach i śmigłowiec, przelatując tuż obok, zasłonił na chwilę swym cieniem wejście do pieczary.

— Sądzę, że nas nie zobaczył — powiedział Rocky.

— W przeciwnym razie zaczęliby tu krążyć.

— Co to za jedni? — spytała Juliet.

— Myślicie, że Saudyjczycy? — odpowiedział pytaniem Rocky.

— Mam przeczucie, że to ci sami, którzy cały czas próbują dostać się nam do skóry — odparł Adam. — Jeżeli mają, jak sam mówię, kopię dziennika, wiedzą jak i my, dokąd wyruszył stary McCondy.

— Prawdopodobnie pojawili się tutaj, kiedy tylko się zorientowali, że zwialiśmy z Kairu — dodał Rocky.

Nastłuchiwali warkotu helikoptera, który latał nad szczytem to w jedną, to w drugą stronę, a potem kilka razy go okrążył.

— Pewnie utknęliśmy tu na jakiś czas — zauważył Adam. — Ci ludzie pokazali już, że nie poddają się łatwo.

— Mam nadzieję, że dzięki siatce maskującej nie wypatrzą samochodu — rzucił Rocky.

— Łapią mnie skurcze — oznajmiła Juliet. — Jeżeli mamy spędzić tu cały dzień, muszę się wyprostować.

Zaczęła pełznąć w głąb jaskini.

— Chwileczkę, młoda damo! — wykrzyknął Adam. — Nigdzie nie pójdziesz, póki się nie zorientujemy, co to za miejsce. Nie chcę, żebyś wdepnęła w gniazdo węży.

Wyjął z torby latarkę. Skierował snop światła w ciemność za ich plecami.

— Widzieliście? — wykrzyknęła Juliet, której na chwilę zaparło dech w piersi.

— Nie. Co takiego?

— Daj latarkę.

Oświetliła zakątek między kamieniami.

— Nie ma tu żadnych węży — oświadczyła. Skuliła się i podpełza głębiej. — Chyba zobaczyłam coś znacznie bardziej interesującego.

Żaden z dwóch mężczyzn nie powiedział ani słowa. Juliet zasłoniła sobą głębsze partie pieczary. Chwilę później podpełzała do nich, ciągnąc coś za sobą.

Usiadła z tryumfalnym wyrazem twarzy. Rzuciła snop światła na przedmiot, który przywlokła, stary, zakurzony, zniszczony plecak.

— Doskonale się spisałaś, Juliet! — wykrzyknął Adam.

Ostrożnie pomacał plecak, a potem obrócił go w świetle latarki.

Po wewnętrznej stronie jednej z klap można było odczytać wyblakłe litery: „Harry McCondy, Peterborough, New Hampshire”.

— Nie do wiary! — Rocky zaczerpnął gwałtownie powietrza.

— Juliet, dokonałaś pierwszego w życiu odkrycia archeologicznego! — powiedział Adam.

— Nie wierzę własnym oczom! — Rocky zbliżył się i dotknął plecaka tak delikatnie, jakby najłżejsze dotknięcie mogło obrócić go w pył.

— No cóż, Rocky, chyba zgodnie z prawem spadkowym ta rzecz należy do ciebie — zauważył Adam. — Co z nią zrobisz?

— Otworzę, to chyba jasne! Ale jestem tylko niezdatnym starym detektywem — dodał, cofając się nieco. — Ty jesteś archeologiem, tobie przypada ten zaszczyt.

3.

Adam przystąpił do ostrożnego otwierania plecaka.

Wyjął menażkę i potrząsnął nią. Od stu lat pusta. Dalej były rozmaite stare instrumenty pomiarowe, portfel z paroma banknotami, kilka wizytówek, rozmaite karteczki, lornetka, stłuczone szkielko okularów, Biblia w zniszczonej okładce, pół zbutwiała koszula na

zmianę, dwie chusteczki do nosa i różne inne drobiazgi.

W końcu Adam wydobyl notes. Wreszcie mieli w rękach nagrodę, o którą tak długo walczyli.

Zapiski znajdowały się tylko na kilku pierwszych małych stronkach. Najdłuższego wpisu McCondy dokonał zapewne w noc przed śmiercią.

Juliet przysunęła się do Adama z jednej strony, Rocky z drugiej. Nie zważając na warkot helikoptera, który nadal szukał trójki pielgrzymów, siedzieli koło siebie bez ruchu, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Juliet oświetliła pośółkłe kartki i Adam zaczął czytać cichym, pełnym szacunku głosem.

„Dwa dni temu opuściłem Kair. Jest późno, ognisko prawie wygasło. Jutro znajdę się w starej krainie Arabii. Jeśli Bóg będzie przy mnie, wreszcie ujrzę to, za czym tęskniło moje serce, i postawię stopę na zboczu góry, na zboczu samego Synaju.

Chociaż pośród Jego dzieła stworzenia nie ma istoty, która uwierzyłaby w coś takiego, ponieważ nie ma żadnego materialnego dowodu na poparcie tej tezy, jestem przekonany, że właśnie tutaj Boża obecność objawiła się po raz pierwszy człowiekowi, człowiekowi o imieniu Adam.

Tutaj też — nie na samej górze, która wypiętrzyła się później, by zakryć ogród rajski do dnia, kiedy przyjdzie czas jego odkrycia, lecz pośrodku Edenu — tutaj posadził Wszechmocny drzewo życia. I zaprawdę było to drzewo symbolem życia, które Bóg tchnął w człowieka. To drzewo w sposób cudowny ukrył, wynosząc górę znaną dzisiaj pod nazwą Dżebel al Lawz i obracając ogród w pustynię. Ale wiem, że ogród wróci do życia. I będzie to znak, że trzeba przygotować się do Jego przyjścia!”

— Skąd wiedział? — spytała Juliet. — Napisał te słowa sto lat temu!

A Adam czytał dalej :

„W dawnych czasach znano to miejsce jako Horeb albo Synaj. I do tego świętego miejsca, które było centrum wszechrzeczy, centrum życia, centrum ogrodu, sprowadził Bóg świętych mężów, Eliasza i

Mojżesza, ludzi podług Jego serca. Choć położenie miejsca było długo zakryte przed ludźmi, którzy chcieli je znaleźć, innych poprowadził ku niemu, a wśród nich mnie. Albowiem Bóg ma nadal swoje plany co do ogrodu, świętej góry i świętego dającego życie drzewa, plany, które wypełni, nim nadejdzie kres czasów.

Podtrzymywał więc życie drzewa pod powierzchnią pustyni, zakryte i chronione przez górę, karmione podziemnymi wodami Edenu, pozostałościami po pierwotnych rzekach, o których mówi Księga Rodzaju. Te podziemne źródła i strumienie trysnęły ze skały, z tejże skały w Refidim, którą każdy może nadal zobaczyć między górą a zatoką, którą rozszczepił Mojżesz, a którą widzą ci tylko, co mają oczy, żeby widzieć.

Cudowność tych widoków i wiedza o ich istnieniu została ukryta, lecz podtrzymywana przy życiu. Kiedy nadejdzie pełnia czasów, Stwórca znów objawi człowiekowi swoją chwałę. Życie stwarzające trwało, chociaż ogród rozpadł się wskutek grzechu i pojawienia się wielkiej szczeliny, którą podzielił Bóg ziemię, ukrywając rzeki i ich źródła, odwracając bieg Nilu, zmieniając Pizson w morze i zastępując wszelkie świadectwo życia w ogrodzie.

A jednak z tego dynamicznego centrum początków wypływał ku północy Jordan, łączący ten obszar z Tygrysem i Eufratem, i było Morze Czerwone, i był Nil, zanim wędrówka kontynentów tak zaciemniła ich pochodzenie, że rozpoznanie prawdy stało się niemożliwe”.

Juliet była tak podekscytowana, że nie wytrzymała i przerwała Adamowi.

— To zupełnie jak twój model komputerowy!

Adam nic nie powiedział i zaczął czytać dalej:

„Od tego czasu potomkowie Adama błąkali się — na północ, do Mezopotamii, i na południe, do Afryki, skorupa Ziemi zaś przesuwała się i zmieniała.

Wierzę, że z fragmentu tego samego drzewa, któremu kazał zakwitnąć na górze, przemawiał w płomieniach do Mojżesza. Drzewo bowiem nadal żyło i dawało życie. Było to zaiste święte miejsce, gdyż Obecność nadal wypełniała je jak na początku.

«Ukazał mu się Anioł Pański w płomieniu ognia, ze środka krzewu. Mojżesz widział, jak krzew płonął ogniem, a nie spłonął od niego. Wtedy Mojżesz powiedział do siebie: »Podejdę, żeby się przyjrzeć temu niezwykłemu zjawisku. Dlaczego krzew się nie spala?« Gdy zaś Pan ujrzał, że Mojżesz podchodził, żeby się przyjrzeć, zawołał Bóg do niego ze środka krzewu: «Mojżeszu, Mojżeszu!» On zaś odpowiedział: »Oto jestem«. Rzekł mu Bóg: »Nie zbliżaj się tu! Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą«.

Powiedziano nam, że przemówił do Izraelitów z góry w ogniu i dymie. W ogniu objawił się Mojżeszowi w drzewie. Lecz ja myślę, że krzewem Mojżesza było drzewo życia. Dlatego ogień go nie spalał.

Wierzę, że świadectwo tej samej Obecności zostało objawione oczom człowieka. Wierzę, że drzewo jest nadal żywe i że życie nadal pulsuje niewidocznie pod świętą górą. Pewnego dnia zostanie to objawione. Sądzę, że człowiek odkryje ogród na nowo i będzie to znakiem Jego przyjścia.

Pismo potwierdza być może, że ogród nie został utracony, lecz tylko na jakiś czas ukryty.

«Zazdrościły mu wszystkie drzewa Edenu, które były w ogrodzie Pana... Dlatego podałem go w ręce mocarza wśród narodów... Aby już żadne drzewo, stojące nad wodami, nie wznosiło swego wierzchołka aż ku chmurom i aby nic, co bierze siłę swą z wody, nie ufało własnej wielkości... W dniu, w którym on zszedł do Szeolu, na znak żałoby zamknąłem nad nim Otchłań, zatrzymałem jej strumienie i zastawiłem wielkie wody; z jego powodu spowiłem Liban w strój żałobny i z jego powodu uschły wszystkie drzewa na polach... Pocięszwały się wszystkie drzewa Edenu, piękne i wspaniałe drzewa Libanu, wszystkie, które wodami zostały zroszone... Któremu z drzew Edenu dorównałeś chwałą i wielkością? A przecież zostanie zrzucony wspólnie z drzewami Edenu do Szeolu (Ez 31, 9-18).

I wszystkie drzewa polne poznają, że Ja jestem Pan, który poniża drzewo wysokie, który drzewo niskie wywyższa, który sprawia, że

drzewo zielone usycha, który zieloność daje drzewu suchemu. Ja, Pan, rzekłem i to uczynię (Ez 17, 24).

Niech tak się uradują drzewa leśne w obliczu Pana, bo nadchodzi, aby rządzić ziemią (1 Krn 16, 33).

Ty ujarzmiłeś morze swą potęgą... Ty otworzyłeś źródła i strumienie; Ty wysuszyłeś rzeki stale płynące (Ps 74, 13, 15).

Pomiędzy rynkiem Miasta a rzeką, po obu brzegach, drzewo życia rodzące dwanaście owoców — wydające swój owoc każdego miesiąca — a liście drzewa służą do leczenia narodów (Ap 22, 2).»

Takie objawienie przyjdzie przed nastaniem nowego milenium. Modlę się o to, by moje oczy mogły ujrzeć zapowiedź tego wielkiego objawienia. Jutro moje kroki skieruję tam właśnie i zobaczę te święte i cudowne rzeczy, o których piszę.

Ludzie służący złu zamierzają jednak zniszczyć to, co zechciał objawić Bóg.”

Adam zamilkł. Spojrzał na Juliet i Rocky'ego.

— Czy to możliwe? — odezwał się po chwili Rocky. — Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem!

— Nauczyłem się już, że sceptycyzm prowadzi donikąd — powiedział Adam. — Kiedy zaczynałem poszukiwanie, być może tak naprawdę nie wierzyłem w istnienie Edenu. A teraz siedzimy w pieczarze pośrodku Pustyni Arabskiej, niedaleko krateru wulkanu, i zadajemy sobie pytanie, czy dokoła na setki kilometrów nie rozposcierał się najbujniejszy ogród na świecie, miejsce narodzin człowieka.

4.

Haider Zorin badał przez potężną lornetkę stoki góry i każdy centymetr otaczającej ją pustyni.

Nie zauważył jednak żadnej formy życia. Wszędzie widział tylko pustynię. Nie miał oczu, którymi mógłby coś zobaczyć, i siedząca obok pani D'Abernon dobrze o tym wiedziała. Albowiem nie było w nich Życia.

„Stali na trawie, nad głowami mieli błękitne niebo, a twarze chłodził im lekki wiatr, jaki bywa wczesnym latem. Niedaleko rosła duża kępa drzew gęsto pokrytych liśćmi, a spod każdego liścia wyglądały złote, pomarańczowe, purpurowe lub jaskrawoczerwone owoce, jakich nikt nie widział w naszym świecie... Karły... siedziały w ciasnym kręgu nie patrząc wokoło i milcząc... Niczego nie widziały...

— Ależ tu wcale nie jest ciemno, biedne, głupie karły! — powiedziała Łucja. — Nie widzicie? Spójrzcie wokoło! Spójrzcie w górę! Nie widzicie nieba, drzew, kwiatów?...

— Sami widzicie — rzekł Asian. — Nie pozwalają sobie pomóc. Wybrali przebiegłość zamiast wiary. Choć więzienie istnieje tylko w ich wyobraźni, to naprawdę są w nim zamknięci. Tak bardzo boją się, żeby ich nie wciągnięto, że nie można ich z tego wyciągnąć. Ale chodźcie, dzieci. Mam co innego do zrobienia.

Zbliżył się do Drzwi, a za nim podeszli wszyscy. Podniósł głowę i zaryczał:

— Już czas! — a potem głośniej: — Czas! — a potem tak głośno, że chyba gwiazdy zadrżały na swoich drogach:

— CZAAAAS!

Drzwi otworzyły się gwałtownie.” *

* Clive Staples Lewis, *Opowieści z Narnii*, przeł. Andrzej Polkowski, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1991, t. 2, s. 647-657.

5.

Rocky wyjął swój egzemplarz napisanego przez pradziadka dziennika i przeczytał na głos wiersz kończący ostatni wpis.

„Znak objawiony; radość milenijnych świętych! Życie kielkuje pośrodku... Pełnia pojednania! Nastął dzień odpoczynku, zniknęły zamęty; Drzewo objawione! Zabliźniona rana!”

— Tutaj rozkwitnie znak — powiedział Adam.

— Cud długo skrywany — dodała Juliet.

Kiedy siedzieli tak w ciemnościach odwiecznej pieczary, niebiańska zasłona została rozsunęta. We wskazanym czasie pierwotna rana w Edenie dzięki krzyżowi naprawdę się zablźni i, jak napisał McCondy, przyjdzie czas pojednania.

Zapadło milczenie.

— Posłuchajcie! — wykrzyknęła po dłuższej chwili Juliet. — Zdaje się, że helikopter odleciał.

6.

— Musimy wspiąć się na samą górę i pobrać próbki z tamtego drzewa — powiedział Adam, wstając. — I z korzeni — dodał, jakby nagle sobie o tym przypomniał.

I znowu popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami, nagle bowiem wszyscy troje uświadomili sobie to samo.

— Korzenie! — wykrzyknęli chórem.

— Potykaliśmy się o nie co chwilę.

— Cała góra jest opleciona korzeniami... ogromnymi korzeniami.

— Ale roślinność jest tylko na dole. Jeśli nie liczyć małych krzewów o mocnych gałązkach.

— Otóż to! Chyba wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę! Stawiamy cząstkę jednego systemu korzeniowego!

— Obejmującego całą górę!

— O Boże!... A jeśli wszystko to wzięło się z jednego drzewa?

— Musimy dokonać wierceń w korzeniach z różnych miejsc zbocza, a także w drzewie na szczycie. Jeśli są ze sobą połączone.... Trudno mi nawet to sobie wyobrazić!

Trzy godziny później zmęczeni, ale uradowani pielgrzymi wędrowali w stronę land rovera. Helikopter znikł bez śladu.

Obracali się do tyłu, żeby spojrzeć na górę, i ciągle potrząsali z niedowierzaniem głowami.

— Musimy wrócić z tymi próbkami do Kairu — powiedział Adam. — Stamtąd czym prędzej do Londynu. Być może mamy w ręku ważniejsze archeologiczne, a także duchowe, odkrycie niż odnalezienie arki Noego, grobowca Tutenchamona i Lucy razem wziętych.

— Nie chciałbym tłumić waszego zapału, ale będziemy musieli jechać nocą — oznajmił Rocky, zaprawiając euforię szczyptą praktyczności. — Nadal gdzieś tu są. Trzeba też będzie zagrzebać gdzieś łódź.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

NIESPODZIEWANA ZMIANA PLANÓW

1.

Dwa dni później Adam Livingstone, Rocky McCondy i Juliet Halsay zameldowali się w hotelu Ramses Hilton, po drugiej stronie miasta w stosunku do Nile Gardens. Byli spragnieni kąpeli, ciepłego posiłku i miękkiego łóżka — w tej właśnie kolejności. Adam chciał wrócić jak najszybciej do Londynu i zapłacił tylko za jedną noc w hotelu.

Chociaż ich serca miały powody do radości, byli przygaszeni — fizycznie i emocjonalnie. Nie dręczył ich jednak lęk, że są śledzeni.

— No dobrze — powiedział Adam, podając im klucze do pokojów. — Każdy u siebie, nawet ja i Rocky mamy oddzielne pokoje. Weźmiemy gorącą kąpiel, zmienimy ubrania i spotkamy się na kolacji. — Spojrzał na zegarek. — Teraz jest trzecia czterdzieści pięć, może więc... o szóstej?

— Coś ci powiem — odparł Rocky, który zaczął uświadamiać sobie, jak wyglądają sprawy między Adamem i Juliet. — Jestem wykończony. Pójdę do siebie, wykąpię się, zdrzemnę, a kolację zamówię do pokoju. Może uda mi się znaleźć jakiś kryminał w telewizji.

— Wakacje przy robocie, he?

— Tak. Wam zostawiam przyjemności kolacyjne. Zobaczymy się rano.

Adam spojrział na Juliet i uśmiechnął się.

— Może więc umówimy się na siódmą trzydzieści. To bardziej romantyczna pora niż szósta.

2.

Juliet i Adam weszli do restauracji hotelowej. Dla Juliet było to miejsce bajeczne, nasycone atmosferą szczęścia. Na pewno najcudowniejsze i najbardziej romantyczne na całym świecie.

Nie byli ubrani jak para księżęca. To, co mieli na sobie, musiało wystarczyć na tę podniosłą okazję. Ale Adam mógł ubrać się od stóp do głów w strój koloru khaki, jak Gilbert Bowles, a i tak był w oczach Juliet królewiczem z bajki. Niby mała Alicja wpadła w swoją własną małą norę króliczą i znalazła się poza światem rzeczywistym, w zaczarowanej krainie.

Wentylator przy suficie pomrukiwał z cicha i jego odgłos doskonale dopasował się do muzyki płynącej z głośników.

Na prośbę Adama zaprowadzono ich do stolika nieopodal otwartej werandy. Czuli powiew ciepłego, wonnego wiatru. Juliet widziała rozległe wody Nilu migoczące w świetle księżyca, odbijające w sobie światła drugiego brzegu. Podobnie jak Tamiza wyglądał o wiele ładniej w nocy.

Adam odsunął krzesło, żeby Juliet mogła usiąść. Zawsze uważała, że w tym geście jest coś niezręcznego, bo nigdy nie wiadomo, kiedy można już usiąść i bała się, że przysuwający krzesło pchnie ją, aż wyrznie twarzą w środek stołu. Ale Adam zrobił to z taką swobodą i wdziękiem, że ani się spostrzegła i już siedziała wygodnie przy stoliku.

Rozejrzała się dokoła. To, że znalazła się tu sam na sam z Adamem, nadało wszystkiemu jakiś cudowny blask, który tylko zakonchani mogą zobaczyć.

A Juliet o tak, była zakochana. Praktyczna strona jej umysłu podsuwała wszystkie przeszkody, jakie staną na drodze jej miłości. Ale dziś wieczorem pozwoli, żeby niosło ją piękne marzenie.

Spojrzała na stolik. Pośrodku stała jedna jedyna świeca, której płomyk chwiał się od czasu do czasu, kiedy powiał mocniej wiatr, ale dzielnie trwał, nie poddawał się.

— O czym myślisz? — Adam obdarzył ją uśmiechem, który swego czasu roztopił niejedno niewieście serce. Po raz pierwszy jednak jego serce znalazło się w niebezpieczeństwie. — Wyglądasz, jakbyś była myślami gdzieś daleko.

— To wszystko... jest takie cudowne! — westchnęła Juliet. — Nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

— Mam cię uszczyplnąć?

— Ani się waż!

— O czymże więc myślisz?

— W mojej głowie... kłębi się mnóstwo różnych myśli... odkrycia... Afryka... wszystko, co widziałam... i jak płynęliśmy małą łódką na drugą stronę Akaby.

— Bałaś się? — spytał z uśmiechem Adam.

— Tylko z początku. Jak mogłam się bać, kiedy ty byłeś przy mnie?

— I o czym jeszcze?

— O Rockym, o dzienniku, o tym, co czytaliśmy we trójkę w pieczarze... Och, Adam, dlaczego tak mnie nękasz? — Roześmiała się. — Myślę o wszystkim, co się przydarzyło, co widziałam, o wszystkich miejscach, w których byłam w ciągu tak krótkiego czasu, o wszystkich ludziach, których poznałam.

— O nikim ponadto? — W pytającym uśmiechu Adama była teraz szczypta przekory.

— Pomyślmy... Chyba powinnam myśleć też o cioci Andrei i o mamie, i...

— Juliet!

Roześmiała się i Adam też wybuchnął śmiechem. Spostrzegli, że kiedy są razem, często mają ochotę na śmiech.

— Och, Adamie... Myślałam też o tobie. Oczywiście. Jesteś zawsze w moich myślach. Nie wiedziałeś?

Adam spojrział na nią ponad stolikiem. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Powoli wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Juliet — zaczął. — Wiem, że na to, co chcę ci powiedzieć, pora nigdy nie jest odpowiednia.

A Juliet poczuła nagle, że żar oblewa jej kark. Wiedziała, że się zarumieniła. Miała nadzieję, że w świetle świecy tego nie widać.

— Chyba od dawna — ciągnął Adam — uważałem twoją obecność za coś naturalnego. Nie mam na myśli niczego złego. Chodzi o to, że po prostu byłaś gdzieś w tle. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Juliet z pewnym wysiłkiem skinęła głową. Co Adam chce jej powiedzieć?

— A ja byłem zaprzątnięty moją pracą i wszystkim, co działo się wokół mnie... no i była oczywiście Candace — dodał.

„Och nie, fantastyczne — pomyślała Juliet. — Zbyt cudowne, zbyt rozkosznie, okropnie fantastyczne!”

— Wszystko zmieniło się tak bardzo, kiedy przyleciałaś do Afryki. Od razu sobie uświadomiłem, że nie chcę zrobić już ani kroku bez ciebie. Wiedziałem, że należysz do moich przyjaciół, jesteś jedną z zespołu. A potem ta noc, pamiętasz, poza obozem w Oldoway... noc po burzy mózgow, kiedy całe poszukiwanie Edenu nabrało innej perspektywy... ale nie przypuszczam...

Adam zamilkł i odetchnął głęboko.

— To trudniejsze, niż myślałem! — powiedział po chwili i roześmiał się cicho. Juliet chciała roześmiać się razem z nim, ale zaschło jej w gardle.

Nadal trzymał jej dłoń. Jej spoconą dłoń!

— Próbuję powiedzieć ci — ciągnął — że...

Nagle pojawił się kelner. Postawił na środku stołu ogromny parujący półmisek z górą ryżu zwieńczoną wysoką stertą jarzyn. Natychmiast oboje cofnęli ręce. Zawstydzona Juliet odwróciła głowę.

Kelner ustawiał na stoliku potrawy, przez cały czas wymieniając głośno jakieś uwagi z Adamem.

Kiedy w końcu zniknął, zaczęli rozmawiać o jedzeniu. Obsługiwali się sami. Adam powiedział sobie, że do spraw poważniejszych

i bardziej osobistych wróci później i rozmowa stopniowo zesłała na inne sprawy.

Skończyli kolację o dziewiątej piętnaście. Wstali. Adam poprowadził ją na werandę, a potem, po kilku schodkach, do ogrodu. Spacerowali jakiś czas, prawie się do siebie nie odzywając. Oboje byli pogrążeni w rozmyślaniach. Ale Adam nie potrafił przywrócić poprzedniego nastroju. Kiedy znowu znaleźli się na werandzie, natchmiast pojawił się kelner. Szukał ich od jakiegoś czasu.

— Panie Livingstone, rozmowa międzynarodowa.

— Gdzie mogę odebrać telefon?

Kelner poprowadził go do aparatu.

Trudno o większą niespodziankę niż głos, który rozległ się po drugiej stronie linii.

— Livingstone?... Tutaj Gilbert Bowles.

Adam podał telefon kelnerowi.

— Proszę przełączyć rozmowę do mojego pokoju.

Wrócił po Juliet i poprowadził ją do holu.

— Nie mam pojęcia, o co tu chodzi — powiedział — ale zajmie mi to trochę czasu. Zobaczymy się, niestety, dopiero jutro. Jedźmy na górę.

W windzie panowało niezręczne milczenie. Oboje tyle mieli sobie do powiedzenia. Wysiedli na swoim piętrze i rozstali się — Adam, żeby odbyć tajemniczą rozmowę, Juliet, żeby zakończyć bajkowy wieczór, pogrążając się w marzeniach.

3.

— Sir Gilbert, co za niespodzianka! — powiedział Adam, kiedy podniósł słuchawkę w swoim pokoju.

— Nie mniejsza dla mnie, zapewniam, Livingstone!

— Przepraszam za zwłokę. Co mogę dla pana zrobić, sir Gilbertcie?

— Chodzi raczej o to, co ja mogę zrobić dla pana.

— Słucham więc. Aha, jak mnie pan tu odnalazł?

— Mam wszędzie swoich szpiegów — roześmiał się Bowles, próbując zbyć pytanie żartem. — Co więcej, wiem, gdzie pan był.

Na pewnej górze w Arabii Saudyjskiej.

Ze strony trójki stojącej za plecami zwalistego archeologa, którego zmusili do tej rozmowy, był to blef, ale wyglądał dość prawdopodobnie. Odpowiedź Livingstone'a pokaże, czy ich domysły były trafne.

— Rzeczywiście, musi mieć pan swoich ludzi na całym świecie — odparł Adam, który zdał sobie sprawę, że trzeba zachować w tej rozmowie wielką ostrożność.

— Czy zna pan górę, o której mówię? Nazywają ją Dżebel al Lawz.

— Nie jest mi obca.

— Byłem tam dzisiaj. Nie wiedział pan, że podążam pańskim tropem, prawda, Livingstone?

— Nie... nie wiedziałem — przyznał Adam.

Jego głos stał się poważny. Fakt, że wytropiono go w hotelu, niczego dobrego nie wróżył. A już zupełnie nie podobały mu się konsekwencje, jakie może to za sobą pociągnąć.

— A jednak podążałem za panem. Znalazłem coś, co pan przegapił, a co może okazać się niezmiernie ważne. W to, co teraz powiem, nie zechce pan, być może, uwierzyć. A wolałbym, żeby to pan dokonał tego odkrycia i ogłosił je całemu światu.

— To do pana niepodobne, sir Gilbercie.

— Wiem, że stał się pan ostatnio człowiekiem religijnym. To, co znalazłem, jest całe przesiąknięte religią, starą religią, panie Livingstone. Jeśli okaże się, że chodzi naprawdę o to, co mam na myśli... być może nawet ja zmienię sposób myślenia.

— Tym razem to już zupełnie niepodobne to pana, sir Gilbercie!

— Cóż, czasem człowiek jest przyparty do muru. Tak czy owak, chcę to panu wręczyć.

— Co to takiego?

— W tej chwili nie mogę powiedzieć. Musi pan sam zobaczyć. Wyjawię tylko tyle: być może jest to dowód, że jakiś lud obozował u stóp góry i czcił bóstwo w postaci złotego cielca. Interesujące, prawda?

— Oczywiście.

— Musi więc zjawić się pan tutaj jutro rano, ponieważ przegapił pan jeszcze coś, co może mieć znaczenie w poszukiwaniach Edenu. Nic więcej pan ode mnie nie usłyszy. Jeśli poproszę, żeby stawił się pan na jedenastą, będzie pan miał dość czasu na wynajęcie samolotu do Al Humajada. Tu właśnie jestem. Potem weźmie pan jeepa i pojedzie w góry. Wypożyczy go pan od faceta w hotelu. To tylko osiemdziesiąt, może sto kilometrów. Będę tam między jedenastą a dwunastą. Spotkamy się pod ogrodzeniem, wie pan, u stóp góry, tam, gdzie wyrosło to wszystko.

— Znam to miejsce.

— A co pan właściwie o tym myśli?... Saudyjczycy prowadzą jakieś eksperymenty?

— Z pewnością czytał pan artykuły na ten temat.

— Ale nie wierzę. Moim zdaniem muszą za tym stać Saudyjczycy.

— Nie wiem, sir Gilberte.

— Po cóż by to ogradzali? Tak czy inaczej, czekam na pana, Livingstone.

Adam siedział w swoim pokoju i zastanawiał się nad tym nieprawdopodobnym obrotem spraw. A sir Gilbert Bowles odetchnął głęboko.

— Może pan schować ten pistolet — powiedział. — Zrobiłem dokładnie to, czego pan chciał.

4.

Następnego dnia o szóstej rano Adam zadzwonił do pokoiów Juliet i Rocky'ego. Poprosił oboje, żeby jak najszybciej przyszli do niego.

Kiedy się zjawili, zdał relację z rozmowy z sir Gilbertem.

— Nie ma rady, muszę jechać. Sprawa jest chyba ważna i nie cierpiąca zwłoki.

— Wcale mi się to nie podoba — oznajmił Rocky.

— Mnie też wydaje się to podejrzane, ale nie mam wyjścia. Musimy się dowiedzieć, co takiego znalazł. Juliet— dodał obracając

się do młodej kobiety — musisz zabrać nasze próbki do laboratorium. A ty, Rocky, powinieneś chyba zostać w Kairze. To na wypadek, gdybym popadł w jakieś tarapaty.

— Nie zostawię cię samego — zaprotestowała Juliet. — Chyba nie oczekujesz, że wyjadę sama.

— W Anglii będziesz bezpieczna. Im szybciej stąd wyjedziesz, tym będę spokojniejszy.

— Dlaczego nie mogę na ciebie poczekać?

— Chodzi o czas. Nie możemy ryzykować tego, że zniszczą dowody. Musimy wiedzieć z całą pewnością, co się szykuje... musimy wiedzieć, co odkryliśmy... I to najszybciej jak się da. Zresztą przylecę niecały dzień po tobie.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Natychmiast. Kilka minut temu wynająłem telefonicznie mały samolot. Zobaczę, co ma Bowles, a potem lecę natychmiast do Londynu. Za dwie godziny będę w Al Humajada. Jazda jeepem tam i z powrotem i powrót do Kairu, gdzie spotykam się z tobą, Rocky, i do domu. Za dwadzieścia cztery godziny będziemy się rozkoszować porządnym angielskim śniadaniem przygotowanym w Sevenoaks przez panią Graves.

— Zrobię to, co uznasz za stosowne — zapewniła go Juliet.

— Razem z Rockym spakujesz wszystko starannie, a szczególnie próbki.

Zamilkł na chwilę.

— Przyszło mi do głowy, że skoro mamy tak dużo próbek, warto spakować dwie partie... Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nie ufam systemowi lotniczych przesyłek. Lepiej, żeby nic nie zginęło. Juliet, weźmiesz połowę próbek, a drugą połowę ty, Rocky, wyślesz dwudniową pocztą kurierską. Upewnijcie się, że plecak i próbki miąższu drzew są odpowiednio zabezpieczone.

Rocky skinął głową.

— Rocky zawiezie cię na lotnisko i wsadzi do samolotu — ciągnął Adam, zwracając się do Juliet. — Rocky, zawiadomisz Scotta, że ma przyjechać po Juliet na lotnisko. Potem wrócisz i będziesz czekał tutaj. Spotkamy się po południu. Wieczorem odlot do Londynu.

Podszedł do Juliet i wziął ją w ramiona.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział łagodnym głosem.
— Scott zabierze cię do domu. Wczesnym popołudniem będziesz na miejscu. Razem z ciotką zdążycie wszystko zrobić. Kto wie, może nawet przystąpisz do analiz próbek. My przylecimy późnym wieczorem. Gdyby nie, będę dzwonił. Przyrzekam.

Juliet poczuła, że omdlewa w jego ramionach. Nie chciała się z nich wyrwać... ale to tylko na dwadzieścia cztery godziny. W najgorszym razie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ZNIKNIĘCIE!

1.

Adam nigdy jeszcze nie wypowiedział tylu słodkich słówek, co ostatnio.

Jego finanse były w opłakanym stanie. Nadal nie mógł podjąć gotówki ani zrealizować czeku. Gdyby nie był człowiekiem znanym w najdalszych zakątkach świata i gdyby nie zaszył na wszelki wypadek paru setek funtów pod podszewką teczki, byłby teraz w bardzo trudnej sytuacji

Kiedy znajdzie się wreszcie w domu, czeka go mnóstwo niecierpiących zwłoki spraw. Jeśli się znajdzie! Na razie musi zbadać, co się święci.

Spojrzał przez okno dwumiejscowej cessny na mało urozmaicony krajobraz Półwyspu Synajskiego. Tak niedawno przelatowali tędy, spiesząc ku największemu odkryciu w całym życiu Adama Livingstone'a. Teraz leciał tam z poczucia obowiązku — żeby spotkać się, o ironio, z sir Gilbertem Bowlesem!

Zwrócił się myślami ku swoim przyjaciołom. Modlił się, żeby nie spotkało ich nic złego. Modlitwa była dla niego czymś nowym, ale troszczył się o nich, a zwłaszcza o Juliet, tak bardzo, że stała się czymś równie naturalnym jak myślenie o tej dziewczynie.

Za dwie, trzy godziny dowie się, co znalazł Bowles. Do tego czasu nie ma do roboty nic lepszego niż rozkoszowanie się widokami.

2.

Rocky McCondy i Juliet Halsay stali przy okienku linii British Airways i z coraz większą irytacją rozmawiali z urzędniczką.

— Przykro mi, panie McCondy — mówiła urzędniczka, zerkając na monitor komputera — ale nie ma ani jednego wolnego miejsca w samolotach lecących bezpośrednio do Anglii.

— Jak więc panna Halsay może dotrzeć do Londynu? — spytał Rocky.

— Mam wolne miejsce na jutrzejsze popołudnie — odparła po sprawdzeniu w komputerze.

— A jak tego dokonać dzisiaj?

— Hmm... Zobaczmy, jest kilka możliwych połączeń. — Nacisnęła kilka przycisków klawiatury. — Mam tu lot przez Paryż z czterogodzinną przerwą... Na Heathrow znalazłaby się pani o dziesiątej wieczorem.

— Za późno. Co jeszcze?

— Moglibyśmy polecieć przez Rzym... nie, to oznaczałoby noc przerwy. Spójrzmy dalej... o, tutaj mamy chyba dobre wyjście. Za godzinę jest lot z Kairu do Amsterdamu. Trzeba zdążyć na połączenie Virgin Atlantic dwie godziny później. W ten sposób panna Halsay znalazłaby się na Heathrow o drugiej pięćdziesiąt pięć.

— Co ty na to, Juliet? — spytał Rocky. — Czeka cię przesiadka!

— Poradzę sobie. Zgodzę się na wszystko, byle znaleźć się z powrotem w Sevenoaks.

— W porządku, w takim razie rezerwujemy ten lot — oznajmił Rocky. — Czy możemy nadać bagaże bezpośrednio do Londynu?

— Przykro mi, ale będzie pani musiała odebrać je w Amsterdamie, gdyż zmieni pani linię lotniczą, i nadać je powtórnie.

— Poradzę sobie — powiedziała Juliet.

3.

Kiedy Rocky wracał już taksówką z lotniska do Kairu, żołądek ścisnęło mu uczucie niepokoju.

Tak długo był już na służbie u archeologów, że prawie zapomniał, jak to jest być prywatnym detektywem. Odkąd jednak został sam, znowu górę zaczęła brać osobowość psa gończego.

Narastało w nim poczucie, że coś tu brzydko pachnie, ucisk w żołądku mówił mu, że coś tu nie gra.

Każdy prywatny detektyw godny tego miana wie, że musi ufać przeczuciom. I Rocky ufał. A tym razem przeczucie mówiło mu, że ktoś chce nabić ich w butelkę.

Gdy tylko znajdzie się w hotelu, zadzwoni do Scotta i poda mu dane o locie Juliet. Poza tym niewiele ma do zrobienia. Adam leci teraz na wschód. On zaś utknął w Kairze.

Dwadzieścia minut później wbiegł do hotelu, spytał, czy są dla niego jakieś wiadomości — nie było żadnych — i udał się pospiesznie do swojego pokoju. Zamówił rozmowę z Sevenoaks. Ale rozmowa ze Scottem wcale nie zmniejszyła ucisku w żołądku.

— Scott, co u ciebie i Jen? Wszystko w porządku?

— Żadnych kłopotów. To znaczy od chwili wyjazdu z Oldoway. — Opowiedział mu o wizycie terrorystów. — Większość naszego sprzętu została zniszczona.

Rocky zmarszczył brwi.

— A Jen?

— Przyleciała z Figgiem bez żadnych problemów. A co u was?

Rocky wyjaśnił sytuację i podał szczegóły lotu Juliet.

— Bo ja wiem... Coś mi się tu nie podoba — powiedział Scott.

— Mojemu przyjacielowi, senatorowi, też przychodzą do głowy osobliwe pomysły. Odbyłem z nim kilka bardzo dziwnych rozmów przez telefon. Ale nie jestem pewny, czy nie jest w to wmieszany. — Dzieją się naprawdę dziwne rzeczy, to pewne.

Rocky odłożył słuchawkę i usiadł, żeby się zastanowić nad sytuacją.

Wczoraj wieczorem telefon Bowlesa do Adama. Od tego wszystko się zaczęło. O ile Rocky znał Bowlesa, ten telefon do niego zupełnie nie pasował. Odstępowanie ważnego odkrycia to nie w stylu tego człowieka.

Może uda się ustalić, skąd dzwonił? Wziął z powrotem słuchawkę do ręki i połączył się z recepcją.

— Halo, tutaj Adam Livingstone — powiedział, starając się jak najlepiej naśladować głos Adama. Powinno wystarczyć, żeby wyprowadzić w pole Egipcjanina z recepcji. — Jestem w pokoju mojego przyjaciela, McCondy'ego. Wczoraj koło dziesiątej trzydziści wieczorem odbyłem rozmowę telefoniczną. Czy mógłby mi pan powiedzieć, z jakiego kraju dzwonił?

Musiał jakiś czas poczekać, a kiedy usłyszał głos w słuchawce, jego oczy rozbłysły światłem zrozumienia.

— Anglia! — wykrzyknął. Odłożył słuchawkę i wykrzyknął sam do siebie: — Tak myślałem!

I już krzątał się gorączkowo po pokoju, pakując swoje rzeczy i próbki botaniczne. „Przepraszam, Adam — mruczał pod nosem. — Nie mam czasu na pocztę kurierską! Tym razem musimy zaufać liniom lotniczym!”

Dwie minuty później, nie czekając na windę, pędził w dół po schodach.

Dotrze na Heathrow, choćby miał spędzić resztę przedpołudnia biegając od jednego do drugiego biura linii lotniczych! Musi znaleźć się w Londynie przed Juliet!

Nie ma ani sekundy do stracenia.

4.

W Al Humajda na saudyjskim brzegu zatoki Akaba był tylko jeden hotel. Rocky nazwałby go pchłarnią.

Kiedy Adam podchodził do tego budynku, miał uczucie, że znalazł się w scenerii filmu klasy B z lat czterdziestych z Humphreym Bogartem w roli głównej.

Aczkolwiek jest też bardzo odpowiednie miejsce dla Gilberta Bowlesa — pomyślał i uśmiechnął się krzywo. Kolega-archeolog pasowałby do atmosfery tego miejsca. Jednocześnie złe przecucie coraz mocniej skręcało mu wnętrzności.

Podszedł do walącego się budynku, który wyglądał, jakby zbudowano go sto lat temu, i to z saharijskiego piasku, a potem pozostawiono swojemu losowi, pozwalając żywiołom dokonać swego dzieła.

Adam poczuł się bardzo samotny. Jakże daleko są wszyscy bliscy!

Znalazł się w samym środku pustkowia prawie bez pieniędzy, bez żadnego przyjaciela. Pozostał mu tylko wynajęty samolot.

I nagle zdał sobie sprawę, jak ryzykownie postąpił, godząc się na to spotkanie. To nie było najmądrzejsze. I wcale nie podobało mu się to, co czuł w tej chwili. Wszedł do środka.

— Czy mój przyjaciel Gilbert Bowles wyjechał dzisiaj? — spytał zdudzonego, niechlujnie ubranego brodacza, który tkwił za czymś, co z trudem mogło uchodzić za blat recepcyjny.

— Bowles? — powtórzył brodacz.

— Tak, spędził tu noc.

— Nie było tu żadnego Bowlesa — odparł tamten łamaną, ledwie zrozumiałą angielszczyzną.

— Gilbert Bowles — powiedział raz jeszcze Adam. — Ta noc... W tym hotelu? Zapewnił, że wynajmie mi pan jeepa albo ciężarówkę.

— Bowles?... Żadnego Bowlesa!

— Może zameldował się pod innym nazwiskiem... Duży mężczyzna... bardzo duży. — Pokazał rękami, jak potężny jest Bowles.

— Żadnego Bowlesa... żadnego dużego mężczyzny. Wczoraj żadnych gości. Pan pierwszy od trzech dni.

Przecucie Adama zmieniało się powoli w panikę.

— Czy jest tu telefon?

Recepcjonista wskazał aparat.

— Czy może mnie pan połączyć? Pilna sprawa!

Tamten patrzył na niego z obojętnym wyrazem twarzy.

Adam szybko wysuwał kilka banknotów z tego, co mu zostało i dwa z nich położył na ladzie, przyklepując je otwartą dłonią. Oczywiście brodacza rozbłysły.

— Widzę, że teraz rozumiesz jako tako mój angielski! — powiedział Adam. — To dwa razy więcej niż kosztuje rozmowa. A teraz połącz mnie, i to szybko, z hotelem Ramses w Kairze!

Mężczyzna, nie odrywając wzroku od pieniędzy, wybrał numer. Adam chwycił słuchawkę. Jednocześnie brodacza zgarnął banknoty.

— Tu Adam Livingstone. Zeszłego wieczoru ktoś do mnie telefonował. Proszę powiedzieć mi tylko, skąd dzwoniło.

— Przecież powiedziałem już panu przed chwilą, że z Londynu.

Adam rzucił się biegiem w stronę małego pasa startowego, gdzie piętnaście minut wcześniej wylądowała jego wynajęta cessna.

Jak mógł być tak głupi? Jak mógł dopuścić do tego, żeby Juliet była zdana na własne siły? Przecież ją kocha!

Nagle ta prawda przeniknęła go z całą siłą. Nie była po prostu jedną z domowniczek, nie była nawet członkiem zespołu badawczego... ale Juliet Halsay, kobietą, którą on, Adam Livingstone, kocha!

A on przyleciał tu, na pustkowie, w pogoni za nie wiadomo czym... ją zaś zostawił samą!

5.

Zdenerwowana Juliet Halsay czekała w Amsterdamie przy stanowisku odprawy celnej linii Virgin Atlantic. Zbita z tropu urzędniczka przyglądała się biletowi, który podała jej pasażerka.

— Czy coś się nie zgadza? — spytała Juliet.

— Zdaje się... hmm... proszę pozwolić, że jeszcze raz sprawdzę.

Urzędniczka wystukała szybko serię znaków i zaczęła wpatrywać się w ekran monitora.

— Tak, ciągle to samo... wygląda na to, że pani bilet został unieważniony.

— Unieważniony! — Juliet poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. — Czy... czy mogę dostać nowy?

— Zobaczmy...

Urzędniczka zaczęła wystukiwać coś na klawiaturze.

— Zdaje się, że mamy jeszcze wiele wolnych miejsc.

Juliet westchnęła z ulgą.

— Czy mam przygotować nowy bilet?

— Tak, proszę!

Urzędniczka przystąpiła do wypisywania biletu.

— Jak pani zapłaci?

— A poprzedni bilet? Przecież zapłaciłam za niego! Czy nie może pani po prostu... Nie przyszłoby mi do głowy, że muszę jeszcze raz płacić.

— Tamten bilet został unieważniony. Podano tu: „Unieważniony bez zwrotu opłaty”.

— No dobrze — powiedziała Juliet.

Adam wyjaśni to później. Położyła torebkę na ladzie i wyjęła kartę kredytową, którą dostała od Crystal. Podała kartę urzędniczce.

Urzędniczka szybko przesunęła metalowy pasek karty przez czytnik. Spojrzała na małe urządzenie, które miała na swoim biurku, i zmarszczyła lekko brwi. Spróbowała raz jeszcze, żeby sprawdzić, czy urządzenie wyświetli ten sam komunikat.

— Przykro mi, proszę pani... proszę chwilę poczekać.

Podeszła do zawieszzonego na ścianie telefonu. Była odwrócona tyłem i Juliet nie mogła niczego słyszeć.

— Ochrona? — szepnęła urzędniczka. — Tu stanowisko Virgin Atlantic. — Mam kogoś, kto próbuje użyć skradzionej karty. Czytnik podał komunikat, że chodzi o osobę niebezpieczną, oraz numer, pod który należy zadzwonić.

Po chwili wróciła do Juliet.

— Proszę o cierpliwość, panno Halsay. — Uśmiechnęła się serdecznie. — Sprawdzają. Muszę uważać na ekran monitora.

— Co... co sprawdzają? — Juliet poczuła narastający ucisk w gardle.

— Zdaje się po prostu, że nie można tą kartą płacić.

Dwie minuty później Juliet poczuła, że ktoś chwytą ją za oba łokcie. Obróciła się przestraszona i zobaczyła, że jest unieruchomiona przez dwóch umundurowanych strażników.

— Proszę z nami.

— Ale dlaczego?... Co się stało?... Dokąd?...

Zmusili ją do wyjścia. Z tyłu szło jeszcze dwóch strażników, którzy nieśli jej bagaż.

Zaprowadzono ją do jakiegoś pokoju i zostawiono samą z rzeczami. Usłyszała tylko, jak ryglują drzwi za jej plecami.

Pół godziny później rozległ się znowu trzask zamka. Do środka wszedł wysoki siwowłosy mężczyzna ubrany w drogi garnitur. Miał władczy, bezosobowy wyraz twarzy.

— Panno Halsay — powiedział — nazywam się Rupert Vaughan-Maier. Zechce pani pójść ze mną.

Juliet spojrzała na swoje rzeczy i pobjadła.

— Bagaż proszę zostawić — rzekł Vaughan-Maier. — Zostanie zabezpieczony.

6.

Było już popołudnie, kiedy Adam dotarł do hotelu Ramses Hilton.

Popędził do pokoju Rocky'ego i zapukał w drzwi. Cisza. Zbiegł do holu.

— Czy widział pan pana McCondy'ego? — spytał w recepcji. — Tego Amerykanina?

— Kilka godzin temu opuścił hotel.

— Dokąd się udał?

— Sądzę, że na lotnisko, panie Livingstone.

Adam obrzucił szybkim spojrzeniem hol i pobiegł do automatu telefonicznego. Minęło kilka minut, zanim udało mu się połączyć z Anglią.

— Dzień dobry, pani Graves, tu Adam Livingstone. Muszę porozmawiać ze Scottem albo Crystal... albo Jen, jeśli jest w pobliżu. Chodzi o niezwykle pilną sprawę.

638

Czekał, przestępując z nogi na nogę z niecierpliwości.

— Crystal! — wykrzyknął, kiedy wreszcie zgłosiła się sekretarka. — Co się dzieje? Gdzie Scott?

— Pojechał na lotnisko... Drugi raz.

— Jak to drugi raz?

— Wyjechał już przedtem na lot Juliet. Ale nie przyleciała.

— Tylko nie to!... Mam przeczucie...

— Potem zadzwonił pan McCondy i powiedział, że przylatuje o trzeciej piętnaście.

— I co?

— Scott dzwonił przed chwilą. Pan McCondy przyleciał zgodnie z planem.

— A co z Juliet?

— Przepadła bez śladu... Przykro mi, Adam.

Gdzieś w głębi żołądka zaciskał się już węzeł.

— Nie odchodź od telefonu, Crystal. Być może poproszę, żebyś przysłała mi telefonicznie trochę pieniędzy z funduszu rezerwowego. Coś szwankuje z naszą kartą kredytową.

— Co zamierzasz zrobić?

— Przylecieć jak najszybciej do Londynu!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

DOM RÓŻY I KRZYŻA

1.

Adam dotarł do Sevenoaks o dziewiątej trzydzieści pięć następnego ranka, odchodząc od zmysłów z niepokoju z powodu zniknięcia Juliet.

Niewiele spał tej nocy, gdyż latał z miasta do miasta, łapiąc w ostatniej chwili jakieś samoloty i stopniowo zbliżając się do Londynu. Scott i Rocky wyjechali po niego na lotnisko Gatwick. Rocky wytłumaczył, dlaczego wcześniej niż było w planie opuścił Kair, choć nie osiągnął w ten sposób nic — poza tym że znalazł się w Londynie osiemnaście godzin przed Adamem.

— Nadal żadnych wiadomości? — spytał Adam zachrypniętym, zmęczonym głosem.

Twarz miał wychudłą i znużoną. Pod oczami zrobiły się mu worki.

— Mieliśmy telefon — odparł Scott. — Niewiele z niego wynika. Podobno facet ma zadzwonić znowu. Rozmawiała z nim pani Graves i ona z pewnością powie ci więcej.

Sam w paru słowach powtórzył to, co wiedział.

Gdy tylko dotarli do posiadłości, wszyscy domownicy, nawet powściągliwy zwykle Beeves, otoczyli Adama, ściskali go i składali gratulacje jak powracającemu zwycięskiemu bohaterowi. W ciągu ubiegłych miesięcy zdarzyło się bardzo dużo i wszyscy cieszyli się,

że pan domu jest wreszcie znowu u siebie. Ze wszystkich twarzy można było jednak wyczytać podskórny niepokój.

Po jakim czasie krąg witających dał mu trochę więcej swobody ruchów.

— No dobrze, pani Graves — powiedział Adam. — Chcę bezpośrednio od pani usłyszeć, jaki przebieg miała rozmowa telefoniczna. Słowo w słowo.

— No więc, proszę pana — zaczęła gospodyni bardziej niż inni zatroskana domniemanym porwaniem siostrzenicy — no więc podniosłam słuchawkę, a wtedy ten mężczyzna rzekł mi, że chce rozmawiać z panem.

— Tak, tak, pani Graves — przerwał jej Adam. — Proszę powtórzyć dokładnie jego słowa.

— „Proszę dawać Livingstone'a”, tak powiedział, proszę pana... „Dawać Livingstone'a”.

Adam skinął głową.

— A dalej?

— Powiedziałam: „Nie ma go w domu, proszę pana”. A on powiedział: „Niech mu pani powie, że mam to, czego szuka”. I przerwał połączenie.

— To wszystko?

Skinęła głową.

— Nic więcej?

— Nic, proszę pana.

— Nic, co pomogłoby ustalić tożsamość tego człowieka?

— Niczego takiego nie zauważyłam, proszę pana.

— Był Anglikiem?... Amerykaninem?...

— Chyba szkocki akcent, proszę pana, teraz sobie to uświadomiłam.

Adam skinął głową. Ten fakt nie musiał niczego szczególnego oznaczać, ale lepsze to niż nic.

Spojrzał na Rocky'ego i Scotta, potem powiódł spojrzeniem po twarzach Crystal, Jen i pozostałych domowników i wzruszył ramionami.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść na górę i wziąć prysznic. Panią, pani Graves, proszę o przygotowanie przez ten czas herbaty. I albo ten facet zadzwoni raz jeszcze... albo utnę sobie drzemkę.

Wytarł się i ubrał do połowy, kiedy nagle go olśniło. Boso i z obnażonym torsem, powiewając koszulą, którą trzymał w ręku, wybiegł z łazienki. Wpadł do kuchni, gdzie zebrali się wszyscy. Pani Graves ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

— Rocky, Scott!... Jak mogłem to przegapić? — wykrzyknął, narzucając na siebie koszule i zmagając się z guzikami. — Przecież to Bowles zadzwonił do mnie i postarał się, żebym wyprawił się na poszukiwanie wiatru w polu. Bez względu na to, jaka jest jego rola, z pewnością coś wie. Ruszajmy!

Scott i Rocky już szli w stronę drzwi, Adam zaś pędził na górę po buty.

— A herbata? — spytała pani Graves. — Panie McCondy... pańska kawa!

— Będzie musiała poczekać, pani Graves — rzucił przez ramię Rocky, wychodząc z kuchni. — Przecież wrócimy!

2.

Nieczęsto zdarzało się, żeby sir Gilbert Bowles czuł się onieśmielony — przez człowieka, zwierzę czy własne sumienie.

W tej chwili jednak był bliski tego stanu z powodu dwóch spośród trzech mężczyzn, z którymi rozmawiał. Gdy tylko weszli do jego domu, Adam zaczął najspokojniej jak potrafił wypytywać swojego kolegę. Zaraz jednak amerykański przyjaciel odsunął go i sam zajął się przesłuchaniem.

— Proszę posłuchać, Bowles — zaczął gniewnym tonem, wpatrując się natarczywie w wielką twarz archeologa — nie wierzę, że powiedział pan wszystko, co wie! Zapewniam, że jeśli muszę, potrafię być bardzo niemiły... i że będę taki, jeśli spróbuje pan coś ukryć!

— Nic nie wiem — powtórzył Bowles. — Czułem przy głowie lufę pistoletu! Livingstone, niechże pan posłucha — dodał, obracając się z błagalnym wyrazem twarzy w stronę Adama. — Zdaję sobie sprawę, jak wiele nas dzieli. Ale nigdy w życiu nie zrobiłbym czegoś takiego, musi mi pan uwierzyć. Może pan myśleć sobie o mnie różne rzeczy, ale nie jestem kryminalistą!

— Sir Gilbercie — powiedział Adam — ci ludzie są mordercami. Sprawa jest poważna, bez względu na pańskie intencje.

— Przecież mówiłem, że przystawili mi pistolet do głowy! Dokładnie powtarzałem to, co mi kazali. Nigdy nie byłem w miejskach, o których mówili.

Na chwilę zapadło milczenie. Twarz Bowlesa postarzała się, robiła wrażenie nalanej: wytrzeszczone oczy, obwisłe policzki. Nie ulegało wątpliwości, że w jego oczach czaił się lęk. Adam uwierzył, że ten żałośnie wyglądający człowiek mówi prawdę. Przez ułamek sekundy czuł nawet coś w rodzaju litości.

Zaraz jednak przypomniał sobie, po co tu przyszli. Na współczucie czas przyjdzie później. Na razie trzeba odnaleźć Juliet.

— Kim byli, sir Gilbercie?

— Już powiedziałem, dwaj mężczyźni i kobieta. Nigdy przedtem ich nie widziałem. Typ ludzi interesu. Managerów wysokiej rangi. Siwowłosa mówił z lekkim akcentem. Wysoka, mocno zbudowana kobieta. Trzeci, lekko łysiejący, zdecydowanie niski, był czystej krwi Anglikiem. Zaraz, zaraz! — wykrzyknął. — Już wiem, gdzie widziałem tego faceta!

— Którego?

— Anglika.

— Gdzie?! — wykrzyknął Adam.

— Wtedy w ogrodach pałacu Buckingham, podczas przyjęcia na pańską cześć. Przyszedł z pana znajomą, lady Candace. Szła trzymając go pod ramię.

Niski... łysiejący!

— Lord Montreux!

Adam, Rocky i Scott wybiegli, zostawiając sir Gilberta Bowlesa, który patrzył za nimi z mieszaniną ulgi i zdumienia.

3.

Rocky i Adam podeszli do drzwi domu rodziny Montreux w Swanspond.

Scott czekał na nich w aucie, wydzwaniając do kapitana Thurlowa ze Scotland Yardu.

Adam stuknął z całej siły żelazną kołatką w drzwi, a Rocky rozglądał się dokoła. Od razu zauważył symbol wyryty nad drzwiami. Twarz mu pociemniała. Trącił łokciem Adama i pokazał znak. Miał coś powiedzieć, ale w tym momencie drzwi się otworzyły.

— Phelps, muszę natychmiast zobaczyć się z lordem Montreux!
— oznajmił Adam.

Nie czekając na zaproszenie wszedł do środka, a Rocky za nim.

— Przykro mi, proszę pana, ale lord Montreux jest w tej chwili nieobecny.

— Gdzie jest?

— Przykro mi, proszę pana, ale mój pan nie zwierza mi się z takich rzeczy.

— Muszę zatem pomówić z panną Montreux.

— Lady Montreux nie czuje się dobrze, proszę pana, i nie może w związku z tym...

— Posłuchaj, Phelps! — wybuchnął w końcu Adam. — Rusz te swoje zaspane nogi i powiedz jej, żeby natychmiast zeszła! A właściwie — dodał zaraz — pójdę do niej sam!

I nie czekając na odpowiedź, wbiegł po schodach, a potem długim korytarzem prosto do pokoju Candace. Rocky, sapiąc z wysiłku, deptał mu po piętach.

Dwa albo trzy razy uderzył pięścią w drzwi.

— Proszę nie wchodzić! — rozległ się głos ze środka.

— Candace!... Tu Adam. Czy jesteś ubrana?

— Tak, ale...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadli Adam i dziwny Amerykanin, obaj czerwoni na twarzach.

— Candace, gdzie jest twój ojciec?

— Ja nie...

— Candace! — przerwał jej. — Nie jestem w nastroju do długich pogawędek. Chcę wiedzieć, gdzie jest twój ojciec!

— Nie wiem... Chyba wyszedł w jakichś sprawach klubu...

— Co za klubu?... Gdzie to jest?

— Och, Adam, proszę cię!... Nie wiem, nie wiedziałam, że chcą ją porwać. Przykro mi, Adamie... pie zdawałam sobie sprawy...

— Co wiesz?! Kogo porwać?... Mają Juliet, czy tak?

— Tak, ale tato nic mi nie powiedział. Nawet jej nie widziałam... Usłyszałam tylko, że rozmawia przez telefon, i padło twoje nazwisko, podniosłam więc drugą słuchawkę i usłyszałam męzczyznę mówiącego z twardym akcentem... i potem padło nazwisko Hallsay... i nic więcej... Och, Adam, proszę cię... wszystko bym ci powiedziała, ale nie wiem. Nie miałam pojęcia, że dojdzie do czegoś takiego!

Wybuchnęła łkaniem. Adam zrozumiał, że dalsze wypytywanie do niczego nie doprowadzi.

— Chodźmy — powiedział Rocky i skierował się ku drzwiom.

— Adam!... Adam, proszę! — wykrzyknęła Candace, patrząc, jak Livingstone opuszcza jej pokój. — Adam!... To wszystko zrobiłam dla ciebie!... Dla nas!

Adam przystanął i odwrócił się. Popatrzył na żalną postać spoczywającą na łóżku.

— Dla mnie? — spytał z niedowierzaniem.

— Dla nas!... Dla ciebie!... Żebyś wszedł do świata mojego taty! Tego dla ciebie pragnęłam.

Adam patrzył na nią z mieszaniną odrazy i politowania. Zapadło pełne napięcia milczenie.

— Nikt z nas nie pragnie należeć do tego świata — powiedział po chwili.

Rocky chwycił go za ramię i pociągnął. Po chwili biegli korytarzem w stronę wyjścia.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Rocky przystanął, obrócił się i wskazał na płaskorzeźbę nad bramą.

— Widzisz? Róża i krzyż. Czy wiesz, co to znaczy?

Adam potrząsnął przecząco głową.

— To stary tajemny znak różokrzyżowców, tajnego stowarzyszenia powiązanego z illuminati. Ten sam symbol był nad wejściem do hotelu Nile Gardens.

— Przypominam sobie! — wykrzyknął Adam.

— Słyszałeś chyba o rycie szkockim. Też jest z nimi powiązany.

Kimkolwiek są ludzie, którzy cię prześladowali i którzy porwali Juliet, muszą być wysoko w hierarchii różokrzyżowców.

Obaj stali, wpatrując się dłuższą chwilę w znak.

— Ryt szkocki... — powtórzył z zamyśleniem Adam.

Jeszcze chwilę milczeli, a potem nagle spojrzeli jeden na drugiego szeroko otwartymi oczami.

— Szkocki akcent, proszę pana! — powiedział Rocky, naśladowując głos pani Graves. — Szkocki akcent!

4.

W pokoju, w którym ją zamknięto, panowały egipskie ciemności... i ziąb.

Nie miała pojęcia, gdzie się znalazła. Od Amsterdamu właściwie nie zmrużyła oka.

Prowadzili ją różnymi korytarzami dworca lotniczego, a potem schodami, na zewnątrz i do czekającego już prywatnego odrzutowca. Kiedy do niego wsiedli, zawiązano jej oczy, tak że nie widziała, dokąd lecą.

Była tak przerażona, że z trudem zebrała myśli.

W jej głowie raz po raz pojawiał się obraz Erin i tego, co jej zrobili. Jedyną pociechą, którą podsuwała pamięć, było wspomnienie słów pani Wagner. „Kiedy będziesz się bała, moja droga... czegokolwiek, zwróć się do Pana. Proś Jezusa, żeby ci pomógł. I pomoże. W każdej sytuacji.”

I teraz Juliet modliła się jak nigdy dotąd, nigdy bowiem nie miała takiej pewności, że śmierć jest blisko.

W jej głowie panował taki zamęt, że nie potrafiła ocenić, która jest godzina, ale miała wrażenie, że lecieli jakąś godzinę... Potem silniki zaczęły pracować coraz wolniej, a wreszcie poczuła lekkie szarpnięcie, kiedy samolot dotknął kołami płyty lotniska.

Nadal z opaską na oczach poprowadzono ją do maszyny, którą uznała za helikopter, chociaż nigdy nie leciała helikopterem. Znowu wzbili się w powietrze i wylądowali po mniej więcej trzydziestu minutach. Zaprowadzili ją do miejsca, w którym znajdowała się

teraz, przywiązali do stojącego na środku ciemnego pokoju krzesła i zdjęli opaskę. Od tej chwili nie opuściła już tego miejsca.

Dawano jej od czasu do czasu wodę do picia. Rozwiązywano na tyle tylko, żeby mogła w nocy coś zjeść i pójść do łazienki. Ale wszystko tonęło w ciemności — nawet kiedy ktoś przychodził i wychodził. Nie pozwolono jej zasnąć. Co kilkadziesiąt minut ktoś przychodził i potrząsał nią.

Tak minęła reszta dnia, noc i jeszcze cały dzień — jeśli to dzień. Straciła rachubę czasu. Minął dzień czy może trzy dni? Jej umysł w niczym się już nie rozeznawał.

I znowu, jak dwadzieścia, trzydzieści razy przedtem, usłyszała, że drzwi się otwierają. Na cementowej podłodze dały się słyszeć kroki — dwie, a może trzy osoby. Stały przed nią.

Panowało milczenie. Juliet czuła jednak ich bliskość.

— Panno Halsay — odezwał się po dłuższej chwili jakiś głos.

Juliet aż podskoczyła. Głos rozległ się bardzo blisko, tuż przed nią, ale miała jednocześnie wrażenie, że dochodzi z oddali. Głos kobiecy. Jego tembr sprawił, że Juliet poczuła dreszcz przebiegający jej plecy.

— Jest pani zmęczona? — spytał głos.

— Bardzo — jęknęła Juliet.

— Chciałaby pani pospać?

— O tak, proszę! — zakwiliła. Z jej oczu popłynęły łzy.

— Proszę mi więc powiedzieć, gdzie był Adam Livingstone.

Muszę to wiedzieć. I co odkrył?

— Nie... nie mogę.

— Nie odmówi mi pani odpowiedzi... Coś takiego nie wchodzi w grę.

— Ale... Ale ja nie mogę tego powiedzieć.

— Przecież w żaden sposób mu pani nie zaszkodzi, panno Halsay — powiedziała kobieta, siląc się na kojący ton. — I pani też nic się stanie. Będzie pani mogła spać... spać. Wystarczy odpowiedzieć. Byliście na pustyni, prawda, wspinaliście się na górę?

Słowa padały ciche, odmierzone, zimne i hipnotyzujące.

— Tak — odparła sennym głosem Juliet. — Nie... To znaczy... Nie wiem... Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy... Nic nie pamiętam.

— Co znaleźliście?
— Nic... Nie wiem... Proszę... Chcę spać!
— Nic? A co znaczy to wszystko, co jest w pani bagażu, te przyrządy, liście?

— Nie wiem... jakieś próbki.
— Czego?
— Drzew, krzaków.

Znowu zapadło milczenie. Minęło mniej więcej pięć minut. Juliet pomyślała, że zostawili ją samą.

Nagle jaskrawe światło padło prosto na nią. Czyjaś twarz nachyliła się nad jej twarzą.

Juliet krzyknęła z przerażenia. Zamknęła oczy, nie mogąc znieść ani widoku bladej przebiegłej twarzy, ani porażającego światła.

— Otworzyć oczy! — rozkazał głos.

Zniknęły bez śladu kojące tony. Suchy trzask komendy.

Juliet patrzyła przed siebie, mrużąc oczy.

Twarz nie poruszyła się. Spojrzenie dwojga źrenic zatopiło się w jej oczach. Juliet zadrżała. Wiedziała, że ma przed sobą zło, przerażające zło, siłę, która była jej wrogiem... i wrogiem Adama.

Nie przestając patrzeć Juliet prosto w oczy, kobieta zaczęła poruszać wargami, wyśpiewując cicho i miarowo niesamowitą melodię jakby z zaświatów, wyrzucając z siebie słowa, w których Juliet nie mogła rozpoznać żadnego ziemskiego języka. I znowu jej ciało przebiegł dreszcz. Poczowała coś w rodzaju ukłuc maleńkich soplek lodu. Wiedziała, że kobieta chce zniewolić ją złym urokiem.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

— Otworzyć oczy — padł rozkaz. — Patrzeć na mnie! Nie odwracać głowy!

I znowu zabrzmiało to dziwne, odrażające i przerażające nuciennie... śpiew... budzące trwogę słowa zakłęb.

Juliet nie mogła się dłużej opierać. Otworzyła oczy szeroko jak żaba, którą połyka wąż.

— Gdzie był Livingstone? — spytał nagle inny głos, głęboki, straszny głos mężczyzny.

Juliet znowu krzyknęła i spróbowała obrócić się w stronę, skąd dochodził głos. Rozległ się blisko za jej plecami, tuż przy uchu.

Czuła na karku oddech mówiącego, ale nie był to ciepły ludzki oddech, lecz zimne tchnienie węża.

— Patrz na mnie! — syknęła kobieta, nie spuszczać wzroku z oczu Juliet. — Musisz odpowiedzieć!

— Co znalazł? — odezwał się znowu Głos zza pleców.

Wiedziała, że ze wszystkich stron otaczają ją węże.

— Nie!... Proszę, dość! — krzyknęła Juliet. — Nie wiem!... Dlaczego to robicie?... Błagam!..

— Musisz odpowiedzieć — tchnął chłodem Głos zza pleców. — Bądź poslušna, bo upór nie wyjdzie ci na dobre. Słyszysz?... Sama sobie będziesz winna... Groźba wisi nad twoją głową.

— Dość!... Nie!

I nagle przypomniała sobie matkę Erin. I stanęła jej przed oczyma twarz Adama. Poczwała się silniejsza.

— Dość!... Pomocy! Jezu, pomóż!... Proszę Cię, Jezu! Niech źli ludzie przestaną się nade mną pastwić! O Jezu, odpędź ich ode mnie!... Jezu!... Ratuń mnie, Panie Jezu! Spraw, żeby odeszli!

Śpiew ustał. Zimny oddech zniknął. Zgasło światło. Dały się słyszeć ciche kroki dwóch osób. Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Cisza.

Na Juliet spłynął ogromny spokój. Zasnęła.

Jakiś czas później, po dwóch, może trzech godzinach, obudził ją przeraźliwy dźwięk. I znowu drzwi się otworzyły.

Wszystko się zmieniło. Widać teraz było padające przez nie światło. Podbiegł do niej mężczyzna, szybko przeciął więzy krępujące jej ręce i nogi i dźwignął ją do pozycji stojącej.

Prawie wlokąc dziewczynę, wyprowadził ją z pomieszczenia na powietrze. Dokoła biegali i krzyczeli inni ludzie. Wielkie poruszenie!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

RATUNEK PRZYBYWA NA SKRZYDŁACH

1.

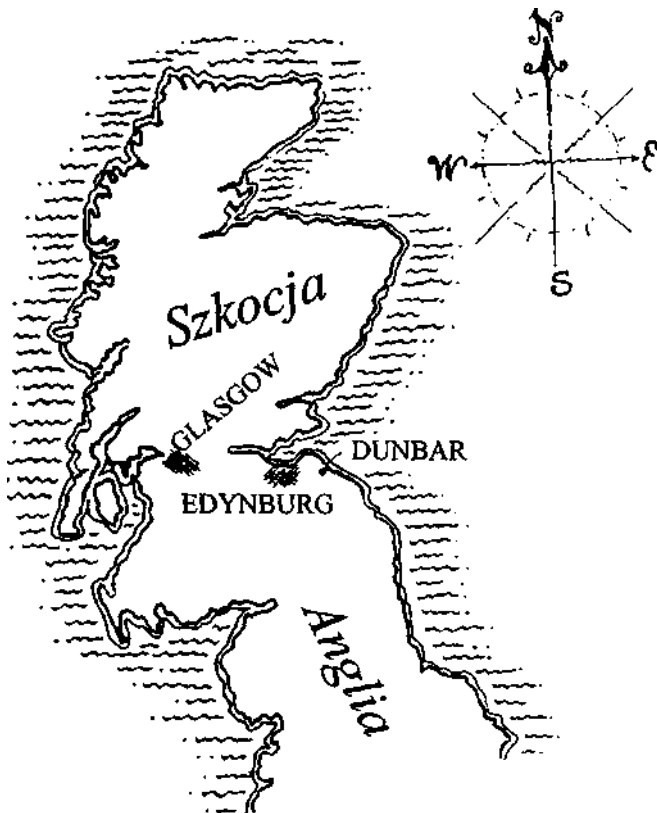
W dniu powrotu Adama do Anglii dwa małe samoloty wylądowały po południu w półgodzinnych odstępach na lotnisku w Edynburgu.

W pierwszym lecieli: Adam Livingstone, Rocky McCondy i Scott Jordan, w drugim kapitan Thurlow i rozmaici agenci Scotland Yardu z zespołu przygotowanego na wypadek porwania zakładników. Cekał już na nich oddział policji edynburskiej.

Po opuszczeniu przez Adama Swanspond on i kapitan Thurlow potrzebowali niecałej godziny, aby ustalić, że Juliet jest prawdopodobnie przetrzymywana w warowni w Dunbar.

Z dokumentów policyjnych wynikało, że o tym miejscu krąży mnóstwo niepotwierdzonych pogłosek. Były to tylko domysły, ale wsparte raportem, który inspektor Saul złożył po wysłuchaniu drugiej rozmowy telefonicznej nieznanego osobnika z domem Adama Livingstone'a. Odpowiednio pouczona Crystal Johnson odebrała telefon i potrafiła wydobyć z rozmówcy więcej informacji, niż on sam myślał.

Kapitan Thurlow wyskoczył z samolotu i podbiegł do tych, którzy czekali już przy drugim.



- Jak u pana, Livingstone, wszystko gotowe?
- Prawie — odparł Adam, kończąc sprawdzanie sprzętu. — Ile czasu zajmie panu dotarcie na miejsce? Musimy zgrać precyzyjnie nasze działania.
- Pętla wokół Edynburga zajmie pewnie pół godziny, a potem jeszcze pół, może dziesięć minut dłużej, żeby znaleźć się w Dunbar. Adam spojrzął na zegarek. Trzecia dwadzieścia.
- Jak ustalamy? Godzina i kwadrans?
- Półtorej godziny... powiedzmy dla pewności pięta. Będziemy zwlekać w odległości jakichś czterystu metrów, aż pana zobaczymy. Potem ruszamy.
- Będę o piątej — zapewnił Adam.

— Ma pan mikrofon? Sprawdziliście wszystko, pan i McCondy?

— Pełna gotowość.

— Muszę postępować zgodnie z prawem. Podejdę z moimi ludźmi do głównej bramy i przedstawię się — ciągnął Thurlow. — To ogromny ogrodzony teren. Jeśli spróbują przeprowadzić ją w inne miejsce albo wydostać się razem z nią, będzie pan musiał błyskawicznie wskazywać nam kierunek.

— Proszę pamiętać, że sam wymyśliłem ten zwariowany plan — odparł Adam. — I będę realizował go jak należy. Dowie się pan o wszystkim, co zobaczę.

— Ma pan jakąś broń?

Adam skinął głową.

— Nie chciałbym jednak jej użyć.

— Nikt tego nie chce, ale w tej sytuacji musimy być przygotowani na wszystko.

Thurlow powiódł dokoła wzrokiem.

— Wszystko zatem w porządku?

Adam i pozostali skinęli głowami.

— No to w drogę.

Pobiegł w stronę czekających samochodów policyjnych.

— Trzymaj się, Adam — powiedział Rocky, ściskając dłoń archeologa.

— Ty też.

2.

Za pięć piąta słaby warkot małego samolotu dał się słyszeć jakieś tysiąc pięćset metrów nad Dunbar, szkockim nadmorskim miastem leżącym czterdzieści pięć kilometrów od centrum Edynburga.

Kilka kilometrów za miastem, na trawiastym płaskowyżu ograniczonym stromymi klifami malowniczej linii brzegowej, znajdował się odosobniony i ogrodzony murem dwudziestohektarowy teren. W tym miejscu wiele możliwych osobistości, między innymi kilka głów państwa, złożyło inicjacyjną przysięgę.

Samolot zaczął teraz schodzić, kołując na wysokość tysiąca metrów. Dokładnie o piątej był już na wysokości sześciuset metrów.

W otwartych bocznych drzwiach ukazała się postać, która po chwili wyskoczyła z samolotu. Kilka sekund później otworzył się bezgłośnie biały płócienny baldachim parolotni i samolot zaczął znowu nabierać wysokości, kierując się ku wybrzeżu.

— Jest! — wykrzyknął kapitan Thurlow ze swojego punktu obserwacyjnego. — Ruszamy!

Niecałą minutę później dwa policyjne wozy podjechały pod główną bramę i zahamowały z piskiem na bruku. Natychmiast wyskoczyło z nich czterdziestu umundurowanych policjantów z karabinami. Thurlow ruszył biegiem w stronę stróżówki.

Dozorca od razu ich zobaczył; wstał i wyszedł z niewielkiego domku. Zdążył jednak wcisnąć czerwony guzik i ostrzegawcze buczenie rozległo się we wszystkich budowlach pilnie strzeżonego terenu.

Stał i czekał na policjantów, a w tym czasie za kamiennym murem przystąpiono do gorączkowych przygotowań.

— Kapitan Thurlow ze Scotland Yardu — przedstawił się dowódca. — Proszę natychmiast otworzyć bramę.

I odruchowo podniósł wzrok ku niebu.

3.

Od chwili, kiedy wszystkie pasy napięły się odpowiednio wokół ramion i Adam miał pełną kontrolę nad parolotnią, spojrział w dół, żeby ustalić swoje położenie względem warowni. Wysoko nad nim Scott pochylił samolot w skrajnie nad Morzem Północnym. Był już prawie poza zasięgiem łączności.

Adam patrzył na ogrodzenie głównej świątyni i kilka mniejszych budynków rozrzuconych po obszarze warowni. Zobaczył, jak wozy policyjne zarzucają, hamując przed bramą.

— Rocky... Thurlow... jesteście? — krzyknął do małego mikrofonu, który miał przymocowany do ramienia.

— Właśnie wchodzimy — rozległ się w słuchawce głos Rocky'ego.

— Rozproszyli się, Rocky. Zostali ostrzeżeni. Widzę kilkanaście osób, które wybiegły z głównego budynku i pędzą przez trawnik... chwileczkę... po drugiej stronie porośniętego trawą terenu jest wielki budynek o płaskim dachu... chyba z pół kilometra na wschód... Tam biegną. Widzę, jak biegniecie od bramy w stronę świątyni! Czy możecie obieć ją, nie wchodząc do środka?

— Nie wiem — rozległ się zadyszany głos Rocky'ego.

— Thurlow! — wykrzyknął Adam, zataczając szeroki łuk nad całą sceną. — Nie sądzę, żeby umieścili ją w głównym budynku. Uciekają w rozsypce jak pszczoły z gniazda. Czy może pan dostać się na tyły?

— Odkomenderuję oddział do przeszukania głównego budynku...

— Wracaj pan czym prędzej w stronę centralnej części terenu! — wrzasnął Adam. — Wydarzenia nabierają tempa!

— Ani śladu dziewczyny? — wykrzyknął kapitan, wybiegając przed frontowe drzwi świątyni i wskazując kierunek paru swoim ludziom.

— Jak dotąd nic.

Rocky wraz z drugą grupą funkcjonariuszy przebył już połowę drogi wokół ogromnego dworu z cegły.

— Widzę cię, Rocky — powiedział Adam. — Trzymaj się swojego szlaku, a dalej prosto. Zaraz! — krzyknął nagle. — Rocky! Thurlow! Dach płaskiego budynku po drugiej stronie... rozsuwa się... przetacza... O Boże! To hangar! Widzę w środku helikopter!

— Livingstone! — odkrzyknął Thurlow. — Widzisz broń? Mamy przygotować się na strzelaninę?

— Nic stąd nie widać, kapitanie. Ale jestem sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Lecę w stronę hangaru!

— Nie wchodź w drogę helikopterowi! — zawołał jeszcze bardziej zadyszany głosem Rocky.

Adam, wytracając gwałtownie wysokość, wykonał skręt w stronę budynku, który stał się nagle centrum wszystkich działań.

— Juliet! — krzyknął nagle Adam. — Włoką ją z domku jakieś sto metrów za hangarem!

Ruch na świeżym powietrzu natychmiast ocucił Juliet.

Nie myślała w tym momencie o przygotowującym się do lotu helikopterze, którego śmigła wydawały coraz głośniejszy świst, myślała tylko o tym, że ma wreszcie nogi i ręce wolne. Ustąpił zamęt panujący dotąd w jej głowie.

W nieoczekiwanym przyptywie sił wbiła łokieć pod żebra strażnika — najmocniej jak umiała. Cios sprawił, że mężczyzna stracił na chwilę głowę i rozluźnił palce ściskające ramię Juliet. Dziewczyna szarpnęła się i ruszyła biegiem.

— Ty mała!... — ryknął. — Wracaj! I rzucił się w pościg.

Rocky i jego ludzie, którzy wybiegli zza budynku, i Thurlow z tuzinem swoich, którzy wypadli tylnymi drzwiami, popędzili w stronę, skąd dochodził warkot.

Gra szła o sekundy. Jeśli śmigłowiec uniesie się choćby metr nad ziemię, nie zatrzymają go — chyba że zdecydują się zabić wszystkich na pokładzie.

Adam doskonale widział z góry, że Juliet, nie wiedząc, gdzie kryje się zagrożenie, biegnie w stronę hangaru! Żaden policjant nie zdąży zapobiec temu, by Juliet została ponownie schwytana i wciągnięta do maszyny.

Z całej siły ściągnął skrzydło i zaczął niebezpiecznie stromo opadać. Musi zdążyć, zanim wciągną ją do budynku, bo kiedy znajdą się w środku, będzie zupełnie bezradny. Kilka sekund później wzbiją się w powietrze.

Z ryzykowną szybkością runął w lot nurkowy. Jeden drobny błąd, a roztrzaska się o ziemię, wpadnie na budynek albo prosto w wirujące śmigła helikoptera.

Mężczyzna był coraz bliżej Juliet. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że nad nim unosi się bezgłośnie Adam i zbliża do niego z każdą

sekundą. Nie oczekiwał, że ratunek dla jego ofiary przybędzie z góry; był nieuzbrojony.

Nagle na trawę padł ogromny cień. Sylwetka niosącego zgubę anioła z jednym białym skrzydłem spadła prosto na ścigającego.

— Juliet!... Łap się! — krzyknął Adam.

Było po wszystkim, zanim mężczyzna pojął, co powaliło go na plecy. Adam, znalazłszy się na samym dole łukowo wygiętej trajektorii, wymierzył mu potężnego kopniaka.

Juliet opłotła ciasno ramionami pierś przelatującego lotniarza i nagle jej nogi oderwały się od ziemi. Z jej ust wydarł się okrzyk. Znalazła się trzy metry nad trawą, zaciskając ręce na tułowiu Adama, walcząc o życie.

Szybkość opadania dała Adamowi dość rozpędu, żeby przelecieć jeszcze kawałek — nawet z pasażerem na pokładzie. Ale dodatkowe obciążenie zwiększyło znacznie ryzyko operacji. Pociągając linki i bloczki, zaczął znowu obniżać lot, wykrzykując Juliet wskazówki, jak ma się zachować podczas lądowania.

Biały baldachim zanurkował może nie z gracją, ale za to nie tak stromo jak poprzednim razem. Po chwili Adam i Juliet — kłębowski nóg rąk, linek i nylonu — potoczyli się po ziemi pięćdziesiąt metrów od drzwi hangaru.

— Jesteś cała i zdrowa? — wykrzyknął Adam.

— Tak... tak... och, Adam, jak to zrobiłeś?... Tak się bałam!... Jak mnie znalazłeś?

Ścisnęła go, czuł na twarzy jej łzy.

— Wszystko wyjaśnię... Teraz pomóż mi uwolnić się od tego!

Z trudem wyplątał się z uprzęży, wstał i wyjął pistolet.

Rozwścieczony Szkot zdążył już się pozbierać i ruszyć z powrotem w pościg. Zobaczył jednak pistolet w ręku Adama, rozmyślił się więc i uznał, że lepiej się wycofać. Słuchać już było okrzyki dwóch zbliżających się oddziałów policji.

Nagle usłyszeli nad sobą warkot helikoptera. Nad płaskim dachem hangaru ukazały się śmigła. Uświadomiwszy sobie, że ofiara została im sprzątnięta sprzed nosa, główni sprawcy porwania

doszli do wniosku, że ostrożność nakazuje nie pytać o nic i wynosić się jak najszybciej.

Kiedy maszyna wzniosła się nad budynek, Adam zobaczył przez szybę twarz siwowłosego mężczyzny w garniturze, jakie noszą ludzie interesów, i drugiego — o ciemnej cerze i jeszcze ciemniejszych włosach — który patrzył na niego przeszywającym wzrokiem pełnym nienawiści. Obok ujrzał twarz kobiety, której spojrzenie wytraściło go z równowagi w holu hotelu Nile Gardens. Patrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: „To jeszcze nie koniec walki!” Za nimi siedział niski łysiejący mężczyzna, który kulił się, jak mógł, żeby go nie rozpoznano.

Ta niema rozmowa światła z ciemnością trwała ułamek sekundy. Gdy tylko płozy znalazły się nad dachem, generał Pierwuchin wzleciał swą wspaniałą maszyną w niebo, natychmiast wykonując skręt, żeby uniknąć ewentualnego ostrzału z ziemi. Poleciał na wschód, nad Morze Północne, nabierając błyskawicznie szybkości i parę sekund później całkowicie znikając.

Adam patrzył na wyrażającą przerażenie, ulgę i wyczerpanie twarz stojącą u jego boku Juliet. Uśmiechnął się, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Przybiegł Rocky i kapitan Thurlow. Ludzie Thurlowa przystąpili już do aresztowania i przesłuchiwania jeńców.

— Rozpoznał pan ten śmigłowiec, kapitanie? — spytał Adam, wpatrując się w kropkę widoczną jeszcze na niebie.

— Wojskowy. Tylko tyle potrafię powiedzieć. Prawdopodobnie własność jednej z tych małych wschodnioeuropejskich republik. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Wątpię, żeby wiedzieli to ci, których zatrzymaliśmy. Ale przepytamy wszystkich i zobaczymy.

— A my nie jesteśmy już potrzebni? Chcielibyśmy wrócić do domu.

— Będę musiał zadać pani parę pytań, panno Halsay. Myślę jednak, że możemy poczekać z tym do jutra.

— Dziękuję, panie kapitanie — westchnęła Juliet. — Jestem naprawdę zmęczona.

— Ruszajmy więc, Juliet... Rocky, Scott będzie czekał na lotnisku. Która to godzina?... — Spojrzał na zegarek.

— Dopiero piąta piętnaście. W Sevenoaks będziemy... hmm... powiedzmy o ósmej albo pół do dziewiątej. Zanim wyruszymy, poproszę panią Graves, żeby przygotowała na dziewiątą pieczeń wołową i jorkszyrski pudding!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

OŚWIADCZYNY W EDENIE

1.

W swoich najbardziej romantycznych marzeniach Juliet Halsay nie wyobrażała sobie takiej scenarii.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób Adam to wszystko przygotował, i wcale nie chciała się dowiadywać. Ten człowiek potrafi dokonać cudów! Odkrywać arki i Edeny, i bez trwogi spieszyć na ratunek... a także zniewolić serce młodej kobiety!

Właściwie, jeśli tylko się zastanowić, to ostatnie nie jest wcale tak zdumiewające. Pokażcie kobietę, która nie zakochałaby się w Adamie Livingstone'ie!

Zdumiewające jest natomiast to, że Adam Livingstone żywi takie samo uczucie do niej. W każdym razie tak sądzi ona sama. Czasem musi się jednak uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy nie obudzi się i nie znajdzie...

To wcale nie sen!

Nie sen, lecz... bajka. A jednak to wszystko zdarzyło się naprawdę!

Adam Livingstone i Juliet Halsay, trzymając się za ręce, szli po gęstej zielonej trawie. Ze wszystkich stron otaczały ich bujnie rosnące krzewy i drzewa — wszelkich gatunków i kształtów. Nad nimi wznosił się po lewej stronie skalisty stok jednego z nagich szczytów

Pustyni Arabskiej. Wszędzie bogactwo życia roślinnego. Nie szli żadną ścieżką, gdyż żadna nie została jeszcze wydeptana. Jako jedni z pierwszych szli po tej cudownie budzącej się na nowo do życia ziemi.

Wydawało się im, że powietrze jest przepełnione dziwnym spokojem. Szli powoli, bo pośpiech byłby czymś niestosownym, mówili cicho, bo niestosowne byłoby podnoszenie głosu. Serca przenikał im zachwyt. Gdziekolwiek spojrzeli, byli olśnieni tym, co mieli przed oczami, i tym, że to właśnie oni zostali tak wyróżnieni.

Oddychali głęboko rajskim powietrzem i mieli wrażenie, że tlen jest czystszy, bardziej pulsujący życiem niż gdzie indziej. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że znajdują się pośrodku pustyni. Zieleń pod ich stopami i ta, która sięgała im do pasa, a nawet do głowy, była tak soczysta, że mieli uczucie, jakby sama z siebie wytwarzała wilgoć — na dole i w górze. Wcale nie byłiby zaskoczeni, gdyby pośród tego wszystkiego zobaczyli nagle strumyk.

— Jak dokonałeś tego, że znowu się tu znaleźliśmy? — spytała po jakimś czasie Juliet głosem cichym i pełnym spokoju.

— Powiedzmy, że od czasu ostatniej wizyty udało mi się pociągnąć za jeden, drugi sznurek.

— Adamie Livingstone, jesteś naprawdę niezwykłym człowiekiem!

— Obiecałem, że spędzimy tu dwie godziny, że niczego nie zniszczymy i że nie wezmę żadnego sprzętu, nawet aparatu fotograficznego. A zresztą, rząd saudyjski ma wobec mnie dług wdzięczności.

— Nawet nie chcę pytać, co to za dług — zachichotała Juliet.

— To dobrze. Nie pytaj.

— Och, Adamie — westchnęła — czy kiedykolwiek dowiem się o tobie wszystkiego?

— Mam nadzieję, że nie. Ale będziemy mieli dość czasu, całe lata, żeby o tym myśleć.

Serce Juliet zaczęło bić mocniej.

— Nie powiedziałaś mi jednak, co my tu robimy.

— Nie chciałaś raz jeszcze zobaczyć tego miejsca? Poprzednim razem tak się spieszyliśmy! Kiedy tu zeszlśmy, było jeszcze dość ciemno. Tylko spójrz, jak wszystko od tego czasu wybujało. Drzewa są wyższe, trawa gęstsza... i zieleń wydostała się już poza ogrodzenie. Jeśli chcą, żeby to miejsce pozostawało zamknięte, muszą przesuwać ogrodzenie. Co tydzień.

— Nie mają szans. Jeśli jest to znak przygotowań do przyjścia Pana, na nic się zdadzą ogrodzenia.

— To naprawdę zdumiewające. Ten ogród musi być znakiem danym przez Boga.

— Tak jak zapowiadał wiersz starego Harry'ego.

Przez chwilę szli w milczeniu, szczęśliwi.

— Przyznaj się Juliet — po dłuższym czasie odezwał się żartobliwym tonem Adam — dobrze wiesz, dlaczego się tu znaleźliśmy.

Juliet zarumieniła się lekko. Nie powiedziała ani słowa, tylko uśmiechnęła się nieśmiało.

— Cieszę się, że tamtej nocy, w hotelu Ramses, przeszkodził mi kelner — ciągnął Adam. — Kto wie, czego bym nagadał. Od tamtego czasu, gdy tylko uświadomiłem sobie, że sam Bóg wybrał dla mnie towarzyszkę życia, moją Ewę, wiedziałem, że na całym Bożym świecie jest tylko jedno miejsce odpowiednie, żeby się jej oświadczyć.

— Adam... czyżbyś... co ty...

— Odpowiadam na pytanie, dlaczego tu jesteśmy. Przywiozłem cię, żeby ci się oświadczyć.

— Och, Adam — westchnęła Juliet. — Tak... tak!

— Tak? — powtórzył. — Co rozumiesz przez to słowo.

— Przecież... Że przyjmuję twoje oświadczyzny!

— Chwileczkę! — wykrzyknął i żartobliwym gestem położył dłoń na jej ustach. — Jeszcze nie! Jeszcze się nie oświadczyłem! Powiedziałem tylko, że po to tu przyjechaliśmy. Cierpliwości, Juliet.

Powoli cofnął dłoń. W jego oczach tliły się iskierki rozbawienia. Juliet przyglądała się im i jej oczy zasnęła mgła.

Zdobyła się tylko na to, żeby odwzajemnić jego uśmiech.

2.

Dotarli do drzewa rosnącego pośrodku ogrodu. Mieli wrażenie, że urosło kilkadziesiąt centymetrów od czasu, kiedy byli tu poprzednio. Juliet zobaczyła coś pod drzewem.

— Co?... Co to takiego? — wykrzyknęła i pobiegła w tamtą stronę.

— A to niespodzianka! — wykrzyknął Adam, biegnąc w ślad za nią. — Wygląda jak piknikowy koszyk.

— Adamie Livingstone, przygotowałeś wszystko za moimi plecami!

Juliet przyklęła i już chciała podnieść wieko koszyka.

— Znowu za bardzo się spieszysz! — Adam chwycił ją za rękę.

— Jak żeś umieścił tutaj ten koszyk? Cały czas byłam przy tobie.

Adam spojrzał w kierunku szczytu. Juliet podążyła za jego spojrzeniem.

— Rocky! — krzyknęła. — To zmowa! Powinnam się była domyślić.

— Nie mogłem obejść się bez współnika.

Rocky pomachał im ręką, a potem odwrócił się i zniknął.

— No dobrze, teraz możesz otworzyć — powiedział Adam.

Juliet podniosła wieczko koszyka.

Na złożonej białej serwetce z lnu spoczywał nieskazitelny kształt purpurowej róży. Oczy Juliet napęłniły się łzami.

— To róża dla ciebie — powiedział Adam, przyklękając. Wziął kwiat do ręki i podał Juliet. — Jest jak najprostsze na świecie słowa: kocham cię.

Wzięła różę, podniosła z gracją do twarzy i odetchnęła głęboko jej wonią. Chwilę później, nie podnosząc się z klęczek, padła sobie w ramiona. Mijały sekundy, a oni trwali tak bez ruchu, w milczeniu, szczęśliwi, niż mogli sobie wyobrazić.

— Czy nie zobaczysz, co przygotował dla nas Rocky? — spytał wreszcie Adam.

Juliet obróciła się, przez chwilę pociągała jeszcze nosem, a potem otarła chusteczką oczy i zajrzała do koszyka. Był w nim cały lunch na zimno i żaden smakosz nie mógłby wymarzyć sobie niczego lepszego.

— Mam nadzieję, że nie ma tu jabłka — powiedziała.

— Nie, Ewo... nie ma jabłka — roześmiał się Adam.

Juliet rozłożyła na trawie serwetkę, a potem przystąpiła do rozkładania zawartości koszyka, rozmieszczając kolejne dania na nieskazitelnie białym płótnie. Na dnie koszyka zobaczyła jakiś wspaniale ozdobiony dyplom.

— Co to takiego? — spytała biorąc do ręki arkusz.

— Przeczytaj. Ma wisieć na ścianie w laboratorium. „Juliet Livingstone — zaczęła czytać — terminująca w archeologii i wybitna laborantka. Oświadcza się, że wyżej wymieniona osoba ma od tej chwili prawo do wyliczonych powyżej tytułów jako członek kartelu Livingstone: Eksploracja, Badania i Odkrycia, sp. z o.o. i nigdy nie będzie myła próbek ani sprzedawała ryby z frytkami, żeby zarobić na życie.”

— Och, Adam — roześmiała się Juliet, zwracając ku niemu twarz. — To takie zabawne!

I nagle na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia i jednocześnie szczęścia, a do oczu napłynęły łzy.

— Napisałeś Juliet... Livingstone!

— Mam nadzieję, że zechcesz pod tym nazwiskiem objąć w przyszłości swoje obowiązki. Czy zostaniesz moją żoną, Juliet?

I znowu oczy Juliet napęłniły się łzami.

— Och, Adam! Niczego na świecie tak nie pragnę!

3.

Dwie godziny później Adam i Juliet szli ramię w ramię w stronę górskiego stoku. Zobaczyli Rocky'ego, który schodził bez pośpiechu pamiętającą tyle wydarzeń ścieżką.

— Z wyrazu waszych twarzy wnioskuję, że gratulację są rzeczą jak najbardziej właściwą — powiedział.

— To prawda — odparł Adam.
— Gratuluję więc wam jako pierwszy.
— Dziękuję, zacny człowieku.
— Dziękuję, Rocky! — dodała cichutko Juliet. Mówiła rozmarzonym głosem, jakby w tym jednym momencie mieściło się całe jej życie.
— Może warto pójść na górę — rzekł Rocky — chociaż wiem, że nasz pobyt tutaj ma się ku końcowi.
— Po co? — spytał Adam.
— Pamiętasz to drzewo na szczycie?
Adam skinął głową.
— Całe pokryło się liśćmi.
— Naprawdę?... To niesamowite!
— Wygląda na to, że stało się dokładną kopią tamtego drzewa na dole.

4.

Adam i Juliet postąpili tak, jak proponował Rocky. On sam zszedł, wsiadł do samochodu i wrócił do Al Humajda, gdzie mieli się spotkać przed powrotem do Anglii.

Dla zakochanych upływ czasu nie miał znaczenia, póki byli razem. Wspinając się na górę, rozmawiali spokojnie o wielu sprawach, a przede wszystkim o tym wszystkim, co dotyczyło odkryć, jakich dokonali.

Cały Dżebel al Lawz był potwierdzeniem oczywistej prawdy, o której Harry McCondy mówił proroczo w swoim dzienniku, mając na myśli ostatnie dni: „A wtedy Eden będzie przywrócony”.

Gdziekolwiek zwrócili wzrok, z wystających na wierzch i ukrytych pod ziemią korzeni wyrastały kiełki i małe kwiaty. Góra żyła, jakby gdzieś pod powierzchnią drżała, gotując się do nowego wybuchu, ale tym razem nie wybuchu dymu, ognia i wulkanicznej siły, lecz pączkującego życia. Czuli, że idą po ogromnym żywym organizmie.

— Czy porównując DNA drzew na dole i drzewa na szczycie, a także próbek korzeni, możemy stwierdzić, że cała góra jest jednym drzewem? — spytała Juliet.

— Nie znajduję żadnego innego wyjaśnienia — odparł Adam.
— Próby DNA wskazują, że tak właśnie jest. Czemu mielibyśmy być zaskoczeni tym, że jest to naprawdę... że jest to centrum życia w Edenie? Przecież musiałaby to być forma życia, jakiej od wypędzenia z raju nie oglądały ludzkie oczy, życia tak mocno pulsującego, tak potężnego, że rozprzestrzeniło się na całą planetę.

— Co zrobimy? — zapytała Juliet po dłuższej chwili marszu w milczeniu.

— Sam nie wiem — westchnął Adam. — Z pewną niechęcią myślę o publicznym ogłoszeniu tego, co się tu naszym zdaniem dzieje. Znajdą się tacy, którzy zechcą wykorzystać odkrycie w sposób nie mający nic wspólnego z motywami natury duchowej. I oboje wiemy, że znajdą się też tacy, którzy spróbują zniszczyć to miejsce. Wiem, że to niemożliwe. Jestem pewny. Skoro tysiąclecia zmian na ziemi nie zniszczyły pierwotnego centrum życia, człowiek też nie zdoła tego dokonać. Nie powinno się jednak dopuścić do tego, żeby plan Boży doznał uszczerbku. Jeśli zesał nam to objawienie, musimy zrozumieć, jaka jest w tej sprawie Jego wola. Muszę całkowicie zmienić swój sposób myślenia, wyrzec się tych kategorii, które obowiązują zwykle przy odkryciach naukowych.

— W gruncie rzeczy to wcale nie jest odkrycie naukowe, prawda?

— O tak, weszliśmy na teren znacznie ważniejszy niż archeologia.

— To odkrycie ma charakter duchowy, jest objawieniem Bożego świata, Bożej prawdy i nie ma nic wspólnego z nauką, którą uprawia człowiek.

— I dlatego musimy zawierzyć w tej sprawie Bogu.

— Czy jednak objawiłby nam to wszystko, gdyby nie chciał, byś rozgłosił to odkrycie całemu światu? Wyobraź sobie tylko, jak wpłynęłoby to na stosunek świata do prawdy zawartej w Biblii, do autentyczności świętego tekstu.

— Nie zapominaj, że niewiele wiem jeszcze o drogach, którymi chadza Bóg — odparł Adam. — Myślę tylko, że czasem zsyła objawienie, które ma pozostać prywatne. Być może chciał, żebym ja,

Adam Livingstone, a może my dwoje, poznał prawdę Jego Słowa, nie zaś tego, byśmy ogłosili tę prawdę światu.

— Czy jednak objawiłby nam wówczas coś takiego? Coś tak niezwykłego?

— Nie wiem, Juliet. Jeśli czegoś się nauczyliśmy, to z pewnością tego, że wiekiuste plany są sprawą Boga, a nie człowieka. Przypomnij sobie, co powiedział pastor Rocky'ego. Wtrącanie się do Bożych zamysłów byłoby czymś wysoce niewłaściwym. Jeśli mam zbłądzić, lepiej bym zbłądził tym, że podążam za wolno, że ciągle jestem krok za Bogiem, niż że spieszę się zanadto i próbuję Go wyprzedzić. W gruncie rzeczy wcale nie chodzi o to, czy świat uzna prawdę Biblii, bo z pewnością uzna. I przeczuwam, że już wkrótce. Ale ważne jest, żeby objawienie było dziełem Boga, nie zaś Adama i Juliet Livingstone'ów. To On ma być przewodnikiem.

5.

W pozbawionej okien kryjówce wysoko nad Amsterdamem płonąca na stole samotna świeca, wokół której siedzieli w milczeniu członkowie Światowej Rady Dwunastu.

Nadeszła pora wycofania się raz jeszcze w głąb tajnej sieci. Ostatnie poczynania nie przyniosły sukcesu i wielu szkód doznał Wymiar. Nowy wiek nadejdzie, aczkolwiek wielu z nich czuło niepewność, kiedy przyjdą ich wielkie nowe czasy. Nie podniesiono sprawy rozbieżności, do jakich doszło w łonie Rady. Nawet Haider Zorin pozostał członkiem numer jeden Rady — mimo zastrzeżeń, jakie miał do niego ten i ów. Wymiar zachowywał osobliwe milczenie w niejednej sprawie. Nadeszła pora wyczekiwania na to, co się zdarzy.

Nadeszła pora skupienia wysiłków na mniej rzucających się w oczy dokonaniach, na pozyskiwanie w subtelniejszy sposób ludzi z obozu Nieprzyjaciela.

Duchowi Przewodnicy i Mędrcy zapewnili ich z głębi swych mroków, że mimo ostatnich porażek Plan wejdzie w życie.

Minęli pieczarę, w której znaleźli plecak Harry'ego McCondy'ego, i po jakimś czasie dotarli na sam szczyt.

Już z pewnej odległości widzieli drzewo, które wyrastało pomiędzy dwóch głązów, jakby napełnione nowym życiem — dokładnie tak jak powiedział Rocky. Wydawało się prawie, że próbki, które pobrali z pnia, dodały drzewu sił witalnych. Wyglądało teraz jak dokładna kopia tamtego drzewa na dole.

Zatrzymali się w pewnej odległości.

I znowu spłynęło na nich poczucie, że doznali świętego objawienia. Stali ramie przy ramieniu i myśleli o tym, że znaleźli się przed obliczem Boga.

I w ich duszach rozbrzmiały nieme słowa: „Miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą”.

Jakby pchani jedną myślą przyklękli i zdjęli buty, a potem skłonili głowy i zaczęli się modlić. Słowa, które padały z ust Adama, świątowej sławy archeologa, a teraz pokornego dziecięcia Bożego, były pełne prostoty i szczerości. „Boże, wskaż nam, co mamy czynić.”

Sześć zwykłych słów, ale zawierających w sobie najwznioślejszą z prośb, z jaką człowiek zwraca się do Tego, który go stworzył i który swym tchnieniem rozlał życie stąd aż po kres ziemi.

Dziesięć minut później podnieśli się, założyli buty i stali jeszcze chwilę, przypatrując się drzewu.

Potem Adam ujął dłoń Juliet, obrócił się i zaczął schodzić ścieżką, którą tu przyszli.

— Myślę, że Bóg już odpowiedział na moją modlitwę — rzekł.

Juliet milczała, wiedząc, że Adam wyjaśni jej w odpowiednim momencie te słowa.

— Być może wiedza o Edenie nie jest jeszcze przeznaczona dla świata — powiedział, kiedy zeszli spory kawałek. — Ludzie będą patrzyli na bujny ogród, ale nie pojmą, co on oznacza. Taka jednak była zawsze prawda: mamy ją przed oczami. Jedni ją widzą, inni są na nią ślepi. I ja przez wiele lat byłem właśnie ślepy na prawdę.

Objawienie przyjdzie, jak sądzę, do każdego z osobna, kiedy człowiek pozwoli, by tchnienie życia przeniknęło do jego serca. Juliet uśmiechnęła się.

— Z drugiej strony jestem przekonany, że ogromne sprawy dzieją się teraz w królestwie wiekuistym.

— Koniec jednej ery i początek następnej — odpowiedziała Juliet.

Adam skinął głową.

— Nie naszą jednak rzeczą jest wtrącać się do planów, które ustalił sam Bóg — powiedział. — Jeśli prawdą jest to, co Rocky i jego przyjaciele mówią o erach, nie do nas należy wskazywanie chwili ich zmiany. To, że zbliża się nowe milenium, nie wystarczy jeszcze, byśmy wybiegali przed Pana, i pędzili z góry niby dawni poszukiwacze złota z ojczyzny Rocky'ego, wykrzykując na całe gardło: „Znaleźliśmy Eden!... Znaleźliśmy Eden!”

— Czy to, co mówię ma sens, Juliet kochanie? — dodał po chwili.

— Chyba doskonale cię zrozumiałam.

— Czuję bardzo wyraźnie, że musimy czekać na dalsze wskazówki. To objawienie zesłał Bóg, to oczywiste, i Jego sprawą jest rozgłosić ten fakt po całym świecie... Uczyni to na swój sposób i w swoim czasie.

Znowu szli w milczeniu.

— To właśnie czułam, kiedy modliliśmy się tam, na górze.

— Bóg zamknął ogród przed człowiekiem. Musimy mieć pewność, że On chce go otworzyć.

I schodzili tak zboczem góry znanej starożytnym jako Horeb, a naszym współczesnym jako Dżebel al Lawz. Przy kolejnym zakręcie ścieżki spojrzeli do tyłu. Wydało się im, że dwie krawędzie skalne zbliżają się do siebie, stopniowo zasłaniając im widok drzewa na szczycie.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Środek ogrodu znowu się na jakiś czas zamknął.

Wszystko, co zakryte, musi być jednak ujawnione. Zbliża się nowe milenium... i w królestwie niebios trwają przygotowania do wiekuiestej zmiany.

7.

Kiedy Adam Livingstone i Juliet Halsay podjechali pod posiadłość w Sevenoaks, zobaczyli przy bramie tłumek dziennikarzy.

W podróży z Arabii Saudyjskiej Rocky wyprzedził ich o dzień. Adam i Juliet wylądowali na Heathrow dopiero tego popołudnia i teraz wracali do Sevenoaks.

— No, jesteśmy w domu — roześmiał się Adam.

Juliet nie zdążyła nic powiedzieć, bo już dopadli ich dziennikarze, których prowadził do szturmów Alex Glendenning z BBC. Trzymał w ręku mikrofon, zza jego pleców widać było kamerzystę.

— Panie Livingstone! — wykrzyknął, podchodząc do okna, kiedy Adam zwołał. — Podobno dokonał pan w Afryce jakiegoś wielkiego odkrycia?

— Ma pan rację, Glendenning — uśmiechnął się Adam. — I mam to odkrycie tutaj. Siedzi obok mnie.

— Ach... no tak... — Zaskoczony reporter pochylił się i zajrzał do wnętrza samochodu. — Chodzi, jak sądzę, o nową asystentkę, o której już słyszałem?

— Nie, Alex, o nowego partnera. Przedstawiam panu Juliet Halsay, wkrótce Juliet Livingstone. Juliet, poznaj pana Alexa Glendenninga.

Juliet wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń dziennikarza.

— Wielka nowina! — powiedział Glendenning. — Czy chciałaby pani to skomentować, panno Halsay?

— Adam ostrzegł mnie już przed panem — odparła Juliet. — Mam mówić tylko to, co chciałabym usłyszeć powtórzone w telewizji. Chyba więc nic więcej nie powiem.

— Czy znaleźliście ogród? Wszyscy chcą się tego dowiedzieć.

— Znaleźliśmy ogród szczęścia — Juliet uśmiechnęła się z wahaniem. — Czegoż więc jeszcze mielibyśmy szukać?

Słyszając, jak Juliet radzi sobie z przebiegłym Glendenningiem, Adam wybuchnął śmiechem.

— Ma pan za swoje, Alex — rzucił życzliwym tonem. — Pani już powiedziała: koniec wywiadu. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wjadę za bramę.

Jechał centymetr po centymetrze, rozpychając tłum dziennikarzy prasowych i telewizyjnych, którzy przekrzykiwali się nawzajem, próbując przebić się ze swoimi pytaniami.

— Jakie plany na najbliższą przyszłość, panie Livingstone? — wykrzyknął wysoki blondyn stojący koło Glendenninga.

— Razem z damą, która siedzi obok, mamy do załatwienia pewne sprawy osobiste.

— Chodzi mi o plany dotyczące zespołu poszukiwawczego.

— Daj że pan spokój, Al. Wie pan dobrze, że nikt nie rozgłasza takich rzeczy. Nie wróciliśmy jeszcze do domu po poprzedniej wyprawie. A poza tym — dodał, mrugając porozumiewawczo — mógłby zdradzić pan moje plany sir Gilbertowi!

Nacisnął trochę mocniej pedał gazu. Tłum rozstał się i samochód minął bramę, którą otworzył, a potem natychmiast zamknął za nimi Scott Jordan.

Adam zatrzymał samochód.

Kiedy wysiadał, Scott i Figg rzucili się już do ściskania mu dłoni i witania go, jakby wyjechał nie na tydzień, ale na wiele miesięcy. Adam obszedł auto i otworzył drzwiczki od strony Juliet. Crystal i Jen podbiegły do stojącej w słońcu dziewczyny. Miało się wrażenie, że Juliet Halsay jest od lat członkiem rodziny. Rocky opowiedział już, co zdarzyło się pod Dżebel al Lawz, nic więc dziwnego, że trzy uszczęśliwione kobiety wyściskały się ze wszystkich sił.

W tej chwili Rocky i pani Graves stali przy drzwiach frontowych i patrzyli na tę scenę. Złożą gratulacje, kiedy skończy się już zamęt.

— Adam! Spójrz tylko, kto przyjechał, żeby cię powitać! — powiedziała Crystal.

Adam spojrzał w stronę domu.

— Mama! — wykrzyknął. Rzeczywiście, matka szła właśnie w jego stronę. — Myślałem, że nadal jesteś w Indiach!

— Wróciłam. A kiedy tylko usłyszałam, że rodzina Livingstone'ów wkrótce się powiększy, uznałam, że muszę to zobaczyć!

— Wspaniale! Juliet, chodź, poznaj moją matkę.
Dwie kobiety zdążyły już jednak podejść do siebie.
— Dzień dobry, pani Livingstone, jestem Juliet Halsay.
— A ja Frances Livingstone. Cieszę się, że cię poznałam, moja droga.

Pocałowały się.

— Musisz być naprawdę damą, Juliet — oznajmiła matka Adama. — Szczerze mówiąc, sądziłam, że żadna kobieta nie oderwie mojego syna od jego pracy. Witam cię w rodzinie, ale ponadto zapewniam o moim szacunku. Serdeczne gratulacje.

Adam roześmiał się z zadowoleniem. Wszyscy dołączyli do jego śmiechu.

Wyciągnął ręce w stronę Juliet. Podeszła i przytuliła się do niego. Obrócili się i ruszyli powoli w stronę domu. Reszta szła kilka kroków za nimi.

— Witaj w domu, Juliet — powiedział cicho Adam.

— Dziękuję, Adamie — odparła ledwie dosłyszalnie Juliet. — Nie wiesz, jak to dobrze mieć znowu dom. Ale przy tobie wszędzie będę w domu.

Przystanąli przed drzwiami i odsunęli się nieco od siebie.

Juliet i jej ciotka padły sobie w objęcia, a Adam i Rocky uścisnęli sobie dłonie jak tylko potrafią przyjaciele w Duchu, patrząc sobie przez chwilę prosto w oczy. Żaden nie powiedział ani słowa. To, co mieli sobie do powiedzenia, przekazały wystarczająco dobrze ich spojrzenia. Potem Adam obrócił się ku swojej gospodyni, która miała oczy pełne łez.

— No jak, pani Graves? Co z herbatą? — zapytał.

„Zaiste, podobnie jak ulewa i śnieg spadają z nieba i tam nie powracają, dopóki nie nawodnią ziemi, nie użyżną jej i nie zapewnią urodzaju... tak słowo, które wychodzi z ust moich... Góry i pagórki przed wami podniosą radosne krzyki, a wszystkie drzewa polne klaskać będą w dłonie. Zamiast cierni wyrosną cyprysy, zamiast pokrzyw wyrosną mirty. I będzie to Panu na chwałę, jako znak wieczysty, niezniszczalny!” (Iz 55, 10—13).

„Znak objawiony; radość milenijnych świętych!
Życie kiełkuje pośrodku...
Pełnia pojednania!
Nastał dzień odpoczynku, zniknęły zamęty;
Drzewo objawione! Zabliźniona rana!”

DODATEK

MATERIAŁY WYKORZYSTANE PRZY PISANIU *NA KRAWĘDZI CZASU*

ARKA NOEGO

Ci, którzy wierzą, że gdzieś na ziemi spoczywa ukryta arka Noego albo jej szczątki, są zwolennikami jednej z dwóch teorii. Obie mają oddanych i zagorzałych wyznawców, którzy potrafią przytoczyć imponujący zestaw argumentów przemawiających za ich racją. Ponieważ istnieje tylko jedna arka, wiele z tych legend, świadectw, fotografii i innych danych naukowych — także opowieści ludzi, którzy twierdzą, że byli we wnętrzu arki — nie są tym, za co się je podaje. Sprawę tę mogą rozstrzygnąć tylko dalsze badania i przełomowe odkrycia archeologiczne.

Bardzo długo uważano, że arka spoczywa albo pod warstwą lodu, albo pod warstwą popiołu wulkanicznego, i dzięki temu przetrwała gdzieś na górze Ararat. W ciągu lat zgłaszało się wielu „naocznych” świadków (piszę o tym w rozdziale pierwszym), opowiadających przeważnie o skalistym parowie znanym jako wąż Ahora.

Opowieść biblijna nie mówi jednak jednoznacznie o tym, że arka osiadła na szczycie znanym dzisiaj pod nazwą Araratu, ale że osiadła na górach Ararat (Rdz 8, 4), to znaczy dawnej krainy znanej jako Urartu. Ponieważ szczyt o nazwie Ararat jest najwyższy w okolicy, a zatem jako pierwszy obsechłby po cofnięciu się wód, logiczne jest

to, co przyjęło wielu badaczy, a mianowicie, że właśnie w tych stronach Noe i jego rodzina wylądowali wraz z wszystkimi zwierzętami po potopie. Inni powiadają, że równie logiczne jest przypuszczenie, iż strome zbocza nie były najlepszym portem, a więc pozbawiony steru okręt dryfowałby z opadającymi wodami ku niższemu i bardziej płaskiemu miejscu.

W ostatnich latach powszechną uwagę wzbudziła teoria mówiąca, że arka osiadła jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od szczytu Ararat, w Al Dżudi. Tam, wśród nisko położonych nagich tureckich wzgórz o wysokości poniżej dwóch tysięcy metrów — Ararat ma ponad pięć tysięcy metrów — widać intrygujący, „przypominający kształtem łódź obiekt”, który jakby wyłania się z ziemi. Jego wymiary (zarówno długość, jak szerokość) pasują niemal dokładnie do podanej w Biblii wielkości arki Noego. Nie ma tam żadnych szczątków drewnianych, tylko skała i ziemia, które rzeczywiście utrwałyby godny uwagi kształt. Przeprowadzono daleko idące eksperymenty naukowe, które sugerują, że obiekt to w istocie rozkładające się resztki arki. W promieniu kilku kilometrów znaleziono rozmaite dowody materialne, na przykład wielką starożytną kotwicę z kamieni oraz inskrypcje. Wsparciem dla dowodów są lokalne legendy sięgające do niepamiętnych czasów. To wszystko jest na tyle przekonujące, że kilka lat temu rząd turecki zbudował w tym miejscu Centrum Zwiedzania Arki Noego.

Faktem jest jednak, że ostateczny dowód przemawiający za wąwozem Ahora albo obiektem o kształcie łodzi nadal nie został znaleziony. Trwa dyskusja na temat wiarygodności dowodów i świadectw. Z pewnością kolejne ekspedycje archeologiczne będą wyprawiać się do Turcji.

GÓRA HOREB/SYNAJ

Znaczna część wątków *Na krawędzi czasu* została zaczerpnięta z opracowanej niedawno teorii dotyczącej exodusu Izraelitów z Egiptu

i alternatywnego — w stosunku do tego, co uznaje tradycja — położenia góry Synaj. (Słowo „niedawno” odnosi się tu do szybkości przenikania informacji do świadomości opinii publicznej. Jak zobaczymy, całkiem prawdopodobne, że tę teorię przyjmowano w czasach Salomona!)

Uczeni zajmujący się Starym Testamentem brali pod uwagę trzy szlaki exodusu. Wysuwano wiele przypuszczeń co do usytuowania Horebu/Synaju, między innymi wymieniano kilka szczytów w okolicy Kadesh-barnea (między Egiptem i Arabią, dokładnie na północ od zatoki Akaba). O górze Synaj mówi się także w kontekście szczytów Edom, Paran, Seir i Teman. Opowieści z Księgi Rodzaju nie są zbyt pomocne przy ustalaniu lokalizacji i wielu nazw nie potrafimy powiązać z konkretnym miejscem (na przykład poszczególnych etapów wędrówki Izraelitów).

Nie istnieje żaden szczyt o nazwie Synaj. Półwysp Synajski to obszar rozciągający się między zatokami Sueską i Akaba. Jeśli chodzi o położenie Synaju/Horebu, wskazywano miejsca rozsiane na ogromnym obszarze, tradycyjnie uznawanego szczytu Dżebel Musa, u stóp którego wznosi się klasztor Św. Katarzyny, i położonego trzydzieści parę kilometrów na północ Dżebel Serbal aż po Dżebel Helal, siedemdziesiąt kilometrów od Morza Śródziemnego.

W ostatnich latach wśród uczonych i archeologów wypłynęła powtórnie szczególnie kusząca teoria, która nawiązuje do dziewiętnastowiecznych poglądów (reprezentuje je tutaj fikcyjna postać, Harry McCondy). Biblijnym Horebem byłby leżący w Arabii Saudyjskiej Dżebel al Lawz. Najwybitniejszymi zwolennikami tej teorii są Amerykanin Ron Wyatt i Australijczyk Jonathan Gray. Dowody, które zebrali, są zaskakujące i przekonujące. Właśnie na ich przełomowych badaniach opierają się końcowej partii *Na krawędzi czasu*. Jestem im wdzięczny za to, że podali swoje odkrycia do publicznej wiadomości.

Wiemy, że kiedy Mojżesz opuścił Egipt, udał się do „kraju Madian” (Wj 2, 15). Tam ożenił się i żył czterdzieści lat. Madian leży w Arabii, a nie na półwyspie Synaj. Potwierdza to święty

Paweł w Liście do Galatów (4, 25). A właśnie podczas pobytu w kraju Madian został wezwany „do góry Bożej Horeb” (Wj 3, 1).

Po powrocie, zgodnie z rozkazem od Boga, do Egiptu, Mojżesz wiedział, że ma przyprowadzić lud Boży pod Horeb (Wj 3, 12). Najbardziej naturalnym i najprostszym szlakiem był ten wskazany przez McCondy'ego, czyli tradycyjna droga karawan łącząca Egipt z Arabią. Po drodze Bóg nakazał jednak Mojżeszowi pójść na południe wąskim skalistym wąwozem i w rezultacie Izraelici znaleźli się w pułapce nad zatoką Akaba.

Do najbardziej przekonujących faktów, jakie przemawiają za tym właśnie szlakiem, należy lokalizacja przejścia przez morze: Akaba wydaje się bardziej prawdopodobna niż Zatoka Sueska albo tak zwane Morze Trzcina, czyli teren bardziej na północ, przecięty dzisiaj Kanałem Sueskim.

Zatoka Akaba, podobnie jak całe Morze Czerwone, jest przeważnie bardzo głęboka — być może dlatego, że stanowi fragment Wielkiego Rowu. I rzeczywiście, mamy dowody, że w środkowych partiach proces tworzenia się Rowu nie został bynajmniej zakończony. W Morzu Czerwonym są głębiny powyżej dwóch tysięcy metrów, wyrzucające z siebie gorące, bogate w minerały, między innymi w złoto, pokłady. W środkowej części wybrzeża zatoki, w Newiot, istnieje jednak osobliwa przerwa w Rowie. W tym miejscu łacha piasku, mierzeja, wychodzi z obu brzegów (ten piasek naniósł bez wątpienia z obu stron dawne rzeki, płynące w dokładnie przeciwnych kierunkach). Wskutek powiększania się Rowu dzisiaj te piaski są pod wodą, ale niewykluczone, że trzy i pół tysiąca lat temu mieliśmy tu znacznie płytszą, dzięki czemu Izraelici mogli pokonać zatokę. Pomógł im w tym zesłany przez Boga cudowny, mroźny wiatr, który zestalił na krótki czas zarówno wodę, jak i dno zatoki. Po tej zamrożonej łasze Izraelici przeszli na drugi brzeg w ciągu nocy i wczesnego ranka. Kiedy jednak przyszedł dzień, ustał wiatr i grunt się ogrzał, koła egipskich rydwanów zaczęły więc grzęznąć w

piasku i wodzie. Jeśli te domysły są trafne, po jakimś czasie napłynęła z powrotem woda i wskutek tego doszło do całkowitego zniszczenia egipskiej armii (Wj 14, 21—30).

Poza Biblią nie mamy żadnych naocznych świadectw tych wydarzeń. Ale na podwodnym filmie widać, że w piasku zalanej wodą ląchy ciągnącej się w poprzek zatoki tkwi coś, co przypomina pokryte koralami sześcio—i ośmiosprychowe koła rydwanów. Te filmy robią ogromne wrażenie.

Zarówno po egipskiej, jak i saudyjskiej stronie zatoki, stały niegdyś bazaltowe słupy. Pozostał jeden, zniszczony przez erozję, ale nadal pokryty hebrajskimi inskrypcjami, które upamiętniają miejsce przejścia Izraelitów przez Morze Czerwone i mówią o tym, że ten słup został wzniesiony na rozkaz króla Salomona. To doprawdy niewiarygodne, że te słupy zostały rozpoznane dopiero niedawno, chociaż ustawiono je być może trzy tysiące lat temu.

Wznoszący się jakieś pięćdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od tego miejsca Dżebel al Lawz ma swoją wulkaniczną historię i turyści jeszcze dzisiaj mogą zobaczyć ciemne plamy w pobliżu szczytu. Czymś takim nie może się pochwalić żadne inne miejsce kandydujące do miana góry Synaj. Każdy musi samodzielnie rozstrzygnąć, jakie to ma znaczenie. Czy ten poczerniały wierzchołek przypomina nam, że góra zatrzęsła się przed Izraelitami i ukazał się im sam Bóg w ogniu i dymie? (Wj 19, 18) Na szczycie jeszcze dzisiaj rośnie między dwoma ogromnymi głazami małe samotne drzewo. (Ale u podstawy nie wyrosła — jak dotąd — bujna oaza.) Szeroka krawędź dawnego wulkanu jest otoczona mniejszymi szczytami, które osłaniają duże, podobne do krateru plateau.

U podstawy góry rozciąga się ogromny płaski obszar, gdzie być może Izraelici rozbili obóz i czekali na rozkazy od Boga. Prowadzone tam poszukiwania i zainteresowanie górą skłoniły rząd saudyjski do ogrodzenia w 1985 roku całego terenu u stóp góry i umieszczenia arabskich i angielskich napisów zakazujących wstępu. Niektórzy z szukających twierdzą, że znaleźli ogromne kamienie graniczne,

którymi otoczone było obozowisko (Wj 19, 12), a także miejsce, gdzie był ołtarz, petroglificzne wizerunki krów i byków w egipskim stylu, datowane na mniej więcej tysiąc pięćset lat przed naszą erą. Nie widziałem ich, nie mogę więc osobiście ręczyć za ich autentyczność, chociaż filmy są bardzo przekonujące. Innymi słowy, przedstawione w *Na krawędzi czasu* opowieści o Dżebel al Lawz i trasie exodusu są zgodne z danymi geograficznymi i wynikami badań. Istnieje też ogrodzony teren u stóp góry.

Odkrycia związane z alternatywną lokalizacją Synaju/Horebu mają jeszcze jeden, bardzo poruszający aspekt, który dotyczy biblijnej relacji o Refidim (Wj 17), ostatnim obozowisku Izraelitów przed dotarciem do góry Synaj. Kiedy lud narzekał na brak wody, Pan kazał Mojżeszowi uderzyć w skałę. W Księdze Wyjścia 17, 6 czytamy: „Oto ja stanę przed tobą na skale, na Horebie. Uderzysz w skałę, a wypłynie z niej woda, i lud zaspokoi swe pragnienie”. Chociaż nie był to jeszcze obóz u stóp góry Synaj, Bóg mówił o „skale, na Horebie”.

Po dzień dzisiejszy na małym wzgórzu kilka kilometrów od Dżebel al Lawz w stronę zatoki Akaba wznosi się ogromny głaz. Ma cztery, pięć metrów wysokości i składa się z dwóch odłamów, jakby został kiedyś rozłupany na dwie części. U podstawy widać między dwiema połówkami ślady erozji, które rozchodzą się od tego miejsca promieniście w dół wzgórza. Jest to bez wątpienia świadectwo, że płynęły tędy niegdyś ogromne masy wody. Ze wszystkich stron wielkiego głazu bieżą w dół na równinę jakby kanały, a kamienie na ich dnie wyglądają zupełnie jak gładkie kamienie rzeczne. Kanały te robią wrażenie, jakby brały początek po prostu z ziemi, spod wielkiego rozłupanego głazu.

Czy to intrygujące wzgórze może być pamiątką po jeszcze starszym źródle wody, tej, która nawadniała ogród rajski? I czy miejsce, skąd wypływała woda i gdzie nadal istnieją (jak w czasach Mojżesza) podziemne ciek wodne, czeka na dzień odrodzenia?

EDEN — TEORIA OWALU

Mam świadomość, że nie istnieją żadne dowody wskazujące lokalizację Edenu. Domysły Adama Livingstone'a są moimi domysłami — podobnie jak przekonanie, że większość, może nawet całość życia roślinnego, jakie stworzył Bóg, przetrwała w tym czy innym miejscu, choćby w stanie uśpionym.

Kiedy przystępowałem do pisania *Na krawędzi czasu*, teoria owalnego Edenu ukształtowała się już w moim umyśle na podstawie lektur, badań i prób pogodzenia znalezisk archeologicznych z relacją biblijną. Nie brałem wówczas pod uwagę możliwości precyzyjniejszej lokalizacji Edenu niż gdzieś między Mezopotamią i Wielkim Rowem Wschodnioafrykańskim.

W trakcie pisania książki trwał jednak w moim umyśle proces bardzo podobny do tego, jaki przeszedł Adam Livingstone, proces oczyszczania, przemyślenia na nowo, stawiania sobie pytań, które wyznaczały nowe kierunki rozważań. I przez cały czas dochodziły nowe dane. W rezultacie prowadziłem rozważania dwutorowo: fikcyjna pielgrzymka Adama Livingstone'a na stronach tej książki... i moja osobista pielgrzymka w trakcie pisania powieści. Godzinami stałem przed rozwieszonymi na ścianach mapami albo pochylałem się nad globusem, próbując przedrzeć się wzrokiem przez mgły okrywające dzieje różnych miejsc na ziemi i pytając co i raz Boga: „Panie, czego dokonałeś na ziemi przez te wszystkie eony? Co znaczą Twoje czyny? Co jeszcze zamierzyłeś objawić swemu ludowi w przyszłości?”

Wielu z „odkryć” Adama dokonywałem na moim komputerze jednocześnie z nim. Czasem wyprzedzałem go naprawdę o słowo albo dwa. Pojawiały się ciągle nowe śmiałe pomysły, zrywałem się więc i szperałem w atlasach i książkach, to oglądałem globus, to ślecząłem nad teorią wędrówki kontynentów albo opisem zmian klimatycznych na ziemi, szkicując teorie, rozgorączkowany na samą myśl o tym, do czego mogę dojść. Moja dokumentacja pękała w szwach od szkiców i wariantów, notatek i ślepych zaułków... ale

po jakimś czasie „teoria” zaczęła układać się w logiczną całość.

Był to proces bardzo ekscytujący, tym bardziej że w pewnym momencie w samym środku kaskady pomysłów nastąpiła przerażająca awaria komputera. To, co zawarłem w tej książce, jest nie tylko opowieścią o Adamie Livingstone 'ie. To także opowieść o powstawaniu powieści.

Ostateczna lokalizacja centrum Edenu przysłała mi jednak do głowy, dopiero kiedy zaczęło mi świtać, jakie mogłyby być dalsze duchowe konsekwencje tego odkrycia i jaką jeszcze rolę w dziejach świata może mieć prawda o ziemskim raju. Kiedy nagle uświadomiłem sobie, że to Synaj... że to musi być Synaj, a potem nakreśliłem linię prostą od Araratu do dzisiejszych źródeł Nilu i zobaczyłem, iż linia przechodzi prawie dokładnie przez Dżebel al Lawz, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W tym momencie czułem się naprawdę jak Adam Livingstone — że doszedłem do czegoś, co może być zdumiewającą rewelacją.

Wszystko, co czyni Bóg ma swoje znaczenie. Jeśli najdrobniejsze szczegóły hebrajskiego alfabetu i hebrajskiej numerologii zostały zawarte w każdym ze słów Pisma, jeśli każda żywa istota jest odbiciem swojego Stwórcy, czyż można przyjąć, że Bóg, po to tylko zasadził na ziemi drzewo życia, by uschło, a jego odmiany wyginęły i poszły w zapomnienie?

Czy to możliwe, żeby Bóg stworzył drzewo życia, a potem pozwolił mu zmarnieć?

Nie mogę sobie czegoś takiego wyobrazić.

Nie tak postępuje nasz Ojciec. W Biblii nie mówi się nigdzie, że ogród zniknął, lecz tylko że został zakryty. Rzeczy Boże nie giną ot tak na pustyni. Wszystko ma swój cel. Wszystko, co uczynił Bóg trwa i ma swoje wiekuiste znaczenie.

Najbardziej ważne sprawy powracają w Bożym planie wyniesione do wyższego, duchowego i wiecznego poziomu. Był pierwszy Adam, był i drugi. Jezus znowu przyjdzie. A przedtem znowu ukażą się Mojżesz i Eliasz.

To cudowna prawda, ale nie ją mieliśmy na myśli w związku z Edenem. Zamysły Boga spełniły się. Zamyśl zawsze zatacza krąg i wraca, by zamknąć się w sobie samym, w spełnieniu tego, co zamierzył Bóg.

Taka jest zdumiewająca prawda zawarta w słowach Pisma (Iz 55): „Słowo, które wychodzi z ust moich, nie wraca do Mnie bezowocnie, zanim wpierw nie dokona tego, co chciałem, i nie spełni pomyślnie swego posłannictwa”.

Boże zamysły zawsze powracają. Zamknięcie bram raj w Księdze Rodzaju 3, 24 to tylko połowa historii Edenu. Druga połowa nie została jeszcze ujęta w słowa. To historia otwarcia bramy na nowo!

I ta druga część historii zostanie wypowiedziana tak, jak zechce tego Bóg, i w wyznaczonym przez Niego czasie.

Naprawdę wierzę, że ogród rajski nadal żyje na ziemi albo w jej wnętrzu. Nie pozwolono nam jeszcze nań spojrzeć, nadal bowiem jest opieczętowany. Lecz nie umiera to, co stworzył Bóg. Przez Jezusa Bóg stał się człowiekiem i chodził między nami w naszym życiu codziennym, ale poza tym powiedziano nam o dwóch tylko miejscach, gdzie Bóg zamieszkiwał krótko na ziemi. To Eden i góra Horeb.

W moim przekonaniu jest jedno i to samo miejsce.

Wiele z tego, co powiedział Bóg Mojżeszowi o swojej obecności na górze Synaj, nawiązuje do dawniejszych czasów: tam była obecność Boga, tam było życie, tam było przykazanie, tam był wydany przez Boga zakaz, tam była święta ziemia... Eden i Synaj! Powiązania są zdumiewające i cudowne.

O jakimże innym miejscu na ziemi powiedziałby Bóg Mojżeszowi, że tam „mieszka”, jeśli nie o tym, gdzie „przechadzał się” w porze, kiedy wiatr chłodził powietrze? Z jakiegoż drzewa przemawiałby do Mojżesza, jeśli nie z drzewa życia? Jakież inne miejsce nazwałby „ziemią świętą”, jeśli nie to, gdzie nastąpił szczytowy moment w dziejach stwarzania? Z jakiegoż miejsca miałby nadać swoje pełne prawo, jeśli nie z tego, w którym dał pierwsze przykazanie? Do jakiegoż miejsca wezwałby swój lud w momencie

symbolicznego uwolnienia od grzechu, jeśli nie do tego, gdzie po raz pierwszy grzech się pojawił?

Nie wyobrażam sobie, żeby Bóg dokonał tego wszystkiego w innym miejscu niż Eden.

Jakże Eden i Synaj mogłyby nie być jednym i tym samym miejscem? W jaki sposób to drugie mogłoby nie być spełnieniem i zamknięciem kręgu zamysłu wskazanego przez pierwsze?

Być może nie przyszła jeszcze pora, by rozkwitło objawienie, które z całą pewnością nastąpi — a myślę, że ten moment jest już bliski. Może nie pora jeszcze, by Horeb i Synaj zostały objawione, jeżeli nie mają nic wspólnego z Dżebel al Lawz. Kiedy jednak objawiony zostanie Synaj, znaleziony też będzie środek Edenu, albowiem święta góra Bożej obecności musi znajdować się w ogrodzie początków, i nigdzie indziej.

Na krawędzi czasu to literacka fikcja. Ale przez takie właśnie sprawy i cuda pokaże Bóg „widzającemu” ludowi, że siódmy dzień Jego wiekuistego planu jest bliski.

Wierzę, że zanim dojdzie do drugiego przyjścia Syna Boga, ujrzemy wiele niespodziewanych znaków rozkwitu — w ludzkich sercach, na ziemi i w biegu zdarzeń. Wiele z tych znaków będzie innych, niż przepowiadali „tradycyjni” i dosłowni prorocy drugiego przyjścia. Boże drogi często nas zaskakują. I pojmą je ci tylko, którzy mają oczy do patrzenia.

Znaleźliśmy się na progu dni objawienia. Nadchodzi nowa era... nadchodzi szybko. Lud Boży został wezwany do czujności i posłuszeństwa... abyśmy się przygotowali!

SŁOWNICZEK

AUSTRALOPITEK — najstarsze człowiekowie znane z wykopalisk w Tanzanii, Kenii, Etiopii, które mogły pojawić się już 4 mln lat temu. Wytwarzały prymitywne narzędzia i uprawiały łowiectwo, nie znały jednak ognia. Na podstawie różnic w budowie ciała archeologowie rozróżniają dwa gatunki lub też dwie linie ewolucyjne australopiteków: *a. robustus*, odznaczający się cięższą i masywniejszą posturą oraz drobniejszy *a. africanus* o delikatnym kośćcu. Do australopiteków zalicza się także gatunki znalezione w Tanzanii w wąwozie Oldoway i Hadar: *a. boisei*, *a. afarensis* oraz *a. aethiopicus*.

CZŁOWIEK Z PILTDOWN — zwany także „wczesnym człowiekiem Dawsona” (*eoanthropus dawsoni*), rzekomy gatunek człowieka prehistorycznego, którego odkrycie ogłoszono w Anglii w 1912 r. Znalezione wykopane przez Charlesa Dawsona w hrabstwie Sussex (Anglia) okazało się jednak archeologicznym oszustwem, choć debata nad jego autentycznością trwała aż czterdzieści lat. W 1926 odkryto, że szczątki są dużo młodsze, niż sugerowano, a w 1953 wyszło na jaw, iż człowieka z Piltdown starannie spreparowano ze szczątków człowieka współczesnego, szympansa i orangutana — niektóre kości zabarwiono chromem i wytrawiono kwasem, aby wyglądały na starsze.

DZIECKO Z TAUNG — australopitek, którego odkryto w 1924 r. w Taung w Południowej Afryce. Znaleździło to potwierdziło bezpośrednie pokrewieństwo australopiteków z *homo sapiens*.

HOMINIDY — inaczej: człowiekowie, rodzina rzędu naczelnych, do których zalicza się kopalniane gatunki australopiteków, pitekanthropów oraz człowieka neandertalskiego.

HOMO HABILIS — prądatunek człowieka wyprostowanego (*homo erectus*) żyjący ok. 2 mln lat temu na terenach dzisiejszej Sahary. Najstarsze szczątki *homo habilis* znaleziono w 1959 i 1960 w wąwozie Oldoway w Tanzanii.

KREACJONIZM — (łac. *creatio*), w filozofii biologii wywodzący się z Biblii pogląd przeciwny teoriom zakładającym przypadkowość czy też odwieczność Wszechświata, według którego świat i wszystkie gatunki żywe zostały stworzone wolnym aktem Boga.

LUCY — kobieta z gatunku *australopithecus afarensis*, której szkielet złożony ze skamieniałych szczątków znaleźli w Tanzanii i Etiopii w późnych latach siedemdziesiątych archeolodzy Donald Johnson i Timothy White. Swojemu odkryciu nadali imię dziewczyny z jednej z piosenek Beatlesów *Lucy In The Sky With Diamonds* („Lucy na niebie z diamentami”).

MIOCEN — jedna z dwu epok późnego trzeciorzędu (neogenu), trwającego od ok. 23 mln do 1,8 mln lat temu, którą charakteryzowała bardzo silna aktywność wulkaniczna.

NEW AGE — (ang. Nowy Wiek, Nowa Era), ruch pseudoreligijny powstały w Stanach Zjednoczonych ok. 1970 r., który przeciwstawia się wierze w pragmatyzm i postęp cywilizacyjny, głosi zasadę kultu natury i kosmicznej harmonii oraz intuicji jako sposobowi poznawania świata, a przy tym występuje przeciwko wszystkim istniejącym Kościołom i instytucjom naukowym. New Age zawiera w sobie wiele koncepcji filozoficznych i pseudonaukowych, na ruch ten wpływ mają także inspiracje okultystyczne i gnostyckie, a zdaniem niektórych nawet satanistyczne. Ideolodzy New Age twierdzą, że wraz z nadejściem nowych czasów — „Ery Wodnika” (przesunięcie równonocy z Ery Ryb) nastanie czas przyjaźni wszystkich istot żywych.

PALEOMAGNETYZM — gałąź geofizyki związana z magnetyzmem ziemskim, która zajmuje się polem magnetycznym w przeszłości Ziemi. Na podstawie pozostałości magnetycznej skał można odtworzyć natężenie i kierunek dawnego pola magnetycznego.

PETROGLIFY — rysunki i inskrypcje naskalne wykonane przez człowieka prehistorycznego.

POSTDYLUWIALNY — (łac. *post diluvium*) „po potopie”, okres plejstocenu (czwartej epoki czwartorzędu) trwający od 1 mln do 10 000 lat temu.

STRATYFIKACJA — warstwowość, tworzenie się warstw, np. osadów skalnych, toni wodnej itd.

SUPERKONTYNET — ogromny pradawny kontynent powstały z połączenia wielu mniejszych lądów i wysp, który hipotetycznie ok. 500 mln lat temu podzielił się na trzy kontynenty: Gondwanę, Laurentię i Baltikę. Ok. 250 mln lat temu dryfowanie tych kontynentów doprowadziło do połączenia ich w jeden ląd: Pangeę, który następnie 70 mln lat później ponownie się rozdzielił, dając początek współczesnym kontyntenom. Inna teoria superkontynentu ogłoszona w 1912 r. przez niemieckiego meteorologa Alfreda Wegnera mówi, że istniał jeden kontynent, Pangea (dosł. „cała ziemia”), który w wyniku przepołowienia w triasie utworzył Gondwanę (dzisiejsza Ameryka Południowa, Afryka, Półwysep Indyjski, Australia i Antarktyka) i Laurazję (Ameryka Północna, Europa i Azja).

TEORIA WIELKIEGO WYBUCHU — teoria kosmologiczna, według której ewolucja wszechświata zaczęła się od wybuchu (ang. Big Bang) w osobliwym punkcie czasoprzestrzeni zawierającym całą materię Wszechświata. Dzięki wstecznej analizie obecnej ekspansji Wszechświata ustalono, że sytuacja taka powinna zaistnieć 10—20 mld lat temu.

TRABANT — rodzaj lodowej turni w górach wysokich.

UNIFORMITARYZM — (inaczej: aktualizm), jedna z podstawowy zasad geologii, według której zjawiska chemiczne i fizyczne skorupy ziemskiej były w przeszłości podobne do obecnych i wywoływały podobne procesy geologiczne. Dzięki zasadzie można ustalić wiek wielu osadów kopalnych.

SPIS RZECZY

Przedmowa	7
Prolog	13
Część pierwsza: ARARAT	
Rozdział pierwszy: Odkrycie stulecia	23
Rozdział drugi: Intryga na skalę globalną	51
Rozdział trzeci: To wcale nie bajka	64
Rozdział czwarty: Tryumfalny powrót	77
Część druga: LONDYN	
Rozdział piąty: Londyński toast	105
Rozdział szósty: Wyłom w systemie bezpieczeństwa . .	123
Rozdział siódmy: Nowa wizja	149
Rozdział ósmy: Brakujące ogniwo	180
Rozdział dziewiąty: Strach jest coraz bliżej	192
Rozdział dziesiąty: Zaskakująca znajomość	200
Rozdział jedenasty: Tropy z kartoteki McCondy'ego .	216
Rozdział dwunasty: Jeszcze jeden gość w Sevenoaks .	232
Rozdział trzynasty: Nici mrocznego spisku	257
Część trzecia: AFRYKA	
Rozdział czternasty: Tajemnice na wyżynach	287
Rozdział piętnasty: Mroczne knowania	307
Rozdział szesnasty: Prosto ku krawędzi	323
Rozdział siedemnasty: Obcy w Peterborough	336
Rozdział osiemnasty: Początki i ery	344
Rozdział dziewiętnasty: Zakładnicy w Sevenoaks	388

Rozdział dwudziesty: Rozpoczyna się poszukiwanie . .	409
Rozdział dwudziesty pierwszy: Niespodziewani goście .	437
Rozdział dwudziesty drugi: Dziennik dziadka Harry'ego	452
Część czwarta: KAIR	
Rozdział dwudziesty trzeci: Nikczemne machinacje . .	471
Rozdział dwudziesty czwarty: Nadchodzi chwila objawienia	480
Rozdział dwudziesty piąty: Poszukiwanie środka	504
Rozdział dwudziesty szósty: Życie odnalezione	511
Rozdział dwudziesty siódmy: Dżebel al Lawz	528
Rozdział dwudziesty ósmy: W drogę!	539
Rozdział dwudziesty dziewiąty: Hotel Nile Gardens .	544
Rozdział trzydziesty: Exodus	566
Część piąta: SYNAJ	
Rozdział trzydziesty pierwszy: Tropem Harry'ego	
McCondy'ego	577
Rozdział trzydziesty drugi: Zbocza Horebu	598
Rozdział trzydziesty trzeci: Na krawędzi czasu	612
Rozdział trzydziesty czwarty: Niespodziewana zmiana planów	622
Rozdział trzydziesty piąty: Zniknięcie!	631
Rozdział trzydziesty szósty: Dom róży i krzyża	640
Rozdział trzydziesty siódmy: Ratunek przybywa na skrzydłach	650
Rozdział trzydziesty ósmy: Oświadczyły w Edenie . .	659
Dodatek	673
Słowniczek	